

DAN SIMMONS

Hyperion

PROLOG

Konsul Hegemonii siedział na tarasie swojego czarnego jak heban statku kosmicznego i grał *Preludium cis-moll* Rachmaninowa na starym, ale znakomicie utrzymanym steinwayu, podczas gdy na rozciągających się dokoła bagnach przewalały się i ryczały ogromne, jaszczurowate istoty. Z południa ku północy przesuwała się gwałtowna burza. Sylwetki wielkich drzewiastych paproci rysowały się wyraźnie na tle sinoszarych chmur, wyżej natomiast, docierając nawet na pułap dziewięciu kilometrów, po niespokojnym niebie wędrowały stratocumulusy. Tuż nad horyzontem rozbłysła jaskrawa błyskawica. Znacznie bliżej statku majaczące niewyraźnie w mroku gądzie kształty wpadały od czasu do czasu na pole siłowe, ryczały boleśnie, po czym znikwały w ciemnogrnatowej mgle. Konsul skupił się na szczególnie trudnym technicznie fragmencie utworu, nie zwracając uwagi ani na burzę, ani na zapadający szybko zmierzch.

Nagle rozległ się sygnał komunikatora.

Konsul zamarł w bezruchu z palcami zawieszonymi nad klawiaturą. Gęste powietrze zadrżało, rozdarte hukiem gromu. Od strony paprociowego lasu dobiegł żalony lament stada padlinożerców; z ciemności zalegających poniżej statku odpowiedziała im wyzywającym trąbieniem jakaś bestia, ale szybko umilkła. W nagłej ciszy dało się słyszeć niskie buczenie generatorów pola siłowego. Komunikator zapiszczał ponownie.

- Cholera - zaklął konsul i wstał od fortepianu.

Podczas kilku sekund, jakich potrzebował komputer, by przetworzyć i zdekodować strumień tachionów, konsul nalał sobie szklaneczkę szkockiej i zasiadł w miękko wyściełanym fotelu. Niemal w tej samej chwili zapłonęło zielone światelko gotowości.

- Odtwarzaj - polecił konsul.

- Zostałeś wybrany, aby powrócić na Hyperiona - rozległ się matowy kobiecy głos. Obraz jeszcze się nie uformował; przestrzeń nad komunikatorem była pusta, jeśli nie liczyć migającego kodu nadawcy. Dzięki temu konsul wiedział, że przekaz nadszedł z Pierwszej Tau Ceti, administracyjnego centrum Hegemonii. Wiedziałby o tym nawet bez kodu, gdyż bez trudu rozpoznał pełen uroku głos Meiny Gladstone.

- Zostałeś wybrany, aby powrócić na Hyperiona jako jeden z uczestników

Pielgrzymki.

Chyba żartujesz, pomyślał konsul i podniósł się z fotela.

- Ty oraz sześciu pozostałych uczestników zostaliście wybrani przez Kościół Chyżwara i zatwierdzeni przez WszechJedność. W głęboko pojętym interesie Hegemonii leży, żebyście zaakceptowali ten wybór.

Konsul stał odwrócony plecami do migającego kodu. Nagle podniósł szklankę i opróżnił ją jednym haustem.

- Sytuacja jest bardzo skomplikowana - ciągnęła Meina Gladstone poważnym tonem. - Konsulat oraz Rada Planety zawiadomiły nas przed trzema tygodniami standardowymi, że Grobowce Czasu zaczynają się otwierać. Otaczające je pola antyentropiczne gwałtownie się rozszerzyły, a Chyżwar zaczął się pojawiać daleko na południu, nawet w rejonie Gór Cugielnych.

Konsul odwrócił się i opadł z powrotem na fotel. Przed sobą miał holo starej twarzy Meiny Gladstone. Jej spojrzenie było równie poważne i znużone jak głos.

- Oddział uderzeniowy Armii/kosmos został natychmiast odwołany z Parvati i skierowany na Hyperiona w celu przeprowadzenia ewakuacji obywateli Hegemonii przed otwarciem Grobowców. Jego dług czasowy wynosi nieco ponad trzy tamtejsze lata. - Meina Gladstone umilkła na chwilę. Konsulowi przemknęła myśl, że jeszcze nigdy nie widział przewodniczącej Senatu w równie ponurym nastroju. - Nie mamy żadnej pewności, czy flota ewakuacyjna dotrze na czas - podjęła na nowo. - Sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że odkryliśmy migracyjny rój Intruzów, liczący około czterech tysięcy... jednostek, który zmierza szybko w kierunku systemu Hyperiona. Nasze statki powinny przybyć tam dosłownie tuż przed nimi.

Konsul doskonale rozumiał powód zawahania przewodniczącej Senatu. W skład roju migracyjnego Intruzów mogły wchodzić zarówno jednoosobowe statki zwiadowcze, jak i ogromne transportowce oraz planetoidy zamieszkałe przez dziesiątki tysięcy kosmicznych barbarzyńców.

- Kolegium Szefów Sztabów uważa, że Intruzi zdecydowali się na wykonanie decydującego posunięcia - ciągnęła Meina Gladstone. Komputer ustawił holo w takiej pozycji, że jej smutne brązowe oczy zdawały się patrzeć prosto na konsula. - Nie wiemy tylko, czy zależy im jedynie na zajęciu Hyperiona w związku ze zbliżającym się otwarciem Grobowców Czasu, czy też ruszą do ataku na całą Sieć. Na wszelki wypadek odwołaliśmy z układu Camny całą flotę bojową, w której skład wchodzi także batalion inżynierski przeszkolony w montażu transponderów materii, i poleciliśmy jej dołączyć

do flotyli ewakuacyjnej, ale ten rozkaz może zostać w każdej chwili anulowany.

Konsul skinął głową i podniósł szklanę do ust. Przekonawszy się, że jest pusta, zmarszczył brwi i cisnął ją na miękko wysłaną podłogę. Mimo braku wojskowego wykształcenia doskonale rozumiał dylemat, wobec jakiego stanęła Gladstone wraz z szefami sztabów. Jedyne błyskawiczne zmontowanie w systemie Hyperiona wojskowego transmitera materii - co wiązało się z gigantycznymi kosztami - dawało szansę odparcia inwazji Intruzów. W przeciwnym razie wszystkie tajemnice, jakie zostaną ujawnione przez Grobowce Czasu, wpadną w ręce nieprzyjaciół Hegemonii. Jeżeli jednak transmitter powstanie na czas i Armia rzuci całe swoje siły do obrony samotnej, odległej planety, Sieć będzie narażona na atak z innej strony albo, co gorsza, na utratę transmitera, to zaś groziłoby przeniknięciem barbarzyńców do jej wewnętrznej struktury. Konsul już widział oczami wyobraźni Intruzów wyłaniających się z transmiterów na setkach nie uzbrojonych, nie przygotowanych do obrony planet.

Przeszedł przez holo Meiny Gladstone, podniósł szklanę i ponownie napełnił ją whisky.

- Zostałeś wybrany, aby wziąć udział w pielgrzymce do Chyżwara - powiedziała wiekowa przewodnicząca Senatu, porównywana często przez prasę do Lincolna, Churchilla lub Alvareza-Tempa, w zależności od tego, jaka legendarna postać z czasów przed hegirą znajdowała się akurat u szczytu popularności. - Templariusze wysłali swój drzewostatek "Yggdrasill", a dowódca floty otrzymał polecenie, żeby go przepuścić. Mając tylko trzytygodniowy dług czasowy zdążysz dotrzeć do niego, zanim wejdzie w nadprzestrzeń w pobliżu układu Parvati. Na jego pokładzie będzie pozostałych sześciu pielgrzymów wybranych przez Kościół Chyżwara. Według naszego wywiadu przynajmniej jeden z waszej siódemki jest agentem Intruzów. Niestety, nie mamy pojęcia kto.

Konsul uśmiechnął się. Gladstone sporo ryzykowała, ujawniając mu tak istotne informacje, bo przecież musiała brać pod uwagę możliwość, że właśnie on jest tym szpiegiem. Chociaż... Czy naprawdę powiedziała mu coś ważnego? Ruchy floty i tak staną się doskonale widoczne, gdy tylko okręty włączą napęd Hawkinga, a jeśliby konsul był agentem Intruzów, słowa przewodniczącej senatu z pewnością zabrzmiałyby w jego uszach jak poważne ostrzeżenie. Przestał się uśmiechać i pociągnął niewielki łyk szkockiej.

- Wśród pielgrzymów znajdują się Sol Weintraub i Fedmahn Kassad.

Konsul zmarszczył brwi, wpatrując się w skupisko liczb krążące wokół twarzy

starej kobiety niczym rój much. Do końca transmisji pozostało piętnaście sekund.

- Potrzebujemy twojej pomocy - mówiła dalej Meina Gladstone. - Ogromnie zależy nam na poznaniu tajemnic Chyżwara i Grobowców Czasu. Ta pielgrzymka stanowi naszą ostatnią szansę. Gdyby Intruzi zdobyli Hyperion, ich agent będzie musiał zostać wyeliminowany, a Grobowce Czasu zamknięte za wszelką cenę. Od tego może zależeć los całej Hegemonii.

Przekaz dobiegł końca. W powietrzu pozostały jedynie migające koordynaty.

- Czy będzie odpowiedź? - zapytał komputer.

Choć transmisja wymagała ogromnych ilości energii, statek mógł wysłać krótką informację, która włączyłaby się w strumień tachionów krążący bez przerwy między zamieszkanymi przez ludzi planetami.

- Nie - odparł konsul, po czym wyszedł na taras i oparł się o balustradę. Zapadła noc, a niebo zasnuło się wiszącymi nisko chmurami. Ciemność byłaby całkowita, gdyby nie błyskawice rozświetlające od czasu do czasu północny nieboskłon i łagodna, fluorescencyjna poświata unosząca się nad bagnami. Nagle konsul uświadomił sobie, że jest jedyną myślącą istotą na tej bezimiennej planecie. Wsłuchując się w pierwotne odgłosy dobiegające z mokradeł, wspominał miniony poranek, wczesną pobudkę, cały dzień spędzony w jednoosobowym vikkenie, polowanie w rozciągającym się na południu paprociowym lesie, a wreszcie powrót na statek, gdzie czekał już smakowity befsztyk i zimne piwo. Wspominał bolesną rozkosz towarzyszącą polowaniu i równie bolesne zadowolenie z samotności, wywalczonej po koszmarnych przejściach na Hyperionie.

Hyperion...

Konsul wszedł do statku i polecił komputerowi wciągnąć taras oraz zamknąć i uszczelnić wszystkie włazy. Następnie wspinał się spiralnymi schodami do kabiny sypialnej usytuowanej na samym szczycie statku. Okrągły pokój był pogrążony w ciemności, którą rozświetlały jedynie bezgłośnie eksplozje błyskawic, pozwalające przez ułamek sekundy dojrzeć na tle nocnego nieba strumienie deszczu. Konsul zdjął ubranie, położył się na twardym materacu, po czym włączył muzykę i zewnętrzne mikrofony. Kabinę wypełniły gwałtowne dźwięki Wagnerskiego "cwałowania walkirii" wymieszane z odgłosami szalejącej na zewnątrz burzy. Huraganowy wiatr uderzał z dziką siłą w kadłub statku. Pioruny biły jeden za drugim, a białe błyskawice pozostawiały po sobie blednące powoli, jaskrawe cienie.

Wagnera należy słuchać wyłącznie w taką pogodę, pomyślał konsul i zamknął

oczy, ale błyskawice były widoczne nawet przez zaciśnięte powieki. Przypomnił sobie lśniące kryształki lodu niesione wiatrem wśród ruin na niskich wzgórzach niedaleko Grobowców Czasu i znacznie chłodniejsze lśnienie stali na składającym się niemal wyłącznie z metalowych cierni, trudnym do wyobrażenia drzewie Chyżwara. Przypomnił sobie przeraźliwe krzyki w środku nocy i mieniające się setkami refleksów, szkarłatnorubinowe spojrzenie samego Chyżwara.

Hyperion.

Konsul bezgłośnie polecił komputerowi wyłączyć muzykę i mikrofony. Zasłoniwszy ręką oczy leżał w całkowitej ciszy i myślał o tym, jakim szaleństwem z jego strony byłby powrót na Hyperiona. W ciągu jedenastu lat, jakie spędził w charakterze konsula na tej odległej i zagadkowej planecie, tajemniczy Kościół Chyżwara dwanaście razy zezwolił grupom pielgrzymów wyruszyć ku chłostanym wiatrem pustkowiom otaczającym Grobowce Czasu. Nikt nie powrócił, choć działo się to jeszcze wtedy, kiedy Chyżwar był więźniem prądów czasu oraz sił, których natury i działania nikt nie rozumiał, antyentropijne pola zaś działały jedynie w promieniu kilkunastu metrów wokół Grobowców Czasu. Nie istniało wtedy także zagrożenie inwazją Intruzów.

Konsul rozmyślał o Chyżwarze, wędrującym teraz swobodnie po całej planecie, o milionach tubylców i tysiącach obywateli Hegemonii zupełnie bezbronnych wobec istoty nic sobie nie robiącej z praw fizyki, która potrafiła się porozumiewać jedynie poprzez śmierć... i pomimo ciepła panującego w kabinie jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

Hyperion.

Minęła noc, a burza dobiegła końca. Nadchodzący świt gnał przed sobą następną. Dwustumetrowej wysokości paprocie gięły się ku ziemi pod naporem bezlitosnego wiatru. Czarny jak heban statek konsula uniósł się na błękitnej kolumnie plazmowego ognia i przebił warstwę gęstych chmur, pędząc ku otwartej przestrzeni i czekającemu go spotkaniu.

ROZDZIAŁ 1

Konsul obudził się z bólem głowy, suchym gardłem i dziwnym uczuciem, że wyleciało mu z pamięci tysiąc snów, jakie śnił się tylko ludziom pogrążonym w hibernacyjnym odrętwieniu. Zamrugał gwałtownie, usiadł na posłaniu i półprzytomnie oderwał ostatnie taśmy sensoryczne, wciąż jeszcze przyklepione do jego skóry. W owalnym, pozbawionym okien pomieszczeniu znajdowały się oprócz niego dwa małe klony załogowe oraz bardzo wysoki templariusz w kapturze nasuniętym na głowę. Jeden z klonów podał mu tradycyjną szklanę soku pomarańczowego; konsul przyjął ją z wdzięcznością i opróżnił trzema łykami.

- Drzewo jest dwie minuty świetlne i pięć godzin lotu podprzestrzennego od Hyperiona - powiedział templariusz. Konsul dopiero teraz rozpoznał w nim Heta Masteena, kapitana drzewostatku, Prawdziwy Głos Drzewa. Niejasno zdawał sobie sprawę, że dostąpił nie lada zaszczytu, ale był jeszcze zanedo oszołomiony po kriogenicznym śnie, aby go w pełni docenić.

- Inni obudzili się już kilka godzin temu - poinformował go Het Masteen, po czym dał znak klonom, aby zostawiły ich samych. - Czekaają na przedniej platformie jadalnej.

- Ghrrr... - wycharczał konsul. Przełknął ślinę, odchrząknął i spróbował jeszcze raz: - Dziękuję ci, Hecie Masteen.

Rozglądając się po przypominającym kształtem jajo pomieszczeniu o podłodze pokrytej dywanem z gęstej trawy, przezroczystych ścianach i konstrukcji nośnej z odpowiednio uformowanej włókniny, zorientował się, że przebywa w jednym z najmniejszych straków mieszkalnych. Zamknąwszy oczy skupił się, aby przypomnieć sobie spotkanie ze statkiem templariuszy, które nastąpiło na krótko przed wejściem drzewostatku "Yggdrasill" w nadprzestrzeń.

Detale mierzącego ponad kilometr długości drzewostatku nie były zbyt dobrze widoczne z powodu otaczających go pól siłowych, dostrzegalnych jako ledwo uchwytnie, ale bardzo utrudniające obserwację mżenie, lecz i tak tym, co przede wszystkim rzucało się w oczy, były tysiące światel rozlokowanych w półprzezroczystych strakach mieszkalnych oraz na niezliczonych platformach, kładkach, mostkach, schodach i przybudówkach. U podstawy statku, niczym nadmiernie wyrosnięte orzeszki galasowe, skupiły się kuliste ładownie i

pomieszczenia techniczne, z tyłu natomiast ciągnęły się błękitne i fioletowe smugi, przypominające korzenie wielokilometrowej długości.

- Inni już czekają - powiedział łagodnie Het Masteen i wskazał ruchem głowy leżący nie opodal bagaż, który czekał na polecenie właściciela, aby się otworzyć. Następnie templariusz zajął się uważną obserwacją ścian strąka, konsul zaś w tym czasie wkładał półuroczysty strój, składający się z luźnych czarnych spodni, błyszczących pantofli, białej jedwabnej koszuli z topazową szpilką w kołnierzyku, czarnej bluzy ze szkarłatnymi epoletami Hegemonii oraz ciemnożółtego trójgraniastego kapelusza. Część wygiętej ściany zamieniła się w lustro; konsul ujrzał mężczyznę w zaawansowanym wieku średnim, ubranego w skromny, lecz elegancki strój wieczorowy, opalonego, choć dziwnie bladego w okolicy smutnych oczu. Zmarszczył brwi, skinął głową, po czym odwrócił się od lustra.

Het Masteen dał znak ręką i poprowadził go przez szczelinę w strąku na schody, wijące się spiralnie wokół potężnego, pokrytego grubą korą pnia drzewa. Konsul przystanął, cofnął się o krok i spojrzał w dół: co najmniej sześćset metrów, wcale nie mniej groźne przy sztucznym ciężeniu o wartości 1/6 g, wytwarzanym przez anomalie grawitacyjne uwięzione w polach siłowych u podstawy drzewa. I żadnych poręczy.

W milczeniu rozpoczęli wspinaczkę. Dobiegła końca po zaledwie trzydziestu metrach, gdy przeszli po chybottliwym wiszącym mostku na gałąź mniej więcej pięciometrowej szerokości.

- Czy mój statek został już wyprowadzony z ładowni? - zapytał konsul, kiedy dotarli do miejsca, w którym blask pobliskiego słońca padał na gęste skupisko liści.

- Stoi w kuli numer 11, zatankowany i gotów do startu - odparł Het Masteen. Znaleźli się w cieniu pnia, dzięki czemu w czerni widocznej gdzieś między liśćmi pojawiły się gwiazdy. - Pozostali pielgrzymi ustalili, że polecą twoim statkiem, naturalnie jeśli Armia wyrazi na to zgodę - dodał templariusz.

Konsul potarł oczy, żałując, że nie dano mu więcej czasu na przyjście do siebie po okresie spędzonym w lodowym uścisku hibernacji.

- Kontaktowaliście się z grupą uderzeniową?

- O tak. Zlokalizowali nas w chwilę po tym, jak wyszliśmy z nadprzestrzeni. Eskortuje nas jeden z okrętów bojowych Hegemonii. - Het Masteen wskazał ruchem głowy skrawek czerni nad ich głowami.

Konsul spojrzał w górę, ale właśnie w tej chwili wierzchołki gałęzi wydostały się

z cienia i rozbłysły jaskrawym blaskiem słońca. Ponieważ pozostające jeszcze w cieniu konary były oświetlone poświatą emanującą z żaroptaków, wiszących nad pomostami i schodami niczym japońskie lampiony, a ziemskie robaczki świętojańskie i maleńkie pajęczki z Maui pognały jak szalone ku mocniejszemu światłu, w sumie dało to taką feerię nieruchomych i poruszających się światełek, że nie połapałyby się w tym nawet najbardziej obyty z kosmosem podróżny.

Het Masteen wszedł do windy składającej się z plecionego kosza i liny z włókna grafitowego nikielowej gdzieś hen, wysoko, w rejonie oddalonego o trzysta metrów wierzchołka drzewa. Konsul uczynił to samo i kosz bezszelestnie ruszył w górę. Mijane pomosty, strąki i schody były prawie zupełnie puste, jeśli nie liczyć kilku templariuszy oraz ich niedużych klonów załogowych. Konsul nie mógł sobie przypomnieć, żeby w ciągu wypełnionej gorączkową aktywnością godziny, jaka upłynęła od jego spotkania z drzewostatkami, do chwili kiedy pogrążył się w kriogenicznym śnie, zauważył jakiegoś pasażera, ale wówczas przypisał to ogromowi statku; w dodatku przypuszczał, iż wszyscy leżą już w swoich strąkach. Teraz jednak, kiedy drzewostatek poruszał się z prędkością znacznie mniejszą od prędkości światła, spodziewał się ujrzeć na jego gałęziach tłumy wybałuszających oczy podróżnych. Powiedział o tym towarzyszącemu mu templariuszowi.

- Jesteście jedynymi pasażerami na statku - odparł Het Masteen. Kosz zatrzymał się w gęstwinie liści i kapitan ruszył w górę drewnianymi, bez wątpienia bardzo już sędziwymi schodami.

Konsul zamrugnął ze zdziwieniem. Drzewostatek templariuszy zabierał zazwyczaj od dwóch do pięciu tysięcy pasażerów, oferując bodaj najprzyjemniejszy sposób podróży. Drzewostatki bardzo rzadko wpadały w dług czasowy przekraczający cztery lub pięć miesięcy, gdyż wykonywały krótkie przeskoki między leżącymi blisko siebie gwiazdami. Dzięki temu ich zamożni pasażerowie prawie wcale nie musieli poddawać się hibernacji. Podróż na Hyperiona i z powrotem, dająca w sumie sześćdziesięcioletni dług czasowy, w dodatku bez pasażerów, oznaczała dla templariuszy kolosalne straty finansowe.

Dopiero po chwili konsul uświadomił sobie, iż drzewostatek znakomicie nadaje się do przeprowadzenia ewakuacji, a wszelkie wydatki z pewnością zostaną pokryte przez Hegemonię. Mimo to zdziwienie musiał budzić fakt, że Bractwo zdecydowało się na tak wielkie ryzyko i wysłało "Yggdrasill" - jeden z zaledwie pięciu takich statków we wszechświecie - w rejon zagrożony wybuchem działań wojennych.

- Oto twoi towarzysze podróży - oznajmił Het Masteen, kiedy wyszli na obszerną platformę, gdzie przy długim drewnianym stole czekała na nich niewielka grupka. W górze świeciły gwiazdy, obracając się od czasu do czasu, kiedy wielki statek korygował nieznacznie kurs, z boków natomiast otaczały ich ściany utworzone z gęstej roślinności. Konsul natychmiast zorientował się, iż jest to pomost jadalny kapitana, a jego przypuszczenia potwierdził fakt, że Het Masteen podszedł do stołu i zajął miejsce u jego szczytu. Zebrani wstali, aby go przywitać, konsul zaś zobaczył, że czeka na niego fotel po lewej ręce dowódcy statku.

Kiedy wszyscy usiedli i uciszyli się, Het Masteen zaczął przedstawiać zebranych. Choć konsul nikogo z nich nie znał osobiście, to kilka nazwisk obilo mu się już wcześniej o uszy. Starał się wykorzystać wieloletnie doświadczenie zdobyte w dyplomacji, łącząc nazwiska z osobami i zapamiętując pierwsze skojarzenia.

Po jego lewej stronie siedział ojciec Lenar Hoyt, kapłan starochrześcijańskiej sekty, której wyznawców zwano katolikami. Konsul, lekko zdezorientowany, przez chwilę przyglądał się czarnemu strojowi i koloratce, ale potem przypomniał sobie Szpital Świętego Franciszka na Hebronie, gdzie prawie czterdzieści lat standardowych temu przeszedł odwykową terapię po swojej pierwszej misji dyplomatycznej, która omal nie zakończyła się całkowitą klęską. Nazwisko Hoyta wywołało skojarzenia z innym księdzem, który zaginął bez śladu na Hyperionie, w czasie kiedy konsul przebywał na tej planecie.

Lenar Hoyt był młodym człowiekiem - na pewno nie miał więcej niż trzydzieści kilka lat - ale wyglądał na kogoś, kto ogromnie się postarzał w związku z całkiem niedawnymi przeżyciami. Konsul spoglądał na szczupłą twarz, wystające kości policzkowe obciążone cienką skórą, wielkie, głęboko osadzone oczy, wąskie usta, ciągle wygięte do dołu w grymasie zbyt ponurym, aby można było nazwać go cynicznym uśmiechem, włosy mocno przerzedzone nie tyle z powodu wieku, co raczej silnego promieniowania, i czuł, że patrzy na człowieka od lat toczonego przez ciężką chorobę. Mimo to ze zdziwieniem stwierdził, że za maską skrywanego bólu pozostały jeszcze resztki dawnej, chłopięcej urody: okrągłej twarzy, zdrowej cery i pełniejszych warg, należących do młodszego, zdrowszego i mniej cynicznego Lenara Hoyta.

Obok kapłana siedział człowiek, którego podobiznę kilka lat temu oglądał niemal każdy mieszkaniec Hegemonii. Ciekawe, czy teraz opinia publiczna zmienia obiekty zainteresowania równie często jak wtedy, kiedy mieszkałem w Sieci, pomyślał konsul. Chyba tak, a może nawet częściej. Jeśli sprawy miały się właśnie w ten

sposób, to pułkownik Fedmahn Kassad, tak zwany Rzeźnik z Południowej Bressii, nie był już ani bohaterem, ani pariasem. Jednak dla pokolenia konsula, a także dla wszystkich, którzy żyli w wolniejszym tempie na odległych, prowincjonalnych planetach, Kassad należał do ludzi, których łatwo się nie zapomina.

Pułkownik Fedmahn Kassad był bardzo wysoki - tak wysoki, że mógł prawie spojrzeć prosto w oczy dwumetrowemu Masteenowi - i miał na sobie czarny mundur Armii, pozbawiony jednak wszelkich dystynkcji oraz symboli świadczących o przynależności służbowej. Jego strój przypominał ubranie Hoyta, lecz na tym kończyły się podobieństwa między dwoma mężczyznami. W przeciwieństwie do księdza, Kassad był opalony, szczupły i ponad wszelką wątpliwość znajdował się w znakomitej kondycji fizycznej. Pod materiałem munduru na barkach i ramionach wyraźnie odznaczały się mięśnie. Pułkownik miał małe czarne oczy, przypominające szerokokątne obiektywy prostych kamer wideo, jego twarz zaś o ostrych, zdecydowanych rysach zdawała się wyciosana z zimnego kamienia. Wąska linia zarostu na brodzie podkreślała tę ostrość równie bezwzględnie, jak krew na ostrzu noża.

Powolne, przemyślane ruchy pułkownika przywiodły konsulowi na myśl pochodzącego z Ziemi jaguara, którego przed wieloma laty widział w prywatnym zoo na Lususie. Kassad mówił niezbyt głośno, ale nawet jego milczenie miało swoją wagę.

Większa część długiego stołu była pusta, gdyż cała grupka skupiła się przy jednym jego końcu. Naprzeciwko Kassada siedział człowiek, który został przedstawiony jako Martin Silenus, poeta.

Silenus stanowił dokładne przeciwieństwo pułkownika. Kassad był wysoki i szczupły, Martin Silenus natomiast niski i otyły, a jego okrągła twarz dorównywała zdolnością ekspresji twarzom wielkich człekokształtnych małp. Miał donośny, chrapliwy głos i, zdaniem konsula, było coś przyjemnie demonicznego w jego rumianych policzkach, szerokich ustach, krzaczastych brwiach, sterczących uszach i wiecznie poruszających się rękach o palcach, jakich nie powstydzilby się nawet koncertujący pianista. Albo dusiciel. Srebrzyste włosy poety, przycięte niezbyt równo nad czołem, tworzyły niesforną grzywkę.

Martin Silenus na pierwszy rzut oka wyglądał tak, jakby zbliżał się do sześćdziesiątki, ale konsul bez trudu dostrzegł wiele mówiące błękitne przebarwienia skóry na szyi i dłoniach. Świadczyły o tym, że poeta ma za sobą co najmniej kilka zabiegów Poulsena, tak więc w rzeczywistości Silenus mógł sobie liczyć od

dziewięćdziesięciu do stu pięćdziesięciu lat standardowych. Jeżeli bliższa prawdzie była druga liczba, to istniały spore szanse, że poeta jest już zupełnie szalony.

O ile Martin Silenus sprawiał wrażenie człowieka hałaśliwego i niespokojnego, to jego sąsiad roztaczał wokół siebie aurę inteligentnej powściągliwości. Sol Weintraub poniósł głowę, kiedy padło jego nazwisko, a wówczas konsul ujrzał krótką siwą brodę, pokryte zmarszczkami czoło oraz błyszczące, lecz smutne oczy znanego uczonego. Konsul słyszał już opowieści o Żydzie Wiecznym Tułaczem i jego beznadziejnych poszukiwaniach, niemniej jednak był wstrząśnięty widokiem śpiącej w ramionach Weintrauba jego córki Racheli. Dziecko mogło mieć najwyżej kilka tygodni. Konsul pośpiesznie odwrócił wzrok.

Szóstym pielgrzymem, a jednocześnie jedyną kobietą przy stole, była Brawne Lamia, detektyw. Zmierzyła konsula tak uważnym spojrzeniem, że czuł je na sobie jeszcze długo po tym, jak przestała się nim interesować i odwróciła głowę.

Urodzona na planecie Lusus, gdzie ciążenie wynosi 1,3 g, Brawne Lamia zaledwie dorównywała wzrostem poecie siedzącemu dwa miejsca od niej, ale nawet luźny sztruksowy kombinezon nie był w stanie ukryć jej potężnych mięśni. Czarne kręcone włosy sięgały do ramion, brwi przypominały dwie czarne kreski namalowane grubym pędzlem na szerokim czole, nos, duży i ostry, podkreślał orli charakter twarzy. Pełne, szerokie usta wydawały się niemal zmysłowe, a ich kąciaki przez cały czas były skierowane lekko ku górze, co dawało wrażenie okrutnego, a może tylko rozbawionego uśmiechu. Ciemne oczy kobiety zdawały się rzucać wyzwanie każdemu, na kogo padło ich spojrzenie.

Konsulowi przyszło nagle do głowy, że Brawne Lamia jest prawie piękna.

Po zakończeniu prezentacji odchrząknął i zwrócił się do templariusza:

- Hecie Masteen, z twoich słów wynikało, że na pokładzie statku powinno znajdować się siedmiu pielgrzymów. Czy siódmym jest dziecko M. Weintrauba?

Kaptur templariusza poruszył się z wolna z lewa na prawo i z powrotem.

- Nie. Pielgrzymem może zostać tylko ten, kto świadomie podejmie decyzję o wyruszeniu na poszukiwanie Chyżwara.

Wśród zebranych powstało lekkie poruszenie. Wszyscy wiedzieli, że jedynie grupa, składająca się z ilości pielgrzymów wyrażonej liczbą pierwszą, ma szansę uzyskać zgodę Kościoła Chyżwara, aby wyruszyć na północ.

- Ja jestem siódmym pielgrzymem - oznajmił Het Masteen, kapitan drzewostatku templariuszy "Yggdrasil" i Prawdziwy Głos Drzewa. W ciszy, jaka

zapadła po jego oświadczeniu, Het Masteen dał znak grupie klonów, aby przystąpiły do podawania ostatniego posiłku, jaki podróżni mieli spożyć przed lądowaniem na planecie.

- A więc Intruzi nie dotarli jeszcze do układu? - zapytała Brawne Lamia. Miała chropawy, gardłowy głos, którego brzmienie dziwnie niepokoiło konsula.

- Nie - odparł Het Masteen. - Wątpię jednak, czy wyprzedzamy ich o więcej niż kilka dni standardowych. Nasze przyrządy wykryły zakłócenia w mgławicy 09 rt.

- Czy dojdzie do wojny? - zapytał ojciec Hoyt. Jego głos wydawał się równie zmęczony jak wyraz jego twarzy. Ponieważ nikt nie kwapił się z udzieleniem odpowiedzi, ksiądz zwrócił głowę w kierunku konsula, jakby dając mu z opóźnieniem do zrozumienia, że pytanie zostało skierowane wyłącznie pod jego adresem.

Konsul westchnął głęboko; żałował, że klony zamiast wina nie podały whisky.

- Kto wie, co zrobią Intruzi? Wydaje się, że ich postępowaniem przestała rządzić ludzka logika.

Martin Silenus wybuchnął donośnym śmiechem i wykonał gwałtowny gest ręką, rozlewając znaczną część zawartości kielicha.

- Tak jakbyśmy my, pieprzeni ludzie, kiedykolwiek kierowali się ludzką logiką!

Pociągnął spory łyk, otarł usta wierzchem dłoni i ponownie parsknął śmiechem.

Brawne Lamia zmarszczyła brwi.

- Jeżeli walki rozpoczną się zbyt szybko, władze mogą nie zezwolić nam na lądowanie.

- Dostaniemy pozwolenie - zapewnił ją Het Masteen. Promienie słońca znalazły drogę między fałdami kaptura i padły na żółtawą skórę.

- Ocaleni przed pewną śmiercią na wojnie tylko po to, żeby ponieść ją z rąk Chyżwara... - mruknął Hoyt.

- Nie ma śmierci we wszechświecie! - ryknął Martin Silenus głosem, który mógłby obudzić nawet kogoś pogrążonego w kriogenicznym śnie, a następnie wysączył resztki wina i wznosił pusty kielich ku gwiazdom.

Nie ma śmierci w wszechświecie. Nigdzie nie odczujesz
Żadnej woni śmiertelnej - a śmierć przyjsć powinna.
Zapłacz, zapłacz, o, zapłacz, Cybelo! Twe dzieci
Okrutne, w deszcz beziły przemieniły boga.
Płaczcie, bracia, o płaczcie! Nie mam żadnej mocy,
Słaby jak trzcina, słaby, słaby jak mój głos.

O, o ból, ten straszliwy ból słabości! Płaczcie,
Bo ciągle się rozpadam...

Silenus umilkł nagle, dolał sobie wina, po czym czknął głośno w ciszy, która zapadła po jego wystąpieniu. Pozostała szóstka spojrzała po sobie. Konsul zauważył, że Sol Weintraub uśmiechał się lekko, aż do chwili kiedy dziecko poruszyło się, skupiając na sobie całą jego uwagę.

- Cóż... - powiedział z wahaniem ojciec Hoyt, tak jakby usiłował nawiązać do przerwanej myśli. - Nawet jeżeli siły Hegemonii opuszczą układ i Hyperion dostanie się pod władanie Intruzów, może okupacja będzie bezkrwawa i nowi władcy pozwolą nam zajmować się naszymi sprawami...

Fedmahn Kassad roześmiał się cicho.

- Intruzów nie interesuje okupacja - powiedział. - Jeśli zdobędą planetę, najpierw złupią ją do szczętu, a potem zabiorą się do tego, co najlepiej potrafią: spalą miasta, tak że pozostaną same zgliszcza, te porozwalają na drobne kawałki, następnie zaś spopiela każdy z nich. Stopią lodowe czapy na biegunach, wygotują oceany, a na koniec zasypią kontynenty solą, jaka zostanie po odparowaniu wody, żeby już nigdy nic na nich nie wyrosło.

- Cóż... - szepnął Hoyt i umilkł.

Pielgrzymi przyglądali się w milczeniu, jak klony sprzątaję talerze po zupie i wnoszą drugie danie.

- Powiedziałeś, że eskortuje nas bojowy okręt Hegemonii - zwrócił się konsul do Heta Masteena, kiedy uporali się już z befsztykami i gotowaną skrzydlatą ośmiornicą.

Templariusz skinął głową i wskazał w górę. Konsul wyteżył wzrok, lecz niczego nie mógł dostrzec na tle obracającego się nieba.

- Proszę.

Fedmahn Kassad podał mu nad głowę Hoyta silną wojskową lornetkę.

Konsul skinął z wdzięcznością głową, włączył zasilanie i skierował urządzenie w kierunku wskazanym przez Heta Masteena. Żyroskopowe kryształy zamruczały cichutko, stabilizując obraz, po czym zaczęły metodycznie przeszukiwać obszar znajdujący się w polu widzenia. Nagle obraz zafalował, by po chwili ponownie znieruchomieć, tyle że już wielokrotnie powiększony.

Kiedy okręt Hegemonii wypełnił sobą wizjer, konsul bezwiednie aż wstrzymał

oddech. Nie był to ani smukły jednoosobowy patrolowiec, ani nawet pękaty liniowiec, tylko czarny jak noc krążownik. Wywierał oszałamiające wrażenie - takie, jakie przez minione stulecia potrafiły wywierać jedynie okręty bojowe. Z czterema ramionami najeżonymi uzbrojeniem, sześćdziesięciometrowym, cienkim jak igła kadłubem, dyszami silników jądrowych i okrągłym zwierciadłem napędu Hawkinga, pozornie sprawiał wrażenie niestosownie delikatnego i podatnego na uszkodzenia.

Konsul bez słowa oddał lornetkę Kassadowi. Jeżeli flota uderzeniowa przeznaczyla w pełni uzbrojony krążownik do eskortowania "Yggdrasil", to jak wielką siłę szykowała na spotkanie Intruzów?

- Kiedy lądujemy? - zapytała Brawne Lamia. Za pomocą swojego komlogu połączyła się z datasferą statku i sprawiała wrażenie lekko sfrustrowanej tym, czego się dowiedziała. Albo czego się n i e dowiedziała.

- Za cztery godziny wejdziemy na orbitę - poinformował ją Het Masteen. - Kilka minut później będziemy już na dole. Nasz przyjaciel konsul zgodził się zawieźć nas tam swoim prywatnym statkiem.

- Do Keats? - zapytał Sol Weintraub. Odezwał się po raz pierwszy od chwili, kiedy zaczęto podawać obiad.

Konsul skinął głową.

- To jedyny port kosmiczny na Hyperionie przystosowany do obsługi jednostek osobowych - powiedział.

- Port kosmiczny? - Ojciec Hoyt wydawał się mocno podenerwowany. - Myślałem, że udamy się prosto na północ, do królestwa Chyżwara.

Het Masteen cierpliwie pokręcił głową.

- Pielgrzymki zawsze wyruszają ze stolicy - wyjaśnił. - Dotarcie do Grobowców Czasu zajmie nam wiele dni.

- Wiele dni?! - parsknęła Brawne Lamia. - Przecież to nonsens!

- Całkiem możliwe - zgodził się Het Masteen. - Jednak sprawy mają się właśnie w taki sposób.

Ojciec Hoyt wyglądał tak, jakby już odczuwał skutki niestrawności po posiłku, mimo że prawie nie tknął jedzenia.

- Czy nie moglibyśmy przynajmniej tym razem odstąpić od obowiązujących reguł? - zapytał. - W obliczu zbliżającej się wojny, i w ogóle... Wylądowalibyśmy przy Grobowcach Czasu albo gdzieś w pobliżu i szybko uwinęli się ze wszystkim.

Konsul potrząsnął głową.

- Od prawie czterystu lat statki kosmiczne i powietrzne próbują dotrzeć na północ - powiedział. - Nie słyszałem, żeby któremuś się to udało.

- Czy można? - zapytał uprzejmie Martin Silenus, podnosząc rękę jak uczeń. - A co się z nimi stało, do kurwy nędzy?

Ojciec Hoyt zmarszczył brwi, Fedmahn Kassad uśmiechnął się lekko, a Sol Weintraub odparł:

- Konsul bynajmniej nie chciał przez to powiedzieć, że tereny te są w ogóle niedostępne. Można tam dotrzeć drogą wodną lub jednym z wielu szlaków lądowych. Wszystkie maszyny latające bez trudu lądują obok Grobowców Czasu, po czym wracają tam, gdzie kierują je komputery pokładowe. Tyle że po pilotach i pasażerach nie pozostaje nawet najmniejszy ślad.

Weintraub ułożył śpiące dziecko w nosidełku, które miał zawieszane na szyi.

- Tak mówi legenda - mruknęła Brawne Lamia. - A co można wyczytać z komputerów?

- Nic - odparł konsul. - Żadnej przemocy. Żadnej próby sforsowania systemów zabezpieczających. Żadnych odchyłeń od kursu. Żadnych nie wyjaśnionych luk czasowych. Żadnych podejrzanych zjawisk fizycznych.

- I żadnych pasażerów - dodał Het Masteen.

Konsul odwrócił się powoli i spojrzał na niego uważnie. Jeśli to, co usłyszał przed chwilą, miało być żartem, byłby to pierwszy przypadek, kiedy któryś z templariuszy wykazał choćby śladowe poczucie humoru. Jednak niewzruszone, lekko orientalne rysy twarzy ukrytej częściowo pod obszernym kapturem świadczyły o tym, że uwaga została wypowiedziana całkiem poważnie.

- Wspaniały melodramat! - roześmiał się Silenus. - Najprawdziwsze w świecie, zakazane Morze Sargassowe Zagubionych Duszynek, a my ładujemy się prosto w jego środek. A tak w ogóle, to kto wpadł na ten gówniany pomysł?

- Zamknij się! - warknęła Lamia. - Jesteś zupełnie pijany, stary rupieciu!

Konsul westchnął ukradkiem. Byli razem niecałą godzinę.

Klony sprzątnęły talerze i postawiły na stole deser składający się z sorbetu, kawy, owoców drzewostatku, tortów oraz gorącej czekolady z planety Renesans. Martin Silenus machnął z obrzydzeniem ręką i zażądał jeszcze jednej butelki wina, a konsul po krótkim namyśle poprosił o whisky.

- Wydaje mi się - powiedział Sol Weintraub, kiedy kończyli deser - że nasze

szanse na przeżycie będą w znacznym stopniu uzależnione od tego, czy będziemy ze sobą rozmawiać.

- Co masz na myśli? - zapytała Brawne Lamia.

Weintraub odruchowo kołysał dziecko śpiące na jego piersi.

- Na przykład to, czy ktoś z nas wie, dlaczego akurat on został wyznaczony przez Kościół Chyżwara i WszechJedność do wzięcia udziału w tej wyprawie?

Nikt się nie odezwał.

- Tak właśnie przypuszczałem - mruknął Weintraub. - Idźmy więc dalej. Czy znajdzie się tu choć jeden członek albo sympatyk Kościoła Chyżwara? Jeżeli o mnie chodzi, to jestem Żydem, i choć moje przekonania religijne przechodzą obecnie dość gwałtowną metamorfozę, to z całą pewnością nie modłę się do organicznej maszyny służącej wyłącznie do zabijania.

Weintraub uniósł brwi i spojrzał pytająco na zgromadzonych przy stole.

- Jestem Prawdziwym Głosem Drzewa - odezwał się Het Masteen. - Co prawda wielu templariuszy uważa Chyżwara za awatarę zesłaną jako kara dla tych, którzy nie czerpią soków z korzenia, jednak moim zdaniem jest to herezja nie znajdująca uzasadnienia ani w Księdze, ani w pismach Muir.

Siedzący po lewej stronie kapitana konsul wzruszył ramionami.

- Jestem ateistą - powiedział, spoglądając pod światło na szklanę ze złocistym trunkiem. - Nigdy nie miałem do czynienia z kultem Chyżwara.

Ojciec Hoyt uśmiechnął się bez śladu wesołości.

- Zostałem wyświęcony przez Kościół katolicki. Kult Chyżwara występuje przeciwko wszystkiemu, czego broni moja wiara.

Pułkownik Kassad tylko pokręcił głową. Nie było zbyt jasne, czy miało to oznaczać, że nie chce zabierać głosu, czy też że nie należy do Kościoła Chyżwara.

Martin Silenus rozłożył szeroko ramiona.

- Ochrzczono mnie jako luteranina - wyznał. - Ta sekta już nie istnieje. Zanim przyszli na świat wasi rodzice, pomogłem stworzyć gnostycyzm zen. Byłem też katolikiem, rewelacjonistą, neomarksistą, Zrywaczem Więzi, satanistą, biskupem w Kościele Jake'a Nady'ego, a także pełnoprawnym członkiem Instytutu Niechybnej Reinkarnacji. Teraz jestem prostym poganinem, co stwierdzam z wielką i niekłamaną radością. - Uśmiechnął się do wszystkich, po czym dodał: - Dla poganina Chyżwar jest bóstwem najłatwiejszym do zaakceptowania.

- Nie zawracam sobie głowy religią i nigdy nie uległam żadnej z nich -

oświadczyła Brawne Lamia.

- Chyba wiecie już, czego chciałem dowieść - zabrał ponownie głos Sol Weintraub. - Nikt z nas nie przyznaje się do wiary w dogmaty Chyżwara, a mimo to zwierzchnicy tego Kościoła wybrali właśnie nas, ignorując miliony wiernych błagających o umożliwienie odwiedzenia Grobowców Czasu... I wysłali na pielgrzymkę, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie ostatnią tego rodzaju.

Konsul potrząsnął głową.

- Istotnie, wiem, czego chciałeś dowieść, M. Weintraub, ale nadal nie rozumiem, co to miałyby oznaczać.

Uczony bezwiednie pogładził brodę.

- Należy wobec tego przypuszczać, iż każdy z nas ma tak ważny powód, dla którego powinien wrócić na Hyperiona, że nawet władze Kościoła Chyżwara oraz mózgi rządzące Hegemonią musiały uznać nasze racje. Część z tych powodów - na przykład mój - jest powszechnie znana, choć jestem przekonany, iż o wszystkich szczegółach wiedzą jedynie osoby zgromadzone przy tym stole. Proponuję, aby w ciągu najbliższych kilku dni każdy z nas opowiedział swoją historię.

- Po co? - zapytał pułkownik Kassad. - Nie ma takiej potrzeby.

Weintraub uśmiechnął się.

- Wręcz przeciwnie, taka potrzeba istnieje. Weźmy pod uwagę, że dzięki temu możemy zyskać nieco rozrywki oraz poznać się trochę lepiej, zanim Chyżwar lub jakieś inne nieszczęście zmusi nas do zajęcia się zupełnie innymi sprawami. Poza tym, kto wie, czy przy okazji nie dowiemy się czegoś, co pozwoli nam ujść z życiem, naturalnie jeżeli okażemy się wystarczająco inteligentni, aby znaleźć wątek łączący wszystkie nasze opowieści.

Martin Silenus roześmiał się głośno, zamknął oczy i zadeklamował:

Te Niewiniątka na grzbietach delfinów
Płetwami podtrzymywane,
Na śmierć powtórna czekając, płyną,
Otwarte znów ich rany.

- To Lenista, prawda? - zapytał Lenar Hoyt. - Uczyłem się o niej w seminarium.

- Blisko - odparł poeta. Otworzył oczy i dolał sobie wina. - To Yeats. Cwaniak urodził się pięćset lat przed tym, jak Lenista po raz pierwszy pociągnęła za metalowy cycek swojej matki.

- Co za sens ma opowiadanie sobie nawzajem historyjek? - odezwała się Lamia.

- Kiedy spotkamy Chyżwara, opowiemy jemu wszystko, co chcemy. Wtedy on spełni życzenie jednego z nas, a reszta zginie. Zgadza się?

- Tak mówi legenda - odparł Weintraub.

- Chyżwar nie jest legendą - zwrócił mu uwagę Kassad. - Ani jego stalowe drzewo.

- W takim razie po co zanudzać się jakimiś opowiastkami? - zapytała Brawne Lamia, nakładając sobie jeszcze jeden kawałek tortu.

Weintraub delikatnie dotknął główki śpiącego dziecka.

- Żyjemy w niezwykłych czasach - powiedział. - Tylko dlatego, że należymy do tej dziesiątej części jednej dziesiątej procenta obywateli Hegemonii, którzy zamiast wzdłuż połączeń Sieci podróżują między gwiazdami, dzielimy wspólną terażniejszość, różnimy się natomiast przeszłością. Ja na przykład mam sześćdziesiąt osiem lat standardowych, ale gdyby dołożyć do tego dług czasowy, jaki narósł podczas moich podróży, owe sześćdziesiąt osiem lat urosłoby do całego stulecia.

- I co z tego? - zapytała siedząca obok niego kobieta.

Weintraub rozłożył ręce, jakby chciał objąć wszystkich zgromadzonych przy stole.

- Reprezentujemy wysepki czasu oraz całkowicie różne oceany doświadczeń. Ujmując rzecz nieco inaczej: każdy z nas może, nic o tym nie wiedząc, być właścicielem fragmentu łamigłówki, którą ludzkość bez powodzenia próbuje rozwiązać, od chwili kiedy pierwszy człowiek postawił stopę na powierzchni Hyperiona. - Uczony podrapał się po nosie. - Jest to bez wątpienia tajemnica, a mnie intrygują wszelkie tajemnice i wcale nie chcę tego zmienić, nawet gdyby już za tydzień przeszła mi na zawsze ochota do ich rozwiązywania. Przyznaję, iż chętnie bym cokolwiek zrozumiał, ale skoro to niemożliwe, wystarczy mi samo rozwiązywanie łamigłówki.

- Zgadzam się - powiedział Het Masteen doskonale obojętnym tonem. - Wcześniej nie przyszło mi to do głowy, ale teraz widzę, że każdy z nas powinien opowiedzieć swoją historię, zanim wszyscy staniemy twarzą w twarz z Chyżwarem.

- A co może powstrzymać nas przed mówieniem nieprawdy? - zapytała Brawne Lamia.

- Nic - odparł z szerokim uśmiechem Martin Silenus. - I to jest właśnie najwspanialsze.

- Wydaje mi się, że powinniśmy głosować - odezwał się konsul. Jego myśli uporczywie wracały do ostrzeżenia Meiny Gladstone, według której wśród siedmiu

pielgrzymów znajdował się agent Intruzów. Może w ten sposób udałoby się go zdemaskować? Konsul uśmiechnął się do siebie; szpieg na pewno nie jest aż taki głupi.

- Kto zdecydował, że tworzymy szczęśliwe, demokratyczne społeczeństwo? - zapytał oschłym tonem pułkownik Kassad.

- Byłoby dobrze, gdybyśmy je stworzyli - odparł konsul. - Żeby każdy z nas mógł osiągnąć swój indywidualny cel, najpierw musimy jako grupa dotrzeć do terenów, na których pojawia się Chyżwar, a to wymaga wypracowania jakiejś metody podejmowania decyzji.

- Moglibyśmy wybrać przywódcę - zauważył Kassad.

- Gówniany pomysł - oznajmił uprzejmie poeta, a pozostali pokręcili głowami.

- A więc głosujemy - stwierdził konsul. - Nasza pierwsza decyzja dotyczy propozycji M. Weintrauba, aby każdy z nas opowiedział, co łączyło go lub łączy z Hyperionem.

- Wszystko albo nic - uzupełnił Het Masteen. - Zrobimy to wszyscy albo nie zrobi tego nikt. Zobowiązujemy się podporządkować woli większości.

- Zgoda. - Konsul poczuł nagle, że ogromnie chce usłyszeć opowieści pozostałych pielgrzymów, a jednocześnie nabrał graniczącego z pewnością przekonania, że nie zdobędzie się na opowiedzenie swojej historii. - Kto jest za?

- Ja - powiedział Sol Weintraub.

- I ja - zawtórował mu Het Masteen.

- Ze wszech miar! - zagrzmiął Martin Silenus. - Nie zamieniłbym tej farsy nawet na miesiąc kąpieli w orgazmowych źródłach na Shote.

- Ja też jestem za - stwierdził konsul ku własnemu zdziwieniu. - A kto przeciw?

- Ja - odezwał się ojciec Hoyt, lecz w jego głosie nie było ani cienia energii.

- Moim zdaniem to głupota - powiedziała Lamia.

Konsul spojrzał na Kassada.

- Pułkowniku?

Fedmahn Kassad wzruszył ramionami.

- Ogłaszam wyniki - powiedział konsul. - Cztery głosy za, dwa przeciw, jeden uczestnik się wstrzymał. Kto chce być pierwszy?

Przy stole zapadła cisza. Przerwał ją Martin Silenus; podniósł głowę znad kartki papieru, na której coś pisał, odłożył pióro i podarł kartkę na kilka wąskich pasków.

- Napisałem tu cyfry od jedynki do siódemki. Może wylosujemy kolejność?

- Dziecinada! - parsknęła M. Lamia.

- Nigdy nie twierdziłem, że nie jestem dziecinny - odparł poeta, obdarzając ją uśmiechem godnym satyra. - Ambasadorze - zwrócił się do konsula - czy pożyczysz mi pan tę złotą poduszkę, którą ma pan na głowie?

Konsul wręczył mu swój trójgraniasty kapelusz. Kartki trafiły do środka, po czym kapelusz ruszył w obieg. Sol Weintraub ciągnął jako pierwszy, Martin Silenus - ostatni.

Konsul rozwinął swój skrawek papieru, tak aby nikt inny go nie widział. Wylosował numer 7. Napięcie opuściło go niczym powietrze uciekające z pękniętego balonu. Było całkiem możliwe, że bieg wydarzeń uniemożliwi mu opowiedzenie jego historii bądź wybuch wojny sprawi, iż chwilowe problemy nabiorą czysto akademickiego znaczenia. Albo nikt nie będzie chciał słuchać jego opowieści. Albo król umrze. Albo koń zdechnie. Albo nauczy konia mówić.

Ani kropli whisky więcej, pomyślał.

- Kto pierwszy? - zapytał Martin Silenus.

Milczenie, które zapadło, było tak głębokie, że dało się słyszeć szelest liści poruszonych niewyczuwalnym podmuchem.

- Ja - odezwał się ojciec Hoyt. Na twarzy kapłana malowała się ta sama bierna akceptacja cierpienia, jaką konsul widywał na twarzach śmiertelnie chorych przyjaciół. Hoyt pokazał wszystkim pasek papieru z wyraźnie widoczną cyfrą 1.

- W porządku - powiedział Silenus. - Zaczynaj.

- Teraz?

- A czemu nie? - Jedynymi oznakami świadczącymi o tym, że poeta opróżnił już dwie butelki wina, były nieco mocniej zaróżowione policzki oraz uniesione krzaczaste brwi, które nadały okrągłej twarzy wręcz demoniczny wyraz. - Do lądowania zostało nam jeszcze parę godzin, a nie wiem jak wy, ale ja, natychmiast gdy tylko znajdziemy się wśród przyjaźnie nastawionych tubylców, zamierzam odespać całą tę cholerną hibernację.

- Nasz przyjaciel ma słuszość - powiedział cicho Sol Weintraub. - Chyba najlepiej byłoby, gdyby codziennie zaraz po obiedzie ktoś z nas opowiadał swoją historię.

Lenar Hoyt westchnął i podniósł się z miejsca.

- W takim razie zaczekajcie chwilę.

Powiedziawszy to, opuścił platformę.

- Myślicie, że stchórzył? - zapytała Brawne Lamia po kilku minutach.

- Nie stchórzyłem - odparł Hoyt, wyłaniając się z ciemności spowijającej drewniane schody. - Poszedłem po to. - Rzucił na stół dwa niewielkie notesy w mocno zniszczonych okładkach i zajął swoje miejsce.

- Żadnych ściąg! - wykrzyknął Silenus. - Wszystko musi być z głowy.

- Zamknij się, do cholery! - Hoyt przesunął dłonią po twarzy, a następnie położył ją na chwilę na piersi. Po raz drugi tego wieczoru konsul pomyślał, że ma przed sobą ciężko chorego człowieka. - Wybaczone mi - powiedział kapłan normalnym tonem. - Jeżeli mam opowiedzieć moją... historię... musicie także wysłuchać historii kogoś innego. Te zapiski wyszły spod ręki człowieka, który stał się powodem mego przybycia na Hyperiona... i jest powodem, dla którego dzisiaj wracam na tę planetę.

Hoyt umilkł i odetchnął głęboko.

Konsul dotknął okładki jednego z notesów. Była spieczona i popękana, jakby notes znajdował się przez jakiś czas w ogniu.

- Twój przyjaciel musi lubować się w starociach, skoro prowadził dziennik na papierze - zauważył.

- Owszem - odparł Hoyt. - Mogę zaczynać, jeśli wszyscy jesteście gotowi.

Sześcioro pielgrzymów skinęło głowami. Tysiącmetrowy drzewostatek mknął przez lodowatą ciemność, tętniąc pulsem żywej istoty. Sol Weintraub wyjął dziecko z nosidelka i delikatnie ułożył je na miękkiej kołderce rozpostartej na podłodze obok fotela. Następnie zdjął komlog, położył go obok kołderki i zaprogramował odbiór białego szumu. Niemowlę nawet się nie obudziło.

Konsul odchylił się do tyłu i odszukał błękitnozielone słońce Hyperiona. Wydawało się rosnać w oczach. Het Masteen nasunął głębiej kaptur, tak że jego twarz skryła się całkowicie w cieniu. Sol Weintraub zapalił fajkę, pozostali zaś dali znak klonom, aby dołały im kawy, po czym usadowili się wygodnie w fotelach.

Martin Silenus sprawiał wrażenie najbardziej podekscytowanego i niecierpliwego spośród słuchaczy. Pochyliwszy głowę wyszeptał tak cicho, że chyba nikt go nie usłyszał:

Rzekł: "Ja początek mam uczynić
Gry owej. W imię więc Bogini!
Najlepiej zrobię to jak mogę".
Niebawem ruszyliśmy w drogę.
On, podejmując wątek nowy,
Rozpoczął rzecz swą tymi słowy.

Opowieść Kapłana

O człowieku, który szukał Boga

- Czasem jedynie bardzo trudno dostrzegalna granica oddziela ortodoksyjny fanatyzm od herezji - powiedział ojciec Lenar Hoyt.

Tak zaczęła się opowieść kapłana. Powtarzając ją później na użytek komlogu konsul przekonał się, że pamięta ją jako jednolitą całość, bez nieoczekiwanych przerw, wahań i innych niedoskonałości charakterystycznych dla ludzkiej mowy.

Lenar Hoyt otrzymał swoje pierwsze poważne zadanie jako młody ksiądz, urodzony, wychowany i całkiem niedawno wyświecony na katolickiej planecie Pacem. Zadanie to polegało na dotrzymanywaniu towarzystwa powszechnie szanowanemu jezuitcie, ojcu Paulowi Duré, w drodze do jego miejsca zesłania, którym była odległa, mało znana planeta Hyperion.

W innych czasach ojciec Paul Duré z pewnością zostałby biskupem, a kto wie, czy nawet nie papieżem. Wysoki, szczupły, o ascetycznej budowie, z siwymi, przeredzonymi włosami i oczami, w których ostrym spojrzeniu widać było jak na dłoni przebyte cierpienia, Paul Duré był wiernym uczniem świętego Teilharda, jak również archeologiem, etnologiem i znakomitym jezuickim teologiem. Pomimo upadku Kościoła katolickiego, który przeistoczył się w na pół zapomnianą sektę, tolerowaną jedynie ze względu na jej niezwykłość oraz odizolowanie od głównego nurtu życia Hegemonii, umysły jezuitów nie straciły nic ze swojej sprawności, ojciec Paul Duré zaś nadal żywił głębokie przekonanie, iż Święty Apostolski Kościół Katolicki w dalszym ciągu jest jedyną nadzieją ludzi na uzyskanie nieśmiertelności.

Kiedy Lenar Hoyt był chłopcem, miał okazję widywać czasem ojca Duré podczas jego nielicznych wizyt w przyseminaryjnej szkole oraz przy okazji jeszcze rzadszych podróży przyszłego księdza do Nowego Watykanu. Jezuita jawił mu się wówczas jako postać otoczona aurą boskości. Później, kiedy Hoyt rozpoczął studia w seminarium, Duré kierował sponsorowanymi przez Kościół pracami wykopaliskowymi na pobliskiej planecie Armaghast. Wrócił stamtąd kilka tygodni po ceremonii wyświęcenia Hoyta, ale jego powrót otoczony był ścisłą tajemnicą. Nikt, z wyjątkiem dostojników z najwyższych kręgów Nowego Watykanu, nie wiedział dokładnie, co się właściwie stało, lecz pojawiały się plotki o ekskomunie, a nawet o przesłuchaniu przed trybunałem Świętej Inkwizycji, który od czterech stuleci, to

znaczy od zagłady Ziemi, nie miał zbyt wiele do roboty.

Skończyło się jednak na tym, że ojciec Duré poprosił o zesłanie na Hyperiona, planetę znaną szerzej jedynie ze względu na dziwaczny kult Chyżwara, który tam właśnie miał swoje korzenie, ojciec Hoyt zaś został wyznaczony i jako coś w rodzaju jego eskorty. Było to niewdzięczne zadanie, wiążące się z koniecznością wykonywania najbardziej uciążliwych obowiązków ucznia, strażnika i szpiega, a w dodatku młody ksiądz miał być pozbawiony nawet skromnej nagrody w postaci możliwości ujrzenia nieznannej planety, gdyż polecono mu jedynie dopilnować, aby ojciec Duré wylądował bezpiecznie w porcie kosmicznym na Hyperionie, a następnie wsiąść na pokład tego samego statku i bezzwłocznie wyruszyć w drogę powrotną. Innymi słowy, biskupi zaproponowali Hoytowi dwadzieścia miesięcy hibernacji, kilka tygodni podróży wewnątrz układu słonecznego Hyperiona oraz dług czasowy w wysokości ośmiu lat, co po powrocie na Pacem postawiłoby go na straconej pozycji wobec kolegów z tego samego roku w wyścigu po stanowiska w Nowym Watykanie i atrakcyjne placówki misyjne.

Jednak Lenar Hoyt, wychowany w posłuszeństwie i przyuczony do dyscypliny, przyjął zadanie bez żadnych pytań.

Ich statek, "Nadia Oleg", był ospowatą balią pozbawioną generatorów sztucznej grawitacji, okien, a także wszelkich urządzeń rekreacyjnych, jeśli nie liczyć stymulatorów sprzężonych z centralnym systemem informacyjnym, których zadanie polegało na skłonieniu jak największej liczby pasażerów do pozostania w kojach. Po przebudzeniu z kriogenicznego snu pasażerowie ci - głównie robotnicy i niezamożni turyści, wśród nich zaś kilku wyznawców kultu, zdecydowanych oddać życie Chyżwarowi - spali na tych samych posłaniach, spożywali przetworzoną w zamkniętym obiegu żywność oraz starali się walczyć z chorobą morską i nudą podczas dwunastodniowego, bezgrawitacyjnego ślizgu w kierunku Hyperiona.

W ciągu tych kilkunastu dni, jakie, chcąc nie chcąc, musieli spędzić nie rozstając się ani na chwilę, Lenar Hoyt nie zdołał dowiedzieć się zbyt wiele od ojca Duré, a już zupełnie nic o wydarzeniach na Armaghaście, które stały się przyczyną skazania jezuitę na zesłanie. Młody kapłan wydał swojemu komlogowi polecenie zgromadzenia wszelkich dostępnych danych o Hyperionie i na krótko przed lądowaniem zaczął uważać się niemal za specjalistę od tej planety.

- Natrafiłem na zapisy świadczące o tym, że na Hyperiona przybyła dość liczna grupa katolików, ale nigdzie nie ma żadnej wzmianki o tym, żeby utworzono tam

diecezję - powiedział Hoyt pewnego wieczoru, kiedy gawędzili, leżąc obok siebie w zerograwitacyjnych hamakach. Większość współpasażerów przeżywała w tym czasie erotyczne przygody podłączona do stymulatora. - Przypuszczam, ojcze, że będziesz wykonywał pracę misyjną?

- W żadnym wypadku - odparł ojciec Duré. - Poczciwi mieszkańcy Hyperiona nigdy nie próbowali narzucać mi swoich przekonań religijnych, więc nie widzę powodu, dla którego miałbym rewanżować im się natarczywym nawracaniem. Chciałbym pojechać na południowy kontynent - Aquilę - a następnie wyruszyć z Port Romance w głąb lądu, jednak wcale nie jako misjonarz, tylko jako etnolog. Mam zamiar założyć gdzieś nad Rozpadliną stację badawczą.

- Stację badawczą? - powtórzył ze zdziwieniem ojciec Hoyt. Zamknął oczy, pozwalając przez chwilę pracować swojemu implantowi, po czym otworzył je i spojrzał na starszego kapłana. - Ale przecież płaskowyż Pinion jest nie zamieszkany! Lasy ogniste sprawiają, że przez większą część roku w ogóle nie można się tam dostać.

Ojciec Duré uśmiechnął się i skinął głową. Nie miał implanta, a jego przestarzały komlog przez całą podróż spoczywał w bagażu.

- Niezupełnie - odparł. - Nie jest też prawdą, że nikt tam nie mieszka. Zapomniałeś o Bikurach.

- Bikurowie... - Hoyt ponownie zamknął oczy. - To tylko legenda - powiedział po pewnym czasie.

- Hmm... - mruknął jezuita. - Spróbuj wywołać hasło "Mamet Spedling".

Lenar Hoyt posłusznie zacisnął powieki. Indeks Główny poinformował go, że Mamet Spedling był niezbyt znanym badaczem, członkiem Instytutu Shackletona na Renesansie; niemal półtora stulecia wcześniej przedstawił on Instytutowi krótki raport. Opisywał w nim uciążliwą podróż w głąb lądu z niedawno założonego Port Romance przez bagna - obecnie zamienione w plantacje plastowłókników - i lasy ogniste (udało mu się przebyć je w krótkim okresie spokoju), wspinaczkę na strome zbocza płaskowyżu Pinion, a wreszcie odnalezienie Rozpadliny i żyjącego nad nią niewielkiego plemienia, odpowiadającego opisowi legendarnych Bikurów.

W swojej notatce Spedling postawił hipotezę, że ludzie ci są potomkami kolonistów z zaginionego statku osiedleńczego, który trzysta lat wcześniej uległ awarii w tym rejonie. Opisał także wszystkie klasyczne objawy zacofania kulturowego, będącego wynikiem całkowitej izolacji, braku dopływu świeżej puli genów oraz nadmiernego przystosowania do warunków zewnętrznych. Swoje obserwacje

podsumował krótkim, ale dosadnym zdaniem: “Już po dwóch dniach stało się dla mnie oczywiste, że Bikurowie są zbyt głupi, leniwi i nudni, żeby warto było poświęcać im więcej czasu”. Ponieważ jednocześnie lasy ogniste zaczęły wykazywać objawy powrotu do aktywności, Spedling istotnie nie poświęcił swemu odkryciu ani minuty więcej, tylko skierował się najszybciej, jak mógł, w drogę powrotną ku wybrzeżu. Trwająca trzy miesiące wędrówka przez “spokojne” lasy kosztowała go utratę czterech tubylczych tragarzy, całego sprzętu i zapisków oraz lewej ręki.

- Mój Boże... - powiedział Lenar Hoyt, leżąc w zerograwitacyjnym hamaku na pokładzie statku “Nadia Oleg”. - Dlaczego właśnie Bikurowie?

- A dlaczego nie? - odparł łagodnie ojciec Duré. - Nie wiemy o nich zbyt wiele.

- Nie wiemy zbyt wiele niemal o całym Hyperionie! - Młody ksiądz dał się trochę ponieść emocjom. - A co z Grobowcami Czasu i legendarnym Chyżwarem na północ od Gór Cugielnych na Equusie? Wszyscy o tym mówią!

- Otóż to - odparł jezuita. - Jak myślisz, Lenar, ile uczonych prac napisano o Grobowcach i Chyżwarze? Sto? Tysiąc? Kilka tysięcy? - Duré nabił fajkę i zapalił ją, co przy braku ciśnienia wcale nie było łatwym zadaniem. - Poza tym, nawet jeśli ten Chyżwar istnieje naprawdę, to nie jest człowiekiem, a mnie interesują wyłącznie ludzie.

- Rzeczywiście - zgodził się Hoyt, szykując swój intelektualny arsenał do frontalnego ataku. - Jednak zgodzisz się chyba, ojczu, że zagadka Bikurów nie należy do najbardziej fascynujących. W najlepszym razie znajdziesz kilkudziesięciu dzikusów zamieszkujących wiecznie zadymione tereny, tak... tak nieciekawe, że nawet nie zaznaczone na tamtejszych mapach. Po co zajmować się czymś takim, skoro Hyperion oferuje tyle wspaniałych, ekscytujących tajemnic? Na przykład labirynty! - Hoyt aż zarumienił się z podniecenia. - Czy wiesz, ojczu, że Hyperion jest jedną z dziewięciu planet z labiryntami?

- Oczywiście. - Powietrzne prądy zaczęły rozciągać otaczającą starszego kapłana, niemal dokładnie kulistą chmurę dymu. - Tyle że w całej Sieci labiryntami zajmuje się już mnóstwo ludzi, a poza tym, przecież one liczą sobie... ile? Pół miliona lat standardowych? Zdaje się, że prawie trzy czwarte miliona. Ich tajemnic wystarczy jeszcze co najmniej dla kilku pokoleń. Jeżeli natomiast chodzi o Bikurów, to jak myślisz, jak długo uda im się przetrwać, zanim zostaną wchłonięci przez nowoczesne społeczeństwo? Albo, co znacznie bardziej prawdopodobne, po prostu starci z powierzchni planety w wyniku jakiegoś niefortunnego zbiegu okoliczności?

Hoyt wzruszył ramionami.

- Może nawet już się to stało. Minęło sporo czasu od chwili, kiedy dotarł do nich Spedling, a jeśli rzeczywiście wyginęli, to cały twój wysiłek, ojczy, na nic się nie zda - powiedział.

- Otóż to - odparł spokojnie ojciec Duré i wypuścił kłęb dymu.

Dopiero podczas ostatniej godziny, jaką spędzili razem, w trakcie podchodzenia do lądowania, jezuita otworzył się częściowo przed młodszym kolegą. Hyperion wisiał przed nimi już od dłuższego czasu, oślepiająco biały, zielony i błękitny, kiedy nagle wiekowy prom wszedł w górne warstwy atmosfery. Za szybą pojawiły się na krótko płomienie, a potem rozpoczął się spokojny lot ślizgowy z sześćdziesięciokilometrowej wysokości, poprzez kolejne powłoki chmur, nad lśniącoymi morzami, ku pędzącej im na spotkanie linii terminatora.

- Wspaniałe... - szepnął ojciec Duré, chyba bardziej do siebie niż do młodego księdza. - Po prostu wspaniałe. Właśnie w chwilach takich jak ta rozumiem... a przynajmniej wydaje mi się, że rozumiem, na jak wielkie poświęcenie musiał zdobyć się Syn Boży, zgadzając się zostać Synem Człowieczym.

Hoyt spróbował podjąć rozmowę, lecz ojciec Duré spoglądał w milczeniu przez okno, pogrążony głęboko w myślach. Dziesięć minut później wylądowali w porcie kosmicznym w Keats. Ojca Duré wciągnął wir formalności związanych z odprawą celną, a po kolejnych dwudziestu minutach wielce rozczarowany Lenar Hoyt pędził już z powrotem ku czekającemu na orbicie statkowi "Nadia Oleg".

- Pięć tygodni później, naturalnie według mojego czasu, wróciłem na Pacem - wspominał ojciec Hoyt. - Straciłem osiem lat, ale nie wiedzieć czemu wydawało mi się, że poniosłem także inne, znacznie większe straty. Zaraz po moim powrocie zostałem poinformowany przez biskupa, że przez cztery lata swego pobytu na Hyperionie Paul Duré nie dał znaku życia. Nowy Watykan wydał fortunę na połączenia komunikatorowe, lecz ani władze planety, ani konsul w Keats nie były w stanie odnaleźć zaginionego kapłana.

Hoyt przerwał, by napić się wody ze stojącej przed nim szklanki.

- Pamiętam te poszukiwania - powiedział konsul, korzystając ze sposobności. - Naturalnie nie znalazłem ojca Paula Duré, ale uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Theo, mój zastępca, poświęcił mnóstwo czasu i energii, by wyjaśnić tajemnicę zaginięcia księdza. Niestety, nie natrafiliśmy na żadne ślady, jeśli nie liczyć kilku

sprzecznych doniesień z Port Romance, które w dodatku dotyczyły okresu obejmującego kilka tygodni zaraz po jego przybyciu. Na tamtych terenach znajdują się wyłącznie wielkie plantacje pozbawione jakiegokolwiek łączności ze światem, przede wszystkim dlatego, że oprócz plastowłókników uprawia się tam także narkotyki. Przypuszczam, iż nie udało nam się dotrzeć do właściwych ludzi. O ile wiem, w chwili kiedy opuszczałem Hyperiona, sprawa ojca Duré nie była jeszcze zamknięta.

Lenar Hoyt skinął głową.

- Wylądowałem powtórnie w Keats miesiąc po objęciu stanowiska przez twojego następcę. Biskup nie posiadał się ze zdumienia, kiedy powiedziałem mu, że pragnę tam wrócić. Zostałem nawet przyjęty na audiencji przez Jego Świątobliwość. Przebywałem na Hyperionie niecałe siedem tamtejszych miesięcy, ale tajemnicę ojca udało mi się odkryć dopiero na krótko przed opuszczeniem planety. - Kapłan położył rękę na dwóch sfatygowanych notatnikach. - Jeżeli mam kontynuować moją opowieść - powiedział zmienionym głosem - będę musiał odczytać fragmenty jego notatek.

Drzewostatek "Yggdrasill" ustawił się w taki sposób, że słońce Hyperiona skryło się za pniem drzewa. W rezultacie platforma jadalna i otaczające ją ściany z liści znalazły się w głębokim mroku, niebo zaś nad pielgrzymami, dookoła nich i pod ich stopami wypełniły gwiazdy - tyle tylko że zamiast kilku tysięcy, jakie widać z powierzchni większości planet, były ich miliony. Hyperion urósł już do rozmiarów sporej kuli, pędzącej na spotkanie statku niczym jakiś śmiertelnie groźny pocisk.

- Czytaj - powiedział Martin Silenus.

Z DZIENNIKA

OJCA PAULA DURÉ

1. dzień

A więc tak zaczyna się moje wygnanie.

Nie bardzo wiem, w jaki sposób powinienem datować mój dziennik. Według zakonnego kalendarza obowiązującego na Pacem, jest dziś siedemnasty dzień Miesiąca Tomaszowego, Roku Pańskiego 2732. Według kalendarza standardowego Hegemonii mamy dwunastego października 589 P.C., natomiast tutaj, na Hyperionie - tak przynajmniej twierdzi zasuszony recepcjonista w starym hotelu, w którym się zatrzymałem - jest dwudziesty siódmy dzień lyciusa (ostatniego z siedmiu

czterdziestodniowych miesięcy) albo roku 426 P.K.L. (Po Katastrofie Lądownika!), albo 128 roku panowania Smutnego Króla Billy'ego, który w rzeczywistości nie żyje już od co najmniej stu lat.

Do diabła z tym wszystkim. Nazwę ten dzień pierwszym dniem mojego wygnania.

Bardzo wyczerpujący dzień. (Cóż za dziwne uczucie: być zmęczonym po wielu miesiącach nieprzerwanego snu, ale to podobno często spotykana reakcja pohibernacyjna. Komórki mego ciała odczuwają zmęczenie niedawną podróżą, mimo że ja sam nawet jej nie pamiętam. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak zmęczony.)

Trochę żałuję, że nie zadałem sobie trudu, aby lepiej poznać młodego Hoyta. Wyglądał na całkiem przyzwoitego człowieka: katechizm w głowie, a na twarzy szczerzy zapal. To nie wina takich młokosów jak on, że Kościół dożywa swoich dni. Ani on, ani nikt jemu podobny nie zdoła zapobiec smutnemu końcowi, jaki już niedługo stanie się Jego udziałem.

Cóż, mnie także się to nie udało.

Podczas lotu przez atmosferę miałem okazję podziwiać wspaniałe widoki. Rozpoznałem dwa spośród trzech kontynentów: Equusa i Aquilę. Trzeci, Ursa, był spowity ciemnością.

Potem nastąpiło lądowanie w Keats i ciągnący się godzinami korowód odpraw, a później kłopoty ze znalezieniem transportu do miasta. W pamięci utkwiło mi kilka obrazów: wznoszące się na północy góry, spowite błękitną mgiełką, u podstawy porośnięte pomarańczowymi i żółtymi drzewami; blade, zielononiebieskie niebo; słońce mniejsze niż na Pacem, ale za to jaśniejsze. Z daleka barwy wydają się żywe i soczyste, by z bliska rozrzedzić się i rozproszyć, jakby pochodziły z palety impresjonisty. Ogromny posąg Smutnego Króla Billy'ego, o którym tyle słyszałem, bardzo mnie rozczarował. Oglądany z drogi sprawiał wrażenie wykonanego byle jak i w pośpiechu - zaledwie wstępny model wyciosany z ciemnej góry, nie zaś dostojna postać, jaką spodziewałem się ujrzeć. Sterczy smętnie nad półmilionowym, walącym się miastem, chyba ku zadowoleniu neurotycznego króla-poety, którego ma upamiętniać.

Samo miasto wydaje się podzielone na dwie części: zatłoczone skupisko slumsów i podejrzanych spelunek, zwane przez miejscowych Jacktown, oraz właściwe Keats, czyli Stare Miasto - choć liczy sobie zaledwie cztery wieki - doskonale

czyste i całe z pięknego kamienia. Wkrótce wyruszę na zwiedzanie.

Zaplanowałem miesięczny pobyt w Keats, lecz już teraz czuję, jak coś gna mnie naprzód. Och, monsignor Edwardzie, gdybyś mógł mnie teraz zobaczyć! Ukarany, ale wciąż niepokorny. Bardziej samotny niż kiedykolwiek do tej pory, ale, nie wiedzieć czemu, zadowolony z wygnania. Jeżeli kara za moje wybryki (wynik nadmiernej gorliwości!) miała polegać na zesłaniu do siódmego kręgu beznadziei, to słusznie postąpiono, wybierając właśnie Hyperiona. Gdybym porzucił myśl o dotarciu do Bikurów (czy oni naprawdę istnieją? Dzisiejszej nocy wydaje mi się to niemożliwe) i spędził resztę życia w stolicy tej prowincjonalnej, zacofanej planety, moja kara wcale nie stałaby się lżejsza.

Ach, Edwardzie i wy, towarzysze dziecięcych zabaw, a potem koledzy z ławy szkolnej (choć nigdy nie byłem ani tak bystry, ani tak ortodoksyjny jak wy), teraz zaś dorośli ludzie zmierzający szybko ku starości! Jesteście o cztery lata mądrzejsi ode mnie, ja zaś pozostałem tym samym psotnym, niesfornym chłopcem, jakiego pamiętacie. Modłę się za was i mam nadzieję, że wy modlicie się za mnie.

Jestem bardzo zmęczony. Muszę położyć się spać. Jutro zwiedzę miasto, najem się do syta i zacznę szukać sposobu, żeby dostać się na Aquilę i dalej, na południe.

5. dzień

W Keats jest katedra - a raczej była. Przestano z niej korzystać co najmniej dwieście lat temu. Teraz popada w coraz większą ruinę, bez dachu nad transeptem, z jedną wieżą nie dokończoną, a drugą przypominającą ogromny szkielet z przerdzewiałych prętów zbrojeniowych, poprzątkanych gdzieś tam kruszącym betonem i kamieniami.

Natrafiałem na nią próbując odnaleźć drogę nad brzegiem rzeki Hoolie w słabo zaludnionej części stolicy, gdzie wśród ruin ogromnych magazynów przebiega nie wyznaczana przez nikogo granica między Starym Miastem a Jacktown. Ruiny te są tak wysokie, że zupełnie zasłaniają wieże katedry; można ją dostrzec tylko wówczas, jeśli przypadkowo skręci się w jeden z bocznych, ślepych zaułków. Prezbiterium zsunęło się już częściowo do rzeki, natomiast na resztkach fasady dostrzegłem przerażające, apokaliptyczne rzeźby, charakterystyczne dla okresu bezpośrednio po hegirze.

Posuwając się ostrożnie naprzód wśród koronkowej płataniny cieni i zniszczonych elementów konstrukcji, dotarłem do głównej nawy. Biskupi na Pacem

nie wspomnieli ani słowem o obecności katolicyzmu na Hyperionie, a tym bardziej o istnieniu katedry. Doprawdy, trudno sobie wyobrazić, żeby rozproszona kolonia rozbitków zdobyła się przed czterystu laty na tak wielki wysiłek, ale oto miałem przed sobą niezaprzeczalne tego dowody.

Zajrzałem do pogrążonej w mroku zakrystii, zobaczyłem jednak tylko dwa słoneczne promienie, które dostały się do środka przez wąskie okienka niemal pod samym dachem. Cofnąłem się do głównej nawy i ruszyłem w stronę ołtarza. Był pozbawiony wszelkich ozdób, a pokrywał go gruz i kamienie. Ogromny krzyż, który kiedyś wisiał na wschodniej ścianie, dawno temu runął na posadzkę i teraz leżał, roztrzaskany na kawałki, wśród resztek zniszczonych ornamentów. Tknięty jakimś impulsem, wstąpiłem na ołtarz, podniosłem ręce i zacząłem sprawować Eucharystię. Nie było w tym geście ani parodii, ani melodramatu, ani nawet żadnych ukrytych intencji. Była to odruchowa reakcja księdza, który od czterdziestu sześciu lat niemal codziennie odprawiał mszę świętą, i który nagle uświadomił sobie, że być może już nigdy nie będzie mu dane wziąć udziału w tym pokrzepiającym rytuale.

Nagle stwierdziłem ze zdumieniem, że nie jestem sam. W czwartym rzędzie ławek klęczała stara kobieta. Czerń jej sukni i szala wtapiała się w zalegające tam cienie, tak że widziałem jedynie błądy owal pooranej zmarszczkami twarzy, sprawiający wrażenie zawieszzonego w ciemności. Zaskoczony, przerwałem liturgię. Wpatrywała się we mnie, ale coś w wyrazie jej oczu powiedziało mi, że jest niewidoma. Przez dłuższą chwilę nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa i stałem z na wpół otwartymi ustami, mrużąc oczy we wpadających przez zrujnowany dach promieniach słońca. Jedna część mojego umysłu próbowała jakoś wytłumaczyć pojawienie się kobiety, podczas gdy druga usiłowała znaleźć wyjaśnienie mej własnej tu obecności i postępowania.

Kiedy wreszcie odzyskałem głos i zawołałem do niej - słowa odbiły się wielokrotnym echem w ogromnym pomieszczeniu - zorientowałem się, że kobiety nie ma już tam, gdzie zobaczyłem ją po raz pierwszy. Usłyszałem szuranie jej stóp po kamiennej posadzce. Kobieta zakaszłała, a potem na prawo od ołtarza w snopie słonecznego światła na krótko pojawił się jej profil. Osłoniwszy oczy ruszyłem w tamtą stronę, stąpając między szczątkami bariereki. Zawołałem ponownie, zapewniając ją, że nie ma się czego obawiać, choć to raczej ja miałem powody do niepokoju; czułem zresztą, jak po grzbiecie pełzają mi lodowate ciarki. Kiedy wreszcie dotarłem do skrytego w cieniu zakątka nawy, kobiety już tam nie było. Zobaczyłem tylko niskie

drzwi wiodące prosto na brzeg rzeki. Cofnąłem się do wnętrza katedry. Chętnie uznałbym całe zdarzenie za halucynację spowodowaną wielomiesięcznym, wymuszonym na organizmie snem, gdyby nie to, że w półmroku spowijającym główną nawę dostrzegłem samotną wotywną świeczkę, której płomień kołysał się lekko, głaskany niewyczuwalnymi prądami powietrza.

Mam już dosyć tego miasta. Mam dosyć jego pogańskiej terażniejszości i zafałszowanej historii. Hyperion jest planetą poety pozbawioną krzty poetyczności, samo Keats zaś stanowi mieszaninę krzykliwego, nienaturalnego klasycyzmu oraz bezrozumnej, nie ukierunkowanej energii. W mieście doliczyłem się trzech zborów gnostyków zen i czterech meczetów, ale prawdziwymi świątyniami są tutaj niezliczone gospody i burdele, kipiące życiem targowisko, na którym kupuje się i sprzedaje docierające z południa transporty plastowłókien, a także przybytki kultu Chyżwara, gdzie zagubione, spragnione samobójczej śmierci dusze znajdują chwilowe schronienie za tarczą płytkiego mistycyzmu. Cała planeta cuchnie zresztą mistycyzmem, który nie doczekał się autentycznego objawienia.

Do diabła z tym wszystkim.

Jutro wyruszam na południe. Co prawda na tej bezsensownej planecie istnieją śmigacze oraz inne statki powietrzne, lecz zwykli ludzie mogą podróżować między kontynentami jedynie na pokładzie statków - co podobno zajmuje mnóstwo czasu - lub ogromnymi pasażerskimi sterowcami, które wyruszają z Keats tylko raz w tygodniu.

Jutro z samego rana ruszam w drogę na pokładzie sterowca.

10. dzień

Zwierzęta.

Ci, którzy jako pierwsi przybyli na tę planetę, musieli chyba mieć obsesję na punkcie zwierząt. Koń, Niedźwiedź, Orzeł... Przez trzy dni wleliśmy się na południe wzdłuż nieregularnego wschodniego wybrzeża Equusa, zwanego Grzywą. Cały miniony dzień zajął nam przelot nad niewielkim Morzem Środkowym na Kocią Wyspę, dzisiaj zaś wyladowujemy pasażerów i ładunki w Felix, "głównym mieście" tej dość rozległej wyspy. Sądząc z tego, co widziałem z pokładu spacerowego i tarasu na szczycie wieży cumowniczej, wątpię, aby w tym chaotycznym nagromadzeniu szop i baraków mogło mieszkać więcej niż pięć tysięcy ludzi.

Wkrótce sterowiec rozpocznie powolną, liczącą osiemset kilometrów wędrówkę

między znacznie mniejszymi wysepkami, tworzącymi archipelag Dziewięciu Ogonów, by potem dokonać śmiałego, niemal równie długiego przeskoku na drugą stronę oceanu i równika. Pierwszym lądem, jaki wówczas ujrzymy, będzie północno-zachodnie wybrzeże Aquili, tak zwany Dziób.

Zwierzęta.

Na to, by nazwać ten wehikuł "sterowcem pasażerskim", trzeba było sporej wyobraźni. Jest to wielka jednostka o tak obszernych ładowniach, że bez trudu zmieściłoby się w nich całe miasto Felix, a i tak zostałyby jeszcze mnóstwo miejsca na bele plastowlókna. Ładunek pośledniejszego gatunku - to znaczy my, pasażerowie - musi sobie radzić na własną rękę. Udało mi się sklecić coś w rodzaju szałas w pobliżu rufowego luku ładunkowego i mieszkam tam sobie całkiem wygodnie wraz z bagażem osobistym oraz trzema wielkimi kuframi sprzętu niezbędnego do wyposażenia ekspedycji. W pobliżu zagnieździła się ośmioosobowa rodzina miejscowych robotników, wracająca z odbywanej raz na dwa lata wyprawy zaopatrzeniowej do Keats; choć nie mam nic przeciwko zgiełkowi, jaki czynią, woni świń stłoczonych w klatkach ani popiskiwaniami tucznych chomików, to bezustanne pianie oszołomionego koguta tak bardzo działa mi na nerwy, że są noce, kiedy w ogóle nie mogę zmrużyć oka.

Zwierzęta!

11. dzień

W salonie nad pokładem spacerowym mam dziś zjeść obiad z obywatelem Heremsem Denzelem, emerytowanym nauczycielem szkoły średniej w pobliżu Endymionu. Dowiedziałem się od niego, że pierwsi kolonizatorzy wcale nie mieli bzika na punkcie zwierząt i że oficjalnie trzy kontynenty tej planety nie nazywają się Equus, Ursa i Aquila, lecz Creighton, Allensen i Lopez. Podobno w ten sposób chciano uczcić trzech urzędników średniego szczebla z dawnej Służby Kolonizacyjnej. Niech już lepiej będą te zwierzęta!

Już po obiedzie. Wyszedłem na zewnętrzny pokład spacerowy, żeby obserwować zachód słońca. Jestem sam. Pokład biegnie tutaj wzdłuż pionowej ściany dziobowych modułów towarowych, dzięki czemu dość silny wiatr odczuwa się jedynie jako łagodne, przesycone solą powiewy. Nade mną piętrzy się pomarańczowo-zielona powłoka sterowca. Znajdujemy się w połowie drogi między dwiema wyspami; morze ma kolor ciemnego lazuru, poznaczony gdzieniegdzie zielonkawymi smugami -

dokładnie na odwrót niż niebo. Blask zbyt małego słońca pada na skupisko wysokich cirrusów, nadając im barwę płonącego koralu. Do moich uszu dociera jedynie delikatny szum elektrycznych turbin. Trzysta metrów poniżej dostrzegam w wodzie jakąś wielką istotę, podobną kształtem do płaszczki, która zdaje się dotrzymywać nam towarzystwa. Sekundę temu tuż przede mną zawisł w powietrzu owad (a może ptak?) wielkości drozda, tyle tylko że o delikatnych jak pajęczyna skrzydłach rozpiętości co najmniej metra. Przez chwilę przyglądał mi się badawczo, a następnie złożył skrzydła i runął niczym pocisk w kierunku morza.

Edwardzie, dziś wieczorem czuję się bardzo samotny. Z pewnością pomogłaby mi świadomość, że żyjesz, pracujesz w ogrodzie, a wieczorami zapisujesz kolejne strony w swojej pracowni. Oczekiwałem, że podróż pozwoli mi odnowić wiarę w głoszoną przez świętego Teilharda koncepcję Boga, w którym Chrystus Ewoluujący połączył się z Chrystusem Osobistym, w którym *En Haut* i *En Avant* stanowią jedność... Niestety, nie było mi to dane, przynajmniej jak na razie.

Zapada zmierzch, a ja się starzeję. Czuję coś... nie, to jeszcze nie skrucha... w związku z grzechem, jaki popełniłem, fałszując dowody uzyskane podczas prac wykopaliskowych na Armaghaście. Edwardzie, Wasza Ekscelencjo - jeżeli znaleziska wskazywały na istnienie tam chrześcijańskiej kultury sześćset lat świetlnych od Starej Ziemi i niemal trzy tysiące lat przed chwilą, kiedy ludzie opuścili rodzinną planetę...

Czy naprawdę popełniłem tak straszny grzech, interpretując wyniki w ten sposób, że jeszcze za naszego życia możemy spodziewać się odrodzenia naszej wiary?

Chyba tak. Jednak grzech ów nie wynikał z manipulowania danymi, lecz z przekonania, że chrześcijaństwo da się jeszcze uratować. Kościół umiera, Edwardzie. Umiera nie tylko nasza umiłowana gałąź Świętego Drzewa, ale wszystkie jego konary, odrosty i gałązki. Całe Ciało Chrystusowe umiera równie szybko i nieodwracalnie co moje, słabe i niegodne. Obaj wiedzieliśmy o tym na Armaghaście, gdzie krwistoczerwone słońce oświetla jedynie pył i śmierć. Wiedzieliśmy o tym już tego chłodnego, zielonego lata, kiedy składaliśmy pierwsze śluby. Wiedzieliśmy o tym jako chłopcy, bawiąc się na łąkach Villefranche-sur-Saône. Wiemy o tym teraz.

Słońce już zaszło. Piszę przy blasku sączącym się z okien salonu na wyższym pokładzie. Gwiazdy lśnią na niebie, poukładane w nieznajome konstelacje. Morze Środkowe jarzy się zielonkawą, niepokojącą poświatą. Na południowy wschód od nas, na samym horyzoncie, dostrzegam jakąś czarną masę. Może to być nadciągająca burza albo też kolejna wyspa archipelagu, trzeci z dziewięciu "ogonów". (W jakiej

mitologii występuje kot o dziewięciu ogonach? Ja takiej nie znam.)

Ze względu na ptaka, którego niedawno widziałem - o ile to był ptak - modłę się, żeby czarna masa okazała się wyspą, a nie burzą.

28. dzień

Jestem w Port Romance dopiero osiem dni, a widziałem już trzy trupy.

Jeden został wyrzucony na bagnisty brzeg przez morze, tuż obok wieży cumowniczej, pierwszego wieczoru po moim przybyciu do miasta. Był biały, jakby sprany, i cały wzdęty. Dzieci rzucały w niego kamieniami.

Drugi został wyciągnięty z dymiących zgliszcz sklepu w ubogiej części miasta, niedaleko mojego hotelu. Ciało było zwęglone nie do poznania, a pod wpływem ogromnego żaru skuliło się, przybierając pozycję, jaką od niepamiętnych czasów przybierają wszystkie ofiary pożarów. Byłem wtedy po całonocnym poście i ze wstydem przyznam, że kiedy poczułem intensywny zapach upieczonego ciała, moje usta natychmiast napełniły się śliną.

Trzeciego człowieka zamordowano nie dalej niż trzy metry ode mnie. Właśnie wyszedłem z hotelu i zagłębiłem się w labirynt zabłoconych, skleconych byle jak z desek pomostów, które w tej nędznej dziurze pełnią funkcję chodników, kiedy rozległy się strzały. Mężczyzna idący kilka kroków przede mną jakby się potknął, odwrócił się ku mnie ze zdumionym wyrazem twarzy, po czym runął jak długi w błoto i ścieki.

Został trzykrotnie trafiony z broni palnej. Dwa pociski utkwily mu w piersi, jeden pozostawił wielką ranę tuż pod lewym okiem. Nie do wiary, ale żył jeszcze, kiedy znalazłem się przy nim. Niewiele myśląc uklękłem, wyjąłem z mojej podręcznej torby stulę i fiolkę z wodą święconą, następnie zaś udzieliłem mu ostatniego namaszczenia. Wokół nas błyskawicznie zgromadził się gęsty tłum, ale nikt nie zaprotestował. Mężczyzna drgnął gwałtownie kilka razy, chrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, po czym wyzionął ducha. Tłum rozproszył się równie szybko, jak się zebrał.

Zmarły był w średnim wieku, miał jasne włosy i lekką nadwagę. Nie posiadał żadnego dokumentu, który pozwoliłby ustalić jego tożsamość, ani nawet komlogu. W jego kieszeni znajdowało się sześć srebrnych monet.

Nie wiadomo dlaczego postanowiłem czuwać przy zwłokach do końca dnia. Lekarz - niski, cyniczny mężczyzna - pozwolił mi asystować przy sekcji. Podejrzewam, że po prostu dawno nie miał okazji z nikim porozmawiać.

- Oto ile jest warte - powiedział, rozcinając brzuch nieszczęśnika. Odciągnął na

bok skórę i mięśnie, i przypiął je niczym powłokę namiotu.

- Co? - zapytałem.

- Jego życie. - Lekarz dotknął skóry na twarzy trupa; zareagowała jak gumowa maska. - Pańskie życie. Moje.

Ciało dokoła poszarpanej dziury w policzku miało ciemnosiną barwę.

- Musi być coś jeszcze - odparłem.

Spojrzał na mnie z pobłażliwym uśmiechem.

- Naprawdę? W takim razie proszę mi to pokazać. - Wyjął serce trupa i zważył je w ręku. - Na planetach należących do Sieci można by dostać za nie ładną cenę. Pełno tam takich, których nie stać na pozaustrojową hodowlę narządów, ale nie mają najmniejszego zamiaru umierać tylko dlatego, że nawaliło im serce. Tutaj to jedynie odpadek.

- Musi być coś jeszcze... - powtórzyłem, jednak już bez takiego przekonania. Doskonale pamiętałem pogrzeb Jego Świątobliwości papieża Urbana XV, który odbył się tuż przed moim wyjazdem z Pacem. Zgodnie ze zwyczajem sięgającym jeszcze czasów sprzed hegiry, ciało nie zostało zabalsamowane i czekało w przedsionku głównej bazyliki na złożenie do prostej, drewnianej trumny. Pomagając Edwardowi i monsignorowi Freyowi przy ubieraniu zwłok nie mogłem nie zauważyć zmienionej barwy skóry i obwisłych warg.

Lekarz tylko wzruszył ramionami i szybko zakończył pobieżną autopsję. Śledztwo trwało najkrócej, jak można sobie wyobrazić. Nie natrafiono na ślad sprawcy, nie ustalono motywu zabójstwa. Rysopis zamordowanego przesłano do Keats, natomiast ofiara została już następnego dnia pochowana w bezimiennej mogile na polu rozciągającym się między bagnistym brzegiem a żółtą dżunglą.

Port Romance jest zbieraniną żółtawych budowli z surowego drewna, wzniesionych na gąszczu pali i pomostów, które sięgają daleko w głąb zalewanych przypluwami trzęsawisk u ujścia rzeki Kans. W miejscu gdzie rzeka wpada do zatoki Toschahai, ma prawie dwa kilometry szerokości, ale tylko kilka z jej niezliczonych odnóg nadaje się do żeglugi, a i to trzeba je pogłębiać bez przerwy, w dzień i w nocy. Kiedy leżę wieczorem przy otwartym oknie, do moich uszu dociera nieustający klekot pogłębiarek. To bicie serca tego ohydneho miasta, natomiast odległe mlaskanie przypluwu jest jego wilgotnym oddechem. Nasłuchując tych odgłosów wciąż widzę przed sobą twarz zamordowanego człowieka.

Wielkie kompanie wybudowały na granicy miasta lądowisko śmigaczy, którymi

przewożą ludzi i ekwipunek na plantacje położone w głębi lądu, ale mam za mało pieniędzy, żeby dostać się na pokład któregoś z nich. To znaczy, dla mnie samego znalazłoby się miejsce, natomiast nie ma mowy o zabraniu trzech wielkich kufrów ze sprzętem naukowym. Mimo to, pokusa jest silna. Misja, jakiej chcę podjąć się wśród Bikurów, bardziej niż kiedykolwiek dotąd wydaje mi się bezsensowna i irracjonalna. Jedynie silna potrzeba posiadania jakiegoś celu oraz na wpół masochistyczne pragnienie wypełnienia do końca warunków mego dobrowolnego zesłania nakazują mi udać się w górę rzeki.

Za dwa dni z portu wypływa statek, który kieruje się właśnie w tamtą stronę. Zapłaciłem już za przejazd i jutro przewiozę na statek cały bagaż. Bez żalu pozostawię za sobą Port Romance.

41. dzień

“Cesarski Wodotrysk” płynie powoli w górę Kans. Odkąd dwa dni temu wyruszyliśmy z Ładowiska Meltona, nie widzieliśmy żadnych ludzkich osad. Nieprawdopodobnie gęsta dżungla zaczyna się na samym brzegu rzeki, a miejscami tworzy nad korytem wysokie sklepienie. Żółte światło, gęstości płynnego masła, sączy się między liśćmi drzew nierzadko nawet osiemdziesięciometrowej wysokości. Siedzę na pokrytej grubą warstwą rdzy rufie środkowej barki i staram się wypatrzyć pierwsze drzewa teslowe. Stary Kady, który siedzi w pobliżu, przestaje na chwilę pracować nożem, spluwa w bok przez wielką szparę między zębami i śmieje się głośno.

- Tutaj, w dole rzeki, na pewno ich nie zobaczysz - mówi. - Gdyby tu rosły, ten las wyglądałby zupełnie inaczej. Musisz wspiąć się na płaskowyż, wtedy napatrzysz się na nie do woli. Na razie jesteśmy jeszcze w dżungli, ojcze.

Codziennie po południu pada deszcz, choć “deszcz” to zbyt łagodne określenie dla tego potopu, który spada z nieba, przesłaniając oba brzegi, łomocząc przeraźliwie w metalowe dachy barek. Tempo podróży zmniejsza się wówczas tak bardzo, iż wydaje się, że stoimy w miejscu. Mam wrażenie, jakby rzeka każdego popołudnia zamieniała się w ryczący wodospad, który musimy pokonać, jeśli chcemy posuwać się dalej.

“Wodotrysk” jest wiekowym, płaskodennym holownikiem otoczonym pierścieniem pięciu barek, które przypominają obszarpane dzieci tłoczące się wokół matki. Barki są dwupoziomowe; na trzech z nich znajdują się towary przeznaczone do sprzedaży w nielicznych osiedlach i plantacjach rozlokowanych wzdłuż rzeki, dwie

pozostałe zaś udają bez powodzenia jednostki przeznaczone dla pasażerów, którzy z takich lub innych względów zapragnęli udać się w górę rzeki, choć podejrzewam, iż spora część spośród przebywających na nich osób mieszka tu na stałe. Wyposażenie mojej kajuty składa się z brudnego materaca na podłodze i przypominających jaszczurki robali na ścianach.

Po deszczu wszyscy gromadzą się na pokładach, by podziwiać wieczorne mgły unoszące się nad stygnącą rzeką. Powietrze jest gorące i potwornie wilgotne. Stary Kady twierdzi, że przybyłem za późno, aby przebyć lasy ogniste przed uaktywnieniem się drzew. Zobaczymy.

Dzisiejszego wieczoru kłęby mgły przypominają duchy topielców śpiących pod czarną powierzchnią wody. W górze, nad wierzchołkami drzew, znikają ostatnie chmury i świat znowu nasycy się barwami. Żółta dżungla staje się najpierw pomarańczowa, potem zaczyna dominować ochra, umbra... i wreszcie czerń. Stary Kady zapala latarnie i okryte kloszami świece zawieszono na belkach podtrzymujących górny pokład, a wtedy dżungla rozbłyska fluorescencyjnymi plamami rozkładu, podczas gdy ptaki o fosforyzującym upierzeniu i wielkie świetliki przelatują niespokojnie z gałęzi na gałąź.

Tej nocy nie widać małego księżycy Hyperiona, lecz planeta ta krąży wokół słońca po wyjątkowo zaśmieconej orbicie, w związku z czym na nocnym niebie często można dojrzeć ślady meteorów. Dziś jest ich szczególnie dużo. Są tak jasne, że zmuszają do odwrócenia wzroku, ale kiedy spoglądam na rzekę, widzę je niemal równie wyraźnie, odbite w ciemnej wodzie.

Nad wschodnim horyzontem unosi się poświata. Stary Kady twierdzi, że to orbitalne zwierciadła oświetlają niektóre z największych plantacji.

Jest zbyt ciepło, żeby zamykać się w kabinie. Rozpościeram cienką matę na dachu barki, kładę się i obserwuję trwający na niebie świetlny spektakl, podczas gdy wokół mnie podróżujący całymi rodzinami tubylcy śpiewają pieśni w żargonie, którego nawet nie staram się zrozumieć. Myślę o Bikurach - jakże jeszcze do nich daleko! - i zaczynam odczuwać dziwny niepokój.

W dżungli rozlega się wrzask jakiegoś zwierzęcia, przypominający krzyk przerażonej kobiety.

60. dzień

Dotarłem do plantacji Perecebo. Jestem chory.

62. dzień

Jestem bardzo chory. Gorączka i dreszcze. Wczoraj przez cały dzień wymiotowałem ciemną żółcią. Deszcz łomocze tak, że nic nie słyhać. Przez całą noc chmury są oświetlone blaskiem odbitym od orbitalnych zwierciadeł. Wydaje się, że niebo płonie. Mam wysoką gorączkę.

Opiekuje się mną kobieta. Myje mnie. Jestem zbyt chory, żeby odczuwać wstyd. Ma włosy ciemniejsze niż większość tubylców. Niewiele mówi. Czarne, łagodne oczy.

Boże, jak źle jest chorować tak daleko od domu.

dzień

czeka szpieguje przyjécho z dszczu w cienkiej spód

kusi mnie specjalnie wie kim jstem moja skóra płonie cienki materia sutki takie ciemne pod nim patrzą na mnie patrzą słyszę w nocy głosy kąpie mnie w tru słyszę głosy w deszczu przez deszcz przestańcie przes

nie mam skóry na twarzy. Językiem czuję dziurę w policzku. Jak znajdę kulę to ją wypluję wypluję, *agnusdei quitolis peccattamundi miserer nobis misere nobis miserere*

65. dzień

Dzięki Ci, o Panie, żeś wybawił mnie z choroby.

66. dzień

Semfa ogoliła mnie i pomogła dojść pod prysznic.

Potem przyszedł z wizytą administrator. Spodziewałem się zobaczyć jednego z tych wielkich, gburowatych typów, których widziałem zajętych sortowaniem zbiorów, ale on okazał się lekko sepleniącym, spokojnym mężczyzną o śniadej skórze. Był mi bardzo życzliwy. Niepokoilem się sprawą opłaty za opiekę, jaką mnie otoczono, on jednak zapewnił mnie, że nie będę musiał nic płacić. Mało tego: obiecał dać mi człowieka, który zaprowadzi mnie na płaskowyż! Twierdzi, że wprawdzie jest już dość późno, ale jeśli zdołam wyruszyć w ciągu dziesięciu dni, to powinno nam się udać przejść przez lasy ogniste i dotrzeć do Rozpadliny, zanim drzewa teslowe osiągną pełną aktywność.

Kiedy wyszedł, usiadłem w łóżku i trochę rozmawiałem z Semfą. Trzy miesiące temu jej mąż zginął w wypadku na plantacji. Semfa przybyła tutaj z Port Romance; małżeństwo z Mikelem okazało się dla niej zbawieniem, teraz zaś wolała pozostać tutaj i wykonywać różne posługi niż wracać do miasta. Wcale jej się nie dziwię.

Zrobi mi masaż, a potem zasnę. Ostatnio często widuję w snach matkę.

Dziesięć dni. Za dziesięć dni muszę być gotów do drogi.

75. dzień

Przed wyruszeniem w drogę w towarzystwie Tuka poszedłem pożegnać się z Semfą. Prawie nic nie mówiła, ale po wyrazie jej oczu poznałem, że ciężko jej się ze mną rozstać. Pobłogosławiłem ją i pocałowałem w czoło. Uśmiechnięty Tuk stał w pobliżu, kołysząc się w przód i w tył. Potem ruszyliśmy w drogę, prowadząc ze sobą dwa juczne zwierzęta. Zarządca Orlandi odprowadził nas do miejsca, gdzie kończy się droga, a zaczyna wąska ścieżka, i zaczął, aż znikniemy w złocistym lesie.

Domine dirige nos.

82. dzień

Po tygodniu spędzonym na szlaku... Na jakim szlaku? Po tygodniu spędzonym w bujnej, żółtej dżungli, po wyczerpującej wspinaczce na coraz bardziej strome zbocze płaskowyżu Pinion, dziś rano wdrapaliśmy się na skaliste wzniesienie, z którego roztaczał się widok na dżunglę, Dziób i Morze Środkowe. Płaskowyż wznosi się w tym miejscu niemal na trzy tysiące metrów nad poziom morza, więc panorama naprawdę zapiera dech w piersiach. Gęsta dżungla sięga aż do podnóża płaskowyżu, a przez prześwity w białoszarej powłoce chmur można dojrzeć szerokie zakola Kans, toczącej dostojnie swoje wody w kierunku Port Romance, daleko na wschodzie zaś ledwo widoczną, karmazynową plamę - według Tuka jest to plantacja plastowłókników w pobliżu Perecebo.

Kontynuowaliśmy wędrówkę aż do późnego wieczoru. Tuk obawia się, że drzewa teslowe uaktywnią się akurat wtedy, kiedy będziemy w środku lasu. Z trudem za nim nadażam, ciągnąc za uzdę objuczone zwierzę i modląc się po cichu, aby zaprzątnąć czymś umysł i nie poddawać się niedobrym przeczuciom.

83. dzień

Dzisiaj wyruszyliśmy jeszcze przed świtem. Powietrze jest przesycone

zapachem dymu i popiołu.

W wyglądzie szaty roślinnej zaszły uderzające zmiany. Najpierw zniknęły gdzieś gęste liściaste zarośla, potem niskie iglaste krzewy, wreszcie nawet zmutowane sosny i modrzewie. Weszliśmy w las ognisty, składający się z wysokich prometeuszów, rozłożystych feniksów i niemal kulistych, jarzących się bursztynowo migotników. Od czasu do czasu natrafialiśmy na niemożliwe do przebycia zagajniki białowłóknistych rozdwojonych azbestników, które według Tuka wyglądają jak "zgniłe kutasy jakichś wstrętnych olbrzymów, których komuś nie chciało się głębiej zakopać". Mój przewodnik nie przebiera w słowach.

Późnym popołudniem zobaczyliśmy pierwsze drzewo teslowe. Od pół godziny stąpaliśmy po ziemi pokrytej grubą warstwą popiołu, starając się nie deptać młodych feniksów i biczy ognistych, dzielnie torujących sobie drogę ku słonecznemu światłu, kiedy nagle Tuk stanął jak wryty i wyciągnął rękę.

Odległe o co najmniej pół kilometra drzewo teslowe miało wysokość jakichś stu metrów, a więc było dwukrotnie większe od najwyższych prometeuszów. W pobliżu korony znajdowało się wyraźnie widoczne, cebulowate zgrubienie organicznego akumulatora. Z rozchodzących się promieniście gałęzi zwisały dziesiątki pozornie cienkich, niemal pajęcznych nici, błyszczących metalicznie na tle bezchmurnego, zielono-lazurowego nieba. Natychmiast nasunęło mi się skojarzenie z eleganckim meczetem na Nowej Mekce, nie wiedzieć czemu przystrojonym srebrzystymi wstążkami.

- Zabieramy stąd tyłki, i to prędko! - syknął Tuk. Uparł się, żebyśmy od razu włożyli nasze specjalne zbroje, wobec czego resztę dnia spędziliśmy w maskach osmotycznych, buciorach o grubej gumowej podeszwie, spływając strugami potu pod zbrojami z przypominającej skórę gamma-przędzy. Oba juczne zwierzęta zaczęły zachowywać się bardzo nerwowo, strzygąc długimi uszami nawet przy najmniejszym hałasie. Pomimo maski wyraźnie czułem zapach ozonu; tak samo pachniały elektryczne kolejki, którymi jako dziecko bawiłem się w leniwe bożonarodzeniowe popołudnia w Villefranche-sur-Saône.

Rozłożyliśmy się obozem w pobliżu krzewów azbestowych. Tuk pokazał mi, w jaki sposób należy ustawić pierścień odgromników; przez cały czas mamrotał coś ponuro pod nosem i co chwila zerkał w niebo, wypatrując chmur.

Mimo wszystko zamierzam się porządnie wyspać.

84. dzień

0400.

Najświętsza Matko Boża.

Od trzech godzin znajdujemy się w samym środku czegoś, co wygląda na koniec świata.

Eksplozje zaczęły się krótko po północy. Początkowo były to zwykłe pioruny i na przekór zdrowemu rozsądkowi wysunęliśmy głowy z namiotu, aby obserwować pokazy pirotechniczne. Przywykłem do burz monsunowych, które nawiedzają Pacem zawsze w Miesiącu Mateuszowym, więc przez pierwszą godzinę spektaklu nie odczuwałem strachu. Jedynie widok ogromnych drzew teslowych oraz niezwykła koncentracja wyładowań działały mi nieco na nerwy. Wkrótce jednak te gigantyczne rośliny zaczęły oddawać nagromadzoną w akumulatorach energię, a kiedy już prawie zasypiałem - mimo nie milknącego nawet na sekundę hałasu - rozpętał się prawdziwy Armageddon.

W ciągu pierwszych dziesięciu sekund drzewa teslowe wytworzyły co najmniej sto ogromnych łuków elektrycznych. Rosnący nie dalej niż trzydzieści metrów od nas prometeusz nagle eksplodował, zasypując las płonącymi gałęziami. Otaczające nas odgromniki rozjarzyły się jaskrawoniebieską poświatą, ich wierzchołki zaś połączyły mniejsze, drgające niczym żywe istoty, łuki elektryczne. Tuk krzyknął, ale żaden ludzki głos nie miał szans przebić się przez łoskot uderzających raz za razem piorunów. Kępa feniksów, obok których uwiązaliśmy zwierzęta, stanęła nagle w płomieniach; jeden z mułów, choć spętany i z zasłoniętymi oczami, rzucił się do ucieczki i ogarnięty paniką wpadł między pręty odgromników. W następnym ułamku sekundy w nieszczęsne zwierzę uderzyło chyba z dziesięć jaskrawobłękitnych promieni; jestem gotów przysiąc, że przez mgnienie oka widziałem jego zawieszony w powietrzu szkielet, a potem muł wierzgnął rozpaczliwie i po prostu przestał istnieć.

Od trzech godzin obserwujemy koniec świata. Dwa odgromniki przewróciły się na ziemię, ale osiem pozostałych nadal działa. Tuk i ja tulimy się do siebie w gorącej pieczarze namiotu. Przez maski osmotyczne przedostaje się akurat tyle tlenu, żebyśmy nie udusili się w rozgrzanym, przesyconym dymem powietrzu. Żyjemy jeszcze tylko dzięki odgromnikom oraz temu, że Tuk ustawił nasz namiot z dala od potencjalnych celów, za to blisko dającej nieco osłony kępy krzewów azbestowych. Tylko to dzieli nas od wieczności.

- Chyba wytrzymają! - wrzeszczę do Tuka, usiłując przekrzyczeć ogłuszający

hałas.

- Godzinę, może dwie! - odpowiada mój przewodnik w taki sam sposób. - Jak tylko padną, będzie po nas!

Kiwam głową i przez szczelinę w masce pociągam łyk ciepłej wody. Jeśli przeżyję tę noc, będę zawsze dziękował Bogu za to, że w Swej łaskawości pozwolił mi ujrzeć ten widok.

87. dzień

Wczoraj w południe przekroczyliśmy północno-wschodnią granicę lasu ognistego, rozbiliśmy namiot nad brzegiem niewielkiego strumienia i przespaliśmy osiemnaście godzin bez przerwy, nadrabiając zaległości z trwającej trzy noce i dwa dni wędrówki przez koszmar płomieni i popiołów. Wszędzie dokoła widzieliśmy młodziutkie pędy żyjących na tym terenie roślin, które odradzały się po ognistej ulewie, jaka szalała przez dwie minione noce. Pozostało nam pięć odgromników, choć ani Tuk, ani ja nie mieliśmy wielkiej ochoty wystawiać ich na jeszcze jedną próbę. Drugi muł, ten, który przetrzymał, padł na ziemię i zdechł, w chwili kiedy zdjęliśmy ładunek z jego grzbietu.

Dziś rano obudził mnie szum wody. Poszedłem wzdłuż biegu strumienia mniej więcej kilometr na północny wschód. Szum z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy, a kiedy osiągnął maksymalne natężenie, strumień nagle zniknął mi z oczu.

Rozpadlina! Prawie zapomniałem o celu mojej wędrówki. Przeskakując z kamienia na kamień, dałem wreszcie susa na wielki wilgotny głaz, zachwiałem się, z trudem odzyskałem równowagę, po czym spojrzałem w dół na niemal trzykilometrowej wysokości wodospad, mgłę, skały i ledwo widoczną, cieniutką kreskę rzeki.

W przeciwieństwie do legendarnego Wielkiego Kanionu na Starej Ziemi czy Krawędzi Świata na Hebronie, Rozpadlina nie została wryta w wypiętrzającym się powoli płaskowyżu. Pomimo swoich oceanów i kontynentów na pierwszy rzut oka bardzo podobnych do ziemskich, Hyperion jest pod względem tektonicznym zupełnie martwy. Podobnie jak na Marsie, Lususie i Armaghaście, nie stwierdzono na nim dryfowania kontynentów, natomiast - tak samo jak Mars i Lusus - przechodzi cykliczne zlodowacenia, co prawda bardzo rzadkie, bo powracające co trzydzieści siedem milionów lat. Komlog porównuje Rozpadlinę do Doliny Marinera na Marsie, naturalnie przed przystosowaniem jej do potrzeb człowieka. Oba cuda natury

powstały w wyniku nakładającego się na siebie działania niskich temperatur oraz niszczycielskiego wpływu podziemnych rzek - takich, jaką niegdyś była Kans. Stąd właśnie wzięła się gigantyczna szczelina, biegnąca niczym długa blizna przez wypiętrzone skrzydło Aquili.

Niebawem dołączył do mnie Tuk. Byłem zupełnie nagi, gdyż przyszedłem nad strumień, aby splukać z siebie zapach spalenizny. Zacząłem chlapać się w wodzie jak dziecko, śmiejąc się głośno, kiedy zachwycone okrzyki Tuka wróciły do nas słabym echem, odbite od Północnej Ściany, wnoszącej się w odległości mniej więcej dwóch trzecich kilometra. Staliśmy na występie sięgającym daleko nad przepaść, tak że nie mogliśmy dostrzec nawet kawałka Południowej Ściany. Uznaliśmy, że skoro okoliczne skały wytrzymały jakoś ostatnie parę milionów lat, wytrzymają też jeszcze kilkadziesiąt minut. Ochlapywaliśmy się wodą, darliśmy się co sił w płucach aż do zachrypnięcia, i w ogóle zachowywaliśmy się jak dzieci wypuszczone przed czasem ze szkoły. Tuk wyznał, że jeszcze nigdy nie przeszedł przez cały las ognisty ani nie znał nikogo, komu by się to udało o tej porze roku, a następnie poinformował mnie, że teraz, kiedy drzewa teslowe osiągnęły pełną aktywność, musi poczekać co najmniej trzy miesiące, zanim będzie mógł wyruszyć w drogę powrotną. Nie wydawał się jednak tym zbyt zmartwiony, a ja cieszyłem się, że będę go miał obok siebie.

Po południu przenieśliśmy na raty cały ekwipunek i rozbiliśmy obóz w odległości około stu metrów od skraju urwiska. Postanowiłem, że jutro przejrzę dokładniej wszystkie paki i dokonam surowej selekcji.

Wieczór był bardzo chłodny. Po kolacji, tuż przed zachodem słońca, włożyłem ocieplaną kurtkę i poszedłem samotnie na skalną platformę położoną na południowy zachód od miejsca, gdzie po raz pierwszy ujrzałem Rozpadlinę. Widok, jaki się stamtąd roztaczał, dosłownie zapierał dech w piersi. Z niezliczonych wodospadów unosiły się chmury pyłu wodnego, a promienie zachodzącego słońca zapalały w nich mieniące się bajecznymi kolorami tęcze. Obserwowałem z podziwem, jak rodzą się kolejne barwy, by wkrótce wznieść się ku mroczniejszej kopule nieba i tam zniknąć bez śladu. W miarę jak chłodne powietrze wciskało się w szczeliny i zagłębienia terenu, ciepłe zaś uciekało w górę, zabierając ze sobą liście, a nawet co mniejsze gałązki, z głębi Rozpadliny począł wydobywać się przedziwny odgłos, zupełnie jakby kontynent odzywał się z głębi swoich trzewi głosami kamiennych olbrzymów. Odniosłem wrażenie, że słucham jakichś gigantycznych, niebiańskich organów, których piszczałki potrafią wydobyć z siebie wszystkie tony - od najwyższych,

krystalicznie czystych poczynając, na najniższych, wstrząsających posadami planety, kończąc. Przypuszczałem, iż sprawcą tego zjawiska jest powietrze z jaskiń, przeciskające się teraz przez skalne kominy, ale po pewnym czasie przestałem szukać racjonalnych wyjaśnień i po prostu wsłuchiwałem się w dźwięki hymnu, jakim Rozpadlina żegnała zachodzące słońce.

Wróciłem do namiotu otoczonego półkolem bioluminescencyjnych lamp dopiero wówczas, gdy na niebie pojawiły się wyrysowane oślepiająco białymi krechami trajektorie niezliczonych meteorów, a zza południowego i zachodniego horyzontu zaczęły dobiegać odgłosy burzy, jaka rozpełtała się nad lasami ognistymi. Przywodziło to na myśl wspomnienia o jednej ze starożytnych ziemskich wojen z okresu sprzed hegiry.

Włączyłem komlog, ale choć ustawiłem go na największy zasięg, uzyskałem jedynie biały szum. Podejrzewam, że nawet gdyby prymitywne satelity komunikacyjne obejmowały zasięgiem te rejony, to i tak drzewa teslowe zagłuszyłyby swoją aktywnością wszelkie sygnały, może z wyjątkiem skupionej wiązki lasera albo tachionowej transmisji między komunikatorami. W klasztorze na Pacem tylko niewielu z nas miało osobiste komunikatory, ale w razie potrzeby zawsze mogliśmy skorzystać z datasfery. Tutaj nie ma takiej możliwości.

Siedzę, wsłuchuję się w ostatnie dźwięki cichnącej pieśni kanionu, obserwuję niebo, które na przemian to jaśnieje, to znowu przygasa, uśmiecham się, kiedy Tuk zachrapie głośniej w swoim śpiworze, który rozłożył obok namiotu, i myślę sobie, że jeżeli tak ma wyglądać moje wygnanie, to nie mam nic przeciwko temu.

88. dzień

Tuk nie żyje. Został zamordowany.

Natknąłem się na jego ciało, kiedy o wschodzie słońca wyszedłem z namiotu. Położył się spać cztery metry ode mnie, na dworze, gdyż, jak powiedział, chciał spędzić noc pod gwiazdami.

Mordercy poderznęli mu gardło. Nie słyszałem żadnego krzyku, ale miałem dziwny sen. Śniło mi się, że znowu mam gorączkę i opiekuje się mną Semfa, że dotyka chłodnymi rękami mojej szyi i piersi, a także krzyżyka, który noszę od dzieciństwa. Stałem nad ciałem Tuka, wpatrując się w wielką czarną plamę, pozostawioną przez krew, która wsiąkła w obojętną ziemię Hyperiona, i zadrzałem na myśl o tym, że ten sen mógł być czymś więcej niż tylko snem. Chyba naprawdę czułem w nocy dotyk

czyichś rąk.

Przyznaję, że zareagowałem raczej jak przerażony stary głupiec niż jak ksiądz. Udzieliłem nieszczęśnikowi ostatniego namaszczenia, ale zaraz potem ogarnęła mnie panika. Zacząłem rozpaczliwie szukać jakiejś broni, znalazłem ostrą maczetę, której używałem w dżungli, niewielki maser, który zabrałem z myślą o ewentualnym polowaniu na drobną zwierzynę, i silną lornetkę, po czym zaniósłem to wszystko za wielki głaz w pobliżu krawędzi Rozpadliny i począłem rozglądać się wkoło w poszukiwaniu zabójców. Nie potrafię powiedzieć, czy zdobyłbym się wówczas na to, aby użyć broni przeciwko jakiejś ludzkiej istocie. Nic się nie poruszało, jeśli nie liczyć małych nadrzewnych stworzeń, które zauważyliśmy już poprzedniego dnia. Las jednak wydawał mi się nienaturalnie gęsty, natomiast sama Rozpadlina, ze swymi licznymi tarasami, półkami skalnymi i szczelinami, w dodatku często spowitymi mgłą, mogła stanowić kryjówkę dla całej armii uzbrojonych dzikusów.

Po półgodzinie odzyskałem zdolność logicznego myślenia, wróciłem do obozu i zająłem się przygotowaniami do pochówku. Potrzebowałem ponad dwóch godzin, żeby w kamienistej ziemi wykopać dół odpowiednich rozmiarów. Kiedy już złożyłem w nim zwłoki, usypałem nad nimi niewysoką mogiłę i odmówiłem wszystkie stosowne modlitwy; przekonałem się przy tym, że nie bardzo potrafię powiedzieć coś od serca o tym szorstkim w obejściu, zabawnym człowieczku, który był moim przewodnikiem.

- Weź go pod Swoją opiekę, Panie - wydukałem wreszcie, w najwyższym stopniu zde gustowany własną hipokryzją. W głębi serca byłem pewien, że nikt oprócz mnie nie słyszy tych słów. - Spraw, aby nie błąkał się w wiecznych ciemnościach. Amen.

Wieczorem przenieśliśmy się wraz z obozem o pół kilometra na północ. Namiot stoi na odkrytym terenie dziesięć metrów ode mnie, ale ja siedzę w śpiworze oparty plecami o głaz, z maczetą i maserem w zasięgu ręki. Po pogrzebie Tuka przejrzałem zapasy i skrzynie ze sprzętem; nic nie zginęło, z wyjątkiem pięciu ostatnich odgromników. Natychmiast przyszło mi do głowy podejrzenie, czy ktoś nie podążał za nami przez las ognisty z zamiarem zabicia Tuka i uwięzienia mnie na płaskowyżu, ale nie potrafiłem wyobrazić sobie motywu tak skomplikowanego działania. Przecież każdy mógł zamordować nas w dżungli albo – jeszcze lepiej z punktu widzenia zabójcy - zaraz na początku lasu ognistego, gdzie nikogo nie zdziwiłaby obecność dwóch zwęglonych ciał. Tak więc pozostają tylko Bikurowie, moi prymitywni pupile.

Rozważałem pomysł powrotu bez odgromników przez las ognisty, ale to byłoby

szaleństwo. Jeśli tu zostanę, prawdopodobnie umrę; jeśli pójdę, zginę na pewno.

Trzy miesiące do końca okresu aktywności drzew teslowych. Sto dwadzieścia dwudziestosześciodzinnnych dni. Cała wieczność.

Drogi Jezu, dlaczego to spotkało właśnie mnie? I dlaczego zostałem ocalony minionej nocy, skoro mam stracić życie już tej, która nadchodzi... albo następnej?

Siedzę w gęstniejącym mroku, wsłuchując się w groźną teraz i złowieszczą muzykę, która zaczyna dobiegać z Rozpadliny, i modłę się do nieba poznaczonego jaskrawymi krechami meteorów.

A raczej szepczę słowa, których nikt oprócz mnie nie i słyszy.

95. dzień

Wspomnienia o koszmarze z ubiegłego tygodnia znacznie przyblakły. Przekonałem się, że po kilku dniach nie spełnionego oczekiwania nawet strach powszednieje, stając się czymś zupełnie zwyczajnym.

Za pomocą maczety ściałem sporo młodych drzewek, z których zbudowałem coś w rodzaju szałas. Pokryłem dach gamma-przędzą, szpary w ścianach zaś zatkałem gliną. Tylną ścianę stanowi powierzchnia głazu. Poszperałem w sprzęcie i nawet rozstawiłem kilka urządzeń, choć mocno wątpię, czy będę miał okazję skontrolować ich wskazania.

Podjąłem działania mające na celu uzupełnienie szybko topniejącego zapasu żywności. Według bezsensownego harmonogramu, jaki opracowałem dawno temu na Pacem, powinienem już od kilku tygodni przebywać wśród Bikurów i w zamian za różne drobiazgi otrzymywać od nich miejscowe pożywienie. Zresztą to i tak nie ma większego znaczenia. Dostyc monotonna dietę składającą się z gotowanych korzeni chalmu wzbogaciłem o kilka gatunków jagód oraz innych owoców, o których jadalności zapewnił mnie komlog. Jak do tej pory mój organizm miał inne zdanie tylko w jednym przypadku, w wyniku czego spędziłem niemal całą noc w kucki, na brzegu pobliskiej szczeliny skalnej.

Wędruję po swoim więzieniu niczym zamknięty w klatce pelops, stanowiący obiekt dumy jakiegoś pomniejszego padyszacha z Armaghastu. Kilometr na południe i cztery kilometry na zachód stąd zaczynają się lasy ogniste, obecnie w pełni aktywności. Rano unosząca się mgła zabiera ze sobą gęste chmury dymu, które na jakiś czas zupełnie przesłaniają niebo. Jedyne twarde jak skała krzewy azbestowe, kamienista ziemia i urwiste wzniesienia ciągnące się na północny wschód stąd nie

dopuszczają do rozprzestrzenienia się ognistego piekła.

Na północy płaskowyż rozszerza się, a poszycie staje się nieco bardziej gęste; piętnaście kilometrów dalej znajduje się przepaść mniej więcej o dwie trzecie płytsza i o połowę szersza od Rozpadliny. Wczoraj dotarłem do wysuniętego najdalej na północ punktu i stanąłem, załamany, na skraju pionowego urwiska. W najbliższym czasie skieruję się bardziej na wschód w poszukiwaniu dogodnego zejścia, lecz obawiam się, że natrafie na kolejny kanion, za nim zaś ujrzę połacie lasów ognistych, które - według niedokładnych map sporządzonych na podstawie zdjęć satelitarnych - zajmują znaczną część tego rejonu.

Wieczorem, kiedy wiatr zaczął nucić swoją eoliczną pieśń, odwiedziłem kamienistą mogiłę Tuka. Ukłąłem na niej, próbując się modlić, ale żadne słowa nie chciały przyjść mi do głowy.

Żadne, Edwardzie. Jestem równie pusty jak te fałszywe sarkofagi, które razem wygrzebywaliśmy ze sterylnych piasków pustyni w pobliżu Tarum bel Wadi.

Gnostyk zen powiedziałby, że taka pustka stanowi dobry znak, gdyż umożliwia wspięcie się na wyższy poziom świadomości, gdzie więcej postrzegamy i rozumiemy.

Merde.

Moja pustka jest tylko pustką.

96. dzień

Znalazłem Bikurów, a raczej oni znaleźli mnie. Zapiszę, ile się da, zanim przyjdą, by obudzić mnie ze "snu".

Dzisiaj uaktualniałem mapę zaledwie cztery kilometry na północ od obozu, kiedy około południa mgła podniosła się, odsłaniając zagadkowe tarasy w ścianie po mojej stronie Rozpadliny. Przyglądając im się przez lornetkę przekonałem się, że tarasy te - a także mnóstwo wykutych na różnych wysokościach półek skalnych, ścieżek, stopni i pochylni - stanowią dzieło rąk ludzkich. Na jednym z najobszerniejszych dostrzegłem około dziesięciu chat. Prawda, że były bardzo prymitywne, niemniej ponad wszelką wątpliwość zostały zbudowane przez człowieka.

Kiedy tak stałem, niezdecydowany, z lornetką podniesioną do oczu, zastanawiając się, czy powinienem tam zejść i spotkać się z mieszkańcami osiedla, czy raczej należałoby czym prędzej wrócić do obozu, poczułem na grzbiecie i karku to szczególne mrowienie, które informuje nas, że nie jesteśmy już sami. Opuściłem lornetkę i odwróciłem się powoli. Co najmniej trzydziestu Bikurów stało ciasnym

półkolem, odgradzając mnie od ściany lasu, w którym ewentualnie mógłbym szukać schronienia.

Sam nie wiem, czego się spodziewałem; być może widoku nagich dzikusów o drapieżnych twarzach, w naszyjnikach z zębów upolowanych zwierząt, albo brodatych, na wpół szalonych pustelników, których czasem można spotkać w górach Moshé na Hebronie. Bez względu na to, jakie były moje oczekiwania, Bikurowie nie spełnili ich w najmniejszym stopniu.

Ludzie, którzy zbliżyli się do mnie bezszelestnie, byli bardzo niscy - najwyższy ledwo sięgał mi do ramienia - i ubrani w proste stroje z ciemnego, grubo tkanego materiału, które zakrywały ich ciała od szyi aż po stopy. Kiedy się poruszali, zdawali się sunąć nad ziemią niczym duchy. Z daleka łatwo można było wziąć ich za gromadkę wyjątkowo niskich jezuitów zgromadzonych gdzieś na terenie Nowego Watykanu.

Nieomal roześmiałem się na tę myśl, ale w porę uświadomiłem sobie, iż taka reakcja może być spowodowana ogarniającą mnie paniką, mimo że nic nie wskazywało na to, bym miał się czego obawiać. Bikurowie nie zachowywali się agresywnie, a ich drobne ręce były puste. Równie puste jak twarze.

Doprawdy, trudno jest zwięźle, a jednocześnie dokładnie opisać ich fizjonomie. Są łysi, co do jednego. Brak jakiegokolwiek owłosienia na głowie i twarzy oraz luźne stroje sprawiają, że bardzo trudno jest odróżnić mężczyzn od kobiet. Wszyscy członkowie grupy, która zgromadziła się przede mną - tak na oko mogła liczyć już około pięćdziesięciu osób - byli mniej więcej w tym samym wieku. Ocenilem ich na czterdzieści do pięćdziesięciu lat standardowych. Mieli gładkie twarze o lekko zażółconej skórze; myślę, iż wiąże się to ze spożywaniem pewnych substancji mineralnych zawartych w korzeniach chalmy oraz innych miejscowych roślin.

W pierwszej chwili łatwo popełnić błąd i powiedzieć, że Bikurowie mają anielskie twarze. Dopiero uważne przyjrzenie się pozwala stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, iż to, co błędnie zinterpretowaliśmy jako anielską pogodę, jest w rzeczywistości łagodną tępotą. Jako kapłan spędziłem wystarczająco dużo czasu na różnych zacofanych planetach, aby nauczyć się dostrzegać objawy zaburzeń genetycznych zwanych zespołem Downa, mongolizmem albo chorobą wielopokoleniowych ekspedycji. Dokładniejsza obserwacja pozwoliła mi dostrzec wszystkie te objawy na twarzach małych, skromnie odzianych ludzików; miałem naprzeciwko siebie gromadę uśmiechniętych, łysych, niedorozwiniętych dzieci.

Wciąż jednak pamiętałem, że niemal na pewno były to te same "dzieci", które

poderżnęły gardło Tukowi i pozwoliły mu wykrwawić się jak zaszlachtowanej świni.

Najbliższy Bikura postąpił pięć kroków naprzód, zatrzymał się i powiedział coś łagodnym, monotonnym głosem.

- Chwileczkę - odparłem. Pośpiesznie włączyłem funkcję translatorską w komlogu.

- *Beyetet ota menna lot cresfem ket?* - powtórzył człowieczek stojący tuż przede mną.

Włożyłem słuchawkę w samą porę, aby dotarł do mnie przekład. Komlog tłumaczył bez żadnego opóźnienia. Widocznie ten pozornie obcy język stanowił mutację archaicznej, statkowej angielszczyzny i był spokrewniony z tubylczym żargonem używanym na plantacjach.

- Czy ty jesteś człowiekiem, który należy do znaku krzyża/krzyżokształtu? - zapytał komlog, dając mi do wyboru dwa znaczenia rzeczownika.

- Tak - odparłem. Teraz miałem już pewność, że to oni dotykali mnie tej samej nocy, kiedy zginął Tuk. Oznaczało to także, że właśnie oni zabili mego przewodnika.

Czekałem w milczeniu na ich reakcję. Maser znajdował się w plecaku opartym o pień drzewa nie dalej niż dziesięć kroków od miejsca, gdzie stałem. Odgradzało mnie od niego jakieś pół tuzina Bikurów, choć to i tak nie miało żadnego znaczenia, gdyż nagle zrozumiałem z całą jasnością, że nie potrafiłbym użyć broni przeciwko ludzkiej istocie, nawet takiej, która wcześniej zamordowała Bogu ducha winnego Tuka, a teraz być może szykuje się, by to samo zrobić ze mną. Zamknąłem oczy i w milczeniu wyznałem grzechy. Kiedy podniosłem powieki, przekonałem się, że Bikurów jest jeszcze więcej. Nie poruszali się ani nie rozmawiali między sobą, jakby już podjęli decyzję, co ze mną począć.

- Tak - powtórzyłem, przerywając milczenie. - Ja jestem człowiekiem, który nosi krzyż.

Ostatnie słowo komlog przetłumaczył jako *cresfem*.

Bikurowie skinęli głowami, po czym - jak grupa doskonale obeznanych z rytuałem ministrantów - wszyscy jednocześnie uklękli na jedno kolano.

Otworzyłem usta, lecz nie byłem w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku, więc je zamknąłem.

Bikurowie wstali jak na komendę. Lekki wiatr poruszył małymi gałązkami i liśćmi chalmy. Szelest, jaki się rozległ, był jednym z odgłosów charakterystycznych dla kończącego się lata. Stojący najbliżej Bikura podszedł do mnie, zacisnął chłodne, silne

palce na moim przedramieniu i łagodnym głosem wypowiedział zdanie, które komlog przetłumaczył w następujący sposób:

- Chodź. Już czas wrócić do domów i zasnąć.

Było dopiero wczesne popołudnie. Zastanawiając się, czy komlog nie dokonał błędnego przekładu, i czy słowo “zasnąć” nie zostało przypadkiem użyte jako synonim wyrazu “umrzeć”, skinąłem głową, po czym ruszyłem za nimi w kierunku wioski położonej na skraju Rozpadliny.

Teraz siedzę w jednej z chat i czekam. Na zewnątrz coś szeleści. Chyba ktoś czuwa. Siedzę i czekam.

97. dzień

Bikurowie mówią o sobie “Trzy Dwudziestki i Dziesiątka”.

Od dwudziestu sześciu godzin rozmawiam z nimi, obserwuję, sporządzam notatki, kiedy udają się na dwugodzinny popołudniowy “sen”, i w ogóle staram się zgromadzić jak najwięcej informacji, zanim wreszcie postanowią poderżnąć mi gardło.

Tyle tylko, iż zaczynam wierzyć, że chyba nie zrobią mi krzywdy.

Rozmawiałem z nimi wczoraj zaraz po naszym “śnie”. Czasem w ogóle nie reagują na pytania, a kiedy już się uda wycisnąć z nich jakąś odpowiedź, zazwyczaj można się z niej dowiedzieć tyle samo, co z bełkotu niedorozwiniętego dziecka. Po naszym pierwszym spotkaniu nie zdarzyło się, żeby któryś z nich z własnej inicjatywy odezwał się do mnie choć słowem.

Wypytywałem ich delikatnie i ostrożnie, z zawodowym spokojem etnologa-profesjonalisty. Zacząłem od zadawania najprostszych, podstawowych pytań, aby upewnić się, że komlog działa poprawnie, ale teraz, kiedy zebrałem już wszystkie odpowiedzi, wiem niemal równie mało jak ponad dwadzieścia godzin temu.

Po pewnym czasie, zmęczony zarówno fizycznie, jak psychicznie, dałem sobie spokój z subtelnościami i zapytałem prosto z mostu:

- Czy to wy zabiliście mego towarzysza?

Moi trzej rozmówcy nawet nie podnieśli głów znad prymitywnego warsztatu tkackiego, na którym wytwarzają zgrzebny materiał na swoje odzienie.

- Tak - odparł ten, którego nazwałem Alfa, ponieważ wtedy, w lesie, odezwał się do mnie jako pierwszy. - Przecięliśmy mu gardło ostrymi kamieniami i przytrzymaliśmy go, kiedy próbował się bronić. Umarł prawdziwą śmiercią.

- Ale dlaczego? - zapytałem po chwili. Gardło miałem suche jak zeszłoroczne liście.

- Dlaczego umarł prawdziwą śmiercią? - Alfa nadal nie przerywał pracy. - Bo wyciekła z niego cała krew i przestał oddychać.

- Nie, nie... Dlaczego go zabiliście?

Alfa milczał, natomiast Betty - która może jest, a może nie jest kobietą i partnerką Alfego - podniosła głowę i odparła po prostu:

- Żeby umarł.

- Ale dlaczego?

Otrzymałem kolejne odpowiedzi, które jednak ani trochę mnie nie oświeciły. Po trwającej dość długo rozmowie mogłem być pewien tylko jednego: że zabili go po to, by umarł, i że umarł dlatego, że go zabili.

- Na czym polega różnica między śmiercią a prawdziwą śmiercią? - zapytałem wreszcie, zwątpiwszy zarówno w translatorskie umiejętności komloga, jak i własne zmysły.

Trzeci Bikura, Del, wymamrotał coś, co komlog przetłumaczył jako:

- Twój towarzysz umarł prawdziwą śmiercią. Ty nie.

- Dlaczego nie? - parsknąłem, dając się ponieść narastającej we mnie od jakiegoś czasu wściekłości. - Dlaczego mnie nie zabiliście?

Cała trójka przerwała pracę i spojrzała na mnie.

- Ty nie możesz zostać zabity, bo nie możesz umrzeć - powiedział Alfa. - Nie możesz umrzeć, bo należysz do znaku krzyża i idziesz za krzyżem.

Nie mogłem pojąć, dlaczego ta przeklęta maszyna raz tłumaczy krzyż jako "krzyż", a za chwilę już jako "krzyżokształt". "Bo należysz do krzyżokształtu".

Przez moje ciało przebiegł lodowaty dreszcz, potem zaś poczułem nieprzepartą ochotę, by wybuchnąć śmiechem. Czyżbym wpadł w ten schemat ze starych powieści przygodowych: prymitywne plemię wielbi białego "boga", który przypadkiem znalazł się w ich dżungli, a potem, kiedy biedak zatnie się przy голениu albo skręci nogę, składa go w ofierze, ośmielone tym niezbitym dowodem jego człowieczeństwa?

Byłoby to naprawdę zabawne, gdybym nie miał jeszcze tak świeżo w pamięci obrazu bladej twarzy Tuka i wielkiej rany ziejącej w jego gardle.

Sposób, w jaki reagowali na krzyż, świadczył jednoznacznie o tym, że natrafiłem na pozostałości chrześcijańskiej, a może nawet katolickiej kolonii, mimo iż komlog twierdzi uparcie, że w lądowniku, który czterysta lat temu rozbił się na tym

płaskowyżu, znajdowali się jedynie neokerwino-marksiści, traktujący dawne religie z daleko idącą obojętnością, jeśli nie wręcz z wrogością.

Powinienem był pozostawić ten temat w spokoju, jako zbyt niebezpieczny, żeby go drążyć, lecz ciekawość okazała się silniejsza od rozsądku.

- Czy modlicie się do Jezusa?

Ich puste twarze stanowiły najlepszą odpowiedź.

- Chrystusa? - parłem twardo naprzód. - Jezusa Chrystusa? Należyście do Kościoła katolickiego?

Ani śladu zainteresowania.

- Jezus?... Maria?... Święty Piotr? Paweł? Święty Teilhard?...

Komlog wydawał jakieś dźwięki, ale oni nie zwracali na nie najmniejszej uwagi.

- Idziecie za krzyżem? - zapytałem wreszcie, rozpaczliwie próbując nawiązać nić porozumienia.

Wszyscy troje spojrzeli na mnie.

- Należymy do krzyżokształtu - powiedział Alfa.

Skinąłem głową, nic nie rozumiejąc.

Wieczorem zasnąłem na krótko tuż przed zachodem słońca; obudziły mnie dźwięki organowej muzyki Rozpadliny. Tutaj, na tarasach, słyhać ją znacznie lepiej niż w lesie. Nawet nędzne chatynki zdają się brać udział w koncercie, gdyż wiatr ze świstem przeciska się przez szczeliny w ścianach, kołysze matami, które pełnią tu rolę drzwi, i ucieka w górę przez otwory kominowe.

Dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, że coś jest nie w porządku. Wioska była pusta. Wyszedłem z chaty, usiadłem na kamieniu i zacząłem się zastanawiać, czy moja obecność stała się przyczyną jakiegoś exodusu. Wiatr ucichł, na niebie pojawiły się smugi meteorów, a ja usłyszałem szelest, odwróciłem się i ujrzałem przed sobą w komplecie Trzy Dwudziestki i Dziesiątkę.

Minęli mnie bez słowa i zniknęli w chatach. Nie paliły się żadne światła. Wyobraziłem ich sobie, jak siedzą w swoich lichych domostwach i wpatrują się w ciemność.

Ja zostałem jeszcze na zewnątrz. Podeszedłem do krawędzi półki porośniętej rzadką trawą. Rosły tam jakieś pnącza, zwieszające się w przepaść, ale żadne pnącze nie mogło być tak długie, żeby dosięgnąć odległego o dwa kilometry dna Rozpadliny.

Jednak Bikurowie nadeszli właśnie z tej strony.

To nie miało żadnego sensu. Potrząsnąłem głową i wróciłem do chaty.

Piszę teraz przy blasku ekranu komlogu, zastanawiając się, jakie środki ostrożności powinienem przedsięwziąć, żeby doczekać wschodu słońca.

Nic nie przychodzi mi do głowy.

103. dzień

Im więcej wiem, tym mniej rozumiem. Przeniosłem większość sprzętu do chaty, w której mnie umieścili.

Robię zdjęcia, filmuję i nagrywam, a nawet staram się sporządzić kompletny holoskan wioski i jej mieszkańców, ale im jest wszystko jedno. Odtwarzam zarejestrowane przed chwilą obrazy, a oni po prostu przechodzą przez nie, nie okazując ani odrobiny zainteresowania. Odtwarzam ich głosy, oni zaś tylko się uśmiechają, włączają do swoich chat i siedzą tam całymi godzinami, nic nie robiąc. Wciskam im najróżniejsze przedmioty, które zabrałem z myślą o handlu wymiennym, a oni biorą je machinalnie, sprawdzają, czy nadają się do jedzenia, po czym rzucają na ziemię. Trawa jest już usłana szklanymi paciorkami, lusterkami, skrawkami kolorowego materiału i plastikowymi pisakami.

Rozstawiłem przenośne laboratorium medyczne, choć sam właściwie nie wiem po co; Trzy Dwudziestki i Dziesiątka nie pozwalają się zbadać, nie pozwalają pobrać sobie próbek krwi, mimo iż nieskończenie wiele razy pokazywałem im, że to nie boli - krótko mówiąc, odmawiają jakiegokolwiek współpracy. Przy tym wcale się nie kłócą ani nie podają powodów takiego postępowania. Po prostu odwracają się plecami i dalej oddają się nieróbstwu.

Choć przebywam wśród nich już tydzień, nadal nie potrafię odróżnić mężczyzn od kobiet. Ich twarze są jak te optyczne lamigłówki, które zmieniają kształt, kiedy się na nie patrzy. Są chwile, kiedy twarz Betty wydaje mi się stuprocentowo kobieca, ale już dziesięć sekund później to wrażenie znika i znowu zaczynam o niej (o nim?) myśleć jako o Becie. Takim samym zmianom podlegają ich głosy. Łagodne, modulowane, bezpłciowe... Kojarzą mi się z marnie zaprogramowanymi komputerami domowymi na co bardziej zacofanych planetach.

Czatuje na okazję, aby choć przez chwilę móc popatrzeć na nagiego Bikurę. Niełatwo jest przyznać się do tego jezuicie o czterdziestoosmioletnim stażu, ale zadanie i tak byłoby niezmiernie trudne nawet dla doświadczonego podglądacza. Wśród Bikurów obowiązuje absolutne tabu nagości. Noszą te swoje długie szaty przez cały dzień, nawet podczas dwugodzinnej popołudniowej drzemki. Potrzeby

fizjologiczne załatwiają poza wioską, ale podejrzewam, że nawet wtedy nie zdejmują ubrania. Chyba w ogóle się nie myją. W związku z tym należałoby się spodziewać niezbyt miłych wrażeń węchowych, tymczasem jedynym zapachem, jaki czuć od tych ludzi, jest słaba, słodkawa woń chalmy.

- Chyba zdarza się wam rozbierać? - zapytałem wreszcie wprost Alfę, rezygnując z delikatności.

- Nie - odparł, po czym usiadł na pobliskim kamieniu i zaczął nic nie robić - rzecz jasna, całkowicie ubrany.

Nie mają imion. Początkowo nie chciałem w to uwierzyć, ale teraz jestem już tego pewien.

- Jesteśmy wszystkim, co było i będzie - powiedział najmniejszy Bikura, którego nazywam Eppie i który być może jest kobietą. - Jesteśmy Trzema Dwudziestkami i Dziesiątką.

Przeszukałem pamięć komlogu i uzyskałem potwierdzenie swoich przypuszczeń: wśród ponad szesnastu tysięcy znanych ludzkich społeczeństw nie ma ani jednego, którego członkowie byliby pozbawieni indywidualnych imion. Nawet w zorganizowanej na pszczeli wzór społeczności Lususa poszczególne osobniki reagują na kategorię klasową, po której następuje prosty, zindywidualizowany kod.

Mówię im, jak się nazywam, a oni patrzą na mnie i milczą.

- Ojciec Paul Duré, ojciec Paul Duré - powtarza komlog. Bez skutku.

Jako grupa robią bardzo niewiele, jeśli nie liczyć codziennego znikania tuż przed zachodem słońca i poobiedniej drzemki. Zauważyłem, że nawet nie przywiązują wagi do tego, gdzie i z kim mieszkają. Wczoraj Al poszedł spać z Betty, dzisiaj z Gamem, jutro będzie to Zelda albo Pete. Co trzeci dzień cała gromada rusza do lasu, skąd wraca obładowana jagodami, korzeniami chalmy, korą, owocami i w ogóle wszystkim, co nadaje się do jedzenia. Byłem pewien, że są wegetarianami, dopóki nie zobaczyłem Dela, jak pałaszuje młodą małpiatkę, która zabiła się, spadając z drzewa. Wygląda na to, że Bikurowie nie mają nic przeciwko mięsu, ale są po prostu zbyt głupi, żeby nauczyć się polować.

Kiedy czują pragnienie, muszą iść ponad trzysta metrów do miejsca, w którym strumień spada kaskadą ku dnu Rozpadliny. Nie zauważyłem żadnych bukłaków, dzbanów ani w ogóle jakichkolwiek naczyń. Ja sam trzymam zapas wody w dwudziestolitrowych plastikowych pojemnikach, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Mam dla tych ludzi już tak mało szacunku, że nawet jestem w stanie uwierzyć, iż od

pokoleń mieszkają w wiosce pozbawionej jakiegokolwiek źródła wody.

- Kto zbudował domy? - pytam. Nie wiedzą, co to znaczy "wioska".

- Trzy Dwudziestki i Dziesiątka - odpowiada Will. Poznaję go po złamanym palcu, który zrósł się trochę krzywo. Każdy z Bikurów ma jakąś drobną cechę charakterystyczną, choć czasem wydaje mi się, że łatwiej byłoby mi odróżnić krowy na pastwisku.

- Kiedy je zbudowali? - pytam dalej, choć powinienem już wiedzieć, że nie uzyskam odpowiedzi na żadne pytanie zaczynające się od "kiedy".

Tak dzieje się również tym razem.

Co wieczór schodzą do Rozpadliny. Po pnączach. Trzeciego wieczoru próbowałem pójść kawałek z nimi, aby się temu przyjrzeć, lecz zostałem otoczony przez sześciu Bikurów i grzecznie, ale stanowczo odprowadzony z powrotem do wioski. Przy tej okazji po raz pierwszy zaobserwowałem u nich coś w rodzaju agresji, w związku z czym z pewnym niepokojem czekałem na ich powrót.

Nazajutrz celowo zostałem w chacie, ale zaraz jak tylko odeszli, pobiegłem nad krawędź przepaści, gdzie wcześniej postawiłem trójnog z kamerą. Na hologramie ujrzałem Bikurów chwytających oburącz pnącza i spuszczających się po nich ze skał równie zwinnie i szybko, jak mogłyby to uczynić leśne małpiatki.

- Co robicie, kiedy schodzicie do przepaści? - zapytałem nazajutrz Ala.

Popatrzył na mnie z tym anielskim, ekstatycznym uśmiechem, którego zaczynałem już powoli nienawidzić.

- Należysz do krzyżokształtu - powiedział takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Modlicie się tam?

Bez odpowiedzi.

Zastanawiałem się przez chwilę.

- Ja też idę śladem krzyża - powiedziałem, wiedząc, iż zostanie to przetłumaczone: "należę do krzyżokształtu". Lada dzień przestanę korzystać z usług komlogu jako tłumacza, ale ta rozmowa była zbyt ważna, żeby pozostawić cokolwiek przypadkowi. - Czy to znaczy, że powinienem pójść z wami na dół?

Przez sekundę lub dwie wydawało mi się, że Al intensywnie myśli. Po raz pierwszy zdarzyło mi się zauważyć, żeby ktoś z Trzech Dwudziestek i Dziesiątki zmarszczył brwi.

- Nie możesz - odparł wreszcie. - Należysz do krzyżokształtu, ale nie jesteś

jednym z Trzech Dwudziestek i Dziesiątki.

Podejrzewam, że musiał wspiąć się na wyżyny swoich możliwości intelektualnych, aby przeprowadzić to rozróżnienie.

- A co byście zrobili, gdybym jednak poszedł za wami? - zapytałem, nie spodziewając się usłyszeć żadnej odpowiedzi. Hipotetyczne pytania natrafiły zawsze na taką samą barierę niezrozumienia, jak wszelkie próby umiejscowienia jakichkolwiek wydarzeń w czasie.

Tym razem jednak stało się inaczej. Na twarzy Alfy znowu pojawił się anielski uśmiech i mały człowieczek odparł łagodnie:

- Jeżeli spróbujesz tam zejść, przyciśniemy cię do trawy, weźmiemy ostre kamienie, poderżniemy ci gardło i będziemy trzymać cię tak długo, aż wypłynie z ciebie krew i przestanie bić serce.

Nie odezwałem się na to ani słowem. Zastanawiałem się tylko, czy Alfa słyszy łomot mojego serca, o którym był uprzejmy przed chwilą wspomnieć. Cóż, pomyślałem, przynajmniej nie muszę się już gryźć tym, że uważają mnie za boga.

Potem Al wypowiedział jeszcze jedno zdanie, które do tej pory nie daje mi spokoju:

- A jeśli zrobisz to jeszcze raz, będziemy musieli znowu cię zabić.

Bardzo długo patrzyliśmy na siebie w milczeniu, każdy przekonany o tym, że drugi jest absolutnym idiotą.

104. dzień

Każde nowe odkrycie tylko potęguje mętlik w mojej głowie.

Od początku pobytu w wiosce nie dawał mi spokoju całkowity brak dzieci. Przeglądając notatki, napotykam częste wzmianki na ten temat w ustnych relacjach, które dyktuję komlogowi, natomiast nie znalazłem ani słowa o tym w tej osobistej bazgraninie, którą nazywam dziennikiem. Być może dlatego, że bałem się myśleć o niepokojących wnioskach, jakie wypływają z tego faktu.

Moje częste, choć może niezbyt udolne próby przeniknięcia tajemnicy spełzły na niczym. Każdy zagadnięty członek społeczności uśmiecha się tylko anielsko, po czym częstuje mnie odpowiedzią, przy której bełkot niedorozwiniętego mieszkańca najbardziej zacofanej osady na najodleglejszej planecie mogłby się wydawać pełnym głębokich treści aforyzmem. Najczęściej jednak odpowiedzią jest milczenie.

Pewnego dnia zatrzymałem się przed osobnikiem, któremu nadałem imię Del,

zaczekałem kilka minut, aż mnie zauważy, po czym zapytałem:

- Dlaczego nie macie dzieci?

- Jesteśmy Trzema Dwudziestkami i Dziesiątką - odparł łagodnie.

- Gdzie są dzieci?

Żadnej reakcji, tylko puste spojrzenie.

Odetchnąłem głęboko kilka razy.

- Kto z was jest najmłodszy?

Del sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał, usiłując zgłębić, co się kryje za tym pojęciem. Niestety, wszystko wskazywało na to, że go przerasta. Nie byłem w stanie pojąć, jak to możliwe, żeby Bikurowie całkowicie zatracili poczucie czasu. Jednak po mniej więcej minucie Del wskazał Ala, siedzącego w słońcu przy prymitywnym warsztacie tkackim, i powiedział:

- Ten wrócił ostatni.

- Wrócił? Skąd?

Del spoglądał na mnie obojętnie, bez śladu zniecierpliwienia.

- Należysz do krzyżokształtu, więc musisz znać drogę krzyża.

Skinąłem głową. Nabrałem już wystarczająco dużo doświadczenia, aby wiedzieć, że nie ma co posuwać się dalej w tym kierunku, gdyż lada chwila wpadniemy w jedną z całkowicie alogicznych pętli i nasza rozmowa na tym się zakończy.

- Z tego wynika, że Al urodził się jako ostatni. Powrócił. Czy inni... też wrócą?

Nie jestem pewien, czy sam do końca rozumiałem swoje pytanie. W jaki sposób można dowiedzieć się czegoś na ten temat, kiedy w języku rozmówcy nie istnieje słowo "dziecko", on sam zaś nie wie, co to czas? Del chyba jednak zrozumiał, o co mi chodzi, gdyż skinął głową.

- W takim razie kiedy urodzą się kolejni z Trzech Dwudziestek i Dziesiątki? Kiedy wrócą? - zapytałem, podbudowany na duchu tym sukcesem.

- Nikt nie wraca, dopóki nie umrze.

Poczułem się tak, jakby nagle spłynęło na mnie objawienie.

- A więc żadnych dzieci, dopóki... Żeby ktoś wrócił, najpierw ktoś inny musi umrzeć. Zastępujecie brakujących członków grupy, żeby zawsze było was Trzy Dwudziestki i Dziesiątką?

Odpowiedział mi ten szczególny rodzaj milczenia, który nauczyłem się interpretować jako potwierdzenie.

Schemat wydawał się oczywisty. Bikurowie bardzo serio traktowali fakt, że jest ich akurat Trzy Dwudziestki i Dziesiątka. Utrzymywali liczebność plemienia na poziomie siedemdziesięciu osób - tylu właśnie ludzi znajdowało się na pokładzie ładownika, który rozbił się w tym rejonie czterysta lat temu. Zbieżność liczb z pewnością nie była przypadkowa. Kiedy ktoś umierał, natychmiast rodziło się dziecko, by zająć miejsce zmarłego. Proste.

Proste, ale mało prawdopodobne. Natura nie funkcjonuje w taki sposób. Poza tym, oprócz problemów związanych z niską populacją, do głosu dochodzi zbyt wiele absurdów - choćby ten, że choć trudno jest dokładnie określić wiek Bikurów, to nie ulega żadnej wątpliwości, iż różnica między najstarszymi i najmłodszymi wynosi najwyżej dziesięć lat standardowych. A co ze staruszkami? Gdzie podzieli się rodzice, zaawansowani wiekiem wujowie i niezamężne ciotki? Teoretycznie całe plemię powinno zestarzeć się niemal jednocześnie. Co się stanie, jeśli kobiety nie będą już mogły rodzić dzieci, a zajdzie konieczność uzupełnienia składu grupy?

Bikurowie wiodą nudne, spokojne życie. Wypadki - mimo bliskości Rozpadliny - zapewne zdarzają się bardzo rzadko. W okolicy nie ma drapieżników. Różnice temperatur między porami roku są prawie niezauważalne, pożywienie zaś zawsze znajduje się niemal w zasięgu ręki. Jednak, nawet biorąc to wszystko pod uwagę, należałoby przypuszczać, że w liczącej ponad czterysta lat historii tej społeczności zdarzały się chwile, kiedy jakaś choroba dziesiątkowała jej członków, kiedy jednocześnie pękło kilka pnączy, albo kiedy cokolwiek powodowało nagły wzrost śmiertelności - taki, jakiego od niepamiętnych czasów najbardziej lękają się wszystkie firmy ubezpieczeniowe.

I co wtedy? Czy rozmnażają się jak króliki, aby nadrobić zaległości, po czym wracają do dotychczasowego, bezpłciowego trybu życia? A może do tego stopnia różnią się od innych ludzi, że co kilka lat - na przykład co dziesięć, albo nawet tylko raz w życiu - przechodzą coś w rodzaju rui? Bardzo wątpliwe.

Siedzę w chacie i analizuję różne hipotezy. Według jednej z nich, ludzie ci żyją bardzo, ale to bardzo długo, i niemal przez cały czas zachowują zdolność do rozrodu, dzięki czemu mogą w miarę potrzeb uzupełniać stan liczebny plemienia. Hipoteza ta nie wyjaśnia jednak, dlaczego wszyscy są w zbliżonym wieku, a w dodatku nie bardzo wiadomo, czym należałoby tłumaczyć ich domniemaną długowieczność. Nawet najlepsze leki geriatryczne dostępne na terenie Hegemonii pozwalają przedłużyć okres aktywności życiowej do niewiele ponad stu lat standardowych. Różne środki

zapobiegawcze sprawiły, iż tak zwany “wiek średni” kończy się dopiero sporo po sześćdziesiątce (właśnie zbliżam się do tej granicy), ale nikt - z wyjątkiem ludzi po przeszczepach, zabiegach bioinżynieryjnych lub innych nowinkach, dostępnych jedynie dla nieprawdopodobnie bogatych - nie może liczyć na to, że uda mu się założyć rodzinę po siedemdziesiątce albo że będzie tańczył do rana na przyjęciu z okazji swoich sto dziesiątych urodzin. Gdyby spożywanie korzeni chalmy oraz oddychanie czystym powietrzem płaskowyżu Pinion mogły w istotny sposób przyczynić się do opóźnienia efektów starzenia, zapewne cała ludność Hyperiona kłębiłaby się tutaj, żując zawzięcie wszystko, co choćby trochę przypomina chalmę, planeta dawno temu dorobiłaby się własnego transmitera materii, a każdy obywatel Hegemonii dysponujący kartą uniwersalną spędzałby tu wakacje i szykował się do osiedlenia na stałe.

Znacznie bardziej logiczna jest hipoteza, według której Bikurowie nie żyją ani dłużej, ani krócej od innych ludzi i normalnie mają dzieci, tyle tylko, że zabijają je, jeżeli akurat nie istnieje potrzeba uzupełnienia stanu osobowego plemienia. Przymuszalnie zamiast likwidować nowo narodzone niemowlęta stosują abstynencję seksualną lub kontrolę urodzeń, aż do chwili kiedy spora grupa członków społeczności osiągnie zaawansowany wiek i dojdzie do wniosku, że przydałoby się trochę świeżej krwi. Niemal jednocześnie rodzi się wówczas duża liczba dzieci, co wyjaśniałoby, dlaczego niemal wszyscy są w podobnym wieku.

Ale kto uczy młodzież? Co dzieje się z rodzicami i starcami? Czyżby Bikurowie zapominali o podstawowych prawach rządzących ich “społeczeństwem” i sami zadawali sobie śmierć? Czy to właśnie jest “prawdziwa śmierć” - zlikwidowanie całego pokolenia? Czy Trzy Dwudziestki i Dziesiątka mordują ludzi zarówno u zarania, jak i u schyłku ich życia?

Takie spekulacje nie mają najmniejszego sensu. Coraz bardziej irytuje mnie moja nieumiejętność rozwiązywania problemów. Opracuj jakąś strategię, Paul, i trzymaj się jej. Rusz tę swoją leniwą, jezuicką dupę!

PROBLEM: W jaki sposób odróżnić płci?

ROZWIĄZANIE: Namowami lub podstępem skłonić kilku osobników, by poddali się badaniom medycznym. Wyjaśnić, skąd się wzięło tak silne tabu nagości i jaka jest rola seksu w ich życiu. Gdyby okazało się, że praktykują ścisłą wstrzemięźliwość seksualną, moja najnowsza teoria zyskałaby jednoznaczne potwierdzenie.

PROBLEM: Dlaczego mają obsesję na punkcie utrzymania liczebności grupy na poziomie siedemdziesięciu osób, czyli tylu, ile znajdowało się na pokładzie lądownika statku kolonizacyjnego?

ROZWIĄZANIE: Męcz ich tak długo, aż się dowiesz.

PROBLEM: Gdzie podziały się dzieci?

ROZWIĄZANIE: Pytaj i wtykaj nos wszędzie, gdzie się da, aż się dowiesz. Może jakiś związek z tym wszystkim mają wieczorne wycieczki do Rozpadliny. Kto wie, czy nie znalazłbyś tam żłobka... albo stosu drobnych kości.

PROBLEM: Czym jest cała ta heca z “należeniem do krzyżokształtu” i “drogą krzyża”, jeśli nie zniekształconym odbiciem religii pierwszych kolonistów?

ROZWIĄZANIE: Dowiedz się, sięgając do samych źródeł. Może ich codzienne wycieczki na dół mają jakieś znaczenie religijne?

PROBLEM: A co właściwie jest tam, na dole?

ROZWIĄZANIE: Zejdź i sprawdź.

Jeżeli będą trzymać się harmonogramu, jutro całą gromadą powinni pójść do lasu po żywność. Tym razem nie będę im towarzyszył.

Udam się w przeciwną stronę, w dół, po ścianie Rozpadliny.

105. dzień

0930.

Dzięki Ci, Panie, za to, żeś pozwolił zobaczyć mi to, co zobaczyłem.

Dzięki Ci, Panie, za to, żeś sprowadził mnie w to miejsce, abym mógł na własne oczy ujrzeć dowód Twojej obecności.

1125.

Edwardzie... Edwardzie!

Muszę wracać, żeby ci to pokazać. Żeby wam wszystkim pokazać!

Spakowałem już wszystko, czego będę potrzebował. Dyski i filmy schowałem do czegoś w rodzaju torby, którą utkałem z liści krzewów azbestowych. Mam żywność, wodę, prawie rozładowany maser, namiot i śpiwór.

Brakuje mi tylko ukradzionych odgromników.

Sądziłem, że może zabrali je Bikurowie. Przeszukałem wszystkie chaty, a nawet pobliski las, ale bez rezultatu. Zresztą nie mieliby z nich żadnego pożytku.

To bez znaczenia.

Wyruszę dzisiaj, jeśli mi się uda. Jeśli nie, spróbuję przy najbliższej

nadarzającej się okazji.

Edwardzie! Mam wszystko tutaj, na filmach i dyskach.

1400.

Nie ma mowy o tym, żeby dziś przedostać się przez lasy ogniste. Gęsty dym zmusił mnie do zawrócenia jeszcze zanim dotarłem do aktywnej strefy.

W wiosce ponownie przejrzałem wszystkie zapisy holograficzne. Nie ma wątpliwości: cud wydarzył się naprawdę.

1530.

Trzy Dwudziestki i Dziesiątka wrócą lada chwila. Co będzie, jeśli się dowiedzą... jeśli patrząc na mnie domyślą się, że byłem tam?...

Mógłbym się ukryć.

Nie, nie ma potrzeby. Bóg nie przywiódł mnie tutaj i pozwolił zobaczyć to, co zobaczyłem, tylko po to, żeby zaraz potem kazać mi zginąć z rąk tych nieszczęsnych dzieci.

1615.

Bikurowie wrócili z lasu i pochowali się w chatach, nie zaszczyciwszy mnie nawet jednym spojrzeniem.

Siedzę na progu chaty, na przemian uśmiecham się, śmieję się głośno i modłę. Wcześniej odprawiłem mszę świętą na samej krawędzi Rozpadliny i przyjąłem komunię. Tubylcy nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi.

Kiedy uda mi się stąd odejść? Administrator Orlandi oraz Tuk twierdzili, że lasy ogniste wykazują pełną aktywność przez trzy tutejsze miesiące, czyli sto dwadzieścia dni, a potem przez dwa miesiące panuje względny spokój. Tuk i ja dotarliśmy tutaj osiemdziesiątego siódmego dnia...

Nie mogę czekać jeszcze sto dni z przekazaniem nowiny światu... Wszystkim światom.

Gdyby tak jakiś śmigacz odważył się przelecieć nad lasami ognistymi i zabrać mnie stąd! Może gdyby udało mi się przekazać wiadomość przez jeden z satelitów, które utrzymują łączność z plantacjami...

Wszystko jest możliwe. Nie minął jeszcze czas cudów.

2350.

Trzy Dwudziestki i Dziesiątka zeszedli do Rozpadliny. Wszędzie dokoła rozlega się muzyka wieczornego wiatru.

Ach, jakże chciałbym teraz być z nimi tam, w dole...

Zrobię najlepszą rzecz, jaka mi pozostaje. Padnę na kolana tutaj, w pobliżu krawędzi i pogrążę się w modlitwie, podczas gdy planeta będzie nadal śpiewać hymn ku czci realnego, obecnego tu, niedaleko, Boga.

106. dzień

Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem przepiękny poranek. Niebo miało ciemnoturkusowy kolor, słońce zaś przypominało krwistoczerwony szlachetny kamień o ostrych krawędziach. Stałem przed chatą czekając, aż podniesie się mgła, małpiałki zakończą jazgotliwy koncert, a powietrze nieco się ogrzeje. Potem wróciłem do wnętrza i jeszcze raz przejrzałem filmy i dyski.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że wczoraj byłem tak podekscytowany, iż ani słowem nie wspomniałem, co właściwie znalazłem we wnętrzu Rozpadliny. Co prawda mam dyski, filmy i zapis w pamięci komlogu, ale przecież istnieje możliwość, że ktoś odnajdzie jedynie mój dziennik.

Wczoraj o 0730 zacząłem schodzić po ścianie przepaści. Wszyscy Bikurowie przebywali wówczas w lesie. Zadanie pozornie wydawało się łatwe - pnącza były tak splątane, że miejscami tworzyły niemal coś w rodzaju drabiny - ale kiedy zacząłem się po nich spuszczać, poczułem, jak serce tłucze mi się w piersi niczym przerażony gołąb. Znajdowałem się na samym szczycie pionowej, trzykilometrowej ściany, u której podnóża jeżyły się ostre skały i płynęła wzburzona rzeka. Starłem się trzymać co najmniej dwóch pnączy naraz i opuszczałem się w dół centymetr po centymetrze, uważając bardzo, żeby przypadkiem nie spojrzeć w rozwierającą się pode mną otchłań.

Pokonanie stu pięćdziesięciu metrów, na których przebycie Bikurom wystarczało dziesięć minut, zajęło mi prawie godzinę. Wreszcie dotarłem do sporego występu skalnego. Część pnączy zwisała w przepaść, większość jednak owijała się wokół niego, by potem wrócić do odległej o jakieś trzydzieści metrów ściany. Dostrzegłem kilka plecionych mostków, po których zapewne Bikurowie przemykali bez pomocy rąk. Wpełzłem na jeden z nich, chwytając się kurczowo wszystkiego, co nawinęło mi się pod rękę, i modląc się tak żarliwie, jak nie zdarzyło mi się chyba od dzieciństwa. Starłem się patrzeć tylko przed siebie, zupełnie jakbym mógł zapomnieć, iż te rozkołysane, trzeszczące pomosty wiszą nad wywołującą dreszcz grozy przepaścią.

Poniżej nawisu znajdowała się skalna półka mniej więcej pięciometrowej

szerokości. Dotarwszy do niej odpełzłem w kierunku ściany, ale dopiero w odległości trzech metrów od krawędzi odważyłem się wypuścić z rąk pnącza, których się kurczowo trzymałem.

Na prawo ode mnie półka kończyła się ślełą skałą, ruszyłem więc w lewo, by po dwudziestu lub trzydziestu krokach stanąć jak wryty. Szedłem ścieżką. Ścieżką wydeptaną w litej skale. Jej wyślizgana powierzchnia znajdowała się dobrych kilka centymetrów poniżej poziomu półki. Nieco dalej, w miejscu gdzie półka łączyła się z inną, szerszą i położoną znacznie niżej, ujrzałem wykute stopnie. One także były już tak bardzo wydeptane, że wydawało się, iż każdy z nich lada chwila może przełamać się w pół.

Aż usiadłem, kiedy znaczenie tego, co widzę, utorowało sobie drogę do mego otepiałego umysłu. Nawet cztery stulecia codziennych wędrówek odbywanych przez Trzy Dwudziestki i Dziesiątkę nie mogły spowodować tak ogromnego starcia twardej skały. Ktoś, lub coś, korzystał z tej ścieżki na długo przedtem, zanim na płaskowyżu rozbił się lądownik z kolonistami. Ktoś, lub coś, korzystał z tej ścieżki przez wiele tysięcy lat.

Wstałem i ruszyłem naprzód. Panowała zupełna cisza, w której słyhać było jedynie delikatny szmer wiatru w szerokiej na pół kilometra Rozpadlinie, oraz - choć trudno w to uwierzyć - dobiegający z jej dna szum rzeki.

Ścieżka skręciła w lewo za skalny załom i skończyła się. Kiedy wyszedłem na szeroki kamienny taras, wybałuszylem ze zdumienia oczy i chyba bezwiednie uczynilem znak krzyża.

Ponieważ taras był wysunięty na co najmniej sto metrów w głąb przepaści, roztaczał się z niego oszałamiający widok na całą, liczącą trzydzieści kilometrów Rozpadlinę, sięgającą aż do końca płaskowyżu. Natychmiast uświadomilem sobie, że co wieczór promienie zachodzącego słońca padają prosto na ten kawałek płaskiego terenu, wyrastający cudownym sposobem z pionowej ściany. Wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby okazało się, że podczas wiosennego lub jesiennego zrównania dnia z nocą małe słońce Hyperiona zawisa na chwilę dokładnie pośrodku monstrualnej szczeliny, zalewając obie jej krawędzie potokami krwistoczerwonego blasku.

Odróciwszy się plecami do przepaści, skierowałem wzrok w stronę urwiska. Wydeptana ścieżka prowadziła ku drzwiom osadzonym w wielkim kamiennym bloku. Właściwie nie były to drzwi, ale wrota, pokryte misternymi, rzeźbionymi ornamentami. Po obu ich stronach znajdowały się gigantyczne, co najmniej

dwudziestometrowej wysokości witraże. Podszedłem bliżej, aby dokładniej przyjrzeć się fasadzie. Ten, kto ją zbudował, musiał poszerzyć naturalne zagłębienie znajdujące się pod nawisem, a następnie wwiercić się prostopadle w ścianę urwiska. Przesunąłem dłonią po wymyślnych zawijasach zdobiących wrota. Były gładkie. Wszystko dokoła było gładkie z powodu niszczącego działania czasu, nawet tu, pod skalnym zadaszaniem, chroniącym przed wpływem sił natury. Ile tysięcy lat minęło od chwili, kiedy ta... ta świątynia została wykuta w litej skale Rozpadliny?

Witraże nie były wykonane ani ze szkła, ani z plastiku, lecz z grubych kęsów jakiejś półprzezroczystej substancji, przy dotknięciu sprawiającej wrażenie równie twardej jak otaczające ją zewsząd kamienie. Nie składały się również z oddzielnych fragmentów, gdyż kolory były wymieszane ze sobą, przenikały się nawzajem i mieniły jeden przez drugi jak rozlane na wodzie plamy oleju.

Wyjąłem z plecaka latarkę i ostrożnie dotknąłem jednego skrzydła drzwi. Potężne wrota otworzyły się przede mną bezszelestnie, jakby w ich zawiasach znajdowały się łożyska niwelujące wszelkie tarcie.

Wszedłem do kruchty - nie ma słowa, które lepiej oddawałoby charakter tego miejsca - i po mniej więcej dziesięciu metrach stanąłem przed ścianą wykonaną z tego samego półprzezroczystego materiału, który mienił się za mną delikatnymi barwami, zalewając pomieszczenie gęstym jak miód światłem. Domyśliłem się, że o zachodzie słońca kolory z pewnością przybierają na intensywności, przefiltrowane światło zaś pada na ścianę przede mną, wydobywając z ciemności to, co kryje się za nią.

Odnalazłem dużo mniejsze, pojedyncze drzwi, okolone wąskim obramowaniem z ciemnego metalu wtopionym w przezroczysty kamień, otworzyłem je i wszedłem do środka.

Na podstawie starych zdjęć i hologramów odbudowaliśmy na Pacem bazylikę świętego Piotra. Długa na prawie dwieście trzydzieści metrów i szeroka na sto pięćdziesiąt, może pomieścić pięćdziesiąt tysięcy wiernych - co prawda nigdy jeszcze nie zgromadziło się w niej więcej niż pięć tysięcy ludzi, nawet podczas odbywających się co czterdzieści trzy lata ogólnoswiatowych synodów biskupich. W centralnej apsydzie, w pobliżu kopii wykonanego przez Berniniego tronu świętego Piotra, ogromna kopuła wznosi się na sto trzydzieści metrów nad posadzkę. Ten widok wywiera nie lada wrażenie.

Jednak to miejsce jest jeszcze większe.

Włączyłem latarkę, aby upewnić się, że jestem w ogromnej pieczarze wykutej w

litej skale. Spoglądając w górę, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że sklepienie tego gigantycznego pomieszczenia znajduje się zaledwie kilka metrów poniżej poziomu gruntu, na którym Bikurowie zbudowali swoje prymitywne domostwa. Nie było tu żadnych ozdób, mebli ani wyposażenia mogącego dostarczyć jakichś wskazówek co do przeznaczenia tej wielkiej grotty, z wyjątkiem przedmiotu ustawionego dokładnie pośrodku pieczary.

Był to ołtarz - prostopadłościenny kamienny blok o powierzchni mniej więcej pięciu metrów kwadratowych - nad którym wznosił się krzyż.

Wysoki na cztery metry, szeroki na trzy, bogato zdobiony w stylu krucyfiksów ze Starej Ziemi, stał zwrócony ku ścianie z półprzezroczystego kamienia, jakby oczekując na pojawienie się słońca i eksplozję światła, co rozpali tysiączne ognie w brylantach, szafirach, kryształach górskich, ametystach, onyksach i innych szlachetnych kamieniach, którymi był wysadzany.

Padłem na kolana, zmówiłem modlitwę, po czym wyłączyłem latarkę i czekałem cierpliwie, aż moje oczy przyzwyczają się do mdłego, rozproszonego światła. Bez wapienia to był właśnie ów krzyżokształt, o którym mówili Bikurowie. Postawiono go tu wiele tysięcy lat temu - może nawet dziesięć - na długo przedtem, nim ludzie opuścili Starą Ziemię, niemal na pewno przed okresem, kiedy Chrystus nauczał w Galilei.

Znowu się modliłem.

Siedzę teraz przed chatą w promieniach słońca. Przeglądając zapisy na holodyskach, zobaczyłem wyraźnie to, na co wówczas prawie nie zwróciłem uwagi: w tarasie przed "bazyliką" wykuto jeszcze jedno schody, prowadzące w głąb Rozpadliny. Choć nie tak bardzo wydeptane jak te, które łączą bazylikę ze skalną półką, są równie intrygujące. Jeden Bóg wie, jakie jeszcze cuda czekają tam, w dole.

Świat musi dowiedzieć się o moim odkryciu!

Cóż za ironia losu, że stało się ono właśnie moim udziałem! Gdyby nie Armaghast i moje zesłanie, ten zdumiewający fakt pozostałby w ukryciu jeszcze przez co najmniej kilka stuleci. Kościół prawdopodobnie umarłby, zanim niezwykła nowina z Hyperiona tchnęłaby w niego nowe życie.

Ja jednak zjawilem się tutaj w samą porę.

Muszę się stąd wydostać albo przynajmniej wysłać wiadomość.

Jestem więźniem.

Dziś rano myłem się tam gdzie zwykle, w pobliżu miejsca, w którym strumień spada z krawędzi Rozpadliny, kiedy nagle usłyszałem za sobą jakiś szmer. Obejrzawszy się ujrzałem Bikurę, któremu nadałem imię Del, wpatrującego się we mnie wybałuszonymi oczami. Powitałem go przyjaźnie, ale on odwrócił się na pięcie i pomknął w kierunku wioski. Było to co najmniej niepokojące, gdyż Bikurowie nigdy się nie śpieszą. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że - choć miałem na sobie spodnie - prawdopodobnie swoim nagim torsem naruszyłem tak silnie tutaj przestrzegane tabu, co wywołało paniczną reakcję Dela.

Uśmiechnąłem się, potrząsnąłem głową, dokończyłem się ubierać, po czym wróciłem do wioski. Gdybym wiedział, co mnie tam czeka, mój nastrój z pewnością uległby znacznemu pogorszeniu.

Trzy Dwudziestki i Dziesiątka zebrali się w komplecie i przypatrywali mi się w milczeniu.

- Dzień dobry - powiedziałem.

Alfa dał znak ręką. Co najmniej dziesięciu Bikurów rzuciło się na mnie, powaliło na ziemię i przytrzymało za ręce i nogi. Beta wy dobył spomiędzy fałd szaty zaostzony kamień, po czym rozciął mi z przodu ubranie, pozostawiając mnie prawie nagim.

Przestałem się szarpać. Tłum zbliżył się, wpatrzony w moje blade, obnażone ciało, mamrocząc coś niezrozumiale. Serce waliło mi jak młotem.

- Przepraszam, jeśli naruszyłem wasze prawa, ale nie widzę powodu, żeby...

- Milcz! - nakazał mi Alfa, a następnie zwrócił się do wysokiego Bikury z blizną na dłoni. Był to Zed. - On nie należy do krzyżokształtu.

Zed skinął głową.

- Pozwólcie, że wam wytłumaczę... - zacząłem ponownie, lecz Alfa uciszył mnie uderzeniem w twarz, od którego aż zadzwoniło mi w uszach, a w ustach poczułem smak krwi. Zrobił to bez żadnych oznak wrogości, jakby wyłączał komlog.

- Co z nim zrobimy? - zapytał.

- Ci, którzy nie idą drogą krzyża, muszą umrzeć prawdziwą śmiercią - powiedział Beta, a tłum natychmiast postąpił krok w moją stronę. Zauważyłem, że wielu Bikurów ma w rękach ostre kamienie. - Ci, którzy nie należą do krzyżokształtu, muszą umrzeć prawdziwą śmiercią. - Zabrzmiało to jak często powtarzana formuła religijna, na przykład część jakiejś liturgii albo litanii.

- Ale ja idę drogą krzyża! - wrzasnąłem co sił w płucach, czując, jak niezliczone ręce podnoszą mnie z ziemi. Rozpaczliwie chwyciłem krzyżyk, który noszę na piersi, i po krótkiej walce udało mi się podnieść go wysoko nad głowę.

Alfa uniósł rękę i tłum znieruchomiał. W ciszy, która nagle zapadła, słyszałem szum rzeki płynącej trzy kilometry niżej, na dnie Rozpadliny.

- Nosi krzyż - zauważył Alfa.

Del przepchnął się do pierwszego szeregu Bikurów.

- Ale nie należy do krzyżokształtu! Widziałem. Nie jest tak, jak myśleliśmy. On nie należy do krzyżokształtu!

W jego głosie wyraźnie słyszałem żądę krwi.

Przeklinałem się w duchu za bez troskę i głupotę. Od tego, czy uda mi się przeżyć, zależy przyszłość całego Kościoła, a tymczasem ja zachowuję się jak idiota, nie wiadomo czemu uważając Bikurów za opóźnione w rozwoju, łagodne dzieci!

- Ci, którzy nie idą drogą krzyża, muszą umrzeć prawdziwą śmiercią - powtórzył Beta. Był to ostateczny wyrok.

Siedemdziesiąt rąk uniosło siedemdziesiąt kamieni, ale zanim padł pierwszy cios, zawołałem rozpaczliwie, wiedząc, że jest to albo ostatnia szansa na ocalenie, albo nieodwołalne przypieczenie mojego losu:

- Byłem na dole, w Rozpadlinie, i modliłem się przy waszym ołtarzu! Ja naprawdę idę drogą krzyża!

Tłum zawahał się. Widziałem, ile wysiłku kosztuje ich przeanalizowanie nowej informacji.

- Idę drogą krzyża i pragnę należeć do krzyżokształtu - dodałem najspokojniej, jak potrafiłem. - Byłem przy waszym ołtarzu.

- Ci, którzy nie idą drogą krzyża, muszą umrzeć prawdziwą śmiercią! - zawołał Gamma.

- Ale on idzie drogą krzyża - zauważył Alfa. - Modlił się w wielkim pokoju.

- Niemożliwe - powiedział Zed. - Trzy Dwudziestki i Dziesiątka modlą się w wielkim pokoju, a on nie należy do Trzech Dwudziestek i Dziesiątki.

- Wiedzieliśmy już wcześniej, że on nie należy do Trzech Dwudziestek i Dziesiątki - odparł Alfa po krótkim zastanowieniu, jakiego wymagało oswojenie się z koncepcją przeszłości.

- Nie należy do krzyżokształtu - upierał się Delta.

- Ci, którzy nie należą do krzyżokształtu, muszą umrzeć prawdziwą śmiercią -

powtórzył Beta.

- Ale on idzie drogą krzyża - zareplikował Alfa. - Skoro tak jest, to czy nie może też należeć do krzyżokształtu?

Wybuchło ogromne zamieszanie. Bikurowie gadali jeden przez drugiego, a ja ostrożnie spróbowałem się poruszyć, lecz natychmiast przekonałem się, że uchwyt przytrzymujących mnie rąk nie zelżał ani trochę.

- Nie należy do Trzech Dwudziestek i Dziesiątki, i nie należy do krzyżokształtu - oświadczył na koniec Beta. Sprawiał wrażenie bardziej zdziwionego niż rozwścieczonego. - Dlaczego w takim razie ma nie umrzeć prawdziwą śmiercią? Musimy wziąć ostre kamienie i otworzyć mu gardło, aż wypłynie z niego cała krew i przestanie bić serce. On nie należy do krzyżokształtu.

- Ale idzie drogą krzyża - odparł Alfa. - Dlaczego zatem nie ma należeć do krzyżokształtu?

Tym razem zapadła cisza.

- Idzie drogą krzyża i modli się w pokoju krzyżokształtu - odezwał się ponownie Alfa. - Dlatego nie może umrzeć prawdziwą śmiercią.

- Wszyscy umierają prawdziwą śmiercią - przemówił jakiś Bikura, którego nie rozpoznałem. Ręce omdlewały mi już nad głową. - Z wyjątkiem Trzech Dwudziestek i Dziesiątki - dodał anonimowy tubylec.

- Dlatego że oni idą drogą krzyża, modlą się w pokoju i należą do krzyżokształtu - zripostował Alfa. - Dlaczego on nie ma należeć do krzyżokształtu?

Stałem z krzyżem podniesionym wysoko nad głowę i oczekiwałem wyroku. Bałem się śmierci, lecz najbardziej żałowałem tego, że nie zdołałem ogłosić pogrążonemu w niedowiarstwie wszechświatowi o odkryciu podziemnej bazyliki.

- Chodźcie, porozmawiamy o tym - zwrócił się Beta do całej grupy. Wzięli mnie między siebie i w milczeniu ruszyli do wioski.

Uwięzili mnie w mojej chacie. Nie miałem żadnych szans, żeby zrobić użytek z masera. Kilku przygwoździło mnie do ziemi, pozostali natomiast wynieśli na zewnątrz cały mój dobytek. Zabrali mi nawet ubranie, dając w zamian jedną ze swoich burych szat.

Im dłużej tu siedzę, tym większe ogarnia mnie zdenerwowanie. Zabrali mi komlog, kamerę, holodyski, kryształy pamięci... Po prostu wszystko. W pierwszym obozie została jeszcze nie otwarta skrzynia wypełniona sprzętem medycznym, ale nie ma w niej nic, co pozwoliłoby udokumentować moje znalezisko. Jeżeli zniszczą

odebrane mi przedmioty, a potem rozprawią się ze mną, nikt się nie dowie o zdumiewającym odkryciu.

Gdybym tak miał jakąś broń, żeby zabić strażników i...

Mój Boże, co też przychodzi mi do głowy? Edwardzie, co mam począć?

Nawet jeśli ujdę z życiem, dotrę do Keats, zdołam wrócić na którąś z planet Sieci... Kto mi uwierzy? W stosunku do Pacem będę miał dziewięć lat długu czasowego. Stary człowiek wracający z tymi samymi kłamstwami, za które został skazany na wygnanie...

Dobry Boże, jeśli zapisy ulegną zniszczeniu, niech to samo stanie się ze mną!

110. dzień

Po trzech dniach podjęli wreszcie decyzję.

Tuż po południu przyszedli po mnie Zed i Theta-jeden. Zamrugalem raptownie, oślepiiony blaskiem słońca. Trzy Dwudziestki i Dziesiątka stali szerokim półkolem w pobliżu krawędzi Rozpadliny. W pierwszej chwili pomyślałem, że po prostu zrzucą mnie w przepaść, ale zaraz potem zobaczyłem stos.

Do tej pory sądziłem, iż Bikurowie są tak prymitywni, że nawet nie znają ognia. Nigdy nie widziałem, żeby używali go dla ochrony przed zimnem, a w ich chatach zawsze panowała ciemność. Nigdy też nie zdarzyło mi się zaobserwować, żeby gotowali lub piekli pożywienie. Teraz jednak płomienie strzelały wysoko w górę i wszystko wskazywało na to, że tylko oni mogli je rozniecić. Wyteżyłem wzrok, aby przekonać się, z czego składał się stos.

Z moich ubrań, komlogu, notatek, taśm filmowych, kryształów pamięci, holodysków... Ze wszystkiego, co zawierało choćby odrobinę informacji. Ryczałem jak zwierzę, próbowałem rzucić się w ogień i obsypywałem ich najgorszymi wyzwiskami, jakie zapamiętałem z młodości. Nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi.

Wreszcie Alfa zbliżył się i powiedział łagodnie:

- Będziesz należał do krzyżokształtu.

Nic mnie to nie obchodziło. Zaprowadzili mnie z powrotem do chaty, gdzie padłem bez sił i szlochałem prawie godzinę. Nikt mnie nie pilnuje. Minutę temu stanąłem w drzwiach, zastanawiając się, czy nie popędzić na złamanie karku w kierunku lasów ognistych albo czy nie wybrać znacznie krótszej drogi ku Rozpadlinie. Skutek i tak byłby ten sam.

Nic nie zrobiłem.

Słońce zniża się ku zachodowi. Słysząc pierwsze dźwięki wieczornej muzyki wiatru. Już wkrótce. Już wkrótce.

112. dzień

Czy możliwe, żeby minęły tylko dwa dni? Dla mnie trwało to całą wieczność.

Dziś rano nie udało mi się go oderwać. Nie udało mi się go oderwać.

Mam przed sobą wydruk z medskanera, ale nadal nie mogę w to uwierzyć. Jednak to prawda. Teraz należę już do krzyżokształtu.

Przyszli po mnie tuż przed zachodem słońca. Wszyscy. Nie opierałem się, kiedy prowadzili mnie nad krawędź Rozpadliny. Schodzili po pnączach jeszcze zwinniej, niż przypuszczałem. Naturalnie musieli na mnie czekać, lecz nie okazywali zniecierpliwienia. Pomagali mi, wskazując najłatwiejszą drogę.

Kiedy zbliżaliśmy się do bazyliki, słońce przebiło powłokę niskich chmur i zawisło nad krawędzią zachodniej ściany Rozpadliny. Wiatr śpiewał głośniejsz, niż się spodziewałem. Czułem się tak, jakbym wpadł w sam środek jakichś monstrualnych kościelnych organów. Basowe tony wprawiały w drżenie moje kości i zęby, te najwyższe natomiast wbijały mi się w bębunki ostrymi igłami, przechodząc w ultradźwięki.

Alfa otworzył zewnętrzne wrota. Nie zatrzymując się przeszliśmy przez przedsionek i wkroczyliśmy do bazyliki, gdzie Trzy Dwudziestki i Dziesiątka otoczyli szerokim kręgiem ołtarz i krzyż. Nie odmawiali żadnej modlitwy. Nie śpiewali. Nie było żadnej ceremonii. Po prostu staliśmy w milczeniu, a dobiegające z zewnątrz zawodzenie wiatru odbijało się echem od kamiennych ścian i wysokiego sklepienia pieczary, przez co tak bardzo przybierało na sile, że w pewnej chwili nie wytrzymałem i zakryłem sobie uszy rękami. Padające niemal poziomo promienie słońca wypełniały pomieszczenie najróżniejszymi odcieniami bursztynu, złota i lazuru; barwy były tak głębokie, że powietrze przypominało wodę, do której dolano gęstej farby. Drogocenne kamienie, którymi był wysadzany krzyż, błyszczały tym blaskiem jeszcze wtedy, kiedy słońce już zaszło, w wielkim pomieszczeniu zaś zapanował półmrok. Zupełnie jakby światło jakimś sposobem wsiąkło w krzyż, a on teraz oddawał je, przelewając je na nas i do naszego wnętrza. Jednak po pewnym czasie nawet krzyż ściemniał i wtopił się w otaczający go mrok.

- Wyprowadźcie go - powiedział cicho Alfa.

Wyszliśmy na obszerny taras. Beta rozdał pochodnie - czyżby Bikurowie

używali ognia jedynie do celów rytualnych? - po czym ruszyliśmy kamiennymi schodami prowadzącymi w dół ściany.

Początkowo szedłem nadzwyczaj ostrożnie, chwytając się każdego wybrzuszenia skały albo korzenia, jaki nawinął mi się pod rękę. Otchłań, która otwierała się po mojej prawej stronie, była tak potworna, że jej istnienie graniczyło niemal z absurdem. Schodzenie po wiekowych stopniach okazało się znacznie trudniejsze niż spuszczenie się po pnączach, gdyż musiałem co chwila spoglądać w dół, a schody były wąskie i wyslizgane. Upadek wydawał się najpierw bardzo prawdopodobny, potem zaś wręcz nieunikniony.

Chciałem się zatrzymać i zawrócić, ale większość Trzech Dwudziestek i Dziesiątki szła za mną, i raczej nie mogłem liczyć na to, że usuną się, by zrobić mi przejście. Poza tym, choć niemal sparaliżowany lękiem, byłem jednak ogromnie ciekaw tego, co znajduje się na końcu schodów. Przystanąłem tylko na tyle, żeby spojrzeć w górę i przekonać się, że chmury zniknęły, na jedwabiście czarnym niebie zaś pojawiły się gwiazdy oraz smugi meteorów. Zaraz potem opuściłem głowę i odmawiając po cichu różaniec, podążyłem za mymi przewodnikami w głąb budzącej grozę otchłani.

Nie wierzyłem, że schody doprowadzą nas na dno Rozpadliny, ale tak właśnie się stało. Kiedy już po północy zorientowałem się, że Bikurowie zamierzają dotrzeć na sam dół, oszacowałem, że znajdziemy się tam najwcześniej w południe. Okazało się jednak, że i tym razem nie miałem racji.

Na dnie Rozpadliny stanęliśmy tuż przed świtem. W szczelinie między dwiema ścianami, wystrzelającymi obok nas na nieprawdopodobną wysokość, wciąż jeszcze świeciły gwiazdy. Kompletnie wyczerpany zatoczyłem się, kiedy moja stopa nie natrafiła na kolejny stopień, i spojrzałem w górę. Przez moją głowę przemknęła idiotyczna myśl, czy gwiazdy są tu widoczne także w dzień, tak jak w studni, do której wszedłem jako dziecko jeszcze w Villefranche-sur-Saône.

- Tutaj - powiedział Beta.

Było to pierwsze słowo, jakie padło od wielu godzin, a ryk płynącej nie opodal rzeki sprawił, że ledwo je dosłyszałem. Bikurowie stanęli nieruchomo, ja zaś padłem na kolana i powoli osunąłem się na ziemię. Nie było żadnych szans na to, żebym pokonał w przeciwną stronę drogę, którą właśnie przebyłem. Nie udałooby mi się to ani przez cały dzień, ani przez tydzień. Przypuszczalnie nigdy. Oczy same mi się zamykały, ale napięcie nerwowe, które nie osłabło ani na chwilę, kazało mi podnieść

powieki. Rzeka była szersza, niż przypuszczałem - co najmniej siedemdziesiąt metrów - a huk spienionej wody miał takie natężenie, iż wydawało mi się, że siedzę w paszczy jakiejś przedpotopowej, ryczącej wściekle bestii.

Usiadłem i wpatrzyłem się w ciemną plamę widoczną na pionowej ścianie po drugiej stronie kipieli. Była ciemniejsza od okolicznych cieni i znacznie bardziej regularna - prostokąt nieprzeniknionej czerni szerokości co najmniej trzydziestu metrów. Dziura albo coś w rodzaju wielkich drzwi w skalnym urwisku. Podniosłem się z trudem na nogi i spojrzałem w dół rzeki na ścianę, po której przed chwilą zesliśmy; tak, było tam. Drugie wejście. Prowadzeni przez Betę Bikurowie ruszyli powoli w tamtą stronę.

Odnalazłem labirynt Hyperiona.

- Czy wiesz, ojcze, że Hyperion jest jednym z dziewięciu planet, na których znajdują się labirynty? - zapytał mnie ktoś na promie. Tak, to był ten młody ksiądz nazwiskiem Hoyt. Powiedziałem, że wiem, i natychmiast o tym zapomniałem. Interesowali mnie tylko Bikurowie - chyba nawet bardziej niż korzyści, jakie miałem odnieść z wygnania - nie zaś labirynty i ich budowniczy.

Na dziewięciu planetach stwierdzono obecność labiryntów. Na dziewięciu spośród stu siedemdziesięciu sześciu planet należących do Sieci oraz ponad dwustu kolonii i protektoratów. Na dziewięciu spośród około ośmiu tysięcy planet odkrytych i zbadanych - choćby pobieżnie - od czasów hegiry.

Są historycy, którzy poświęcają całe życie badaniu labiryntów. Ja do nich nie należę. Zawsze uważałem je za puste, częściowo nierealne zagadnienie. Teraz, razem z Trzema Dwudziestkami i Dziesiątką, szedłem ku wejściu do jednego z nich, a rzeka Kans pienila się i ryczała tuż obok, usiłując zgasić pochodnie strzelającymi wysoko rozbryzgami wody.

Labirynty zostały wykopane... zostały stworzone ponad trzy czwarte miliona lat standardowych temu. Wszystkie są identyczne, wszystkie też jednakowo tajemnicze.

Odnaleziono je wyłącznie na planetach typu ziemskiego (co najmniej 7,9 w skali Solmeva), krążących wokół gwiazdy typu G, a jednak tektonicznie martwych, czym bardziej przypominają Marsa niż Starą Ziemię. Same tunele sięgają bardzo głęboko - od dziesięciu do pięćdziesięciu kilometrów pod powierzchnię gruntu. Na Swobodzie, w pobliżu systemu Pacem, zdalnie sterowane sondy zbadały ponad osiem tysięcy kilometrów korytarzy. Powierzchnia przekroju poprzecznego każdego tunelu

wynosi trzydzieści metrów kwadratowych, jeśli zaś chodzi o technologię, jaką tunele zostały wykonane, to jest ona nadal niedostępna Hegemonii. Wyczytałem kiedyś w pewnym piśmie archeologicznym, że Kemp-Höltzer i Weinstein wymyślili jakiegoś “kopacza jądrowego”, który topił napotkane skały, co tłumaczyłoby niesłychaną gładkość ścian, ale ta teoria nie wyjaśniała, skąd przybywali budowniczowie tuneli wraz ze swoimi maszynami ani dlaczego podejmowali się przypuszczalnie długotrwałego i - wedle wszelkich oznak - całkowicie bezsensownego zadania. Każda “labiryntowa” planeta - w tym także Hyperion - została dokładnie zbadana. Bez rezultatu. Nie odnaleziono ani pozostałości jakichkolwiek maszyn, ani przerdzewiałych kasków górniczych, ani nawet żadnych śmieci lub odpadków. Badaczom nie udało się nawet zlokalizować szybów łączących labirynty ze światem zewnętrznym. Nie natrafiono również na choćby śladowe pozostałości jakichś cennych kopalin, których obecność mogłaby tłumaczyć sens podjęcia tak ogromnego wysiłku. Nie przetrwały żadne legendy o budowniczych labiryntów. Ta zagadka zawsze wydawała mi się interesująca, nigdy jednak nie uważałem, żeby dotyczyła mnie osobiście. Aż do tej chwili.

Wkroczyliśmy do tunelu. Połączone siły erozji i grawitacji sprawiły, że pierwszy stumetrowy odcinek wyglądał niemal jak dzieło natury; dopiero później znaleźliśmy się w korytarzu o prostokątnym przekroju, gładkiej podłodze i doskonale wyrównanych ścianach. Beta zatrzymał się i zgasił pochodnię. Pozostali uczynili to samo.

Spowiała nas głęboka ciemność. Minęliśmy już dość ostry zakręt, w związku z czym do miejsca, w którym staliśmy, nie docierało nawet słabe i rozproszone światło gwiazd. Bywałem już w jaskiniach i wiedziałem, że nawet po zgaszeniu pochodni moje oczy nie zdołają przystosować się do nieprzeniknionego mroku. Tym razem stało się inaczej.

Po mniej więcej trzydziestu sekundach zacząłem dostrzegać słabą poświatę, która jednak szybko przybierała na sile, aż wreszcie w jaskini zrobiło się jaśniej niż w kanionie - ba, nawet niż na Pacem w noc, kiedy na niebie wisiały wszystkie trzy księżycy. W chwili gdy Bikurowie jakby na jakiś sygnał padli na kolana, zdołałem zlokalizować źródło tego światła.

Ściany i sufit były wysadzone krzyżami, których wielkość wahała się od kilku milimetrów do prawie jednego metra. Każdy promieniował intensywnym różowym blaskiem. Niewidoczne przy płonących pochodniach, teraz natychmiast rzucały się w

oczy. Podszedłem do najbliższego, który tkwił w ścianie tuż obok mnie. Miał jakieś trzydzieści centymetrów wysokości i pulsował łagodnym, organicznym blaskiem. Na pewno nie został wykonany z kamienia ani metalu i przytwierdzony do ściany; bez wątplenia żył, a jeżeli z czymkolwiek się kojarzył, to chyba z miękkim koralem. Kiedy go dotknąłem, przekonałem się, że jest lekko ciepły.

Rozległ się ledwo uchwytny dźwięk - nie, to nawet nie był dźwięk, tylko lekkie zawirowanie chłodnego powietrza, którego muśnięcie poczułem na policzku - i odwróciłem się w samą porę, aby zobaczyć postać, która pojawiła się w rozszerzeniu korytarza.

Bikurowie klęczeli z pochylonymi głowami i wzrokiem wbitym w skalną posadzkę. Tylko ja stałem wyprostowany, wpatrując się w postać zbliżającą się ku mnie między klęczącymi tubylcami.

Miała w przybliżeniu ludzkie kształty, ale na pewno nie była człowiekiem. Liczyła co najmniej trzy metry wzrostu, a nawet kiedy stała w bezruchu, jej srebrzysta powierzchnia drżała i lekko falowała, niczym rtęć zawieszona jakimś przemyślnym sposobem w powietrzu. Czerwonawy poblask krzyży odbijał się w ostrych krawędziach i lśnił w zakrzywionych ostrzach sterczących z czoła, czterech przegubów, łokci, kolan, grzbietu i klatki piersiowej. Postać zdawała się płynąć między klęczącymi Bikurami, a kiedy wyciągnęła cztery długie ramiona zakończone dłońmi o palcach jak przeraźliwie ostre skalpele, nie wiedzieć czemu pomyślałem o Jego Świątobliwości udzielającym na Pacem błogosławieństwa wiernym.

Nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości, że mam przed sobą legendarnego Chyżwara.

Przypuszczam, że właśnie wtedy poruszyłem się albo może wydałem jakiś odgłos, gdyż nagle wielkie czerwone oczy spojrzały prosto na mnie, a ja natychmiast poczułem się niemal zahipnotyzowany blaskiem odbitym od ich wielościennej powierzchni oraz szkarłatnym światłem, które zdawało się pulsować we wnętrzu kanciastej czaszki i wylewało się na zewnątrz przez okrutne klejnoty umieszczone tam, gdzie Bóg dał ludziom oczy.

Zaraz potem Chyżwar ruszył w moją stronę... a raczej przestał być tam, zjawił się zaś tutaj, nie dalej niż metr ode mnie, i otoczył mnie czworgiem ramion z płynnej, srebrzystej stali, o przypominających sztylety, sterczących we wszystkie strony ostrzach. Łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami, ale właściwie niezdolny do nabrania normalnego oddechu, ujrzałem zniekształcone odbicie swojej bladej,

przerażonej twarzy, tańczące na metalowej skorupie otaczającej tors potwora.

Przyznaję jednak, iż w głębi duszy czułem raczej zachwyt niż strach. Na moich oczach działo się coś niewytłumaczalnego. Choć uformowany według zasad jezuickiej logiki i zahartowany w lodowatej kąpieli nauki, w jednej chwili zrozumiałem naturę obsesji od niepamiętnych wieków towarzyszących nawet najgłębiej wierzącym ludziom: podniecający dreszcz egzorcyzmów, oszałamiający wir derwiszowego tańca, marionetkowy rytuał tarota, niemal erotyczną wymowę seansu spirytystycznego, przemawianie wieloma różnymi językami naraz i trans gnostyków zen. W okamgnieniu pojąłem, iż afirmacja demonów lub odwoływanie się do pomocy Szatana może stanowić część składową kultu ich mistycznej antytezy, czyli Boga Abrahama.

Bardziej czując to wszystko niż myśląc, czekałem na śmiertelny uścisk, drżąc z lęku i oczekiwania niczym dziewczica przed nocą poślubną.

Chyżwar zniknął.

Nie było żadnego grzmotu, smrodu siarki ani nawet naukowo uzasadnionego świstu powietrza wypełniającego pustą przestrzeń. W jednej chwili potwór był tutaj, otaczając mnie dziwnie urokliwym ostrokołem kolczastej śmierci, w następnej zaś już go nie było.

Oszołomiony, stałem nadal bez ruchu, mrugając głupawo. Alfa podniósł się z klęczek, zbliżył się do mnie i rozpostarł ramiona w żalösnej parodii gestu Chyżwara. Spoglądając na jego pustą, nieruchomą twarz można było łatwo odnieść wrażenie, że nie zdawał sobie sprawy z obecności przerażającej istoty. Wykonał niezręczny ruch, którym chciał chyba objąć labirynt, ściany jaskini i lśniące na niej krzyże.

- Krzyżokształt - powiedział Alfa.

Trzy Dwudziestki i Dziesiątka wstali, podeszli bliżej i ponownie uklękli. Przez jakiś czas spoglądałem na ich spokojne twarze, po czym także ukląknęm.

- Będziesz szedł drogą krzyża do końca swoich dni - odezwał się ponownie Alfa. Zabrzmiało to jak część jakiejś litanii. Pozostali powtórzyli jego słowa z rytmicznym, melodyjnym zaśpiewem. - Będziesz należał do krzyżokształtu do końca swoich dni - ciągnął Alfa. Bikurowie powtórzyli to jak echo, on zaś wyciągnął rękę i oderwał od ściany jeden krzyż, mniej więcej dziesięciocentymetrowej długości. Przywiązał go do krótkiego sznurka i podniósł wysoko nad głowę. - Będziesz należał do krzyżokształtu teraz i na zawsze.

- Teraz i na zawsze - zawtórowali Bikurowie.

- Amen... - szepnąłem.

Beta pokazał mi gestem, że mam rozsunąć szatę na piersi. Kiedy to zrobiłem, Alfa zawiesił mi na szyi świecący krzyżyk. Wydawał się zupełnie zimny, a jego tylna strona była idealnie gładka.

Bikurowie podnieśli się z klęczek i jakby nigdy nic ruszyli w kierunku wyjścia z labiryntu. Upewniłem się, iż żaden z nich mnie nie obserwuje, po czym chwyciłem krzyż i przyjrzałem mu się dokładnie. Rzeczywiście, był zimny i nieruchomy. Nawet jeśli żył jeszcze kilka sekund temu, to teraz nic już o tym nie świadczyło. Wydawał się zrobiony raczej z czegoś podobnego do koralu niż z kryształu albo skały, a na jego gładkiej tylnej powierzchni nie mogłem dostrzec ani śladu jakiegokolwiek substancji, która trzymała go na ścianie. Zastanawiałem się, jakież to fotochemiczne zjawisko pozwalało mu świecić tak intensywnym blaskiem, i jak przedstawiały się szanse na powstanie takiego organizmu drogą ewolucyjną. Przede wszystkim jednak zastanawiałem się na tym, jaki związek mogły mieć te krzyże z labiryntem, oraz ile musiało minąć tysiącleci, zanim rzeka przebiła się przez płaskowyż, przecinając jeden z tuneli. Rozmyślałem także o bazylice i jej twórcach, o Bikurach, Chyżwarze, oraz o sobie. Wreszcie przestałem myśleć, zamknąłem oczy i pogrążyłem się w modlitwie.

Kiedy wyszedłem z tunelu, czując na piersi chłodne dotknięcie krzyża, Trzy Dwudziestki i Dziesiątka byli już gotowi do trzykilometrowej wspinaczki. Spojrzałem w górę, na cienką kreskę porannego nieba, widoczną między pionowymi ścianami Rozpadliny.

- Nie! - krzyknąłem co sił w płucach, na chwilę niemal zagłuszając przeraźliwy ryk rzeki. - Muszę odpocząć! Odpocząć!

Osunąłem się na kolana, ale natychmiast podeszło do mnie kilku Bikurów, łagodnie postawiło mnie na nogi i częściowo pchając, a częściowo ciągnąc, poprowadziło w stronę schodów.

Bóg mi świadkiem, że robiłem, co mogłem, ale dwie lub trzy godziny po rozpoczęciu wspinaczki nogi odmówiły mi posłuszeństwa, padłem na stopnie i zacząłem zsuwać się po wyslizganych skałach ku czekającej mnie sześćset metrów niżej pewnej śmierci. Pamiętam tylko, jak rozpaczliwie chwyciłem krzyż zawieszony na mojej piersi, a potem złapały mnie liczne ręce i podniosły bez najmniejszego wysiłku.

Dziś rano obudziło mnie słońce, zagładające przez otwór drzwiowy do wnętrza mojej chaty. Natychmiast upewniłem się dotykiem, że krzyż znajduje się na swoim miejscu. Obserwując wędrówkę słońca nad wierzchołki drzew, uświadomiłem sobie

nagle, że straciłem jeden dzień, że przespałem nie tylko wspinaczkę po nie kończących się schodach (w jaki sposób te małe ludziki zdołały zataszczyć mnie dwa i pół kilometra w górę?), ale także całą następną dobę.

Rozejrzałem się dokoła. Komlog i wszystkie urządzenia rejestrujące zniknęły bez śladu. Został tylko medskaner oraz kilka pudełek z oprogramowaniem, teraz już całkowicie bezużytecznym w związku z utratą ekwipunku. Potrząsnąłem ze smutkiem głową, wyszedłem z chaty i udałem się nad strumień, żeby dokonać porannych ablucji.

Bikurowie chyba jeszcze spali. Teraz, kiedy wziąłem udział w ceremonii i “należałem do krzyżokształtu”, zupełnie przestali się mną interesować. Rozbierając się do kąpieli, postanowiłem odplacić im w ten sam sposób. Powziąłem decyzję, że odejdę stąd natychmiast, gdy tylko odzyskam nadwątlone siły. Jeżeli będzie trzeba, poszukam drogi dokoła lasów ognistych. W razie czego zejść po schodach i ruszę w dół Kans. Teraz jeszcze bardziej niż przedtem zdawałem sobie sprawę, że świat musi jak najszybciej dowiedzieć się o moich odkryciach.

Ściągnąłem szatę z grubego materiału, po czym sięgnąłem ręką do szyi, aby zdjąć krzyż.

Ani drgnął.

Tkwiał mi na piersi jak przyrośnięty. Szarpałem za sznurek tak długo, aż wreszcie pękł, po czym próbowałem oderwać od skóry krzyżopodobny kształt. Bez rezultatu. Miałem wrażenie, jakby moje ciało owinęło się wokół jego krawędzi. Nic mnie nie bolało - z wyjątkiem zadrapań własnymi paznokciami - natomiast przerażenia, jakie mnie ogarnęło, nie dałoby się porównać z niczym, czego do tej pory doświadczyłem w życiu. Kiedy pierwszy atak paniki minął, usiadłem na chwilę na kamieniu, po czym włożyłem workowatą szatę i czym prędzej wróciłem do wioski.

Nie miałem już ani noża, ani masera, ani nożyczek i brzytwy - zabrano mi wszystko, czym mógłbym się posłużyć, by usunąć narośl z piersi. Wbiłem paznokcie tak głęboko w ciało, że aż zostawiły czerwone ślady, ale w porę przypomniałem sobie, że przecież mam jeszcze medskaner. Przesunąłem go po klatce piersiowej, odczytałem informację na ekranie, potrząsnąłem z niedowierzaniem głową i poleciłem mu wykonać badanie całego ciała. Kiedy otrzymałem wyniki, przez bardzo długi czas siedziałem w zupełnym bezruchu.

Siedzę nadal, wpatrując się w wydruki. Krzyż jest wyraźnie widoczny zarówno na zdjęciu tomograficznym, jak i ultrasonograficznym. On sam oraz niezliczone

włókna, które wrastają w moje ciało jak macki, jak korzenie.

Z grubego splotu umieszczonego tuż nad moim mostkiem rozchodzą się promieniście zwoje nerwowe, tworząc coś, co na pierwszy rzut oka przypomina jakąś koszmarną plątaninę nicieni. O ile mogę stwierdzić, dysponując jedynie najprostszym, przenośnym medskanerem, nicienie te sięgają do jąder migdałowatych w obu półkulach mózgowych. Temperatura ciała, metabolizm i poziom limfocytów nie odbiegają od normy. Nie nastąpiła inwazja żadnych obcych tkanek. Według skanera nicieniowate odrosty stanowią rezultat ekstensywnej, choć bardzo prostej metastazy, sam krzyż zaś składa się z tkanki tożsamej z tkankami mojego ciała. DNA jest identyczne.

Należę do krzyżokształtu.

116. dzień

Codziennie obchodzę w koło swoją klatkę: lasy ogniste na południu i wschodzie, zadrzewione wąwozy na północnym wschodzie, Rozpadlina na północy i zachodzie. Trzy Dwudziestki i Dziesiątka nie pozwalają mi zejść do Rozpadliny poniżej bazyliki. Krzyżokształt nie pozwala mi oddalić się bardziej niż na dziesięć kilometrów od niej.

Początkowo nie chciałem w to uwierzyć. Podjąłem decyzję, że mimo wszystko zagłębię się w lasy ogniste, powierzając swój los szczęściu i boskiej opiece. Kiedy jednak przeszedłem jakieś dwa kilometry, poczułem okropny ból w piersi, ramionach i głowie. Wówczas nie ulegało dla mnie wątpliwości, że mam atak serca, ale objawy zniknęły natychmiast, jak tylko zawróciłem w kierunku Rozpadliny. Potem kilkakrotnie powtarzałem doświadczenie, za każdym razem z identycznym skutkiem. Jeżeli tylko próbowałem zapuścić się dalej w las, ból pojawiał się i narastał, aż do chwili kiedy dawałem za wygraną i zawracałem.

Powoli zaczynam rozumieć coraz więcej. Wczoraj, badając tereny na północ od wioski, natrafiłem na wrak łądownika statku kolonizacyjnego. Pozostał z niego już tylko metalowy szkielet, spoczywający wśród skał na krawędzi lasu, który porasta jeden z głębokich wąwozów. Patrząc na metalowe zebra starodawnego pojazdu wyobrażałem sobie siedemdziesięciu kolonistów, ich radość z ocalenia, krótką wędrówkę na krawędź Rozpadliny, odkrycie bazyliki, a potem... Właśnie, co potem? Wszelkie domysły nie mają najmniejszego sensu, pozostają jednak podejrzenia. Jutro jeszcze raz spróbuję zbadać któregoś z Bikurów. Może teraz, kiedy “należę do krzyżokształtu”,

pozwolą mi na to.

Codziennie natomiast badam sam siebie. Nicienie pozostają tam, gdzie były - może są trochę grubsze, a może nie. Jestem pewien, że pasożytują na moim organizmie, choć on, przynajmniej na razie, nie zdaje sobie z tego sprawy. Patrząc na moje odbicie w małym rozlewisku niedaleko wodospadu widzę wciąż tę samą pociągłą, starzejącą się twarz, której przez ostatnie lata nauczyłem się serdecznie nie lubić. Dziś rano otworzyłem nawet szeroko usta, jakbym spodziewał się ujrzeć tam kłębowisko szarych, wijących się włókien. Nic nie zobaczyłem.

117. dzień

Bikurowie są bezpłciowi. Nie dwupłciowi, nie niedorozwinięci pod tym względem, tylko po prostu bezpłciowi. Mają tyle samo wewnętrznych i zewnętrznych narządów płciowych co najprostsza lalka. Nic nie wskazuje na to, żeby penisy, jądra lub narządy kobiece uległy atrofii albo zostały usunięte metodą operacyjną. Po prostu nigdy nie istniały. Mocz uchodzi z ciała prymitywną cewką prowadzącą do czegoś w rodzaju małej niszy, w której znajduje się także odbył.

Beta pozwolił się zbadać. Medskaner potwierdził to, w co nie chciały uwierzyć moje oczy. Del i Theta także nie czynili żadnych przeszkód. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że pozostali Bikurowie są zbudowani w identyczny sposób. Nie wydaje mi się, żeby zostali jakoś... zmienieni. Byłbym skłonny twierdzić z całą stanowczością, iż tacy już się urodzili, tyle że nie potrafię sobie wyobrazić ich rodziców. I w jaki sposób te bezpłciowe figurki ulepione z ludzkiego ciała zamierzają się rozmnażać? Zapewne ma to jakiś związek z krzyżokształtami.

Kiedy skończyłem z nimi, zdjąłem ubranie i sam poddałem się dokładnemu badaniu. Krzyżokształt tkwi na mojej piersi jak bliznowata narośl, ale nadal jestem mężczyzną.

Jak długo jeszcze?

133. dzień

Alfa nie żyje.

Byłem z nim trzy dni temu, kiedy spadł. Zbieraliśmy razem korzenie chalmy wśród wielkich głazów piętrzących się na krawędzi Rozpadliny, jakieś trzy kilometry na wschód od wioski. Przez minione dwa dni padał deszcz i skały były śliskie. W pewnej chwili zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, jak Alfa potyka się, ześlizguje po

powierzchni wielkiego głazu i znika za krawędzią przepaści. Nie krzyknął. Usłyszałem tylko szelest, z jakim grubo tkany materiał przesunął się po skale, potem zaś wywołujący mdłości odgłos podobny do tego, z jakim pęka upuszczony na ziemię melon, kiedy jego ciało spadło na skalną półkę osiemdziesiąt metrów niżej.

Znalezienie w miarę bezpiecznego zejścia i dotarcie na dół zajęło mi ponad godzinę. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że jest już za późno na jakąkolwiek pomoc, ale uznałem, że taki mam obowiązek.

Ciało Alfego spoczywało między dwoma dużymi głazami. Z pewnością zginął natychmiast: ręce i nogi były połamane w wielu miejscach, a prawa połowa czaszki uległa całkowitemu zmiążdżeniu. Krew i tkanka mózgowa obryzgały skały niczym smutne pozostałości jakiegoś pikniku. Stałem nad drobnym ciałem Alfego i płakałem. Nie wiem dlaczego, ale płakałem. Potem udzieliłem mu ostatniego namaszczenia i poprosiłem Boga, aby zechciał przyjąć duszę tej nieszczęsnej, bezpłciowej istoty, następnie zaś owinąłem zwłoki pnączami, wspiąłem się z powrotem na krawędź Rozpadliny i wciągnąłem je na górę.

W wiosce ciało Alfego nie wzbudziło większego zainteresowania. Dopiero po pewnym czasie zjawił się Beta wraz z kilkoma Bikurami; popatrzyli obojętnie na trupa, a następnie rozeszli się do chat. Nikt nie zapytał mnie, w jaki sposób zginął.

Zaniosłem Alfego w miejsce, gdzie kilka tygodni wcześniej pochowałem Tuka. Kiedy kopałem płytką mogiłę za pomocą płaskiego kamienia, nadszedł Gamma. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że dostrzegam na jego twarzy cień jakichś żywszych emocji.

- Co robisz? - zapytał.

- Grzebię go.

Byłem zbyt zmęczony, żeby wdawać się w dłuższe wyjaśnienia. Oparłem się o gruby pień chalmy, żeby nabrać tchu.

- Nie. - Zabrzmiało to jak rozkaz. - On należy do krzyżokształtu.

Zaraz potem Gamma odwrócił się i ruszył w kierunku wsi. Kiedy zniknął za drzewami, rozchyliłem brezentową płachtę, w którą zawinąłem zwłoki.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Alfa jest martwy i ani jego, ani nikogo we wszechświecie nie obchodzi, czy kiedyś należał do krzyżokształtu, czy też nie. Upadek odarł go ze znacznej części ciała i całej godności. Pęknięta czaszka była teraz pusta jak rozbite jajo, jedno oko wpatrywało się bezmyślnie w niebo Hyperiona poprzez zasłonę z białej mgielki, podczas gdy drugie łapało leniwie spod na pół

przymkniętej powieki. Klatka piersiowa uległa całkowitemu zmiążdżeniu, gdyż sterczały z niej ostre kawałki kości, połamane kończyny zaś przypominały wałki ze stężałej plasteliny. Medskaner, którego użyłem do przeprowadzenia pobieżnej autopsji, wykazał rozległe obrażenia wewnętrzne. W wyniku zderzenia ze skałami nawet serce biedaka zostało zupełnie zmiążdżone.

Dotknąłem zimnego ciała. Pojawiło się już stężenie pośmiertne. Kiedy moje palce musnęły narośl w kształcie krzyża widoczną na jego piersi, pośpiesznie cofnąłem rękę.

Krzyżokształt był ciepły.

Podniósłszy głowę zobaczyłem Betę i całą resztę. Nie miałem wątpliwości, że rozerwą mnie na strzępy, jeśli natychmiast nie odsunę się od ciała. Kiedy to zrobiłem, przez mój sparaliżowany idiotycznym strachem mózg przemknęła myśl, że Trzy Dwudziestki i Dziesiątka są teraz Trzema Dwudziestkami i Dziewiątką. Wtedy wydało mi się to zabawne.

Bikurowie podnieśli zwłoki i skierowali się z powrotem ku wiosce. Beta spojrział najpierw w niebo, potem na mnie, i powiedział:

- Już prawie czas. Chodź z nami.

Zeszliśmy do Rozpadliny. Ciało, troskliwie ułożone w plecionym koszu, opuszczano za pomocą pnączy.

Kiedy Bikurowie położyli nagie ciało Alfy na ołtarzu, słońce znajdowało się jeszcze zbyt wysoko na niebie, aby oświetlić wnętrze bazyliki.

Nie wiem, czego właściwie oczekiwałem - być może, jakiegoś rytualnego aktu kanibalizmu albo czegoś w tym rodzaju. Nic nie byłoby w stanie mnie zdziwić. Tymczasem jeden z Bikurów podniósł ramiona, i w chwili kiedy pierwsze różnobarwne promienie słońca wdarły się do bazyliki, zaintonował:

- Będziesz szedł drogą krzyża do końca swoich dni.

Pozostali uklękli i powtórzyli sentencję. Ja stałem w milczeniu.

- Będziesz należał do krzyżokształtu do końca swoich dni - na pół powiedział, na pół wyśpiewał mały Bikura, a za nim cały chór. Promienie słońca koloru zakrzepłej krwi padły na krzyż, którego cień sięgnął aż przeciwnej ściany bazyliki.

- Będziesz należał do krzyżokształtu teraz i zawsze - zabrzmiały połączone głosy. W tej samej chwili na zewnątrz zerwał się wiatr i wielkie piszczalki zajęczały głosem dręczonego dziecka.

Tym razem, kiedy Bikurowie zakończyli litanię, nie szepnąłem "amen". Trzy

Dwudziestki i Dziesiątka odwrócili się nagle i gromadnie ruszyli ku wyjściu ze świątyni, zupełnie jak rozkapryszone dzieci, którym nagle znudziła się zabawa. Ja nadal stałem bez ruchu.

- Nie musisz czekać - powiedział Beta, przechodząc koło mnie.

- Ale chcę - odparłem. Spodziewałem się, że każe mi iść za sobą, on jednak po prostu odwrócił się i wyszedł, zostawiając mnie samego. Światło przygasło. Na chwilę wyjrzałem na zewnątrz, aby popatrzeć na zachodzące słońce, a kiedy wróciłem, spektakl właśnie się rozpoczął.

Dawno temu, jeszcze w szkole, widziałem przyspieszony holowizyjny film przedstawiający rozkład ciała myszy. Powolna, trwająca ponad tydzień praca sił natury uległa skondensowaniu do przerażających trzydziestu sekund. Zaczęło się od nagłego, niemal komicznego wzdęcia małego trupka, potem skóra zaczęła się rozłazić, w oczach, pyszczku i niewidocznych do tej pory rankach pojawiły się larwy much, które niemal natychmiast przystąpiły do dzieła, oczyszczając kości z mięsa; przesuwaly się od głowy do ogona koszmarną, wijącą się chmarą, za nimi zaś pozostawał jedynie szkielet, twardsze chrząstki i strzępy skóry.

Teraz obserwowałem ten sam proces, tyle tylko że obiektem, który mu podlegał, było ciało człowieka.

Jak sparaliżowany obserwowałem scenę rozgrywającą się w dogasającym blasku dnia. We wnętrzu bazyliki panowała całkowita cisza; jedynym odgłosem, jaki słyszałem, było łomotanie krwi w moich uszach. Ciało Alfę zadrżało raptownie i niemal uniosło się nad ołtarzem w spazmie przebiegającego z niesamowitą szybkością rozkładu. Wydawało mi się, że na kilka sekund krzyżokształt znacznie powiększył swoje rozmiary i zaczął świecić bardziej intensywnym blaskiem, a przez chwilę krótką jak mgnienie oka odniosłem nawet wrażenie, iż dostrzegam gęstą sieć wybiegających z niego włókien, które spajały rozpadające się tkanki niczym metalowe rusztowanie, zalewane przez rzeźbiarza jakąś szybko stygnącą substancją. Ciało Alfę także stało się zupełnie płynne.

Tę noc spędziłem w bazylice. Niewielki obszar wokół ołtarza był oświetlony blaskiem bijącym z krzyżokształtu Alfę. Kiedy ciało poruszało się, światło drżało tajemniczo, rzucając na ściany niepokojące cienie.

Opuściłem świątynię dopiero trzeciego dnia, razem z Alfą, lecz większość zmian dostrzegalnych gołym okiem zaszła tamtego, pierwszego wieczoru. Na moich oczach ciało Bikury, którego nazwałem Alfą, uległo rozkładowi na czynniki pierwsze, a

następnie zostało z powrotem złożone. Nowe ciało nie do końca przypominało pierwowzór, ale za to nie nosiło żadnych śladów uszkodzeń. Twarz przypominała oblicze gumowej lalki - była gładka, bez najmniejszych zmarszczek, lekko uśmiechnięta. O świcie trzeciego dnia pierś trupa poruszyła się, a ja usłyszałem jego pierwszy chrapliwy oddech. Jeszcze przed południem Alfa wyszedł z bazyliki i ruszył w górę, wspinając się po pnączach.

Podążyłem za nim.

Nic nie mówił, nie reagował, kiedy się do niego zwracałem. Jego oczy miały tajemniczy, nieobecny wyraz, a od czasu do czasu nagle przystawał i nasłuchiwał, jakby docierały do niego jakieś odległe, trudno uchwytnie głosy.

Kiedy wróciliśmy do wioski, nikt nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Alfa zniknął w jednej z chat, gdzie przebywa do tej pory. Ja siedzę w swojej. Od czasu do czasu wsuwam rękę pod szatę i dotykam krzyżokształtu. Spoczywa w groźnym bezruchu na mojej piersi. Czeka.

140. dzień

Powoli przychodzę do siebie po utracie dużej ilości krwi. Nie można wyciąć go naostrzonym kamieniem.

Nie lubi bólu. Straciłem przytomność dużo wcześniej, niż wynikałoby to z natężenia bólu lub utraty krwi. Kiedy wracała mi świadomość, natychmiast znowu zaczynałem ciąć, a wtedy on ponownie mi ją odbierał. Nie lubi bólu.

158. dzień

Alfa zaczyna trochę mówić. Wydaje się jeszcze bardziej powolny i otepiały niż reszta Bikurów, ale je i porusza się. Chyba nawet zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Według medskanera jego narządy wewnętrzne są narządami młodego człowieka - mniej więcej szesnastoletniego chłopca.

Muszę poczekać jeszcze jeden pełen miesiąc i dziesięć dni. Wtedy lasy ogniste powinny uspokoić się na tyle, żebym mógł ruszyć w drogę. Nie przejmuję się bólem. Zobaczymy, kto wytrzyma więcej.

173. dzień

Kolejna śmierć.

Tydzień temu zniknął gdzieś Bikura zwany przeze mnie Willem - ten ze

złamanym palcem. Wczoraj Trzy Dwudziestki i Dziesiątka jak na komendę ruszyli na północny wschód i po kilku kilometrach natrafili na jego szczątki.

Przypuszczalnie złamała się pod nim gałąź, kiedy wspinał się na drzewo w poszukiwaniu świeżych pędów chalmy. Z pewnością zginął na miejscu, ale najważniejsze jest to, gdzie upadł. Ciało - o ile można nazwać to ciałem - leżało między dwoma glinianymi kopcami wzniesionymi przez wielkie czerwone owady, które Tuk nazywał płomienistymi modliszkami, choć mnie osobiście bardziej przypominały żarłoczne, wszystkożerne żuki. W ciągu kilku dni, jakie minęły od śmierci Willa, owady dokładnie oczyściły szkielet z wszelkich miękkich tkanek, pozostawiając jedynie krzyżokształt, który lśnił na białych żebrach niczym drogocenny krucyfiks umieszczony w sarkofagu jakiegoś nieżyjącego od wielu stuleci papieża.

Wiem, że to okropne, ale oprócz naturalnego w takich wypadkach smutku odczuwam także coś w rodzaju cichego triumfu. Nie ma najmniejszych szans, żeby krzyżokształt zdołał cokolwiek zregenerować z tych gołych kości. Nawet ten przekłety pasożyt musi respektować prawo zachowania masy. Bikura zwany przeze mnie Willem umarł prawdziwą śmiercią. Od tej pory Trzy Dwudziestki i Dziesiątka będą już tylko Trzema Dwudziestkami i Dziewiątką.

174. dzień

Jestem głupcem.

Dzisiaj zapytałem o Willa. Dziwiło mnie, dlaczego Bikurowie nie zareagowali w żaden sposób na fakt, że umarł prawdziwą śmiercią. Zabrali krzyżokształt, natomiast szkielet zostawili tam, gdzie go znaleźli. Nikt nawet nie próbował nieść tego, co pozostało z Willa, do bazyliki. Przez całą noc dręczyły mnie koszmary, w których musiałem zająć miejsce brakującego członka Trzech Dwudziestek i Dziesiątki.

- To bardzo smutne, że jeden z was umarł prawdziwą śmiercią - powiedziałem.
- Co teraz będzie z Trzema Dwudziestkami i Dziewiątką?

Beta spojrział na mnie.

- On nie może umrzeć prawdziwą śmiercią - odparł mały, bezwłosy androgyn. -
Należy do krzyżokształtu.

Nieco później, kontynuując badania medyczne plemienia, odkryłem prawdę. Ten, któremu nadałem imię Theta, wygląda i zachowuje się tak samo jak do tej pory, nosi jednak na ciele nie jeden, lecz dwa krzyżokształty. Nie mam wątpliwości, iż wkrótce zaczną puchnąć i pęcznieć, niczym ohydna komórka E. coli. Kiedy wreszcie

umrze, po trzech dniach z bazyliki wyjdzie nie jeden, ale dwóch Bikurów, a wówczas Trzy Dwudziestki i Dziesiątka znowu będą w komplecie.

Zdaje się, że powoli tracę zmysły.

195. dzień

Już od kilku tygodni badam tego wstrętnego pasożyta, a nadal nie mam pojęcia, jak on właściwie funkcjonuje. Co gorsza, przestało mnie to zupełnie obchodzić. Teraz zajmuję się roztrząsaniem znacznie ważniejszych problemów.

Dlaczego Bóg dopuścił do podobnej ohydy?

Co uczynili Bikurowie, żeby zasłużyć sobie na taką karę?

Dlaczego zostałem wybrany, aby dzielić ich los?

Co wieczór zadaję te pytania w modlitwie, ale zamiast odpowiedzi słyszę jedynie dobiegającą z Rozpadliny okrutną pieśń wiatru.

214. dzień

Na poprzednich dziesięciu stronach zawarłem wszystkie spostrzeżenia i wnioski, do jakich udało mi się dojść. Ten zapis jest ostatni; jutro z samego rana wyruszam w głąb znacznie już spokojniejszego lasu ognistego.

Nie ulega wątpliwości, iż natrafiłem na jedyne we wszechświecie społeczeństwo pogrążone w autentycznej, stuprocentowej stagnacji. Bikurowie urzeczywistnili odwieczne marzenie ludzi o nieśmiertelności, ale zapłacili za to swoim człowieczeństwem i nieśmiertelnymi duszami.

Edwardzie, spędziłem wiele godzin, zmagając się ze swoją wiarą - a raczej jej brakiem - lecz teraz, w tym przerażającym zakątku zapomnianej niemal przez wszystkich planety, naznaczony budzącym odrazę piętnem, w jakiś przedziwny sposób odkryłem siłę wiary, jakiej nie znałem od czasów, kiedy ty i ja byliśmy jeszcze dziećmi. Przede wszystkim rozumiem teraz potrzebę wiary - czystej, ślepej, nic sobie nie robiącej z rozumnych argumentów - gdyż wiem, że tylko ona pozwala przetrwać w nieskończonym, dzikim oceanie wszechświata, rządzonego nieczułymi prawami i całkowicie obojętnym na los małych, myślących istotek, które go zamieszkują.

Codziennie próbowałem oddalić się od Rozpadliny i codziennie powalał mnie ból tak silny, że aż zdający się tworzyć nieodłączną część mego świata, tak jak zbyt małe, gorące słońce i zielonolazurowe niebo. Ból stał się moim sojusznikiem, aniołem stróżem, jedyną nicią łączącą mnie jeszcze z ludzkością. Krzyżokształt nie lubi bólu -

ani ja. Mimo to postanowiłem wykorzystać go do moich celów. Uczynię to w pełni świadomie, nie zaś instynktownie, jak ta masa obcej tkanki wszczepiona w moje ciało. Jej działanie opiera się na unikaniu śmierci za wszelką cenę. Ja także nie chcę umierać, ale wolę ból i śmierć od trwającego wiecznie, bezmyślnego życia. Życie jest świętością - trwam przy tym przekonaniu jako podstawie nauczania mojego Kościoła przez minione dwadzieścia osiem stuleci, kiedy było takie tanie - ale jeszcze większą świętością jest moja dusza.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że to, co próbowałem uczynić z informacjami zdobytymi na Armaghaście, pozwoliłoby Kościołowi nie tyle na odrodzenie, co na zanurzenie się w pozornym, bezsensownym życiu, takim samym, jakie prowadzą te nieszczęsne, chodzące trupy. Jeżeli Kościołowi jest pisana śmierć, to musi ona nastąpić - w chwale, z pełną świadomością oczekującego go zmartwychwstania w Chrystusie. Kościół musi odejść w ciemność może nie z ochotą, ale dzielnie i z podniesionym czołem, tak jak czyniły miliony jego wyznawców. Musi okazać się godnym niezliczonych rzesz ludzkich, które stanęły twarzą w twarz z nicością w obozach śmierci, piekle atomowych wybuchów, na oddziałach onkologicznych i w pogromach, idąc na spotkanie ciemności z przekonaniem, że cały ten ból, wszystkie te poświęcenia miały jednak jakiś sens. Jedynym, co podtrzymywało tych ludzi na duchu, była cieniutka nitka nadziei i kruche przekonanie o słuszności tego, w co wierzyli. Jeżeli im się to udało, ja także muszę wykrzesać z siebie przynajmniej tyle odwagi. To samo dotyczy Kościoła.

Nie wierzę już, że jakaś operacja albo inny zabieg uwolni mnie od tego żarłocznego pasożyta, ale byłbym szczęśliwy, gdyby komuś udało się poznać jego naturę, nawet za cenę mojej śmierci.

Las ognisty osiągnął najniższą aktywność. Kładę się spać. Jutro wyruszę przed świtem.

215. dzień

Stąd nie ma wyjścia.

Czternaście kilometrów w głąb lasu. Gdzieniedzie płomienie i wyładowania elektryczne, ale do wytrzymania. Trzy tygodnie marszu i znalazłbym się po drugiej stronie.

Krzyżokształt nigdy mi na to nie pozwoli.

Było to jak nie kończący się atak serca. Mimo to parłem naprzód, zataczając

się, co chwila padając na kolana i pełzając w popiele. Wreszcie straciłem przytomność. Kiedy ją odzyskałem, stwierdziłem, że czołgam się z powrotem w kierunku Rozpadliny. Zawróciłem, przeszedłem kilometr, padłem na ziemię, przepełzłem pięćdziesiąt metrów, ponownie straciłem przytomność, by odzyskać ją w poprzednim miejscu. Walczyłem przez cały dzień.

Przed zachodem słońca Bikurowie znaleźli mnie pięć kilometrów od Rozpadliny i zanieśli do wioski.

Słodki Jezu, za co mnie tak karzesz?

Mogę liczyć już tylko na to, że ktoś mnie tu znajdzie.

223. dzień

Kolejna próba. Ból. Kolejna porażka.

257. dzień

Dzisiaj skończyłem sześćdziesiąt osiem lat standardowych. Buduję kaplicę na krawędzi Rozpadliny. Wczoraj próbowałem zejść na dół, do rzeki, ale Beta i jeszcze czterech Bikurów zawrócili mnie z drogi.

280. dzień

Rok na Hyperionie. Rok w czyścicu. A może to piekło?

311. dzień

Zbierając kamienie na skalnej półce poniżej miejsca, gdzie powstaje kaplica, dokonałem odkrycia: odgromniki. Bikurowie po prostu cisnęli je w przepaść tej nocy przed dwustu dwudziestoma trzema dniami, kiedy zamordowali Tuka.

Dzięki odgromnikom będę mógł zagłębić się w las ognisty w każdej chwili, jak tylko pozwoli mi na to krzyżokształt. Ale on nie pozwoli. Ach, gdybym tak miał środki przeciwbólowe! Mimo to, siedząc na kamieniu i wpatrując się w odgromniki, wpadłem na pewien pomysł.

Nadal kontynuuję, z konieczności niezbyt skomplikowane, eksperymenty z medskanerem. Dwa tygodnie temu, kiedy Theta złamał nogę w trzech miejscach, obserwowałem reakcję krzyżokształtu. Pasożyt czynił wszystko, aby zredukować ból do minimum; Theta prawie przez cały czas był nieprzytomny, jego organizm zaś wytwarzał niewiarygodne ilości endorfiny. Chyba jednak złamanie okazało się bardzo

bolesne, gdyż po czterech dniach Bikurowie poderżnęli biedakowi gardło i zanieśli ciało do bazyliki. Okazało się, że krzyżokształkowi łatwiej jest zrekonstruować całego osobnika niż przez dłuższy czas znosić silny ból. Tuż przed zabójstwem mój medskaner doniósł o wycofaniu znacznej części włókien krzyżokształtu z centralnego systemu nerwowego Thety.

Nie wiem, czy udałoby mi się zadać sobie tak wielki, a jednocześnie nie pociągający za sobą większych konsekwencji ból - i znieść go! - żeby zmusić krzyżokształt do odwrotu, ale jedno nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości: Bikurowie na pewno by mi na to nie pozwolili.

Teraz siedzę na skalnej półce poniżej na pół ukończonej kaplicy i rozmyślam.

438. dzień

Kaplica jest gotowa. To dzieło mojego życia.

Wieczorem, kiedy Bikurowie zeszli do Rozpadliny, by uczestniczyć w swojej parodii modlitwy, odprawiłem mszę świętą przy ołtarzu nowo wzniesionej kaplicy. Wcześniej upiekłem chleb z mąki chalmy; przypuszczam, że czuć go było wyraźnie tą rośliną, dla mnie jednak niczym nie różnił się w smaku od hostii, którą przed sześćdziesięciu laty przyjąłem podczas pierwszej komunii w Villefranche-sur-Saône.

Rano przystąpię do realizacji swojego planu. Wszystko jest już gotowe; mój dziennik oraz wydruki z medskanera będą bezpieczne w sakwie z azbestowych włókien. Nic więcej nie mogę uczynić.

Zamiast wina miałem wodę, lecz w czerwonym blasku zachodzącego słońca nabrała barwy krwi, a smakowała jak mszalne wino.

Wszystko będzie zależało od tego, czy uda mi się zapuścić dość głęboko w las ognisty. Mam nadzieję, że nawet w stanie uśpienia tesle przejawiają jednak wystarczająco dużą aktywność.

Żegnaj, Edwardzie. Wątpię, czy jeszcze żyjesz, a nawet gdyby tak było, to nie widzę żadnej możliwości, żebyśmy jeszcze kiedyś się spotkali. Dzieli nas nie tylko ogromna odległość, ale także znacznie szersza przepaść, która ma kształt krzyża. Nadzieje na to, aby ponownie cię ujrzeć, muszę raczej łączyć z tym życiem, które niebawem się dla mnie rozpocznie. Dziwisz się, że mówię w ten sposób, prawda? Wyznam ci, Edwardzie, iż po tylu dekadach niepewności, bojąc się tego, co mnie czeka, osiągnąłem jednak wreszcie spokój serca i duszy.

Boże mój,

Z serca żałuję tego, żem Cię obraził,
I wyrzekam się wszystkich swoich grzechów,
Gdyż lękam się utracić niebo
I zaznać cierpień w piekle,
Ale przede wszystkim dlatego, że obraziłem Ciebie,
Mój Boże,
Któryś jest dobrem
I zasługujesz na to, by kochać Cię całym sercem.
Postanawiam szczerze z Twoją pomocą wyznać wszystkie grzechy,
Odprawić pokutę,
I stać się lepszym,
Amen.

2400.

Przez otwarte okno kaplicy wpadają promienie zachodzącego słońca, kąpiąc w krwawym blasku ołtarz, niezgrabny kielich i mnie, który go trzymam. Wiatr śpiewa w Rozpadlinie swoją zawodzącą pieśń - z Bożą pomocą, nigdy więcej już jej nie usłyszę.

- To ostatni zapis w dzienniku - powiedział Lenar Hoyt.

Kiedy kapłan umilkł, sześcioro pielgrzymów uniosło głowy i spojrzelo na niego, jakby wszyscy obudzili się z tego samego snu. Konsul zerknął w górę; Hyperion znajdował się już bardzo blisko, wypełniając sobą trzecią część nieba i przyćmiewając swoim zimnym blaskiem odległe gwiazdy.

- Wróciłem osiem tygodni po tym, jak zostawiłem ojca Duré na lądowisku w Keats - ciągnął Hoyt chrapliwym głosem. - Na Hyperionie minęło ponad osiem lat, a siedem od ostatniego wpisu do dziennika.

Nie ulegało wątpliwości, że kapłan walczy z wielkim bólem; miał śmiertelnie bladą twarz, pokrytą kropelkami potu.

- W ciągu miesiąca udało mi się dotrzeć do plantacji Perecebo - mówił dalej nieco silniejszym głosem. - Przypuszczałem, że żyjący tam ludzie powiedzą mi prawdę, choć nie są w żaden sposób zależni ani od konsulatu, ani od Rady Planety. Miałem rację. Administrator plantacji, człowiek nazwiskiem Orlandi, dobrze pamiętał ojca Duré, podobnie jak jego nowa żona, kobieta imieniem Semfa, o której Paul Duré wspomniał w swoim dzienniku. Zarządca usiłował zorganizować wyprawę ratunkową, która udałaby się śladem zaginionego jezuitę, lecz kilka następujących bezpośrednio po sobie okresów niesłychanie wysokiej aktywności lasów ognistych zmusiło go do rezygnacji z tych planów. Po kilku latach stracono wszelką nadzieję, że ojciec Duré albo jego przewodnik mogą jeszcze być przy życiu.

Mimo to Orlandi wyznaczył dwóch doświadczonych pilotów, aby zawieźli nas

na płaskowyż śmigaczami należącymi do kompanii, która była właścicielem plantacji. Lecieliśmy głównie Rozpadliną, dzięki czemu ominęliśmy znaczną część lasów ognistych, ale i tak straciliśmy jeden śmigacz oraz czterech ludzi.

Ojciec Hoyt umilkł i zachwiał się lekko na krześle. Jakoś jednak udało mu się zapanować nad słabością, gdyż zacisnął palce na krawędzi stołu, odchrząknął i mówił dalej:

- Resztę można streścić w kilku zdaniach. Znaleźliśmy wioskę Bikurów. Było ich siedemdziesięciu, a każdy tak głupi i niekomunikatywny, jak to opisywał ojciec Duré. Udało mi się wydobyć z nich tylko tyle, że zginął, próbując przedostać się przez lasy ogniste. Przetrwiała natomiast azbestowa sakwa z dziennikami i wynikami badań medycznych. - Hoyt umilkł na chwilę, popatrzył na pielgrzymów zgromadzonych przy stole i opuścił wzrok. - Udało się skłonić ich, żeby pokazali nam miejsce jego śmierci. Oni... nie pochowali go. Szczątki były zwęglone i uległy częściowemu rozkładowi, ale zachowały się w na tyle dobrym stanie, że mogliśmy stwierdzić, iż wyładowania tesli zniszczyły nie tylko ciało, lecz także krzyżokształt. Ojciec Duré umarł prawdziwą śmiercią. Sprowadziliśmy jego doczesne szczątki na plantację Perecebo, gdzie spoczęły w poświęconej ziemi, ja zaś odprawiłem mszę żałobną. - Hoyt westchnął głęboko. - Pomimo moich ostrych protestów, M. Orlandi rozkazał zniszczyć wioskę Bikurów ładunkami nuklearnymi, które śmigacze dostarczyły z plantacji. Wątpię, czy udało się ocaleć choć jednemu z Bikurów. O ile wiem, w wyniku bombardowania zasypaniu uległo zarówno wejście do labiryntu, jak i do tak zwanej bazyliki.

Podczas wyprawy doznałem pewnych obrażeń, w związku z czym musiałem pozostać przez jakiś czas na plantacji. Dopiero siedem miesięcy później wróciłem na północny kontynent i kupiłem bilet na Pacem. O istnieniu tych dzienników oraz o ich zawartości wiedzą tylko M. Orlandi, monsignor Edward i ci jego zwierzchnicy, których uznał za stosowne poinformować. O ile się orientuję, Kościół nie zajął w tej sprawie żadnego oficjalnego stanowiska.

W odbitym blasku Hyperiona pokryta kroplami potu twarz jezuity wydawała się niemal sina.

- Czy to wszystko? - zapytał Martin Silenus.

- Tak... - wychrypiał Hoyt.

- Pani i panowie, jest już późno - odezwał się Het Masteen. - Proponuję, żebyście teraz udali się po bagaże i spotkali najdalej za trzydzieści minut przy statku naszego przyjaciela konsula w doku numer 11. Ja skorzystam z jednego z naszych

promów i dołączę do was nieco później.

Niemal wszyscy stawili się na miejscu przed upływem piętnastu minut. Templariusze połączyli drewnianym pomostem górny taras statku z wysokim obramowaniem doku, dzięki czemu konsul mógł wprowadzić gości bezpośrednio do salonu. Klony w milczeniu wnieśli bagaże, po czym zniknęły.

- Wspaniały stary instrument - powiedział Kassad, przesuając ręką po klawie Steinwaya. - Klawikord?

- Fortepian - odparł konsul. - Jeszcze sprzed Hegiry. Czy jesteśmy w komplecie?

- Z wyjątkiem Hoyta - powiedziała Brawne Lamia.

Do salonu wszedł Het Masteen.

- Okręt wojenny Hegemonii udzielił wam zezwolenia na przelot do portu kosmicznego w Keats - oznajmił, po czym rozejrzał się dokoła. - Poślę kogoś z załogi, żeby sprawdził, czy M. Hoyt nie potrzebuje pomocy.

- Nie trzeba - zaprotestował pośpiesznie konsul, a następnie dodał znacznie spokojniejszym tonem: - Chciałbym sam się tym zająć. Możesz wskazać mi drogę do jego kwatery?

Kapitan przez długą chwilę wpatrywał się bez słowa w konsula, po czym sięgnął pod fałdy swojej szaty.

- *Bon voyage* - powiedział, wręczając mu minidysk do komlogu. - Spotkamy się na planecie, przed wyruszeniem ze świątyni Chyżwara w Keats.

Konsul skłonił się lekko.

- To była dla nas wielka przyjemność, móc podróżować pod ochroną potężnych gałęzi Drzewa, Hecie Masteen - odparł, następnie zaś zwrócił się do pozostałych uczestników wyprawy: - Proszę, rozgoście się tutaj, w salonie albo w bibliotece, która znajduje się na niższym pokładzie. Statek zatroszczy się o wasze potrzeby i udzieli odpowiedzi na wszelkie pytania. Wyruszymy w drogę natychmiast, jak tylko wrócę z ojcem Hoytem.

Strąk mieszkalny księdza znajdował się w połowie wysokości drzewostatku, na jednej z dalszych gałęzi. Zgodnie z oczekiwaniami konsula, minidysk, który wręczył mu Het Masteen, zawierał komendę pozwalającą anulować wszelkie blokady w kabinach pasażerskich. Kiedy mimo wielokrotnego naciskania przycisku

sygnalizatora i pukania w drewnianą futrynę nie uzyskał żadnej odpowiedzi, wydał komlogowi odpowiednie polecenie i wszedł do strąka.

Ojciec Hoyt klęczał na podłodze, skulony tak bardzo, że niemal dotykał czołem zielonej trawy, która we wszystkich strąkach zastępowała wykładzinę. Dokoła niego wałały się jego osobiste rzeczy, a także zawartość standardowego zestawu pierwszej pomocy. Zdarł z szyi koloratkę i rozerwał koszulę na piersi, ale i tak był cały zlany potem. Sączący się przez półprzeźroczystą ścianę blask Hyperiona sprawiał, iż można było odnieść wrażenie, że niezwykła scena rozgrywa się pod wodą - albo w mrocznej katedrze, pomyślał konsul.

Twarz Lenara Hoyta wykrzywił grymas potwornego bólu. Przyciskał ręce do piersi, a mięśnie wily się pod skórą nagiego przedramienia niczym żywe, przerażone istoty.

- Iniektor - wyszczał kapłan. - Uszkodzony... Proszę...

Konsul skinął głową, zamknął drzwi, ukląkł przy księdzu, wyjął z jego zaciśniętej dłoni bezużyteczny iniektor i usunął z niego ampułkę. Ultramorfina. Ponownie skinął głową, po czym otworzył zestaw medyczny, który przyniósł ze swojego statku. Załadowanie ampułki do drugiego iniektora zajęło mu niespełna sekundę.

- Proszę... - wycharczał Hoyt, dygocąc jak w ataku febry. Konsul niemal mógł dostrzec fale bólu, które jedna za drugą wędrowały po ciele kapłana.

- Oczywiście - powiedział. - Ale najpierw musisz opowiedzieć mi do końca swoją historię.

Hoyt wytrzeszczył na niego oczy, a następnie wyciągnął drżącą rękę po iniektor. Konsul odsunął przyrząd czując, że jemu także pot spływa kropelkami z czoła.

- Za chwilę. Jak tylko usłyszę resztę opowieści. Muszę znać prawdę.

- Słodki Jezu!... - załkał Hoyt. - Proszę!

- Tak, tak... - Konsul stwierdził, że ma zupełnie sucho w gardle. - Najpierw twoja historia.

Ojciec Hoyt podparł się rękami i leżąc na podłodze łapał powietrze szybkimi, płytkimi haustami.

- Ty pieprzony sukinsynu... - wydyszał, po czym wstrzymał na chwilę oddech, starając się zapanować nad drżeniem ciała, a kiedy ponownie spojrział na konsula, w jego oszalałych z bólu oczach można było dojrzeć także coś w rodzaju ulgi. - Potem

dasz mi zastrzyk?

- Naturalnie - odparł konsul.

- W porządku... - wychrypiął Hoyt. - A więc prawda. Plantacja Perecebo... tak jak mówiłem. Przylecieliśmy na początku października... Lycius... osiem lat po Paulu Duré... zniknął. Chryste, jak to boli! Alkohol już nie działa. Tylko czysta ultramorfina...

- Dostaniesz ją - powiedział konsul głosem niewiele donośniejszym od szeptu. - Jak tylko wszystko mi opowiesz.

Kapłan puścił głowę. Krople potu kapały mu z nosa na krótko przyciętą trawę. Napiął wszystkie mięśnie, jakby szykował się do ataku, ale następny paroksyzm bólu sprawił, że Hoyt znowu zwinął się niemal w kłębek.

- Śmigacz... Nie zniszczyły go tesle. Była w nim Semfa, ja i jeszcze dwaj ludzie. Wylądowaliśmy na krawędzi... Orlandi poleciał w górę rzeki, ale musiał tam zaczekać, bo rozpełtała się burza.

W nocy przyszli Bikurowie. Zabili... zabili Semfę, tamtych dwóch... mnie zostawili przy życiu. - Hoyt sięgnął po krzyż, uświadomił sobie, że zdarł go z szyi razem z koloratką, spróbował się roześmiać, ale tylko zaszlochał. - Powiedzieli mi o... o drodze krzyża. O krzyżokształcie. Powiedzieli mi o Synu Płomieni.

Nazajutrz rano zaprowadzili mnie do niego. - Kapłan wyprostował się i zatopił szponiasto wygięte palce we własnych policzkach, jakby chciał oderwać je od twarzy. Miał szeroko otwarte, błyszczące oczy. Na chwilę chyba zapomniał o bólu i ultramorfynie. - Jakieś trzy kilometry w głąb lasu ognistego... ogromne tesle... osiemdziesiąt, może sto metrów wysokości. Uśpione, ale w powietrzu było mnóstwo... elektryczności. I wszędzie popiół.

Bikurowie nie chcieli podejść bliżej. Uklękli i pochyłili te swoje przekłete, łyse głowy. Aleja... ja podszedłem. Boże... Dobry Boże, to był on, Duré. A raczej to, co z niego zostało.

Wspiął się po plecionej drabinie na drzewo... jakieś cztery metry... zrobił coś w rodzaju małej platformy. Na stopy. Połamał odgromniki i zaostrzył. Musiał chyba użyć kamienia, żeby przybić sobie stopy do pnia.

Lewe przedramię... Wbił szpikulec między kość promieniową a łokciową, omijając żyły i tętnice... zupełnie jak ci cholerni Rzymianie. Dzięki temu skazaniec mógł wisieć tak długo, jak długo nie rozpadł się szkielet. Druga ręka... prawa... dłonią w dół. Najpierw wbił szpikulec zaostrowany z obu stron, potem nadział na niego rękę i

w jakiś sposób zagiął wystający koniec. Hak.

Drabinka już dawno odpadła, ale nie spłonęła, bo zrobił ją z azbestowych włókien. Wspiąłem się do niego... Nie miał ubrania, skóry, ciało było zwęglone... ale na szyi wisiała azbestowa sakwa.

Odgromniki nadal przewodziły prąd. Widziałem... czułem, jak przepływa przez to, co zostało z jego zwłok.

Wciąż jednak przypominał ojca Duré. To ważne. Powiedziałem o tym monsignorowi. Bez skóry. Tkanki zwęglone. Obnażone nerwy i kości... jak szare i żółte korzenie. Smród... Boże, ten smród!... A jednak to, co wisiało na drzewie, nadal wyglądało jak ojciec Paul Duré.

Wtedy zrozumiałem. Wszystko zrozumiałem. Jeszcze przed przeczytaniem dzienników. Zrozumiałem, że wisiał tam... O mój Boże... siedem lat. Żyjąc. Umierając. Krzyżokształt... nie poddawał się. Przez te siedem lat prąd płynął nieprzerwanie przez jego ciało. Płomienie. Głód. Ból. Powtarzająca się w nieskończoność śmierć. Jednak za każdym razem ten przeklęty krzyżokształt... odtwarzał, co mógł... nie wiem - z drzewa, z powietrza, z tego, co zostało... i zmuszał go, żeby żył, żeby cierpiał na nowo, bez końca...

Ale w końcu ojciec Duré zwyciężył. Jezu, nie kilka godzin na krzyżu, a potem cios włócznią i spokój, lecz siedem lat!

Jednak zwyciężył. Kiedy zdjąłem sakwę, krzyżokształt odpadł z jego piersi. Po prostu odpadł. Długie, krwawe korzenie. A wtedy... wtedy ten człowiek... te zwłoki wiszące na drzewie podniosły głowę. Oczy bez powiek. Gałki upieczone. Usta bez warg. Mimo to spojrział na mnie i uśmiechnął się. Uśmiechnął się. I umarł... naprawdę umarł... w moich ramionach. Po raz stutysięczny, ale wreszcie naprawdę. Uśmiechnął się i umarł.

Hoyt umilkł, przez chwilę w milczeniu zmagał się z bólem, po czym mówił dalej, co kilka sekund rozpaczliwie zaciskając zęby:

- Bikurowie zaprowadzili mnie... z powrotem... na krawędź Rozpadliny. Następnego dnia zjawiał się Orlandi. Zabrał mnie. Kiedy się dowiedział... Semfa... nie mogłem nic zrobić. Zrównał wioskę z ziemią, zabił wszystkich Bikurów, a oni tylko stali i gapili się na niego, jak głupie owce. Przestałem krzyczeć i zacząłem się śmiać... Wybacz mi, dobry Boże. Potem Orlandi zbombardował krawędź Rozpadliny ładunkami nuklearnymi, których używają do przygotowywania terenów pod nowe plantacje. - Hoyt spojrział na konsula i wykonał niezgrabny gest prawą ręką. -

Początkowo wystarczały mi zwykle środki przeciwbólowe. Jednak z każdym rokiem... z każdym dniem... było coraz gorzej. Nawet w hibernacji... wciąż ten ból. I tak musiałbym wrócić. W jaki sposób on... Siedem lat! Och, mój Jezu...

Ojciec Hoyt wbił zakrzywione palce w gęstą trawę.

Konsul wstrzyknął mu całą ampułkę ultramorfiny, podtrzymał księdza, który natychmiast stracił przytomność, i delikatnie ułożył go na podłodze. Następnie rozerwał do końca koszulę na jego piersi. Ujrzał tam to, co spodziewał się zobaczyć. Krzyżokształt leżał na bladej skórze kapłana niczym ogromny czerwony robak. Konsul odetchnął głęboko, po czym odwrócił nieprzytomnego mężczyznę na brzuch. Drugi krzyżokształt, nieco mniejszy, znajdował się między łopatkami. Zadrżał lekko, kiedy konsul dotknął go ostrożnie czubkami palców.

Konsul działał powoli i metodycznie. Najpierw spakował niewielki dobytek księdza, potem doprowadził pomieszczenie do porządku, wreszcie ubrał wciąż nieprzytomnego Hoyta tak delikatnie i ostrożnie, jak ubiera się zwłoki kogoś bardzo bliskiego.

Nagle rozległ się sygnał komlogu.

- Musimy ruszać - powiedział pułkownik Kassad.

- Już idziemy - odparł konsul. Wezwał klony, żeby zajęły się bagażem, i podniósł z podłogi bezwładne ciało. Ojciec Hoyt ważył nie więcej niż dziecko.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Konsul wyszedł z głębokiego cienia, rzucanego przez gałąź, w zielonobłękitny blask planety, która przesłaniała już niemal całe niebo. Zastanawiając się, co powinien powiedzieć pozostałym, przystanął na chwilę, aby popatrzeć na twarz nieprzytomnego kapłana, po czym zerknął w górę na Hyperiona i wreszcie ruszył naprzód. Nawet gdyby ciężenie na drzewostatku dorównywało standardowemu, prawie by nie czuł, że trzyma cokolwiek w ramionach.

Ojciec dziecka, które już nie żyło, szedł w kierunku swojego statku, czując się znowu tak, jakby niósł do łóżka zmorzonego snem syna.

ROZDZIAŁ 2

W Keats, stolicy Hyperiona, pogoda była ciepła i deszczowa. Nawet kiedy na jakiś czas przestawało padać, to niskie, ciężkie chmury przesuwały się nad miastem, przynosząc ze sobą słony zapach odległego o dwadzieścia kilometrów na zachód oceanu. Pod wieczór, gdy szarawy dzień zaczął ustępować miejsca szarawemu zmierzchowi, miastem wstrząsnął ogłuszający huk, który po chwili wrócił echem odbitym od samotnej, zamienionej w posąg góry. Chmury rozbłysły jaskrawą bielą, wkrótce potem zaś przez ich powłokę przebił się czarny jak heban statek kosmiczny i zaczął ostrożnie opadać na kolumnie oślepiająco błękitnego ognia.

Na wysokości tysiąca metrów statek włączył światła pozycyjne, a z położonego na północ od miasta portu kosmicznego wystrzeliły trzy skupione rubinowe promienie, które zbiegły się na czarnym kadłubie. Trzysta metrów nad ziemią statek zawisł nieruchomo, po czym przesunął się łagodnie nieco w bok i miękko wylądował na przygotowanym dla niego stanowisku.

Strumienie wytryskującej pod ciśnieniem wody natychmiast splukwały ceramiczną nawierzchnię oraz dolną część statku. W zetknięciu z gorącą powierzchnią zamieniały się z sykiem w parę, która ulatywała w górę, mieszając się z gęstą mżawką. Minutę później dopływ wody został odcięty i przez chwilę słychać było jedynie szelest deszczu i ciche pykanie stygnącej powłoki statku.

Dwadzieścia metrów nad krawędzią stanowiska z czarnego kadłuba wysunął się taras. Pojawiło się na nim pięć osób.

- Dziękujemy za podwiezienie - powiedział pułkownik Kassad.

Konsul w milczeniu skinął głową i oparł się o balustradę, głęboko wdychając świeże powietrze. Kropelki deszczu padały mu na plecy i głowę, spływając po czole i zatrzymując się na brwiach.

Sol Weintraub wyjął niemowlę z nosidelka. Zmiana ciśnienia, temperatury, zapachu, ruch, hałas albo wszystko to jednocześnie obudziły dziecko, które zaczęło głośno płakać. Weintraub starał się uciszyć córeczkę, ale bez powodzenia.

- Znakomity komentarz do naszego przybycia - odezwał się Martin Silenus. Miał na sobie długą fioletową pelerynę i czerwony beret, zsunięty na jedną stronę tak bardzo, że niemal sięgał prawego ramienia. Poeta pociągnął łyk wina z kieliszka, który zabrał z salonu. - Święty Jezu na patyku, trochę się tu zmieniło.

Konsul, którego nieobecność trwała osiem miejscowych lat, musiał się z nim zgodzić. Podczas jego poprzedniego pobytu w Keats port kosmiczny dzieliło od miasta równe dziewięć kilometrów; teraz wokół lądowiska wyrosło całe osiedle namiotów i prymitywnych bud, poprzecinane błotnistymi uliczkami. Dawniej w małym porcie lądował najwyżej jeden statek tygodniowo; teraz bez trudu można było doliczyć się co najmniej dwudziestu jednostek. Niewielki budynek mieszczący administrację i urząd celny został zastąpiony przez ogromną budowlę z prefabrykatów, lądowisko uległo rozbudowaniu w kierunku zachodnim, pojawiło się sporo nowych stanowisk, na skraju płyty zaś tłoczyło się mnóstwo kontenerowych baraków, gdzie mogło się mieścić wszystko - od naziemnej stacji kontroli lotów poczynając, na wojskowych koszarach kończąc. Nad skupiskiem kilku takich baraków ustawionych w pobliżu miejsca, w którym wylądowali, wznosił się las tajemniczych anten.

- Postęp... - mruknął konsul.

- Wojna - poprawił go Kassad.

- To są ludzie! - wykrzyknęła Brawne Lamia, wskazując w kierunku głównej bramy usytuowanej w południowej części lądowiska. Falowała tam jakaś buroszara masa, usiłująca przedrzeć się przez ogrodzenie i migoczącą fioletowo granicę pola siłowego.

- Mój Boże... - szepnął konsul. - Masz rację.

Kolejno spoglądali przez lornetkę Kassada na nędznie ubranych ludzi szarpiących za druty i napierających na pole siłowe.

- Skąd oni się tu wzięli? - zastanawiała się Lamia. - Czego mogą chcieć?

Nawet z odległości ponad pół kilometra bezmyślna gwałtowność tłumu wywierała duże wrażenie. Skraj płyty lądowiska patrolowali umundurowani na czarno komandosi. Konsul domyślił się, że dość szeroki pas gołej ziemi między nimi a polem siłowym i ogrodzeniem został zaminowany bądź też zainstalowano tam naprowadzane automatycznie na cel lasery.

Albo i jedno, i drugie.

- Czego oni chcą? - powtórzyła Lamia.

- Wydostać się stąd - odparł pułkownik.

Konsul zrozumiał to, jeszcze zanim Kassad otworzył usta. Slumsy otaczające port kosmiczny i dziki tłum kłębiący się przed bramą oznaczały, że ludność Hyperiona szykuje się do opuszczenia planety. Należało przypuszczać, iż widok każdego lądującego statku wzmaga napór zdesperowanych ludzi.

- No, ten na pewno tutaj zostanie - powiedział Martin Silenus, wskazując niewysoką górę po drugiej stronie rzeki, na południe od portu. - Stary Płaczliwy William Rex, niech Bóg ma w opiece jego grzeszną duszę. - Wyrzeźbiona w skale twarz Smutnego Króla Billy'ego była ledwo widoczna z powodu deszczu i gęstniejącego zmroku. - Znałem go, Horacy - ciągnął pijany poeta. - Sypał żartami jak z rękawa, ale żaden z nich nie był zabawny. Krótko mówiąc, to był prawdziwy dupek, przyjacielu.

Sol Weintraub stał na progu salonu, gdzie nie docierał deszcz, a krzyki maleństwa nie przeszkadzały w rozmowie.

- Ktoś się zbliża - powiedział.

Tuż nad mokrą płytą lądowiska mknął wojskowy EMV z nieaktywną polimerową tarczą kamuflażową i dodatkowymi turbinami powietrznymi, które miały za zadanie wspomagać główne silniki w słabym polu magnetycznym Hyperiona.

Martin Silenus wciąż nie odrywał spojrzenia od melancholijnego oblicza Smutnego Króla Billy'ego. Nie zwracając uwagi na pozostałych, wyszeptał tak cicho, że sam ledwo słyszał swoje słowa:

W głębokich mrokach posępnej doliny
Z dala od świeżych oddechów poranka,
Żarów południa i gwiazdy wieczornej
Usiadł Saturnus, jako gład, spokojny
I tak milczący, jak owo milczenie,
Co go otacza wokół; nad głową
Las mu się zwieszał na lesie, jak ciemna
Chmura na chmurze...

Na tarasie pojawił się ojciec Hoyt. Rozcierał sobie policzki, a jego szeroko otwarte, jakby zdziwione oczy przypominały oczy dziecka, które dopiero co obudziło się ze snu.

- Już jesteśmy? - zapytał.

- W samym środku pieprzonego gówna - odparł Silenus, zwracając lornetkę Kassadowi. - Chodźmy na dół, żeby powitać panów żołnierzy.

Skład nowo przybyłej grupy nie wywarł na młodym poruczniku marines najmniejszego wrażenia, nawet kiedy włożył do czytnika kartę, którą Het Masteen otrzymał od dowódcy floty. Porucznik bez pośpiechu sprawdzał wizy, pozwalając pielgrzymom moknąć w gęstniejącym deszczu i od czasu do czasu rzucając jakąś arogancką uwagę, co jest typowe dla wszystkich maluczkich, którym nagle dano

choćby najmniejszą częśćką władzy. Dopiero kiedy dotarł do Fedmahna Kassada, podniósł głowę i wytrzeszczył oczy.

- Pułkownik Kassad! - wykrztusił ze zdumieniem.

- W stanie spoczynku - poinformował go Kassad.

- Bardzo mi przykro, panie pułkowniku... - bełkotał młody człowiek, pośpiesznie oddając wszystkim karty identyfikacyjne. - Nie miałem pojęcia, że pan jest tutaj... To znaczy... Kapitan powiedział, że... Mój wuj był z panem na Bressii, pułkowniku. Naprawdę bardzo mi przykro... Jeśli ja albo moi ludzie możemy coś dla pana zrobić...

- Spokojnie, poruczniku - powiedział Kassad. - Czy jest szansa na jakiś transport do miasta?

- Hmm... - Młody komandos wykonał ruch, jakby chciał potrzeć brodę, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że ma na głowie hełm bojowy. - Owszem, panie pułkowniku. Problem polega tylko na tym, że tłum potrafi stać się bardzo agresywny, a w tym górnianym polu magnetycznym nasze EMV są zupełnie do du... Proszę o wybaczenie, pułkowniku. Właściwie drogą lądową przewozimy tylko towary, a najbliższy śmigacz ma wyruszyć z bazy dopiero o 2200, ale chętnie wpiszę pana i pańskich przyjaciół na...

- Chwileczkę - przerwał mu konsul. W odległości dziesięciu metrów od zmokniętej grupki wylądował obdrapany śmigacz ze złotym godłem Hegemonii na burcie. Z maszyny wysiadł wysoki, szczupły człowiek. - Theo! - wykrzyknął konsul.

Dwaj mężczyźni wyciągnęli ręce, jakby chcieli je sobie uścisnąć, ale w ostatniej chwili zmienili zamiar i rzucili się sobie w objęcia.

- Niech mnie licho! - wysapał wreszcie konsul. - Świetnie wyglądasz, Theo.

Była to prawda. Jego dawny zastępca nadrobił kilka lat, ale na jego szczupłej twarzy, nad którą sterczała strzecha ciemnorudych włosów, gościł wciąż ten sam chłopięcy uśmiech. Wszystkie niezamężne - oraz niektóre zamężne - kobiety pracujące w konsulacie uważały to zestawienie za bardzo interesujące. Pozostała także nieśmiałość, chyba jedyna słaba strona Theo Lane'a; było to widać po sposobie, w jaki co chwila poprawiał archaiczne okulary w rogowej oprawce.

- Miło znowu cię widzieć - powiedział.

Konsul odwrócił się, żeby przedstawić pozostałych członków grupy, lecz nagle znieruchomiał.

- Mój Boże, przecież ty teraz jesteś konsulem! Wybacz mi, Theo. Chwilami

zupełnie przestaję myśleć.

Theo Lane uśmiechnął się i po raz kolejny poprawił szkła.

- Nic nie szkodzi - odparł. - Jeśli chodzi o ścisłość, to od paru miesięcy nie jestem już konsulem, tylko generalnym gubernatorem. Rada Planety wystąpiła wreszcie z prośbą o przyznanie pełnego statusu kolonialnego. Prośba została spełniona. Witajcie na najmłodszej planecie Hegemonii.

Konsul przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w swego dawnego podwładnego, po czym jeszcze raz wziął go w objęcia.

- Gratuluję, Wasza Ekscelencjo!

Theo zerknął w niebo.

- Wkrótce rozpada się na dobre. Wskakujcie do śmigacza, to podrzucę was do miasta. - Generalny gubernator przeniósł wzrok na młodego komandosa. - Poruczniku...

Oficer wyprężył się jak struna.

- Tak, panie gubernatorze?

- Czy mógłby pan polecić swoim ludziom, żeby wyladowali bagaże naszych gości? Chcielibyśmy jak najprędzej schować się przed deszczem.

Śmigacz leciał na południe nad autostradą, utrzymując stałą wysokość sześćdziesięciu metrów. Konsul siedział z przodu, obok pilota, pozostali rozsiedli się w wygodnych fotelach w tylnej części kabiny. Martin Silenus i ojciec Hoyt chyba spali, dziecko Weintrauba zaś przestało płakać i zajęło się butelką ze sztucznie zsyntetyzowanym matczynym mlekiem.

- Wiele się zmieniło - zauważył konsul, spoglądając w dół przez mokrą szybę.

Na zboczach wzgórz po obu stronach trzykilometrowej autostrady tłoczyły się tysiące namiotów, szałasów i skleconych byle jak bud. W blasku płonących tu i ówdzie ognisk widać było poruszających się niemrawo ludzi. Wzdłuż samej drogi biegło wysokie ogrodzenie, autostrada zaś została znacznie poszerzona. W obu kierunkach podążały nią kolumny wielkich ciężarówek i poduszkowców - w zdecydowanej większości wojskowych, sądząc po maskujących barwach i nieaktywnych tarczach polimerowych. Z przodu światła Keats sięgały znacznie dalej w górę i dół rzeki, a także wspinały się na okoliczne wzniesienia.

- Trzy miliony - powiedział Theo, jakby czytając w myślach byłego szefa. - Trzy miliony ludzi, i codziennie przybywa ich coraz więcej.

Konsul spojrział na niego ze zdumieniem.

- Kiedy stąd wyjeżdżałem, na całej planecie było tylko cztery i pół miliona!

- I nadal tyle jest - odparł generalny gubernator. - Tyle tylko że każdy z nich chce dostać się do Keats, wsiąść na statek i odlecieć najdalej, jak tylko można. Niektórzy czekają na transmiter materii, ale większość wątpi, czy urządzenie powstanie na czas. Boją się.

- Intruzów?

- Ich też, ale przede wszystkim Chyżwara.

Konsul odsunął twarz od chłodnej szyby.

- A więc przeszedł na południową stronę Gór Cugielnych?

Theo roześmiał się, lecz w jego głosie nie było ani trochę wesołości.

- On jest już wszędzie. Albo oni. Sporo ludzi wierzy, że mamy do czynienia z więcej niż jednym. Zabija na wszystkich trzech kontynentach, z wyjątkiem samego Keats, fragmentów wybrzeża Grzywy i kilku dużych miast, takich jak Endymion.

- Ile ofiar? - zapytał konsul, choć właściwie nie chciał tego wiedzieć.

- Co najmniej dwadzieścia tysięcy zabitych lub zaginionych. Jest też mnóstwo rannych, ale to nie może być jego sprawka, prawda? - Znowu zarechotał ponuro. - Chyżwar nie zadaje ran, on zabija... Ludzie w panice strzelają do siebie nawzajem, spadają ze schodów, wyskakują z okien albo trują się podczas ucieczki. Gówniana sprawa.

W ciągu jedenastu lat, jakie konsul przepracował z Theo Lane'em, nigdy nie zdarzyło mu się usłyszeć od młodego człowieka nawet najlżejszego przekleństwa.

- A co z Armią? Czy to dzięki niej Chyżwar nie pojawia się w większych miastach?

Theo pokręcił głową.

- Armia interesuje się wyłącznie tym, żeby nie dopuścić do rozruchów. Co prawda marines udają, że pilnują lądowiska i portu morskiego w Port Romance, ale nigdy nie przedsięwzięli żadnej akcji przeciwko Chyżwarowi. Czekają na Intruzów.

- PSS?

Już zadając to pytanie, konsul był niemal pewien, że słabo wyszkolone Planetarne Siły Samoobrony nie mogły okazać się zbytnio przydatne. Theo parsknął pogardliwie, potwierdzając jego przypuszczenia.

- Co najmniej osiem tysięcy spośród ofiar Chyżwara to członkowie Sił. Generał Braxton poprowadził Trzecią Kompanię w góry, żeby, jak to określił: "dopaść potwora

w jego leżu”, i nikt już nie słyszał ani o Braxtonie, ani o jego oddziale.

- Chyba żartujesz? - Wystarczyło jednak spojrzeć na twarz gubernatora, aby zrozumieć, że o żadnych żartach nie może być mowy. - Na litość boską, w takim razie w jaki sposób znalazłeś czas, żeby przylecieć po nas na lądowisko?

- Nie znalazłem - odparł Theo Lane. Zerknął do tyłu; pozostali pasażerowie śmigacza albo spali, albo ze znużeniem spoglądali przez okna. - Nie mam czasu, ale muszę z tobą porozmawiać. Muszę cię przekonać, żebyś zrezygnował z tego szaleńczego zamiaru.

Konsul pokręcił głową, lecz nie zdążył nic powiedzieć, gdyż Theo chwycił go za ramię i mocno zacisnął dłoń.

- Wysłuchaj mnie, do jasnej cholery! Doskonale wiem, ile kosztowała cię decyzja o powrocie na Hyperiona po tym... po tym, co się tutaj wydarzyło, ale nie ma sensu bez powodu wszystkiego przekreślać. Nie wyruszaj na pielgrzymkę. Zostań w Keats.

- Nie mogę... - zaczął konsul.

- Posłuchaj, co mam do powiedzenia! Podam ci kilka powodów, dla których powinieneś tak postąpić. Powód pierwszy: jesteś najlepszym dyplomatą i specjalistą od sytuacji kryzysowych, jakiego w życiu spotkałem, i teraz możesz nam się bardzo przydać.

- To jeszcze nie...

- Zamknij się na chwilę. Powód drugi: nie uda wam się zbliżyć nawet na dwieście kilometrów do Grobowców Czasu. To już nie te czasy, kiedy każdy zakichany samobójca mógł sobie tam pojechać, zostać przez tydzień, a potem nawet wrócić, jeśli się rozmyślił. Chyżwar ruszył do ataku. Jest gorszy od zarazy.

- Owszem, ale...

- Powód trzeci: ja ciebie potrzebuję. Błagałem Pierwszą Tau Ceti, żeby wyznaczyli kogoś innego zamiast mnie, ale potem, kiedy dowiedziałem się, że przylatujesz... Szczerze mówiąc, tylko dzięki temu jakoś wytrzymałem ostatnie dwa lata.

Konsul potrząsnął głową, nie rozumiejąc, co jego były współpracownik ma na myśli.

Theo skierował śmigacz ku centrum miasta, po czym zatrzymał go w powietrzu, odwrócił wzrok od wskaźników i spojrzał konsulowi prosto w oczy.

- Chcę, żebyś zastąpił mnie na stanowisku generalnego gubernatora. Senat na

pewno nie zgłosi sprzeciwu - może z wyjątkiem Gladstone, ale kiedy ona się o tym dowie, będzie już za późno.

Konsul poczuł się tak, jakby otrzymał silny cios w splot słoneczny. Spojrzał w dół, na wąskie uliczki i obskurne domy tworzące Jacktown, Stare Miasto.

- Nie mogę, Theo - odparł, kiedy wreszcie zdołał głębiej odetchnąć.

- Jeśli chodzi ci o to, że...

- Nie. Po prostu nie mogę. Przede wszystkim, moja zgoda nic by nie zmieniła, ale prawda wygląda w ten sposób, że nie mogę, i już. Muszę odbyć tę pielgrzymkę.

Gubernator poprawił okulary i odwrócił spojrzenie.

- Theo, jesteś najbardziej kompetentnym i inteligentnym specjalistą w naszym fachu, z jakim kiedykolwiek zdarzyło mi się współpracować. Przez osiem lat znajdowałem się poza głównym nurtem wydarzeń, więc myślę, że...

Theo Lane skinął głową.

- Przypuszczam, że chcecie zobaczyć świątynię Chyżwara? - zapytał oschłym tonem.

- Istotnie.

Śmigacz zatoczył szerokie koło i wylądował. Pograżony głęboko w myślach, konsul wpatrywał się przed siebie nie widzącym spojrzeniem, kiedy nagle boczne drzwi maszyny uniosły się i Sol Weintraub szepnął:

- Dobry Boże...

Wysiedli z pojazdu, spoglądając w milczeniu na osmalone ruiny tego, co kiedyś było świątynią Chyżwara. Odkąd przed mniej więcej dwudziestoma pięcioma laty uznano Grobowce Czasu za zbyt niebezpieczne i zamknięto je dla zwiedzających, świątynia ta stanowiła główną atrakcję turystyczną Hyperiona. Zajmowała pełne trzy kwartały, a iglica jej umieszczonej centralnie wieży wznosiła się ponad sto pięćdziesiąt metrów nad poziom gruntu. Pod względem architektonicznym świątynia częściowo przypominała dostojną katedrę, częściowo jakąś żartobliwą wariację na temat stylu gotyckiego, częściowo niesamowitą Escherowską grafikę, częściowo zaś koszmar przeniesiony jakby prosto z płócien Boscha - przede wszystkim jednak stanowiła nieodłączny fragment przeszłości Hyperiona.

Teraz zniknęła. O minionym majestacie budowli świadczyły jedynie wielkie stopy poczerniałych od ognia kamieni, z których niby monstrualne żebra sterczały resztki nadtopionej konstrukcji nośnej. Znaczna część gruzu wpadła do piwnic i niezliczonych podziemnych przejść, które znajdowały się pod liczącą trzy wieki

budowlą. Konsul podszedł do krawędzi jednego z zapadlisk, zastanawiając się, czy - jak głosiła legenda - głębokie katakumby rzeczywiście łączą się z labiryntem wyrytym pod powierzchnią planety.

- Wygląda na to, że użyli tu bicia bożego - powiedział Martin Silenus. "Biczem bożym" nazywano w dawnych czasach bojowe lasery o wielkiej mocy. Poeta sprawiał wrażenie zupełnie trzeźwego. - Pamiętam czasy, kiedy nie było tu nic oprócz świątyni i kilku fragmentów Starego Miasta - dodał. - Billy postanowił przenieść tutaj Jacktown dopiero po tym nieszczęściu w okolicy Grobowców. A teraz nie został kamień na kamieniu. Jezu Chryste.

- Nie - odezwał się Kassad.

Wszyscy spojrzeli na niego.

Pułkownik uważnie badał pozostałości budowli. Teraz wyprostował się i zwrócił do pozostałych pasażerów śmigacza:

- To nie był bicz boży, tylko ładunki plazmowe. Kilka, może nawet kilkanaście.

- Naprawdę chcesz tu zostać i odbyć tę bezsensowną pielgrzymkę? - zapytał Theo. - Lepiej wracaj ze mną do konsulatu.

Zwracał się do konsula, ale ruchem ręki dał do zrozumienia, że zaproszenie dotyczy także pozostałych.

Konsul odwrócił się od rumowiska kamieni i spojrzął na swego dawnego zastępcę, ale właściwie po raz pierwszy od chwili powrotu na Hyperiona zobaczył generalnego gubernatora planety balansującej na krawędzi wojny.

- Nie mogę, Wasza Ekscelencjo - odparł. - Naturalnie, mówię tylko w swoim imieniu.

Czterej mężczyźni i kobieta niemal jednocześnie potrząsnęli głowami. Silenus i Kassad zajęli się wyładowywaniem bagaży. Deszcz powrócił pod postacią drobnej mżawki, właściwie niemal mgły, sączącej się przez ciemność. Dopiero teraz konsul zauważył dwa śmigacze bojowe Armii, unoszące się bezszelestnie nad dachami pobliskich domów. Dzięki swoim polimerowym kadłubom były prawie niewidoczne, ale deszcz pozwolił dostrzec ich zarysy.

Oczywiście, pomyślał konsul. Przecież generalny gubernator nie może podróżować bez eskorty.

- Czy kapłanom udało się uciec? - zapytała Brawne Lamia. - Czy w ogóle ktokolwiek ocalał?

- Tak - odparł Theo. Człowiek sprawujący w istocie niemal dyktatorską władzę

nad pięcioma milionami dusz skazanych na zagładę zdjął okulary i wytarł je o koszulę.
- Wszyscy kapłani i akolici uciekli podziemnymi tunelami. Tłum oblegał świątynię przez kilka miesięcy. Przywódcą była kobieta o imieniu Cammon. Przybyła z jakiegoś miejsca położonego na wschód od Trawiastego Morza. Wielokrotnie ostrzegała ludzi przebywających w świątyni, zanim wreszcie wydała rozkaz odpalenia DL-20.

- A co robiła policja? - zainteresował się konsul. - Planetarne Siły Samoobrony? Armia?

Theo Lane uśmiechnął się i przez chwilę wyglądał na wielokroć starszego, niż był w istocie.

- Przez trzy lata znajdowaliście się w podróży - powiedział. - W tym czasie wszechświat bardzo się zmienił. Nawet na planetach należących do Sieci zdarzają się przypadki linczu na wyznawcach Chyżwara, więc możecie sobie wyobrazić, co dzieje się tutaj. Czternaście miesięcy temu ogłosiłem stan wyjątkowy. Policja i PSS są bez przerwy w stanie ostrego pogotowia. Razem ze mną przyglądali się, jak tłum pali świątynię. Według naszych szacunków zgromadziło się tutaj ponad pół miliona ludzi.

- Czy wiedzą o nas i naszej pielgrzymce? - zapytał Sol Weintraub.

- Gdyby wiedzieli, nikt z was już by nie żył - odparł Theo. - Może wydaje wam się, że powinni odnosić się przychylnie do wszystkiego, co może uspokoić Chyżwara, ale oni dostrzegliby tylko to, że zostaliście wybrani przez jego Kościół. Jeśli chcecie znać prawdę, to musiałem sprzeciwić się decyzji mojej Rady, która chciała zniszczyć wasz statek, jeszcze zanim wszedł w górne warstwy atmosfery.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał konsul.

Theo westchnął głęboko i poprawił okulary.

- Hyperion wciąż potrzebuje Hegemonii, a Gładstone nadal ma sporo do powiedzenia, jeśli nie w Senacie, to na pewno we WszechJedności. Ja z kolei potrzebuję was.

Konsul bezwiednie spojrział na ruiny świątyni Chyżwara.

- Ta pielgrzymka skończyła się na długo przed waszym przybyciem - dodał generalny gubernator. - Więc jak, wrócisz ze mną do konsulatu, przynajmniej jako konsultant?

- Przykro mi, ale nie mogę - odparł konsul.

Theo odwrócił się bez słowa, wsiadł do śmigacza i ruszył ostro w górę. Eskorta podążyła za nim, przypominając dwie niewyraźne smugi w przesyconej deszczem ciemności.

Padalo coraz bardziej. Pielgrzymi zbili się w ciasną gromadkę. Weintraub oslonił Rachelę plastikowym kapturem, ale dziecko przestraszyło się odgłosu spadających kropeł i znowu zaczęło płakać.

- Co teraz? - mruknął konsul, rozglądając się dokoła. Bagaże, ułożone w nieforemną stertę, nasiąkały powoli wodą. W powietrzu unosił się zapach spalenizny.

- Znam tu w pobliżu pewien bar - powiedział z uśmiechem Martin Silenus.

Okazało się, że konsul także go zna; większą część swego jedenastoletniego pobytu na planecie spędził właśnie w "Cyceronie".

W przeciwieństwie do większości miejsc w Keats, czy w ogóle na Hyperionie, "Cyceron" nie otrzymał swej nazwy w celu upamiętnienia jakiegoś mało istotnego zjawiska literackiego z okresu przed hegirą. Plotka głosiła, że ochrzczono go tak, aby utrwalić pamięć o części jednego z miast Starej Ziemi. Nikt jednak nie wiedział na pewno, czy miało to być Chicago, czy raczej Kalkuta - to znaczy nikt z wyjątkiem Stana Leweskiego, właściciela i zarazem prawnuka założyciela baru. Jednak Stan nikomu nie chciał zdradzić tajemnicy. W ciągu półtora stulecia istnienia bar rozrósł się niepomierne: kiedyś był jedynie małą norą w chylącym się ku upadkowi starym domu nad brzegiem rzeki Hoolie, teraz zajmował dziewięć kondygnacji w czterech chylących się ku upadkowi, starych domach nad brzegiem tejże rzeki. Jedynymi elementami, które nie uległy zmianie, były niskie sufity, gęsty dym i nie cichnący ani na chwilę zgiełk, nawet przy największym tłoku dający coś w rodzaju poczucia prywatności.

Jednak tego wieczoru o żadnym poczuciu prywatności nie mogło być mowy. Kiedy objuczeni bagażami pielgrzymi weszli przez drzwi od ulicy Bagiennej, stanęli jak wryci.

- Święty Jezu... - mruknął Martin Silenus.

"Cyceron" wyglądał tak, jakby przeżywał najazd hordy barbarzyńców. Wszystkie krzesła i stoły były zajęte, przeważnie przez mężczyzn, na podłodze zaś walały się plecaki, broń, materace, przestarzałe urządzenia łączności, skrzynki z prowiantem oraz całe mnóstwo innych przedmiotów, jakie zwykle znaczą szlak marszu armii uciekinierów... lub uciekającej armii. W ciężkim, gęstym powietrzu, zwykle przesyconym wymieszanymi zapachami pieczonego mięsa, wina, piwa i przemycanego tytoniu, czuć było głównie smród nie mytych ciał, moczu i beznadziejności.

Przed nowo przybyłymi zmaterializowała się ogromna postać Stana Leweskiego. Ramiona właściciela baru były równie potężne jak zawsze, ale czarne kręcone włosy cofnęły się o dobrych kilka centymetrów, odsłaniając wysokie czoło, a wokół ciemnych oczu pojawiło się sporo nowych zmarszczek. Na widok konsula oczy te o mało nie wyszły z orbit.

- Duch...

- Wcale nie.

- A więc ty żyjesz?

- Jak najbardziej.

- Niech mnie cholera! - wykrzyknął Stan Leweski, złapał konsula wpół i podniósł równie łatwo, jak przeciętnie silny mężczyzna podnosi pięcioletniego chłopca. - Niech mnie cholera! - powtórzył. - Co cię tu sprowadza?

- Pomyślałem sobie, że warto by sprawdzić twoje pozwolenie na sprzedaż alkoholu. Postaw mnie, dobrze?

Leweski ostrożnie spełnił życzenie konsula, po czym poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się szeroko. Kiedy przeniósł spojrzenie na poetę, uśmiech zniknął, a na czole olbrzyma pojawiła się głęboka zmarszczka.

- Wyglądasz znajomo, ale chyba nigdy cię tutaj nie widziałem...

- Znałem twojego pradziadka - odparł Silenus. - Skoro już o tym mowa: zostało jeszcze trochę tego piwa sprzed hegiry? Wiesz, mówię o tym wspaniałym angielskim trunku, który smakuje jak szczyzny łosia. Zawsze było mi go mało.

- Niestety, ani kropli. - Właściciel baru nie spuszczał wzroku z poety. - Do licha, kufer dziadka Jiriego i stare holo: prawdziwy satyr w Jacktown! Czy to możliwe? - Wyciągnął wielki paluch i ostrożnie dotknął nim najpierw Silenusa, a potem konsula. - Dwa duchy.

- Sześcioro zmęczonych ludzi - poprawił go konsul. Niemowlę znowu zanosło się płaczem. - Siedmioro. Znajdziesz dla nas trochę miejsca?

Leweski zatoczył szeroki łuk potężnym ramieniem.

- Sami widzicie, co się dzieje. Nie ma gdzie szpilki wetknąć. Wszystko zjedzone i wypite. - Spojrzał na Silenusa. - Piwo też. "Cyceron" zamienił się w wielki hotel bez łóżek. Te sukinsyny z PSS przesiadują tu całymi dniami i nocami, nic nie płacą, żłopią własny bimber i czekają na koniec świata. Moim zdaniem, tylko go patrzeć.

Mała grupka stała na wysokim podeście nad wejściem. Rzucony byle jak na podłogę bagaż tylko nieznacznie spotęgował panujący wszędzie bałagan. Przeciskający

się obok mężczyźni taksowali nowo przybyłych uważnymi spojrzeniami. Szczególnym obiektem zainteresowania była Brawne Lamia, która jednak nic sobie z tego nie robiła, miażdżąc lodowatym wzrokiem każdego, kto zbyt długo jej się przyglądał.

Leweski przez chwilę wpatrywał się z namysłem w konsula.

- To znaczy, mam taki jeden stolik na tarasie. Od tygodnia okupuje go pięciu idiotów z PSS, którzy rozpowiadają wszem wobec, jak to pogonią Intruzów gołymi rękami. Jeśli chcecie, z rozkoszą wywalę ich na zbity pysk.

- Chcemy - powiedział konsul.

Leweski odwrócił się bez słowa, ale nie zdążył odejść, gdyż Lamia położyła mu rękę na ramieniu.

- Może ci pomóc? - zapytała.

Stan Leweski wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- To nie jest konieczne, ale myślę, że z przyjemnością popatrzę, jak sobie radzisz. Chodźmy.

Zniknęli w tłumie.

Balkon na drugim piętrze okazał się tak mały, że tylko z najwyższym trudem mieścił się na nim obdrapany stół i sześć krzeseł. Pomimo niesłychanego ścisku, jaki panował na wszystkich piętrach, schodach i podestach, nikt nie próbował zająć zwolnionego miejsca, kiedy Leweski i Lamia wyrzucili protestujących komandosów za barierkę, do płynącej dziewięć metrów niżej rzeki. Leweskiemu udało się nawet postawić na stole dzban piwa oraz koszyk z chlebem i zimnym pieczywym.

Jedli w milczeniu. Głód, przygnębienie i zmęczenie, charakterystyczne dla okresu po przebudzeniu z kriogenicznego snu, dawały im się we znaki znacznie bardziej, niż to zazwyczaj bywało. Balkon był pogrążony w ciemności, którą rozpraszał nieco blask docierający z wnętrza oberży oraz słaba poświata rzucana przez światła pozycyjne rzecznych barek. Większość domów nad brzegami Hoolie była zupełnie ciemna, ale od niskich chmur odbijało się wystarczająco dużo światła miasta, by konsul mógł bez trudu dojrzeć ruiny świątyni Chyżwara położone pół kilometra w górę rzeki.

- No cóż... - odezwał się ojciec Hoyt. Wrócił już do równowagi po dużej dawce ultramorfiny i teraz balansował na wąskiej granicy między cierpieniem a ośpieniem.

- Co teraz zrobimy?

Mijały chwile, lecz nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Konsul zamknął oczy. Nie miał najmniejszego zamiaru obejmować przywództwa. Teraz, kiedy znowu siedział na

balkonie u "Cycerona", jakże łatwo byłoby wrócić do dawnych zwyczajów: pić do świtu, podziwiać poranny deszcz meteorów, zataczając się wrócić do pustego apartamentu w pobliżu rynku, a cztery godziny później zjawić się w konsulacie - wykąpany, ogolony i nawet z grubsza podobny do człowieka, tyle tylko że z mocno przekrwionymi oczami i potwornym bólem głowy. Theo - ten spokojny, przygotowany na każdą niespodziankę Theo - przeholowałby go jakoś przez cały ranek. Przy odrobinie szczęścia udałoby się bez większych problemów dotrzeć do wieczora, kiedy znowu zaczęłyby pić u "Cycerona", żeby jakoś przetrzymać noc. W ten sposób mógłby przetrwać nawet całe życie, dziękując Bogu za to, że umieścił go w tak mało ważnym miejscu wszechświata.

- Czy wszyscy jesteście gotowi wyruszyć na pielgrzymkę?

Konsul otworzył oczy. W drzwiach balkonowych stała jakaś zakapturzona postać. Konsulowi wydawało się przez chwilę, że to Het Masteen, ale szybko uświadomił sobie, iż ten człowiek jest znacznie niższy od kapitana, a w dodatku mówi bez charakterystycznego dla templariuszy akcentu.

- Jeśli tak, to musimy już iść - powiedziała tajemnicza postać.

- Kim jesteś? - zapytała Brawne Lamia.

Człowiek w kapturze puścił pytanie mimo uszu.

- Pośpieszcie się.

Fedmahn Kassad wstał z krzesła, podszedł do nieznanego - musiał się nieco schylić, aby nie zawadzić o spód balkonu na trzecim piętrze - i szybkim ruchem lewej ręki ściągnął nieznanemu kaptur z głowy.

- Android! - wykrzyknął ojciec Lenar Hoyt na widok niebieskiej skóry i oczu o błękitnych białkach.

Konsul nie był aż tak bardzo zdziwiony. Choć już od ponad stu lat posiadanie androidów na obszarze Hegemonii było surowo zakazane, i co najmniej od równie długiego czasu nie wytwarzano nowych egzemplarzy, to jednak nadal używano ich do najcięższych prac na zacofanych, leżących na uboczu planetach - na przykład takich jak Hyperion. Szczególnie chętnie wykorzystywała androidy świątynia Chyżwara, gdyż zgodnie z nauką Kościoła Chyżwara androidy były wolne od grzechu pierworodnego, a tym samym pod względem duchowym stały znacznie wyżej od ludzi, będąc jednocześnie wyłączone z okrutnej i nieuniknionej zemsty Chyżwara.

- Nie ma czasu do stracenia - szepnął android, pośpiesznie naciągając kaptur.

- Jesteś ze świątyni? - zapytała Lamia.

- Cicho! - syknął android. Zerknął ostrożnie przez ramię, po czym skinął głową.
- Musimy się śpieszyć. Proszę, chodźcie za mną.

Wszyscy wstali, ale zaraz potem zawahali się, jak na komendę. Kassad od niechcienia rozpiął długą skórzaną kurtkę, na mgnienie oka odsłaniając rękojeść paralizatora neuronowego. W normalnych warunkach konsul zdrząłby z niepokoju na samą myśl o tym, że gdzieś w pobliżu może znajdować się równie niebezpieczne narzędzie - wystarczyło jedno omyłkowe dotknięcie spustu, aby mózgi wszystkich obecnych na balkonie zamieniły się w bryły ugotowanego na twardo białka - lecz tym razem ze zdziwieniem stwierdził, iż widok tej śmiercionośnej broni podziałał na niego krzepiąco.

- Nasze bagaże... - zaczął Weintraub, lecz android nie pozwolił mu dokończyć.

- Już się nimi zajęliśmy - szepnął. - Pośpieszcie się! - Zszedł po schodach i zagłębił się w noc, a pielgrzymi ruszyli za nim, znużeni i wyczerpani z wszelkiego zapału jak wczorajsze ziewnięcie.

Konsul spał wyjątkowo długo. Pół godziny po wschodzie słońca prostokątna plama światła padła na poduszkę, on jednak tylko odwrócił się na bok. Godzinę później, przy wtórze gromkich okrzyków, uwolniono zmęczone płaszczyki, które ciągnęły baręk przez całą noc, zaprzęgnięto zaś nowe. Konsul spał dalej. Potem tupot stóp na pokładzie i rozmowy załogi stawały się coraz głośniejsze, ale ze snu wyrwał go dopiero donośny dźwięk klaksonu, który rozległ się w pobliżu śluzy w Karli.

Poruszając się jakby w zwolnionym tempie - wciąż jeszcze dawały znać o sobie skutki niedawnej hibernacji - konsul umył się najlepiej, jak mógł w prymitywnych warunkach, włożył luźne bawełniane spodnie, starą płócienną koszulę, równie stare turystyczne buty, po czym wyszedł na pokład.

Śniadanie wystawiono na długim kredensie w pobliżu mocno rozchwianego stołu, który w razie potrzeby dawał się schować bezpośrednio pod pokład. Tę część pokładu chronił przed promieniami słońca czerwono-złoty, płócienny baldachim, trzepoczący głośno w podmuchach wiatru. Dzień był piękny, bez jednej chmurki na niebie, a słońce Hyperiona nadrabiało intensywnością to, czego brakowało mu w rozmiarach.

M. Weintraub, Lamia, Kassad i Silenus nie spali już od dłuższego czasu. Lenar Hoyt i Het Masteen dołączyli do grupy zaraz po przybyciu konsula.

Konsul nałożył sobie na talerz pieczoną rybę i trochę owoców, nappełnił

szklankę sokiem pomarańczowym, a następnie podszedł do burty i oparł się o reling. W tym miejscu rzeka miała co najmniej kilometr szerokości, a jej zielonolazurowa woda stanowiła dokładne odbicie nieba. W pierwszej chwili konsul nie rozpoznał terenów ciągnących się po obu stronach rzeki. Na wschodzie ryżowe poletka sięgały aż po horyzont, rozplywając się w lekkiej mgiele, która jeszcze unosiła się nad podmokłymi terenami. W pobliżu jednej z grobli wznosiły się na palach tubylcze chaty o pochyłych ścianach ze złocistego póldebu. Na zachodzie rósł gęsty las złożony z mangrowców i rozłożystych paproci o soczyście czerwonych liściach, przeciętany naturalnymi kanałami, głębokimi zatoczkami i lagunami, by mniej więcej kilometr dalej ustąpić miejsca skalistym wzniesieniom, na których udało się przetrwać jedynie iglastym roślinom o delikatnie błękitnym zabarwieniu.

Przez chwilę konsul czuł się dziwnie zagubiony, jakby niespodziewanie znalazł się na jakiejś innej, nieznannej planecie, zaraz jednak przypomniał sobie klakson, który obudził go przy śluzie w Karli, i zrozumiał, że barka wpłynęła na mało uczęszczany odcinek Hoolie na pomoc od lasu Doukhobor. Nic dziwnego, że poczuł się jak na zupełnie obcym terenie, gdyż zwykle płynął lub leciał nad Kanałem Królewskim, położonym na zachód od pasma skalistych wzgórz. Należało przypuszczać, iż jakieś utrudnienia na najprostszej drodze wiodącej ku Trawiastemu Morzu skłoniły załogę do wybrania dłuższej, bardziej uciążliwej trasy. Wszystko wskazywało na to, iż znajdują się jakieś sto osiemdziesiąt kilometrów na północny zachód od Keats.

- W dzień wygląda to zupełnie inaczej, prawda? - zagadnął ojciec Hoyt.

Konsul ponownie spojrzął na brzeg, nie bardzo wiedząc, co ksiądz ma na myśli. Dopiero po paru sekundach zorientował się, że Hoytowi chodziło o barkę.

Kiedy teraz wspominał niedawne wydarzenia, wszystko wydawało mu się dziwnie nierealne: marsz za androidem w strugach ulewnego deszczu, zaokrętowanie na starą barkę, długa wędrówka jej krętymi korytarzami, spotkanie z Hetem Masteenem w ruinach świątyni, a wreszcie widok szybko niknących za rufą świateł miasta.

Tych kilka godzin przed i zaraz po północy przypominało niewyraźny sen; konsul przypuszczał, że pozostali byli równie jak on zmęczeni i zdezorientowani. Niby przez mgłę pamiętał swoje zdumienie wywołane faktem, iż załoga składa się wyłącznie z androidów, bez trudu natomiast przywołał wspomnienie nieopisanej ulgi, jaką poczuł, kiedy wreszcie zamknął drzwi kabiny i zwałił się na koję.

- Dziś rano rozmawiałem z A. Bettikiem - powiedział Weintraub. Miał na myśli

androida, który zjawił się po nich u "Cycerona". - Ta łajba ma niezłą historię.

Martin Silenus podszedł do kredensu, nalał sobie soku pomidorowego, dodał nieco płynu z płaskiej flaszeczki, z którą nie rozstawał się ani na chwilę, po czym powiedział:

- Na pewno niejedno widziała. Te przekłete relingi były polerowane ludzkimi rękami, po schodach i pokładzie biegały bosa stopy, sufity są poczerniałe od dymu, a materace ubite przez pokolenia marynarzy. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby miało się okazać, że liczy sobie kilkaset lat. Najbardziej podobają mi się wszystkie te rokokowe ozdóbki. Zwróciliście uwagę, że jeszcze czuć zapach drzewa sandałowego? Możliwe, że zbudowano ją na Starej Ziemi.

- Masz całkowitą słuszność - odparł Sol Weintraub. Rachelą spała przytulona do jego piersi, wydmuchując bąbelki śliny. - Znajdujemy się na dzielnym statku "Benares", zwodowanym na Starej Ziemi w mieście o tej samej nazwie.

- Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie takiego miasta - odezwał się konsul.

Brawne Lamia podniosła głowę znad resztek śniadania.

- Benares, znane też jako Varanasi albo Gandhipur, w Wolnych Stanach Indii. Po trzeciej wojnie japońsko-chińskiej weszło w skład Drugiej Wspólnoty Azjatyckiej. Całkowicie zniszczone w wyniku ograniczonej wymiany uderzeń jądrowych między Indiami a postradzieckimi republikami muzułmańskimi.

- Rzeczywiście - potwierdził Weintraub. - "Benares" zbudowano na długo przed Wielką Pomyłką. Zdaje się, że w połowie dwudziestego wieku. A. Bettik twierdzi, że właściwie jest to jednostka lewitacyjna...

- A generatory? - przerwał mu pułkownik Kassad.

- Są na miejscu. Obok głównego salonu na najniższym pokładzie. Podłoga salonu jest wykonana z księżycowego kryształu. Nie ma co, miło byłoby unosić się teraz na wysokości dwóch tysięcy metrów... Ale to tylko marzenia.

- Benares... -mruknął z rozmarzeniem Martin Silenus i przesunął pieszczotliwie ręką po poczerniałym relingu. - Okradziono mnie tam kiedyś.

Brawne Lamia gwałtownie odstawiła kubek z kawą.

- Człowieku, chcesz nam wmówić, że masz tyle lat, żeby pamiętać Starą Ziemię? Chyba uważasz nas za idiotów!

Martin Silenus uśmiechnął się promieniście.

- Moje drogie dziecko, niczego nie chcę ci wmówić. Pomyślałem sobie tylko, że

byłoby z pożytkiem dla nas wszystkich, gdybyśmy wymienili informacje o miejscach, w których albo kradliśmy, albo też padliśmy ofiarami kradzieży. Ponieważ masz nad nami tę niezasłużoną przewagę, że jesteś córką senatora, nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, iż twoja lista będzie znacznie bardziej szacowna... i dłuższa.

Lamia otworzyła już usta, żeby coś odpowiedzieć, ale ściągnęła tylko brwi i nie odezwała się ani słowem.

- Ciekawe, w jaki sposób ten statek dotarł na Hyperiona? - mruknął Lenar Hoyt. - I po co było ściągać barkę lewitacyjną na planetę, gdzie nie można jej wykorzystać?

- Można - poprawił go pułkownik Kassad. - Hyperion ma przecież słabe pole magnetyczne. Tyle że trudno byłoby mieć do niej całkowite zaufanie.

Kapłan uniósł brwi na znak, że dla niego to jedno i to samo.

- Hej! - wykrzyknął nagle poeta, oparty wygodnie o reling. - Jesteśmy w komplecie!

- I co z tego? - zapytała Brawne Lamia. Za każdym razem, kiedy zwracała się do Silenusa, jej usta przypominały wąską kreskę.

- To, że czas na kolejną historyjkę.

- Chyba ustaliliśmy, że będziemy je opowiadać zawsze po obiedzie? - zauważył Het Masteen.

Martin Silenus wzruszył ramionami.

- Po śniadaniu czy po obiedzie, co za pieprzona różnica? Akurat tak się składa, że nikogo nie brakuje, a zdaje się, że podróż do Grobowców zajmie nam mniej niż tydzień, prawda?

Konsul policzył szybko w pamięci: jeszcze niecałe dwa dni rzeką, niespełna dwa dni przez Trawiaste Morze (albo nawet jeszcze mniej, jeśli trafią na sprzyjające wiatry), z pewnością najwyżej jeden dzień przez góry.

- Rzeczywiście - odparł. - Najwyżej sześć dni.

- A więc nie traćmy czasu, bo nie ma żadnej gwarancji, że Chyżwar nie wpadnie z krótką wizytą, zanim zapukamy do jego drzwi. Jeżeli te opowiastki mają w jakiś sposób zwiększyć nasze szanse na przeżycie, to byłoby dobrze, żebyśmy je wszystkie usłyszeli, zanim pierwsi z nas zostaną przerobieni na pulpety przez tę ruchomą maszynkę do mielenia mięsa, do której tak nam spieszą.

- Jesteś odrażający - stwierdziła Brawne Lamia.

- Najdroższa, dokładnie to samo wyszeptalaś mi do ucha minionej nocy, tuż po

swoim drugim orgazmie - odparł z uśmiechem poeta.

Lamia odwróciła się od niego, natomiast ojciec Hoyt odchrząknął i zapytał pośpiesznie:

- Czyja teraz kolej?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Moja - odezwał się wreszcie Fedmahn Kassad, sięgnął do kieszeni białej tuniki i wydobyl z niej skrawek papieru z dużą cyfrą 2.

- Miałbyś coś przeciwko temu, żeby zacząć już teraz? - zapytał Sol Weintraub.

Kassad uśmiechnął się lekko.

- Żywiłem złudną nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie, ale skoro tak się nie stało, to wolę mieć to jak najprędzej za sobą.

- Hej! - wykrzyknął Silenus. - Ten człowiek sypie cytatami z przedhegiryjskiej literatury!

- Szekspir? - zainteresował się ojciec Hoyt.

- Nie - odparł poeta. - Lerner i pieprzony Lowe. Neil i jebany Simon. Hamel i chrzaniony Posten.

- Pułkownik - przemówił oficjalnym tonem Sol Weintraub - mamy piękną pogodę, nikt z nas nigdzie się nie śpieszy, więc bylibyśmy ci niezmiernie wdzięczni, gdybyś zechciał opowiedzieć nam o przyczynach, które sprowadziły cię na Hyperiona i kazały wziąć udział w ostatniej pielgrzymce do Chyżwara.

Kassad skinął głową. Robiło się coraz cieplej, baldachim trzepotał w podmuchach wiatru, pokład skrzypiał, a barka lewitacyjna "Benares" płynęła mozolnie pod prąd, z każdą chwilą coraz bardziej zbliżając się do gór, trawiastych równin i Chyżwara.

Opowieść Żołnierza O wojennych kochankach

Kobietę, której później szukał przez całe życie, Fedmahn Kassad spotkał po raz pierwszy podczas bitwy pod Agincourt.

Był wilgotny, chłodny ranek pod koniec października A.D. 1415. Kassad został obsadzony w roli łucznika w armii Henryka V, króla Anglii. Angielskie wojska wylądowały na francuskiej ziemi czternastego sierpnia, a od ósmego października znajdowały się w odwrocie, ustępując przed znacznie silniejszymi Francuzami.

Henryk przekonał swoją Radę Wojenną, że jego armia zdoła pierwsza dotrzeć do Calais, gdzie wreszcie znów będzie mogła czuć się zupełnie bezpieczna. Pomylił się. Teraz, o świcie dwudziestego piątego października, siedem tysięcy angielskich żołnierzy - głównie łuczników - stanęło na błotnistym polu twarzą w twarz z dwudziestoma ośmioma tysiącami Francuzów.

Kassad trząsał się z zimna, odczuwał paskudne mdłości, był potwornie zmęczony i przerażony. Już od tygodnia angielscy żołnierze odżywiali się niemal wyłącznie zbieranymi pośpiesznie owocami runa leśnego, w związku z czym niemal wszyscy cierpieli na biegunkę. Temperatura wynosiła około dziesięciu stopni Celsjusza, minioną noc zaś Kassad spędził na mokrej, zimnej ziemi, bezskutecznie usiłując zasnąć. Zdumiewał go niesamowity realizm sytuacji - Sieć Historyczno-Taktyczna Szkoły Dowodzenia na Olympusie tak się miała do popularnych symulatorów, jak hologramy do pierwszych dagerotypów. Fizyczne doznania były tak rzeczywiste, tak prawdziwe, że Kassad w najmniejszym stopniu nie życzył sobie odnieść żadnych ran. Zbyt wiele nasłuchiwał się opowieści o kadetach, którzy doznali poważnych obrażeń podczas symulowanych ćwiczeń, a nawet o takich, których wyciągnięto martwych z kabin.

Przez większą część poranka nic się nie działo; Kassad, wraz z pozostałymi łucznikami ustawionymi na prawym skrzydle wojsk Henryka, przyglądał się znacznie liczniejszemu francuskiemu oddziałom stojącym po drugiej stronie szerokiego mniej więcej na kilometr pola. Nagle zatrzepotały proporce, piętnastowieczni odpowiednicy sierżantów wydali rozkazy i Anglicy ruszyli naprzód nierówną, siedmiusetmetrową linią, w której spore grupy łuczników były oddzielone od siebie znacznie mniejszymi skupiskami zbrojnych. Armia Henryka nie miała kawalerii, a nieliczni jeźdźcy, których Kassad mógł dostrzec, zgromadzili się wokół króla, jakieś trzysta metrów bliżej środka linii, lub dokoła księcia Yorku, niedaleko Kassada, na prawym skrzydle. Skupiska te skojarzyły mu się z ruchomymi punktami dowodzenia Armii/ląd, tyle tylko że zamiast anten komunikatorów wznosiły się nad nimi różnobarwne sztandary i proporce. Wspaniały cel dla artylerii, pomyślał Kassad, ale zaraz potem przypomniał sobie, że akurat tego czynnika można było jeszcze nie brać pod uwagę.

Francuzi, w przeciwieństwie do Anglików, mieli mnóstwo koni. Na każdym skrzydle znajdowało się co najmniej sześciuset jezdnych, tyle samo też czekało w pogotowiu za pierwszą linią wojsk. Kassad nie lubił koni. Naturalnie oglądał wcześniej zdjęcia i hologramy, ale po raz pierwszy spotkał te zwierzęta dopiero teraz i przekonał

się, że ich rozmiary, zapach, a także tętent kopyt działają na niego dość demobilizująco - szczególnie jeśli przekłute czworonogi były całe zakute w stal i niosły na grzbietach ciężkozbrojnych ludzi z czterometrowymi kopiami.

Anglicy zatrzymali się jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów od linii francuskich wojsk. W ciągu minionego tygodnia Kassad zdążył się przekonać, że jest to odległość skutecznego strzału z łuku, ale wiedział także, iż będzie musiał włożyć w napięcie cięciwy maksimum sił, co zapewne skończy się ponownym wywichnięciem ramienia w stawie barkowym.

Francuzi krzyczeli coś głośno - prawdopodobnie zasypywali nieprzyjaciela obelgami. Kassad położył na ziemi swoje długie strzały, wraz z innymi łucznikami postąpił trzy kroki naprzód i zajął się wbijaniem w miękki grunt solidnych, naostrzonych na obu końcach kijów. Kiedy zaraz po sforsowaniu Sommy otrzymali rozkaz, aby znaleźć odpowiednie drzewa i przygotować te ponad półtorametrowe kije, Kassad zastanawiał się, do czego będą im przydatne. Teraz już wiedział.

Co trzeci łucznik miał drewniany młot. Za pomocą tego narzędzia kolejno wbijali kije w ziemię, pochylając je wyraźnie w stronę wrogiej armii. Uporawszy się z tym zadaniem, Kassad ponownie naostrzył koniec tyki, która teraz sięgała mu niemal do piersi, po czym cofnął się na poprzednie miejsce, za wyrosłą niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, najeżoną ostrymi grotami barierę, by tam zaczekać na atak Francuzów.

Atak nie nastąpił.

Kassad czekał, nieruchomy jak posąg, w lekkim rozkroku, z łukiem w garści i czterdziestoma ósmioma strzałami rozłożonymi starannie u stóp.

Francuzi nadal nie atakowali.

Deszcz ustał, zerwał się natomiast przenikliwy wiatr. Kassad rozgrzał się trochę krótkim marszem i wbijaniem ostrych tyk, ale teraz znowu zaczął trząść się z zimna. Słychać było jedynie metaliczne pobrzękiwanie zbroi, od czasu do czasu jakąś rzuconą półgłosem uwagę albo nerwowy śmiech, a także głuchy łomot końskich kopyt dobiegający od strony przegrupowujących się oddziałów francuskiej kawalerii. Atak w dalszym ciągu nie następował.

- Pieprzę to! - mruknął siwy żołnierz stojący kilka metrów od Kassada. - Te dranie mogą tak sterczeć do wieczora. Ruszmy się wreszcie, bo jak nie, to szlag mnie trafi!

Kassad skinął głową. Nie miał pojęcia, czy słyszy i rozumie średniowieczną

angielszczyznę, czy też łucznik posługuje się zwykłym standardem. Nie wiedział także, czy siwowłosy żołnierz jest kadetem, instruktorem, czy jedynie wytworem symulatora. Serce waliło mu jak młotem, a ręce pociły się bez żadnego widocznego powodu. Ukradkiem wytarł je o ubranie.

Zupełnie jakby król Henryk posłuchał rady starego wojaka, proporce powędrowały w górę, sztandary załopotały na wietrze, dowódcy wydali rozkaz, angielscy łucznicy zaś jak jeden mąż założyli strzały, napięli cięciwy i zwolnili je na komendę.

Sześć tysięcy metrowych, zakończonych ostrymi grotami strzał poszybowało w górę, na chwilę zawisło trzydzieści metrów nad ziemią, po czym spadło na Francuzów.

Najpierw rozległo się przeraźliwe rżenie koni, potem zaś odgłos, który mógłby powstać, gdyby dziesięć tysięcy niedorozwiniętych dzieci zaczęło naraz walić w blaszane garnki; to francuscy rycerze nastavili hełmy i pochyłili się nieco w kulbakach, tak by strzały uderzyły w ich zbroje pod możliwie jak najmniejszym kątem i ześlizgnęły się nieszkodliwie po stalowych napierśnikach i kolczugach. Kassad zdawał sobie doskonale sprawę, iż z militarnego punktu widzenia nieprzyjaciel nie poniósł niemal żadnych strat, choć z pewnością stanowiło to niewielką pociechę dla kilku lub kilkunastu piechurów, którzy osunęli się bez życia na ziemię, przebici spadającymi niczym groźny deszcz strzałami, oraz dla paru oszalałych z bólu koni, które rżały rozpaczliwie, stając dęba i miotając się w popłochu, co skutecznie niweczyło wysiłki jeźdźców, usiłujących wyrwać długie drzewca z ich grzbietów i boków.

Francuzi nadal nie atakowali.

Znowu wydano rozkazy. Kassad podniósł łuk, założył strzałę, napiął cięciwę, zwolnił ją. I jeszcze raz. I jeszcze. Co dziesięć sekund na niebie pojawiała się najeżona ostrymi grotami chmura, aż wreszcie Kassadowi zaczął doskwierać narastający ból w ramieniu poddawany powtarzającej się w regularnych odstępach czasu torturze. Nie czuł ani gniewu, ani uniesienia; po prostu wykonywał swoją pracę. Ramię bolało go nieznośnie. Strzały znowu poszybowały w górę. Po wystrzeleniu piętnastej usłyszał jakąś wrzawę, ale sięgnął po kolejną strzałę, naciągnął cięciwę i dopiero wtedy spojrzał przed siebie.

Francuzi ruszyli do ataku.

Kassad nigdy do tej pory nie był świadkiem ataku kawalerii i widok tysiąca

dwustu opancerzonych koni pędzących prosto na niego wywołał pewne odruchowe reakcje, o jakie Fedmahn nigdy by siebie nie podejrzewał. Szarża trwała nie dłużej niż czterdzieści sekund, a mimo to przekonał się, iż w tak krótkim czasie może mu zupełnie zaschnąć w ustach, mogą pojawić się problemy z oddychaniem, jądra zaś potrafią całkowicie schować się do wnętrza ciała. Gdyby pozostała część Kassada wiedziała o jakiejś równie bezpiecznej kryjówce, z pewnością byłaby skłonna z niej skorzystać.

Nie miał jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Łucznicy wystrzelili jeszcze pięć salw w kierunku pędzących jeźdźców, zdążyli oddać po jednym strzale każdy na własną rękę, po czym cofnęli się o pięć kroków.

Okazało się, że konie są stanowczo zbyt inteligentne, aby dobrowolnie nadziać się na sterzące z ziemi zaostrzone kije, nawet jeżeli dosiadający ich ludzie czynią wszystko, aby je do tego zmusić. Druga i trzecia fala nie zdołały jednak zatrzymać się tak szybko jak pierwsza, w wyniku czego rozpętało się prawdziwe piekło: kwiczące konie i wrzeszczący jeźdźcy utworzyli na ziemi wielkie kłębowisko, Kassad zaś, także krzyżąc co tchu w piersi, miotał się niczym w ukropie, doskakując do każdego nieprzyjaciela, jaki znalazł się w pobliżu, by zadać mu cios drewnianym młotem lub wbić długi nóż między szczeliny w zbroi. Bardzo szybko, we trójkę - on, siwowłosy weteran i jeszcze jeden młody łucznik, który zaraz na początku walki stracił nakrycie głowy - utworzyli coś w rodzaju niezwykle sprawnej maszyny do zabijania, mordującej w okamgnieniu każdego rycerza, który miał pecha zostać wyrzucony z siodła. Najpierw Kassad uderzał młotem, zwalając nieszczęśnika z nóg, w chwilę potem zaś wszyscy trzej rzucali się na niego z nożami.

Tylko jeden rycerz zdołał dźwignąć się na nogi, by stawić im czoło. Wyciągnął miecz, podniósł przyłbicę i wezwał wroga, aby stanął z nim do uczciwej walki. Stary wyga i młody żołnierz natychmiast doskoczyli do niego z obu stron jak wilki, Kassad natomiast sięgnął po łuk i z odległości dziesięciu kroków wpakował strzałę w lewe oko rycerza.

Bitwa toczyła się dalej w tym samym śmiertelno-komicznym rytmie, jaki towarzyszył wszystkim bitwom na Starej Ziemi od czasów pierwszych potyczek na kamienie i maczugi. W ostatniej chwili przed zmasowanym uderzeniem dziesięciu tysięcy francuskich piechurów kawaleria zdołała cofnąć się i odsunąć na skrzydła, jednak zamieszanie, jakie przy okazji powstało, znacznie osłabiło impet ataku, a z nim Francuzom udało się odzyskać inicjatywę, angielscy rycerze odepchnęli ich na

odległość wysuniętych kopii. Pozwoliło to kilku tysiącom łuczników, w tym także Kassadowi, zasypać zdezorientowanego przeciwnika gradem strzał.

Nie był to jednak koniec bitwy, a może nawet nie jej przełomowy moment. Nikt właściwie nie wie, kiedy ów moment nastąpił, gdyż - jak to się zwykle dzieje z wszystkimi przełomowymi chwilami - zniknął w gmatwaninie tysięcy indywidualnych potyczek, w których człowieka od człowieka dzieliła jedynie broń ściskana w garści. Walka trwała jeszcze ponad trzy godziny, stanowiąc zbitkę powtarzanych z niewielkimi zmianami działań - głównie nieefektywnych pchnięć i nieporadnych zasłon - oraz mnóstwa mniej chwalebnych wydarzeń, z których najbardziej godnym potępienia był rozkaz Henryka, aby wybić wszystkich jeńców, zamiast gromadzić ich na tyłach, skąd angielskiej armii groziło kolejne niebezpieczeństwo. Jednak heroldzi i historycy zgodzili się później co do tego, iż rozstrzygnięcie nastąpiło w zamieszaniu, które poprzedziło pierwszy atak francuskiej piechoty. Francuzi ginęli tysiącami. Angielskie panowanie nad tą częścią kontynentu miało trwać jeszcze jakiś czas. Dni chwały dzielnych rycerzy, wyżej ceniących honor niż życie, minęły bezpowrotnie, wepchnięte do trumny historii przez parę tysięcy obszarpanych chłopów uzbrojonych w długie łuki. Największą zniewagą dla poległych francuskich szlachciców - naturalnie jeśli założymy, że trupa można jeszcze czymkolwiek znieważać - stanowił fakt, iż angielscy łucznicy byli nie tylko prostakami, ludźmi z gminu, analfabetami i tępakami, ale zostali wcieleni siłą do wojska. Byli żołdakami walczącymi za nędzną zapłatę, i można było powiedzieć o nich wszystko, tylko nie to, że w swoim postępowaniu kierują się jakimiś wyższymi pobudkami.

Między innymi tego właśnie powinien był się dowiedzieć Kassad podczas treningu w symulatorze. Nie dowiedział się jednak niczego, gdyż całą uwagę poświęcił spotkaniu, które miało odmienić jego życie.

Francuski rycerz przekoziółkował przez głowę padającego konia, natychmiast zerwał się na nogi i rzucił do ucieczki w kierunku pobliskiego lasu, zanim jeszcze przebrzmiał łoskot jego upadku. Kassad pognał za nim. Mniej więcej w połowie drogi uświadomił sobie, że jest sam; ani siwowłosy weteran, ani młody łucznik nie podążyli za nim. Nieważne. Adrenalina i żądza krwi nie pozwalały zajmować się takimi głupstwami.

Człowiek, który przed chwilą spadł z galopującego konia, a w dodatku miał na sobie co najmniej sześćdziesiąt kilogramów zbroi dość wyraźnie utrudniającej ruchy,

powinien stanowić łatwą zdobycz. Rycerz zerknął przez ramię, ujrzał Kassada pędzącego z drewnianym młotem w dłoni i obłędem w oku, po czym włączył wyższy bieg i dopadł pierwszych drzew z przewagą piętnastu metrów nad prześladowcą.

Dopiero głęboko w lesie Kassad zatrzymał się, ciężko dysząc oparł na młocie i spróbował zastanowić się nad sytuacją. Odgłosy dobiegające z pola bitwy znacznie przycichły, częściowo z powodu znacznej odległości, a częściowo dlatego, że tłumili je krzewy i drzewa. Z niemal zupełnie nagich gałęzi kapąły jeszcze krople niedawnego deszczu, na ziemi rozpościerał się gruby dywan liści, między drzewami zaś tu i ówdzie rosły kępy jeżyn. Ślady uciekającego rycerza były początkowo doskonale widoczne, teraz jednak, wśród płataniny ścieżek wydeptanych przez zwierzynę i połamanych przez wiatr gałęzi, stały się niemal niezauważalne.

Kassad ruszył powoli naprzód, wyżej słuch, żeby błyskawicznie zareagować na każdy dźwięk głośniejszy od jego sapania i szaleńczego łomotu serca. Przez głowę przemknęła mu niewyraźna myśl, że z taktycznego punktu widzenia popełnia chyba poważny błąd; przecież rycerz był w pełnej zbroi, a w dodatku miał miecz. Lada chwila mógł otrząsnąć się z paniki, zawstydzić z powodu pochopnej ucieczki i przypomnieć sobie wszystko, czego nauczył się podczas długich lat wojaczki. Kassad też potrafił się bić. Zerknął niepewnie na swoją koszulę i skórzaną kamizelkę. W dłoniach dzierżył młot, za pasem zaś miał nóż o długim ostrzu. Przeszkolono go w posługiwaniu się wysokoenergetyczną bronią o zasięgu od kilku metrów do kilku tysięcy kilometrów. Znakomicie radził sobie z granatami plazmowymi, ogłuszaczami, laserowymi strzelbami, bezodrzutową bronią przeznaczoną do walki w zerowej grawitacji, paralizatorami i promiennikami. Niedawno posiadał także umiejętność strzelania z długiego, średniowiecznego łuku. Niestety, tak się niefortunnie składało, że akurat w tej chwili nie miał przy sobie żadnego z tych przedmiotów, nie wyłączając łuku.

- O kurwa... -mruknął.

Rycerz wypadł z gęstwiny niczym rozwścieczony niedźwiedź i zatoczył mieczem śmiertelne półkole, prawdopodobnie zamierzając rozplatać Kassada na dwoje. Zaskoczony kadet usiłował jednocześnie odskoczyć i podnieść młot, lecz nie udało mu się do końca osiągnąć żadnego z tych celów. Miecz Francuza wytrącił mu ciężki młot z ręki, a tępy koniec ostrza przeciął kamizelkę, koszulę i skórę.

Kassad wrzasnął z bólu i strachu. Zatoczył się do tyłu, usiłując wyszarpnąć nóż zza pasa, zawadził lewą nogą o złamaną gałąź, po czym runął jak długi na wznak. Rycerz nie zwlekając rzucił się w ślad za nim, ścinając mieczem gałęzie, a nawet

mniejsze drzewka, jak nieco zbyt dużą maczetą. Zanim wyrąbał sobie drogę, Kassad stał już w rozkroku i ścisnął w dłoni nóż, lecz dwudziestopięciocentymetrowe ostrze niewiele mogło zdziałać przeciwko stalowej zbroi - chyba że jej właściciel nie byłby w stanie ruszyć ani ręką, ani nogą. Niestety, sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Kassad doskonale zdawał sobie sprawę, że nigdy nie uda mu się przedostać z życiem do wnętrza kręgu wyznaczonego zasięgiem miecza. Szansy mógł szukać jedynie w ucieczce, ale pień wielkiego drzewa, który czuł za sobą, oraz zaczynający się niewiele dalej gwałtowny spadek terenu całkowicie eliminowały to rozwiązanie. Nie miał najmniejszej ochoty otrzymać ciosu w plecy, a tym bardziej z dołu, co by z pewnością nastąpiło, gdyby przyszło mu do głowy wspinać się na drzewo. Zastanowiwszy się nieco nad tym problemem, doszedł do wniosku, że wolałby nie otrzymać ciosu z żadnej strony.

Po raz pierwszy od młodzieńczych walk w slumsach Tharsis przybrał postawę nożownika, zastanawiając się jednocześnie, jak symulator poradzi sobie z jego śmiercią.

Postać, która nagle zjawiała się za plecami rycerza, poruszała się bezszelestnie niby cień, natomiast łoskot, z jakim drewniany młot Kassada spadł na stalową zbroję, zabrzmiał niczym huk zderzenia dwóch śmigaczy.

Francuz zatoczył się, odwrócił twarzą do nowego niebezpieczeństwa i otrzymał drugie uderzenie, tym razem w pierś. Zbawca Kassada był niewielkiej postury, więc rycerz nie upadł. Podniósł już miecz nad głowę, by rozprawić się ze śmiałkiem, kiedy Kassad rzucił się jak pantera i z całej siły rąbnął go barkiem poniżej kolan.

Upadkowi rycerza towarzyszył donośny trzask łamanych gałęzi. Mały napastnik doskoczył do niego, stanął na ręce trzymającej miecz, przygwaźdzając ją do ziemi, a następnie począł zadawać ciosy młotem w hełm i przyłbicę. Kiedy Kassad zdołał wreszcie wygrzebać się z plątaniny nóg i gałęzi, czym prędzej usiadł okrakiem na kolanach Francuza i zabrał się żywo do dzieła, wpychając ostrze noża najpierw w szczeliny między elementami zbroi, a potem wyżej, w otwory przyłbicy.

Rycerz wrzeszczał straszliwie, a potem młot opadł po raz ostatni; trafił prosto w rękojeść sztyletu, o mało nie przetrącając Kassadowi palców, i wbił nóż w głąb okrytego zbroją ciała, jakby to był hufnal dwudziestopięciocentymetrowej długości. Francuz ryknął raz jeszcze, wyprężył się gwałtownie, zrzucając z siebie Kassada, po czym znieruchomiał.

Kassad przetoczył się na bok, a w chwilę potem tuż obok osunął się na ziemię

jego wybawca. Obaj byli mokrzy od potu i zbryzgani krwią rycerza. Kassad spojrzął na człowieka, któremu zawdzięczał ocalenie, i przekonał się, że jest to kobieta, dość wysoka, ubrana w strój bardzo podobny do tego, jaki on sam miał na sobie. Dość długo leżeli obok siebie, dysząc ciężko.

- Nic ci... nie jest? - wysapał wreszcie Kassad.

Dopiero wtedy zwrócił uwagę na jej wygląd. Miała kasztanowate włosy obcięte krótko według najnowszej mody obowiązującej w Sieci. Właśnie w taki sposób dawno temu strzyżono chłopców, ale ona z całą pewnością nie była chłopcem. Kassad nigdy w życiu nie spotkał równie pięknej istoty: kości policzkowe i broda, choć wyraźnie zarysowane, na pewno nie były zanadto sterczące, w wielkich oczach lśniła energia i żywa inteligencja, usta były pełne i wspaniale wykrojone. Choć nie dorównywała wzrostem Kassadowi, była znacznie wyższa od kobiet z piętnastego wieku, a luźna koszula i workowate spodnie nie były w stanie ukryć krągłości bioder i wypukłości piersi. Wydawała się nieznacznie starsza od Kassada - mogła zbliżyć się do trzydziestki - lecz on nie zwrócił na to uwagi, oczarowany spojrzeniem łagodnych, tajemniczych, nieskończenie głębokich oczu.

- Nic ci nie jest? - zapytał ponownie głosem, który nawet w jego uszach nabrał dziwnego brzmienia.

Nie odpowiedziała. To znaczy, odpowiedziała, przesuwając długie palce po piersi Kassada i zrywając rzemyki jego skórzanej kamizelki. Częściowo rozdarta koszula była zachlapana krwią. Kobieta rozdarła ją do końca i przysunęła się do niego. Jej ręka znalazła sznurek podtrzymujący spodnie.

Kassad ściągnął resztę ubrania, a następnie trzema płynnymi ruchami rozebrał kobietę. Miała na sobie tylko koszulę i spodnie z grubego płótna. Ręka Kassada wślizgnęła się między uda, sięgnęła do tyłu, do przełających się pośladków, przyciągnęła ją bliżej, przesunęła się po wilgotnym cieple z przodu. Kobieta otworzyła się dla niego, przywierając jednocześnie ustami do jego warg. Przez cały czas byli ciasno przywarci do siebie. Kassad czuł, jak jego nabrzmiały podnieceniem członek ociera się o jej podbrzusze.

Potem przetoczyła się na niego i usiadła na nim okrakiem. Młody kadet jeszcze nigdy w życiu nie był tak podniecony. Niemal krzyknął, kiedy jej prawa ręka sięgnęła do tyłu, znalazła go i wprowadziła do środka. Zamknął oczy, a gdy je ponownie otworzył, ona już poruszała się rytmicznie z głową odchyloną do tyłu. Przesunął dłońmi po jej ciele, w górę, aż do doskonałych piersi o twardych sutkach.

Dwudziestotrzyletni Kassad był już raz zakochany i wielokrotnie uprawiał miłość. Wydawało mu się, że wie, jak to się robi. W jego dotychczasowych przeżyciach nie było nic, czego nie mógłby określić jakimś dosadnym wyrażeniem, które wywoływało wybuch wesołości kolegów stłoczonych wraz z nim w ciasnym wnętrzu transportowca. Chłodny cynizm dwudziestotrzyletniego weterana pozwalał mu wierzyć, iż nigdy nie zetknie się z czymś, co nie dałoby się w ten sposób skwitować. Mylił się. Tego, co przeżył w ciągu następnych kilku minut, nie byłby w stanie w żaden sposób opisać. Nigdy zresztą nie próbował tego uczynić. Kochali się w plamie październikowego słońca, na miękkim kobiercu z liści i ubrań, w krwi i pocie. Wielkie zielone oczy wpatrywały się w Kassada; rozszerzyły się jeszcze bardziej, kiedy zaczął wykonywać szybkie, gwałtowne pchnięcia, i zamknęły się wtedy, gdy on zamknął swoje.

Poruszali się razem, złączeni przyływem uczuć i rytmem niemal równie starym jak wszechświat. Serca biły coraz głośniejsze, ciała drżały, trąc o siebie - w sobie - cudowną wilgocią, świat zmalał do zupełnie nieistotnych rozmiarów... a potem ich wspólna świadomość rozplynęła się na dwie części w paroksyzmie rozkoszy, podczas gdy zmysły zaczęły na nowo postrzegać to, co obce i zewnętrzne.

Leżeli obok siebie. Lewym ramieniem Kassad dotykał zimnej zbroi martwego rycerza, na prawej nodze czuł ciepłe udo kobiety. Blask słońca spłynął na nich jak błogosławieństwo, wydobywając barwy ukryte do tej pory w bladym świetle pochmurnego poranka. Kassad spojrział na kobietę, która oparła mu głowę na ramieniu. Jej policzki płonęły rumieńcem, a rozrzucone włosy muskały jego skórę niby krótkie, ciemnobrązowe źdźbła trawy. Podkulila nogę, przesuując ją w górę, on zaś poczuł narastające gdzieś głęboko podniecenie. Słońce kładło się ciepłą plamą na jego twarzy. Kassad zamknął oczy.

Kiedy się obudził, kobiety już nie było. Wydawało mu się, że spał zaledwie kilkanaście sekund, może minutę, ale słońce zdążyło już zniknąć, las stracił odzyskane na krótko kolory, a nagimi gałęziami poruszał przedwieczorny wiatr.

Kassad wciągnął sztywne od zaschniętej krwi ubranie. Francuski rycerz leżał bez ruchu, tak jak dosięgła go śmierć. Zdawał się częścią lasu, niczym jakiś kamień albo złamana, martwa gałąź, po kobiecie natomiast nie został nawet najmniejszy ślad.

W zapadającej ciemności Fedmahn Kassad ruszył z powrotem przez las. Z nieba zaczął siąpić przenikliwie zimny deszcz.

Na polu bitwy było mnóstwo ludzi, żywych i martwych. Martwi leżeli w stosach

jak plastikowe żołnierzyki, którymi Kassad bawił się w dzieciństwie. Ranni poruszali się powoli, korzystając z pomocy przyjaciół. W pobliżu krawędzi lasu stała grupa angielskich i francuskich heroldów, pogrążonych w ożywionej dyskusji, akcentowanej energicznym wymachiwaniem rękami. Fedmahn wiedział, że ustalają nazwę dla niedawno rozegranej bitwy, aby ujednoczyć zapisy w kronikach. Wiedział także, iż ostatecznie nazwy użyje pobliski zamek Agincourt, mimo że nie odegrał żadnej roli ani w przygotowaniach do starcia, ani w jego trakcie.

W głowie kadeta zaczęło powoli kiełkować podejrzenie, że to wcale nie jest symulacja, że całe jego dotychczasowe życie w Sieci stanowiło tylko sen, i że jedyną rzeczywistością jest ten chłodny październikowy zmierzch, kiedy nagle cała scena zamarła mu przed oczami, sylwetki ludzi, koni i drzew stały się najpierw półprzeźroczyste, potem zniknęły, on zaś wyszedł z symulatora w Szkole Dowodzenia na Olympusie. Znalazł się w gromadzie roześmianych, opowiadających jeden przez drugiego o swoich przeżyciach kadetów; ani oni, ani żaden z instruktorów, którzy uczestniczyli w ćwiczeniach, nie zdawali sobie sprawy, że wrócili do świata, w którym już nic nie miało być takie jak dawniej.

Przez kilka następnych tygodni Kassad spędzał cały wolny czas na wędrówkach po rozległym terenie Szkoły, obserwując z wałów obronnych, jak cień Olympusa pochłania najpierw porośnięty lasem płaskowyż, potem gęsto zaludnioną równinę, by wreszcie połączyć horyzont i całą planetę. Bez przerwy rozmyślał o tym, co się stało, a przede wszystkim o niej.

Nikt oprócz niego nie zauważył w tej symulacji nic niezwykłego. Nikt nie opuścił pola bitwy. Jeden z instruktorów wyjaśnił mu, że w tym konkretnym przypadku symulator generował wyłącznie pole bitwy. Nikt nie zwrócił uwagi na nieobecność Kassada. Mogłoby się wydawać, że zdarzenie w lesie w ogóle nie miało miejsca.

Kassad jednak nie dał się zwieść pozorom. Uczęszczał pilnie na zajęcia z historii wojskowości i matematyki. Zostawał po wykładach na strzelnicy i w sali gimnastycznej. Sumiennie pełnił karną służbę wartowniczą, choć nie miał po temu zbyt wielu okazji. Krótko mówiąc, młody Fedmahn Kassad stawał się coraz lepszym oficerem, ale przez cały czas czekał.

Aż wreszcie zjawiała się ponownie.

Tym razem także zdarzyło się to pod koniec zajęć w symulatorze. Kassad wiedział już, że te ćwiczenia są czymś więcej niż zwykłymi symulacjami. Urządzenia generujące stanowiły część WszechJedności, funkcjonującej w czasie rzeczywistym sieci informatycznej, która kierowała polityką Hegemonii, przekazywała informacje miliardom spragnionych wiedzy obywateli i dysponowała autonomiczną świadomością. Do tego, by umożliwić funkcjonowanie symulatorowi w Szkole Dowodzenia na Olympusie, trzeba było połączonego działania ponad stu pięćdziesięciu planetarnych datasfer, koordynowanego przez sześć tysięcy Sztucznych Inteligencji klasy omega.

- Symulator niczego nie symuluje, tylko śni sny o maksymalnym stopniu historycznego prawdopodobieństwa - wyjaśnił mu kadet Radinski, najlepszy specjalista od SI, jakiego Kassadowi udało się skłonić przekupstwem do mówienia. - Końcowy rezultat przewyższa sumę poszczególnych składników, ponieważ oprócz faktów jest tam miejsce także dla przeczuć i domysłów. Śni, a my śnimy razem z nim.

Kassad nie bardzo to rozumiał, ale uwierzył bez zastrzeżeń. Wkrótce potem znowu ją spotkał.

W czasie pierwszej wojny amerykańsko-wietnamskiej kochali się podczas nocnego patrolu, w dżungli, gdzie w każdej chwili zza drzewa mógł wyłonić się skośnooki nieprzyjaciel. Kassad miał na sobie mundur w zielone i brązowe plamy oraz stalowy hełm, niewiele różniący się od tych, których używano pod Agincourt, ona zaś czarną piżamę i sandały, typowy strój wieśniaków z Azji Południowo-Wschodniej oraz żołnierzy Vietcongu. Potem oboje byli nadzy i kochali się na stojąco, ona oparta plecami o drzewo, z nogami zaplecionymi na jego biodrach, podczas gdy dżungla wokół nich oddychała zielonymi gwiazdami flar i terkotem broni maszynowej.

Przyszła do niego także drugiego dnia pod Gettysburgiem oraz pod Borodino, gdzie kłęby dymu unosiły się nad stosami trupów, jakby znaczyły drogę ulatujących w niebo dusz.

Potem kochali się w roztrzaskanej skorupie transportera opancerzonego w Niece Helleńskiej, podczas gdy wokół przemykały plujące ogniem poduszki, a zbliżający się samum bombardował tytanowy kadłub milionami ziaren piasku.

- Powiedz mi, jak się nazywasz - szepnął w standardzie. Potrząsnęła głową. - Czy istniejesz naprawdę? Poza symulacją? - zapytał po japoangielsku. Skinęła głową i zamknęła mu usta pocałunkiem.

Leżeli obok siebie w kryjówce w ruinach Brasillii, obserwując przemykające nad

ich głowami promienie, wystrzelwane przez chińskie pojazdy szturmowe. Podczas jakiejś bezimiennnej bitwy po zdobyciu zapomnianej twierdzy na rosyjskich stepach wciągnął ją do jednej ze splądrowanych komnat i szepnął:

- Chcę zostać z tobą!

Położyła mu palec na ustach i pokręciła głową.

Po ewakuacji Nowego Chicago, kiedy leżeli na balkonie na setnym piętrze wieżowca, skąd Kassad wspomagał ostatni, skazany na porażkę kontratak oddziałów wiernych ostatniemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych, położył rękę między jej ciepłymi piersiami i zapytał:

- Czy możesz wrócić ze mną?

Uśmiechnęła się i bez słowa pogłaskała go po twarzy.

Program zajęć ostatniego roku Szkoły Dowodzenia przewidywał jedynie pięć symulacji, gdyż kadeci doskonalili swoje umiejętności głównie na prawdziwych poligonach. Czasem, kiedy Kassad zamykał oczy, przypięty pasami do fotela dowódcy podczas pozorowanego desantu na Ceres, zdawało mu się, że wyczuwa czyjąś obecność. Czy to była ona? Nie miał pojęcia.

A potem przestała się pojawiać. Podczas końcowych miesięcy nauki nie spotkał jej ani razu. Nie zjawiała się także w trakcie ostatniej symulacji, kiedy wielka bitwa w Mgławicy Węglowej rozstrzygnęła o klęsce zbuntowanego generała Glennona-Heighta. Nie było jej na uroczystej paradzie, nie pokazała się na żadnym z przyjęć, nie widział jej podczas defilady, kiedy wszyscy absolwenci Szkoły Dowodzenia na Olympusie maszerowali przed obliczem przewodniczącej Senatu, która pozdrawiała ich z oświetlonego na czerwono pokładu desantowej barki lewitacyjnej.

A potem nie miał nawet czasu, żeby o niej śnić - młodzi oficerowie przenieśli się za pośrednictwem transmitera na Księżyc Starej Ziemi, by uczestniczyć w ceremonii masada, następnie zaś na Pierwszą Tau Ceti, by złożyć przysięgę na wierność Armii.

Podporucznik kadet Kassad stał się porucznikiem Kassadem, spędził trzy tygodnie standardowe w Sieci z wydaną przez Armię kartą uniwersalną, dzięki której mógł bez żadnych ograniczeń korzystać ze wszystkich ogólnie dostępnych transmiterów, a potem został skierowany do obozu treningowego Sił Kolonialnych na Lususie, gdzie miał przygotowywać się do czynnej służby poza Siecią. Był pewien, że już nigdy jej nie zobaczy.

Mylił się.

Fedmahn Kassad wzrastał w kulturze, w której ubóstwo i gwałtowna śmierć były na porządku dziennym. Jako członek mniejszości etnicznej wciąż jeszcze zwącej się Palestyńczykami mieszkał wraz z rodziną w slumsach Tharsis, gorzkiego świadectwa przeszłości tych, którzy zostali na zawsze wydziedziczeni. Każdy Palestyńczyk mieszkający w Sieci i poza nią nosił w sobie głęboko zakodowane kulturowe wspomnienia o ciągnącej się przez niemal sto lat walce uwieńczonej trwającym miesiąc triumfem, po którym nastąpił rok 2038 i nuklearny dżihad. Druga diaspora trwała pięć stuleci. W jej wyniku wielu Palestyńczyków trafiło na pustynne planety bez żadnej przyszłości, takie jak Mars, gdzie musieli ostatecznie pożegnać się z marzeniami, które rozsypały się w proch wraz ze śmiercią Starej Ziemi.

Kassad, podobnie jak inni chłopcy z obozów przejściowych wschodniego Tharsis, miał do wyboru tylko dwie drogi: albo paść ofiarą któregoś z gangów, albo przyłączyć się do jednego z nich. Wybrał drugie rozwiązanie. Kiedy miał szesnaście lat, zabił swojego rówieśnika.

Mars był znany w Sieci tylko z trzech rzeczy: polowań w Dolinie Marinera, odkrytego przez Schraudera Masywu Zen w Niecce Helleńskiej i Szkoły Dowodzenia na Olympusie. Kassad nie musiał odwiedzać Doliny Marinera, żeby dowiedzieć się wszystkiego o tym, jak być myśliwym i zwierzyną, w najmniejszym stopniu nie interesował się gnostycyzmem zen, jako nastolatek zaś odczuwał bezdenną pogardę dla umundurowanych kadetów, którzy przybywali z najodleglejszych zakątków Sieci, aby po studiach w Szkole Dowodzenia wstąpić do Armii. Wraz z innymi kpił sobie z Nowego Bushido jako z kodeksu honorowego dla pedałów, choć odziedziczone po przodkach poczucie honoru, które drzemało ukryte głęboko w jego duszy, potajemnie identyfikowało go z klasą samurajów, najwyżej w świecie ceniących sobie możliwość rzetelnego wypełniania obowiązków, samodyscyplinę i honor.

Kiedy miał osiemnaście lat, sąd prowincji Tharsis dał mu do wyboru: jeden marsjański rok w obozie pracy na biegunie albo zaciąg do formowanej właśnie wtedy brygady Johna Cartera, która miała pomóc Armii zdławić rozprzestrzeniającą się na nowo po planetach kolonialnych rebelię Glennona-Heighta. Kassad wybrał brygadę i ku swemu zdziwieniu przekonał się, że lubi prostotę i dyscyplinę wojskowego życia, mimo iż brygada Johna Cartera przenosiła się jedynie z garnizonu do garnizonu i ani razu nie wzięła udziału w akcji. Rozwiązaniu uległa wkrótce po tym, jak na Renesansie zginął wyklonowany wnuk Glennona-Heighta. Dwa dni po swoich

dziewiętnastych urodzinach Kassad zgłosił się na ochotnika do Armii/ład, lecz nie został przyjęty. Przez dziewięć dni pił na umór, dziesiątego zaś obudził się na najniższym poziomie jednego z kopców na Lususie, bez wszczepionego wojskowego komlogu (ten, kto mu go ukraść, ukończył chyba jedynie korespondencyjny kurs chirurgii), z unieważnioną kartą uniwersalną, zamkniętym dostępem do sieci transponderów oraz takim bólem głowy, jakiego istnienia nie podejrzewał nawet w najbardziej koszmarnych snach.

Przepracował na Lususie cały rok standardowy. Przez ten czas udało mu się zaoszczędzić ponad sześć tysięcy marek, a fizyczny wysiłek przy ciężeniu równym 1,3 g nie pozostawił ani śladu po jego mariańskim cherlactwie. Kiedy opłacił podróż na Maui-Przymierze na pokładzie zabytkowego frachtowca napędzanego wielokrotnie latanym żaglem słonecznym, nadal był bardzo wysoki, ale dysponował też mięśniami, które musiały budzić podziw i szacunek.

Zjawił się na Maui-Przymierzu trzy dni przed wybuchem okrutnej i niepopularnej Wojny Wysp. Dowódcy miejscowego garnizonu znudziło się wreszcie oglądać codziennie jego twarz w poczekalni przed gabinetem i wcielił chłopca do 23. Batalionu Zaopatrzeniowego jako rezerwowego operatora hydrokombajnu. Jedenaście miesięcy standardowych później kapral Fedmahn Kassad z 12. Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej otrzymał dwa Medale za Odagę, Order Senatu za kampanię na Archipelagu Równikowym oraz dwa Purpurowe Serca. Został także oddelegowany do Szkoły Dowodzenia na Olympusie i odleciał wraz z pierwszym konwojem.

Często o niej śnił. Nie powiedziała mu, jak się nazywa, ba, nie odezwała się nigdy ani słowem, ale on poznałby ją po dotyku i zapachu nawet w całkowitej ciemności, wśród tysiąca innych. W myślach nazywał ją Tajemnicą.

Kiedy inni młodzi oficerowie szli na dziwki albo szukali sobie przyjaciółek wśród miejscowych dziewcząt, Kassad zostawał w bazie lub odbywał długie wędrówki ulicami obcych miast. Utrzymywał swoją obsesję w sekrecie, gdyż doskonale wiedział, jak tego rodzaju sprawa mogłaby wpłynąć na dalszy przebieg jego kariery. Czasem, w obozie rozbitym pod goniącymi się po niebie księżycami albo w pozbawionej grawitacji ładowni transportowca, Kassad uświadamiał sobie cały bezsens sytuacji: przecież kochał się w zjawie! Zaraz potem jednak przypominał sobie maleńki pieprzyk pod jej lewą piersią, który odkrył pewnej nocy w pobliżu Verdun, kiedy ziemia trzęsła

się od huku potężnych dział. Przypominał sobie niecierpliwy gest, jakim odgarniała do tyłu włosy, kiedy leżała oparta policzkiem na jego udzie. Potem młodzi oficerowie szli do miasta albo do burdeli ulokowanych w namiotach niedaleko obozu, Fedmahn Kassad zaś czytał kolejną książkę historyczną lub prowadził strategiczną rozgrywkę z komlogiem.

Nic dziwnego, że bardzo szybko zwrócił na siebie uwagę przełożonych.

To właśnie porucznik Kassad podczas nie wypowiedzianej wojny z Wolnymi Górnkami w rejonie Pierścienia Lamberta zebrał ocalałych z pogromu żołnierzy piechoty i marines, wylądował z nimi potajemnie na Pielgrzymie, a następnie w zuchwałej akcji odbił uwięziony personel konsulatu Hegemonii.

Jednak dopiero podczas krótkiego panowania Nowego Proroka na Qom-Rijadzie kapitan Fedmahn Kassad dał się poznać wszystkim obywatelom Sieci.

Dowódca jedynego okrętu bojowego Hegemonii w promieniu dwóch lat świetlnych od kolonii składał właśnie kurtuazyjną wizytę na planecie, kiedy Nowy Prorok na czele trzydziestu milionów neoszytów ruszył do ataku na dwa kontynenty zamieszkane przez sunnickich kupców i dziewięćdziesiąt tysięcy niewiernych obywateli Hegemonii. Dowódca statku wraz z pięcioma towarzyszącymi mu oficerami dostali się do niewoli. Pierwsza Tau Ceti natychmiast zażądała przez komunikator, żeby najwyższy rangą oficer przebywający na pokładzie HS "Denieve" objął dowództwo nad jednostką, opanował sytuację na planecie, uwolnił zakładników i usunął Nowego Proroka. Z jednym zastrzeżeniem: w obrębie atmosfery nie wolno mu pod żadnym pozorem korzystać z broni jądrowej. "Denieve" była starą jednostką przeznaczoną do działań orbitalnych i nie miała na pokładzie żadnej broni, którą można by wykorzystać w obrębie atmosfery. Najwyższym rangą oficerem okazał się kapitan Fedmahn Kassad.

Trzeciego dnia rewolucji Kassad posadził jedyny prom desantowy, jaki znajdował się na okręcie, na głównym dziedzińcu Wielkiego Meczetu w Meschedzie. Wraz z trzydziestoma czterema żołnierzami obserwował, jak wokół promu gromadzi się trzystutysięczny tłum, który powstrzymywało przed atakiem jedynie pole siłowe jednostki oraz brak wyraźnego rozkazu Nowego Proroka. Sam Prorok przebywał tymczasem na północnej półkuli, gdzie uczestniczył w hucznych uroczystościach z okazji zwycięstwa.

Dwie godziny po wylądowaniu Kassad wyszedł z promu i złożył krótkie oświadczenie. Powiedział, że urodził się muzułmaninem, a następnie oznajmił, iż

według najnowszych interpretacji Koranu, dokonanych już po skolonizowaniu Rijadu, Bóg w swej dobroci nigdy nie dopuści do rzezi niewinnych ludzi, bez względu na to, ile świętych wojen ogłoszą różni krzykliwi heretycy w rodzaju Nowego Proroka. Kapitan Kassad dał następnie przywódcom trzydziestu milionów fanatyków trzy godziny na uwolnienie zakładników i powrót do domów na pustynnym kontynencie Qom.

W ciągu pierwszych trzech dni rewolucji zastępy Nowego Proroka opanowały większość miast na obu kontynentach i uwięziły ponad dwadzieścia siedem tysięcy obywateli Hegemonii. Plutony egzekucyjne pracowały dzień i noc, rozstrzygając zadawane spory religijne; według ostrożnych szacunków co najmniej ćwierć miliona sunnitów straciło życie na samym początku panowania Nowego Proroka. W odpowiedzi na ultimatum Kassada Prorok oświadczył, iż jeszcze tego samego dnia wieczorem, po jego wystąpieniu transmitowanym na żywo przez telewizję, wszyscy niewierni zostaną straceni. Jednocześnie wydał rozkaz do ataku na prom desantowy Kassada.

Ponieważ prom stał na dziedzińcu Wielkiego Meczetu, Gwardia Rewolucyjna nie użyła ładunków o największej sile rażenia, ograniczając się do broni maszynowej, artylerii, pocisków plazmowych i naporu niezliczonych rzesz ludzkich. Pole siłowe ani drgnęło.

Telewizyjne wystąpienie Nowego Proroka zaczęło się na kwadrans przed upływem ultimatum Kassada. Nowy Prorok zgodził się ze stwierdzeniem kapitana, że Allah w okrutny sposób ukarze heretyków, tyle tylko że kara ta miała spaść wyłącznie na głowy niewiernych obywateli Hegemonii. Po raz pierwszy i zarazem ostatni Nowy Prorok stracił panowanie nad sobą. Wrzeszcząc, plując i wymachując rękami polecił wzmoczyć ataki na prom. Ogłosił także, iż w ośrodku jądrowym "Siła dla Pokoju" w Ali właśnie trwają ostatnie prace nad zmontowaniem dwunastu bomb atomowych, dzięki którym wola Allacha zostanie spełniona nawet w kosmosie. Pierwsza z tych bomb będzie jednak użyta do zmiecenia z powierzchni ziemi szatańskiego promu Kassada wraz z nim i całą załogą. Potem Nowy Prorok zaczął rozwodzić się szczegółowo nad metodami, po które sięgnie, aby rozprawić się z zakładnikami, ale właśnie wtedy dobiegł końca czas, jaki dał mu Kassad.

Częściowo za sprawą własnego wyboru, a częściowo ze względu na swoje odległe położenie, Qom-Rijad był planetą dość zacofaną pod względem technologicznym, jego mieszkańcy nie byli jednak aż tak prymitywni, żeby nie mieć własnej datasfery. Podobnie mułlowie-rewolucjoniści, którzy poprowadzili wiernych

do walki przeciwko “Wielkiemu Szatanowi Nauki”, nie okazali się aż tak gorliwymi wyznawcami głoszonych przez siebie idei, by nie pozostawać w stałym kontakcie z datasferą za pośrednictwem swoich komlogów.

“Denieve” rozrzuciła na orbicie tyle satelitów szpiegowskich, że do godziny 1729 czasu centralnego Qom-Rijadu udało się zlokalizować każdego z szesnastu tysięcy ośmiuset trzydziestu mułłów i uzyskać od datasfery jego kod osobisty. O 1729:30 satelity szpiegowskie zaczęły przekazywać dokładne koordynaty do dwudziestu jeden stacjonarnych satelitów obronnych planety. Były one już tak przestarzałe, że “Denieve” miała za zadanie zebrać je i przewieźć na jedną z planet Sieci, gdzie zostałyby zniszczone. Kassad zdołał jednak znaleźć dla nich zastosowanie.

Punktualnie o 1730 dziewiętnaście spośród dwudziestu jeden satelitów obronnych uległo samozniszczeniu, detonując umieszczone na ich pokładach mikroreaktory jądrowe. Na kilka nanosekund przed całkowitym unicestwieniem powstałe w wyniku wybuchu promieniowanie zostało skoncentrowane i wysłane ku powierzchni planety w postaci szesnastu tysięcy ośmiuset trzydziestu niewidzialnych, ale bardzo skupionych wiązek. Zabytkowe satelity obronne nie były przeznaczone do działań w obrębie atmosfery, w związku z czym przekrój poprzeczny żadnej z wiązek nie przekraczał jednego milimetra, ale na szczęście w zupełności to wystarczyło. Rzecz jasna, nie wszystkie wiązki zdołały przebić się przez to, co stało na ich drodze. Udało się to piętnastu tysiącom siedmiuset osiemdziesięciu czterem.

Rezultat był natychmiastowy i ze wszech miar spektakularny. W każdym przypadku mózg i płyn mózgowo-rdzeniowy ofiary zagotowały się, zamieniły w parę i rozsadziły od wewnątrz krępującą je czaszkę. Kiedy wybiła godzina 1730, Nowy Prorok znajdował się dokładnie w połowie swojego transmitowanego na żywo przez telewizję wystąpienia. Jeśli chodzi o ścisłość, to właśnie wtedy wypowiadał słowo “heretycy”.

Przez prawie dwie minuty we wszystkich odbiornikach telewizyjnych na planecie można było podziwiać bezgłowe ciało Nowego Proroka podrygujące na podłodze przed mikrofonami. Potem Fedmahn Kassad oznajmił na wszystkich częstotliwościach, że przesuwa termin swojego ultimatum o godzinę i że jakiegokolwiek wrocie działania podejmowane przeciwko zakładnikom spotkają się z jeszcze bardziej gniewną reakcją Allacha.

Nie podjęto żadnych wrogich działań.

Tego samego wieczoru, na orbicie wokół Qom-Rijadu, Tajemnica odwiedziła

Kassada po raz pierwszy od czasów, kiedy był słuchaczem Szkoły Dowodzenia. Spał wtedy, ale odwiedziny okazały się znacznie bardziej realne niż sen, a jednocześnie dużo mniej rzeczywiste od spotkań w fantomatycznych rzeczywistościach generowanych przez symulator Szkoły. Przykryci cienkim kocem, leżeli w jakimś domu o rozwalonym dachu. Skóra kobiety była ciepła i jakby naelektryzowana, twarz zaś stanowiła jedynie bledy owal, ledwo widoczny w ciemności. Nad ich głowami gwiazdy właśnie poczęły blednąć, przygotowując się na nadejście świtu. Kassad nagle uświadomił sobie, że kobieta usiłuje coś mu powiedzieć: jej pełne wargi wypowiadały słowa, których on jednak nie mógł usłyszeć. Odsunął się na chwilę, aby lepiej ogarnąć ją wzrokiem, a wtedy zupełnie utracił kontakt i obudził się w bezgrawitacyjnej uprzęży, z policzkami mokrymi od łez. Szum różnych urządzeń pracujących na statku wydał mu się równie obcy jak pomruk jakiejś tajemniczej, uśpionej bestii.

Dziewięć tygodni czasu pokładowego później Kassad stanął przed sądem wojennym Armii na Freeholmie. Podejmując decyzję na Qom-Rijadzie, zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że jego przełożeni będą mieli do wyboru tylko dwa wyjścia.

Ukrzyżować go albo awansować.

Armia chętnie się tym, że jest przygotowana na wszelkie niespodzianki zarówno w Sieci, jak i w koloniach; nic jednak nie mogło jej odpowiednio przygotować do bitwy o Południową Bressię i do pogodzenia się z wpływem, jaki wydarzenie to wywarło na Nowy Bushido.

Nowy Kodeks Bushido, który rządził życiem pułkownika Kassada, powstał po to, aby umożliwić przetrwanie wojskowym. Po ohydzie końca dwudziestego i początku dwudziestego pierwszego wieku, kiedy to najwyżsi dowódcy podporządkowywali całe narody wymyślonym przez siebie planom strategicznym, w których cywile mieli stanowić główny cel, ich umundurowani kaci zaś siedzieli wygodnie w komfortowych bunkrach ukrytych pięćdziesiąt metrów pod ziemią, odraza i oburzenie tychże cywilów były tak wielkie, że przez ponad sto lat samo słowo "wojsko" stanowiło zaproszenie do linczu.

W Nowym Bushido połączone zostały odwieczne pojęcia honoru i osobistej odwagi z dążeniem do oszczędzania cywilów wszędzie tam, gdzie tylko jest to możliwe. Twórcy Kodeksu uznali także mądrość jeszcze przednapoleońskiej koncepcji małych, "nietotalnych" wojen o ściśle określonych celach i środkach. Kodeks

nakazywał ograniczenie użycia broni nuklearnej i zmasowanych bombardowań do niezbędnego minimum oraz domagał się powrotu do wywodzącego się jeszcze ze średniowiecza pomysłu, aby w z góry ustalonym miejscu i czasie rozgrywać jedynie niewielkie bitwy między wojskami złożonymi z zawodowych żołnierzy, co pozwala na znaczne zredukowanie szkód w mieniu publicznym i prywatnym.

Kodeks sprawdzał się bez zarzutu przez pierwsze cztery stulecia ekspansji, jaka nastąpiła po hegirze. Fakt, że niemal przez cały ten okres technologie militarne właściwie się nie rozwijały, okazał się bardzo korzystny dla Hegemonii, która kontrolowała wszystkie transmutery materii; pozwalało jej to przerzucać szczupłe siły Armii tam, gdzie akurat były potrzebne. Mimo niemożliwego do uniknięcia długu czasowego żadna kolonia ani niezależna planeta nie mogła liczyć na to, że uda jej się po cichu urosnąć w siłę. Naturalnie zdarzały się odosobnione próby buntu, takie jak rebelia na Maui-Przymierzu - jedyna w swoim rodzaju ze względu na prowadzoną tam na szeroką skalę wojnę partyzancką - czy religijne szaleństwo na Qom-Rijadzie, lecz za każdym razem ogień gaszono przy użyciu najbardziej skutecznych środków, a nieliczne, godne pożałowania incydenty, jakie zdarzały się podczas tych kampanii, tylko podkreślały konieczność ścisłego przestrzegania Nowego Kodeksu Bushido. Jednak pomimo całej operatywności i świetnego wyszkolenia Armii, nikt nie był w stanie odpowiednio przygotować się do nieuniknionej konfrontacji z Intruzami.

Od czterech wieków - to znaczy od chwili, kiedy ich przodkowie opuścili Układ Słoneczny w przeciekających miastach O'Neilla, połatanych byle jak asteroidach i eksperymentalnych skupiskach mieszkalnych komet - barbarzyńscy Intruzi stanowili jedyne zewnętrzne zagrożenie dla Hegemonii. Nawet po tym, jak zdobyli napęd Hawkinga, Hegemonia oficjalnie ignorowała ich istnienie, pod warunkiem że trzymali się z dala od zamieszkanego systemów słonecznych, ograniczając się do pobierania niewielkich ilości wodoru z gazowych olbrzymów i lodu z bezludnych księżyców.

Pierwsze utarczki na pograniczu, między innymi na Planecie Benta i GHC 2990, uznano za niewarte uwagi przypadki. Nawet krwawa bitwa o Trzecią Lee została potraktowana jako wewnętrzny problem Służby Kolonialnej, a kiedy sześć lat po ataku na miejscu zjawiał się oddział uderzeniowy Armii/kosmos, w okolicy od pięciu lat nie było już żadnego Intruza. Wobec tego pośpiesznie zapomniano o wymordowanej w okrutny sposób ludności planety, twierdząc z podziwu godną pewnością siebie, że wystarczy, aby Hegemonia od niechcenia pogroziła palcem, a nieprzyjaciel natychmiast zrejteruje, by już nigdy nie ponowić ataku.

Tymczasem kolejne dekady obfitowały w starcia kosmicznych sił Armii i Intruzów, jednak - pomijając okazjonalne, krótkie potyczki w próżni - nigdy nie doszło do konfrontacji wojsk planetarnych. Po Sieci krążyły najróżniejsze pogłoski: że Intruzi nigdy nie będą stanowili zagrożenia dla planet typu ziemskiego, ponieważ za bardzo przystosowali się do życia w zerowej grawitacji; że przeistoczyli się już w coś zupełnie niepodobnego do ludzi; że nie mają transponderów i nie będą ich mieli, zatem nigdy nie zdołają zagrozić wyposażonej w nie Armii.

A potem nastąpiły wydarzenia na Bressii.

Bressia była jedną z niezależnych planet, zadowoloną zarówno z łatwego dostępu do Sieci, jak i swego ośmiomiesięcznego od niej oddalenia. Bogaciła się w szybkim tempie dzięki eksportowi brylantów, korzeni dławokrzewu oraz niezrównanej kawy i skromnie odrzucała propozycje przyznania jej statusu kolonii, należała natomiast do Protektoratu Hegemonii oraz Wspólnego Rynku. To zapewniało jej możliwości niczym nie skreślanego rozwoju ekonomicznego. Jak wszystkie tego rodzaju planety, Bressia była niezmiernie dumna ze swoich Sił Samoobrony, w których skład wchodziło: dwanaście transportowców dalekiego zasięgu, przebudowany krążownik, pół wieku wcześniej skreślony ze służby w Armii/kosmos, około czterdziestu małych, szybkich orbitalnych statków patrolowych, dziewięćdziesiąt tysięcy ochotników, całkiem pokaźna morska flota wojenna oraz niewielki zapas głowic nuklearnych o wyłącznie symbolicznym znaczeniu.

Stacje patrolowe Hegemonii zauważyły smugi kondensacyjne pozostawione przez napędzane silnikami Hawkinga statki Intruzów, lecz błędnie zinterpretowały to odkrycie, uważając, że jest to jeszcze jeden rój migracyjny Intruzów, który minie Bressię w odległości co najmniej pół roku świetlnego. Tymczasem po drobnej korekcie kursu, na którą nikt nie zwrócił uwagi, Intruzi spadli na Bressię niczym jedna z plag ze Starego Testamentu. Na pomoc ze strony Hegemonii planeta mogła liczyć nie wcześniej niż za siedem miesięcy standardowych.

Po dwudziestu godzinach siły kosmiczne Bressii praktycznie przestały istnieć. Wówczas Intruzi wprowadzili ponad trzy tysiące jednostek na niską orbitę i rozpoczęli systematyczne niszczenie wszystkich naziemnych instalacji obronnych.

W pierwszej fazie hegiry planetę zasiedlili rzeczowi i konkretni uciekinierzy z Europy Środkowej, którzy nadali dwóm kontynentom bardzo prozaiczne nazwy: Północna Bressia i Południowa Bressia. Na Północnej Bressii były pustynie, tundra oraz sześć dużych miast, zamieszkałych głównie przez zbieraczy korzeni dławokrzewu

i specjalistów od wydobywania ropy naftowej. Większość czterystumilionowej ludności planety żyła na Południowej Bressii, charakteryzującej się znacznie bardziej umiarkowanym klimatem. Tam także znajdowały się ogromne plantacje kawy.

Jakby po to, aby przypomnieć, o co kiedyś toczyły się wojny, Intruzi starli w proch Północną Bressię: najpierw zasypali ją pociskami nuklearnymi, potem taktycznymi bombami plazmowymi, następnie skierowali na nią promienie śmierci, a wreszcie zrzucili szczepy morderczych, zmodyfikowanych genetycznie wirusów. Ocalała jedynie garstka spośród czternastu milionów mieszkańców. Południowa Bressia została oszczędzona, z wyjątkiem najważniejszych celów wojskowych, lotnisk i dużego portu morskiego w Solno.

Według doktryny obowiązującej w Armii, każdą uprzemysłowioną planetę można było zniszczyć z orbity, natomiast dokonanie rzeczywistej inwazji graniczyło z niemożliwością. Głównymi argumentami przeciwko takiej operacji były trudności z przygotowaniem jednoczesnego lądowania oddziałów desantowych w wielu bardzo odległych od siebie miejscach, wielkość obszaru, jaki należało wziąć pod okupację, a także ogromna liczebność wojsk, które musiałyby uczestniczyć w akcji.

Intruzi jednak najwyraźniej nie czytali podręczników, z których uczyli się dowódcy Armii. Dwudziestego trzeciego dnia działań zbrojnych na Południowej Bressii wylądowało ponad dwa tysiące promów desantowych i transportowców. Niedobitki miejscowych sił powietrznych zostały unicestwione w ciągu dwóch godzin; zdołano odpalić jedynie dwa ładunki nuklearne - pierwszy wybuchł za daleko od celu i cała energia eksplozji została przechwycona przez pole siłowe, drugi zaś zniszczył samotny statek Intruzów, co do którego istniało poważne podejrzenie, że był jedynie atrapą.

Okazało się, że przez trzysta lat Intruzi rzeczywiście zmienili się pod względem fizycznym i że zdecydowanie wolą przebywać w zerowej grawitacji, ale ich wyposażone w hydrauliczne wspomaganie szkielety zewnętrzne znakomicie pełniły swoją funkcję, w związku z czym kilka dni później we wszystkich miastach Południowej Bressii zaroilo się od ubranych nieodmiennie na czarno, długonogich i długorękich postaci, na pierwszy rzut oka przypominających olbrzymie pająki.

Dziewiętnastego dnia inwazji zlikwidowano ostatni punkt zorganizowanego oporu. Równocześnie padło Buckminster, stolica planety. Ostatnia wiadomość przekazywana przez komunikator na Pierwszą Tau Ceti została przerwana w pół słowa równo godzinę po tym, jak oddziały Intruzów wmaszerowały do miasta.

Dwadzieścia dziewięć tygodni standardowych później pułkownik Kassad zjawił się w pobliżu podbitej planety wraz z całą Pierwszą Flotą Armii/kosmos. Trzydzieści jednostek klasy omega, stanowiących eskortę samotnego okrętu z transmitterem na pokładzie, weszło z ogromną prędkością w system słoneczny. Po trzech godzinach transmitter zaczął działać, po dziesięciu wokół Bressii krążyło już czterysta bojowych jednostek Armii, a po dwudziestu jeden rozpoczęło się kontruderzenie.

Tak wyglądał początek Bitwy o Bressię. Jednak we wspomnieniach Kassada najlepiej zachowały się nie suche dane i fakty, lecz okrutne piękno walki. Po raz pierwszy w historii użyto w warunkach bojowych transmitterów do przesłania więcej niż jednej dywizji, w związku z czym nie obyło się bez problemów. Kassad wszedł w bramę transmitera materii w odległości pięciu minut świetlnych od planety i natychmiast runął twarzą w błoto, gdyż prom desantowy, na którego pokładzie znajdowała się końcówka transmitera, wylądował na stromym zboczu, gdzie śliska glina mieszała się z krwią żołnierzy, którzy zjawili się tu wcześniej. Kassad leżał w błotnistej kąpieli, spoglądając na otaczające go szaleństwo. Dziesięć spośród siedemnastu promów desantowych płonęło jak pochodnie, a pola siłowe pozostałych siedmiu z najwyższym trudem wytrzymywały ulewę ognia z broni palnej i miotaczy promieni, przypominając wzniesione z pomarańczowych płomieni kopuły. Układy elektroniczne zainstalowane w hełmie Kassada uległy chyba awarii, gdyż jego wizjer wypełniała gmatwanina jakichś nieprawdopodobnych trajektorii, a zielone, czerwone i niebieskie punkciki płały w szaleńczym tańcu. W jego słuchawkach ktoś darł się jak opętany, natomiast wszczepiony komlog poinformował go, że nie jest w stanie nawiązać łączności z dowództwem.

Jakiś żołnierz pomógł mu stanąć na nogi. Kassad otrząsnął się z błota i pośpiesznie usunął z drogi kolejnemu oddziałowi, który właśnie wysypywał się z transmitera. Tak wyglądał początek wojny.

W chwilę po tym, jak postawił stopę na Południowej Bressii, Kassad zorientował się, że na pewno nie obowiązuje tutaj Nowy Kodeks Bushido. Osiemdziesiąt tysięcy świetnie wyszkolonych i doskonale wyposażonych żołnierzy Armii/ląd spodziewało się walczyć na jakimś rozległym, nie zamieszkanym terenie, tymczasem Intruzi pośpiesznie cofnęli się, pozostawiając za sobą spaloną ziemię, przemysłne pułapki i trupy cywilów. Armia natychmiast skorzystała z transmitterów, aby oskrzydlić nieprzyjaciela i zmusić go do walki, ten jednak odpowiedział ulewą

nuklearnego i plazmowego ognia, zmuszając ludzi do ukrycia się pod ochronnym parasolem pól siłowych, sam zaś zajął stanowiska na obrzeżach gęsto zaludnionych miast.

Żadne błyskotliwe triumfy nie mogły przechylić szali zwycięstwa na korzyść ludzi, gdyż Intruzi kontrolowali niepodzielnie obszar w promieniu trzech j.a. od Bressii. Po kilku nieudanych próbach Armia/kosmos ograniczyła się do utrzymywania swoich jednostek w zasięgu transponderów oraz ochrony głównego okrętu.

Bitwa, która według planu powinna zakończyć się po dwóch dniach, trwała już dni sześćdziesiąt, i nadal nie było widać jej końca. Działania wojenne prowadzono według schematów z dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku: długie, mordercze zmagania w ruinach miast, wśród rozkładających się zwłok cywilów. Na pomoc pierwszym siedemdziesięciu tysiącom żołnierzy, z których została zaledwie garstka, przybyło następnych sto tysięcy, a kiedy i ci zostali zdziesiątkowani, zażądano kolejnych dwustu tysięcy. Walki trwały jedynie ze względu na ponury upór Meiny Gladstone oraz kilku jeszcze bardziej od niej zawziętych senatorów, gdyż zarówno miliony głosów we WszechJedności, jak i Rada Konsultacyjna Sztucznych Inteligencji domagały się natychmiastowego wycofania wojsk.

Kassad bardzo szybko zrozumiał, że konieczna jest zmiana taktyki. Uznał, iż pora pozwolić dojść do głosu tłumionym instynktom chłopca wychowanego w slumsach Tharsis, a w przekonaniu tym utwierdziła go krwawa łaźnia, jakiej doświadczyła jego dywizja podczas Bitwy o Stos Kamieni. Inni dowódcy jeden za drugim praktycznie przestawali funkcjonować, sparaliżowani koniecznością dokonania wyboru między potrzebą chwili a wymogami Nowego Kodeksu Bushido, Kassad - kierując najpierw pułkiem, potem zaś całą dywizją, kiedy przestało istnieć dowództwo Zgrupowania Delta - żądał nuklearnego wsparcia swoich coraz częstszych kontrataków. Kiedy dziewięćdziesiąt siedem dni po "odsieczy" Armii Intruzi wreszcie wycofali się z planety, Kassad nosił już dwuznaczne przezwisko "Rzeźnik z Południowej Bressii"; plotka głosiła, że bali się go nawet jego żołnierze.

Tymczasem on wciąż śnił o niej, a jego sny były czymś znacznie więcej i zarazem znacznie mniej niż snami.

Ostatniej nocy podczas Bitwy o Stos Kamieni, w labiryncie mrocznych tuneli, gdzie Kassad i inni zabójcy w mundurach posłużyli się infradźwiękami oraz gazem T-5, by wybić resztki nieprzyjaciół, pułkownik zasnął wśród huku i szalejących płomieni, w chwilę potem zaś poczuł na twarzy delikatne dotknięcie jej palców i muśnięcie

jędrnych piersi.

Kiedy nazajutrz po zmasowanym bombardowaniu z kosmosu, którego zażądał, Kassad wkroczył wraz ze swoim oddziałem do Nowego Wiednia, bez zmruczenia oka przyglądał się głowom mieszkańców, ułożonym w równych rzędach na zasypanych gruzem jezdniach. Wrócił do transportera, skulił się w ciepłym wnętrzu przesyconym wonią gumy, rozgrzanego plastiku i zjonizowanego powietrza, i zapadł w sen... słysząc jej szept, mimo zgiełku dobiegającego z komlogu i nadajnika. W ostatnią noc przed wycofaniem się Intruzów Kassad opuścił konferencję dowódców zwołaną na pokładzie HS "Brazil", przeniósł się przez transmiter do swojej Kwatery Głównej na pomoc od Doliny Hien i pojechał na szczyt pobliskiego wzgórza, aby stamtąd obserwować decydujące bombardowanie. Najbliższy pocisk padł zaledwie czterdzieści pięć kilometrów od niego. Bomby plazmowe rozkwitały jak pomarańczowe i krwistoczerwone kwiaty posadzone w idealnie równych odstępach. Kassad naliczył ponad dwieście kolumn zielonego światła, kiedy bicze boże przesunęły się według starannie przygotowanego planu, zamieniając rozległy płaskowyż w rumowisko nadtopionych skał. Wtedy przyszła do niego, chociaż nie spał, tylko siedział na płaskiej masce wojskowego pojazdu i starał się usunąć sprzed oczu roztańczone czarne i białe plamy. Ubrana w jasnobłękitną sukienkę, szła lekkim krokiem między martwymi korzeniami dławokrzewów porastających zbocze. Wiatr szarpał cienkim materiałem, jakby chciał go z niej zedrzeć. Twarz i ramiona miała tak blade, że prawie przezroczyste. Zawołała go po imieniu - niemal usłyszał jej głos - a potem kolejna porcja pocisków spadła na rozciągającą się w dole równinę i wszystko zniknęło w huku i płomieniach.

Jak się często zdarza w tym wszechświecie, którym wedle wszelkich oznak zdaje się rządzić ironia, podczas toczonych przez dziewięćdziesiąt siedem dni walk, najbardziej krwawych w całej historii Hegemonii, Kassadowi nie spadł nawet włos z głowy. Ranny został dopiero dwa dni po tym, jak ostatni Intruz dołączył do uciekającego w popłochu roju. Stało się to w Centrum Kultury w Buckminster, jednym z trzech ocalałych budynków w mieście. Pułkownik odpowiadał właśnie na bezsensowne pytania zadawane przez gromadę dziennikarzy, którzy ścignęli na Bressię z całej Sieci, kiedy piętnaście piętér wyżej eksplodował ukryty ładunek wybuchowy wielkości układu scalonego. Siła wybuchu była tak wielka, że kilku dziennikarzy oraz dwaj adiutanci Kassada zostali wydmuchnięci przez wentylatory, a

cały budynek zwałił się pułkownikowi na głowę.

Pośpiesznie przewieziono go do Kwatery Głównej dywizji, stamtąd zaś, przez transponder, na okręt krążący wokół drugiego księżycy Bressii. Tam został odratowany i podłączony do aparatury wspomagającej procesy życiowe, podczas gdy jego wojskowi przełożeni i politycy Hegemonii zastanawiali się wspólnie, co z nim począć.

Dzięki transponderom oraz przekazywanym na żywo relacjom z wydarzeń na Bressii pułkownik Fedmahn Kassad stał się czymś w rodzaju *cause célèbre*. Miliardy ludzi, wstrząśniętych bezprecedensowym okrucieństwem kampanii, chętnie ujrzałyby go przed sądem wojennym, natomiast przewodnicząca Senatu Meina Gladstone i wiele innych wpływowych osób uważało Kassada za bohatera.

Ostatecznie umieszczono go na okręcie medycznym, który z prędkością nadświetlną począł powoli z powrotem w kierunku Sieci. Ponieważ i tak większość procesów leczniczych odbywała się w stanie hibernacji, uznano za słusne, aby funkcję kosmicznych szpitali pełniły stare, powolne jednostki. Kiedy Kassad i pozostali ranni dotrą do Sieci, będą już w stanie pozwalającym na powrót do czynnej służby. Co ważniejsze, wpadną w co najmniej osiemnastomiesięczny dług czasowy, a przez ten czas uwaga opinii publicznej może zwrócić się w inną stronę.

Zaraz po przebudzeniu Kassad ujrzał pochyloną nad nim kobietę. W pierwszej chwili pomyślał, że to ona, potem jednak zorientował się, że ma do czynienia z wojskowym lekarzem.

- Nie żyję? - szepnął.

- Nie żyłeś. Znajdujesz się na pokładzie HS "Merrick". Przeszedłeś kilka wskrzeszeń i odnowień, ale zapewne nic nie będziesz pamiętał, bo wszystko odbywało się w hibernacji. Teraz zaczniemy rekonwalescencję. Myślisz, że uda ci się wstać?

Kassad zasłonił ręką oczy. Mimo wszystko wydawało mu się, że pamięta bolesne zabiegi, długie kąpiele w zawieszynie RNA i operacje. Przede wszystkim operacje.

- Któredy lecimy? - zapytał.

Kobieta uśmiechnęła się, jakby słyszała to pytanie już wiele razy. Prawdopodobnie tak właśnie było.

- Zatrzymamy się na Hyperionie i Ogrodzie - powiedziała. - Właśnie wchodzimy na orbitę wokół...

Przerwały jej dźwięki, jakie z pewnością będą towarzyszyć końcowi świata: ryk potężnych trąb, trzask dartego metalu, wycie oszalałych z wściekłości demonów.

Kassad stoczył się z łóżka i opadł powoli na podłogę w 1/6 g, zawijając się odruchowo w materac. Huraganowy wiatr zasypał go gradem mniejszych i większych przedmiotów. Mężczyźni i kobiety krzyčeli przeraźliwie, ale ich głosy stawały się coraz wyższe, by wreszcie niemal zupełnie ucichnąć, kiedy znaczna część powietrza uciekła z oddziału. Kassad poczuł, że materac grzmotnął w ścianę; otworzywszy oczy, spojrzął ostrożnie przez zasłonę z przyciśniętych do twarzy rąk.

Nie dalej, niż metr od niego jakiś pajak o tułowiu wielkości piłki futbolowej i niezliczonych, wymachujących dziko nogach, usiłował wcisnąć się w szczelinę, która pojawiła się w ścianie pomieszczenia. Jego niesłychanie giętkie odnóża zdawały się odpychać wszystko, co znalazło się w ich zasięgu. Potem pajak obrócił się i Kassad zobaczył, że jest to głowa kobiety, z którą jeszcze przed chwilą rozmawiał. Jej długie włosy przesunęły się po twarzy pułkownika, a potem szczelina rozszerzyła się i głowa zniknęła.

W chwili kiedy Kassad zdołał jakoś dźwignąć się na nogi, ustał ruch obrotowy statku, w związku z czym przestały obowiązywać pojęcia "góra" i "dół". Jedynie huraganowe wiatry szalały z nie zmienioną siłą. Kassad ruszył pod prąd, czepiając się, czego tylko się dało. Metalowa tacka uderzyła go tuż pod okiem; jakiś trup z nabiegłymi krwią oczami o mało nie popchnął go z powrotem w kierunku ściany. Hermetyczne drzwi bezskutecznie próbowały się zamknąć, ale uniemożliwiały im to leżące w progu zwłoki komandosa w skafandrze. Kassad przetoczył się do korytarza, który biegł wzdłuż ramienia łączącego oddział z głównym kadłubem statku, i pociągnął zwłoki za sobą. Drzwi natychmiast się zatrzasnęły, ale po tej ich stronie wcale nie pozostało więcej powietrza niż po tamtej. Jeszcze niedawno przeraźliwie głośny ryk syren alarmowych stał się prawie niesłyszalny.

Kassad krzyčał co sił w płucach, starając się wyrównać ciśnienie między wnętrzem swojego organizmu a otoczeniem. W powłoce stu pięćdziesięciometrowego ramienia też znajdowały się jakieś nieszczelności, gdyż on i martwy komandos przesuwali się w kierunku kadłuba, objijając się o ściany w ponurej parodii powolnego walca.

Kassad potrzebował dwudziestu sekund na rozpięcie skafandra, a minuty na to, by wydobyć z niego zwłoki i zająć ich miejsce. Komandos był o co najmniej dziesięć centymetrów niższy od niego, co powodowało, że skafander boleśnie uciskał Kassada w ramionach, biodrach i kolanach, a hełm napierał na czoło niczym jakieś obite miękką wyściółką imadło. Wizjer był zachlapany od wewnątrz krwią i strzępami

białej, galaretowatej substancji. Odłamek, który zabił żołnierza, pozostawił otwór wlotowy i wylotowy, ale skafander zdołał się już jakoś uszczelnić. Większość lampek kontrolnych jarzyła się jednak groźną czerwienią i nie sposób było uzyskać informacji na temat stanu poszczególnych układów.

Kassad włączył radio; nic, nawet żadnego szumu. Wsadził w gniazdko końcówkę komlogu: to samo. Nagle statek zatoczył się jak pijany, metalową konstrukcją wstrząsnęła nowa seria wybuchów, Kassad zaś rąbnął w ścianę korytarza. Ułamek sekundy później tuż obok niego, niczym jakiś podekscytowany morski anemon, przemknęła jedna ze skrzyń ładunkowych, ciągnąc za sobą wijące się dziko, pourywane kable. W skrzyni znajdowały się zmasakrowane ciała, podobnie jak na spiralnych schodach biegnących w kierunku głównego kadłuba. Kassad odepchnął się od ściany, przeleciał jak pocisk kilkanaście metrów dzielących go od końca korytarza i przekonał się, że co prawda wszystkie drzwi są szczelnie zamknięte, podobnie jak przypominająca żrenicę śluza, ale za to w samym kadłubie znajdują się dziury tak wielkie, że przez niektóre z nich mógłby przejechać nawet pociąg towarowy.

Statek ponownie się zatoczył, po czym zaczął wywijać przedziwne łamańce, co spowodowało, że na Kassada - oraz na wszystko, co znajdowało się wewnątrz wraku - poczęły oddziaływać nowe siły Coriolisa. Pułkownik zdołał chwycić jakąś wystającą belkę i po kilku nieudanych próbach przedostał się wreszcie do wnętrza głównego kadłuba "Merricka". Kiedy się tam rozejrzał, o mało nie parsknął śmiechem. Ktokolwiek wziął na cel stary statek szpitalny, przyłożył się solidnie do roboty. Najpierw wszystkie grodzie hermetyczne zostały pogruchotane, ściany działowe przestały istnieć, na koniec zaś nieprzyjaciel oddał jedną, jedyną salwę do zdemolowanego wraku, uzyskując to, co weterani Armii/kosmos nazywali czasem "efektem pustego kanistra". Podobny rezultat można także uzyskać, wrzucając granat do zatłoczonego szczurzego labiryntu.

Światło przedostawało się do środka przez tysiące dziur, tu i ówdzie nabierając niezwykłych barw, jeśli jakiś jego promień trafił na obłok pyłu, zakrzepniętej krwi lub poszarpanych tkanek. Z miejsca, w którym zawisł, Kassad mógł dostrzec co najmniej dwadzieścia nagich, zmasakrowanych ciał, poruszających się w zerowym ciężeniu ze złudnym wdziękiem topielców. Większość zwłok utworzyła własne mikrosystemy planetarne, złożone z zamrożonej krwi i strzępów ciał. Niektóre z nich wpatrywały się w Kassada groteskowo wielkimi, rozdętymi pod wpływem nagłej dekompresji oczami, zdając się przywoływać go do siebie płynnymi ruchami ramion.

Pułkownik przedarł się przez rumowisko do głównego szybu, który prowadził kiedyś do stanowiska dowodzenia. Nigdzie nie dostrzegł żadnej broni - wyglądało na to, że jedynie komandos, po którym odziedziczył skafander, zdążył zareagować na trafienie - ale wiedział, że powinien znaleźć mnóstwo broni w głównej kwaterze marines, mieszczącej się na rufie okrętu.

Zatrzymał się przy roztrzaskanej grodzi hermetycznej i wybałuszył oczy. Tym razem nie miał ochoty na śmiech. Za grodzią nie było szybu, nie było rufy, nie było statku. Nieprzyjaciel przeciął starą szpitalną jednostkę na pół równie łatwo, jak Beowulf oderwał ramię Grendelowi. Za ostatnią, rozbitą grodzią zaczynał się otwarty kosmos. W odległości kilku kilometrów Kassad dostrzegł potrzaskane fragmenty "Merricka", obracające się dostojnie w blasku pobliskiego słońca. Zielono-lazurowa planeta znajdowała się tak blisko, że Kassad odruchowo zmrużył oczy i przywarł mocniej do stalowej futryny. Na jego oczach zza ogromnego globu wyłoniła się mikroskopijna gwiazdka, rozbłysła rubinowo laserowym światłem i w tym samym ułamku sekundy strzęp wypatroszonego statku unoszący się w przestrzeni jakiegoś pół kilometra od Kassada eksplodował jak granat, posyłając we wszystkie strony kęsy nadtopionego metalu, zamrożone obłoki lotnych substancji i ciemne, podłużne przedmioty - ciała, uświadomił sobie z opóźnieniem pułkownik.

Kassad cofnął się w głąb wraku i zastanowił nad sytuacją. Skafander mógł wytrzymać jeszcze najwyżej godzinę - już teraz powietrze ledwo nadawało się do oddychania, a regenerator z każdą chwilą działał coraz gorzej. Jak do tej pory, nie udało się Kassadowi nigdzie dostrzec żadnego nie rozhermetyzowanego pomieszczenia; zresztą nawet gdyby je znalazł, to co z tego? Nie wiedział, czy planeta nad nim to Hyperion, czy może Ogród, ale jednego był całkowicie pewien: na żadnej z nich nie stacjonowały oddziały Armii. Nie ulegało dla niego także wątpliwości, że żaden dowódca sił samoobrony nie będzie próbował stawić czoła wojennemu okrętowi Intruzów. Może minąć wiele dni, zanim ktokolwiek odważy się pojawić na orbicie, aby poszukać ewentualnych rozbitków. Całkiem możliwe, że do tego czasu resztki statku szpitalnego wejdą w atmosferę i runą ku powierzchni planety niczym gigantyczne, płonące meteory. Tubylcy zapewne nie będą tym zachwyceni, ale po namyśle z pewnością dojdą do wniosku, iż lepiej poszukać sobie schronienia przed kawałkiem spadającego nieba, niż narazić się na gniew Intruzów. Jeżeli planeta dysponuje jakimś prymitywnym systemem obrony orbitalnej albo naziemnymi bateriami o pozaatmosferycznym zasięgu, należy się spodziewać, że ludzie decydujący

o ich użyciu prędzej otworzą ogień do szczątków rozbitego statku niż do jednostki Intruzów.

Dla Kassada jednak nie będzie to miało większego znaczenia. Jeżeli czegoś nie wymyśli, umrze na długo przedtem, zanim szczątki statku spłoną w atmosferze albo tubylcy podejmą jakieś bardziej zdecydowane działania.

Ekran powiększający skafandra został poważnie uszkodzony przez odłamek, który zabił komandosa, ale Kassad mimo to opuścił go na wizjer. Zasilanie, choć już bardzo słabe, okazało się jednak wystarczające, żeby na zielonym, pokrytym pajęczą siecią pęknięć tle pojawił się oddalony o ponad sto kilometrów statek Intruzów. Otaczał go bąbel pola siłowego, przez który przeświecały drżące gwiazdy. W pewnej chwili od kadłuba jednostki oddzieliły się jakieś kształty. Przez mgnienie oka Kassad był pewien, że są to pociski, które miały dokończyć dzieła zniszczenia; uśmiechnął się ponuro, pewien, iż zostało mu tylko kilka sekund życia. Potem jednak zastanowiło go, dlaczego poruszają się tak wolno. Wzmocniwszy powiększenie, dostrzegł obłe kadłuby, pokryte naroślami silników manewrowych, ciągnące za sobą po sześć wiotkich ramion manipulatorów. Zaraz potem ekran powiększający odmówił dalszej współpracy, ale Kassad wiedział już, że domniemane pociski to "kałamarnice" - tak właśnie żołnierze Armii/kosmos ochrzczili abordażowe jednostki Intruzów.

Pułkownik cofnął się jeszcze dalej w głąb wraku. Za kilka minut któraś z kałamarnic dotrze do jego sterty złomu. Ilu Intruzów może być na jej pokładzie? Dziesięciu? Dwudziestu? Na pewno nie mniej niż dziesięciu. Będą uzbrojeni po zęby, wyposażeni w detektory ruchu i podczerwieni. Jako odpowiednicy kosmicznych komandosów Hegemonii z pewnością, podobnie jak oni, zostali znakomicie przygotowani do walki w warunkach nieważkości, ale mieli nad nimi tę przewagę, że właśnie w nieważkości urodzili się i spędzili całe niemal życie. Dodatkowy atut stanowiły długie kończyny, chwytne stopy i protetyczne ogony... Chociaż, czy potrzebowali jeszcze jakichś dodatkowych atutów?

Kassad ostrożnie ruszył z powrotem przez labirynt pociętego metalu, z trudem zmuszając się do zachowania spokoju, podczas gdy każde włókno napiętych do granic wytrzymałości mięśni żądało od niego, aby z rozpaczliwym wrzaskiem rzucił się na oślep do ucieczki. Czego mogą chcieć? Jeńców. To rozwiązałoby najbardziej palący problem. Wystarczyło poddać się, żeby przeżyć. Kłopot polegał tylko na tym, że Kassad widział hologramy z okrętu Intruzów, który udało się zdobyć w pobliżu Bressii. Na jego pokładzie znajdowało się ponad dwustu jeńców, a Intruzi z pewnością

mieli im do zadania wiele pytań. Prawdopodobnie uznali, że karmienie tak licznej gromady mija się z celem, albo może po prostu takie mieli metody postępowania; w każdym razie zarówno cywile, jak i żołnierze Armii zostali rozcięci, wypatroszeni i przypięci do metalowych stelaży niczym żaby w laboratorium, ich wnętrzności zanurzono w odżywczych roztworach, kończyny amputowano, wydłubano oczy, w czaszkach zaś wywiercono otwory, przez które wprowadzono do mózgowi elektrody i sondy, mające dopomóc w uzyskaniu prawdziwych informacji.

Kassad powoli wyszukiwał drogę wśród unoszących się szczątków. Nie miał najmniejszej ochoty się poddawać. Przez wrak przebiegło wyraźne drżenie, kiedy co najmniej jedna z kałamarnic przycumowała do rozprutego kadłuba. Myśl, nakazał sobie Fedmahn Kassad. Bardziej niż kryjówki potrzebował jakiejś broni. Czy w zdewastowanym statku szpitalnym mogło znajdować się coś, co posłużyłoby mu jako oręż?

Pogrążony głęboko w myślach, zawisł nieruchomo, trzymając się jakiegoś kabla. Łóżka, hibernatory, aparatura medyczna i cała reszta wyposażenia oddziału, w którym go umieszczono, uleciała w kosmos przez dziury w kadłubie. Ramię, korytarz, ciała w klatce transportera, ciała na schodach. Żadnej broni. Większość zwłok naga w wyniku gwałtownej dekompresji. Liny, na których wisiała winda? Nie, za długie, a bez narzędzi z pewnością nie uda mu się ich przeciąć. Narzędzia? Nic takiego nie zauważył. Pozbawione ścian pomieszczenia wzdłuż korytarzy za głównym szybem. Hibernatory, komory regeneracyjne i hermetyczne wanny z hodowlami tkanek, wszystko pootwierane na oścież jak obrabowane sarkofagi. Tylko jedna sala operacyjna prawie nietknięta, jeśli nie liczyć unoszących się wszędzie narzędzi, przewodów i fragmentów aparatury. Puste solarium, ogołocone z wyposażenia, w chwili gdy wielka szyba rozprysła się na kawałki. Pokoje pacjentów. Pokoje lekarzy. Magazyny, korytarze i komórki niewiadomego przeznaczenia. A wszędzie trupy, mnóstwo trupów.

Kassad zastanawiał się jeszcze przez chwilę, po czym rozejrzał się, aby odzyskać orientację w labiryncie przemieszczających się powoli przedmiotów, i energicznie odepchnął się nogami.

Liczył na dziesięć minut, otrzymał natomiast niespełna osiem. Wiedział, że Intruzi będą przeczesywać resztki statku sprawnie i metodycznie, nie spodziewał się jednak, jak bardzo sprawni okażą się w zerowej grawitacji. Liczył na to, że podzielią się na dwuosobowe zespoły - taka była standardowa procedura, wypracowana

podczas całych tysiącleci walk ulicznych na Starej Ziemi: jeden wskakuje do bramy, drugi zabezpiecza jego tyły. Gdyby jednak było inaczej, gdyby Intruzi podzielili się na trójki albo czwórki, Kassad niemal na pewno pożegnałby się z życiem.

Unosił się pośrodku sali operacyjnej nr 3, kiedy w drzwiach pojawił się pierwszy Intruz. Regenerator właściwie przestał już działać. Kassad ciężko łapał stęchłe powietrze, obserwując nieprzyjaciela, który najpierw błyskawicznie rozejrzał się po pomieszczeniu, a następnie skierował broń na nieruchomą postać w mocno sfatygowanym skafandrze marines.

Pułkownik liczył na to, że dzięki fatalnemu stanowi skafandra oraz temu, że wizjer był zachlapany od środka krwią i mózgiem komandosa, zyska bezcenne dwie lub trzy sekundy. Wpatrywał się prosto przed siebie szeroko otwartymi oczami, podczas gdy snop światła z latarki Intruza przesuwiał się po jego ciele. Wróg był uzbrojony w dwa rodzaje broni: w ręce trzymał ultradźwiękowy paralizator, w lewej chwytniej "stopie" zaś znacznie bardziej groźny miotacz. Po tak krótkim, że prawie niezauważalnym wahaniu podniósł paralizator. Kassad zauważył jeszcze ostry grot na końcu protetycznego ogona, po czym wdusił przycisk, który przez cały czas trzymał w prawej ręce.

Minione osiem minut spędził na podłączaniu awaryjnego generatora do nie naruszonych obwodów zasilających sali operacyjnej. Spośród kilkunastu laserów zabiegowych katastrofę przetrwało sześć. Kassad wycelował cztery mniejsze w przestrzeń po lewej stronie drzwi, dwa większe zaś, przeznaczone do cięcia kości, skierował na prawo od wejścia. Intruz znalazł się w ich zasięgu.

Skafander nieprzyjaciela eksplodował bezgłośnie. Lasery dalej zataczały kręgi, tak jak zostały pośpiesznie zaprogramowane, Kassad natomiast rzucił się naprzód, unikając zetknięcia z ich promieniami, doskonale widocznymi w chmurze kipiącej krwi i beużytecznego uszczelnacza, wyrwał paralizator z dłoni Intruza i skierował go w kierunku drzwi dokładnie w tej samej chwili, kiedy pojawił się w nich drugi napastnik, zwinny i szybki niczym małpa.

Kassad przyłożył paralizator do hełmu Intruza i nacisnął spust. Ciało nieprzyjaciela natychmiast znieruchomiało we wnętrzu skafandra, i tylko uzbrojony w groźny szpikulec ogon wykonał kilka gwałtownych, spazmatycznych ruchów. Używając paralizatora na tak krótki dystans, należało liczyć się z tym, że nie uda się wziąć przeciwnika żywcem. Bezpośrednie uderzenie ultradźwięków zamieniało mózg w coś podobnego do rozgotowanej owsianki.

Kassad nie chciał nikogo brać żywcem.

Oderwał się od Intruza, wysunął broń na korytarz i zatoczył nią szerokie koło. Dwadzieścia sekund później sam wyjrzał ostrożnie. Nikogo.

Kassad zostawił w spokoju zwłoki pierwszego komandosa, z drugiego trupa natomiast pośpiesznie ściągnął nienaruszony skafander. Okazało się, że Intruz nie miał na sobie żadnego ubrania i że był kobietą. Miała jasne, krótko obcięte włosy, nieduże piersi i tatuaż nad włosami łonowymi. Z oczu, uszu i nosa wyciekły jej kropelki krwi. Kassad zanotował w pamięci, że w siłach kosmicznych Intruzów służą także kobiety. Zwłoki, które widział na Bressii, należały wyłącznie do mężczyzn.

Odepchnął ciało na bok, zrzucił swój bezużyteczny skafander, pozostawiając na głowie hełm i regenerator, po czym zaczął wciągać nowy skafander. Potworny mróz natychmiast wbił mu się w ciało lodowatymi zębami, a naczynia krwionośne w skórze zaczęły szybko pękać, wystawione na działanie niemal całkowitej próżni. Bezczenne sekundy uciekały jedna za drugą, gdyż Kassad nie mógł sobie poradzić z nie znanymi zapięciami. Wreszcie jednak udało mu się zapiąć ostatni zatrzask. Okazało się, że mimo wysokiego wzrostu jest zdecydowanie zbyt niski; wyciągnąwszy maksymalnie ramiona, mógł co prawda dosięgnąć rękawic, ale jego stopy wisiały bezużytecznie kilkanaście centymetrów nad zakończeniami nogawic skafandra. Po kilku bezskutecznych próbach przestał się tym przejmować, zrzucił hełm i błyskawicznie włożył przezroczysty bąbel Intruzów.

Światelka na tablicy kontrolnej jarzyły się fioletowo i bursztynowo. Kassad usłyszał świst napływającego powietrza, a w chwilę potem o mało nie zakrztusił się pierwszym oddechem; śmierdziało straszliwie, choć zapewne dla Intruzów był to słodki zapach domu. Ze słuchawek płynęły nieprzerwanie rozkazy - a może komunikaty - w języku, który brzmiał jak staroangielski nagrany na taśmę, a następnie odtworzony wstecz z potrójną prędkością.

Plan Kassada mógł powieść się tylko wtedy, jeśli okazałoby się, że kosmiczne oddziały Intruzów były zorganizowane w podobny sposób jak ich siły lądowe: małe grupki, których członkowie porozumiewali się przez radio, nie zaś przez odpowiednik używanej przez Armię/ląd sieci wszczepionych komlogów. Dzięki temu dowódca oddziału komandosów, jeżeli nawet wiedział, że dwaj jego żołnierze zginęli, nie był w stanie ustalić, gdzie dokładnie to się stało.

Kassad doszedł do wniosku, że najwyższa pora przestać teoretyzować i wziąć się do roboty. Zaprogramował lasery operacyjne w taki sposób, żeby otworzyły ogień

do każdego ruchomego przedmiotu, który pojawi się w drzwiach sali, po czym ruszył niezdarnie wzdłuż korytarza. Czuł się trochę tak, jakby próbował chodzić w normalnym polu grawitacyjnym, używając jako szcudeł własnych spodni. Zabrał ze sobą oba paralizatory, a ponieważ nie mógł znaleźć żadnych pasów, sprzączek, kabur ani rzepów, aby przytrzymać je do skafandra, ściskając broń w każdej ręce obijał się od ścian niczym jakiś pijany korsarz z holofilmu. Kiedy mu się to wreszcie znudziło, z żalem rozstał się z jednym paralizatorem i zaczął pomagać sobie wolną ręką. Rękawica była za duża co najmniej o kilka numerów, a cholerny futerał na ogon to włókł się z tyłu, to znów wyczyniał przedziwne łamańce, obijając się o hełm. Krótko mówiąc, prawdziwy wrzód na dupie.

Dwa razy krył się w różnych zakamarkach, gdyż zauważył przed sobą poruszające się światła. Zbliżał się już do miejsca, z którego dostrzegł przedtem kałamarnice, kiedy zza rogu wyłoniło się trzech Intruzów.

Fakt, że miał na sobie taki sam kombinezon jak oni, dał mu co najmniej dwie sekundy przewagi. Pierwszemu nieprzyjacielowi strzelił prosto w głowę. Drugi zdążył nacisnąć spust paralizatora, zanim otrzymał trafienie w pierś, ale ultradźwiękowa wiązka minęła Kassada o dobrych kilkadziesiąt centymetrów. Trzeci komandos rzucił się wstecz, odbił od ściany i zniknął za zakrętem. W hełmie pułkownika rozbrzmiały podniesione głosy, prawdopodobnie miotające przekleństwa. Kassad w milczeniu ruszył w pogoń.

Trzeci Intruz prawdopodobnie uszedłby z życiem, gdyby nie to, że nagle odezwało się w nim poczucie honoru i zawrócił, aby walczyć. Kassad doznał niemożliwego do wytłumaczenia poczucia *déjà vu*, kiedy z odległości pięciu metrów władował skupioną wiązkę promieni w oko przeciwnika.

Ciało wyleciało poza wrak, w rozświetloną słonecznym blaskiem pustkę. Kassad powoli wysunął głowę z rozerwanego korytarza i w odległości dwudziestu metrów dostrzegł zacumowaną kałamarnicę. Wyglądało na to, że znowu zaczyna mu sprzyjać szczęście.

Odepchnął się mocno od wraku i poszybował w kierunku łodzi abordażowej Intruzów, zdając sobie doskonale sprawę, że stanowi doskonały cel i że mógłby go zastrzelić każdy, kto akurat spojrzalby w jego stronę ze szczątków statku albo z kałamarnicy. Jak zawsze w takich sytuacjach poczuł, że jądra kurczą mu się i niemal chowają do wnętrza ciała. Nikt jednak do niego nie strzelał, tylko gwar w słuchawkach wzmógł się jeszcze bardziej, o ile to w ogóle było możliwe. Nie rozumiał wroga, więc

uważał, że postąpi najrozsądniej, nie wtrącając się do rozmowy.

Niewiele brakowało, a rozminąłby się z celem. Pomyślał przelotnie, iż byłoby to wspaniałe zakończenie jego wojskowej kariery: dzielny żołnierz krążący bezradnie po wokółplanetarnej orbicie, bez silniczków manewrowych, bez niczego, co mogłoby posłużyć do zmiany kursu. Nawet miotacz, który ścisnął kurczowo w ręce, był bezodrutowy. Zakończyłby życie jak niegroźny i zupełnie bezużyteczny dziecięcy balonik.

Wyciągnął się tak, że ramiona omal nie wyskoczyły mu ze stawów, końcami palców chwycił cienką jak drut antenę i stopniowo przyciągnął się do kadłuba. Gdzie, do diabła, powinien szukać śluzy wejściowej? Jak na jednostkę poruszającą się wyłącznie w próżni, kadłub był zaskakująco gładki, upstrzony mnóstwem kolorowych symboli, które zapewne znaczyły mniej więcej tyle co: NIE DOTYKAĆ albo UWAGA, NIEBEZPIECZEŃSTWO. Kassad nigdzie nie mógł dostrzec żadnego wejścia. Przypuszczał, że na pokładzie znajdują się jacyś Intruzi - choćby piloci - i teraz zapewne zastanawiają się, dlaczego powracający z akcji komandos łązi po kadłubie jak pijana mucha, zamiast skierować się prosto do śluzy. Albo może wiedzą dlaczego i już czekają z bronią gotową do strzału. Tak czy inaczej, było oczywiste, że nikt nie zamierza otworzyć mu drzwi.

Do diabła z tym wszystkim, pomyślał pułkownik i strzelił z bliska w jedno z okienek obserwacyjnych.

Intruzi utrzymywali swój statek w nienagannym porządku. Wraz z uciekającym powietrzem uleciało w próżnię zaledwie parę śmieci mogących stanowić odpowiednik spinaczy do papieru albo drobnych monet. Kassad zaczekał, aż erupcja dobiegnie końca, po czym wcisnął się do środka.

Znalazł się w części transportowej, wyglądającej niemal dokładnie tak samo jak wewnątrz każdej używanej przez Armię jednostki desantowej. Mogło się tu zmieścić około dwudziestu Intruzów w próżniowym rynsztunku bojowym. Teraz jednak nie było tu nikogo, a otwarty właz wskazywał drogę do kabiny dowodzenia.

Pilot, który jako jedyny został na pokładzie, nie zdążył nawet odpiąć pasów przytrzymujących go w fotelu, kiedy dosięgnął go strzał Kassada. Pułkownik umieścił zwłoki w części transportowej, po czym sam zasiadł w fotelu.

Przez umieszczone tuż nad nim okno wlewały się do środka ciepłe promienie słońca. Monitory i holoprojektory pokazywały obrazy z kamer stacjonarnych zainstalowanych na dziobie i rufie, a także przenośnych, rejestrujących przebieg

operacji przeczesywania wraku. Na jednym z nich Kassad dostrzegł nagie ciało unoszące się w sali operacyjnej nr 3 oraz kilka postaci w skafandrach, walczących z zaprogramowanymi laserami chirurgicznymi.

Bohaterowie holofilmów, które oglądał w dzieciństwie, nigdy nie mieli kłopotów z obsługą śmigaczy, statków kosmicznych i w ogóle wszelkich, nawet najdziwniejszych pojazdów. Kassad odbył przeszkolenie na lądowych transporterach, czołgach i samobieżnych wyrzutniach pocisków plazmowych, a w razie nagłej potrzeby dałby sobie radę nawet z pilotowaniem niewielkiej jednostki desantowej lub transportowca. Gdyby - zakładając, że coś takiego w ogóle jest możliwe - znalazł się zupełnie sam na pokładzie okrętu bojowego Armii/kosmos, który wymknął się spod kontroli, z pewnością udałoby mu się porozumieć z głównym komputerem lub nadać sygnał alarmowy przez radio albo komunikator. Jednak teraz, siedząc w fotelu pilota na statku Intruzów, nie miał najmniejszego pojęcia, od czego zacząć.

To znaczy, niezupełnie. Bez trudu rozpoznał urządzenia służące do zdalnego sterowania zewnętrznymi wysięgnikami, a gdyby miał jeszcze jakieś dwie lub trzy godziny, z pewnością domyśliłby się przeznaczenia wielu innych przyrządów. Problem polegał na tym, że nie miał tyle czasu. Kamera dziobowa pokazała trzy sylwetki, które odłączyły się od wraku i poszybowały w kierunku kałamarnicy, nad konsolą komunikatora zaś pojawił się holowizyjny obraz głowy dowódcy Intruzów. W słuchawkach Kassada rozbrzmiały wściekłe wrzaski.

Przed oczami gromadziły mu się kropelki potu, które następnie odrywały się od skóry i wędrowały po wnętrzu hełmu, najchętniej gromadząc się przy szybie wizjera. Odgonił je najlepiej, jak mógł, po czym wpatrzył się z napięciem w przyrządy sterownicze statku. Jeżeli reagowały na głos albo miały wbudowane jakieś specjalne zabezpieczenia, wtedy nic już mu nie pomoże. Pomyślał o tym na sekundę przed zastrzeleniem pilota, ale był pozbawiony możliwości manewru, gdyż nie istniał żaden sposób, w jaki mógłby zmusić Intruza do posłuszeństwa. Zrobiłem to, co należało, pomyślał Kassad, i dotknął kilku wyglądających najbardziej obiecująco przycisków.

Silnik ożył, a kałamarnica zaczęła szarpać się jak ryba na uwięzi, miotając we wszystkie strony przypiętym do fotela Kassadem.

- Cholera! - zaklął pułkownik. Był to jego pierwsze wypowiedziane na głos słowo, od chwili kiedy zapytał kobietę w lekarskim uniformie, gdzie znajduje się statek. Z najwyższym trudem dosięgnął urządzeń sterujących manipulatorami, które przytrzymały jednostkę Intruzów przy wraku. Udało mu się zwolnić cztery z sześciu

uchwytów; piąte ramię złamało się w połowie długości, szóste natomiast oderwało fragment kadłuba "Merricka".

Kałamarnica poszybowała w przestrzeń. Kamery pokazały, jak dwie postaci w skafandrach mijają statek w sporej odległości, trzecia zaś w ostatniej chwili złapała tę samą antenę, która wcześniej ocaliła Kassada. Pułkownik zorientował się już mniej więcej w usytuowaniu najważniejszych instrumentów sterujących lotem, więc w pośpiechu zaczął dotykać kolejnych przycisków. Nad jego głową zapłonęło silne światło, holowizyjne połączenie z dowódcą dużego statku zostało przerwane, Łódź wykonała gwałtowny manewr stanowiący połączenie skrętu, obrotu i pętli. Siła odśrodkowa była tak wielka, że uczepiony anteny Intruz oderwał się jak dojrzały owoc i poleciał w pustkę, ostrzeliwując zawzięcie kałamarnicę.

Łódź kontynuowała karkołomne ewolucje, a Kassad walczył o to, by nie stracić przytomności. Migwały niezliczone lampki alarmowe, a wtórowały im brzęczyki, syreny i podawane głosem informacje. Pułkownik wdusił kilka przycisków, uznał, że osiągnął sukces i odprężył się w fotelu, tylko po to jednak, aby zaraz potem poczuć, jak jakieś potworne siły usiłują rozerwać go na dwie części, ciągnąc w przeciwnie strony.

Obraz, który pojawił się na krótko na jednym z monitorów, upewnił go, że oddala się od bojowego okrętu Intruzów. To dobrze. Nie ulegało wątpliwości, że tamci mogli zniszczyć go w każdej chwili, i z pewnością uczyniliby to, gdyby skierował się w ich stronę. Kassad nie wiedział, czy Łódź abordażowa ma jakieś uzbrojenie - osobiście mocno wątpił, by na jej pokładzie znajdowało się cokolwiek poza bronią osobistą załogi - ale doskonale zdawał sobie sprawę, iż żaden dowódca okrętu nie pozwoliłby zbliżyć się jednostce, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wymknęła się spod kontroli. Poza tym należało się spodziewać, że Intruzi wiedzą już o tym, iż kałamarnica została uprowadzona przez nieprzyjaciela. Pułkownik wcale nie byłby zdziwiony - to znaczy, byłby zawiedziony, ale nie zaskoczony - gdyby lada sekunda przestał istnieć, tymczasem jednak liczył na to, że nieprzyjaciel okaże się zainfekowany dwiema typowo ludzki cechami: ciekawością oraz pragnieniem zemsty.

Stres, o czym doskonale wiedział, mógł okazać się silniejszy od ciekawości, lecz w paramilitarnej, półfeudalnej kulturze Intruzów chęć zemsty powinna odgrywać niebagatelną rolę. Pułkownik Fedmahn Kassad nie mógł już im w żaden sposób zaszkodzić, a w dodatku miał zerowe szanse na ucieczkę, w związku z czym wydawał się wprost idealnym kandydatem do zajęcia miejsca na stole sekcyjnym, a później na metalowym rusztowaniu, gdzie mógłby być do woli przesłuchiwany.

Miał nadzieję, że wróg myśli właśnie w ten sposób.

Spojrzał na czołowe ekrany, zmarszczył brwi, po czym rozluźnił pasy na tyle, aby popatrzeć w okienko nad głową. Kałamarnica nadal wyczyniała przedziwne łamańce, ale znacznie wolniej niż do tej pory. Planeta z kolei była dużo bliżej - jedna półkula wypełniała całkowicie okienko obserwacyjne - lecz nie miał pojęcia, jaka odległość dzieli go jeszcze od atmosfery. Wskazania przyrządów kontrolnych niewiele mu mówiły. Mógł jedynie domyślać się, jaką osiągnął prędkość po oderwaniu się od wraku i z jaką szybkością wtargnie w atmosferę planety. Znajdując się jeszcze w stercie poszarpanego metalu, która niedawno była statkiem szpitalnym "Merrick", oszacował, że trafienie nastąpiło w chwili, kiedy jednostka weszła na parkingową orbitę wokół planety, skąd następnie miała wysłać lądowniki. Zazwyczaj czyniono to od pięciuset do sześciuset kilometrów nad powierzchnią.

Kassad chciał otrzeć pot z twarzy, ale wielka rękawica zatrzymała się na wizjerze hełmu. Zupełnie zapomniał, że ma go na głowie. Był bardzo zmęczony. Do licha, przecież zaledwie kilka godzin temu znajdował się w hibernacji, a jeszcze parę tygodni wcześniej był martwy jak trup!

Ciekawe, czy ta zielono-lazurowa planeta to Hyperion, czy Ogród. Z tego, co pułkownikowi obilo się o uszy, wynikało, że Ogród jest znacznie gęściej zaludniony i już wkrótce ma otrzymać status kolonii. Wypadało więc mieć nadzieję, że to właśnie Ogród.

Od okrętu Intruzów odłączyły się trzy kolejne łodzie abordażowe. Kassad przez chwilę widział je bardzo dokładnie, a potem znalazły się poza zasięgiem rufowej kamery. Postukał w przyciski sterujące ciągiem silnika, a kiedy odniósł wrażenie, że łódź podąża nieco szybciej ku rosnącej z minuty na minutę planecie, opadł na fotel i już tylko czekał.

Nie miał nic innego do roboty.

Kałamarnica weszła w atmosferę, zanim dogoniły ją trzy łodzie abordażowe. Jednostki pościgowe z pewnością były uzbrojone, ale tego, kto kierował ich poczynaniami, musiała drażnić niesłychana ciekawość. Albo rozpierała go niesłychana wściekłość.

Kałamarnica z całą pewnością nie miała aerodynamicznego kształtu. Jak większość jednostek służących do przemieszczania się między większymi statkami, znajdującymi się w próżni, mogła co prawda od czasu do czasu zahaczyć o atmosferę,

ale byłaby skazana na zagładę, jeśliby wpadła zbyt głęboko w studnię grawitacyjną. W kabinie zrobiło się czerwono od światełek alarmowych, ze słuchawek zaczął dobiegać jednostajny szum zakłóceń, a Kassad pomyślał markotnie, że chyba jednak nie wybrał najrozsądniejszego rozwiązania.

W najwyższej warstwie atmosfery łódź nieco ustabilizowała lot. Kassad gorączkowo poszukiwał urządzeń sterujących, obserwując jednocześnie kątem oka wypełniony zakłóceniami ekran, na którym jedna ze ścigających jednostek włączyła nagle silniki hamujące. Efekt był taki sam jak podczas skoków spadochronowych, kiedy jeden skoczek obserwuje drugiego, który wcześniej szarpnął za sznurek; pułkownik odniósł wrażenie, że łódź Intruzów gwałtownie wzbija się w górę.

Jednak Kassad miał w tej chwili inne zmartwienia - przede wszystkim nadal nie wiedział, gdzie są układy sterujące lotem w atmosferze i nie mógł znaleźć włączników silników hamujących. Każda jednostka Armii/kosmos była wyposażona w takie urządzenia, może nie tyle z jakiejś realnej potrzeby, co w związku z tradycją sięgającą niemal osiemset lat wstecz; w tamtych czasach podróże kosmiczne były raczej krótkimi wycieczkami tuż nad atmosferę. Prawdopodobieństwo, że któryś z używanych obecnie pojazdów kosmicznych będzie musiał kiedykolwiek lądować na powierzchni planety, równało się niemal zeru, ale zadawnione lęki nie dają się łatwo wykorzenić - zwłaszcza jeśli wpisano je w nie nowelizowane od wielu dziesięcioleci regulaminy.

Tak przynajmniej głosiła teoria, co jednak w niczym nie zmieniało faktu, że mały stateczek koziółkował i szarpał jak szalony, jednocześnie rozgrzewając się coraz bardziej. Kassad odpiął pasy i częściowo popęzł, a częściowo poleciał na tył kałamarnicy, nie bardzo wiedząc, czego właściwie tam szuka. Przyczepnych silników? Spadochronu? Skrzydeł?

W części przeznaczony dla żołnierzy znajdowało się jednak tylko ciało pilota oraz kilka niedużych szafek. Pułkownik przekopał się błyskawicznie przez ich zawartość, ale bez rezultatu.

Trzymając się oburącz metalowego uchwytu słyszał wyraźnie, jak kadłub kałamarnicy zaczyna się powoli rozpadać. Należało pogodzić się z faktem, że Intruzi nie uznali za stosowne tracić czasu i pieniędzy na wyposażanie swoich łodzi abordażowych w skomplikowane urządzenia, które najprawdopodobniej i tak nigdy nie zostałyby użyte. I słusznie. Niemal całe życie spędzali przecież w czarnej międzygwiazdnej pustce. Ze słuchawek Kassada zaczął dobiegać przeraźliwy wizg

powietrza uciekającego na zewnątrz przez szybko poszerzające się pęknięcia w tylnej części kadłuba. Kassad wzruszył ramionami. Cóż, zaryzykował o jeden raz za dużo.

Łódź zatrzęsała się gwałtownie, rozległ się donośny huk i manipulatory oderwały się od kadłuba. Zwłoki pilota zostały nagle wysysane jak mrówka, która nieopatrznie znalazła się w pobliżu rury odkurzacza. Kassad przywarł kurczowo do uchwyty, z braku lepszego zajęcia wpatrując się przez całą długość stateczku w przyrządy sterownicze w kabinie pilotów. Dopiero teraz zauważył, że w gruncie rzeczy są zachwycająco archaiczne, jakby przeniesione z któregoś z pierwszych pojazdów kosmicznych. Kadłub rozpadał się coraz szybciej, a jego fragmenty przelatowały za okienkami obserwacyjnymi niby rozżarzone kęsy lawy. Kassad zamknął oczy, usiłując przypomnieć sobie fragmenty wykładów ze Szkoły Dowodzenia, podczas których zaznajamiano kadetów z konstrukcją zabytkowych jednostek. Kałamarnica zaczęła wirować wokół własnej osi. Hałas stał się nie do wytrzymania.

- Na Allacha! - wykrzyknął nagle Kassad (po raz pierwszy od dzieciństwa) i począł co sił w nogach i rękach pełznąć w kierunku kokpitu. Chwilami odnosił wrażenie, że wspina się po pionowej ścianie. W niedługi czas potem rzeczywiście wspinał się po pionowej ścianie, gdyż statek ustabilizował lot i pędził rufą w dół na spotkanie planety. Pułkownik walczył z trzykrotnym przeciążeniem, zdając sobie sprawę, że najmniejszy błąd oznacza upadek i połamanie wszystkich kości. Ryk dartego powietrza był tak potężny, że Kassad prawie nie słyszał własnych myśli. Część ładunkowa płonęła za jego plecami.

Wspinając się na fotel miał wrażenie, jakby pokonywał nawis skalny z co najmniej dwoma ludźmi na ramionach. Za duże rękawice wcale nie ułatwiały mu zadania. W pewnej chwili zawisł na rękach nad wypełnioną ogniem przepaścią, ale wtedy statek nagle przekoziółkował i pułkownik został dosłownie wtłoczony w fotel pilota. Wszystkie ekrany były martwe. Okienko obserwacyjne żarzyło się upiorną czerwienią. Kassad z najwyższym trudem pochylił się do przodu, o mało nie stracił przytomności, a kiedy jako tako przyszedł do siebie, zaczął macać na oślep pod fotelem. Nic. Chociaż... Jakiś uchwyt? Tak, słodki Jezu i Allachu! Zupełnie jak w starych książkach!

Zaczął się ostateczny rozpad statku. Okienko roztopiło się, zachlapując wnętrze kabiny oraz skafander i hełm Kassada kroplami gęstej, płomieniście czerwonej cieczy. Śmierdział rozgrzany plastik. Kałamarnica wykonała kilka raptownych podskoków, Kassad rozpaczliwie ściągnął pasy, najmocniej jak mógł, tak że niemal wdusiły go w

fotel, po czym sięgnął w dół, ku uchwyтови... za daleko... jest... pociągnij!

Za późno. Z ogłuszającym hukiem kałamarnica rozpadła się na tysiące części. Kassad poczuł straszliwie silne szarpnięcie i poszybował gdzieś w górę, w samo serce płomieni.

Dopiero sekundę lub dwie później uświadomił sobie, że otacza go generowane przez fotel pole siłowe. Ogień zatrzymywał się kilka centymetrów od jego twarzy.

Wystrzeliły mikroładunki wybuchowe, odrywając fotel wraz z przypiętym do niego pilotem od płonącego wraku, pole siłowe odgrodziło Kassada od nacierającego od dołu powietrza, a na piersi usiadł mu niewidzialny, lecz niesamowicie ciężki olbrzym, by razem z nim odbyć liczącą niemal osiem tysięcy kilometrów podróż.

Kassad zdołał otworzyć oczy tylko jeden, jedyny raz. Przekonał się, że leży zwinięty w kłębek, ciągnąc za sobą ognisty, kilkunastokilometrowy ogon, po czym z ulgą opuścił powieki. Nie dostrzegł ani śladu spadochronu albo czegoś, co mogłoby pełnić jego rolę, ale to nie miało żadnego znaczenia. I tak nie byłby w stanie wyciągnąć ręki czy choćby poruszyć palcem.

Olbrzym wyraźnie przybrał na wadze.

Pułkownik podejrzewał, że część jego hełmu uległa chyba stopieniu albo została uszkodzona w jakiś inny sposób, gdyż ryk powietrza był nie do opisania. To także nie miało żadnego znaczenia.

Zacisnął mocniej powieki. Znakomita okazja, żeby uciąć sobie drzemkę.

Otworzywszy oczy ujrzał pochyloną nad sobą kobietę. Przez chwilę myślał, że to ona, a zaraz potem przekonał się, że tak jest w istocie. Dotknęła chłodnymi palcami jego policzka.

- Czy ja nie żyję? - szepnął Kassad.

- Nie.

Miała ciepły, niski głos i mówiła z leciutkim akcentem, którego jednak w tej chwili nie mógł umiejscowić. Słyszał ją po raz pierwszy.

- Ty... jesteś naprawdę?

- Tak.

Kassad westchnął i rozejrzał się dokoła. Był nagi, leżał pod cienkim przykryciem pośrodku obszernego, pogrążonego w półmroku pomieszczenia. W górze, przez dziury w częściowo zniszczonym dachu, świeciły gwiazdy. Podniósł rękę, żeby dotknąć ramienia kobiety. Jej włosy tworzyły nad nim gęsty, czarny obłok. Miała

na sobie luźny strój z cienkiego materiału; nawet w słabym blasku gwiazd widział zarys ciała. Poczul jej zapach - mieszankę delikatnej woni mydła i skóry, którą tak dobrze pamiętał z poprzednich spotkań.

- Na pewno chcesz mi zadać wiele pytań - szepnęła, kiedy Kassad rozpiął złotą klamrę, która spinała jej szatę. Cienki materiał bezszelestnie spłynął na podłogę. Kobieta nie miała nic pod spodem. W górze widać było wyraźnie wstęgę Drogi Mlecznej.

- Wcale nie - odparł Kassad i przyciągnął ją do siebie.

Nad ranem zerwał się wiatr, ale Kassad naciągnął na nich cienkie przykrycie, które wykonano chyba z jakiegoś bardzo trudno przewodzącego ciepło materiału, gdyż mimo że zupełnie nadzy, w najmniejszym stopniu nie odczuwali chłodu.

Obudzili się po raz drugi o świcie, leżąc przytuleni ciasno do siebie, z twarzą przy twarzy. Przesunęła ręką po boku Kassada, odnajdując stare i nowe blizny.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Ciii... - szepnęła i sięgnęła niżej.

Kassad przywarł twarzą do łuku jej szyi, czując miękki dotyk piersi. Wstawał dzień. Gdzieś niedaleko piasek albo śnieg uderzał o ściany.

Kochali się, spali, potem znowu się kochali. Wstali i ubrali się dopiero wtedy, kiedy zrobiło się zupełnie jasno. Przygotowała dla niego bieliznę, szarą kurtkę i spodnie. Pasowały jak ulał, podobnie jak skarpety i buty. Kobieta włożyła podobny strój, tyle tylko że ciemnogrnatowy.

- Jak się nazywasz? - powtórzył, kiedy wyszli z budynku o zrujnowanym dachu i ruszyli przez martwe miasto.

- Moneta - odparł jego sen. - Albo Mnemozyna, jeśli wolisz.

- Moneta... - szepnął Kassad, po czym spojrzął na małe słońce wspinające się po lazurowym niebie. - Jesteśmy na Hyperionie?

- Tak.

- W jaki sposób wylądowałem? Wzmocnione pole siłowe? Spadochron?

- Opadałeś pod przykryciem ze złotego liścia.

- Nic mnie nie boli. Nie byłem ranny?

- Twoje rany zostały opatrzone.

- Co to za miejsce?

- Miasto Poetów, opuszczone ponad sto lat temu. Za tym wzgórzem wznoszą się Grobowce Czasu.

- A co z Intruzami?

- Jeden z ich statków wylądował w pobliżu. Władca Bólu przyjął do siebie całą załogę. Pozostałe dwa wylądowały nieco dalej.

- Kto to jest Władca Bólu?

- Chodź - odparła Moneta.

Martwe miasto graniczyło z pustynią. Miedzy ścianami i kolumnami z białego marmuru przesypywały się drobniutkie ziarenka piasku. Na zachód od zabudowań stał statek Intruzów z szeroko otwartymi włazami. W pobliżu, na zwalonej kolumnie, czekał na nich termodzbanek z gorącą kawą i świeże bułeczki. Jedli i pili w milczeniu.

Kassad starał się przypomnieć sobie legendy dotyczące Hyperiona.

- Władca Bólu to Chyżwar - powiedział wreszcie.

- Oczywiście.

- A ty jesteś z... z Miasta Poetów?

Moneta uśmiechnęła się i powoli pokręciła głową.

Kassad odstawił pustą filiżankę. Nadal nie mógł uwolnić się od wrażenia, że to wszystko tylko sen, jeszcze mniej realny od symulacji, w których wielokrotnie uczestniczył. Jednak kawa była gorąca i przyjemnie gorzkawa, a słońce grzało jego rękę i twarz...

- Chodź ze mną - powiedziała Moneta.

Ruszyli przez połacie piasku. Początkowo Kassad wciąż zerkał z niepokojem w górę, gdyż wiedział, że krążący wokół planety okręt Intruzów może w każdej chwili otworzyć ogień, ale potem nie wiadomo czemu nagle nabrał przekonania, że nic takiego się nie zdarzy.

Grobowce Czasu leżały w dolinie. Niewysoki Obelisk lśnił słabym blaskiem. Kamienny Sfinks zdawał się pochłaniać światło. Skomplikowana budowla z poskręcanych kolumn rzucała cień na samą siebie. Inne grobowce stanowiły jedynie czarne sylwetki rysujące się wyraźnie na tle wschodzącego słońca. W każdym znajdowały się szeroko otwarte drzwi. Kassad wiedział, że drzwi były otwarte już wtedy, kiedy do grobowców dotarli pierwsi badacze, i że we wnętrzu budowli niczego nie znaleziono. Trwające od ponad trzech stuleci poszukiwania ukrytych pomieszczeń, komór i przejść nie przyniosły żadnych rezultatów.

- Dalej nie wolno ci iść - odezwała się Moneta, kiedy stanęli u wejścia do

doliny. - Prądy czasu są dzisiaj wyjątkowo silne.

Wszczepiony komlog Kassada milczał. Pułkownik gorączkowo szukał w pamięci.

- Grobowce Czasu znajdują się we wnętrzu antyentropicznych pól siłowych - przypomniał sobie wreszcie.

- Owszem.

- Same grobowce są bardzo stare, ale dzięki temu już się nie starzeją.

- Nieprawda - odparła Moneta. - Dzięki antyentropicznym polom siłowym poruszają się pod prąd czasu.

- Pod prąd czasu... - powtórzył Kassad z niezbyt mądrą miną.

- Patrz.

W nagłym zawirowaniu brudnożółtego piasku pojawiło się gigantyczne drzewo o stalowych kolcach; jego kontury wydawały się lekko zamazane, jakby między nim a Kassadem znajdowała się zasłona z rozgrzanego powietrza. Wydawało się wypełniać całą dolinę; miało co najmniej dwieście metrów wysokości, a jego gałęzie przesuwwały się, nikły niespodziewanie i pojawiały się na nowo jak fragmenty wadliwie zestrojonego hologramu. Pięciometrowe kolce lśniły w promieniach słońca. Na kilku z nich widać było nagie ciała Intruzów, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Na innych gałęziach i kolcach widać było inne ciała, nie wszystkie ludzkie.

Piasek znowu poderwał się z ziemi, a kiedy nagle zawirowanie powietrza ustało, dolina była już pusta.

- Chodź - nakazała Moneta Kassadowi.

Ruszył za nią skrajem prądów czasu, omijając ruchome krawędzie pól siłowych w taki sam sposób, w jaki dzieci omijają fale kończące swój bieg na szerokiej, oceanicznej plaży. Czuł wyraźnie, jak prądy czasu szarpią komórkami jego ciała.

Tuż za wejściem do doliny, w miejscu gdzie wzgórze ustępuje miejsca płaskiemu, porośniętemu rzadką trawą terenowi, który ciągnie się aż do Miasta Poetów, Moneta dotknęła ściany z sinego łupku; pojawiło się wejście prowadzące do długiego, niskiego pomieszczenia.

- Tutaj mieszkaś? - zapytał Kassad, ale w chwilę potem zorientował się, że nie jest to pokój mieszkalny. W ścianach znajdowały się półki i płytkie nisze.

- Musimy się przygotować - szepnęła Moneta. Światło zabarwiło się złocistym odcieniem, jedna z półek obniżyła się, a z sufitu zjechało szerokie polimerowe lustro.

Kassad obserwował z chłodnym dystansem kogoś, kto wie, że uczestniczy we

własnym śnie, jak Moneta zrzuca ubranie, a potem pomaga mu uczynić to samo. Nagość nie miała już nic wspólnego z erotyzmem; stanowiła część jakiegoś ceremoniału.

- Śniłem o tobie od lat - powiedział.

- Wiem. Dla ciebie to przeszłość, dla mnie przyszłość. Fala uderzeniowa zdarzeń biegnie przez czas jak fale po powierzchni wody.

Wzięła z półki złoty pręt i dotknęła jego piersi. Kassad zamrugał raptownie. Poczul lekki wstrząs, a kiedy spojrzal w lustro, przekonał się, że jego ciało także nabrało zwierciadlanych właściwości, a głowa zamieniła się w bezkształtny jajowaty twór, w którym odbijały się zdeformowane barwy i kształty. Sekundę później Moneta uczyniła to samo ze swoim ciałem, nadając mu wygląd uformowanej w kształcie ludzkiej sylwetki kropli rtęci. Kassad widział swoje wynaturzone odbicie w każdym kawałeczku, w każdym mięśniu i wypukłości. Jej piersi cudownie załamywały światło, a sutki przypominały maleńkie kręgi na powierzchni lustrzanego stawu. Kassad objął ją mocno, czując, jak srebrzyste powłoki łączą się niczym ciecz, jakimś cudem wykazująca właściwości magnetyczne. Zaraz potem zetknęły się ciała.

- Za miastem czekają twoi wrogowie - szepnęła, kierując ku niemu twarz rozedrganą blaskiem żywego światła.

- Wrogowie?

- Intruzi. Ci, którzy cię ścigali.

Kassad potrząsnął głową. Jego zniekształcone odbicie uczyniło to samo.

- To już nieważne.

- Przeciwnie - szepnęła Moneta. - Wróg zawsze jest ważny. Musisz się uzbroić.

- W co?

Dotknęła go matowobrazowym toroidem. Natychmiast poczul, że krew zaczyna mu żywiej krążyć w żyłach, a ciało nabiera niezwyklej mocy.

- Chodź.

Moneta znowu poprowadziła go przez pustynię. Promienie słońca zdawały się mieć niemal fizyczny ciężar. Kassad odczuwał wrażenie, że on i Moneta suną wśród wydm jak duchy, a potem płyną ulicami marmurowego miasta, jakby ich ciała zamieniły się w wielkie krople gęstej, oleistej cieczy. W pobliżu zachodniego krańca miasta, niedaleko strzaskanych ruin Amfiteatru Poetów, coś na nich czekało.

Kassadowi wydawało się przez chwilę, że jest to człowiek w takim samym lśniąącym polu siłowym jak to, w jakie byli spowici on i Moneta, ale szybko przekonał

się, że nie ma racji. W tamtej postaci nie było nic ludzkiego. Kassad niczym w sennym zamroczeniu spoglądał na czworo ramion, palce zakończone ostrymi jak skalpele ostrzami, metalowe kolce sterczące z piersi, szyi, kolan i łokci, a przede wszystkim na wielościennie oczy płonące czerwienią tak intensywną, że słońce traciło przy nich połowę blasku, a dzień wydawał się składać głównie z cieni.

Chyżwar, pomyślał pułkownik Kassad.

- Władca Bólu... - szepnęła Moneta.

Stwór odwrócił się i wyprowadził ich z martwego miasta.

Kassadowi podobał się sposób, w jaki Intruzi przygotowali się do odparcia ataku. Dwie jednostki abordażowe stały w odległości około pół kilometra od siebie w taki sposób, że chroniły się nawzajem, mogąc jednocześnie prowadzić ostrzał w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni. Żołnierze byli właśnie zajęci kopaniem stanowisk ogniowych w odległości jakichś stu metrów od statków. Ochronę zapewniały im dwa czołgi z silnikami EM. Kassad stwierdził, że coś dziwnego stało się z jego wzrokiem: dostrzegał nachodzące na siebie pola siłowe statków jako bąble żółtawej poświaty, a porzrzucone na przedpolu czujniki i miny przeciwpiechotne jako plamy intensywnej, pulsującej czerwieni.

Zamrugął kilkakrotnie i niewiele brakowało, żeby przetarł oczy. Coś tu było nie tak. Dopiero po chwili zrozumiał, co takiego: nie tylko widział wszystko nieco inaczej niż do tej pory, ale to, co widział, w ogóle się nie poruszało. Intruzi, nawet ci pochłonięci pracą, byli równie nieruchomi jak plastikowe żołnierzyki, którymi bawił się w slumsach Tharsis. Co prawda czołgi zajęły stanowiska za usypanymi naprędce skarpami, ale ich radary - Kassad dostrzegał je jako fioletowe, pulsujące łuki - nie obracały się. Spojrzawszy w górę, zobaczył jakiegoś wielkiego ptaka, wiszącego na lazurowym niebie z szeroko rozpostartymi skrzydłami, w chwilę potem zaś minął kłęb drobnego piasku, poderwanego z ziemi gwałtownym podmuchem wiatru.

Chyżwar jakby nigdy nic kroczył między minami, przecinał błękitne kreski laserowych pułapek, by wreszcie przeniknąć przez żółtawą ścianę pola siłowego i znaleźć się w cieniu pierwszego statku. Moneta i Kassad podążali za nim.

- Jak to możliwe?

Pułkownik uświadomił sobie, że zadał to pytanie za pomocą jakiegoś zmysłu może nieco mniej wyrafinowanego od telepatii, którego działanie jednak znacznie przewyższało to, co dawało się osiągnąć dzięki implantom mózgowym.

- *On ma władzę nad czasem.*

- *Władca Bólu?*

- *Oczywiście.*

- *A co my tutaj robimy?*

Moneta wskazała na nieruchomych Intruzów.

- *To twoi wrogowie.*

Kassad poczuł, że wreszcie budzi się z długiego snu. To wszystko działo się naprawdę. Oczy Intruza wpatrujące się w przestrzeń bez drgnięcia powieki były prawdziwe. Łódź abordażowa Intruzów, wznosząca się po lewej stronie niczym jakiś metalowy pomnik, była prawdziwa.

Fedmahn Kassad uświadomił sobie, że może zabić ich wszystkich - żołnierzy, załogę - a oni nie będą w stanie mu przeszkodzić. Wiedział, że czas nie zatrzymał się w miejscu (tak samo jak nie zatrzymywał się w miejscu po włączeniu napędu Hawkinga), tylko zaczął biec z inną prędkością. Ptak zawieszony w powietrzu nad jego głową z pewnością wykona następne uderzenie skrzydłami, tyle tylko że będzie na to potrzebował kilku minut, a może nawet godzin. Stojący przed nim Intruz mrugnie wreszcie powiekami, jeżeli on, Kassad, wykaże tyle cierpliwości, żeby na to poczekać. Tymczasem we trójkę mogą wymordować wszystkich nieprzyjaciół, którzy nawet nie zauważą, że ktoś ich zaatakował.

To nie fair, pomyślał Kassad. To nie w porządku. To ostateczne pogwałcenie Nowego Bushido, chyba nawet gorsze od mordowania cywilów. Honor istnieje tylko tam, gdzie równi sobie przeciwnicy ścierają się w otwartej walce. Chciał to przekazać Monecie, ale ona właśnie w tej chwili powiedziała, czy raczej pomyślała:

- *Patrz.*

Czas ożył, a towarzyszyła temu jakby eksplozja połączona z odgłosem, jaki wydaje powietrze przedostające się gwałtownie do śluzy. Ptak zaczął zataczać szerokie kręgi na niebie. Pustynny wiatr sypnął piaskiem na bąblastą powierzchnię pola siłowego. Intruz wyprostował się, zobaczył Chyżwara i dwoje ludzi, krzyknął coś i podniósł broń.

Chyżwar nie poruszył się; Kassad odniósł wrażenie, iż po prostu przestał być tu, a pojawił się tam. Żołnierz krzyknął jeszcze raz, ale znacznie głośniej, wybałuszyl ze zdumieniem oczy na stalową rękę Chyżwara, w której drgało jeszcze jego serce, po czym zrobił krok naprzód, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, i runął twarzą na ziemię.

Spojrząwszy w prawo, Kassad ujrzał tuż przed sobą innego Intruza. Komandos podniósł broń, a pułkownik w tej samej chwili wykonał gwałtowny ruch ramieniem, usłyszał szum pola siłowego i zobaczył, jak jego ręka przebija pancerz, hełm i kark przeciwnika. Głowa Intruza potoczyła się po pustynnym piasku.

Kassad wskoczył do płytkiego okopu. Kilku żołnierzy zaczęło odwracać się w jego stronę. Czas jednak nie wrócił zupełnie do normy: wróg poruszał się jak na zwolnionym filmie, na kilka sekund odzyskiwał zdolność działania w normalnym tempie, by zaraz potem niemal zupełnie znieruchomieć. Kassad zawsze był od niego wielokrotnie szybszy. Zapomniał już o Nowym Bushido; przecież to ci sami barbarzyńcy, którzy chcieli go zabić! Złamał kark jednemu, cofnął się o krok, przebił płuca drugiemu, trzeciemu zmiażdżył krtań, uchylił się przed płynącym w jego stronę nożem i jednym kopnięciem zgruchotał kręgosłup ostatniemu przeciwnikowi. Potem wyskoczył z okopu.

- *Kassad!*

Schylił się odruchowo i rubinowy promień lasera przesunął się kilka centymetrów nad jego głową, torując sobie drogę przez powietrze jakby to był ołów. *Niemożliwe! Uchyliłem się przed strzałem z lasera!* Podniósł z ziemi kamień i cisnął go w stronę Intruza obsługującego bicz boży zainstalowany na czołgowej wieżyczce. Rozległ się huk gromu dźwiękowego, a strzelec po prostu rozprysnął się na kawałki. Pułkownik oderwał plazmowy granat od pasa jednego z trupów, wyszarpnął zawleczkę, doskoczył do czołgu, wrzucił granat do środka i zdążył oddalić się na trzydzieści metrów, zanim nastąpiła eksplozja. Płomień sięgnął niemal do dziobu statku Intruzów.

Kassad zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na Monetę, która siała zniszczenie we własnym kręgu śmierci. Krew bryzgała na nią strumieniami, spływając natychmiast po lśniących krzywiznach ramion, piersi i brzucha. Ona także spojrzała w jego kierunku i pułkownik poczuł, jak żądza krwi ogarnia go ze zdwojoną siłą.

Chyżwar sunął powoli przez pole bitwy, wybierając ofiary niczym wytrawny żniwiarz. Od czasu do czasu znikał nagle, by w tym samym ułamku sekundy pojawić się w innym miejscu. Kassad przypuszczał, że Władcy Bólu on i Moneta muszą wydawać się równie powolni, jak im wydają się Intruzi.

Czas znowu gwałtownie ruszył naprzód. Ci żołnierze, którzy zostali jeszcze przy życiu, wpadli w panikę i strzelając na oślep, popędzili w stronę statków. Kassad spróbował sobie wyobrazić, co widzieli przez minione dwie minuty: jakieś zamazane

cienie przemykające między stanowiskami obronnymi, kolegów rozszarpywanych czyimiś niewidzialnymi rękami. Ku swemu zdziwieniu przekonał się, że do pewnego stopnia może sterować upływem czasu; jedno mrugnięcie, i przeciwnicy zamierali w niemal zupełnym bezruchu, drugie, i zaczynali funkcjonować z niemal normalną prędkością. Poczucie rozsądku i honoru przemawiało za tym, aby zaprzestać rzezi, lecz niemal seksualna żądza krwi kazała zapomnieć o wszelkich skrupułach.

Ktoś z załogi statku zamknął służę, więc jeden z przerażonych komandosów użył ładunku plazmowego, aby utorować sobie drogę. Tłum napierał, deptając rannych, którzy osunęli się na ziemię. Kassad podążył za ogarniętymi paniką Intruzami.

W wyrażeniu "walczyć jak osaczony szczur" jest dużo prawdy. Licząca sobie wiele tysięcy historia konfliktów zbrojnych wielokrotnie dowodziła, że ludzie biją się najbardziej zaciekle wtedy, kiedy znajdują się w ciasnej przestrzeni, skąd nie ma drogi ucieczki. Pod Waterloo i w tunelach kopców na Lusucie toczono najstraszliwsze boje w dziejach ludzkości - twarzą w twarz, piersią w pierś, bez szans na odwrót. Tym razem było tak samo. Intruzi walczyli - i ginęli - jak osaczone szczury.

Chyżwar unieszkodliwił systemy obronne statku. Moneta pozostała na zewnątrz, by rozprawić się z kilkunastoma komandosami, którzy nie opuścili stanowisk, natomiast Kassad wszedł do środka.

Wreszcie jedna łódź Intruzów otworzyła ogień do bliźniaczej, skazanej na zagładę jednostki. Kassad stał już wtedy na pustynnym piasku i obserwował, jak promienie laserów pełzną powoli w jego stronę, za nimi zaś - tak powoli, że na każdym z nich zdążyłby napisać swoje imię - szybują pociski. Wszyscy nieprzyjaciele byli już martwi, ale pole siłowe jeszcze działało. Odbita energia promieni i wybuchów spopieliła ciała i stopiła piasek, a w chwilę potem ocalała łódź zaczęła wspinać się ku niebu na kolumnie ognia. Kassad i Moneta przyglądali się temu z oazy spokoju wśród morza płomieni.

- *Czy możemy ich zatrzymać?* - zapytał Kassad. Pot lał się z niego strumieniami, ale dzięki podniecenie nie osłabło ani trochę.

- *Moglibyśmy* - odparła Moneta - *ale nie chcemy tego robić. Oni zainoszą wiadomość do roju.*

- *Jaką wiadomość?*

- Chodź tu, Kassad.

Odwrócił się gwałtownie na dźwięk jej głosu. Lśniące pole siłowe zniknęło.

Ciało kobiety było mokre od potu; kosmyki wilgotnych włosów przywarły do czoła, sutki stwardniały i nabrzmiały.

- Chodź tu.

Pułkownik spojrział w dół, na swoje ciało. On także nie miał już na sobie ochronnego pola i był tak podniecony jak jeszcze nigdy w życiu.

- Chodź tu... - powtórzyła szeptem Moneta.

Kassad podszedł, położył ręce na gładkich, śliskich pośladkach, podniósł ją, zaniósł na splechetek rzadkiej trawy na szczycie wygładzonego przez wiatr pagórka, położył na ziemi wśród stert martwych ciał, brutalnie rozwarł jej uda, chwycił jedną ręką oba przeguby kobiety, podniósł jej ramiona nad głowę, przygwoździł do ziemi i wsunął się między jej nogi.

- Tak... - szepnęła, kiedy całował ucho i szyję, kark, zlizywał słony pot z piersi. *Leżymy wśród trupów. Będzie ich więcej. Tysiące. Miliony. Śmiech wzbierze w martwych piersiach. Szeregi żołnierzy wyłonią się z transponderów tylko po to, by zginąć w huczących płomieniach.*

- Tak... - powtórzyła.

Czuł jej gorący oddech na swojej skórze. Uwolniła ramiona, przesunęła dłońmi po ociekających potem barkach Kassada, zadrapała go paznokciami, chwyciła za pośladki i przyciągnęła bliżej. Nabrzmiały członek ocierał się o włosy łonowe, wbijał się w łagodny łuk podbrzusza. *Bramy transponderów wypływają czarne cielska krążowników. Żar plazmowych eksplozji. Setki okrętów, tysiące, tańczą i giną jak ćmy w wirze tornada. Kolumny rubinowego światła pokonują ogromne odległości, niosąc śmierć i zniszczenie. Ciała skąpane w czerwonym blasku.*

- Tak...

Moneta otworzyła dla niego usta i ciało. Ciepło w górze i w dole, jej język w jego ustach, wślizgnął się tam dokładnie wtedy, kiedy Kassad wszedł w nią, powitany przez spragnioną wilgoć. Jej ciało wyprężyło się, wygięło, wsysając go głębiej, jeszcze głębiej, a potem zaczęli się razem poruszać. *Cieplna katastrofa na tysiącach planet. Płonące kontynenty, wrzące morza. Przerażliwie gorące powietrze. Całe oceany rozgrzanego powietrza, atmosfery rozszerzające się niczym skóra pod dotknięciem kochanka.*

- Tak... tak... tak...

Ciepło jej oddechu w jego ustach. Jej skóra śliska i miękka niczym atlas. Kassad wykonuje gwałtowne pchnięcia, wszechświat kurczy się, w miarę jak narasta

rozkosz, zmysły przestają funkcjonować, czuje już tylko zamykające go, otulające, śliskie ciepło kobiety. Odpowiada mu szarpnięciami bioder, jakby zdawała sobie sprawę z niesamowitego napięcia, które narasta w nim od środka, od samego dna. Kassad wykrzywia twarz w rozpaczliwym grymasie, zamyka oczy, widzi...

...rozszerzające się kule ogniste, umierające gwiazdy, słońca ginące w płomienistych erupcjach, całe układy planetarne znajdujące śmierć w ekstazie niszczenia...

...czuje ból w piersi, ale nie przestaje poruszać biodrami, robi to nawet szybciej, jeszcze szybciej, mimo że otwiera oczy i widzi...

...ogromny stalowy cień, który wyrasta spomiędzy piersi Monety, rośnie, podczas gdy on podnosi się i opada, podnosi i opada, cień rośnie coraz bardziej, krew zaczyna płynąć po jej gładkiej skórze, a potem Kassad patrzy zamglonymi ekstazą oczami, jak wargi kobiety kurczą się i cofają, odsłaniając rzędy stalowych zębów, zamiast palców w jego pośladki wbijają się stalowe ostrza, metalowe uda zaciskają się wokół jego poruszających się rytmicznie bioder...

...w ostatnich sekundach przed orgazmem Kassad usiłuje się wyrwać... odpycha się od niej rękami... ona przywiera do niego jak pijawka, gotowa wysssać całą krew... przetaczają się w bok, przez martwe ciała...

...jej oczy jak czerwone klejnoty płoną tym samym szaleńczym żarem, który pod postacią nieznośnego bólu rozsadza mu jądra, rozlewa się, rozprzestrzenia...

...Kassad opiera obie ręce na ziemi, podnosi się, odpycha od niej... od tego czegoś... ma nieludzką siłę, ale to za mało, bo czuje, że coś go ciągnie do niej... do tego... spogląda w oczy i widzi tam zagładę światów... zagładę światów!

Z przeraźliwym krzykiem zrywa się na równe nogi. Zostawia na stalowych szponach i ostrzach strzępy ciała i strugi krwi. Metalowe zęby zatraskują się w stalowej waginie, zaledwie jeden wilgotny milimetr od jego członka. Kassad pada na bok, turla się po zboczu, cały czas porusza biodrami, nie jest w stanie powstrzymać ejakulacji. Sperma tryska strumieniem, pada na zaciśniętą pięść trupa. Kassad jęczy rozpaczliwie, zwija się w kłębek, obejmuje kolana ramionami, i jeszcze raz... i jeszcze...

Słyszy syk i szcęk metalu. Odwraca się na plecy, mruży oczy - częściowo z bólu, częściowo dlatego, że musi patrzeć prosto w słońce. Stoi nad nim, szeroko rozkraczona, cała w kolcach i cierniach. Kassad ociera pot z czoła, widzi, że to nie pot, tylko krew, i czeka na śmiertelny cios. Czuje, jak włosy jeżą mu się na głowie, a na

całym ciele występuje gęsia skórka. Spogląda jeszcze raz i widzi Monetę taką jak przedtem, z szeroko rozstawionymi nogami i kroczem wilgotnym od miłości. Nie dostrzega rysów twarzy, bo oślepia go słońce, ale widzi czerwone błyski tam, gdzie powinny być oczy. Moneta uśmiecha się, a wtedy metalowe zęby rozbłyskują jak szlachetne kamienie.

- Kassad... - szepcze, lecz jej głos przypomina szelest piasku zasypującego wyschnięte kości.

Kassad odwraca wzrok, wstaje z trudem na nogi i zataczając się ucieka przez zasłane trupami pole bitwy, dokądkolwiek, byle tylko dalej od niej. Nie odwraca się ani razu.

Dwa dni później pułkownika Fedmahna Kassada odnalazł patrol Planetarnych Sił Samoobrony. Znalezione go leżące bez przytomności na jednej z trawiastych równin, którymi wiedzie droga do opuszczonej Baszty Chronosa, dwadzieścia kilometrów od martwego miasta i miejsca lądowania Intruzów. Kassad był zupełnie nagi i niemal martwy z powodu licznych ran oraz ogólnego wyczerpania, ale dzięki szybko udzielonej pierwszej pomocy zażegnano bezpośrednie zagrożenie życia, potem zaś przetransportowano go do szpitala w Keats. Patrol PSS ostrożnie ruszył na północ, starannie omijając prądy czasu w pobliżu Grobowców oraz poszukując pułapek, jakie mogli zostawić po sobie Intruzi. Nie zostawili żadnych. Patrol odnalazł jedynie szczątki pojazdu Kassada oraz wypalone kadłuby dwóch jednostek Intruzów. Nie sposób było stwierdzić, co skłoniło ich do ostrzelania własnych statków, a zwłoki, choć bardzo liczne, uległy niemal całkowitemu zwęgleniu, więc na podstawie ich wyglądu także nie dało się wysnuć żadnych wniosków.

Kassad odzyskał przytomność trzy dni później, oświadczył, że jego wspomnienia kończą się na chwili, kiedy porwał kałamarnicę, i po trzech tygodniach został przetransportowany na okręt bojowy Armii/kosmos.

Zaraz po powrocie do Sieci poprosił o przeniesienie do cywila. Przez jakiś czas działał aktywnie w ruchu pacyfistycznym, od czasu do czasu biorąc nawet udział w publicznych debatach na temat konieczności rozbrojenia, ale wydarzenia na Bressii dały impuls, aby rozpocząć przygotowania do wojny kosmicznej na niespotykaną skalę; na wystąpienia Kassada albo nie zwracano uwagi, albo przypisywano je poczuciu winy, które miało jakoby dręczyć Rzeźnika z Południowej Bressii.

Szesnaście lat później pułkownik Kassad zniknął z Sieci. Chociaż przez ten czas

nie doszło do żadnych większych starć, Intruzów nadal uważano za głównych i najgroźniejszych przeciwników Hegemonii, pułkownik Kassad zaś był już tylko blaknącym wspomnieniem.

Zbliżało się południe, kiedy Kassad zakończył swoją opowieść. Konsul zamrugał raptownie i rozejrzał się dokoła, po raz pierwszy od dwóch godzin dostrzegając statek i jego otoczenie. "Benares" płynęła teraz głównym korytem rzeki. Do uszu konsula docierało skrzywienie uprzęży, szarpanej przez walczące z prądem płaszczki. W górę rzeki podążała chyba tylko ich barka, z przeciwnej strony natomiast nadciągało mnóstwo mniejszych jednostek. Konsul odruchowo otarł czoło i stwierdził ze zdziwieniem, że było pokryte potem. Zrobiło się bardzo ciepło, a cień płóciennego daszku odsunął się niepostrzeżenie. Konsul ponownie zamrugał, jeszcze raz otarł pot i przeszedł do cienia, aby otworzyć jedną z butelek z napojami, które androidy ustawiły na kredensie w pobliżu stołu.

- Mój Boże! - odezwał się ojciec Hoyt. - A więc, według tej Monety, Grobowce poruszają się pod prąd czasu?

- Tak jest - potwierdził Kassad.

- Czy to możliwe? - zdumiał się ksiądz.

- Owszem - potwierdził Sol Weintraub.

- Jeżeli to prawda...- powiedziała z namysłem Brawne Lamia - ...to znaczy, że spotkałeś tę Monetę, czy jak tam ona naprawdę się nazywa, w jej przeszłości, ale twojej przyszłości... czyli to spotkanie dopiero ma nastąpić!

- Tak jest - odparł ponownie Kassad.

Martin Silenus podszedł do relingu i splunął do rzeki.

- Pułkowniku, czy myślisz, że ta dziwka była Chyżwarem?

- Nie wiem. - Głos Kassada był niewiele donośniejszy od szeptu.

Silenus odwrócił się do Sola Weintrauba.

- Jesteś uczonym. Czy w micie o Chyżwarze są jakieś wzmianki o tym, że potrafi zmieniać postać?

- Nie - odparł Weintraub. Przygotowywał mleko dla dziecka. Niemowlę kwiliło cichutko, przebierając paluszkami.

- To pole siłowe czy cokolwiek to było... - odezwał się Het Masteen. - Zachowałeś je po bitwie z Intruzami?

Kassad przez chwilę spoglądał w milczeniu na templariusza, po czym

potrząsnął głową.

Konsul wpatrywał się ponuro w swoją szklanę, lecz nagle się wyprostował, tknięty jakąś myślą.

- Pułkowniku, powiedziałeś, że ukazało ci się stalowe drzewo, na które Chyżwar nabija swoje ofiary?

Kassad powoli przeniósł spojrzenie z templariusza na konsula i skinął głową.

- Powiedziałeś też, że widziałeś na nim ciała?

Kolejne skinienie.

Konsul otarł pot z górnej wargi.

- Jeżeli drzewo cofa się w czasie razem z grobowcami, to ofiary musiały pochodzić z naszej przyszłości.

Kassad milczał jak zakłęty. Pozostali wpatrywali się bez słowa w konsula, ale chyba tylko Weintraub zrozumiał, co oznacza ta uwaga, i wiedział, jakie będzie następne pytanie.

Konsul z trudem powstrzymał się przed ponownym otarciem potu. Kiedy się odezwał, jego głos był zdumiewająco silny i spokojny.

- Czy widziałeś tam kogoś z nas?

Milczenie trwało co najmniej minutę. Ciche odgłosy fal rzecznych i skrzywienie pokładu wydały się nagle potwornie głośne. Wreszcie Kassad odetchnął głęboko i powiedział:

- Tak.

Znowu zapadła cisza. Tym razem przerwała ją Brawne Lamia.

- Powiesz nam, kto to był?

- Nie.

Kassad wstał z krzesła i ruszył ku schodom prowadzącym na niższy pokład.

- Zaczekaj! - zawołał Hoyt.

Pułkownik zatrzymał się na pierwszym stopniu.

- Może odpowiesz nam przynajmniej na dwa inne pytania?

- Jakie?

Ojciec Hoyt skrzywił się z bólu. Jego szczupła, lśniąca od potu twarz zbladła jeszcze bardziej. Przez chwilę chwycił z trudem powietrze, po czym przemówił ponownie:

- Po pierwsze: czy myślisz, że Chyżwar... albo ta kobieta... chce, żebyś to ty rozpętał tę straszliwą wojnę, którą zobaczyłeś w jej oczach?

- Tak - odparł cicho Kassad.

- Po drugie: czy zdradzisz nam, o co chcesz prosić Chyżwara... albo Monetę... kiedy dotrzesz do nich u kresu pielgrzymki?

Kassad uśmiechnął się, ale był to uśmiech blady i bardzo, ale to bardzo zimny.

- Nie będę ich o nic prosił. Niczego od nich nie chcę. Wróciłem tu po to, żeby ich zabić.

Odwrócił się i zszedł po schodach. Pozostali pielgrzymi milczeli, starannie unikając swojego wzroku. "Benares" płynęła na północny wschód, a słońce szybko zbliżało się do zenitu.

ROZDZIAŁ 3

Godzinę przed zachodem słońca barka "Benares" wpłynęła do portu Najada. Członkowie załogi i pielgrzymi stłoczyli się przy relingu, aby popatrzeć na dymiące zgliszcza miasta, które kiedyś liczyło dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Niewiele z niego pozostało. Słynny "Nadrzeczny Zajazd", zbudowany jeszcze w czasach Smutnego Króla Billy'ego, spłonął do fundamentów; nie dopalone resztki tarasów i pomostów runęły w wody Hoolie. Ze strażnicy celnej zostały jedynie osmalone ściany. Port lotniczy, usytuowany na północnym skraju miasta, zamienił się w pogorzeliśko, a wieża cumownicza dla sterowców przypominała kikut spalonego drzewa. Po małej, wzniesionej nad samą rzeką świątyni Chyżwara nie pozostał żaden ślad. Jednak z punktu widzenia pielgrzymów najgorsze było to, że zniszczeniu uległ także Dworzec Rzeczny: drewniane pomosty spłonęły doszczętnie, a szeroko otwarte zagrody dla płaszczyk były puste.

- Niech to szlag trafi! - zaklął Martin Silenus.

- Kto to zrobił? - zapytał ojciec Hoyt. - Chyżwar?

- Raczej Planetarne Siły Samoobrony - odparł konsul. - Choć całkiem możliwe, że walczyły właśnie z Chyżwarem.

- Nie mogę w to uwierzyć! - parsknęła Brawne Lamia. - Nie wiedziałeś, co się tutaj stało? - zapytała z gniewem A. Bettika, który pojawił się obok nich na tylnym pokładzie.

- Nie - odparł android. - Od ponad tygodnia nie można było nawiązać łączności z żadną osadą położoną na północ od śluz.

- Niby dlaczego? Nawet jeśli ta zakazana planeta nie ma swojej datasfery, to chyba wiecie, co to jest radio?

A. Bettik uśmiechnął się lekko.

- Owszem, M. Lamia. Wiemy, co to jest radio, ale wszystkie satelity komunikacyjne uległy zniszczeniu, podobnie jak mikrofalowe stacje przekaźnikowe przy śluzach, a w tutejszych warunkach nie da się korzystać z najkrótszych zakresów fal.

- Co z naszymi płaszczykami? - zapytał Kassad. - Dociągną nas do Portu na Krawędzi?

Bettik zmarszczył brwi.

- Będą musiały, pułkowniku, choć to okrucieństwo z naszej strony. Wątpię, czy przeżyją taki wysiłek. Gdybyśmy mieli wypoczęte płaszczyki, dotarlibyśmy do celu jeszcze przed świtem, ale z tymi... - Wzruszył ramionami. - Jeżeli dopisze nam szczęście, a one wytrzymają, możemy być na miejscu wczesnym popołudniem.

- Ale chyba zdążymy na żaglowóz? - zapytał Het Masteen.

- Miejmy nadzieję - odparł A. Bettik. - Wybaczcie, ale muszę dopilnować, żeby te nieszczęsne stworzenia dostały odpowiednią porcję karmy. Najdalej za godzinę ruszamy w drogę.

Ani w samych ruinach, ani w ich pobliżu nie dostrzegli żadnego śladu życia. Na rzece nie pojawiła się najmniejsza nawet łódź. Godzinę drogi w górę Hoolie dotarli do miejsca, w którym lasy i farmy zaczęły ustępować miejsca pomarańczowej prerii rozciągającej się na południe od Trawiastego Morza. Tu i ówdzie konsul mógł dostrzec błotne kopce wzniesione przez wielkie mrówki; niektóre z budowli osiągały wysokość nawet dziesięciu metrów. Wszędzie było widać ślady zniszczeń: liczący sobie prawie dwieście lat prom w pobliżu Brodu Betty po prostu zniknął, "Zajazd Żeglarzy" u wejścia do Wielkiej Jaskini stał ciemny i pusty. A. Bettik oraz inni członkowie załogi krzyczyli ze wszystkich sił, lecz odpowiadało im tylko ponure echo.

Wraz z nadejściem zmierzchu rzekę spowiła zmysłowa cisza, którą jednak szybko przerwały odgłosy wydawane przez owady i nawoływania nocnych ptaków. Przez jakiś czas idealnie gładka powierzchnia Hoolie stanowiła zwierciadlane odbicie szarozielonego, mroczniejszego nieba; tu i ówdzie plusnęła tylko ryba albo na mgnienie oka pojawił się widlasty ślad, jaki pozostawiają płaszczyki płynące tuż pod powierzchnią wody. Kiedy wreszcie zapadła prawdziwa ciemność, między łagodnymi pagórkami zaczęły tańczyć przeróżne fosforyzujące owady - znacznie bledsze od swoich leśnych kuzynów, ale za to większe i o większej rozpiętości skrzydeł. Mniej więcej wtedy, kiedy na niebie pojawiły się gwiazdy, których blask przyćmiewały co jakiś czas strumienie rozjarzonych meteorów, zapalono lampy i podano kolację.

Pielgrzymi jedli w skupieniu, jakby wciąż jeszcze rozpamiętywali ponurą i niejednoznaczną opowieść pułkownika. Konsul pił równo przez cały dzień, dzięki czemu czuł się teraz przyjemnie oderwany od rzeczywistości oraz bolesnych wspomnień; tylko w ten sposób potrafił sobie radzić z kolejnymi dniami i nocami. To on przerwał panujące przy stole milczenie, wypowiadając poszczególne słowa tak starannie i powoli, jak potrafią to uczynić tylko prawdziwi alkoholicy:

- Czyja teraz kolej?

- Moja - odparł Martin Silenus. Poeta także wlał w siebie morze alkoholu. Mówił równie wyraźnie jak konsul, ale zdradzały go mocno zaróżowione policzki i niemal szaleńczy błysk w oczach. - W każdym razie wyciągnąłem kartkę z trójką. - Pokazał wszystkim skrawek papieru. - Nie wiem tylko, czy macie ochotę wysłuchać tej pieprzonej historii.

Brawne Lamia podniosła kieliszek z winem, skrzywiła się i odstawiła go na stół.

- Może najpierw powinniśmy porozmawiać o tym, czego dowiedzieliśmy się z dwóch pierwszych opowieści, i jaki może mieć to związek z naszą obecną sytuacją?

- Jeszcze nie - powiedział Fedmahn Kassad. - Mamy jeszcze za mało informacji.

- Pozwólmy mówić M. Silenusowi - odezwał się Sol Weintraub. - Potem omówimy to, co usłyszeliśmy.

- Zgadzam się - powiedział ojciec Hoyt.

Het Masteen i konsul skinęli głowami.

- A więc dobrze! - wykrzyknął Martin Silenus. - Zaraz wszystkiego się dowiecie, tylko pozwólcie mi dokończyć to pieprzone wino.

Opowieść Poety ***Pieśni Hyperiona***

Na początku było Słowo. Potem pojawił się pieprzony edytor tekstu. Potem procesor myślowy. A potem nastąpił koniec literatury. Tak to właśnie wygląda.

Franciszek Bacon powiedział kiedyś: "Niewłaściwie dobrane słowa potrafią stworzyć wspaniałą przeszkodę dla umysłu". Wszyscy mieliśmy w tym swój udział, prawda? Ja chyba największy. Jeden z najlepszych, ale już dawno zapomnianych pisarzy dwudziestego wieku wymyślił coś takiego: "Uważam, że to wspaniałe być pisarzem, tyle tylko iż nie znoszę całej tej bazgraniny". Rozumiecie? Otóż, moi przyjaciele, ja uwielbiam być poetą. Nie znoszę tylko tych cholernych słów.

Od czego powinienem zacząć?

Może od Hyperiona?

(niewyraźne) ...prawie dwieście lat standardowych temu...

Pięć statków kolonizacyjnych Smutnego Króla Billy'ego zawisa na lazurowym niebie niczym złote kwiaty mlecza. Lądujemy jak dumni konkwistadorzy: ponad dwa tysiące artystów sztuk wizualnych, pisarzy, rzeźbiarzy, poetów, wirtualistów,

reżyserów holospektakli, kompozytorów, dekompozytorów i Bóg wie kogo jeszcze, wspieranych przez pięć razy więcej administratorów, techników, ekologów, nadzorców, dworzan i zawodowych dupolizów, żeby nie wspomnieć o całej rodzinie królewskiej oraz mnóstwie androidów gotowych orać i kopać, budować nowe miasta, uruchamiać reaktory, i w ogóle. W każdym razie, macie teraz pojęcie, jak to mniej więcej wyglądało.

Wylądowaliśmy na planecie zasiedlonej już przez biednych palantów, którzy dwieście lat wcześniej zupełnie zdziczeli, żarli to, co udało im się znaleźć w lesie, i przy lada okazji walili się maczugami po łbach. Rzecz jasna, szlachetni potomkowie pionierów przyjęli nas jak bogów - szczególnie kiedy nasi ochroniarze załatwili paru bardziej agresywnych przywódców - a my, ma się rozumieć, nie mieliśmy nic przeciwko temu i od razu zagoniliśmy ich do roboty razem z androidami, żeby zbudowali nam piękne miasto na wzgórzu.

Powiem wam, że to było naprawdę piękne miasto na wzgórzu, chociaż, patrząc na ruiny, które z niego pozostały, trudno to sobie wyobrazić. Przez trzysta lat pustynia zdobyła nowe tereny, akwedukty, którymi płynęła woda z górskich źródeł, rozpadły się, a z miasta został właściwie sam szkielet. Jednak w czasach swej świetności Miasto Poetów rzeczywiście budziło zachwyt, bo stanowiło połączenie Aten Sokratesa z intelektualnym wrzeniem renesansowej Wenecji, artystyczną gorączką Paryża impresjonistów, autentyczną demokracją pierwszej dekady istnienia Orbitalnego Miasta i nieograniczonymi perspektywami Pierwszej Tau Ceti.

Jednak tak naprawdę nie miało z tym wszystkim nic wspólnego - co najwyżej mroczną komnatę Hrothgara, w której czaił się potwór. Tak, tak, mieliśmy własnego Grendela. Mieliśmy nawet Hrothgara, jeśli przymknie się oko na niezbyt efektowny profil Smutnego Króla Billy'ego; brakowało nam tylko Geatsa, potężnego, barczystego Beowulfa o małym rozumku, otoczonego bandą wesołych psychopatów. W związku z tym, że nie stało Bohatera, przyjęliśmy rolę nieszczęsnych ofiar, pisząc sonety, komponując symfonie i układając scenariusze, podczas gdy nasz stalowo-ciernisty Grendel czernił noc strachem i zbierał obfite żniwo czaszek. Właśnie wtedy - wyglądałem jak satyr, gdyż ciało stanowiło dokładne odzwierciedlenie duszy - znalazłem się zaledwie o krok od ukończenia moich Pieśni, czyli dużo bliżej, niż udało mi się dotrzeć przez następnych pięć stuleci żalonych usiłowań.

(wyciszenie)

Zdaje się jednak, że jeszcze za wcześnie na opowieść o Grendelu. Aktorzy nie

zdążyli pojawić się na scenie. Co prawda nielinearna i achronologiczna narracja ma swoich zwolenników, do których zaliczyłbym także siebie, ale w końcu i tak nieśmiertelność zyskuje jedynie bohater dzieła. Czy nigdy nie zdarzyło wam się myśleć, że gdzieś daleko - nawet w tej chwili - Huck i Jim płyną swoją tratwą z prądem rzeki, bo wydają się o tyle bardziej realni niż sprzedawca w sklepie obuwniczym, który obsługiwał nas dwa albo trzy dni temu? Tak czy inaczej, jeśli w ogóle mam wam opowiedzieć tę pieprzoną historię, to musicie wiedzieć, kto jest kim. Dlatego też - choć wcale mi się nie chce - cofnę się i zacznę od samego początku.

Na początku było Słowo. A Słowo zostało zapisane w klasycznym systemie binarnym. I Słowo powiedziało: "Niech się stanie życie!" I wówczas, w jakimś zakamarku, gdzieś w bezdennych otchłaniach TechnoCentrum, które troszczyło się o stan posiadania mojej matki, odmrożono zamrożoną porcję nasienia mojego dawno zmarłego taty, podgrzano ją, wstrząsnęto, zamieszano, wtłoczono do czegoś, co było częściowo strzykawką, a częściowo sztucznym fallusem, i siup! - władowano w moją mamę dokładnie wtedy, kiedy księżyc znajdował się w pełni, a jajeczko było dojrzałe.

Rzecz jasna, ta barbarzyńska operacja wcale nie była konieczna. Mama mogła wybrać zapłodnienie *ex utero*, prawdziwego kochanka z wszczepionym DNA ojca, klonowanie, dzieworództwo, cokolwiek... Ale jak powiedziała mi dużo później, otworzyła się przed tradycją. Przypuszczam, że po prostu jej się to podobało.

W każdym razie urodziłem się.

Urodziłem się na Ziemi... na Starej Ziemi... i hak ci w smak, Lamio, jeśli mi nie wierzysz. Mieszkaliśmy w posiadłości matki na wyspie w pobliżu Rezerwatu Ameryki Północnej.

Oto kilka notatek do ewentualnego szkicu o domu na Starej Ziemi:

Łagodny zmierzch - wszystkie odcienie od fioletu, przez fuksję, do purpury - tworzy tło dla jakby wyciętych z krepiny sylwetek drzew rosnących na skraju trawnika opadającego ku morzu. Niebo delikatne niczym przezroczysta chińska porcelana, nie skażone najmniejszym obłokiem. Bezgłośna uwertura brzasku, po której następuje ogłuszające uderzenie pierwszych promieni słońca. Pomarańcze i jabłka rozbłyskują złotem, a następnie powoli stygną, aż oblewa je chłodna zieleń. Dropiate cienie liści, macki cyprysów i płacząca wierzba, soczysta sprężystość gęstej trawy.

Posiadłość matki - nasza posiadłość. Tysiąc akrów wśród miliona. Trawniki rozległe jak preria, wabiące każdego swą zieloną doskonałością, aby ułożył się na nich do drzemki. Dostojne, rozłożyste drzewa, których cienie statecznie odmierzają czas

Ziemi. Królewski dąb. Ogromne wiązy. Topole, cyprysy, sekwoje i bonsai. Banany o pniach przypominających gładkie kolumny w jakiejś świątyni, której dach stanowi niebo. Wierzby rosnące wzdłuż starannie wytyczonych kanałów i dzikich strumieni, o gałęziach śpiewających na wietrze starożytne hymny.

Nasz dom stoi na niewysokim wzgórzu porośniętym trawą, które zimą przypomina bok jakiejś apokaliptycznej bestii, bez wątpienia samicy, leżącej z napiętymi mięśniami i w każdej chwili gotowej do skoku. Już na pierwszy rzut oka widać, że dom rozrastał się przez kilka stuleci - są tu: wieżyczka we wschodnim skrzydle, skąd najprędzej można dostrzec wschód słońca, attyka na skrzydle południowym, rzucająca w porze podwieczorku trójkątne cienie na szklany dach cieplarni, balkony i labirynt zewnętrznych schodów wokół wschodniego portyku, codziennie wieczorem wyczyniające Escherowskie szaleństwa z ukośnymi promieniami słońca.

Było to już po Wielkiej Pomyłce, ale jeszcze zanim cała planeta stała się niezdatna do zamieszkania. Zazwyczaj zjawialiśmy się w posiadłości podczas tak zwanych "okresów remisji" - trwały od dziesięciu do osiemnastu miesięcy i oddziaływały gwałtowne, obejmujące swym zasięgiem cały glob spazmy, podczas których przekłeta czarna dziura wyprodukowana przez tych pieprzonych kretynów z Kijowa zżerała kolejny fragment jądra Ziemi. Wtedy przenosiliśmy się do wujka Kowy, który mieszkał zaraz za Księżycem, na specjalnie przystosowanym asteroidzie, sprowadzonym tam przed pierwszą migracją Intruzów.

Z pewnością zdążyliście już się zorientować, że przyszedłem na świat ze srebrną łyżeczką w dupie. Nie odczuwam z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Po trzech tysiącach lat babrania się w demokracji te rodziny, które pozostały na Starej Ziemi, uświadomiły sobie, że jedynym sposobem na to, aby raz na zawsze skończyć z takimi bzdurami, jest pozbycie się tych, którzy mogliby je kultywować. Jak to osiągnąć? Ano, całkiem prosto: sponsorując budowę nowych statków kolonizacyjnych, nawołując do emigracji, łożąc hojnie na nowe transmitery materii... Jednym słowem, robiąc wszystko, byle tylko ludzie wynieśli się ze Starej Ziemi i zostawili ją w spokoju. Ani trochę nie przeszkadzało im, że ich ojczysta planeta była już wtedy starą, schorowaną, bezzębną dziwką. Ani trochę.

Podobnie jak Budda, byłem już prawie dorosły, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, co to jest ubóstwo. Miałem szesnaście lat i wędrowałem z plecakiem przez Indie, kiedy spotkałem żebraka. Hinduskie Stare Rodziny pozwoliły zostać nielicznym ze względów religijnych, ja jednak wiedziałem wówczas tylko tyle, że oto

stoi przede mną człowiek w łachmanach, chudy jak szczapa, wyciąga przed siebie koszyk z zabytkowym czytnikiem i błaga, żebym zechciał włożyć tam choć na chwilę swoją kartę. Moi przyjaciele uznali mnie za historyka, gdyż zwymiotowałem. Zdarzyło się to w Benares.

Miałem dostatnie dzieciństwo, choć nie do tego stopnia, żeby mi obrzydło. Zachowałem bardzo miłe wspomnienia o słynnych przyjęciach u Wielkiej Damy Sybille (była moją cioteczną babką ze strony matki). Szczególnie dobrze pamiętam trzydniową zabawę, jaką urządziła na Archipelagu Manhattan, kiedy to goście przylatywali promami z Orbitalnego Miasta i pozostałości Europy. Pamiętam Empire State Building, jak wyrasta z wody, a blask sączący się z jego niezliczonych okien pada na kanały i zatoki. Goście wysiadali na tarasie obserwacyjnym, a na dachach niższych budynków płonęły wielkie ogniska.

Rezerwat Ameryki Północnej był wówczas naszym prywatnym terenem zabaw. Podobno kontynent ten zamieszkiwało jeszcze około ośmiu tysięcy ludzi, ale połowę stanowili włóczędzy, drugą połowę zaś zregenerowani ARNtyści, wskrzeszający dawno wymarłe gatunki zwierząt i roślin, ekolodzy, licencjonowani tubylcy, tacy jak Siuksowie Ogalalla lub Anioły Piekła, a także nieliczni turyści. Miałem kuzyna, który z plecakiem wędrował od jednej strefy obserwacyjnej do drugiej, ale robił to na środkowym zachodzie, gdzie odległości między strefami są znacznie mniejsze i dużo trudniej jest spotkać stado dinozaurów. Przez pierwsze sto lat po Wielkiej Pomyłce Gea była bardzo zniszczona, ale umierała powoli. Każdy kolejny wzrost aktywności powodował nowe spustoszenia, lecz w okresach remisji planeta leczyła rany najszybciej i najlepiej, jak tylko mogła.

Wspomniałem już, że Rezerwat był naszym terenem zabaw, ale w gruncie rzeczy dotyczyło to całej konającej Ziemi. Na siódme urodziny dostałem od matki EMV i od tej pory żadne miejsce na planecie nie znajdowało się dalej niż godzinę lotu od domu. Mój najlepszy przyjaciel, Amalfi Schwartz, mieszkał w pobliżu Erebu, na terenie dawnej Republiki Antarktycznej. Widywaliśmy się codziennie. Zupełnie nie przejmowaliśmy się tym, że prawo Starej Ziemi zakazywało korzystania z transponderów; leżąc nocą na jakimś trawiastym wzgórzu i patrząc w niebo, na dziesięć tysięcy satelitów, dwadzieścia tysięcy fragmentów roztrzaskanego Pierścienia i dwa lub trzy tysiące gwiazd, nie czuliśmy ani zazdrości, ani pragnienia, żeby przyłączyć się do hegiry. Byliśmy szczęśliwi.

Moje wspomnienia dotyczące matki są dziwnie sztuczne, zupełnie jakby była

jakąś fikcyjną postacią z jednej ze starych powieści. Może i była. Może w rzeczywistości wychowywałem się pod opieką robotów w którymś ze zautomatyzowanych miast Europy, albo mieszkałem z androidami na Pustyni Amazońskiej, albo po prostu zostałem wyklonowany w zbiorniku z płynami odżywczymi. Najlepiej pamiętam biały peniuar matki, sunący jak duch przez pogrążone w półmroku pokoje; niesłychanie delikatne, błękitne żyłki na jej szczupłych rękach, kiedy nalewała do filiżanek herbatę w skąpanej w popołudniowym blasku oranżerii; odbłask świecy schwytyany jak złota mucha w pajęczą sieć jej włosów, które zazwyczaj nosiła upięte wysoko, tak jak czynią to Wielkie Damy. Czasem śni mi się, że pamiętam także jej głos, ale kiedy się budzę, słyszę tylko trzepotanie zasłon poruszanych przez wiatr albo szum fal nieznanego morza.

Od samego początku wiedziałem, że będę - muszę być - poetą. Nie miałem wyboru; zupełnie jakby ta umierająca piękność, którą widziałem dokoła, wydając ostatnie tchnienie nakazała mi, bym do końca życia bawił się układaniem słów, pokutując w ten sposób za niewybaczalny grzech mojej rasy, która bezmyślnie zniszczyła swoją kolebkę. Nie dyskutowałem z przeznaczeniem, tylko zostałem poetą.

Miałem nauczyciela imieniem Baltazar. Był to wiekowy człowiek, uciekinier z broczącej krwią Aleksandrii. Jako jeden z pierwszych zaczął poddawać się zabiegom Poulsena, wówczas jeszcze bardzo prymitywnym, w związku z czym niemal świecił w ciemności i przypominał chodzącą mumię, której skórę zastąpiono jakimś plastycznym tworzywem. W dodatku był jurny jak kozioł. Kilka stuleci później, podczas mego okresu satyrowego, poczułem, że wreszcie udało mi się zrozumieć starego Baltazara, ale wtedy, na Starej Ziemi, mieliśmy spory kłopot, gdyż don Baltazar z pewnością nie należał do wybrednych: człowiek czy android, byle tylko dziewczyna - ryćkał wszystko, co nie zdążyło przed nim uciec.

Na szczęście dla mojej edukacji Baltazar nie miał najmniejszych skłonności homoseksualnych, w związku z czym jego erotyczne eskapady miały tylko ten niekorzystny skutek, że czasem traciliśmy jedną lub dwie lekcje, aby potem nadrabiać to wkuwaniem na pamięć obszernych fragmentów z Owidiusza, Seneki albo Wu.

Był znakomitym nauczycielem. Analizowaliśmy zarówno poezję starożytną, jak i klasyczną, zwiedzaliśmy ruiny Aten, Rzymu, Londynu i miasteczka Hannibal w stanie Missouri, i nigdy nie musiałem zaliczać żadnego egzaminu ani testu. Don Baltazar oczekiwał ode mnie, że będę wszystko zapamiętywał już za pierwszym razem, bez powtarzania, a ja nie sprawiałem mu zawodu. Przekonał moją matkę, że dobrej

rodzinie ze Starej Ziemi nie przystoi popierać tak zwanej “progresywnej edukacji”, w związku z czym nigdy nie korzystałem z chemicznych modyfikacji RNA, podłączeń do datasfery, impulsowego kształtowania podświadomości ani przeróżnych wspomaganych elektronicznie technik zapamiętywania. Dzięki temu w wieku sześciu lat znałem na pamięć całą *Odyseję* w przekładzie Fitzgeralda, nauczyłem się układać sekstyny dużo wcześniej, zanim zacząłem samodzielnie wiązać sznurowadła, i myślałem spiralnym wersem fugowym, zanim po raz pierwszy nawiązałem kontakt z SI.

Jeżeli natomiast chodzi o moją wiedzę z zakresu nauk ścisłych, to pozostawiała ona sporo do życzenia. Don Baltazar niespecjalnie interesował się tym, co nazywał “mechaniczną stroną wszechświata”. Dopiero w wieku dwudziestu dwóch lat dowiedziałem się, że komputery, RMU i urządzenia wytwarzające powietrze i ciężenie na asteroidzie wuja Kowy są maszynami, nie zaś życzliwymi manifestacjami idei, które z własnej woli zaprzęły się do pracy na rzecz ludzi. Podobnie jak Keats i Lamb w pracowni Haydona, don Baltazar i ja wznosiliśmy toasty za “matematyczne poplątanie” oraz narzekaliśmy z powodu zniszczenia poetyckiej tajemnicy tęczy przez pryzmat M. Newtona. Nieufność, a nawet nienawiść, jaką odczuwałem wobec wszystkiego, co naukowe i wyrozumowane, dobrze służyły mi przez całe życie. Przekonałem się, że w postnaukowej Hegemonii wcale nietrudno być przedkopernikańskim dzikusiem.

Moja wczesna poezja była okropna, ja zaś - jak wszyscy marni poeci - nie zdawałem sobie z tego sprawy, pewien w swojej arogancji, że sam akt tworzenia nadaje jakieś znaczenie bezwartościowym płodom mego umysłu. Matka traktowała mnie wyrozumiale nawet wtedy, kiedy w całym domu zaczęły się walać małe, cuchnące bajorka poetyckich wymiocin. Była pobłażliwa dla jedynaka, mimo że ten wykazywał tyle samo inteligencji i zdrowego rozsądku co niedorozwinięta lama. Don Baltazar nigdy nie wypowiadał się na temat moich dzieł - prawdopodobnie dlatego, że mu ich nie pokazywałem. Mój nauczyciel uważał, że czcigodny Daton był oszustem, że Salmud Brevy i Robert Frost powinni byli powiesić się na własnych bebechach, że Wordsworth był idiotą i że wszystko, co nie dorównuje poziomem sonetom Szekspira, stanowi profanację języka. W związku z tym nie widziałem potrzeby, żeby zawracać don Baltazarowi głowę moimi wierszami, choć nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości, że stanowią przejaw dojrzewającego w szybkim tempie geniuszu.

Opublikowałem kilka tych literackich wypierdków w różnych produkowanych

chałupniczym sposobem czasopismach, które ukazywały się wtedy w Europie. Ich wydawcy byli równie bezkrytyczni wobec mojej twórczości jak matka. Od czasu do czasu prosiłem też Amalfiego albo któregoś z innych przyjaciół - nie byli aż takimi arystokratami jak ja, dzięki czemu mieli dostęp do datasfery i komunikatorów - żeby przesłali niektóre utwory na Pierścień lub na Marsa, skąd mogły trafić dalej, do snobistycznych, prowadzących bogate życie intelektualne kolonii. Nigdy nie otrzymałem stamtąd żadnej odpowiedzi. Przypuszczalnie nie mieli tam czasu na takie głupoty.

Wiara w swoje zdolności poetyckie lub prozatorskie, zanim zostanie się poddanym osądowi czytelników, jest równie niewinna i nieszkodliwa jak młodzieńcze przekonanie o własnej nieśmiertelności... a nieuchronne rozczarowanie równie bolesne.

Moja matka umarła razem ze Starą Ziemią. Mniej więcej połowa Starych Rodzin przetrwała na planecie ostatni kataklizm. Miałem wówczas dwadzieścia lat i powziąłem romantyczne postanowienie, że zginę wraz z ojczystą planetą, ale matka zadecydowała inaczej. Chodziło jej nie o moją przedwczesną śmierć - podobnie jak ja, była zbyt wielką egoistką, żeby myśleć o kimkolwiek innym, szczególnie w takiej chwili - ani nawet nie o to, że zagłada mojego DNA będzie oznaczała koniec arystokratycznego rodu, którego przodkowie wyruszyli w podróż na pokładzie "Mayflower"; nie, ją interesowało tylko to, że mamy długi. Wyglądało na to, iż przez ostatnie sto lat nasze ekstrawagancje były finansowane przez Bank Pierścienia i kilka innych dyskretnych instytucji finansowych. Teraz, kiedy kontynenty Ziemi zderzały się ze sobą jak gigantyczne transatlantyki, lasy płonęły, woda w oceanach wrzała jak niejadalna zupa, powietrze zaś stawało się zbyt gęste, żeby nim oddychać, banki upomniały się o swoje pieniądze. Ja stanowiłem gwarancję ich odzyskania.

A raczej gwarancją taką był plan obmyślony przez moją matkę. Zlikwidowała cały nasz majątek zaledwie na kilka tygodni przedtem, zanim dokonało się to w sposób samoistny i całkowicie nieodwracalny, wpłaciła ćwierć miliona marek na długoterminowy rachunek w uciekającym pośpiesznie Banku Pierścienia, po czym wysłała mnie w podróż do Atmosferycznego Protektoratu Rifkin na Bramie Niebios, trzeciorzędnej planetce w Układzie Węgi. Brama dysponowała połączeniem transmiterowym z Systemem Słonecznym, ale ja z niego nie skorzystałem. Nie znalazłem się także wśród pasażerów statku wyposażonego w napęd Hawkinga, który

raz w roku przybywał do Bramy Niebios. Nic z tych rzeczy. Matka wysłała mnie na tę zakazaną planetę starym trzeciofazowym frachtowcem podróżującym wolniej niż światło, zamrożonego razem z zarodkami bydła, koncentratem soku pomarańczowego i przeróżnymi wirusami. Podróż trwała sto dwadzieścia dziewięć lat czasu pokładowego, natomiast po dotarciu na miejsce mój osobisty dług czasowy miał wynieść sto sześćdziesiąt siedem lat standardowych.

Matka obliczyła sobie, że odsetki, jakie przez ten czas nagromadzą się na długoterminowym rachunku, w połączeniu z kapitałem pozwolą spłacić wszystkie długi rodziny, a dzięki temu, co zostanie, być może zdołam przez jakiś czas utrzymać się przy życiu

Moja matka pomyliła się - po raz pierwszy i zarazem ostatni w życiu.

Kilka notatek do szkicu o Bramie Niebios:

Błotniste ścieżki rozbiegające się we wszystkie strony od wież stacji, przypominające liszaje na grzbiecie trędowatego. Brązowe obłoki wiszące ciężko na zgniłym, zgrzebnym niebie. Skupisko bezkształtnych drewnianych budowli, które zaczęły gnić na długo przed ukończeniem, gapiących się pozbawionymi szyb oknami na takich samych jak one sąsiadów. Tubylcy, którzy rozmnażają się jak... jak ludzie - pozbawione wzroku kaleki, z płucami wypalonymi przez żrące powietrze, każdy otoczony licznym przychówkiem. Dzieci o potwornie zniszczonej, pokrytej wrzodami skórze i wiecznie zażawionych oczach, nie przystosowane do życia w trującej atmosferze, która zabije je, zanim dociągną do czterdziestki. Mają bezzębne uśmiechy i przetłuszczone włosy, w których aż roi się od wszy i krwiożerczych kleszczy. Dumni rodzice wprost promienieją zadowoleniem. Jest ich w sumie dwadzieścia milionów, stłoczonych w slumsach na wyspie mniejszej niż zachodni trawnik w posiadłości moich rodziców na Starej Ziemi, a nikt nie przeniesie się gdzie indziej, bo jedynie tu na całej planecie jest powietrze, które nie zabija od razu, tylko na raty. Tłoczą się jak szaleni w kręgu o promieniu sześćdziesięciu kilometrów, bo na takim właśnie obszarze daje się odczuć dobroczynne działanie Stacji Uzdatniania Atmosfery - to znaczy, dawało, dopóki generatory nie zaczęły odmawiać posłuszeństwa.

Brama Niebios. Mój nowy dom.

Matka nie wzięła pod uwagę możliwości, że wszystkie rachunki rodzin ze Starej Ziemi zostaną zamrożone, a następnie wykorzystane przez bujnie rozwijającą się gospodarzkę Sieci. Nie pamiętała także, iż ludzie dlatego woleli korzystać ze statków z

napędem Hawkinga, nawet jeśli oznaczało to konieczność oczekiwania w kolejce, że z taką podróżą nie wiązało się prawie żadne ryzyko, natomiast szansa, że podczas wieloletniej, głębokiej hibernacji na pokładzie jednostki poruszającej się z prędkością mniejszą od prędkości światła dojdzie do nieodwracalnego uszkodzenia mózgu, wynosiła aż jeden do sześciu. Ja jednak miałem szczęście. Kiedy ożywiono mnie na Bramie Niebios i natychmiast zagoniono do pracy przy kopaniu kanałów poza obszarem bezpiecznej strefy, doznałem zaledwie małego udaru. Pod względem fizycznym nie poniosłem żadnego uszczerbku, gdyż już wkrótce mogłem ponownie przystąpić do pracy, natomiast mój stan umysłowy pozostawiał wiele do życzenia.

Dostęp do lewej półkuli mózgu został zablokowany tak dokładnie, jakby była to część statku kosmicznego, która uległa rozhermetyzowaniu. Stalowe grodzie zatrzęsnęły się z hukiem, pozostawiając ją na pastwę próżni. Nadal mogłem myśleć. Szybko odzyskałem władzę w prawej części ciała. Tylko ośrodki mowy uległy nieodwracalnym uszkodzeniom. Cudowny, organiczny komputer, zamknięty w mojej czaszce, potraktował całą wiedzę o języku tak, jakby to był nieczytelny program: usunął ją z pamięci. W prawej, zawiadującej uczuciami półkuli, mogły się przechować jedynie najbardziej przesycone emocjami informacje, w związku z czym moje słownictwo składało się teraz z dziewięciu wyrazów. (Później dowiedziałem się, że zazwyczaj są to tylko dwa lub trzy słowa.) Oto one: pieprzyć, gówno, szczać, cipa, cholera, matkojebca, dupa, siusiu i kupa.

Krótką analizą może wykazać, że moje słownictwo składało się z dwóch czasowników, pięciu rzeczowników, spośród których dwóch można było także używać w znaczeniu czasownikowym, oraz jednego rzeczownika pełniącego funkcję wykrzyknika. Mogłem swobodnie dyskutować o potrzebach fizjologicznych (miałem tu do wyboru dwie pary synonimów), o ludzkiej anatomii, mogłem zasygnalizować, kiedy mam ochotę odbyć stosunek płciowy oraz poinformować ewentualnego rozmówcę o moich podejrzeniach dotyczących jego bliskich kontaktów z własną matką.

Czy można wymagać czegoś więcej?

Nie będę twierdził, że mile wspominał trzy lata spędzone w błotnistych rowach i zarobaczonych slumsach Bramy Niebios, ale nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, iż okres ten wywarł równie wielki - o ile nie większy - wpływ na kształtowanie mojej osobowości, co poprzednie dwadzieścia lat na Starej Ziemi.

Bardzo szybko okazało się, że nie mam najmniejszych problemów z

dogadaniem się z moimi nowymi znajomymi. Należeli do nich: Stary Fleja, który był naszym brygadziwą; Unk, któremu musiałem płacić, żeby chronił mnie przed maltretowaniem; oraz Kiti, zawszona, brudna dziwka, z którą sypiałem wtedy, kiedy było mnie na to stać.

- Gównopieprzyć - mówiłem na przykład. - Dupa cipa, sikać pieprzyć.

- Aha - uśmiechał się na to Stary Fleja, pokazując swój jedyny ząb. - Idziesz do kantyny po tytoń z alg?

- Cholera kupa - odpowiadałem, również z uśmiechem.

Życie poety nie sprowadza się jedynie do mającego jednak mniej lub bardziej określone granice manipulowania ekspresją. Składa się na nie także nieskończona ilość kombinacji spostrzeżeń i wspomnień, wzmacnianych lub osłabianych w zależności od stopnia wrażliwości na to, co jest postrzegane i wspominane. Trzy lata spędzone na Bramie Niebios - prawie tysiąc pięćset dni standardowych - pozwoliły mi patrzeć, odczuwać, słyszeć, a także zapamiętywać wszystko od początku, tak jakbym dopiero co się urodził. Fakt, że urodziłem się w piekle, nie miał większego znaczenia; u źródeł prawdziwej poezji musi leżeć wielokrotnie przeanalizowane doświadczenie, ja zaś w moim nowym życiu miałem tych doświadczeń aż nadto.

Przystosowanie się do świata opóźnionego co najmniej o półtora stulecia w stosunku do tego, w którym żyłem poprzednio, przyszło mi bez najmniejszego problemu. Cokolwiek byśmy mówili o żądzy ekspansji i pionierskim zapale, jakie rządziły ludzkością przez minione pięć wieków, to przecież i tak doskonale zdajemy sobie sprawę, że w gruncie rzeczy wszechświat zamieszkały przez ludzi stał się doskonale statyczny i żałośnie ostrożny. Żyjemy wygodnie w średniowieczu, którym rządzą genialne umysły. Instytucje wcale się nie zmieniają, a jeśli już, to raczej drogą ewolucji niż rewolucji; badania naukowe drobiazgu w miejscu lub rozpełzają się na boki jak kraby, podczas gdy kiedyś sadyły ogromnymi susami naprzód; jeszcze wolniej zmieniają się towarzyszące nam maszyny i urządzenia - nawet nasi pradziadkowie nie mieliby żadnych problemów z ich obsługą! W czasie kiedy spałem, Hegemonia została oficjalnie zjednoczona, Sieć osiągnęła kształt, który znamy i dzisiaj, WszechJedność zajęła czołowe miejsce na liście wymyślanych przez ludzkość demokratycznych despotów, TechnoCentrum uniezależniło się od ludzi, po czym zaproponowało swoje usługi raczej jako partner niż niewolnik, Intruzi zaś zniknęli w mrokach kosmosu, stając się czymś w rodzaju Nemezis... ale na to wszystko zanosilo się już wtedy, kiedy

kładłem się do lodowej trumny wśród świńskich półtuszy i kotletów z jagnięcia, natomiast kierunek, tempo, napięcie i filozofia rozwoju nie uległy żadnym, choćby najmniejszym zmianom - mimo że historia oglądana od wewnątrz powinna wydawać się znacznie bardziej złożona i skomplikowana niż wówczas, kiedy historycy spoglądają na nią z oddalenia jak na wielką, pasącą się spokojnie krowę.

Tymczasem moje życie ograniczało się do Bramy Niebios i trwającej bez przerwy walki o przetrwanie. Niebo zawsze przypominało żółto-brązowy, łuszczący się sufit, który wisiał zaledwie kilka metrów nad dachem mojej nędznej chaty, w każdej chwili grożąc zawaleniem. Sama chata, chociaż, jak powiedziałem, nędzna, była urządzona nawet dość wygodnie: stół do jedzenia, wyro do spania i pieprzenia, dziura do szczania i srania, i okno do bezmyślnego patrzenia. Moje otoczenie niczym nie różniło się od mego słownictwa.

Więzienie zawsze stanowiło znakomite miejsce dla pisarzy, gdyż za jednym zamachem neutralizowało zgubny wpływ dwóch demonów: ruchu i zmienności sytuacji. Brama Niebios nie stanowiła wyjątku; moje ciało należało do Atmosferycznego Protektoratu, jednak mój umysł - a raczej to, co z niego pozostało - był już tylko mój.

Na Starej Ziemi tworzyłem poezję za pomocą podłączonego do komputera procesora myśli, leżąc w wygodnym fotelu, unosząc się w swoim EMV nad pięknymi zatokami i o spokojnej wodzie lub przechadzając się w tę i z powrotem po cienistych altanach. Powiedziałem już, jak mało warte były pokraczne efekty moich twórczych wysiłków. Na Bramie Niebios przekonałem się, jak silne działanie stymulujące wywiera wysiłek fizyczny, szczególnie taki, od którego w każdej chwili może złamać się kręgosłup, popękać skóra lub krew uderzyć do mózgu. Dopóki jednak praca jest nie dość że uciążliwa, ale także monotonna, umysł nie tylko może wznieść się w wyższe, bardziej eteryczne rejony, ale czyni to zawsze, kiedy znajdzie ku temu sposobność.

Tak więc, wydobywając szlam z mulistego dna kanału lub pełzając wśród stalaktytów i stalagmitów utworzonych z martwych ciał bakterii, których zadanie polegało na uzdatnianiu tutejszej atmosfery, stałem się prawdziwym poetą.

Brakowało mi tylko słów.

William Gass, najwyżej ceniony dwudziestowieczny pisarz, powiedział w jednym z wywiadów: "Słowa są najważniejsze. Mają własny rozum".

Zgadza się. Jest to prawda równie oczywista i łatwo dostrzegalna jak każda idea, jaka kiedykolwiek rzuciła cień na wejście do mrocznej jaskini naszej percepcji. Ale słowa są także zdradzieckimi pułapkami, czyhającymi na każdy, nawet najmniejszy błąd. Słowa kierują nasze myślenie na kręte ścieżki uludy, a fakt, że większość życia spędzamy w zamkach, które z nich właśnie wybudowaliśmy, dowodzi ponad wszelką wątpliwość, iż brakuje nam obiektywizmu, bez którego nie sposób dostrzec ogromnych zniekształceń rzeczywistości powodowanych przez język. Przykład: chiński piktogram oznaczający "uczciwość" jest dwuczęściowym symbolem przedstawiającym człowieka stojącego obok jego słowa. Jak na razie, wszystko w porządku. Czy jednak w podobny sposób dałoby się oddać słowo "jednorodność"? Albo "ojczyzna"? Albo "postęp"? Albo "demokracja"? Albo "piękno"? A jednak, mimo że obracamy się wśród tworzonych przez nas samych złudzeń, stajemy się bogami.

Pewien filozof i matematyk nazwiskiem Russell, który żył i umarł w tym samym stuleciu co Gass, napisał kiedyś: "Język służy nie tylko do wyrażania myśli, ale także do urzeczywistniania tych myśli, które bez niego nigdy nie mogłyby zaistnieć". Na tym właśnie polega twórczy geniusz ludzkości: jej szczytowymi osiągnięciami nie są wcale udogodnienia cywilizacyjne ani mordercze rodzaje broni, które mogą to wszystko spopielić, lecz słowa zapładniające nowe koncepcje niczym plemniki jajo. Można się nawet zastanawiać, czy przypadkiem syjamski duet słowo-myśl nie stanowi jedyne wkładu ludzkości w tak zwany rozwój tego poplątanego wszechświata. (Owszem, nasze DNA także jest jedyne i niepowtarzalne, ale to samo o swoim DNA mogłaby powiedzieć na przykład salamandra. Owszem, wytwarzamy artefakty, ale podobnie czyni wiele innych stworzeń, od bobrów poczynając, na wielkich mrówkach kończąc - ich kopce widzieliśmy niedawno na brzegu. Owszem, tkamy rzeczywistość z matematycznej przędzy, ale w otaczającym nas świecie aż roi się od arytmetyki. Wystarczy narysować koło, a już wyskakuje z niego π . Wystarczy odkryć nowy układ słoneczny, a już pojawiają się równania Tycho Brahe'a. Powiedźcie mi jednak, gdzie w całym kosmosie znajdziecie choćby jedno, jedyne słowo?) Trafiliśmy nawet na ślady innych rozumnych istot - latający mieszkańcy Jowisza II, budowniczości labiryntów, telepaci z Hebronu, Skoczkanie z Durulisa, twórcy Grobowców Czasu, wreszcie sam Chyżwar - lecz nie na ich język, nie na słowa, którymi się posługiwali.

Poeta John Keats napisał do przyjaciela nazwiskiem Bailey: "Nic nie jest dla mnie pewne, z wyjątkiem świętości uczuć przechowywanych w sercu i prawdy, jaką pozwala dojrzeć wyobraźnia. To, co wyobraźnia postrzega jako piękno, musi bowiem

być prawdą, bez względu na to, czy istniało wcześniej, czy też nie”.

Chiński poeta George Wu, który zginął w Ostatniej Wojnie Chińsko-Japońskiej mniej więcej trzysta lat przed hegirą, doskonale zdawał sobie z tego sprawę, kiedy zapisywał w komlogu: “Poeci są dla rzeczywistości kimś w rodzaju szalonych akuszerok: nie widzą tego, co jest, ani tego, co będzie, jedynie to, co - ich zdaniem - być musi”. Później, na ostatnim dysku, jaki przesłał swej ukochanej na tydzień przed śmiercią, dodał: “Słowa to tylko kule w bandolierze prawdy, snajperami zaś są poeci”.

Jak wiecie, na początku było Słowo. A Słowo stało się ciałem utkanym z naszego wszechświata. Tylko poeta jest w stanie go rozszerzyć i znaleźć skrót prowadzące do innych rzeczywistości, tak jak napęd Hawkinga pozwolił znaleźć skrót pod barierami Einsteinowskiej czasoprzestrzeni.

Uświadomiłem sobie, że po to, by zostać poetą - prawdziwym poetą - trzeba najpierw stać się awatarą całej ludzkości. Okrywając się płaszczem poety, biorę na barki krzyż Syna Człowieczego i czuję skurcze porodowe, szarpiące trzewiami Matki Ziemi.

Stając się poetą, staję się Bogiem.

Próbowałem wytłumaczyć to moim przyjaciółom z Bramy Niebios.

- Sikać, gówno - powiedziałem. - Dupa matkojebca, cholera gówno cholera! Cipa. Siusiu cipa. Cholera!

Potrząsnęli głowami, uśmiechnęli się i poszli sobie. Wielcy poeci rzadko kiedy znajdują zrozumienie za życia.

Z żółtobrazowych chmur lał się strumieniami kwaśny deszcz, a ja brodziłem po pas w błocie i usuwałem błyskawicznie mnożące się glony z wylotów kanałów ściekowych miasta. Stary Fleja zginął w wypadku podczas drugiego roku mojego pobytu na Bramie Niebios, kiedy pracowaliśmy przy budowie przedłużenia Głównego Kanału do Środkowej Niziny Błotnej. Skoczył przed spychacz, żeby ocalić samotną różę siarczaną, a wtedy mokra ziemia obsunęła mu się pod stopami i ześlizgnął się prosto pod lemiesz. Wkrótce potem Kiti wyszła za mąż. Od czasu do czasu dawała jeszcze dupy robotnikom, ale widywałem ją coraz rzadziej, a wreszcie dowiedziałem się, że umarła przy porodzie wkrótce po wielkim tsunami, które zrównało z powierzchnią ziemi Błotne Miasto. Wciąż pisałem wiersze.

Jak to jest, możecie zapytać, że ktoś pisze wiersze, mimo iż całe jego słownictwo składa się z dziewięciu wyrazów zachowanych jakimś cudem w prawej

półkuli mózgu?

Odpowiedź brzmi tak, że ja w ogóle nie używałem słów. Słowa są w poezji rzeczą wtórną. Najważniejsza jest prawda. Miałem do czynienia z *Ding an sich*, tworem ukrytym zazwyczaj głęboko w cieniu, tworzyłem śmiało koncepcje, budowałem przenośnie i porównania w taki sam sposób, jak inżynier wznosiłby drapacz chmur: najpierw stalowy szkielet, a dopiero dużo później, na samym końcu, szklane, plastikowe i aluminiowe ściany.

A potem... Potem słowa zaczęły powracać. Ludzki mózg wykazuje niesamowitą zdolność adaptacji. To, co zginęło w lewej półkuli, odnalazło się w prawej, zdobywając powoli coraz to nowe obszary, zupełnie jak pionierzy, którzy wędrują ostrożnie za szalejącym pożarem; co prawda ogień niszczy wszystkie rośliny, jakie rosły na prerii, ale za to użyznia glebę. Słowa i całe zwroty wylaniały się stopniowo z otchłani, nad którą do tej pory balansowałem, niczym imiona towarzyszy zabaw z dzieciństwa. Za dnia harowałem na bagnistych polach, wieczorem zaś siadałem przy koślawym stole i przy blasku syczącej lampki olejnej pisałem *Pieśni*. Mark Twain powiedział kiedyś, że różnica między “właściwym słowem” a “częściowo właściwym słowem” jest taka sama jak między “prawdziwymi pieniędzmi” a “częściowo prawdziwymi pieniędzmi”. Miał rację, ale nie do końca. Podczas długich miesięcy, jakie spędziłem na Bramie Niebios, tworząc swoje *Pieśni*, przekonałem się wielokrotnie, że różnica między znalezieniem właściwego słowa a zaakceptowaniem częściowo właściwego sprowadza się do różnicy między trafieniem przez piorun a obserwowaniem burzy z bezpiecznej odległości.

Pieśni przybywało z każdym dniem. Pisałem je na rozłazących się płachtach uzyskiwanych z wielokrotnie przetworzonych włókien wodorostów, które pełniły funkcję papieru toaletowego, za pomocą taniego plastikowego pióra, kupionego w kantynie. W miarę jak odzyskiwałem coraz więcej słów, musiałem intensywniej zastanawiać się nad odpowiednią formą. Przywoławszy z pamięci nauki don Baltazara, spróbowałem najpierw szlachetnego w swej stateczności, epickiego wersu Milтона. Potem, kiedy już poczułem się nieco pewniej, dodałem nieco romantycznej zmysłowości Byrona, doprawionej Keatsowską starannością stylu, wymieszałem to wszystko z błyskotliwym cynizmem Yeatsa, a dla poprawienia aromatu przyprawiłem szczyptą mrocznej, scholastycznej arogancji Pounda. Następnie dochodziły kolejno: kontrolowana wyobraźnia Eliota, plastyczność opisów Dylana Thomasa, przecucie zbliżającej się zagłady Delmore’a Schwartza, umiłowanie niesamowitości Steve’a Tema, niewinność Salmuda Brevy’ego, zamiłowanie Datona do karkołomnych

igraszek z rymami, charakterystyczne dla Wu umiłowanie tego, co fizyczne i dotykane, a wreszcie beztroskie rozbawienie Edmonda Ki Ferrery.

Jak łatwo się domyślić, na koniec wylałem precz tę miksturę i napisałem *Pieśni* po swojemu.

Gdyby nie Unk, miejscowy osiłek, prawdopodobnie po dziś dzień tkwiłbym na Bramie Niebios, za dnia kopiąc kanały, wieczorem zaś tworząc kolejne księgi *Pieśni*.

Miałem akurat wolny dzień i szedłem z jedynym egzemplarzem mego dzieła do biblioteki, która mieściła się w siedzibie kompanii, żeby uzyskać odpowiedzi na kilka gnębiących mnie pytań, kiedy z bocznej uliczki wyłonił się Unk w towarzystwie dwóch koleśków i zażądał natychmiastowego uregulowania haraczu za kolejny miesiąc. Na Bramie Niebios nie używaliśmy kart uniwersalnych i za wszystko płaciliśmy albo firmowymi kuponami, albo nielegalnymi markami. Nie miałem ani jednych, ani drugich. Unk zażyczył sobie obejrzeć zawartość mojej plastikowej torby, a ja bez zastanowienia odmówiłem. Był to poważny błąd. Gdybym pokazał mu rękopis, prawdopodobnie poszarpałby go trochę i wdeptał w błoto, po czym spuściłby mi niezbyt tęgie lanie, grożąc, że następnym razem nie wykpię się tak tanim kosztem. Moja odmowa jednak rozjuszyła go do tego stopnia, że do spółki z tamtymi dwoma neandertalczykami zatłukł mnie niemal na śmierć.

Traf chciał, iż niedługo potem nad miejscem zdarzenia przelatywał EMV z żoną głównego kontrolera jakości powietrza na pokładzie. Kobieta ta kazała pilotującemu maszynę androidowi wylądować, zabrać to, co zostało ze mnie i z moich *Pieśni*, a następnie zawiozła mnie do szpitala kompanii. Robotnicy otrzymywali pomoc medyczną - o ile w ogóle ją otrzymywali - w zautomatyzowanym bioambulatorium, ale władze szpitala nie śmiały odmówić żonie wysokiego funkcjonariusza, więc zostałem przyjęty i odzyskiwałem szybko siły, doglądany przez prawdziwych lekarzy oraz dobrą kobietę, która ocaliła mi życie.

Żeby z długiej banalnej historii uczynić krótką banalną historię, przejdę od razu do finału. Helenda - tak miała na imię żona kontrolera - przeczytała rękopis. Ponieważ spodobał się jej, jeszcze tego samego dnia udała się wraz z nim przez transmitter na Renesans, gdzie pokazała go swojej siostrze Felii; ta z kolei miała przyjaciółkę, której kochanek znalazł kogoś w wydawnictwie Transline. Kiedy nazajutrz odzyskałem przytomność, przekonałem się, że mam sklezione żebra, zrośniętą kość policzkową, zagojone zadrapania, kilka nowych zębów, nową rogówkę w lewym oku oraz kontrakt z Transline.

Książka ukazała się pięć tygodni później. Tydzień po tym Helenda rozwiodła się z mężem i wyszła za mnie. Dla niej było to siódme małżeństwo, dla mnie pierwsze. Miesiąc miodowy spędziliśmy na Pasażu, a po powrocie dowiedzieliśmy się, że moja książka rozeszła się w nakładzie miliarda egzemplarzy, będąc pierwszym od czterystu lat dziełem poetyckim, które trafiło na listy bestsellerów, ja zaś zostałem wielokrotnym milionerem.

Redaktorem, który współpracował ze mną z ramienia Transline, była Tyrena Wingreen-Feif. To ona wpadła na pomysł, żeby nadać książce tytuł *Umierająca Ziemia* (co prawda pięćset lat wcześniej ukazała się powieść pod tym samym tytułem, ale prawa autorskie już dawno wygasły i nikt nie planował wznowienia). Ona też uznała za stosowne opublikować jedynie fragmenty *Pieśni*, które opisywały ostatnie dni Starej Ziemi, usuwając te, które - jej zdaniem - mogły znudzić czytelnika: wszelkie dywagacje filozoficzne, opisy postępowania mojej matki, cytaty z dawnych poetów, eksperymenty formalne, informacje o moim życiu osobistym. Wyrzuciła wszystko, z wyjątkiem idyllicznych opisów, które, odarte z bogatej otoczki, wydawały mi się sentymentalne i naiwne. Po czterech miesiącach *Umierająca Ziemia* osiągnęła nakład dwóch i pół miliarda egzemplarzy, jej skrócona i uproszczona wersja znalazła się w ogólnie dostępnych datasferach wszystkich planet, a wydawnictwo otrzymało pierwsze propozycje od producentów, którzy chcieli kupić prawa do holowizyjnej adaptacji. Zdaniem Tyreny, swoje gigantyczne powodzenie książka zawdzięczała temu, że ukazała się w najlepszym momencie: traumatyczny wstrząs po zagładzie Ziemi trwał prawie sto lat, potem zaś nastąpił okres wzmożonego zainteresowania ojczyzną planetą ludzkości. Moje dzieło znakomicie utrafiło w gusta szerokiej publiczności.

Jeżeli o mnie chodzi, to pierwsze miesiące popularności okazały się dla mnie znacznie trudniejsze i bardziej dezorientujące niż nagła przemiana z rozpieszczonego syna Starej Ziemi w wykonującą niewolniczą pracę ofiarę udaru mózgu na Bramie Niebios. Podpisywałem dyski z *Umierającą Ziemią* na ponad stu planetach, wystąpiłem w transmitowanym na całą Sieć programie Marmona Hamlita, rozmawiałem z przewodniczącym Senatu Senisterem Perotem oraz kilkunastoma senatorami, zostałem honorowym członkiem Międzyplanetarnego Pen-Clubu i Stowarzyszenia Pisarzy na Lususie, otrzymałem doktoraty honoris causa Uniwersytetu Nowej Ziemi i Cambridge II... Krótko mówiąc, byłem czczony,

filmowany, opisywany, pokazywany, zapraszany, cytowany, idealizowany, serializowany i wykorzystywany. Miałem mnóstwo zajęć.

Kilka notatek do szkicu na temat życia w Hegemonii:

Mój dom ma trzydzieści osiem pokoi na trzydziestu sześciu planetach. Żadnych drzwi: łukowo sklepione przejścia są jednocześnie portalami transponderów. Niektóre przesłaniają mleczne zasłony, inne są otwarte dla każdego. Każdy pokój ma wielkie okna, a w co najmniej dwóch ścianach znajdują się portale. Siedząc w wielkiej jadalni na Renesansie, widzę brązowożłociste niebo i grynszpanowe wieżycy twierdzy wzniesionej na skałach poniżej wulkanicznego szczytu, na którym jestem. Wystarczy jednak, bym zwrócił głowę w lewo, ku wejściu do najbliższego transpondera, a moim oczom ukaże się wyłożona białym dywanem podłoga pokoju gościnnego na Nigdy Więcej, za nią zaś spienione fale Morza Edgara Allana, rozbijające się z hukiem na pionowych ścianach Przylądka Prospera. Z biblioteki roztacza się panorama lodowców i zielonego nieba Nordholmu, ale uczyniwszy zaledwie dziesięć kroków, mogę zejść do zacisznego gabinetu na szczycie wieży w Karakorum, skąd często podziwiam skaliste zbocza i poszarpane wierzchołki wznoszące się w odległości dwóch tysięcy kilometrów od najbliższej ludzkiej siedziby w Republice Jamnu na Denebie Drei.

Obszerna sypialnia, którą dzielę z Helendą, kołysze się łagodnie na konarach trzystumetrowego Światodrzewa na zamieszkaną przez templariuszy Bożej Kniei i ma bezpośrednie połączenie z solarium usytuowanym na Hebronie, na jednej z jego słonych równin. Rzecz jasna, nie otaczamy się wyłącznie głuszą; jeden ze średnich pokoiów sąsiaduje z lądowiskiem śmigaczy na 138. piętrze jednej z wieżyc na Pierwszej Tau Ceti, nasze patio zaś jest położone na tarasie w najstarszej, niezwykle rojnej i gwarnej części Nowej Jerozolimy. Architekt - uczeń legendarnego Miliona DeHaVre - zawarł w projekcie kilka żarcików: schody prowadzące w dół na szczyt wieży, bezpośrednie połączenie jej z pokojem rekreacyjnym na jednym z najniższych poziomów Kopca na Lususie, a przede wszystkim przeznaczona dla gości łazienka z miską klozetową, bidetem, umywalką i kabiną prysznicową zainstalowanymi na pozabawionej wszelkich ścian tratwie, dryfującej po fioletowych wodach MarE Infinitum.

Początkowo trochę przeszkadzały mi nagłe zmiany ciężenia przy przechodzeniu z pokoju do pokoju, ale szybko przyzwyczałem się do tego, odruchowo napinając mięśnie przed wkroczeniem na Lususa, Hebron i Sol Draconis Septem, gdzie

przekraczająca ziemski standard grawitacja była dwu- a nawet trzykrotnie większa niż na pozostałych planetach. Z dziesięciu miesięcy, jakie jestem z Helendą, bardzo niewiele czasu spędzamy w domu, niemal bez przerwy wędrując z przyjaciółmi po różnych interesujących miejscach i najbardziej znanych nocnych lokalach Sieci. Nasi “przyjaciele” nazwali się Stadem Karibu dla upamiętnienia wędrownego ssaka ze Starej Ziemi. Stado składa się z pisarzy, wizualistów, intelektualistów z Pasażu, przedstawicieli środków masowego przekazu, radykalnych ARNtystów, chirurgów genetycznych, arystokratów, zamożnych nierobów pozostających bez przerwy pod wpływem narkotyków, reżyserów holowizyjnych spektakli, aktorów, ojców chrzestnych mafii oraz zmieniających się jak w kalejdoskopie bohaterów sezonu, do których ja także się zaliczam.

Wszyscy bez wyjątku piją, korzystają z symulatorów i autoimplantów, i mogą sobie pozwolić na najdroższe narkotyki. Obecnie najmodniejszy jest Czar Wspomnień. Jest to zabawka wyłącznie dla najzamożniejszych, gdyż po to, aby w pełni odczuć działanie, trzeba uciec się do pomocy całej serii kosztownych implantów. Helenda dopilnowała, żebym został we wszystkie wyposażony: biomonitory, wzmacniacze czuciowe, wewnętrzny komlog, dodatkowe połączenia nerwowe, boostery, procesory myśli, korektory genów... Rodzona matka nie poznałaby moich bebeczków.

Dwa razy spróbowałem Czar Wzpomnień. Już za pierwszym strzałem trafiam w dziesiątkę; zjawiam się w domu na Starej Ziemi dokładnie w dzień moich dziewiętych urodzin. Wszystko się zgadza: o świcie służący zbierają się na północnym trawniku i śpiewają mi *Sto lat*, don Baltazar niechętnie zwalnia mnie z lekcji, żebym mógł spędzić cały dzień z Amalfim w moim EMV, śmigając tuż nad szarymi wydmami Pustyni Amazońskiej, o zmierzchu przybywa niosąca pochodnie procesja przedstawicieli pozostałych Starych Rodzin, kolorowe opakowania prezentów lśnią w blasku księżycy i Dziesięciu Tysięcy Światła. Przebywam tam dziewięć godzin i wracam z uśmiechem na twarzy.

Druaga próba o mało nie kończy się moją śmiercią.

Mam cztery lata i zanosząc się płaczem szukam matki w niezliczonych pokojach, które czuć kurzem i starymi meblami. Pełniące rolę służby androidy próbują mnie powstrzymać, ale ja odpycham ich ręce i wybiegam na mroczny korytarz, pełen śladów pozostawionych przez zbyt liczne pokolenia, które z niego korzystały. Łamiąc pierwszy zakaz, jaki sobie przyswoiłem, otwieram drzwi do

gabinetu matki; to jej *sanctum sanctorum*, gdzie znika codziennie na trzy godziny i skąd wyłania się z subtelnym uśmiechem na ustach, a skraj jej sukni przesuwa się po dywanach z szelestem przypominającym echo westchnień jakiegoś upiora.

Matka siedzi w półmroku. Mam cztery lata i skaleczyłem się w palec, więc biegnę i rzucam się jej w ramiona.

Nie reaguje. Jedna wypielegnowana ręka leży nieruchomo na oparciu sofy, druga spoczywa na obiciu.

Cofam się, przerażony jej bezruchem, i gwałtownym szarpnięciem rozsuwam ciężkie, grube zasłony.

Matka ma oczy odwrócone białkami na zewnątrz i półotwarte usta. W kącikach ust i na doskonale zarysowanym podbródku błyszczy ślina. Wśród złocistych włosów - ma je upięte tak samo jak wszystkie Wielkie Damy - dostrzegam zimne, stalowe lśnienie przewodu symulatora i zarys wmontowanego w czaszkę gniazdko, do którego jest podłączony. Odślonięta kość jest biała. Na stoliku obok sofy leży strzykawka z resztką Czaru Wspomnień.

Zjawiają się służący i chwytają mnie za ramiona. Matka nawet nie drgnie. Wrzeszczę przeraźliwie, a oni wyciągają mnie z pokoju.

Budzę się z krzykiem.

Być może Helenda opuściła mnie tak nagle dlatego, że odmówiłem ponownego przyjęcia Czaru Wspomnień, choć - szczerze mówiąc - wątpię, czy ten fakt mógł przyczynić się do przyspieszenia jej decyzji. Byłem dla niej zabawką - dzikusiem, którego naiwność i bezradność wobec życia, jakie ona prowadziła niemal od urodzenia, niezmiernie ją bawiła. Tak czy inaczej, kiedy powiedziałem, że nie zażyję więcej Czaru Wspomnień, na wiele dni zostałem zupełnie sam. (Czas spędzony pod działaniem Czaru Wspomnień ma taką samą wartość jak czas realny; zdarzało się, że co bardziej uzależnione osoby przez większą część życia przebywały właśnie w świecie iluzji, nie zaś w rzeczywistości.)

Początkowo zabawiałem się implantami oraz innymi zabawkami technologicznymi, do których, jako członek jednej ze Starych Rodzin, nie miałem wcześniej dostępu. Najwięcej radości sprawiało mi korzystanie z datasfery - niemal bez przerwy żądałem jakichś informacji, ani na chwilę nie przerywając połączenia. Stałem się tak samo uzależniony od dopływu danych, jak Stado Karibu od narkotyków i stymulatorów. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić starego don Baltazara, jak

przewraca się w grobie widząc, że zarzuciłem przyjemność powolnego zapamiętywania na rzecz przelotnej rozkoszy natychmiastowego dostępu do implantowanej wszechwiedzy. Dopiero dużo później przekonałem się, jak wysoką zapłaciłem za to cenę; *Odyseja* w przekładzie Fitzgeralda, *Ostatni marsz* Wu i dziesiątki innych, wspaniałych dzieł, które bez uszczerbku przetrwały mój udar mózgu, teraz zostały poszarpane na kawałki, jakby za sprawą jakiegoś silnego wiatru. Dużo później, uwolniony od wszelkich implantów, z wielkim trudem zdołałem je sobie wszystkie przypomnieć.

Po raz pierwszy i ostatni w życiu wziąłem się za politykę. Spędzałem całe dni i noce na śledzeniu obrad Senatu lub podłączony do kanału informacyjnego WszechJedności. Ktoś kiedyś obliczył, że WszechJedność zajmuje się dziennie około stu aktami prawnymi Hegemonii, a ja podczas tych kilku miesięcy nie przeoczyłem żadnego z nich. Stałem się częstym gościem kanałów dyskusyjnych. Żadna sprawa nie była za mało ważna, żaden problem zbyt błahy ani żadne zagadnienie zbyt skomplikowane. Fakt, że co kilka minut musiałem nad czymś głosować, dał mi fałszywe przekonanie, że tym samym osiągam coś ważnego. Uwolniłem się od tej obsesji dopiero wówczas, kiedy pojąłem, że po to, by regularnie uczestniczyć w podejmowaniu wszystkich decyzji, musiałbym albo w ogóle nie wychodzić z domu, albo zamienić się w upiora. Człowiek poświęcający zbyt wiele uwagi swoim implantom po pewnym czasie zaczyna wyglądać bardzo żałośnie. Nie potrzebowałem szyderstw Helendy, aby uświadomić sobie, że bardzo szybko grozi mi przeistoczenie w bezmyślną gąbkę, jakich miliony zamieszkują planety Sieci, chłonącą bezkrytycznie wszystko, co dostarczą im kanały WszechJedności. Dlatego zrezygnowałem z polityki, ale znalazłem sobie nowe hobby: religię.

Stałem się religijny. Do licha, pomagałem tworzyć religie. Gnostycyzm zen przeżywał właśnie rozkwit, więc stałem się wiernym wyznawcą, biorąc często udział we wszelkiego rodzaju dysputach i prezentując bardziej ortodoksyjne poglądy niż większość muzułmanów sprzed hegiry, którzy wyruszyli na pielgrzymkę do Mekki. Poza tym, uwielbiałem przenosić się z miejsca na miejsce za pomocą transmitera materii. Za *Umierającą Ziemię* dostałem w sumie ponad sto milionów marek, które Helenda mądrze inwestowała, ale ktoś wyliczył, że samo utrzymanie takiego domu jak mój kosztuje ponad pięćdziesiąt tysięcy marek dziennie, ja zaś bynajmniej nie ograniczałem swoich podróży do trzydziestu sześciu planet, na jakich był położony. Dzięki wydawnictwu Transline otrzymałem złotą kartę uniwersalną i korzystałem z

niej bez żadnych ograniczeń, przeskakując z jednego krańca Sieci na drugi, by na odległych planetach długimi tygodniami poszukiwać swoich Miejsc Dających Siłę.

Nie znalazłem ani jednego i zarzuciłem gnostycyzm zen mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rozwiódłem się z Helendą. Okazało się wówczas, że po to, by spłacić zaległe rachunki, muszę sprzedać większość nieruchomości i wycofać niemal wszystkie pieniądze ulokowane na kontach bankowych - naturalnie mówię o tej części, która mi została, kiedy Helenda wzięła już swoją działkę. (Podpisując kontrakt ślubny przygotowany przez jej prawników, byłem nie tylko naiwny i zakochany, ale po prostu głupi.)

W końcu doszło do tego, że ograniczyłem do niezbędnego minimum korzystanie z transmitera i zwolniłem całą służbę, a jednak w dalszym ciągu wisiało nade mną widmo finansowej katastrofy.

Odwiedziłem wówczas Tyrenę Wingreen-Feif.

- Teraz nikt nie chce czytać poezji - powiedziała, przejrawszy pobieżnie cienki plik *Pieśni*, które napisałem w ciągu minionych osiemnastu miesięcy.

- Jak to? - zdumiałem się. - Przecież *Umierająca Ziemia* to poezja!

- *Umierająca Ziemia* to fuks - odparła Tyrena. Zgodnie z najnowszą modą miała długie, zielone, zakrzywione paznokcie, które teraz spoczywały na moim rękopisie niczym pazury jakiejś chlorofilowej bestii. - Sprzedała się, ponieważ masowa podświadomość potrzebowała właśnie czegoś takiego.

- Może masowa podświadomość potrzebuje także tego - odparłem, czując, że powoli zaczyna mnie ogarniać gniew.

Tyrena parsknęła śmiechem. Nie zabrzmiało to przyjemnie dla ucha.

- Martin, Martin... - westchnęła. - To jest poezja. Pisziesz o Bramie Niebios i Stadzie Karibu, ale tak naprawdę twoje wiersze są o samotności, zagubieniu, strachu i cynicznym stosunku do ludzkości.

- I co z tego?

- To, że nikt nie chce płacić za to, żeby poczytać o czyimś strachu!

Odwróciłem się od biurka i podszedłem do przeciwległej ściany pokoju. Gabinet Tyreny zajmował całe 435. piętro Wieży Transline na Pierwszej Tau Ceti. Nie było w nim okien, gdyż okrągły pokój nie miał ścian, przed upadkiem z niebotycznej wysokości chroniło użytkowników wytwarzane przez słoneczne generatory pole siłowe tak znakomitej jakości, że całkowicie niewidoczne. Miałem uczucie, że stoję na jednej szarej płycie, nad głową mam drugą, a wszystko to jest zawieszony w powietrzu, w

połowie drogi między niebem a ziemią. Patrzyłem na szkarłatne obłoki sunące pół kilometra niżej między mniejszymi wieżami i czułem, jak krew nabiega mi do głowy. Do gabinetu Tyreny nie prowadziły żadne drzwi, windy ani schody; wchodziło się do niego przez transmiter, którego ozdobny portal migotał pośrodku pomieszczenia niby jakaś abstrakcyjna holorzeźba. Przez głowę zaczęły przebiegać mi różne dziwne myśli o pożarach, nagłych awariach zasilania i innych tego rodzaju wypadkach.

- Chcesz powiedzieć, że tego nie wydasz? - zapytałem wreszcie, kiedy uznałem, że jestem w stanie nadać memu głosowi w miarę normalne brzmienie.

- Skądże znowu! - uśmiechnęła się moja redaktorka. - Zarobiłeś dla nas kilka milionów marek. Oczywiście, że to wydamy. Ja ci tylko mówię, że nikt tego nie kupi.

- Nieprawda! - wrzasnąłem. - Może nie wszyscy znają się na poezji, ale jest wystarczająco dużo ludzi, którzy czytają książki i potrafią rozpoznać dobrą literaturę.

Tym razem Tyrena nie parsknęła śmiechem, ale kąci jej zielonych warg powędrowały w górę.

- Martin, Martin... - westchnęła ponownie. - Od czasów Gutenberga odsetek ludzi wykorzystujących umiejętność czytania stale maleje. W dwudziestym wieku tylko niespełna dwa procent populacji tak zwanych demokracji przemysłowych czytało choć jedną książkę rocznie, a to było przecież jeszcze przed pojawieniem się datasfer, implantów i sztucznych środowisk informatycznych przyjaznych użytkownikowi. Na początku hegiry dziewięćdziesiąt osiem procent obywateli Hegemonii nie miało powodu, żeby czytać cokolwiek, więc nawet nie zadawali sobie trudu, żeby się tego nauczyć. Teraz jest jeszcze gorzej. Sieć zamieszkuje ponad sto miliardów istot ludzkich, z czego zaledwie niespełna jeden procent zamawia od czasu do czasu jakieś drukowane materiały, a jeszcze mniej czyta książki.

- *Umierająca Ziemia* rozeszła się w nakładzie prawie trzech miliardów egzemplarzy - przypomniałem jej.

- Owszem, ale w tym przypadku zadziałał "efekt pielgrzyma".

- Co takiego?

- "Efekt pielgrzyma". W kolonii Massachusetts - zaraz, kiedy to było? Aha, w siedemnastym wieku, na Starej Ziemi - każda szanująca się rodzina musiała mieć w domu egzemplarz Biblii, mimo że prawie nikt jej nie czytał. To samo było później z *Mein Kampf* Hitlera i *Wizjami dostrzeżonymi w oku zgilotynowanego dziecka* Stukatsky'ego.

- Kto to był Hitler? - zapytałem.

Tyrena uśmiechnęła się lekko.

- Polityk ze Starej Ziemi, który trochę pisał. Od czasu do czasu robimy jeszcze dodruki *Mein Kampf*. Co sto trzydzieści osiem lat Transline odnawia prawa autorskie.

- Słuchaj, potrzebuję jeszcze kilku tygodni, żeby dopracować *Pieśni* i zapiąć wszystko na ostatni guzik.

- Nie ma sprawy.

- Przypuszczam, że będziesz chciała przeredagować je tak samo jak poprzednim razem?

- Wcale nie - odparła Tyrena. - Możesz pisać, co tylko zechcesz.

Wybałuszyłem na nią oczy.

- Czy to znaczy, że mogę zostawić biały wiersz?

- Oczywiście.

- I filozoficzne dywagacje?

- Bardzo proszę.

- I ty opublikujesz to wszystko bez żadnych zmian?

- Naturalnie.

- Jest jakaś szansa, że ktoś to kupi?

- Absolutnie żadnej.

“Kilka tygodni” zamieniło się w dziesięć miesięcy wytężonej pracy. Odciałem dostęp do większości pomieszczeń mego domu, zostawiwszy sobie jedynie wieżę na Denebie Drei, pokój rekreacyjny na Lususic, kuchnię oraz łazienkę na tratwie pływającej po Mare Infinitum. Codziennie pracowałem przez bite dziesięć godzin, robiłem sobie przerwę na intensywne ćwiczenia fizyczne, posiłek i drzemkę, po czym zasiadałem do kolejnej ośmiogodzinnej tury. Chwilami odnosiłem wrażenie, że cofnąłem się w czasie o pięć lat, do okresu bezpośrednio po udarze, kiedy zdarzało się, iż traciłem kilka godzin, a czasem nawet cały dzień na znalezienie właściwego słowa lub sformułowania. Teraz praca posuwała się naprzód jeszcze wolniej, ja zaś w pocie czoła poszukiwałem właściwego sposobu wyrażenia ulotnych uczuć, przekazania nie do końca sformułowanych myśli i zasygnalizowania niezupełnie skryształizowanych wrażeń.

Po dziesięciu miesiącach standardowych przerwałem walkę, uznając słuszność starożytnego aforyzmu, według którego autor nigdy tak naprawdę nie kończy książki ani wiersza, tylko po prostu przerywa nad nimi pracę.

- Co o tym myślisz? - zapytałem Tyrenę, kiedy skończyła lekturę.

Zgodnie z najnowszą modą jej oczy przypominały brązowe, matowe kółka, ale i tak zauważyłem, że były pełne łez. Jedna z nich wymknęła się spod powieki; Tyrena otarła ją energicznym ruchem ręki.

- Cudowne - powiedziała.

- Staralem się przemawiać tym samym głosem co starożytni mistrzowie... - szepnąłem czując, jak niespodziewanie ogarnia mnie coś w rodzaju zawstydzienia.

- Całkowicie ci się udało.

- Interludium o Bramie Niebios jest jeszcze nieco chropawe.

- Jest doskonale.

- Chciałem w nim opowiedzieć o samotności.

- Opowiedziałeś.

- Myślisz, że to już gotowe?

- Absolutnie. To prawdziwe arcydzieło.

- I że ktoś to kupi?

- Na pewno nie.

Pierwszy nakład miał wynieść siedemdziesiąt milionów egzemplarzy. Transline wykupiło reklamy w datasferach, rozesłało informacje do wszystkich ośrodków życia intelektualnego, zdobyło pochlebne opinie najlepszych autorów, dopilnowało, żeby ukazały się recenzje w "New New York Times" i wydało fortunę na kampanię promocyjną.

Przez pierwszy rok sprzedano dwadzieścia trzy tysiące egzemplarzy. Przy mojej stawce wynoszącej 10 procent od ceny każdego egzemplarza, którą ustalono na 12 marek, zarobiłem 13800 marek z dwumilionowej zaliczki, jaką otrzymałem wcześniej od wydawnictwa. W drugim roku sprzedaż wyniosła 638 egzemplarzy. Nikt nie chciał kupić praw do sfilmowania, nikt nie był zainteresowany organizacją spotkań autorskich.

Nie można natomiast powiedzieć, żeby *Pieśniom* brakło negatywnych recenzji. "Niezrozumiałe... archaiczne... poruszają mało istotne problemy" - to z "New New York Timesa". "M. Silenus stworzył najbardziej niekomunikatywne dzieło w historii" - to Urban Kapry z TC². Najcięższy cios zadał jednak Marmon Hamlit z "Kuriera": "Jeżeli chodzi o te nowe wierszyki pana Jakmutam - nie czytałem ich. Nawet nie próbowałem".

Tyrena Wingreen-Feif nie wydawała się zbyt przejęta. Dwa tygodnie od chwili, gdy otrzymałem pierwsze recenzje, a dzień po zakończeniu trwającego trzynaście dni ponurego pijaństwa, wyszedłem z transmitera w jej gabinecie i rzuciłem się na wielki fotel z czarnej, półpłynnej pianogumy, który czał się pośrodku pokoju niczym miękka pantera. Na Pierwszej Tau Ceti trwała właśnie jedna z legendarnych burz, obejmujących swym zasięgiem całą planetę, i gigantyczne błyskawice przecinały krwistoczerwone powietrze tuż za granicą pola siłowego.

- Nie przejmuj się - powiedziała Tyrena. Tym razem miała na głowie najmodniejszą fryzurę, to znaczy włosy sterczące jak półmetrowe rogi, jej strój zaś składał się wyłącznie z opalizującego pola siłowego, które częściowo przesłaniało, ale w znacznie większym stopniu odsłaniało nagie ciało. - Wypuściliśmy tylko sześćdziesiąt tysięcy egzemplarzy, więc straty nie są zbyt wielkie.

- Mówiłaś, że planujecie siedemdziesiąt milionów - przypomniałem jej.

- Tak, ale zmieniliśmy zdanie po zasięgnięciu opinii naszej SI.

Odniosłem wrażenie, że fotel zapada się pode mną.

- Nawet Sztuczna Inteligencja uznała *Pieśni* za szmirę?

- Sztuczna Inteligencja uznała *Pieśni* za arcydzieło - odparła Tyrena. - Dzięki temu wiedzieliśmy już na pewno, że to będzie całkowita klapa.

Wyprostowałem się w fotelu.

- Nie mogliśmy sprzedać części nakładu TechnoCentrum?

- Sprzedaliśmy. Jeden egzemplarz. Przypuszczam, że wszystkie Sztuczne Inteligencje wchłonęły go w sekundę po zakończeniu przekazu. One niespecjalnie przejmują się naszymi prawami autorskimi.

- Aha - mruknąłem, ponownie zapadając się w pianogumę. - Co teraz?

Na zewnątrz błyskawice dorównujące rozmiarami autostradom Starej Ziemi wykonywały swój rozedrgany taniec, łącząc purpurowe obłoki ze szczytami siedzib wszechświatowych korporacji.

Tyrena wstała zza biurka i podeszła do samej krawędzi wyłożonego dywanem koła. Jej ciało migotało różnymi barwami, jakby było pokryte cienką warstwą oliwy.

- Teraz musisz zdecydować, czy chcesz być pisarzem, czy największym palantem w całej Sieci.

- Co takiego?

- Przecież słyszysz. - Tyrena odwróciła się do mnie i uśmiechnęła. Na zębach

miała złote nakładki. - Według umowy, jaką zawarliśmy, mamy prawo w dowolny sposób dochodzić zwrotu nadpłaconej zaliczki. Możemy zająć twoje konto w Interbanku, zarekwirować złote monety, które ukryłeś na Wolności, i sprzedać twój cudaczny dom. Wtedy bylibyśmy kwita, a tobie nie pozostałoby nic innego, jak dołączyć do artystycznych nieudaczników i wariatów, którymi Smutny Król Billy otacza się na tej swojej zakazanej planetce.

Wpatrywałem się w nią bez słowa. Tyrena po raz drugi obdarzyła mnie złotozębym, drapieżnym uśmiechem.

- Możemy także chwilowo zapomnieć o naszych rozliczeniach i pozwolić ci przystąpić do pracy nad kolejną książką.

Moja kolejna książka ukazała się pięć miesięcy standardowych później. *Umierająca Ziemia II* zaczynała się tam, gdzie skończyła się *Umierająca Ziemia*, tyle tylko że tym razem była to zwyczajna proza, długość zdań zaś i układ rozdziałów zostały dostosowane do wyników bioneurologicznych testów przeprowadzonych na wybranej losowo grupie sześciuset trzydziestu ośmiu przeciętnych czytelników. Książka była na tyle cienka, żeby nie odstraszyć potencjalnego nabywcy, okładkę natomiast zdobił animowany hologram, na którym jakiś wysoki, muskularny osobnik - prawdopodobnie Amalfi Schwartz, choć w rzeczywistości mój przyjaciel był niski, błądy i nosił szkła korekcyjne - zdiera suknię z broniącej się rozpaczliwie, jasnowłosej piękności, ona zaś odwraca się do czytelnika i wzywa pomocy omdlewającym głosem Leedy Swann, jednej z największych gwiazd pornograficznych holofilmów.

Umierająca Ziemia II rozeszła się w nakładzie dziewiętnastu milionów egzemplarzy.

- Całkiem nieźle - stwierdziła Tyrena. - Zawsze trzeba trochę czasu na zdobycie czytelników.

- Pierwsza *Ziemia* miała trzy miliardy nakładu - zauważyłem.

- "Efekt pielgrzymy" - odparła. - *Mein Kampf*. Coś takiego zdarza się raz na sto lat, albo i rzadziej.

- Niemniej trzy miliardy...

- Posłuchaj - przerwała mi. - W dwudziestym wieku na Starej Ziemi wielkie korporacje prowadzące sieć tanich restauracji wycinały z tusz wołowych najgorsze części, smażyły je na starym tłuszczu, dodawały nieco rakotwórczych przypraw,

zawijały to w papier i sprzedawały w liczbie dziewięciuset miliardów sztuk rocznie. Tacy właśnie są ludzie. Sam się o tym przekonasz.

W *Umierającej Ziemi III* pojawiły się nowe postaci: Winona, zbiegła niewolnica, która jakiś czas później stała się właścicielką ogromnej plantacji plastowłókników (nieważne, że plastowłókniki nigdy nie rosły na Ziemi); Arturo Redgrave, nieustraszony przemytnik (tylko co on miał przemycać, do diabła?); a także Innocence Sperry, dziewięcioletnia telepatka umierająca na jakąś śmiertelną, choć nie zidentyfikowaną chorobę. Innocence dociągnęła jednak aż do *Umierającej Ziemi IX*, a kiedy Transline wreszcie pozwoliło mi ukatrupić gówniarę, urządziłem sobie sześciopijackie pijaństwo na dwudziestu planetach. Obudziłem się w kanale odpływowym na Bramie Niebios z największym kacem we wszechświecie oraz graniczącym z pewnością przekonaniem, iż już wkrótce będę musiał rozpocząć pracę nad dziesiątym tomem *Kronik Umierającej Ziemi*.

Nietrudno jest być twórcą pozbawionych wszelkich ambicji bestsellerów. Sześć lat standardowych, jakie dzieliły *Umierającą Ziemię II* od *Umierającej Ziemi IX*, minęło właściwie bezboleśnie. Prawie wcale nie przygotowywałem się do pisania, budowałem akcję splecioną z bezsensownych wątków, postaci, które wychodziły spod mojego pióra, były miałkie i dwuwymiarowe, styl prymitywny - ale za to mogłem dowolnie dysponować wolnym czasem. Ożeniłem się jeszcze dwa razy; każda żona odeszła ode mnie bez większego żalu, za to ze znaczną częścią honorarium za którąś *Umierającą Ziemię*. Nurzałem się w religijności i alkoholu, żeby ostatecznie stwierdzić, że w tym drugim znacznie łatwiej znajduję pocieszenie.

Udało mi się zachować dom. Dodałem nawet sześć pokoi na pięciu planetach i wypełniłem je dziełami sztuki. Bawiłem się, ile wlezie. Wśród moich znajomych znajdowali się także pisarze, ale - jak zawsze - nie ufaliśmy sobie i obmawialiśmy kolegów za ich plecami, zazdroszcząc sobie nawzajem sukcesów oraz wyszukując zarówno autentyczne, jak i wymagowane błędy w utworach. Każdy pielęgnował w sercu słodkie przeświadczenie, iż tylko on jest prawdziwym artystą, który jedynie za sprawą kaprysu zdecydował się uciec na chwilę w komercję, pozostali to jedynie marni rzemieślnicy.

A potem, pewnego rześkiego poranka, kiedy obudziłem się w sypialni kołyszącej się łagodnie wśród gałęzi drzewa na planecie templariuszy, spojrzałem w

szare niebo i uświadomiłem sobie, że moja muza mnie opuściła.

Minęło pięć lat od chwili, kiedy napisałem ostatni wiersz. *Pieśni* leżały nietknięte na biurku w wieży na Denebie Drei - zaledwie kilka stron więcej ponad to, co zostało opublikowane. W pracy nad powieściami korzystałem z procesorów myśli, i kiedy wszedłem do pokoju, jeden z nich wyświetlił następujące zdanie: *Kurwa, co ja zrobiłem z moją muzą?*

Fakt, że muza uciekła ode mnie, a ja nawet tego nie zauważyłem, najlepiej świadczy o poziomie uprawianej przeze mnie twórczości. Tym, którzy nigdy nie pisali i nigdy nie czuli potrzeby tworzenia, mówienie o muzach może się wydać zwykłym bajdurzeniem. Jednak dla tych, którzy żyją dzięki Słowu, muzy są równie realne i niezbędne jak miękka glina języka, będąca dla nich podstawowym surowcem. Kiedy piszesz - naprawdę piszesz - masz wrażenie, jakbyś uzyskał bezpośrednie połączenie przez komunikator z bogami. Żadnemu prawdziwemu poecie nie udało się jeszcze opisać niezwykłego uniesienia, jakie odczuwa się wówczas, kiedy umysł staje się instrumentem takim samym jak pióro albo procesor myśli, służącym jedynie nadawaniu ostatecznego kształtu prawdom objawionym płynącym skądś.

Moja muza mnie opuściła. Szukałem jej w innych pokojach mego domu, na innych planetach, ale wszędzie odpowiadała mi tylko cisza. Przenosiłem się za pomocą transmitera w ulubione miejsca, obserwowałem zachód słońca nad niezmiernymi, falującymi preriami Trawy i nocne mgły pochłaniające czarne jak heban urwiska na Nigdy Więcej, ale choć wyrzuciłem z pamięci resztki bełkotu z ciągnącego się bez końca cyklu *Umierającej Ziemi*, nie usłyszałem znajomego szeptu muzy.

Szukałem jej także w alkoholu i Czarze Wspomnień, wracając do morderczych miesięcy na Bramie Niebios, kiedy przemawiała do mnie tak często, zmuszając do przerywania pracy albo zrywania się z barłogu w środku nocy, lecz w tych migawkach z przeszłości jej głos brzmiał cicho i zgrzytliwie, a w dodatku był niemal zupełnie niezrozumiały, jakby pochodził z uszkodzonego audiodysku, dziwnym zrządzeniem losu ocalonego z zamierzchłych czasów.

Moja muza opuściła mnie na dobre.

Zjawiłem się w gabinecie Tyreny Wingreen-Feif dokładnie o wyznaczonej godzinie. Tyrena szybko awansowała i teraz była już jednym z szefów wydawnictwa. Jej gabinet zajmował ostatnie piętro wieży Transline na Pierwszej Tau Ceti; stojąc

tam miało się wrażenie, że jest się na wyłożonym miękkim dywanem szczycie najwyższej, strzelistej jak iglica góry we wszechświecie. Wyżej była już tylko prawie niewidoczna czasza pola siłowego, a zaraz za krawędzią podłogi zaczynała się sześciokilometrowa przepaść. Zastanawiałem się, czy inni autorzy także odczuwali przemożną ochotę, żeby w nią skoczyć.

- Nowe dzieło? - zapytała Tyrena. Aktualnie w modzie dominował Lusus i wszystko, co z nim związane. "Dominacja" była właściwym słowem, gdyż mój wydawca miał na sobie skórzany, dopasowany kombinezon, zardzewiałe kolczatki na przegubach i szyi oraz pas z ładownicami przerzucony przez lewe ramię. Pociski wyglądały na prawdziwe.

- Tak - odparłem i rzuciłem na biurko rękopis.

- Martin, Martin... - westchnęła. - Kiedy wreszcie zaczniesz przysyłać nam swoje książki, zamiast zadawać sobie tyle trudu z przepisywaniem i dostarczaniem ich osobiście?

- Odczuwam wtedy coś w rodzaju satysfakcji - odparłem. - Szczególnie w tym przypadku.

- Doprawdy?

- Tak. Może przeczytasz kawałek?

Tyrena uśmiechnęła się i od niechcienia przesunęła palcami o czarnych paznokciach po pasie z ładownicami.

- Jestem pewna, że nie obniżyłeś lotów, Martin. Nie muszę tego czytać.

- Proszę.

- Doprawdy, nie widzę powodu. Zawsze czuję się trochę nieswojo, czytając książkę w obecności autora.

- Chociaż kilka stron.

Chyba usłyszała jakąś dziwną nutę w moim głosie, gdyż zmarszczyła lekko brwi i otworzyła teczkę. W miarę jak coraz szybciej przerzucała kolejne strony, zmarszczka pogłębiała się.

Na pierwszej stronie znajdowało się tylko jedno zdanie: "Pewnego pięknego październikowego poranka Umierająca Ziemia połknęła własne bebechy i zmarła w konwulsjach". Następne dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć stron było puste.

- To żart, Martin?

- Nie.

- W takim razie może jakaś subtelna aluzja? Chcesz zacząć nowy cykl

powieściowy?

- Nie.

- Może nie uwierzysz, ale spodziewaliśmy się czegoś takiego. Nasi ludzie przygotowali dla ciebie wstępne koncepcje kilku wspaniałych serializacji. M. Subwaizee uważa, że byłbyś najlepszy do cyklu o Szkarłatnym Mścicielu.

- Możecie sobie wsadzić w dupę Szkarłatnego Mściciela - odparłem uprzejmie.

- Skończyłem z Transline i tą przeżutą papką, którą nazywacie literaturą.

Twarz Tyreny nawet nie drgnęła. Bez specjalnego zdziwienia zauważyłem, że ma zęby zabarwione na brązowo, by pasowały do przerdzewiałych kolczatek na jej szyi i przegubach.

- Martin, Martin... - westchnęła. - Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak niewiele z ciebie zostanie, jeśli nie przeprosisz za ten wyskok i grzecznie nie wrócisz na swoje miejsce. Ale możemy poczekać z tym do jutra. Wracaj teraz do domu, wytrzeźwiej i przemyśl to sobie raz jeszcze.

Roześmiałem się głośno.

- Od ośmiu lat nie byłem bardziej trzeźwy niż teraz, moja damo. Po prostu potrzebowalem trochę czasu, żeby zorientować się, że nie tylko ja piszę gównem. Żadna z książek, jakie w tym roku ukazały się na obszarze Sieci, nie zasługuje na miano literatury. Ja wysiadam. To nie dla mnie.

Tyrena wstała z fotela. Dopiero teraz zauważyłem, że u jej pasa wisi bojowy paralizator. Pozostało mi tylko mieć nadzieję, iż nie jest prawdziwy.

- Posłuchaj, ty nędzny, pozbawiony krzty talentu pisarzyno! - wysyczała. - Stanowisz własność Transline, łącznie z dupą i jajami. Jeżeli zaczniesz przysparzać nam kłopotów, zmusimy cię, żebyś pisał gotyckie romanse pod pseudonimem Rosemary Titmouse. Teraz wracaj do domu, wytrzeźwiej i bierz się grzecznie do roboty nad *Umierającą Ziemią X*.

Pokręciłem z uśmiechem głową. Tyrena skrzywiła się lekko.

- Jesteś nam winien jeszcze prawie milion marek. Jak będziesz niegrzeczny, zajmiemy cały twój dom, z wyjątkiem tej cholernej tratwy, której używasz jako wychodka. Będziesz mógł na niej siedzieć tak długo, aż wypełnisz cały ocean gównem.

Roześmiałem się po raz kolejny.

.- Wszystkie nieczystości są tam natychmiast przetwarzane - powiedziałem. - Poza tym wczoraj sprzedałem dom i spłaciłem należności. Pieniądze powinny już być na waszym koncie.

Palce Tyreny gładziły uchwyt paralizatora.

- Transline ma prawa do koncepcji serii. Zatrudnimy kogoś innego.

Skinąłem głową.

- Proszę bardzo.

Kiedy zrozumiała, że mówię poważnie, wyczułem w jej głosie jakąś nową nutę. Domyśliłem się, że moje odejście może oznaczać dla niej kłopoty.

- Posłuchaj, Martin: jestem pewna, że wspólnie znajdziemy rozsądne rozwiązanie. Nie dalej niż wczoraj mówiłam dyrektorowi, że dostajesz za mały procent, i że wydawnictwo powinno pozwolić ci na większą swobodę w...

- Tyreno, Tyreno... - westchnąłem. - Żegnaj.

Przeniosłem się najpierw na Renesans, a stamtąd na Parsimonię, gdzie wsiadłem na statek, który po trzytygodniowej podróży dowiózł mnie na Asquith, gdzie znajdowało się ludne królestwo Smutnego Króla Billy'ego.

Notatki do szkicu o Smutnym Królu Billy'ym:

Jego Wysokość Król William XXIII, suwerenny władca Królestwa Windsoru na Wygnaniu, przypomina nieco świecę w kształcie człowieka, którą ktoś zostawił za blisko gorącego pieca. Jego długie, niezbyt gęste włosy opadają aż na zgarbione ramiona, a twarz jest porwana głębokimi zmarszczkami, które najpierw biegną pionowo od ust do smutnych oczu, by potem skrócić ku uszom i znowu skierować się w dół, a wreszcie zniknąć wśród fałdów skóry na podgardlu i szyi. Podobno Smutny Król Billy kojarzy się antropologom z glinianymi figurkami znajdowanymi na terenie Wielkiej Kinszasy, gnostykom zen przypomina Żalosego Buddę po pożarze świątyni na Tai Zihn, a historykom sztuki aktora nazwiskiem Charles Laughton, żyjącego przed kilkuset laty, w epoce filmu dwuwymiarowego. Dla mnie żadne z tych skojarzeń nie ma najmniejszego znaczenia, gdyż patrząc na Smutnego Króla Billy'ego, widzę don Baltazara, mojego nie żyjącego już od dawna nauczyciela, w chwilę po powrocie z jakiegoś trwającego bez przerwy przez tydzień pijaństwa.

Pogłoski o ponurym nastroju króla są znacznie przesadzone; Billy często się śmieje, i tylko fakt, że czyni to w dość szczególny sposób, sprawia, iż ludzie sądzą, że płacze.

Człowiek ma niewielki wpływ na swoją fizjonomię, ale w przypadku Jego Wysokości cała postać zdaje się świadczyć o tym, że należy albo do totalnego bufona, albo do stuprocentowego nieudacznika. Ubiera się - o ile można użyć tego słowa - w

sposób urągający poczuciu dobrego smaku i nie zwracając najmniejszej uwagi na dobór barw, a w dodatku nie przywiązuje żadnej wagi do estetyki swego stroju. W związku z tym najczęściej można go zobaczyć z rozpiętym rozporkiem, w podartej pelerynie, w kaftanie, którego lewy rękaw wlecze się po podłodze, prawy zaś, nie dość że zdecydowanie za krótki, to na dodatek wygląda tak, jakby został zanurzony w dżemie.

Macie już ogólny obraz.

Przy tym wszystkim należy jednak stanowczo zaznaczyć, że Smutny Król Billy dysponuje niezwykle przenikliwym umysłem oraz przejawia wielką namiętność do sztuki i literatury, jakiej nie widziano od czasów renesansu na Starej Ziemi.

Można powiedzieć, iż Król Billy jest jak tłuste dziecko z twarzą wiecznie przylepioną do szyby sklepu ze słodyczami. Kocha dobrą muzykę, ale sam nie gra na żadnym instrumencie. Uwielbia balet i wszystko, co subtelne, sam zaś stanowi uosobienie tego, co kłocowate i niezgrabne. Zapalony czytelnik, nieomylny znawca poezji i miłośnik krasomówstwa, ma dość wyraźną wadę wymowy, która - w połączeniu z ogromną nieśmiałością - nie pozwala mu prezentować własnych dokonań literackich.

Przysięgły kawaler, który właśnie rozpoczyna sześćdziesiąty rok życia, Król Billy mieszka w popadającym w ruinę pałacu, stanowiącym centralny punkt królestwa o powierzchni trzech tysięcy kilometrów kwadratowych. I pałac, i państwo wyglądają tak samo jak odzienie władcy. Ma się rozumieć, krążą o nim liczne anegdoty. Oto jedna z nich: pewien znany malarz, korzystający z finansowego wsparcia władcy, spotyka Jego Wysokość przechadzającego się z pochyloną głową i rękami założonymi do tyłu. Król, najwyraźniej pogrążony głęboko w myślach, jedną nogą stąpa po ścieżce, drugą zaś po rozmięklej, błotnistej ziemi. Malarz pozdrawia z szacunkiem swego mecenasa, na co Smutny Król Billy podnosi głowę i mruga raptownie, jak człowiek, którego obudzono z głębokiego snu.

- Wybacz mi - mówi do zdumionego malarza - ale m-m-mógłbyś mi powiedzieć, czy szedłem do p-p-pałacu, czy też w p-p-przeciwłą stronę?

- W kierunku pałacu, Wasza Wysokość - odpowiada artysta.

- To d-d-dobrze - mówi król. - A więc jestem już po lunchu.

Kiedy generał Horace Glennon-Height rozpoczął rebelię, prowincjonalna planeta Asquith znalazła się dokładnie na trasie jego podbojów. Ludność nie musiała

się niczego lękać - Hegemonia wysłała do obrony planety silną flotę Armii/kosmos - ale kiedy władca niewielkiego królestwa wezwał mnie do siebie, przekonałem się, że ma minę jeszcze bardziej zatroskaną niż zwykle.

- Martin, czy słyszałeś o tej b-b-bitwie o Fomalhaut? - zapytał król.

- Owszem, Wasza Wysokość - odparłem - ale nie wydaje mi się, żebyśmy musieli się czegoś obawiać. Glennon-Height może pokusić się o atakowanie tylko takich celów jak Fomalhaut - mało istotnych, o niewielkiej liczbie ludności, o długim czasowym wynoszącym co najmniej dwadzieścia miesięcy standardowych.

- Dwadzieścia trzy - poprawił mnie Król Billy. - A więc nie przypuszczasz, żeby nam coś g-g-groziło?

- Biorąc pod uwagę, że czas rzeczywisty przelotu wynosi trzy tygodnie, a nasz dług czasowy w stosunku do Sieci nie przekracza jednego roku, Hegemonia może przerzucić tu swoje jednostki bojowe dużo wcześniej, niż generał zdoła do nas dotrzeć z Fomalhaut.

- Być może -mruknął Król Billy i oparł się o kamienną kulę, po czym nagle odskoczył, kiedy zaczęła obracać się pod jego ciężarem. - Mimo to p-p-postanowiłem rozpocząć własną, skromną hegirę.

Nawet nie starałem się ukryć zaskoczenia. Billy już od prawie dwóch lat snuł plany przeniesienia swego królestwa na inną planetę, ale nie przypuszczałem, że kiedykolwiek zdobędzie się na to, by je zrealizować.

- Statki czekają na P-p-parvati - powiedział. - Asquith zgodził się zapewnić nam transport do Sieci.

- A co z pałacem? - zapytałem. - Z biblioteką? Z farmami i innymi nieruchomościami?

- Zostaną rozdane - odparł Billy. - Z wyjątkiem zawartości biblioteki, która poleci z nami.

Przysiadłem na oparciu otomany wypchanej końskim włosiem i zastanowiłem się głęboko. W ciągu dziesięciu lat, jakie spędziłem w królestwie, przeszedłem długą drogę - od jednego z tysięcy podopiecznych Billy'ego aż do kogoś w rodzaju jego powiernika i przyjaciela - ale nadal nie byłem w stanie go rozgryźć. Zaraz po moim przybyciu udzielił mi audiencji.

- Czy chcesz d-d-dolączyć do utalentowanych mieszkańców naszej małej k-k-kolonii? - zapytał.

- Tak, Wasza Wysokość.

- I będziesz dalej pisał takie k-k-książki jak *Umierająca Ziemia*?

- Jeżeli będzie to zależało ode mnie, to na pewno nie, Wasza Wysokość.

- Czytałem je wszystkie - powiedział. - Wydały mi się bardzo interesujące.

- Jesteś niezmiernie łaskaw, panie.

- G-g-gówno prawda, M. Silenus. Wydały mi się interesujące tylko dlatego, że odniosłem wrażenie, iż ktoś je mocno okroił, zostawiając tylko najgorsze fragmenty.

Uśmiechnąłem się, stwierdzając ze zdziwieniem, że chyba polubię Smutnego Króla Billy'ego.

- Natomiast *Pieśni...* - westchnął. - Tak, to była dopiero k-k-książka! Prawdopodobnie najlepszy utwór p-p-poetycki, jaki został opublikowany w Sieci co najmniej od d-d-dwustu lat. Nie mam pojęcia, w jaki sposób udało ci się doprowadzić do ich wydania. Zamówiłem dla mego królestwa d-d-dwadzieścia tysięcy egzemplarzy.

Skłoniłem w milczeniu głowę, gdyż po raz pierwszy od chwili, kiedy dotknął mnie udar mózgu, poczułem, że brak mi słów.

- Napiszesz więcej takich utworów?

- Przybyłem tu po to, aby spróbować, Wasza Wysokość.

- W takim razie witaj - powiedział Smutny Król Billy. - Zamieszkasz w zachodnim skrzydle p-p-pałacu, w pobliżu moich komnat, a moje drzwi zawsze będą stały dla ciebie otworem.

Teraz zerknąłem szybko na zamknięte drzwi, a potem na małego władcę, który - chociaż uśmiechnięty - wyglądał tak, jakby lada chwila miał zalać się łzami.

- Hyperion? - zapytałem. Wiele razy wymieniał nazwę tej odległej, prymitywnej planety.

- Dokładnie. Androidy pracują tam już od kilku lat. P-p-przygotowują wszystko na nasze przyjęcie.

Uniosłem brwi. Bogactwo Króla Billy'ego brało się nie z zasobów królestwa, lecz z poważnych inwestycji w ekonomię Sieci. Jednak nawet dla niego koszty prac rekolonizacyjnych musiały być ogromne.

- Pamiętasz może, Martin, dlaczego pierwsi k-k-koloniści nadali swojej planecie nazwę Hyperion?

- Oczywiście. Przed hegirą utworzyli małe, niezależne państewko na jednym z księżyców Saturna. Byli całkowicie uzależnieni od dostaw z Ziemi, więc kiedy ich zabrakło, wemigrowali w odległy zakątek wszechświata, zabierając ze sobą nazwę tego księżyca.

Król Billy uśmiechnął się smutno.

- A wiesz, dlaczego ta nazwa tak wspaniale pasuje do naszego przedsięwzięcia? Mój mózg potrzebował prawie dziesięciu sekund, żeby dokonać odpowiednich skojarzeń.

- Keats... - szepnąłem.

Kilka lat wcześniej, pod koniec bardzo długiej dyskusji na temat istoty poezji, Billy zapytał mnie, kto według mnie był najczystszej wody poetą w dziejach ludzkości.

- Najczystszej wody? - powtórzyłem ze zdziwieniem. - Masz może na myśli: największym?

- Nie, nie! - zaprotestował Billy. - Dyskusja o tym, kto jest największy, nie ma najmniejszego sensu. Chcę po p-p-prostu wiedzieć, kto twoim zdaniem najbardziej zbliżył się do ideału, o k-k-którym mówiłeś.

Zastanawiałem się przez kilka dni, po czym zaniósłem odpowiedź królowi, obserwującemu zachodzące słońca z krawędzi urwiska w pobliżu pałacu.

- Keats - powiedziałem.

- John Keats... - szepnął Smutny Król Billy. - Hmm... - A po chwili: - Dlaczego?

Opowiedziałem mu więc wszystko, co wiedziałem o tym dziewiętnastowiecznym poecie ze Starej Ziemi, o jego młodości, wychowaniu i przedwczesnej śmierci... ale przede wszystkim o życiu, poświęconym niemal w całości tajemnicom i pięknu twórczości poetyckiej.

Billy wydawał się wówczas dość zainteresowany, teraz zaś sprawiał wrażenie ogarniętego obsesją. Na jego znak w komnacie pojawił się wielki hologram, wypełniając ją niemal całkowicie. Cofnąłem się pod ścianę, przechodząc przez budynki, wzgórze i pasące się zwierzęta, żeby ogarnąć go w całości.

- Oto Hyperion - szepnął mój mecenas. Jak zwykle, kiedy był czymś całkowicie zaabsorbowany, przestał się jękać. Hologram zmieniał się, pokazując coraz to nowe widoki: osady położone nad rzekami i brzegami mórz, górskie przepaści, wreszcie jakieś miasto usytuowane na płaskim wzgórzu, z licznymi pomnikami wzniesionymi na wzór niezwykłych budowli znajdujących się w pobliskiej dolinie.

- Grobowce Czasu? - zapytałem.

- Tak jest. Największa tajemnica w poznanym wszechświecie.

Zmarszczyłem brwi.

- Ale one są puste - zauważyłem. - Zawsze były puste, odkąd je odkryto!

- Stanowią źródło tajemniczego, antyentropicznego pola - odparł Król Billy. - Jest to jeden z bardzo nielicznych fenomenów - naturalnie oprócz matematycznych punktów osobliwych - które bezpośrednio oddziałują na upływ czasu.

- To nic wielkiego - odparłem. - Coś w rodzaju farby antykorozyjnej, którą maluje się metalowe konstrukcje. Rzeczywiście, są bardzo trwałe, ale jednocześnie puste. A poza tym, od kiedy to zachwycamy się technologią?

- Nie technologią, tylko tajemnicą. - Bruzdy na twarzy króla jeszcze bardziej się pogłębiły. - Niezwykłością miejsca, tak ważną dla wielu twórczych umysłów. Wspaniała mieszanką klasycznej utopii i pogańskiego mitu.

Wzruszyłem ramionami.

Smutny Król Billy machnął ręką i hologram zniknął.

- Czy t-t-twoje wiersze stały się lepsze?

Skrzyżowałem ramiona i wbiłem wściekle spojrzenie w kurdupłowatego, rozmamłanego władcę.

- Nie - warknąłem.

- Czy t-t-twoja muza wróciła do ciebie?

Milczałem. Gdyby wzrok mógł zabijać, jeszcze przed zachodem słońca krzyczelibyśmy wszyscy: "Król umarł, niech żyje król!"

- T-t-to znakomicie - wydukał, udowadniając po raz pierwszy, że potrafi sprawiać wrażenie nie tylko smutnego, ale także złośliwie zadowolonego. - Pakuj b-b-bagaze, mój chłopcze. Lecimy na Hyperiona.

(wyciszenie)

Pięć statków kolonizacyjnych Smutnego Króla Billy'ego unosi się na lazurowym niebie jak złociste mleczce. Na trzech kontynentach rosną miasta o białych murach: Keats, Endymion, Port Romance... także Miasto Poetów. Ponad osiem tysięcy pielgrzymów spod znaku Sztuki próbuje uciec przed tyranią miernoty, poszukując na tej surowej planecie czegoś, co pozwoli im spojrzeć na świat z nowej, świeżej perspektywy.

Przez całe stulecie po hegirze Asquith, a szczególnie Windsor na Wignaniu, były największym ośrodkiem produkcji androidów. Teraz ci błękitnoskórzy przyjaciele człowieka pracowali z wielką gorliwością, wiedząc, że po uporaniu się z zadaniem uzyskają pełną wolność. Potomkowie pierwszych kolonistów, którym znudziło się udawać prymitywnych dzikusów, wyszli ze swoich leśnych wiosek i

pomagali nam dostosować otoczenie do ludzkich standardów. Technokraci, biurokraci i ekokraci rzucili się z zapalem na niczego nie spodziewającą się planetę, a urzeczywistnienie marzenia Smutnego Króla Billy'ego stawało się coraz bardziej realne.

Kiedy dotarliśmy na Hyperiona, generał Horace Glennon-Height był martwy, a jego krótkie, lecz krwawe powstanie stłumione, lecz my nie mieliśmy już odwrotu.

Co bardziej niespokojni duchem artyści opuścili Miasto Poetów i przenieśli się do Jacktown, Port Romance albo nawet na dzikie pogranicze, gdzie wiedli życie mniej ustabilizowane, za to z pewnością bardziej inspirujące. Ja zostałem.

Przez pierwsze lata pobytu na Hyperionie nie odzyskałem mojej muzy. Dla wielu przybyszów częściowe odizolowanie, spowodowane wielkimi odległościami i utrudnionym dostępem do środków transportu - w słabym polu magnetycznym EMV były bardzo zawodne, natomiast śmigaczy było po prostu mało - oraz brak datasfery, częstych kontaktów z WszechJednością i obecność tylko jednego komunikatora, okazało się prawdziwym dobrodziejstwem, pozwalając im odnowić nadwątlone siły twórcze i przypomnieć sobie, co to znaczy być człowiekiem i artystą.

W każdym razie tak słyszałem.

Mnie nie odwiedziła żadna muza. Moje wiersze nadal były technicznie bez zarzutu i równie martwe jak kot Hucka Finna.

Postanowiłem popełnić samobójstwo.

Najpierw jednak przez pewien czas - dokładnie przez dziewięć lat - spełniałem ważną funkcję społeczną, dostarczając nowemu Hyperionowi chyba jedynej rzeczy, jakiej mu brakowało, to znaczy dekadencji.

U pewnego biorzeźbiarza nazwiskiem Graumann Hackett zamówiłem włochatą skórę, raciczki oraz koźle nogi satyra. Oprócz tego zapuściłem brodę i kazałem wydłużyć sobie uszy, a Graumann poczynił interesujące modyfikacje w rejonie moich narządów płciowych. Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy. Tubylcze dziewczki, szlachetne żony i córki najważniejszych ludzi na planecie - wszystkie z utęsknieniem oczekiwały wizyty jedyne go satyra na stałe mieszkającego na Hyperionie albo czyniły usilne starania, żeby ją przyśpieszyć. Przekonałem się na własnej skórze, co naprawdę oznaczają terminy "bolesny wzwód prącia" i "obłęd lubieżny". Uczestnicząc niemal bez przerwy w podbojach seksualnych, zadbałem o to, by legendą obrosły także moje pijackie wyczyny, swoje słownictwo zaś ograniczyłem niemal do tych samych kilku wyrazów, jakie pozostały w prawej półkuli mego mózgu po udarze, którego doznałem

na Bramie Niebios.

Było to kurewsko wspaniałe. Było to kurewsko okropne.

A potem, tej nocy, kiedy zamierzałem palnąć sobie w łeb, pojawił się Grendel.

Kilka notatek do szkicu o potworze:

Urzeczywistniły się nasze najbardziej koszmarne sny. Coś okropnego przesłania słońce. Widma Morbiusa i Krella. Dorzuć do ognia, matko, bo dziś w nocy przyjdzie Grendel.

Początkowo myślimy, że ci, którzy zniknęli, po prostu gdzieś się zapodziali. Na murach miasta nie ma strażników, bo nie ma i murów, a przed bramami nie stoją zbrojni rycerze. Nagle mąż donosi o tym, że jego żona zniknęła bez śladu między kolacją a wieczorną kąpielą dzieci. Potem Hoban Kristus, abstrakcyjny implozjonista, po raz pierwszy nie pojawia się na cotygodniowym pokazie w Amfiteatrze Poetów. Zaniepokojenie wzrasta. Smutny Król Billy wraca z Jacktown, gdzie dogląda rozbudowy miasta, i obiecuje, że zostaną podjęte nadzwyczajne środki ostrożności. Na ulicach instaluje się czujniki reagujące na ruch. Funkcjonariusze okrętowych Służb Bezpieczeństwa przeczesują Grobowce Czasu i wracają z informacją, że wszystkie są puste. Mechaniczne sondy zagłębiają się w labirynt, do którego wchodzi się przez otwór w podstawie Starego Grobowca, lecz po przebyciu sześciu tysięcy kilometrów nie mają nic interesującego do zameldowania. Śmigacze, zarówno sterowane automatycznie, jak i z ludzką załogą, patrolują teren między miastem a Górami Cugielnymi, lecz dostrzegają tylko kilka ciepłych śladów pozostawionych przez skalne węgorze. Przez cały tydzień nie powtarza się ani jeden przypadek zniknięcia.

A potem zaczyna szaleć śmierć.

Rzeźbiarz Pete Garcia zostaje znaleziony martwy w swojej pracowni... i sypialni... i na dziedzińcu domu. Szef okrętowych Służb Bezpieczeństwa Truin Hines ze zdumiewającą beztroską informuje dziennikarzy: "Zupełnie jakby rozszarpało go jakieś wściekłe zwierzę, tyle tylko że żadne znane mi zwierzę nie mogłoby dokonać czegoś takiego".

W głębi duszy wszyscy odczuwamy przyjemny dreszcz emocji. Co prawda scenariusz jest dość kiepski, jakby żywcem zerżnięty z milionów popularnych holofilmów, ale przynajmniej jesteśmy w centrum uwagi.

Podejrzenia kierują się w najbardziej oczywistą stronę: wśród nas znajduje się psychopata, dokonujący morderstw za pomocą pulsacyjnego miecza lub bicia bożego.

Tym razem on (lub ona) nie zdążył usunąć ciała. Biedny Pete.

Kiedy szef okrętowych Służb Bezpieczeństwa Hines zostaje wylany z posady, administrator miasta Pruett otrzymuje od Jego Wysokości zgodę na utworzenie, przeszkolenie i uzbrojenie miejskiej policji w sile około dwudziestu ludzi. Rozchodzą się plotki, że cała, licząca sześć tysięcy osób społeczność Miasta Poetów ma zostać poddana testowi prawdomówności. Kawiarnie aż huczą od dyskusji na temat praw człowieka - choć przecież teoretycznie znajdujemy się poza granicami Hegemonii, więc czy mamy jakiegokolwiek prawa? - i od coraz bardziej szalonych planów schwytania mordercy.

A potem zaczyna się rzeź.

Morderstw dokonywano bez żadnego planu. Ciała były znajdowane dwójkami, trójkami, pojedynczo albo wcale. Czasem nie zostawała ani jedna kropla krwi, czasem zaś krew lała się litrami. Jedno tylko się nie zmieniało: żadnych świadków, nikogo, kto przeżył atak i mógłby coś o nim powiedzieć. Miejsce zdawało się nie odgrywać żadnej roli; rodzina Weimontów mieszkała w jednej z położonych na uboczu willi, ale Sira Rob prawie nie opuszczała pracowni w samym centrum miasta. Dwie ofiary straciły życie w nocy, podczas samotnych przechadzek po ogrodzie Zen, lecz strzeżona przez wynajętych ochroniarzy córka kanclerza Lehmana zniknęła z łazienki na szóstym piętrze pałacu Smutnego Króla Billy'ego.

Na Lususie, Pierwszej Tau Ceti oraz na kilku innych, starych planetach Sieci, śmierć tysiąca ludzi jest odnotowywana na jednej ze środkowych stron porannych gazet lub jako krótka wiadomość wprowadzona do datasfery, lecz w mieście, które liczy sobie sześć tysięcy mieszkańców, na planecie o pięćdziesięciotysięcznej populacji, nawet dziesięć morderstw stanowi dla wszystkich nie lada wstrząs.

Znałem jedną z pierwszych ofiar. Sissipriss Harris należała do tych kobiet, które udało mi się zdobyć pod postacią satyra - była przepiękną dziewczyną o jasnych włosach, zbyt miękkich, żeby mogły być prawdziwe, i o brzoskwiniowej skórze zbyt delikatnej, żeby jej dotykać. Dokładnie taki typ dziewiczej niewinności, o jakiej marzy każdy mężczyzna, aby ją zbeczczyć. Tym razem Sissipriss została zbeczczona na dobre. Znalaziono tylko jej głowę, leżącą na środku placu lorda Byrona, tak jakby nieszczęsna dziewczyna została zakopana po szyję w ziemi. Kiedy usłyszałem o wszystkich szczegółach, wiedziałem już, z jakiego rodzaju istotą mamy do czynienia, gdyż kot, którego trzymałem w domu na Starej Ziemi, przez całe lato przynosił nam

podobne podarki: łebek myszki patrzącej w niebo z bezradnym zdumieniem, a czasem głowę wiewiórki z zębami wyszczerzonymi w przerażonym uśmiechu. Trofea wiecznie głodnego drapieżnika, dumnego ze swoich zdobyczy.

Smutny Król Billy odwiedził mnie, kiedy pracowałem nad *Pieśniami*.

- Dzień dobry, Billy - powiedziałem.

- Wasza Wysokość - poprawił mnie Jego Wysokość w rzadkim przypiływie królewskiej dumy. Jąkanie zniknęło bez śladu w chwili, kiedy królewski prom wylądował na Hyperionie.

- Dzień dobry, Billy, Wasza Wysokość.

Mój pan i władca mruknął coś niezrozumiale, po czym odsunął na bok stertę papierów i usiadł na ławeczce na płamie po rozlanej niedawno kawie; ma się rozumieć, poza tą jedną płamą ławeczka była zupełnie sucha i czysta.

- Znowu piszesz, Silenus.

Nie widziałem potrzeby, żeby potwierdzać coś, co było aż nadto widoczne.

- Zawsze używasz pióra?

- Nie - odparłem. - Tylko wtedy, jeśli chcę napisać coś wartego przeczytania.

- Myślisz, że to jest warte? - zapytał, wskazując niewielki stos pokrytych ręcznym pismem kartek, który uskładałem przez minione dwa tygodnie.

- Tak.

- Tak? Po prostu "tak"?

- Tak.

- Czy będę mógł to przeczytać?

- Nie.

Król Billy dopiero teraz poczuł, że siedzi na czymś mokrym. Zmarszczył brwi, odsunął się i zaczął wycierać płamę skrajem królewskiego płaszcza.

- Nigdy?

- Chyba że mnie przeżyjesz.

- Mam taki zamiar - powiedział król - ponieważ ciebie niebawem czeka zejście śmiertelne, kiedy już będziesz wycieńczony do cna ciągłym zabawianiem owieczek.

- Czy to ma być próba metafory?

- Skądże znowu. Po prostu obserwacja.

- Nie tknąłem żadnej owcy od czasów, kiedy jako chłopiec przebywałem na farmie - odparłem. - Obiecałem matce, że bez jej zezwolenia nie będę rznął żadnych

zwierzaków.

Nie zważając na ponure spojrzenie Króla Billy'ego, zanuciłem kilka taktów starej piosenki zatytułowanej *To już ostatnia taka owieczka*.

- Martin, ktoś albo coś zabija moich podwładnych.

Odłożyłem pióro.

- Wiem o tym.

- Musisz mi pomóc.

- Jak, na litość boską? Mam wytropić mordercę jak jakiś detektyw z holofilmu?

A może wyzwąć go na pojedynek i wypruć mu wszystkie flaki?

- Byłoby wspaniale, Martin, gdyby ci się udało, ale tymczasem w zupełności wystarczy mi twoja rada i jedna lub dwie opinie.

- Opinia numer jeden: głupotą było prznosić się tutaj. Opinia numer dwa: głupotą jest tu siedzieć. Rada: spieprzajmy stąd.

- Miałbym zostawić to miasto i całego Hyperiona? - zapytał płaczącym głosem Billy.

Wzruszyłem ramionami.

Jego Wysokość wstał z ławeczki i podszedł do okna mojej niewielkiej pracowni. Wychodziło ono na alejkę trzymetrowej szerokości, po której drugiej stronie wznosiła się ceglana, ślepa ściana zakładu utylizacji ścieków. Król Billy przez dłuższą chwilę kontemlował ten widok.

- Z pewnością znasz starą legendę o Chyżwarze? - zapytał wreszcie.

- Słyszałem to i owo.

- Tubylcy łączą potwora z Grobowcami Czasu - zauważył.

- Tubylcy smarują sobie farbą brzuchy, żeby zapewnić dobry urodzaj, i palą nie oczyszczony tytoń - odparłem.

Billy skinął głową, przez jakiś czas dumał nad mądrością mojego spostrzeżenia, po czym powiedział:

- Kiedy na planecie wylądował Zespół Pierwszego Kontaktu, ustawili w tym rejonie wielozakresowe nadajniki, a sami trzymali się na południe od gór.

- Słuchaj no... To znaczy: Wasza Wysokość, czego właściwie ode mnie chcesz? Rozgrzeszenia za to, że spieprzyłeś sprawę i kazałeś zbudować miasto właśnie tutaj? Proszę bardzo, masz rozgrzeszenie. Idź i nie grzesz więcej, synu. A teraz, jeśli Wasza Królewska Mość nie ma nic przeciwko temu, to *adios*. Mam jeszcze do napisania parę świńskich limeryków.

Król Billy nadal stał przy oknie.

- A więc sądzisz, że powinienem ewakuować miasto?

Wahałem się tylko przez ułamek sekundy.

- Jasne.

- I odleciałbyś razem z innymi?

- Dlaczego nie miałbym tego zrobić?

Billy odwrócił się i spojrzał mi prosto w oczy.

- Naprawdę zrobiłbyś to?

Milczałem, a po kilku sekundach odwróciłem wzrok.

- Tak właśnie myślałem - powiedział władca planety, po czym założył do tyłu pulchne ręce i ponownie zaczął wpatrywać się w ceglana ścianę po drugiej stronie alejki. - Gdybym był detektywem, z pewnością nabrałbym podejrzeń - ciągnął. - Największy nierób i wałkoń w mieście zaczyna pisać po dziesięcioletnim milczeniu zaledwie... ile, Martin? Dwa dni po pierwszych morderstwach. Zniknął z życia społecznego, w którym jeszcze niedawno stanowił główną postać, by poświęcić się pisaniu epickiego poematu. Nawet młode dziewczęta nie muszą już lękać się jego capich zalotów.

Westchnąłem głośno.

- Capich zalotów, panie?

Billy zerknął na mnie przez ramię.

- W porządku - powiedziałem. - Masz mnie. Przyznaję się do wszystkiego. Zabijałem tych ludzi, a potem kąpałem się w ich krwi. To najbardziej rajcujący afrodyzjak we wszechświecie. Planuję jeszcze dwa... no, może trzy trupy, a potem przerwa, bo książka będzie już gotowa do wydania.

Król Billy znowu odwrócił się do okna.

- Co jest, nie wierzysz mi?

- Nie.

- A dlaczego?

- Ponieważ wiem, kto jest mordercą - oświadczył Smutny Król Billy.

Siedząc przed projektorem obserwowaliśmy, jak Chyżwar zabija powieściopisarkę Sirę Rob i jej kochanka. Obraz był bardzo ciemny; niemłode już ciało Siry zdawało się lekko fosforyzować, podczas gdy białe pośladki jej chłopca sprawiały wrażenie, jakby unosiły się w powietrzu, oddzielone od reszty opalonego

ciała. Zbliżali się do szczytu uniesienia, kiedy zdarzyło się coś niewytłumaczalnego. Zamiast wykonać ostatnie, gwałtowne pchnięcia, a potem znieruchomieć na kilka sekund w spazmie rozkoszy, młody mężczyzna nagle oderwał się od kobiety i poszybował w górę, jakby Sira z ogromną siłą wypchnęła go ze swego ciała. Odgłosy, które do tej pory docierały do naszych uszu - zwykle w takich sytuacjach jęki, posapywania, westchnienia, udzielane szeptem wskazówki - ustąpiły miejsca przeraźliwym krzykom.

Ciało chłopca rąbnęło z łoskotem w ścianę poza zasięgiem kamery. Sira leżała na łóżku w wyzywającej, a zarazem tragiczno-komicznie bezradnej pozie: szeroko rozrzucone nogi i ramiona, spłaszczone piersi, biodra wciśnięte w materac. Miała głowę odrzuconą do tyłu, ale zdążyła ją już unieść; na twarzy kobiety pojawił się najpierw wyraz gniewu i zdziwienia, potem zaś grymas potwornego przerażenia. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Rozległ się mrozący krew w żyłach, wilgotno-trzeszczący odgłos rozdieranego ciała oraz chrzęst zrywanych ścięgien i łamanych kości. Sira ponownie przechyliła głowę do tyłu, otworzyła usta jeszcze szerzej, potem zaś jej ciało poniżej szyi dosłownie eksplodowało, zupełnie jakby niewidzialny rzeźnik robił z kobiety rąbanke, a jakiś szalony chirurg przeprowadzał jednocześnie operację, tnąc na oślep skalpelami. Była to brutalna sekcja przeprowadzana na żywym człowieku... a raczej na jeszcze przed chwilą żywym, bo kiedy krew przestała tryskać i ustały gwałtowne drgawki, Sira znieruchomiła na łóżku z jeszcze szerzej niż przedtem rozrzuconymi nogami, bezwstydnie prezentując krwawą masę wywleczonych na wierzch wnętrzości. Przy łóżku na ułamek sekundy pojawiło się coś czerwono-srebrzystego.

- Zatrzymaj, rozjaśnij i powiększ - polecił Król Billy komputerowi.

Rozmazana plama okazała się głową jakby przeniesioną prosto z koszmarnego, narkotycznego widzenia: częściowo trupia czaszka, a częściowo chromowana stal, zęby jak u wilka, szczeka jak łyżka koparki i oczy - krwawe klejnoty, przez które prześwieca światło rubinowego lasera; na czole zakrzywione trzydziestocentymetrowe ostrza, takie same jak na szyi i karku.

- Chyżwar? - zapytałem.

Król Billy niemal niedostrzegalnie skinął głową.

- Co się stało z chłopcem?

- Ani śladu - odparł król. - Nie wiedzieliśmy, że tam był, dopóki nie znaleźliśmy tego dysku optycznego. Zidentyfikowano go jako młodego specjalistę od rekreacji z

Endymiona.

- A w jaki sposób znaleźliście dysk?

- Ekipa, która badała miejsce zbrodni, natrafiła na kamerę w suficie. Obiektów miał niecały milimetr średnicy. Później okazało się, że Sira zgromadziła całą kolekcję takich dysków. Na wszystkich były zarejestrowane jej... eee...

- Wyczyny miłosne - odpowiedziałem.

- Właśnie.

Wstałem z fotela i podszedłem do zawieszanej w powietrzu podobizny potwora. Moja ręka przeniknęła przez czaszkę, szczękę i zęby. Jeżeli wyliczenia komputera sterującego projektorem były prawidłowe, to miejscowy Grendel miał ponad trzy metry wzrostu.

- Chyżwar... - mruknąłem. Myślę, że miało to być coś w rodzaju przywitania.

- Co możesz mi o nim powiedzieć?

- Dlaczego ja? - zachnąłem się. - Jestem poetą, nie zajmuję się historią mitów.

- Pytałeś komputer statku kolonizacyjnego o pochodzenie i historię Chyżwara.

Uniosłem brwi. Teoretycznie dostęp do komputera opierał się na tych samych zasadach, co korzystanie z datasfery na obszarze Hegemonii: całkowita anonimowość i zakaz rejestrowania indywidualnych połączeń.

- I co z tego? - prychnąłem. - Odkąd zaczęły się morderstwa, z pewnością uczyniły to setki ludzi. Może nawet tysiące. To przecież jedyna pieprzona legenda o potworze, jaką mamy.

Bruzdy na twarzy Króla Billy'ego powędrowały najpierw w górę, potem w dół.

- Rzeczywiście - odparł - tyle tylko że ty zażądałeś tych informacji na trzy miesiące przed pierwszym zniknięciem.

Z ciężkim westchnieniem opadłem z powrotem na poduszki fotela.

- W porządku. I co z tego? Chciałem wykorzystać tę pieprzoną legendę w pieprzonym poemacie, nad którym pracuję. Proszę bardzo, aresztuj mnie.

- Czego się dowiedziałeś?

Wkurzyłem się na dobre. Tupnąłem racicą, ale efekt był raczej mizerny, gdyż ugrzęzła w miękkim dywanie.

- Tego, co jest w pieprzonej pamięci komputera! - warknąłem. - O co ci właściwie chodzi, Billy?

Król potarł czoło i skrzywił się boleśnie, gdyż przypadkiem wsadził sobie w oko mały palec.

- Nie wiem - odparł. - Ludzie ze Służby Bezpieczeństwa chcieli zabrać cię na statek i poddać pełnej procedurze interwencyjnej, ale ja uznałem, że lepiej będzie, jeśli po prostu z tobą porozmawiam.

Zamrugalem raptownie, czując nieprzyjemną pustkę w żołądku. Pełna procedura interwencyjna oznaczała stymulację nerwową i sondy mózgowe. Większość ludzi prędzej lub później odzyskiwała po tym zdrowe zmysły.

Większość.

- Możesz mi powiedzieć, jaki aspekt legendy o Chyżwarze pragnęś wykorzystać w swoim poemacie? - zapytał łagodnie Billy. .

- Jasne. Według swych wyznawców Chyżwar jest Władcą Bólu i Aniołem Ostatecznego Odkupienia, który przybył spoza naszego czasu, aby obwieścić koniec ludzkości. Spodobała mi się ta koncepcja.

- Koniec ludzkości... - powtórzył król.

- Właśnie. Stanowi coś w rodzaju połączenia archaniola Michała, Szatana, Zamaskowanej Entropii oraz potwora Frankensteina. Kręci się koło Grobowców Czasu, czekając na odpowiednią porę, żeby wziąć się na dobre do roboty i odesłać ludzkość do Muzeum Wymarłych Gatunków, gdzie *Homo sapiens* zajmie honorowe miejsce obok ptaka dodo, goryla i kaszalota.

- Potwór Frankensteina... - mruknął nieduży, tłusty człowieczek w wymiętej pelerynie. - Dlaczego właśnie on?

Odetchnąłem głęboko.

- Ponieważ wyznawcy Chyżwara wierzą, że ludzie sami go stworzyli - wyjaśniłem, choć w głębi duszy byłem przekonany, że mój rozmówca wie na ten temat znacznie więcej ode mnie.

- Czy istnieje jakiś sposób, żeby go zgładzić? - zapytał.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Podobno jest nieśmiertelny i nie podlega prawom czasu.

- Bóg?

Zawahałem się.

- Niezupełnie. Już prędzej niespodziewanie ucieleśniony jeden z najgorszych koszmarów wszechświata. Coś w rodzaju Kuby Rozpruwacza ze skłonnością do nadziewania ludzkich dusz na wielkie, cierniste drzewo - tyle tylko że te dusze najczęściej tkwią jeszcze w ciałach.

Król Billy skinął głową.

- Posłuchaj, jeżeli nagle tak bardzo zainteresowała cię prymitywna teologia zacofanych planet, to może po prostu poleciałbyś do Jacktown i poprosił jakiegoś kapłana Kościoła Chyżwara, żeby ci wszystko wyjaśnił?

- Nie ma potrzeby - odparł Billy, najwyraźniej myśląc już o czymś innym. - Wszyscy są właśnie poddawani przesłuchaniu na pokładzie statku, ale nie można wyciągnąć z nich nic sensownego.

Wstałem z fotela, niezbyt pewien, czy będzie mi wolno odejść.

- Martin...

- Tak?

- Czy przychodzi ci do głowy coś, co mogłoby pomóc nam uporać się z tym problemem?

Zatrzymałem się w drzwiach, czując, że serce łomocze mi w piersi jak szalone, próbując wydostać się na zewnątrz.

- Owszem - odparłem drżącym głosem. - Mogę ci powiedzieć, czym naprawdę jest Chyżwar.

- Tak?

- Moją muzą - odparłem, po czym odwróciłem się i zniknąłem w pracowni, aby dalej pisać.

Oczywiście, że to ja wezwałem Chyżwara. Nie ulegało to dla mnie żadnej wątpliwości. Wezwałem go, gdyż zacząłem pisać o nim poemat. Na początku było Słowo.

Zatytułowałem poemat *Pieśni Hyperiona*. Wbrew tytułowi nie opowiadał o planecie, tylko o zmierzchu rasy samozwańczych tytanów - ludzi. Opowiadał o bezmyślności gatunku, który przez zwykłą bezmyślność doprowadził do zagłady ojczystej planety, a następnie poniósł swoją arogancję ku gwiazdom, gdzie dosięgnął go słuszny gniew wymyślonego przez niego boga. *Pieśni Hyperiona* były pierwszym poważnym utworem, jaki napisałem od wielu lat, i z pewnością najlepszym, jaki w życiu stworzyłem. To, co zaczęło się jako częściowo poważny, a częściowo komiczny hołd złożony cieniowi Johna Keatsa, przerodziło się w jedyny cel i sens mego życia, epickie arcydzieło zrodzone w epoce dominacji lichej farsy. *Pieśni Hyperiona* były pisane z mistrzostwem, o jakim mogłem tylko marzyć, językiem tak pięknym, że z pewnością nie wziął się z mojej głowy. Tematem było przemijanie ludzkości, moim natchnieniem zaś - Chyżwar.

Zginęło jeszcze kilkunastu ludzi, zanim Król Billy zdecydował się wreszcie na ewakuację Miasta Poetów. Część uciekinierów przeniosła się do Endymiona, Keats albo jednego z kilku nowych miast, większość jednak postanowiła wrócić do Sieci. Utopijne marzenie Billy'ego o stworzeniu państwa artystów pozostało nie spełnione, choć sam król nadal mieszkał w swoim ponurym pałacu w Keats. Władza nad kolonią przeszła w ręce Rady Planety, która niezwłocznie złożyła w Hegemonii wniosek o przyjęcie do wspólnoty i utworzyła Planetarne Siły Samoobrony. Siły te - składające się z tych samych tubylców, którzy jeszcze dziesięć lat temu okładali się nawzajem maczugami po głowach - dowodzone przez samozwańczych oficerów zdołały jedynie dość skutecznie zniszczyć piękno spokojnych nocy (patrole na śmigaczach) oraz upstrzyć pustynię automatycznymi czujnikami.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie tylko ja zdecydowałem się pozostać na miejscu; wraz ze mną uczyniło to jeszcze co najmniej dwieście osób, choć większość z nas unikała jakichkolwiek kontaktów, wymieniając jedynie zdawkowe uśmiechy, kiedy mijaliśmy się na Promenadzie Poetów albo spożywaliśmy z dala od siebie posiłki w wielkiej sali jadalnej. Zniknięcia i morderstwa powtarzały się z częstotliwością mniej więcej jedno na dwa tygodnie, choć zazwyczaj dowiadywaliśmy się o nich od regionalnego dowódcy PSS, który co miesiąc lub dwa sprawdzał naszą liczebność.

Najbardziej utkwiała mi w pamięci chwila, kiedy wszyscy zebraliśmy się na głównym placu miasta, aby obserwować odlot statku kolonizacyjnego. Było to w szczycie jesiennego sezonu meteorowego i niebo nad naszymi głowami co chwila przecinały dziesiątki złotych lub srebrzystych krech. Nagle zapłonęło małe, lecz niezwykle jaskrawe słońce, i przez prawie godzinę patrzyliśmy, jak nasi przyjaciele artyści oddalają się od nas, pchani ognistym młotem plazmowych silników. Zjawił się także Smutny Król Billy; pamiętam do dziś spojrzenie, jakim obdarzył mnie przed wejściem do ozdobnego śmigacza, który powiózł go z powrotem ku bezpiecznej siedzibie w Keats.

W ciągu następnych dwunastu lat opuszczałem miasto zaledwie kilka razy - po to, aby znaleźć biorzeźbiarza, który uwolniłby mnie od satyrowego wcielenia, a także w celu uzupełnienia zapasów żywności. Akurat wtedy ze świątyni Chyżwara zaczęły ponownie wyruszać pielgrzymki, dzięki czemu mogłem korzystać z wyznaczonego

przez nie szlaku śmierci, tyle że podążałem w przeciwną stronę. Najpierw piesza wędrówka do Baszty Chronosa, stamtąd kolejką linową przez Góry Cugielne, potem wiatrowóz, a wreszcie barką Charona w dół rzeki Hoolie. W drodze powrotnej przypatrywałem się pielgrzymom, zastanawiając się, którym z nich dane będzie wrócić.

Niewielu ludzi odwiedzało Miasto Poetów. Z biegiem czasu nie ukończone wieże zaczęły coraz bardziej przypominać ruiny, wspaniałe galerie o kopułach z metalu i szkła obrosły pnączami, a spomiędzy marmurowych bloków i kamiennych płyt zaczęły wyłaniać się źdźbła trawy. Chaos spotęgowały działania Planetarnych Sił Samoobrony, które rozrzucały miny i zastawiały pułapki w celu schwytania Chyżwara, przyczyniając się jedynie do dewastacji najpiękniejszych części miasta. Przestał działać system nawadniania. Runął akwedukt. Pustynia zdobywała coraz to nowe tereny. Przenosiłem się z komnaty do komnaty w opustoszałym pałacu Króla Billy'ego, pracując nad poematem i czekając na spotkanie z moją muzą.

Jeśli się nad tym zastanowić, to sprzężenie przyczyna-skutek zaczyna przypominać jakąś szaloną pętlę logiczną wymyśloną przez infoartystę Carolusa albo namalowaną przez Eschera: Chyżwar pojawił się dzięki magicznej mocy mego poematu, ale z kolei ów poemat nie mógłby powstać bez obecności albo przynajmniej zagrożenia obecnością Chyżwara, który pełnił rolę muzy. Zresztą całkiem możliwe, że byłem wtedy nieco szalony.

W ciągu dwunastu lat nagła śmierć wyeliminowała wszystkich dyletantów, aż w końcu zostaliśmy tylko Chyżwar i ja. Coroczny przepływ pielgrzymów podążających ku Grobowcom Czasu stanowił jedynie niewielką niedogodność - ot, kolejna karawana mijająca w oddali ruiny miasta. Zdarzało się, że później widziałem kilka postaci uciekających pośpiesznie w kierunku oddalonej o dwadzieścia kilometrów na południowy zachód Baszty Chronosa, ale najczęściej nikt nie wracał.

Czekałem w cieniu chylących się ku ruinie budowli. Moje włosy i broda urosły tak bardzo, że częściowo zakrywały łachmany, które służyły mi za ubranie. Wychodziłem najczęściej nocą, przemykając wśród ruin niczym niespokojny cień; czasem spoglądałem na oświetloną pałacową wieżę, zupełnie jak David Hume, który zaglądał w okna własnego pokoju, by stwierdzić ze smutkiem, że nie ma go w domu. Nie przeniosłem syntetyzera żywności do zajmowanej przeze mnie komnaty i nadal spożywałem posiłki pod wielką kopułą ogólnej jadalni.

Ani razu nie udało mi się spotkać Chyżwara. Co prawda wielokrotnie budziłem się tuż przed świtem, zaalarmowany jakimś nagłym odgłosem - mógł to być zgrzyt metalu ocierającego się o kamień albo skrzypnięcie piasku pod czyjąś stopą - ale choć miałem całkowitą pewność, że jestem obserwowany, nigdy nie zdołałem dostrzec obserwatora.

Czasem, szczególnie nocą, wyruszałem na krótką wycieczkę do Grobowców Czasu. Unikając pulsujących granic antyentropicznych pól siłowych, wędrowałem wśród skomplikowanych cieni pod skrzydłami Sfinksa albo spoglądałem na gwiazdy przez szmaragdową ścianę Starego Grobowca. Po powrocie z jednej z tych nocnych eskapad zastałem w pracowni nieproszonego gościa.

- Wspaniale, M-m-martin - powiedział Król Billy, poklepując jedną ze stert zapisanych kartek papieru, które wały się po całym pokoju. Siedząc w ogromniastym fotelu przy długim stole, pozbawiony królestwa monarcha wydawał się bardzo stary i jeszcze bardziej nieforemny niż zwykle. - Czy n-n-naprawdę sądzisz, że ludzkość zasłużyła sobie na t-t-taki koniec? - zapytał cicho, jękając się jak za dawnych lat.

Wszedłem do pokoju, ale nic nie odpowiedziałem. Billy przez ponad dwadzieścia lat standardowych był dla mnie nie tylko mecenasem, ale i przyjacielem, lecz w tej chwili wydawało mi się, że byłbym w stanie go zabić. Na myśl o tym, że ktoś czytał *Pieśni Hyperiona* bez mojej zgody, ogarniał mnie szal.

- Widzę, że d-d-datujesz poszczególne ustępy p-p-poematu? - zauważył Smutny Król Billy, przeglądając od niechcienia najświeższą stertę.

- Jak się tu dostałeś? - warknąłem.

Nie było to wcale głupie pytanie. Przez kilka ostatnich lat rejon Grobowców Czasu nie należał do najbardziej bezpiecznych dla wszelkiego rodzaju śmigaczy, promów orbitalnych i śmigłowców. Wszystkie maszyny lądowały bez pasażerów. Nie trzeba mówić, że przyczyniło się to do rozkwitu mitu Chyżwara.

Mały człowieczek w wymiętej pelerynie wzruszył ramionami. Jego strój miał być elegancki i dostojny, a tymczasem upodabniał go tylko do otyłego arlekina.

- P-p-przyłączyłem się do ostatniej grupy pielgrzymów, a z Baszty Chronosa skręciłem od razu w stronę miasta. Zauważyłem, że od wielu miesięcy nie napisałeś ani słowa. M-m-możesz mi to wyjaśnić, Martin?

Milczałem, wpatrując się w niego z wściekłością i zbliżając się krok za krokiem.

- W takim razie ja spróbuję t-t-to zrobić. - Popatrzył na ostatnią zapisaną

stronę z taką miną, jakby ujrzał tam rozwiązanie gnębiącego go od dawna problemu. - Te wersy napisałeś tego samego tygodnia w ubiegłym roku, kiedy zniknął J. T. Telio.

- I co z tego? - zapytałem jakby nigdy nic. Dotarłem już do stołu. Udając, że czynię to zupełnie nieświadomie, zgarnąłem najbliższy stos kartek i odsunąłem go poza zasięg rąk Billy'ego.

- T-t-to, że akurat wtedy, p-p-przynajmniej według sond PSS, zaginął ostatni mieszkaniec Miasta P-p-po-etów. Ma się rozumieć, ostatni z wyjątkiem ciebie, M-m-martin.

Wzruszyłem ramionami, po czym ruszyłem niespiesznie wokół stołu. Musiałem dostać się do króla, ale w taki sposób, żeby nie narazić na szwank rękopisu.

- Nie d-d-dokończyłeś tego, Martin - ciągnął swoim głębokim, smutnym głosem. -Wciąż jeszcze jest niewielka szansa, że ludzkość przeżyje ten k-k-kryzys.

- Żadnej.

Byłem coraz bliżej.

- Ale ty nie jesteś w stanie już pisać, p-p-prawda? Nie potrafisz układać wierszy, jeśli t-t-twoja muza nie przelewa czyjejś krwi?

- Pieprzysz.

- M-m-możliwe, ale to jednak zdumiewający zbieg okoliczności. Zastanawiałeś się kiedyś, d-d-dlaczego akurat ty ocalałeś?

Wzruszyłem ramionami i niepostrzeżenie odsunąłem kolejną stertę papierów. Byłem wyższy, silniejszy i bardziej bezwzględny niż Billy, ale musiałem mieć pewność, że moje dzieło nie ucierpi, kiedy chwyćę go w pole, podniosę z fotela i wyrzucę z pokoju.

- N-n-najwyższa pora, żebyśmy spróbowali jakoś zaradzić temu p-p-problemowi -wyjąkał mój mecenas.

- Wcale nie - odparłem. - Najwyższa pora, żebyś sobie poszedł.

Przesunąłem ostatnią ryzę papieru i podniosłem rękę. Ku swemu zdziwieniu stwierdziłem, że trzymam w niej mosiężny świecznik.

- Nie ruszaj się, proszę - powiedział łagodnie Billy, celując we mnie z ogłuszacza.

Zawahałem się tylko przez sekundę, a potem parsknąłem śmiechem.

- Ty kurdupłowaty, beznadziejny palancie! - syknąłem. - Nie potrafiłbyś pociągnąć za spust, nawet gdyby od tego zależało twoje życie.

Ruszyłem ku niemu, żeby dać mu porządną nauczkę.

Leżałem z policzkiem przyciśniętym do kamiennej płyty dziedzińca i jednym okiem otwartym na tyle, że mogłem dostrzec gwiazdy świecące w dziurach w powłoce ogromnej kopuły. W kończynach i tułowiu czułem bolesne mrowienie. Chciałem krzyknąć, ale nie byłem w stanie poruszyć ani językiem, ani szczęką. Nagle zostałem podniesiony na nogi i oparty o kamienną ławkę, dzięki czemu zobaczyłem w całej okazałości dziedzińiec oraz nieczynną fontannę, którą zaprojektował Rithmet Corbet. W niestałym blasku przelatujących przez niebo meteorów spiżowy Laokoon walczył zawzięcie ze spiżowymi węzami.

- P-p-przykro mi, Martin, ale t-t-to szaleństwo musi dobiec końca - rozległ się znajomy głos. W moim polu widzenia pojawił się Smutny Król Billy z naręczem zapisanych kartek. Spory ich stos leżał już u stóp zmagającego się z gadami Trojańczyka. Obok stała otwarta bańka z naftą.

Udało mi się zamrugać. Odniosłem wrażenie, że moje powieki zrobione są z zardzewiałego żelaza.

- Działanie ogłuszacza p-p-powinno minąć lada chwila - powiedział Billy. Sięgnął do fontanny, wziął garść kartek i podpalił je zapalniczką.

- Nie! - zdołałem krzyknąć mimo zaciśniętych szczęk.

Plomienie tańczyły przez kilka sekund, po czym zgasły. Billy wrzucił nie dopalone resztki do fontanny, a następnie sięgnął po kolejną porcję; tym razem zwinął kartki w rulon. Po policzkach króla ściekały łzy.

- Ty go sprowadziłeś i ty go m-m-musisz zniszczyć!

Próbowałem się poruszyć, ale osiągnąłem tylko tyle, że ramiona i nogi wykonały kilka nie skoordynowanych wymachów niczym kończyny uszkodzonej marionetki. Ból był nie do zniesienia. Krzyknąłem ponownie, a mój udręczony głos odbił się echem od marmurów i granitów.

Król Billy znieruchomiał na chwilę i odczytał z kartki, która znajdowała się na wierzchu kolejnego naręcza:

...Bez wskazówki żadnej ni podpory
Dźwigałem w mojej kruchej śmiertelności
Potężne brzemie wiecznego spokoju,
Nieziemną światłość, trzy odwieczne kształty,
Ciężące zmysłom moim - zimny księżyc.
A jako że mym mózgiem rozpalonym
Straciłem w otchłań nocy srebrne kwadry,
To zdało mi się, że z dniem każdym blednę,
Niknę jak widmo; i modły gorące
Wznosiłem, aby śmierć mnie stąd zabrała
Z całym brzemieniem trosk mych, a niewładny

Nic zmienić, przeklinałem sam siebie w rozpacz.

Billy wznosił twarz ku gwiazdom, po czym rzucił tę stronę na pastwę płomieni.

- NIE! - wrzasnąłem najgłośniejszym głosem. Jedna noga ugięła się przede mną, opadłem na kolano, usiłowałem jeszcze podeprzeć się ręką i runąłem ciężko na bok.

Postać w płaszczu chwyciła kolejną porcję papieru, zbyt grubą, żeby zwinąć ją w rulon, i spojrzała na pierwszą stronę.

...Ujrzałem wtedy twarz bladą,
Nie tkniętą żadnym przyziemnym zmartwieniem,
Lecz tak bezkrwistą, jak w ciężkiej chorobie,
Co krew wysysa, ale nie zabija,
Której śmierć nawet nie położy kresu.
Ku śmierci idąc, widzę - to nie jej oblicze,
I choć majaczy mi coś jak biel śniegu,
Że to jest ta twarz - myśleć mi nie wolno...

Król Billy zbliżył zapalniczkę, a w chwilę potem ta kartka wraz z pięćdziesięcioma innymi zajęła się ogniem. Płonące namiętnie wylądowało w fontannie, on zaś sięgnął po więcej.

- Proszę!... - jęknąłem. Zaciśnąłem ręce na krawędzi kamiennej ławki i zdołałem się nieco podciągnąć, walcząc jednocześnie z potwornymi skurczami w nogach. - Proszę...

Trzecia postać nie tyle pojawiła się obok nas, co raczej ujawniła swoją obecność, jakby była tam przez cały czas, a Król Billy i ja nie zauważyliśmy jej, dopóki płomienie nie zaczęły rzucać wystarczająco silnego blasku. Ogromny, czwororęki, wykuty z kości i stali, Chyżwar skierował na nas krwistoczerwone spojrzenie.

Król Billy krzyknął coś niezrozumiale i cofnął się o krok, ale zaraz potem zaczął z jeszcze większą gorliwością wrzucać kartki do ognia. Płatki sadzy i rozżarzone skrawki ulatywały w górę wraz z gorącym powietrzem. Stado gołębi wzbilo się z łopotem skrzydeł z oplecionej bluszczem konstrukcji kopuły.

Chwiejąc się na nogach, ruszyłem powoli naprzód. Chyżwar nawet nie drgnął ani nie odwrócił rubinowego wzroku.

- Odejdź! - ryknął z pasją Król Billy, trzymając w rękach płonące rulony poezji. Nagle przestał się jękać. - Wracaj do otchłani, z której wyszedłeś!

Odniosłem wrażenie, że Chyżwar lekko pochylił głowę. Stalowe ostrza i szpikulce lśniły w czerwonym blasku płomieni.

- Mój panie! - krzyknąłem. Nie wiem, czy miałem na myśli Smutnego Króla Billy'ego, czy potwora, i nie wiedziałem tego również w tamtej chwili. Zatoczyłem się i

wyciągnąłem rękę, by złapać Billy'ego za ramię.

Nie było go tam. Jeszcze sekundę wcześniej starzejący się władca stał zaledwie metr ode mnie, a teraz zawisł bezradnie wysoko nad kamienną nawierzchnią dziedzińca. Stalowe ciernie wbijały się boleśnie w jego ramiona, tułów i uda, on jednak nadal ścisnął w rękach płonące fragmenty moich *Pieśni*. Chyżwar trzymał go niczym ojciec, który przyniósł syna, aby go ochrzcić.

- Zniszcz go! - krzyknął Billy, niezdarnie usiłując wyrwać się z żelaznego uścisku. - ZNISZCZ GO!

Cieężko dysząc oparłem się o krawędź fontanny. W pierwszej chwili pomyślałem, że chodzi mu o Chyżwara... potem, że o poemat... a wreszcie zrozumiałem, że o to i o to. Jeszcze ponad tysiąc stron leżało nietkniętych w suchym basenie fontanny. Sięgnąłem po bańkę z naftą.

Chyżwar właściwie nie poruszył się, tylko powoli przycisnął do piersi Króla Billy'ego. Billy wierzgnął kilka razy i krzyknął bezgłośnie, kiedy długi stalowy kolec wyłonił się z jego stroju arlekina tuż nad mostkiem. Przez kilka sekund stałem jak sparaliżowany, myśląc o motylach, które kolekcjonowałem w dzieciństwie, a potem metodycznie zacząłem polewać naftą rozrzucone w fontannie papiery.

- Zabij go! - wycharczał Król Billy. - Martin, na litość boską...

Podniosłem z ziemi jego zapalniczkę. Chyżwar nadal stał nieruchomo. Krew przesiąkała powoli ubranie Billy'ego, aż wreszcie czarne kwadraty niczym nie różniły się od szkarłatnych. Pstryknąłem zabytkową zapalniczką: raz, drugi, trzeci... Tylko iskry. Przez łzy ciekące mi obficie z oczu widziałem dzieło mego życia leżące na dnie wyschniętej fontanny. Zapalniczka wysunęła mi się z ręki.

Billy wrzasnął przeraźliwie i szarpnął się raz jeszcze. Usłyszałem ohydny odgłos, z jakim metalowe ostrza ocierały się o kości.

- Zabij go, Martin! O, mój Boże...

Odwróciłem się, zrobiłem pięć kroków, po czym cisnąłem w nich na pół jeszcze pełną bańką. Nafta chlusnęła obfitym strumieniem, wsiąkając w ubranie Billa i spływając po metalowym ciele Chyżwara. W chwilę później żarzące się strzepy mojego poematu, które Billy wciąż jeszcze ścisnął w rękach, zetknęły się z łatwopalną cieczą.

Zasłoniłem dłońmi twarz - za późno, gdyż broda i brwi spłonęły mi dosłownie w okamgnieniu - i zacząłem się cofać po omacku, aż wreszcie oparłem się o krawędź fontanny.

Przez sekundę miałem przed sobą doskonale nieruchomą, ognistą rzeźbę,

błękitnożółtą *Piętę* z czteroręką Madonną przyciskającą do piersi płonącego Chrystusa. Potem ogarnięta pożogą postać zaczęła się wić i wierzgać, bezradnie próbując uwolnić się z uchwytu stalowych szponów, a jednocześnie rozległ się ryk tak okropny, że po dziś dzień nie jestem w stanie uwierzyć, iż wydobywał się z ludzkiego gardła. Krzyk powalił mnie na kolana, wrócił zwielokrotniony echem odbitym od kamiennych ścian miasta i wypłoszył ostatnie gołębie, jakie kryły się jeszcze w okolicznych zakamarkach. Trwał wiele minut po tym, jak ognista wizja po prostu przestała istnieć, nie zostawiając po sobie ani popiołów, ani obrazu utrwalonego na siatkówce. Dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że to ja krzyczę.

W życiu tak zazwyczaj bywa, że wszystko kończy się byle jak, zupełnie inaczej niż powinno.

Odtworzenie spalonych fragmentów *Pieśni* zajęło mi prawie rok. Chyba nikogo nie zdziwi informacja, że nie dokończyłem poematu. Bynajmniej nie dlatego, że nie chciałem. Po prostu opuściła mnie muza.

Miasto Poetów spokojnie popadało w ruinę. Mieszkałem w nim jeszcze rok albo dwa, a może pięć - nie wiem, gdyż byłem wówczas zupełnie szalony. Po dziś dzień krążą opowieści o odzianej w łachmany brodatej postaci, która budziła pielgrzymów, wyrzaskując obelgi, wygrażając pięścią Grobowcom Czasu i wzywając ukrywającego się w nich tchórza, aby wyszedł i stanął do walki.

Po pewnym czasie płomień szaleństwa przygasł - choć nie szał zupełnie - a ja pokonałem tysiąc pięćset kilometrów dzielących mnie od cywilizacji z plecakiem wypchanym rękopisem poematu, odżywiając się najpierw węgorzami skalnymi, potem śniegiem, a przez ostatnie dziesięć dni niczym, gdyż nie byłem w stanie znaleźć niczego, co nadawałoby się do jedzenia.

O następnych dwustu pięćdziesięciu latach nie warto nawet opowiadać, a tym bardziej ich wspominać. Wielokrotnie powtarzane zabiegi Poulsena, żeby utrzymać instrument przy życiu i w gotowości. Dwa długie, kriogeniczne sny podczas nielegalnych podróży z prędkościami podświetlnymi. Każda pozwoliła mi przeskoczyć kilkadziesiąt lat, każda też kosztowała mnie utratę pewnej liczby komórek mózgowych i części pamięci.

Czekałem i czekam nadal. Poemat musi zostać ukończony. Będzie ukończony.

Na początku było Słowo.

Na końcu... kiedy zabraknie już honoru, życia i miłości...

Na końcu też będzie Słowo.

ROZDZIAŁ 4

Nieco po południu następnego dnia "Benares" dotarła do Portu na Krawędzi. Jedna z płaszczyk zdechła z wycieńczenia zaledwie dwadzieścia kilometrów od celu. A. Bettik odciął ją i pozwolił odpłynąć z prądem. Druga dotrwała do chwili, kiedy kadłub barki zetknął się z nabrzeżem, po czym przewróciła się brzuchem do góry, wypuszczając bąbelki powietrza z otworów oddechowych. Bettik polecił, aby ją także odcięto, ale mocno wątpił, czy zwierzęciu uda się przeżyć, szczególnie jeśli zostanie porwane przez główny nurt rzeki.

Jeszcze przed wschodem słońca pielgrzymi zebrali się przy burcie, obserwując krajobraz. Prawie ze sobą nie rozmawiali, a żaden z nich nie odezwał się ani słowem do Martina Silenusa. Poeta chyba nie miał nic przeciwko temu, gdyż do śniadania wypił potężną porcję wina, następnie zaś zaczął śpiewać sprośne piosenki.

Przez noc rzeka rozszerzyła się tak bardzo, że rano przypominała już prawie dwukilometrowej szerokości błękitnoszarą autostradę, przecinającą niskie, zielone wzgórza na południe od Trawiastego Morza. Tak blisko morza nie rosły żadne drzewa, a brązowe i złote odcienie krzewów wkrótce ustąpiły miejsca soczystej zieleni trawy. Przez cały ranek wzgórza stawały się coraz niższe, aż wreszcie zaczęły przypominać mocno spłaszczone wały przeciwpowodziowe, ciągnące się po obu stronach rzeki. Nad północnym i wschodnim horyzontem niebo było wyraźnie ciemniejsze; ci pielgrzymi, którzy wiedzieli, że na większości planet taki widok oznacza bliskość oceanu, musieli sobie co chwila przypominać, że ten ocean, do którego się zbliżali, składa się z milionów hektarów trawy.

Port na Krawędzi nigdy nie był dużą osadą, teraz zaś sprawiał wrażenie całkowicie opustoszałego. Kilka budynków stojących przy porytej koleinami ścieżce wyglądało na nie zamieszkane, a po wielu innych oznakach można było się domyślać, że cała ludność uciekła stąd przed co najmniej kilku tygodniami. "Przystań Pielgrzyma", liczący sobie ponad trzysta lat zajazd wzniesiony na zboczu łagodnego pagórka, spłonął do fundamentów.

A. Bettik odprowadził ich na szczyt wzniesienia.

- Co będziecie teraz robili? - zapytał pułkownik Kassad androida.

- Zgodnie z umową, jaką zawarliśmy ze świątynią Chyżwara, od tej pory jesteśmy wolni - odparł Bettik. - Zostawimy tu "Benares", żeby czekała na wasz

powrót, a sami popłyniemy łodziami w dół rzeki. Potem ruszymy w swoją stronę.

- Myślisz o ewakuacji? - zapytała Brawne Lamia.

Bettik uśmiechnął się.

- Nie. Mamy do odbycia własną pielgrzymkę.

Niewielka grupa dotarła do łagodnie zaokrąglonego wierzchołka. Z tej odległości "Benares" przypominała małe czółno; Hoolie płynęła na południowy zachód, niknąc częściowo za błękitną mgiełką, by potem skręcić na zachód, ku niemożliwym do przebycia Mniejszymi Kataraktom, położonym zaledwie dwanaście kilometrów od Krawędzi. Na północ i wschód od nich rozciągało się Trawiaste Morze.

- Mój Boże... - westchnęła Brawne Lamia.

Można było odnieść wrażenie, iż znaleźli się na ostatnim, wyniesionym nieco w górę, miejscu na planecie. Poniżej opustoszałe zabudowania wyznaczały koniec osady i początek morza. Trawa ciągnęła się aż po horyzont, falując zmysłowo w lekkim wietrze i zdając się omywać zielonymi grzywaczami podnóże pagórka. Wyglądało na to, że wszystkie źdźbła mają identyczną wysokość. Wydawało się także, że oprócz nich nic już nie istnieje; choć osiemset kilometrów dalej na północny wschód wznosiły się ośnieżone szczyty Gór Cugielnych, tutaj nie sposób było się tego domyślić. Złudzenie, że patrzą na ogromne zielone morze było niemal całkowite - nawet białe kwiaty, które wieńczyły niektóre źdźbła, wyglądały z daleka jak spieniona woda na szczytach grzywaczy.

- Przepiękne - powiedziała Lamia, która nigdy wcześniej nie miała okazji oglądać tego widoku.

- Największe wrażenie robi o zachodzie i wschodzie słońca - poinformował ją konsul.

- Fascynujące - mruknął Sol Weintraub, a następnie podniósł niemowlę, jakby chciał, aby i ono mogło to zobaczyć. Dziewczynka zagulgotała coś wesoło, po czym poczęła z zainteresowaniem przyglądać się własnym palcom.

- Znakomicie zachowany ekosystem - stwierdził z aprobatą Het Masteen. - Muir byłby zadowolony.

- Kurwa mać - zaklął Martin Silenus.

Pozostali spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Nie ma pieprzonego wiatrowozu - wyjaśnił poeta.

Pięciu mężczyzn, kobieta i android przez dłuższą chwilę spoglądali w milczeniu na puste nabrzeże.

- Może się spóźni - mruknął wreszcie konsul.

Martin Silenus roześmiał się chrapliwie.

- Albo już odjechał. Przecież mieliśmy tu dotrzeć dzień wcześniej.

Pułkownik Kassad podniósł do oczu lornetkę.

- Nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby wyruszyli bez nas - powiedział, wpatrując się w odległy horyzont. - Statek miał być wysłany przez kapłanów ze świątyni Chyżwara, dla których nasza pielgrzymka ma ogromne znaczenie.

- Możemy pójść pieszo - zauważył Lenar Hoyt. Kapłan był blady i tak osłabiony, że słał się na nogach. W jego przypadku z pewnością nie mogło być mowy o żadnym marszu.

- Nic z tego - odparł Kassad. - To kilkaset kilometrów, a trawa sięga sporo nad głowę.

- Kompas... - szepnął ksiądz.

- Na Hyperionie kompas nie spełniają swojej funkcji - przypomniał mu pułkownik, w dalszym ciągu spoglądając przez lornetkę.

- W takim razie jakieś urządzenia namiarowe, reagujące na sygnały z satelitów...

- Owszem, to byłoby rozwiązanie, ale chodzi o coś innego - wtrącił się konsul. - Ta trawa jest potwornie ostra. Najdalej po pięciuset metrach pocięłaby nas na plasterki.

- W dodatku żyją w niej stepowe węże - dodał Kassad, kierując lornetkę nieco niżej. - Jak powiedziałem, to znakomicie zachowany ekosystem, ale na pewno nie taki, po którym można bezkarnie spacerować.

Ojciec Hoyt westchnął ciężko i niewiele brakowało, a osunąłby się na krótką trawę porastającą szczyt wzniesienia.

- W porządku. W takim razie wracamy. - W jego głosie można było dosłyszeć coś w rodzaju ulgi.

- Gdyby wiatrowóz się nie pojawił, ja i moja załoga z przyjemnością odwieziemy was z powrotem do Keats na pokładzie "Benares" - oświadczył A. Bettik.

- Nie trzeba - odparł konsul. - Bierzcie łodzie i płyncie sami.

- Chwila, moment! - zaprotestował Silenus. - Nie przypominam sobie, żebym wybrał cię na dyktatora, *amigo*. Musimy się dostać na drugą stronę. Jeżeli ten pieprzony wiatrowóz nie przyjedzie po nas, trzeba będzie wymyślić inny sposób.

Konsul odwrócił się gwałtownie i stanął twarzą w twarz z poetą.

- Jaki? Może łódź? Podróż okrężną drogą, wokół Grzywy, zajęłaby nam co najmniej dwa tygodnie, a i to wówczas, jeśli na wybrzeżu udałoby nam się znaleźć jakiś statek. Wszystkie jednostki pływające biorą udział w akcji ewakuacyjnej.

- Wobec tego sterowiec - burknął Silenus.

Brawne Lamia parsknęła śmiechem.

- O, tak! Przecież w okolicy aż się od nich roi.

Martin Silenus zacisnął pięści, jakby chciał rzucić się na kobietę, ale w ostatniej chwili rozmyślił się i uśmiechnął.

- W porządku, szanowna pani. W takim razie co robimy? Może bogowie spojrzeliby na nas przychylniejszym okiem, gdybyśmy rzucili kogoś na pożarcie stepowym wężom?

Brawne Lamia zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- Wydawało mi się, że stopy ofiarne są bardziej w twoim stylu, kurdupłu.

- Dosyć! - warknął pułkownik Kassad, wkraczając między piorunującą się nawzajem wzrokiem parę. - Konsul ma rację. Zaczekamy tutaj na przyjazd wiatrowozu. M. Masteen i M. Lamia pójda z A. Bettikiem, żeby dopilnować rozładunku. Ojciec Hoyt i M. Silenus przyniosą trochę drewna na ognisko.

- Na ognisko? - powtórzył kapłan ze zdziwieniem. Upał dawał się wszystkim mocno we znaki.

- Po zapadnięciu zmroku rozpalimy ogień, żeby zasygnalizować naszą obecność. A teraz do roboty.

O zachodzie słońca niewielka grupka obserwowała w milczeniu, jak motorowa łódź odbija od przystani. Nawet z odległości dwóch kilometrów konsul bez trudu widział błękitnoskórą załogę. Stojąca przy nabrzeżu "Benares" wydawała się stara i opuszczona, jakby stanowiła już część opustoszałego miasta. Kiedy łódź zniknęła w oddali, pielgrzymi odwrócili się w stronę Trawiastego Morza. Nadrzeczne wzgórza rzucały długie cienie na to, co konsul nazywał już w myślach strefą przyboju i mieliznami. Nieco dalej morze zaczynało stopniowo zmieniać kolor, ciemniejąc stopniowo, by w sąsiedztwie horyzontu nabrać ciemnozielonej, graniczącej z czernią barwy. Lazurowe niebo przesiąkło czerwonymi i złotymi kolorami zachodzącego słońca, którego blask zdawał się spływać na pielgrzymów niczym płynne światło. W zupełnej niemal ciszy słycać było jedynie szum trawy kołysanej łagodnymi podmuchami wiatru.

- Mamy skurwysyńsko dużo maneli - powiedział głośno Martin Silenus. -
Szczególnie jak na kogoś, kto wybiera się tylko w jedną stronę.

Słusznie, pomyślał konsul. Ich bagaże utworzyły spory stos na trawiastym
zboczu pagórka.

- Gdzieś tam, przed nami, może czekać na nas ocalenie - zauważył spokojnym
głosem Het Masteen.

- Jasne. - Silenus ułożył się wygodnie na ziemi, podłożył ręce pod głowę i
spoglądał w niebo. - A nie zapomniałeś zabrać ze sobą kilku par Chyżwaroodpornych
gatek?

Templariusz pokręcił głową. Jego twarz znajdowała się częściowo w cieniu
rzucanym przez nasunięty na czoło kaptur.

- Przestańmy wreszcie udawać - powiedział. - Najwyższa pora, aby każdy z nas
przyznał, że zabrał ze sobą w tę podróż coś, co - jego zdaniem - dopomoże mu podczas
ostatecznej konfrontacji z Władcą Bólu.

Poeta prychnął pogardliwie.

- Ja tam nie mam żadnej króliczej łapki.

- Ale może masz swój manuskrypt?

Poeta nic nie odpowiedział.

Het Masteen przeniósł spojrzenie na mężczyznę stojącego po jego lewej
stronie.

- A ty, pułkowniku? Widziałem kilka kufrów z twoim nazwiskiem. Co tam
masz? Broń?

Kassad milczał jak zakłęty.

- Oczywiście - mruknął Het Masteen. - Głupotą byłoby wybrać się na polowanie
bez broni.

- A co ze mną? - zapytała Brawne Lamia, krzyżując ramiona na piersi. - Wiesz
może, co ja przytaszczyłam ze sobą na tę planetę?

- Jeszcze nie słyszeliśmy twojej historii, M. Lamio - odparł spokojnie
templariusz. - Za wcześnie byłoby snuć jakiegokolwiek przypuszczenia.

- Ale nie co do konsula - zauważyła kobieta.

- Istotnie. Jest zupełnie oczywiste, jaką broń przygotował sobie nasz
dyplomata.

Konsul drgnął, jakby wyrwany z głębokiego zamyślenia, i przestał
kontemplować zachód słońca.

- Przywiozłem trochę ubrania i dwie książki.

- Taak... - mruknął templariusz. - A na orbicie zostawiłeś wspaniały statek.

Martin Silenus zerwał się na nogi.

- Właśnie, statek! - wykrzyknął. - Przecież możesz go wezwać, prawda? No to gwizdnij na niego, do jasnej cholery! Już mi się znudziło tkwić tutaj jak gównu na patyku.

Konsul urwał źdźbło trawy i przez dłuższą chwilę przyglądał mu się uważnie.

- Nawet gdybym mógł go wezwać... a przecież wszyscy słyszeliście od A. Bettika, że nie działają żadne satelity komunikacyjne i przekaźniki... to i tak nie byłoby mowy o lądowaniu po północnej stronie Gór Cugielnych, gdyż równałoby się to skazaniu naszej wyprawy na niepowodzenie.

- Dobra, dobra! - wykrzyknął Silenus, wymachując z podnieceniem rękami. - Ale przynajmniej przedostalibyśmy się na drugą stronę tego... tego... trawnika! Wzywaj statek.

- Zaczekajmy do rana - zaproponował konsul. - Jeżeli wiatrowóz nie zjawi się do tego czasu, wówczas zastanowimy się, co robić dalej.

- Pieprzę czekanie... - zaczął poeta, ale w tej samej chwili Kassad zrobił dwa kroki naprzód i stanął przed nim, odwrócony do niego plecami, tym samym skutecznie wyłączając go z kręgu dyskutujących.

- A jaka jest twoja tajemnica, M. Masteen? - zapytał pułkownik.

Dogasające niebo rozsiewało jeszcze wystarczająco dużo blasku, aby pielgrzymi zdołali dostrzec lekki uśmiech na twarzy templariusza. Het Masteen wskazał na piętrzący się nie opodal stos bagaży.

- Jak widzicie, mój kufer jest największy i najbardziej zagadkowy ze wszystkich.

- To sześcian Möbiusa - odezwał się Lenar Hoyt. - Widziałem, jak w ten sposób transportowano bezcenne zabytki.

- Albo bomby termojądrowe - mruknął Kassad.

Het Masteen potrząsnął głową.

- Nic tak groźnego.

- Powiesz nam, co to jest? - zapytała wprost Lamia.

- Kiedy przyjdzie moja kolej.

- Możemy wysłuchać cię już teraz. I tak nie mamy nic innego do roboty - powiedział konsul.

Sol Weintraub chrząknął cicho.

- Ja wylosowałem czwarty numer - oznajmił, po czym pokazał świstek papieru.
-Jednak byłbym ogromnie rad, gdyby Prawdziwy Głos Drzewa zechciał się ze zamienić.

Przełożył Rachelę z lewej ręki na prawą.

Het Masteen pokręcił głową.

- Mamy jeszcze czas. Chciałem tylko dowieść, że nawet w sytuacji pozornie bez wyjścia można spoglądać w przyszłość z odrobiną optymizmu. Wiele dowiedzieliśmy się z opowieści, które usłyszeliśmy do tej pory, a jednak każdy z nas, na przekór wszystkiemu, w głębi duszy pielęgnuje ziarenko nadziei.

- Nie rozumiem, w jaki sposób... - zaczął ojciec Hoyt, ale nie dokończył, gdyż przerwał mu wrzask Martina Silenusa:

- Jest! To ten pieprzony wiatrowóz! Wreszcie się zjawił, niech go nagły szlag trafi!

Minęło dwadzieścia minut, zanim wiatrowóz przybił do jednego z nabrzeży. Nadjechał z północy, a jego białe żagle odcinały się wyraźnie od pograżającej się szybko w mroku równiny. W chwili kiedy potężny wehikuł znieruchomiał przy pomoście, resztki wieczornej poświaty zniknęły znad zachodniego horyzontu.

Drewniany, wielki i z pewnością wykonany ręcznie wiatrowóz wywarł na konsulu spore wrażenie. Zbudowano go na wzór galeonów, jakie w zamierzchłej przeszłości przemierzały morza Starej Ziemi. Ogromne pojedyncze koło, umieszczone w centralnej części obłego kadłuba, zazwyczaj było niewidoczne w dwumetrowej trawie, jednak tutaj, gdzie źdźbła były nieco niższe, konsul zdołał dostrzec jego część. Pokład wznosił się nad ziemię na sześć lub siedem metrów, główny maszt zaś miał ponad pięciokrotnie większą wysokość. Kiedy konsul przystanął na chwilę, by złapać nieco tchu w piersi i dać odpocząć utrudzonym mięśniom - bagaże okazały się cięższe, niż przypuszczał - usłyszał trzepotanie płótna oraz niski, niemal infradźwiękowy szum, który mógł dobiegać z masywnych żyroskopów statku.

Z górnego pokładu wysunął się trap, który opadł z hukiem na pomost. Ojciec Hoyt i Brawne Lamia musieli uskoczyć w bok, aby uniknąć zmiżdżenia.

Pokład wiatrowozu okazał się znacznie gorzej oświetlony niż "Benares". Jedyne źródło światła stanowiły nieliczne lampy zawieszane na niższych rejach. Nigdzie nie sposób było także dostrzec ani śladu załogi.

- Halo! - zawołał konsul z nabrzeża. Nikt mu nie odpowiedział.

- Zaczekajcie chwilę - polecił Kassad i pięcioma krokami pokonał długi trap.

Przyglądali się w milczeniu, jak zatrzymał się na chwilę przy burcie, dotknął rękojeści tkwiącego za jego pasem paralizatora, po czym zniknął na śródokręciu. Kilka minut później w prostokątnych oknach na rufie zapłonęło światło, kładąc się trapezoidalnymi, żółtymi plamami na falującej trawie.

- Możecie wchodzić! - zawołał pułkownik z pokładu. - Wóz jest pusty.

Musieli kilkakrotnie obracać, zanim przenieśli cały bagaż. Kiedy konsul pomagał templariuszowi taszczyć ciężki sześcian Möbiusa, odniósł wrażenie, że przez ścianki kufra wyczuwa lekką wibrację.

- A gdzie załoga, do kurwy nędzy? - zapytał Martin Silenus, gdy zebrali się na przednim pokładzie. Wcześniej przeszli gęsiego wąskimi korytarzami, schodząc i wspinając się po schodach szerokości drabin oraz zaglądając do kabin niewiele większych od koi, które się w nich znajdowały. Jedyne kajuta na samej rufie - prawdopodobnie kapitańska - była zbliżona rozmiarami i standardem wyposażenia do tego, co oferowała "Benares".

- Wygląda na to, że wszystko jest zautomatyzowane - powiedział Kassad. Były oficer Armii wskazał na fały niknące w otworach wywierconych w pokładzie, prawie niewidoczne mechaniczne manipulatory ukryte wśród takielunku, a także rozmaite przekładnie zainstalowane mniej więcej w połowie wysokości masztu.

- Nigdzie nie zauważyłam czegoś, co choć trochę przypominałoby sterownię - powiedziała Lamia. Wyjęła z kieszeni komlog i próbowała połączyć się z komputerem pojazdu na wszystkich standardowych częstotliwościach. Bez rezultatu.

- Jednostki kursujące po Trawiastym Morzu miały załogi - oświadczył stanowczo konsul. - Byli to najmłodszy kandydaci na kapłanów, których zadanie polegało na towarzyszeniu pielgrzymom w drodze do gór.

- Cóż, teraz ich tutaj nie ma - zauważył ojciec Hoyt. - Przypuszczam jednak, że spotkamy kogoś w stacji kolejki linowej albo w Baszcie Chronosa. Bądź co bądź, ktoś jednak wysłał po nas ten wehikuł.

- Albo wszyscy już nie żyją, a wiatrowóz kursuje według ustalonego dawno temu rozkładu - zauważyła Brawne Lamia, po czym zerknęła nerwowo w górę, gdzie przybierający na sile wiatr szarpał olinowaniem. - Cholera, to dziwne uczucie być od wszystkiego tak zupełnie odciętym. Mam wrażenie, jakbym była ślepa i głucha. Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób koloniści mogli to wytrzymać.

Martin Silenus przysiadł na burcie, pociągnął solidny łyk z wysokiej zielonej butelki i powiedział:

Gdzież jest poeta? Czy go wskażecie,
O moje muzy? Poznam go przecie!
Człowiek to, równy każdemu z ludzi.
Królem być może z całym splendorem,
Nędznym żebrakiem, co litość budzi,
Lub jakimkolwiek niezwykłym tworem.
On małpą może być lub Platonem.
To człowiek, który w swej wyobraźni
Wczuć się potrafi w orła lub wronę,
Dotrzeć do skrytych pokładów jaźni.
Gdy lew zaryczy, on go posłucha,
Pomruk tygrysa dla jego ucha
Brzmi niby zwykła człowiecza mowa.

- Skąd masz to wino? - zapytał Kassad.

Poeta uśmiechnął się błogo. W blasku lamp jego małe oczy wydawały się nienaturalnie jasne.

- Ta łajba jest w pełni zaprowiantowana, a w dodatku znalazłem bar. Niniejszym ogłaszam go za otwarty.

- Powinniśmy przyrzadzić coś do jedzenia - powiedział konsul, choć on sam miał w tej chwili ochotę jedynie na wino. Od ostatniego posiłku minęło już ponad dziesięć godzin.

Rozległ się donośny klekot i skrzypienie. Podeszli szybko do sterburty, w samą porę, aby zobaczyć chowający się trap. Zaraz potem koło zamachowe ruszyło z przybierającym na sile wizgiem, który bardzo szybko osiągnął taką wysokość, że przestał być słyszalny. Żagle wypełniły się wiatrem, pokład przechylił się nieco i wehikuł ruszył w ciemność. Po chwili słychać było jedynie trzeszczenie pokładu, przytłumione dudnienie toczącego się koła oraz szelest trawy prześlizgującej się po kadłubie.

Cała szóstka obserwowała w milczeniu szybko niknący zarys ciemnych wzgórz, a potem zostało już tylko rozgwieżdżone niebo, noc i chwiejące się żółte lampy.

- Zejdę na dół i zobaczę, czy uda mi się sklecić jakąś kolację - powiedział konsul.

Inni zostali jeszcze na pokładzie, obserwując przesuwaną się wokół nich ciemność. Pod nogami czuli delikatną wibrację. Trawiaste Morze różniło się od nocnego nieba tylko tym, że nie świeciły na nim gwiazdy. Kassad włączył latarkę i skierował snop światła w górę, gdzie liny i przekładnie przesuwały się bezustannie, wprawiane w ruch niewidzialnymi rękami, a potem zbadał dokładnie wszystkie,

nawet najbardziej niedostępne zakamarki. Pozostali przyglądali mu się w milczeniu. Kiedy latarka zgasła, ciemność wydała im się nie tak groźna, a blask gwiazd jakby nieco silniejszy. Wiatr niósł ze sobą intensywny, żyzny zapach, kojarzący się raczej z farmą w porze wiosennych siewów niż z morzem.

Wkrótce potem konsul zawiadomił ich, że kolacja jest już gotowa.

Mesa była bardzo ciasna, a stół maleńki, przenieśli się zatem z posiłkiem do dużej kabiny na rufie, gdzie zestawili razem trzy duże kufry, które miały pełnić funkcję stołu. Cztery lampy zawieszane u niskiego sufitu dawały dość światła. Kiedy Het Masteen otworzył jedno z prostokątnych okien, do wnętrza wdarł się ożywczy podmuch wiatru.

Konsul postawił na kufrach talerze ze stosami kanapek, następnie zaś przyniósł grube ceramiczne kubki i wielki termos z kawą. Nalewał ją, podczas gdy inni jedli.

- Całkiem niezłe - powiedział Fedmahn Kassad. - Skąd wzięłeś zimną pieczeń?

- Lodówka jest pełna, a w rufowej spiżarni stoi jeszcze jedna, też załadowana po brzegi.

- Elektryczna? - zapytał Het Masteen.

- Nie. Podwójnie izolowana.

Martin Silenus otworzył słoik, powąchał jego zawartość, a następnie nałożył sobie na kanapkę ogromną porcję chrzanu. Kiedy jadł, z oczu jedna za drugą ciekły mu łzy.

- Jak długo trwa zazwyczaj podróż? - zapytała Brawne Lamia konsula.

Podniósł głowę znad kubka z kawą, w który wpatrywał się nie widzącym spojrzeniem.

- Proszę?

- Na drugą stronę Trawiastego Morza. Jak długo?

- Całą noc i pół dnia, jeśli wieją sprzyjające wiatry.

- A potem... ile przez góry? - zapytał ojciec Hoyt.

- Niecały dzień.

- Jeżeli działa kolejka linowa - uzupełnił Kassad.

Konsul pociągnął łyk gorącej kawy i skrzywił się.

- Musimy założyć, że działa. W przeciwnym razie...

- W przeciwnym razie co? - zainteresowała się natychmiast Lamia.

- W przeciwnym razie - podjął pułkownik Kassad, stając przy otwartym oknie z

rękami na biodrach - utkniemy beznadziejnie sześćset kilometrów od Grobowców Czasu i tysiąc od najbliższego miasta.

Konsul potrząsnął głową.

- Wcale nie. Kapłani świątyni Chyżwara - albo ktoś inny, kto zorganizował tę pielgrzymkę - zatroszczyli się o to, byśmy dotarli aż tutaj. Z pewnością dopilnują, żebyśmy dobrnęli do celu.

- Za jaką cenę? - zapytała Brawne Lamia ze zmarszczonymi brwiami.

Martin Silenus zarechotał ponuro i podniósł wysoko butelkę.

Któż to się zbliża, by złożyć ofiary?
Dokąd, kapłanie, prowadzą twe kroki
Tę jałowicę ryczącą bez miary,
Te uwieńczone, jedwabne jej boki?
Gdzie leżysz, grodzie opuszczon w to rano
Przez swych mieszkańców? U morza czy rzeki,
Czy na gór stokach pod twierdzy ochroną?
Przez twym ulicom opustoszeć dano
Ażeby odtąd umilkły na wieki?
Lud twój nie powie, czemu cię rzucono?

W rękę Lamii pojawił się nagle miniaturowy laser przeznaczony do cięcia twardych przedmiotów. Kobieta wycelowała go w głowę poety.

- Ty żałosny, obleśny kurduplu... Jeszcze jedno słowo, a przysięgam, że rozplątam ci ten głupi łeb jak zepsuty melon!

W kajucie zapadła śmiertelna cisza. Słysać było tylko przytłumiony szmer urządzeń statku. Konsul ruszył powoli w kierunku poety, pułkownik zaś zaczął zbliżać się od tyłu do Lamii.

Silenus pociągnął z butelki i uśmiechnął się do ciemnowłosej kobiety. Wargi miał wilgotne od wina.

- O, budujcie swój statek śmierci! - szepnął. - O, budujcie...

Lamia tak mocno ścisnęła laser, że aż zbieleły jej palce. Konsul coraz bardziej zbliżał się do Silenusa, nie bardzo wiedząc, co właściwie powinien zrobić. Wydawało mu się, że lada chwila prosto w jego oczy uderzy oślepiający strumień skoncentrowanego światła. Kassad pochylał się w stronę Lamii niczym dwumetrowy, sprężony do skoku cień.

- Szanowna pani - odezwał się Sol Weintraub spod przeciwległej ściany, gdzie siedział na wąskiej koi. - Czy muszę pani przypominać, że jest z nami dziecko?

Lamia zerknęła w jego stronę. Weintraub wyjął jedną z szuflad potężnego kredensu i postawił ją na koi w charakterze dziecięcego łóżeczka. Po kolacji wykapał

dziecko i niepostrzeżenie wrócił do kajuty tuż przed brzemiennym w skutki wystąpieniem poety. Teraz delikatnie układał niemowlę w miękko wymoszczonej szufladzie.

- Przepraszam - powiedziała Brawne Lamia i opuściła rękę. - Kiedy go słucham, po prostu... tracę panowanie nad sobą.

Weintraub skinął poważnie głową, lekko bujając prowizoryczną kolebką. Dziecko spało już smacznie, ukołysane ledwo wyczuwalnym ruchem wiatrowozu i stłumionym dudnieniem ogromnego koła.

- Wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni i zdenerwowani - powiedział uczony. - Myślę, że powinniśmy już udać się na spoczynek.

Kobieta westchnęła głęboko, po czym schowała miniaturowy laser do kieszeni.

- Chyba nie zasną. Wszystko dokoła jest zbyt niezwykle.

Odpowiedziały jej zgodne pomruki. Martin Silenus usiadł na szerokiej półce biegnącej pod oknami, pociągnął kolejny łyk wina i spojrzał na Weintrauba.

- Opowiedz nam swoją historię.

- Tak jest - zawtórował mu Lenar Hoyt. Ksiądz sprawiał wrażenie krańcowo wycieńczonego, ale jego oczy płonęły żywym ogniem. - Opowiedz ją. Musimy mieć czas, żeby się nad nimi wszystkimi zastanowić.

Weintraub przesunął ręką po łysinie.

- To bardzo nudna opowieść - rzekł. - Nigdy wcześniej nie byłem na Hyperionie. Nie walczyłem z potworami, nie dokonywałem żadnych bohaterских czynów. Jest to historia człowieka, dla którego największą wyobraźalną przygodą jest wygłaszanie wykładu bez korzystania z notatek.

- Tym lepiej - odparł Martin Silenus. - Przyda nam się coś na sen.

Sol Weintraub westchnął ciężko, poprawił okulary i skinął głową. W jego siwej brodzie pozostało jedynie kilka pasm czarnych włosów. Przesunął jedną z lamp, aby nie świeciła dziecku w twarz, po czym usiadł na krześle pośrodku kajuty.

Konsul przygasił nieco pozostałe lampy i dołączył kawę tym, którzy sobie tego życzyli. Sol Weintraub mówił powoli, starannie dobierając słowa; spokojny rytm jego opowieści bardzo szybko wtopił się w jednostajne drżenie pokładu i monotonne odgłosy towarzyszące podążającemu na północ wiatrowozowi.

Opowieść Uczonego

Gorzki jest smak wód rzeki Lete

Sol Weintraub i jego żona Sarai jeszcze przed przyjściem na świat ich córki byli bardzo zadowoleni z życia. Rachela uczyniła je tak bliskim doskonałości, jak tylko mogli sobie wyobrazić.

Sarai miała wówczas dwadzieścia siedem lat, Sol zaś dwadzieścia dziewięć. Żadne z nich nie brało do tej pory pod uwagę możliwości poddania się zabiegowi Poulsena, przede wszystkim dlatego, że nie mogli sobie na to pozwolić, ale i tak czekało ich jeszcze co najmniej pięćdziesiąt lat życia w dobrym zdrowiu.

Oboje od urodzenia mieszkali na Planecie Barnarda, jednym z najstarszych, ale zarazem najmniej interesujących światów Hegemonii. Planeta Barnarda należała do Sieci, lecz dla Sola i Sarai nie miało to większego znaczenia, gdyż nie mogli sobie pozwolić na częste podróże za pomocą transmitera, a poza tym wcale nie odczuwali takiej potrzeby. Sol niedawno obchodził dziesięciolecie pracy w Uniwersytecie Nightenhelsera, gdzie uczył historii, w tym także historii starożytnej, oraz prowadził własne badania dotyczące ewolucji etyki. Była to niewielka uczelnia - uczęszczało na nią niespełna trzy tysiące studentów - ale cieszyła się znakomitą reputacją, dzięki czemu przyciągała młodych ludzi z całej Sieci. Jeżeli Weintraubowie mieli jakieś powody do narzekań, to głównie ten, że Uniwersytet Nightenhelsera oraz powstałe wokół niego miasteczko Crawford stanowiły wysepkę cywilizacji na oceanie zboża. Istotnie - do stolicy było ponad trzy tysiące kilometrów, a całą tę przestrzeń, po uzdatnieniu gleby, przeznaczono pod zasiewy. Nie pozostał ani skrawek lasu, w którym można by było zabłądzić, ani jeden pagórek, na który można by było się wspiąć. Nic, tylko żyto, kukurydza, pszenica, a potem znowu pszenica, kukurydza i żyto. Poeta-radykał Salmud Brevy, który wykładał krótko na Uniwersytecie Nightenhelsera przed buntem Glennona-Heighta, a potem został zwolniony, po przeniesieniu się na Renesans opowiadał przyjaciołom, że okręg Crawford na Południowym Sinzerze na Planecie Barnarda jest w rzeczywistości Ósmym Kręgiem Nicości umieszczonym na najmniejszym pryzczu, jaki zdobi najbardziej odległy koniuszek dupy wszechświata.

Sol i Sarai Weintraubowie nie mieli nic przeciwko temu. Liczące sobie dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców Crawford wyglądało tak, jakby zostało przeniesione w całości z dziewiętnastowiecznej Ameryki. Wzdłuż szerokich ulic rosły potężne wiązy i dęby. (Planeta Barnarda była drugą ziemską kolonią poza Układem Słonecznym, założoną na długo przed wynalezieniem napędu Hawkinga i hegirą. W

tamtym czasach statki kolonizacyjne miały takie rozmiary, że mogło się w nich pomieścić dosłownie wszystko.) Domy budowano w różnych stylach, od wiktoriańskiego poczynając, na kanadyjskim odrodzeniu kończąc, ale wszystkie miały białe ściany i stały z dala od ulicy, na rozległych, starannie pielęgnowanych trawnikach.

Sam Uniwersytet wzniesiono w stylu georgiańskim - mnóstwo czerwonej cegły i białych kolumn wokół okrągłego dziedzińca. Gabinet Sola znajdował się na drugim piętrze Kolegium Plachera, najstarszej budowli uczelni; zimą uczony mógł spoglądać na огоłocone z liści gałęzie, za którymi widać było szary dziedziniec. Sol uwielbiał wyraźnie wyczuwalny, niezmienny od wielu lat zapach starego drewna, a wspinając się codziennie na drugie piętro po schodach wydeptanych przez dwadzieścia pokoleń studentów i nauczycieli doznawał wciąż tego samego uczucia dumy wymieszanej z odrobiną melancholii.

Sarai urodziła się na farmie w połowie drogi między stolicą a Uniwersytetem i na rok przed mężem obroniła doktorat z teorii muzyki. Była szczęśliwą, energiczną młodą kobietą, nadrabiającą siłą osobowości pewne braki w urodzie, dzięki czemu ponad wszelką wątpliwość zasługiwała na miano bardzo atrakcyjnej. Przez dwa lata studiowała na Uniwersytecie w Nowym Lyonie na Denebie Drei, ale wciąż tęskniła za rodzinną planetą; na Denebie słońce zachodziło w okamgnieniu, gdyż słynne na całą Sieć góry przecinały bieg promieni niczym wyszczerbiona kosa, Sarai zaś zawsze uwielbiała długie, ciągnące się całymi godzinami zachody Gwiazdy Barnarda, która wisiała tuż nad horyzontem niczym ogromny czerwony balon na uwięzi, podczas gdy niebo powoli przesiąkało barwami wieczoru. Brakowało jej także doskonale płaskiego krajobrazu - nawet mała dziewczynka wyglądająca ze swego pokoiku na poddaszu mogła dostrzec z odległości pięćdziesięciu kilometrów nadciągającą burzę, która przypominała sinoczną kurtynę rozświetlaną od czasu do czasu blaskiem błyskawic. Sarai tęskniła także za rodziną.

Poznali się z Solem tydzień po jej przenosinach na Uniwersytet Nightenhelsera, ale minęły jeszcze trzy lata, zanim on zaproponował jej małżeństwo, a ona wyraziła zgodę. Początkowo nie dostrzegła nic interesującego w niskim, spokojnym studencie ostatniego roku. W tym okresie wciąż jeszcze ubierała się według nakazów najnowszej mody obowiązującej w Sieci. Aktywnie propagowała postdestrukcjonizm w muzyce, czytywała "Obit", "Nihil" oraz najbardziej awangardowe czasopisma z Renesansu i TC² i posługiwała się rewolucyjnym

słownictwem - nic więc dziwnego, że nie zaprzętała sobie głowy niedużym, poważnym studentem historii, który podczas przyjęcia ku czci dziekana Moore'a wylał jej na sukienkę koktajl owocowy. Weintraub mógłby zainteresować ją swoim egzotycznym, żydowskim pochodzeniem, ale ten niewielki atut nigdy nie pozwoliłby na zrównoważenie licznych wad, wśród których na pierwsze miejsce wysuwały się: typowy akcent z Planety Barnarda, konserwatywny ubiór oraz wetknięty pod pachę egzemplarz *Osamotnienia w niezgodzie* Detresque'a.

Sol natomiast zakochał się od pierwszego wejrzenia. Wpatrując się w roześmianą dziewczynę o rumianych policzkach nie dostrzegł kosztownego stroju ani przeraźliwie pomarańczowych paznokci, tylko wspaniałą osobowość, która olśniła go niczym Supernowa. Dopóki nie spotkał Sarai, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest samotny, ale gdy tylko ucisnął dziewczynie dłoń i wylał jej na sukienkę zawartość swojej szklanki, wiedział na pewno, że jeśli się nie pobiorą, to jego życie już na zawsze pozostanie beznadziejnie puste.

Ślub odbył się tydzień po tym, jak Sol dostał wiadomość o otrzymaniu posady wykładowcy na uczelni. Miesiąc miodowy spędzili na Maui-Przymierzu - była to jego pierwsza podróż za pomocą transmitera - gdzie przez trzy tygodnie pływali wynajętą wysepką wśród cudów i dziwów Archipelagu Równikowego. Sol nigdy nie zapomniał tych słonecznych i wietrznych dni, najpiękniejszym zaś wspomnieniem, jakie zachował w pamięci, był widok nagiej Sarai, która wyszła z wody po nocnej kąpieli, a jasne skupiska gwiazd Jądra Galaktyki oświetlały jej ciało srebrzystym blaskiem.

Od razu chcieli mieć dziecko, lecz natura przyzwoliła na to dopiero po pięciu latach.

Poród był bardzo ciężki. Sol tulił płaczącą z bólu żonę w ramionach, aż wreszcie, o 0201 nad ranem, w Centrum Medycznym w Crawford przyszła na świat Rachela Sara Weintraub.

Pojawienie się dziecka zburzyło dotychczasową rutynę ich życia, lecz ani Sol, ani Sarai nie mieli nic przeciwko temu. Pierwsze miesiące były wypełnione zmęczeniem przeplatającym się z bezustanną radością. Późną nocą, między karmieniami, Sol często wchodził na palcach do dzieciennego pokoju i długo stał jak posąg przyglądając się niemowlęciu. Zdarzało się, że była tam już Sarai; obejmowali się wówczas i razem obserwowali cud, jakim jest maleńkie dziecko śpiące spokojnie na brzuszku, z wypiętą pupą i główką wtuloną w poduszeczkę.

Rachela należała do tych nielicznych dzieci, które mają mnóstwo wdzięku, ale

nie starają się tego bezwzględnie wykorzystywać. Już w wieku dwóch lat zwracała na siebie uwagę nie tylko wyglądem, lecz również cechami osobowości. Po matce odziedziczyła jasnokasztanowe włosy, rumiane policzki i szeroki uśmiech, po ojcu duże orzechowe oczy. Przyjaciele twierdzili, że dziecko dysponuje także intelektem Sola i wrażliwością Sarai. Jeden z nich, psycholog z uczelni, tak określił dominujące cechy charakteru pięcioletniej wówczas dziewczynki: wielostopniowa ciekawość świata, empatia, współczucie i niezachwiana uczciwość.

Pewnego dnia, czytając w swoim gabinecie wybór tekstów źródłowych ze Starej Ziemi, Sol natrafił na fragment, w którym dwudziestowieczny, a może pochodzący z dwudziestego pierwszego wieku krytyk opisywał wpływ, jaki wywarła Beatrycze na sposób postrzegania świata przez Dantego:

“Tylko ona [Beatrycze] była dla niego realna, tylko jej postać miała znaczenie i tylko ona była naprawdę piękna. Stała się dla niego punktem odniesienia, czymś, co Melville z właściwą sobie trafnością nazwałby zapewne jego południkiem Greenwich...”

Sol przerwał na chwilę, aby sprawdzić, co to był południk Greenwich, po czym kontynuował lekturę. W końcowej części natrafił na osobistą uwagę krytyka:

“Ufam, że większość z nas ma dziecko, współmałżonka lub choćby przyjaciela, który - podobnie jak Beatrycze - dzięki swemu charakterowi, nieskończonej dobroci oraz inteligencji każe nam rumienić się ze wstydu, kiedy kłamiemy”.

Sol wyłączył czytnik, po czym bardzo długo wpatrywał się bez ruchu w czarne zygzaki gałęzi za oknem gabinetu.

Na szczęście Rachelą nie była nieznośnie doskonała. W wieku pięciu lat standardowych poobcinała włosy wszystkim ulubionym lalkom, a następnie to samo uczyniła ze swoimi. Dwa lata później doszła do wniosku, że przybyli z innych planet robotnicy, którzy zamieszkiwali nędzne domostwa na południowym skraju miasta, powinni się lepiej odżywiać, w związku z czym opróżniła wszystkie domowe spizarnie, lodówki, zamrażarki i syntetyzery żywności, namówiła trzy przyjaciółki, żeby jej towarzyszyły, i rozdała artykuły spożywcze wartości kilkuset marek, co poważnie nadszarpnęło skromny rodzinny budżet.

Mając lat dziesięć założyła się ze Stubbym Berkowitzem, że wejdzie na najstarszy wiąz w Crawford. Kiedy znajdowała się czterdzieści metrów nad ziemią, a zaledwie pięć od wierzchołka, złamała się gałąź i dziewczynka runęła w dół. Zatrzymała się na jednym z grubszych konarów kilkanaście metrów niżej. Sol, który

został poinformowany o wypadku przez komlog w trakcie wykładu o moralnych implikacjach pierwszego rozbrojenia nuklearnego na Starej Ziemi, bez słowa wyszedł z sali i popędził w kierunku Centrum Medycznego.

Rachela miała złamaną lewą nogę i dwa żebra, przebite płuco oraz pękniętą szczękę. Kiedy Sol wpadł do pokoju, unosiła się w zbiorniku wypełnionym płynem regeneracyjnym, ale zdołała spojrzeć na niego nad ramieniem matki, uśmiechnąć się lekko i powiedzieć przez drucziany kaganiec spinający jej szczęki:

- Tato, zabrakło mi tylko pięciu metrów. Może nawet mniej. Następnym razem na pewno się uda.

Rachela ukończyła szkołę średnią z kilkoma wyróżnieniami i otrzymała propozycje stypendiów od kilku wyższych uczelni na pięciu planetach, w tym także od Harvardu na Nowej Ziemi. Wybrała Uniwersytet Nightenhelsera.

Sol bez specjalnego zdziwienia przyjął fakt, że jego córka postanowiła studiować archeologię. Jedno z najmielszych wspomnień, jakie zachował z jej dzieciństwa, pochodziło z okresu, kiedy miała niewiele ponad dwa lata i spędzała całe godziny pod gankiem, grzebiąc zawzięcie w ziemi i całkowicie ignorując pająki, stonogi oraz inne stworzenia. Co jakiś czas wbiegała do domu, by pochwalić się znalezioną skorupą plastikowego talerza albo zaśniezionym pieniążkiem. Za każdym razem domagała się wyjaśnień, co to jest, skąd się wzięło i gdzie teraz są ludzie, którzy tego używali.

W połowie studiów, po wakacjach przepracowanych na farmie dziadków, Rachela przeniosła się na Reichsuniversität na Freeholmie. Wróciła dwadzieścia osiem miesięcy później, a jej rodzicie poczuli się wówczas tak, jakby po długiej przerwie znowu zaświeciło im słońce.

Przez dwa tygodnie ich córka - teraz już dorosła i świadoma tego, czego pragnie od życia - odpoczywała w domu, chłonąc na nowo jego atmosferę. Pewnego wieczoru, podczas spaceru po terenie miasteczka uniwersyteckiego, zadała ojcu nieoczekiwane pytanie:

- Tato, czy ty jeszcze uważasz się za Żyda?

Zaskoczony Sol przesunął ręką po rzednących włosach.

- Za Żyda? Chyba tak. Tyle tylko że teraz nie oznacza to już tego samego co dawniej.

- A czy ja jestem Żydówką?

W gasnącym blasku słońca rumieńce na policzkach Racheli nabrały intensywnie czerwonej barwy.

- Możesz nią być, jeśli masz na to ochotę. Powtarzam jednak, że teraz, kiedy nie ma Starej Ziemi, ma to zupełnie inne znaczenie.

- Czy kazałbyś mnie obrzezać, gdybym była chłopcem?

Sol roześmiał się, jednocześnie rozbawiony i zażenowany pytaniem.

- Mówię poważnie.

Uczony poprawił okulary.

- Chyba tak, maleńka. Szczerze mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Byłeś kiedyś w synagodze w Bussard City?

- Ostatni raz podczas mojej bar-micwy - odparł Sol, wracając pamięcią do tego dnia przed pięćdziesięciu laty, kiedy jego ojciec pożyczył vikkena od wuja Richarda i zawiózł całą rodzinę do miasta na uroczystości.

- Tato, dlaczego Żydzi uważają, że teraz, po hegirze, wszystko jest jakby... trochę mniej ważne?

Sol rozłożył swoje duże, silne ręce - bardziej przypominały ręce kamieniarza niż uczonego.

- To dobre pytanie, moje dziecko. Prawdopodobnie dlatego, że niemal wszystkie ich marzenia legły w gruzach. Izrael nie istnieje. Nowa Świątynia przetrwała krócej niż dwie poprzednie. Bóg złamał słowo, niszcząc Ziemię po raz drugi, a ta diaspora będzie trwała całą wieczność.

- Jednak są miejsca, gdzie Żydzi utrzymują odrębność etniczną i religijną - nie dawała za wygraną jego córka.

- Oczywiście. Na Hebronie, a także na Pasażu możesz znaleźć kilka społeczności - hasydzi, ortodoksi, hasmonejczycy, co tylko chcesz - ale ci ludzie żyją na pokaz, jak... jak...

- Jak w parku tematycznym?

- Otóż to.

- Zabierzesz mnie jutro do synagogi? Pożyczę strata od Khakiego.

- Nie trzeba - odparł Sol. - Jest uczelniany bus, możemy z niego skorzystać. - Umilkł na chwilę, po czym dodał. - Wiesz co? Bardzo się cieszę, że tam pojedziemy.

Pod starymi więzami szybko zapadał zmrok. Na szerokiej ulicy prowadzącej do domu zapalały się latarnie.

- Tato, chcę zadać ci pytanie, które powtarzałam już chyba milion razy. Czy

wierzysz w Boga?

Sol nie uśmiechnął się. Wiedział, że musi udzielić córce tej samej odpowiedzi, którą słyszała od niego już milion razy.

- Wciąż czekam na to, by uwierzyć.

Przygotowania do pracy doktorskiej wymagały od Racheli badania obcych artefaktów oraz tych pochodzących sprzed hegiry. Przez trzy lata standardowe Sol i Sarai mogli liczyć jedynie na krótkie, okazjonalne wizyty oraz przekazy wizyjne z różnych egzotycznych planet, położonych w pobliżu Sieci, ale nie należących do niej. Doskonale zdawali sobie sprawę, że w pogoni za nowymi odkryciami Rachelą już niedługo będzie musiała wyruszyć znacznie dalej, gdzie bezlitosny dług czasowy błyskawicznie pożera ludzkie życie oraz wspomnienia o tych, którzy zostali.

- A gdzie, do diabła, jest ten Hyperion? - zapytała Sarai podczas ostatniego przed wyruszeniem ekspedycji pobytu Racheli w domu. - Nazywa się zupełnie jak jakiś nowy środek czystości.

- To wspaniałe miejsce, mamó. Jest tam więcej pozostałości po obcych kulturach niż na wszystkich innych planetach razem wziętych, może z wyjątkiem Armaghastu.

- Dlaczego więc nie polecisz na Armaghast? To tylko kilka miesięcy poza Siecią. Czemu zdecydowałaś się na coś gorszego?

- Hyperion nie stał się jeszcze atrakcją turystyczną, choć i tam zaczynają już borykać się z tym problemem - wyjaśniła dziewczyna. - Zamożni ludzie coraz chętniej wyruszają w długie podróże.

- Będiesz badała labirynt, czy tak zwane Grobowce Czasu? - zapytał Sol. Ze zdziwieniem stwierdził, że zaschło mu w gardle.

- Grobowce Czasu, tato. Razem z doktorem Melio Arundezem, który wie o nich więcej niż ktokolwiek na świecie.

- Czy one nie są przypadkiem niebezpieczne?

Sol sformułował pytanie najbardziej oględnie, jak potrafił, ale nawet on dosłyszał w swoim głosie nutę niepokoju.

Rachela uśmiechnęła się.

- Myślisz o legendzie Chyżwara? Nie obawiaj się. Od ponad dwustu lat nikomu nic się nie stało.

- Ale widziałem dokumenty, w których opisano różne tajemnicze zdarzenia,

jakie miały miejsce podczas drugiej kolonizacji...

- Ja też je widziałam. Weź jednak pod uwagę, że wtedy nie wiadano jeszcze o istnieniu węgorzy skalnych, które w poszukiwaniu pożywienia zapuszczają się aż na pustynię. Widocznie pożarły kilku ludzi, a reszta wpadła w panikę. Zresztą sam najlepiej wiesz, w jaki sposób powstają legendy. Jeżeli chodzi o węgorze, to zostały już prawie zupełnie wytępione.

Sol nie rezygnował.

- Nie lądują tam żadne pojazdy kosmiczne. Żeby dostać się do Grobowców, trzeba płynąć statkiem, iść pieszo albo robić coś jeszcze bardziej głupiego.

Rachela roześmiała się wesoło.

- Początkowo ludzie nie doceniali skali oddziaływania antyentropicznych pól siłowych, w związku z czym doszło do kilku wypadków. Teraz regularnie kursują tam sterowce. Na północnym skraju pasma górskiego wybudowano ogromny hotel, który nazwano Basztą Chronosa. Co roku korzystają z niego setki turystów.

- Ty też się tam zatrzymasz? - zapytała Sarai.

- Na jakiś czas. To będzie niesamowita przygoda, mamo!

- Mam nadzieję, że nie zanadto niesamowita - powiedziała Sarai z uśmiechem.

Sol i Rachela także się uśmiechnęli.

Podczas trwającej cztery lata podróży Racheli - dla niej było to tylko kilka tygodni spędzonych w kriogenicznym śnie - Sol przekonał się, że tęskni za córką znacznie bardziej, niż gdyby była gdzieś daleko, ale w każdej chwili osiągalna, choćby za pomocą komunikatora. Świadomość, że Rachela oddala się od niego z prędkością większą od prędkości światła, spowita w kwantowy kokon efektu Hawkinga, napawała go lękiem i niedobrymi przeczuciami.

Mieli mnóstwo zajęć. Sarai zrezygnowała z działalności w charakterze krytyka muzycznego, poświęcając więcej czasu sprawom lokalnej społeczności, natomiast dla Sola był to najbardziej pracowity okres w życiu. Opublikował dwie kolejne książki, z których pierwsza - *Punkty zwrotne moralności* - wywołała tak wielkie poruszenie, że bez przerwy zapraszano go do udziału w przeróżnych konferencjach i sympozjach na wielu planetach Sieci. W niektórych uczestniczył sam, w innych wspólnie z Sarai, lecz choć oboje lubili podróżować, to zauroczenie nowymi krajobrazami, odmienną kulturą i egzotyczną kuchnią szybko mijało. Sol zamykał się wówczas w gabinecie i

poświęcał pracy nad nową książką, biorąc udział w zjazdach jedynie za pośrednictwem interaktywnego komunikatora, w jaki był wyposażony uniwersytet.

Prawie pięć lat po tym, jak Rachela wyruszyła ku Grobowcom Czasu, przyśnił mu się sen, który całkowicie odmienił jego życie.

Śniło mu się, że wędruje po wnętrzu ogromnej budowli o niezwykle wysokim sklepieniu, podtrzymywanym przez kolumny wielkości sekwoi. Sączące się z góry światło miało czerwoną barwę. Od czasu do czasu dostrzegał kątem oka jakieś kształty mające w półmroku po lewej lub prawej stronie; najpierw były to gigantyczne kamienne nogi, potem monstrualnych rozmiarów skarabeusz, rozświetlony od środka zimnym blaskiem.

Wreszcie zatrzymał się, aby odpocząć. Daleko z tyłu dobiegał groźny odgłos szalejącego pożaru, z przodu zaś jaśniały dwie owalne plamy krwistoczerwonego światła.

Sięgnął ręką do czoła, by otrzeć z niego pot, kiedy usłyszał potężny, grzmiący głos:

“Sol! Weź swoją córkę, swoją jedyną córkę Rachelę, którą kochasz, udaj się z nią na planetę Hyperion i złóż ją tam w ofierze w miejscu, które ci wskażę”.

- Chyba nie mówisz poważnie - odparł Sol we śnie, po czym ruszył dalej przez mrok rozświetlony jedynie czerwoną poświatą sączącą się z dwóch czerwonych owali, przypominających ogromne księżyce wiszące nieruchomo nad jakąś niezmierną równiną. Kiedy znowu zatrzymał się, by odpocząć, głos przemówił ponownie:

“Sol! Weź swoją córkę, swoją jedyną córkę Rachelę, którą kochasz, udaj się z nią na planetę Hyperion i złóż ją tam w ofierze w miejscu, które ci wskażę”.

Sol ugiął się pod ciężarem głosu, ale szybko otrząsnął się i powiedział w ciemność:

- Słyszałem cię już za pierwszym razem. Odpowiedź nadal brzmi “nie”.

Wiedział już wówczas na pewno, że to sen, i jakaś część jego umysłu zachwycała się scenariuszem, jednak inna część chciała, aby jak najprędzej się obudził. Tymczasem znalazł się na czymś w rodzaju balkonu, z którego roztaczał się widok na obszerne pomieszczenie. Pośrodku, na masywnym kamiennym bloku, leżała skąpana w czerwonym blasku, naga Rachela. Sol przeniósł wzrok na swoją prawą rękę i stwierdził ze zdumieniem, że ścisną w niej nóż o długim, zakrzywionym ostrzu. Zarówno ostrze, jak i rękojeść zdawały się wykonane z kości.

Grzmiący głos - Sol przypuszczał, że tak właśnie starałby się przedstawić Głos Boga reżyser jakiegoś niskobudżetowego holofilmu - przemówił po raz trzeci:

“Sol! Wysłuchaj mnie uważnie. Od tego, czy postąpisz zgodnie z moją wolą, zależy przyszłość ludzkości. Weź swoją córkę, swoją jedyną córkę Rachelę, którą kochasz, udaj się z nią na planetę Hyperion i złoż ją tam w ofierze w miejscu, które ci wskażę”.

Wówczas Sol, zniecierpliwiony i jednocześnie zaniepokojony, odwrócił się i cisnął nóż daleko w ciemność. Kiedy ponownie spojrzął na kamienny ołtarz, przekonał się, że Rachela zniknęła, czerwone owale zaś znacznie się przybliżyły, dzięki czemu widać było wyraźnie, że są to wielościennie szlachetne kamienie wielkości małych planet.

Dudniący głos odezwał się po raz kolejny:

“Sol! Dałem ci szansę. Wiesz, gdzie możesz mnie znaleźć, gdybyś zmienił zdanie”.

Zaraz potem Sol obudził się, trochę rozbawiony, a trochę przerażony niezwykłym snem. Rozbawienie miało związek z przypuszczeniem, że zarówno Talmud, jak i cały Stary Testament mogą stanowić jedynie fragment jakiegoś zakrojonego na kosmiczną skalę, absurdalnego dowcipu.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Solowi przyśnił się niepokojący sen, Rachela kończyła pierwszy rok badań na Hyperionie. Zespół składający się z dziewięciu archeologów i sześciu fizyków uznał, że Baszta Chronosa to fascynujące miejsce, zbyt jednak zatłoczone przez turystów i pielgrzymów, w związku z czym po miesiącu ekspedycja przeniosła się do stałego obozu usytuowanego mniej więcej w połowie drogi między zrujnowanym miastem a niewielkim wąwozem, w którym znajdowały się Grobowce Czasu.

Połowa zespołu badała najdawniejsze pozostałości opuszczonego miasta, Rachela zaś oraz jej dwaj koledzy zajmowali się Grobowcami. Zafascynowani antyentropicznymi polami siłowymi fizycy poświęcali znaczną część czasu na wyznaczanie zmieniających się granic tak zwanych prądów czasu.

Grupa, w skład której wchodziła Rachela, skoncentrowała się na budowli zwanej Sfinksem, mimo że kamienna postać nie przypominała ani człowieka, ani lwa. Możliwe, że w ogóle nie był to wizerunek żadnej żywej istoty, choć łagodnie zarysowane kształty wywoływały takie właśnie skojarzenia, szerokie zaś, wystające na boki płaszczyzny przywodziły na myśl skrzydła. W przeciwieństwie do innych

Grobowców, które stały otworem i były łatwo dostępne, Sfinks został wzniesiony z ogromnych kamiennych bloków, między którymi pozostawiono wąskie, kręte przejścia; część z nich rozszerzała się niespodziewanie, tworząc pomieszczenia wielkości sporych sal wykładowych, żadne jednak nie prowadziło do jakiegoś konkretnego miejsca. W Sfinksie nie było tajnych krypt, ukrytych skarbców, splądrowanych sarkofagów, fresków ani sekretnych przejść - tylko bezsensowny labirynt wijących się we wszystkie strony, ciasnych korytarzy.

Rachela oraz jej kochanek, Melio Arundez, postanowili sporządzić mapę Sfinksa posługując się metodą znaną od co najmniej siedmiuset lat, a zastosowaną po raz pierwszy w dwudziestym wieku w egipskich piramidach na Starej Ziemi. Polegała ona na umieszczeniu niezwykle czułych detektorów promieniowania kosmicznego w najniższym punkcie budowli, a następnie rejestrowaniu rozkładu cząstek docierających do urządzeń. Sposób ten pozwalał na wykrycie zamurowanych pomieszczeń, które uchodziły uwagi nawet najnowocześniejszych radarów. Ze względu na ogromny napływ turystów, a także obawy Rady Planety, że prowadzone na zbyt dużą skalę badania mogą doprowadzić do uszkodzenia Grobowców Czasu, Rachela i Melio zjawiali się we wnętrzu Sfinksa dopiero o północy, wędrując przez pół godziny trasą, którą wcześniej oznakowali jarzącymi się błękitem lampami bioluminescencyjnymi. Ze słuchawkami na uszach siedzieli aż do świtu pod setkami tysięcy ton kamienia, wsłuchani w popiskiwanie cząstek, które przed wiekami zrodziły się w sercach ginących gwiazd.

Nie mieli najmniejszych problemów z prądami czasu; ponieważ Sfinks był najbardziej ze wszystkich Grobowców wystawiony na działanie pól antyentropicznych, fizycy sporządzili dokładną, czasoprzestrzenną mapę ich występowania. Największe natężenie osiągały o 1000, by po dwudziestu minutach cofnąć się w kierunku Starego Grobowca, położonego pół kilometra dalej na południe. Turystów dopuszczano w pobliże budowli dopiero o 1200, a dla zachowania marginesu bezpieczeństwa opróżniano ją o 0900. Fizycy ustawili także sporo czujników na ścieżkach łączących poszczególne Grobowce, po to, by w razie jakichś nieprzewidzianych zmian umożliwić szybką ewakuację zwiedzających.

Pewnej nocy, równo na trzy tygodnie przed pierwszą rocznicą rozpoczęcia badań na Hyperionie, Rachela obudziła się, wstała z łóżka, pozostawiając w nim śpiącego smacznie kochanka, wsiadła do jeepa i pojechała do doliny Grobowców Czasu. Już dawno temu ona i Melio doszli do wniosku, że nie ma najmniejszego

sensu, aby oboje sprawdzali każdej nocy działanie sprzętu. Teraz czynili to na zmianę: jedno jeździło przed północą do doliny, drugie prowadziło nazajutrz prace przygotowawcze do realizacji ostatniego zadania, które polegało na sporządzeniu szczegółowych, przekrojowych map wydm położonych między Starym Grobowcem a Obeliskiem.

Noc była chłodna i piękna. Niebo od horyzontu po horyzont wypełniały gwiazdy w ilości cztery albo nawet pięć razy większej niż ta, do jakiej Rachela przywykła na Planecie Barnarda. Silny wiatr wiejący od położonych na południu gór przesypywał z szelestem ziarna piasku.

W dolinie wciąż jeszcze płonęły światła. Fizycy dopiero co skończyli pracę i ładowali sprzęt do swojego pojazdu. Rachela poplotkowała z nimi trochę, napiła się kawy, po czym zarzuciła plecak na ramiona, by po dwudziestu pięciu minutach pieszej wędrówki znaleźć się u podnóża Sfinksa.

Chyba po raz setny zadawała sobie pytanie, kto i po co zbudował Grobowce Czasu. Próby określenia ich wieku na podstawie stanu materiałów, z jakich zostały wzniesione, spęzły na niczym ze względu na działanie antyentropicznych pól siłowych. Wyniki analiz okolicznych skał oraz formacji geologicznych pozwalały sądzić, że niezwykle budowle miały co najmniej pół miliona lat. Powszechnie uważano, że ich architekci byli istotami humanoidalnymi, mimo iż nie istniały żadne dowody na poparcie tej tezy. Kształt tuneli we wnętrzu Sfinksa także nie stanowił wyraźnej wskazówki; niektóre zdawały się zaprojektowane z myślą o istocie wielkości człowieka, inne jednak miały średnicę rury kanalizacyjnej, by nagle bez żadnego widocznego powodu rozszerzyć się do rozmiarów sporej jaskini. Otwory wejściowe - o ile można je tak nazwać, gdyż w większości prowadziły donikąd - równie często jak prostokątne były trójkątne, trapezoidalne albo dziesięciokątne.

Ostatnie dwadzieścia metrów Rachela pokonała czołgając się biegnącym stromo w dół tunelem, tak wąskim, że musiała zdjąć plecak i pchać go przed sobą. Żarzące się zimnym blaskiem lampy luminescencyjne nadawały skale oraz ciału dziewczyny niebieskawą odcień. "Piwnica", do której wreszcie dotarła, stanowiła na tym obcym terenie oazę swojskiego, spowodowanego przez ludzi bałaganu. Środek niezbyt rozległego pomieszczenia zajmowało kilka składanych krzesełek, a na wąskim stole przysuniętym do północnej ściany tłoczyły się czujniki, oscyloskopy i rozmaite inne urządzenia. Zbita z surowych desek ława, którą ustawiono przy przeciwległej ścianie, była zastawiona kubkami po kawie. Oprócz nich wały się tam dwie książki,

nie dojeżdżony pączek, szachownica turystyczna oraz plastikowa maskotka wyobrażająca coś w rodzaju psa ubranego w spódniczkę z trawy.

Rachela położyła plecak przy ławie, postawiła termos z kawą obok zabawki, po czym sprawdziła wskazania czujników rejestrujących natężenie promieniowania kosmicznego. Nic nowego: żadnych komór ani korytarzy, tylko dwie lub trzy płytkie nisze, których nie było widać na ekranach radarów. Rano Melio i Stefan wysłał tam zdalnie sterowane sondy w celu pobrania próbek powietrza i dopiero potem podejmą decyzję, gdzie i kiedy zacząć drążyć tunel za pomocą precyzyjnego mikromanipulatora. Do tej pory odkryto około dziesięciu takich nisz, w których jednak nie znaleziono nic ciekawego. Niektórzy uczestnicy ekspedycji żartowali, że w jednej z następnych z pewnością natrafią na miniaturowe sarkofagi, maleńkie urny, karłowatą mumię albo, jak mawiał Melio, na "tyciego Tutenhamona".

Rachela z przyzwyczajenia sprawdziła, czy działa kanał łączności bezpośredniej w jej komlogu. Nie działał, jak zwykle. Czterdzieści metrów skał robiło jednak swoje. Początkowo planowali przeciągnięcie kabla i zainstalowanie staromodnego telefonu przewodowego, ale jakoś nigdy do tego nie doszło, a teraz badania Sfinksa dobiegały już końca. Rachela przestroїła komlog w taki sposób, żeby za jego pośrednictwem na bieżąco kontrolować napływające dane, po czym zasiadła w jednym z rozkładanych foteli, szykując się na kolejną długą, nudną noc.

Jeden z faraonów z zamierzchłej historii Starej Ziemi - może Cheops? - najpierw zatwierdził plany swojej ogromnej piramidy, a potem przez wiele lat do późnej nocy nie mógł zmrużyć oka, gdyż, ogarnięty klaustrofobiczną paniką, myślał o tych tysiącach ton kamienia, które przez całą wieczność będą wznosiły się nad jego zmumifikowanym ciałem. Wreszcie rozkazał, aby komora grobowa została umieszczona znacznie wyżej, niż zakładał oryginalny projekt, niemal w dwóch trzecich wysokości piramidy. Rachela doskonale rozumiała tego władcę. Miała nadzieję, że śpi spokojnie, gdziekolwiek teraz jest.

Sama także zdrzemnęła się nieco, kiedy - dokładnie o 0215 - komlog zaświergotał alarmująco, a czujniki podniosły elektroniczny wrzask. Dziewczyna zerwała się na równe nogi. Według wskazań aparatury we wnętrzu Sfinksa pojawiło się nagle ponad dziesięć nowych pomieszczeń, z których kilka przewyższało rozmiarami całą budowlę. Rachela zażądała pokazania symulacyjnych modeli, po czym ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w przedziwne falujące zarysy budowli i drgającą w jej wnętrzu płataninę korytarzy.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że nastąpiła jakaś poważna awaria aparatury, ale w chwili kiedy usiłowała przestroić urządzenia, niemal jednocześnie zdarzyło się kilka rzeczy.

Z położonego wyżej korytarza dobiegł odgłos kroków.

Wszystkie wskaźniki zgasły.

Gdzieś daleko rozległ się sygnał alarmowy, ostrzegający przed rozszerzaniem się granicy pola antyentropicznego.

Zgasło światło.

To ostatnie nie miało żadnego sensu. Wszystkie przyrządy pomiarowe były wyposażone w niezależne źródła zasilania, które przetrwałyby nawet bezpośrednie trafienie jądrowe. Lampy oświetlające pomieszczenie miały zupełnie nowe baterie o co najmniej dziesięcioletniej żywotności, rozwieszane zaś w korytarzu bioluminescencyjne kule nie potrzebowały żadnego dopływu energii.

Mimo to wszystkie światła zgasły. Rachelę wyjęła z kieszeni na udzie miniaturowy laser, który mógł służyć także jako latarka, i nacisnęła przycisk. Bez efektu.

Po raz pierwszy w życiu poczuła, jak na jej sercu zaciska się ręka przerażenia. Nie mogła głębiej odetchnąć. Przez dziesięć sekund walczyła o to, aby zachować całkowity spokój, przestać widzieć i słyszeć, i nie wykonać nawet najmniejszego ruchu. Kiedy wreszcie udało jej się zapanować nad sobą na tyle, żeby znowu zacząć normalnie oddychać, po omacku odnalazła drogę do urządzeń kontrolnych i zaczęła pstrykać przełącznikami. Bez rezultatu. Wyjęła z kieszeni komlog - nic. Było to całkowicie niemożliwe, zważywszy na niezawodność i trwałość tych aparatów, niemniej fakt pozostawał faktem.

Serce waliło jej jak młotem, ale jakoś zdołała po raz drugi zapanować nad paniką i krok za krokiem ruszyć w kierunku jedyne wyjścia. Na myśl o tym, że będzie musiała po omacku wyszukiwać drogę w kamiennym labiryncie, chciało jej się krzyżeć. Wyglądało jednak na to, że nie ma wielkiego wyboru.

Zaraz, chwileczkę... Nowe, rozstawione przez kolegów Racheli lampy luminescencyjne były połączone ze sobą perlonową linką, prowadzącą z ukrytego we wnętrzu Sfinksa pomieszczenia aż na powierzchnię.

Znakomicie. Dziewczyna podążała w kierunku korytarza, ani na chwilę nie tracąc kontaktu dotykowego z zimnym kamieniem. Czy przedtem również był aż tak zimny?

W biegnącym stromo w dół tunelu rozległo się donośne zgrzytanie metalu o kamień.

- Melio? - rzuciła Rachelą w ciemność. - Tanya? Kurt?

Zgrzytanie było coraz głośniejsze. Dziewczyna zaczęła się cofać, przewróciła fotelik, w chwilę później strąciła ze stołu jeden z przyrządów pomiarowych. Kiedy coś dotknęło jej włosów, z trudem stłumiła okrzyk i szybko podniosła rękę.

Sufit wyraźnie się obniżył. Jednolity kamienny blok o powierzchni co najmniej pięciu metrów kwadratowych opuszczał się coraz szybciej. Rachelą na oślep skoczyła ku otworowi tunelu - znajdował się mniej więcej w połowie ściany - wyczuła jego krawędź, zacisnęła na niej rękę, a sekundę później cofnęła je, zanim opadający sufit zdążył obciąć jej palce.

Osunęła się na podłogę. Wkrótce usłyszała trzask miażdżonych aparatów, a potem stół pękł z donośnym hukiem i resztki urządzeń posypały się na kamienną posadzkę. Dziewczyna rozpaczliwie poruszała głową w lewo i prawo, usiłując dojrzeć cokolwiek w nieprzeniknionej ciemności. Gdzieś niedaleko, najwyżej metr od niej, rozległo się metaliczne zgrzytnięcie. Chwyając powietrze gwałtownymi, płytkimi łykami, popęzła w przeciwną stronę.

Coś ostrego i nieprawdopodobnie zimnego chwyciło ją za rękę.

Rachelą dopiero teraz zaczęła krzyczeć.

W tamtych czasach na Hyperionie nie było ani jednego komunikatora, podobnie jak na pokładzie HS "Farraux City", w związku z czym Sol i Sarai dowiedzieli się o wypadku córki dopiero z depeszy, jaką przesłał władzom uczelni konsulat Hegemonii na Parvati. W depeszy znajdowały się trzy informacje: że Rachelą doznała obrażeń, że jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, choć do tej pory nie odzyskała jeszcze przytomności, oraz że statek szpitalny wiezie ją już na należącą do Sieci planetę Renesans. Podróż potrwa dziesięć dni czasu pokładowego, z pięciomiesięcznym długiem czasowym. Tych pięć miesięcy okazało się dla Solą i Sarai torturą nie do zniesienia, a kiedy statek dotarł wreszcie na Renesans, oboje byli niemal pewni, że zdarzyło się najgorsze.

Centrum Medyczne w DaVinci mieściło się w ogromnej, unoszącej się w powietrzu wieży. Roztaczał się z niej zapierający dech w piersi widok na morze Como, lecz ani Sol, ani Sarai nie zwrócili na to uwagi, biegając z piętra na piętro w poszukiwaniu córki. Doktor Singh oraz Melio Arundez czekali na nich w oddziale

intensywnej opieki medycznej.

- Co z nią? - zapytała Sarai.

- Śpi - odparła doktor Singh. Była wysoką kobietą o arystokratycznych rysach twarzy i bardzo łagodnych oczach. - O ile możemy stwierdzić, Rachela nie doznała żadnych... hmm... fizycznych obrażeń. Jednak od siedemnastu tygodni standardowych nie odzyskała przytomności, a dopiero dziesięć dni temu stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość na podstawie obrazu jej fal mózgowych, że to już tylko sen, a nie śpiączka.

- Nic nie rozumiem - odparł Sol. - Przecież wydarzył się jakiś wypadek, prawda?

- Coś się wydarzyło, ale nie wiemy co - powiedział Melio Arundez. - Rachela była sama w jednym z Grobowców. Ani jej komlog, ani aparatura pomiarowa nie zarejestrowały nic niezwykłego, choć nie ulega wątpliwości, że nastąpiło nagłe nasilenie unikatowego zjawiska, charakterystycznego wyłącznie dla tamtego rejonu...

- Prądy czasu - przerwał mu Sol. - Wiemy o tym. Proszę mówić dalej.

Arundez skinął głową i rozłożył szeroko ręce.

- Nagłe wzmocnienie aktywności pola... raczej fala powodziowa niż przypływ... Sfinks - to grobowiec, w którym przebywała Rachela - znalazł się w samym środku. Pod względem fizycznym nic jej się nie stało, ale kiedy ją znaleźliśmy, była już nieprzytomna.

Bezradnie spojrział na doktor Singh, jakby oczekując od niej pomocy.

- Wasza córka znajdowała się w stanie głębokiej śpiączki - powiedziała lekarka.

- W związku z tym nie można było poddać jej hibernacji, więc...

- Czy to znaczy, że podczas skoku w nadprzestrzeń nie miała żadnej ochrony? - zapytał Sol. Czytał kiedyś o nieodwracalnych uszkodzeniach mózgu, jakich doznawali ludzie, którzy odczuli na sobie działanie efektu Hawkinga.

- Nie, nie! - zapewniła go pośpiesznie doktor Singh. - Stan, w jakim się znajdowała, zapewnił jej niemal taką samą ochronę jak hibernacja.

- W takim razie co jej właściwie jest?

- Nie wiemy - przyznała lekarka. - Wszystkie funkcje życiowe wróciły do normy. Z obrazu fal mózgowych wynika, że lada chwila powinna się obudzić. Problem polega tylko na tym, że jej ciało... To znaczy, że była długo wystawiona na działanie antyentropicznego pola siłowego.

Sol potarł czoło.

- Czy to coś w rodzaju choroby popromiennej?

Doktor Singh zawahała się przez chwilę.

- Niezupełnie, chociaż... Szczerze mówiąc, to przypadek bez precedensu. Jeszcze dziś po południu powinni zjawić się tutaj specjaliści w dziedzinie geriatry z Pierwszej Tau Ceti, Lususa i Metaxy.

Sol spojrzął kobiecie prosto w oczy.

- Czy mamy rozumieć, że Rachela zaraziła się na Hyperionie jakąś chorobą? Czymś w rodzaju zespołu Matuzalema albo choroby Alzheimerera?

- Nie - odparła doktor Singh. - Choroba waszej córki nie ma jeszcze nazwy. Nieoficjalnie nazywamy ją syndromem Merlina. Otóż wasza córka... Czas biegnie dla niej w normalnym tempie, tyle tylko że... w drugą stronę.

Sarai wytrzeszczyła oczy, jakby podejrzewała, że lekarka postradała zmysły.

- Chcę zobaczyć moją córkę - powiedziała spokojnie, ale stanowczo. - Chcę ją zobaczyć natychmiast.

Rachela obudziła się niespełna czterdzieści godzin po przybyciu Sola i Sarai. Nie minęło kilka minut, a siedziała wyprostowana na łóżku, nie zważając na uwijających się wokół niej lekarzy.

- Mamo, tato! Co tutaj robicie? - Zanim którekolwiek z nich zdołało odpowiedzieć, rozejrzała się dokoła i zamrugła ze zdumieniem. - Chwileczkę, a gdzie właściwie jesteśmy? Czy to Keats?

Matka wzięła ją za rękę.

- Jesteśmy w szpitalu w DaVinci, córeczko. Na Renesansie.

Oczy Racheli zrobiły się wielkie jak spodki.

- Na Renesansie... A więc wróciliśmy do Sieci? - Spoglądała na otaczających ją ludzi nic nie rozumiejącym spojrzeniem.

- Rachelo, jakie jest twoje ostatnie wspomnienie? - zapytała doktor Singh.

Dziewczyna popatrzyła bezradnie na lekarkę.

- Kładę się spać obok Melio po tym, jak... - Umilkła nagle, przeniosła wzrok na rodziców i musnęła palcami najpierw policzek ojca, potem matki. - Melio... I wszyscy... Czy oni?...

- Nikomu nic się nie stało - uspokoiła ją doktor Singh. - Tylko ty miałaś mały wypadek. Minęło już ponad siedemnaście tygodni. Teraz jesteś z powrotem w Sieci i nic ci nie grozi. Wszyscy uczestnicy ekspedycji są cali i zdrowi.

- Siedemnaście tygodni...

Pod resztkami opalenizny Rachela była blada jak papier. Sol wziął ją za rękę.

- A jak się właściwie czujesz, kochanie?

Zacisnęła słabo palce na jego dłoni.

- Nie wiem, tato... - szepnęła. - Jestem zmęczona. Kręci mi się w głowie. Nie mogę zebrać myśli.

Sarai usiadła na łóżku obok córki i przytuliła ją mocno.

- Już dobrze, maleńka. Wszystko będzie w porządku.

Do pokoju wszedł Melio. Był nie ogolony i miał zmierzwiłone włosy, gdyż uciął sobie drzemkę w sąsiednim pomieszczeniu.

- Rachela?

Spojrzała na niego z bezpiecznego schronienia w ramionach matki.

- Cześć - powiedziała nieśmiało. - Już jestem.

Sol zawsze był głęboko przekonany, że medycyna nie zmieniła się zbyt od czasów, kiedy puszczano krew i przystawiano pijawki; różnica polegała jedynie na tym, że teraz bombardowano chorego cząstkami magnetycznymi, przepuszczano przez niego fale ultradźwiękowe, analizowano jego DNA, po czym wystawiano ogromniasty rachunek. Bezradne rozłożenie ramion pozostało takie samo.

Głos Racheli wyrwał go z drzemki, którą uciął sobie w fotelu.

- Tato?

Wyprostował się i położył dłoń na jej ręce.

- Cześć, córeczko.

- Tato, gdzie ja jestem? Co się stało?

- Jesteś w szpitalu na Renesansie, kochanie. Przedtem byłaś na Hyperionie, gdzie miałaś wypadek. Na szczęście wszystko jest już w porządku, tyle tylko że masz drobne kłopoty z pamięcią.

Rachela zacisnęła palce na jego dłoni.

- W szpitalu? W Sieci? Od jak dawna?

- Mniej więcej od pięciu tygodni - szepnęła Sol. - Jakie jest twoje ostatnie wspomnienie, Rachelo?

Usiadła wyżej na łóżku i dotknęła ręką czoła, na którym umieszczono maleńkie czujniki.

- Melio i ja braliśmy udział w zebraniu. Dyskutowaliśmy o sposobie

rozmieszczenia aparatury kontrolnej we wnętrzu Sfinksa... Aha, tato, nie powiedziałam ci o Melio. On...

- Wiem, wiem. - Sol wręczył córce jej komlog. - Posłuchaj sobie tego.

Wyszedł z pokoju.

Rachela zamrugała ze zdziwieniem, kiedy z komlogu rozległ się jej własny głos:

“Cześć, Rachelo. Właśnie się obudziłaś i nie bardzo wiesz, co się właściwie stało. A więc posłuchaj.

Nagrywam to dwunastego dnia Dziesiątego Miesiąca 457 roku po hegirze albo 2739 według starej rachuby czasu. Tak, wiem, że to prawie pół roku później niż ostatnia rzecz, jaką pamiętasz. Słuchaj uważnie.

Coś się stało we wnętrzu Sfinksa. Znalazłaś się w samym środku bardzo silnego prądu czasowego. Wiem, że to głupio zabrzmiało, ale teraz starzejesz się wstecz. Z każdą chwilą twoje ciało staje się coraz młodsze, choć to akurat nie jest najważniejsze. Podczas snu... Kiedy śpisz... zapominasz. Tracisz kolejny dzień sprzed wypadku. Nie pytaj mnie dlaczego. Lekarze nie mają najmniejszego pojęcia, tak samo jak wszyscy specjaliści. Jeżeli potrzebujesz jakiejś analogii, to wyobraź sobie wirus komputerowy starego typu, który zżera dane z pamięci twojego komlogu, posuwając się stopniowo wstecz.

Nikt też nie wie, dlaczego utrata pamięci następuje właśnie podczas snu. Próbowali nie dopuścić do tego, żebyś zasnęła, ale po mniej więcej trzydziestu godzinach traciłaś na jakiś czas przytomność, i wirus robił swoje.

Wiesz co? Takie mówienie do siebie samej bardzo pomaga. Leżę sobie w łóżku i czekam, aż zawiozą mnie do innego pokoju, gdzie zdejmą mi zapis pamięci, i wiem, że kiedy wrócę, natychmiast zasnę... i znowu wszystko zapomnę... i cholernie się tego boję.

Dobra, przestaw komlog na odtwarzanie następnego zapisu, to dowiesz się wszystkiego, co zdarzyło się od wypadku. Aha... Mama i tata są tutaj i oboje wiedzą o Melio, tyle tylko że ja nie wiem tego, co dawniej. Na przykład, kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy, co? W drugim miesiącu pobytu na Hyperionie? Jeśli tak, to zostało nam już tylko parę tygodni, a potem będziemy znowu tylko znajomymi. Korzystaj ze wspomnień, póki możesz, dziewczyno.

Kończę i pozdrawiam cię. Wczorajsza Rachela”.

Kiedy Sol wszedł do pokoju, ujrzał córkę siedzącą sztywno na łóżku. Trzymała komlog w zaciśniętych kurczowo rękach i wpatrywała się w niego przerażonym

wzrokiem.

- Tato...

Usiadł obok niej, objął i słuchał jej szlochu... dwudziestą noc z rzędu.

Osiem tygodni standardowych po przybyciu na Renesans Weintraubowie pożegnali się z Rachelą i Melio na stacji transmitera w DaVinci, po czym wrócili do domu, na Planetę Barnarda.

- Wydaje mi się, że ona nie powinna jeszcze wychodzić ze szpitala - mruknęła Sarai na pokładzie wieczornego promu lecącego do Crawford. Przesuwający się w dole kontynent był pokryty regularną szachownicą pól. Zbliżały się zniwa.

- Nie martw się, mamuśka. - Sol dotknął jej kolana. - Lekarze chętnie trzymaliby ją tam całą wieczność, ale nie ze względu na jej dobro, tylko po to, by zaspokoić własną ciekawość. Zrobili dla niej już wszystko, co mogli... czyli nic. Rachelą musi zacząć nowe życie.

- Ale dlaczego właśnie z nim? - zapytała Sarai. - Przecież prawie go nie zna.

Sol westchnął i oparł głowę na miękkiej poduszce fotela.

- Za dwa tygodnie w ogóle nie będzie go pamiętać - powiedział. - W każdym razie nie w taki sposób, jak teraz. Popatrz na to z jej punktu widzenia, mamuśko. Codziennie walczy od nowa, żeby nauczyć się żyć w świecie, który oszalał. Ma dwadzieścia pięć lat i jest zakochana. Pozwólmy jej na odrobinę szczęścia.

Sarai odwróciła się do okna. Oboje w milczeniu wpatrywali się w czerwone słońce, unoszące się niczym balon na uwięzi nad krawędzią mroku.

Rachela odezwała się w połowie drugiego semestru. Była to jednokierunkowa wiadomość przekazana komunikatorem z Freeholmu. Twarz dziewczyny pojawiła się przed projektorem jak znajomy duch.

- Cześć, mamó, cześć, tato. Przepraszam, że przez parę tygodni nie dawałam znaku życia. Chyba już wiecie, że dałam sobie spokój ze studiami. I z Melio. Głupio byłoby chodzić na wykłady, jeżeli we wtorek nie pamiętałabym już, o czym była mowa w poniedziałek. Komlog, nagrania, powtórki - to wszystko bez sensu. Kto wie, może jednak zapiszę się na semestr wstępny? Wszystko jeszcze pamiętam. Oczywiście żartuję.

Z Melio też było nam bardzo ciężko. W każdym razie tak wynika z moich notatek. To nie jego wina, jestem tego pewna. Do końca był łagodny i cierpliwy. Tyle tylko że... Po prostu nie da się codziennie zaczynać znajomości zupełnie od nowa. W

mieszkań było mnóstwo zdjęć, notatek, które pisałam sama do siebie, holofilmów z Hyperiona, ale... Sami wiecie. Rano był dla mnie zupełnie obcym człowiekiem, około południa zaczynałam wierzyć, że to wszystko razem przeżyliśmy, wieczorem płakałam w jego ramionach, a potem, prędzej czy później, zasypiałam. Lepiej, że to się już skończyło.

Rachela umilkła na chwilę, zrobiła gest, jakby chciała przerwać połączenie, ale zrezygnowała z tego zamiaru i uśmiechnęła się do rodziców.

- Tak czy inaczej, chwilowo przestałam się uczyć. Tutejsze Centrum Medyczne chciałoby mieć mnie na własność, ale muszą grzecznie czekać w kolejce. Otrzymałam bardzo interesującą ofertę od Instytutu Badawczego na Pierwszej Tau Ceti. Zaproponowali mi coś, co się chyba nazywa "stypendium naukowym" i jest wyższe od wszystkiego, co dostałam łącznie na Planecie Barnarda i Reichu. Im też odmówiłam. Zjawiam się tam od czasu do czasu, ale po transplantacjach RNA jestem potwornie posiniaczona i przygnębiona. Całkiem możliwe, że przygnębienie bierze się stąd, że rano nie pamiętam, skąd mam tyle siniaków. Ha, ha.

Jeszcze przez jakiś czas na pewno będę mieszkała z Tanya, a potem... Może wpadnę na trochę do domu. Bądź co bądź, zbliżają się moje urodziny. Znowu będę miała dwadzieścia dwa lata. Dziwne, co? W każdym razie jest mi dużo łatwiej, jeśli przebywam wśród ludzi, których znam, a Tanyę poznałam właśnie wtedy, kiedy skończyłam dwadzieścia dwa lata... Chyba mnie rozumiecie.

A więc... Czy mój pokój jeszcze czeka na mnie, czy też mama spełniła pogroźki i urządziła w nim salon gry w mahjonga? Napiszcie do mnie albo wyślijcie wiadomość. Następnym razem szarpnę się na transmisję dwukierunkową, żebyśmy mogli porozmawiać. Zdaje mi się, że chciałam... To znaczy...

Rachela pomachała im bezradnie.

- Znikam. Trzymajcie się, staruszkowie. Bardzo was kocham.

Na tydzień przed urodzinami Racheli Sol poleciał do Bussard City, żeby odebrać ją w jedynym ogólnie dostępnym terminalu transmitera. Dostrzegł córkę już z daleka, stojącą z bagażem w pobliżu ruchomego chodnika. Wyglądała młodo, ale różnica między nią a tą Rachelą, którą widział po raz ostatni na Renesansie, nie była zbyt wielka. Może tylko wydawała się jakby mniej pewna siebie i nieco zagubiona...

Potrząsnął głową, żeby odegnać bzdurne myśli, podbiegł do niej i chwycił w objęcia.

Kiedy jednak odsunął ją na długość ramion, ujrzał na jej twarzy wyraz niesamowitego zdumienia.

- O co chodzi, kochanie? Coś się stało?

Po raz pierwszy od bardzo dawna widział, że jego córka nie jest w stanie zebrać myśli.

- Ja... Ty... To znaczy, zapomniałam... - wykrztusiła z trudem, po czym pokręciła głową w znajomy sposób i uśmiechnęła się przez łzy. - Po prostu wyglądasz trochę inaczej, tato. Wydaje mi się, że żegnałam się z tobą nie dalej niż wczoraj, ale twoje włosy... - Zakryła usta ręką.

Sol przesunął dłonią po łysinie.

- Rzeczywiście - mruknął, czując, że jeszcze chwila, a sam zacznie jednocześnie śmiać się i płakać. - Minęło już ponad jedenaście lat. Jestem stary i łysy. - Ponownie rozłożył szeroko ramiona. - Witaj w domu, maleńka.

Rachela utonęła w opiekuńczym uścisku.

Przez kilka miesięcy sprawy układały się całkiem nieźle. W znajomym otoczeniu Rachela czuła się znacznie pewniej, Sarai zaś, zamiast rozpaczać z powodu nieszczęścia, jakie spotkało córkę, mogła cieszyć się jej obecnością.

Każdego ranka zaraz po wstaniu z łóżka Rachela oglądała własny "program informacyjno-orientacyjny". Sol wiedział, że zawiera on między innymi podobizny jego i Sarai, znacznie starszych niż pamiętała ich Rachela. Usiłował wczuć się w jej sytuację: budzi się rano we własnym łóżku ze świeżymi wspomnieniami z dnia wczorajszego. Ma dwadzieścia dwa lata, spędza w domu ostatnie wakacje przed przenosinami na odległą planetę... a potem widzi nagle postarzałych rodziców, w domu i mieście dostrzega setki drobnych zmian, w wiadomościach słyszy rzeczy, których nie rozumie... Kilka lat minęło jak sen, po którym w pamięci nie pozostał nawet najmniejszy ślad.

Nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Pierwszy błąd popełnili, godząc się na to, by Rachela zaprosiła na swoje dwudzieste drugie urodziny tych samych przyjaciół, z którymi obchodziła je poprzednim razem: niesforną Niki, Dona Stewarta i jego kumpla Howarda, Kathi Obeg, Martę Tyn i najlepszą koleżankę Linnę McKyler. Wszyscy dopiero co ukończyli szkołę średnią i w radosnych podskokach biegli na spotkanie dorosłego życia.

Rachela widziała się już z nimi po powrocie, ale od tego czasu minęło sporo

nocy, więc wszystko zapomniała. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że Sol i Sarai także o tym zapomnieli.

Niki miała trzydzieści cztery lata i dwoje dzieci; nadal tryskała nieposkromioną energią, ale według standardów Racheli była już niemal staruszką. Don i Howard rozmawiali głównie o kursach akcji, osiągnięciach sportowych dzieci i zbliżających się wakacjach. Kathi zupełnie nie mogła się znaleźć, traktując Rachelę jak obcą osobę, która tylko udaje jej przyjaciółkę z dzieciństwa. Marta nie ukrywała, że zazdrości Racheli młodego wieku. Linna, która stała się gorliwą wyznawczynią gnostycyzmu zen, rozplakała się i szybko wyszła.

Kiedy przyjęcie dobiegło końca, Rachelę długo siedziała w salonie i wpatrywała się w smutne resztki urodzinowego tortu. Nie uroniła ani jednej łzy. Potem uścisnęła mocno matkę i szepnęła do ojca:

- Tato, proszę cię, nie pozwól mi już nigdy zrobić czegoś takiego.

Następnie poszła na górę i położyła się spać.

Tej wiosny Sol znowu miał sen. Stał w ogromnym, pogrążonym w mroku pomieszczeniu, a przed nim żarzyły się dwa czerwone owale. Wkrótce potem rozległ się dudniący głos:

“Sol! Weź swoją córkę, swoją jedyną córkę Rachelę, którą kochasz, udaj się z nią na planetę Hyperion i złóż ją tam w ofierze w miejscu, które ci wskażę”.

- Przecież już ją dostałeś, sukinsynu! - ryknął Sol co sił w płucach. - Co mam zrobić, żeby ją odzyskać? Powiedz mi! Powiedz mi, do cholery!

Obudził się mokry od potu, ze łzami w oczach i wściekłością w sercu. Wiedział, że w pokoju obok śpi jego córka, którą powoli zżera wielki robak czasu.

Sola opanowała obsesja zbierania informacji o Hyperionie, Grobowcach Czasu oraz Chyżwarze. Jako naukowiec nie posiadał się ze zdumienia, że było ich tak mało i opierały się na bardzo nielicznych udokumentowanych faktach, choć temat z pewnością należał do najbardziej prowokujących. Oczywiście istniał Kościół Chyżwara - na Planecie Barnarda nie było ani jednej jego świątyni, w Sieci jednak znajdowało się ich całkiem sporo - ale wkrótce przekonał się, że poszukiwanie konkretnych informacji w literaturze sakralnej miało tyle samo sensu co sporządzanie mapy Sarnath na podstawie odwiedzin w buddyjskim klasztorze. Co prawda w dogmatach Kościoła wspomniano o czasie, jednak tylko w tym sensie, że Chyżwar miał być...

“Aniołem Odkupienia przybywającym spoza czasu”, oraz że prawdziwy czas skończył się dla ludzkości z chwilą zagłady Starej Ziemi, a cztery stulecia, jakie upłynęły od tego wydarzenia, były “czasem fałszywym”. Sol stwierdził, iż święte pisma kultu Chyżwara stanowią standardową mieszaninę bzdur i ogólników, charakterystyczną dla większości religii. Mimo to zamierzał odwiedzić którąś ze świątyń Chyżwara, jak tylko osuszy do cna poważniejsze źródła informacji.

Melio Arundez zorganizował kolejną wyprawę na Hyperiona, także sponsorowaną przez Reichsuniversität. Jej jedyny cel stanowiło zbadanie prądów czasu, które były odpowiedzialne za chorobę Racheli. Przy okazji udało się nakłonić Protektorat Hegemonii, aby wraz z ekspedycją wysłał transponder materii, który miał zostać zainstalowany w konsulacie w Keats. Jednak wyprawa miała dotrzeć na Hyperion dopiero za trzy lata, licząc według czasu Sieci. W pierwszym odruchu Sol postanowił przyłączyć się do wyprawy - z pewnością tak właśnie kazałby postąpić swemu bohaterowi każdy szanujący się scenarzysta popularnych holofilmów - lecz po krótkim namyśle postanowił zrezygnować z tego zamiaru. Jako historyk i filozof nie miał najmniejszych szans, żeby w jakiś istotny sposób przyczynić się do sukcesu przedsięwzięcia. Jeżeli zaś chodzi o Rachelę, to co prawda wykazywała umiejętności i zainteresowania charakterystyczne dla osoby zafascynowanej archeologią, ale z każdym dniem stawały się one mniej użyteczne, a poza tym Sol nie widział żadnego powodu, dla którego jego córka miałaby wracać na miejsce strasznego wypadku. Codziennie rano przeżywałaby ogromny szok, budząc się na zupełnie obcej planecie, wśród ludzi wykonujących coraz mniej zrozumiałe czynności. Sarai na pewno nie dopuściłaby do czegoś takiego.

Sol przerwał pracę nad najnowszą książką - miała to być analiza etycznych teorii Kierkegaarda w kontekście działania maszynierii prawnej Hegemonii - i skoncentrował się na zbieraniu informacji o czasie, Hyperionie oraz Abrahamie.

Poświęcił się bez reszty temu zadaniu, co jednak w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na osłabienie jego woli działania. Od czasu do czasu dawał upust frustracji, ciskając gromy na głowy rozmaitych lekarzy i uczonych, którzy ściągali z całej Sieci niczym pielgrzymi do miejsca kultu, aby wciąż na nowo badać Rachelę.

- Jak to możliwe?! - ryknął na jakiegoś niskiego wzrostem specjalistę, który popełnił ten błąd, że składając wyrazy współczucia ojcu pacjentki, napomknął jednocześnie o swoich osiągnięciach. Miał okrągłą, całkowicie pozbawioną włosów głowę, tak że jego twarz sprawiała wrażenie, jakby została narysowana na kuli

bilardowej. - Ona zaczęła maleć! - krzyczał Sol, napierając na cofającego się rozpaczliwie eksperta. - Jeszcze nie widać tego gołym okiem, ale ciężar i grubość kości wyraźnie się zmniejsza! Czyżby miała z powrotem stać się dzieckiem? A jak to się ma do prawa zachowania masy?

Ekspert otworzył usta, ale był zbyt przerażony, żeby odpowiedzieć. Wyręczył go jego brodaty kolega.

- M. Weintraub... - bąknął niepewnie. - Wydaje nam się, że pańska córka stanowi obecnie... eee... lokalne ognisko odwróconej entropii.

Sol natychmiast odwrócił się do niego.

- Twierdzi pan, że Rachela po prostu tkwi w bańce czasu biegnącego w przeciwną stronę?

- Niezupełnie... - Brodacz nerwowo przyglądał zarost. - Może lepszą analogią byłoby... przynajmniej pod względem biologicznym... odwrócenie procesów metabolicznych... to znaczy...

- Absurd! - parsknął Sol. - Przecież ona nie przetwarza odchodów w żywność! A poza tym, co z działaniem układu nerwowego? Jeżeli skierujemy impulsy elektrochemiczne w przeciwną stronę, otrzymamy totalną bzdurę. Jej mózg pracuje, panowie... Zanika tylko pamięć. Dlaczego, pytam się? No, dlaczego?

Mały specjalista wreszcie odzyskał głos.

- Tego nie wiemy, M. Weintraub. Z matematycznego punktu widzenia ciało pańskiej córki przypomina równanie w czasie odwróconym albo przedmiot, który przeleciał przez obracającą się szybko czarną dziurę. Niestety nie wiemy ani jak to się stało, ani dlaczego.

Sol uściśnął rękę najpierw jednemu, potem drugiemu mężczyźnie.

- Wspaniale. To właśnie chciałem usłyszeć, panowie. Życzę miłej podróży.

Wieczorem w dzień swoich dwudziestych pierwszych urodzin Rachela przyszła do pokoju ojca.

- Co się stało, maleńka? - Sol wstał z łóżka i włożył szlafrok. - Nie możesz zasnąć?

- Nie śpię już od dwóch dni - odparła szeptem. - Postanowiłam zapoznać się ze wszystkimi zapiskami, które robiłam od początku choroby.

Sol skinął głową.

- Tato, zszedłbyś ze mną na drinka? Muszę z tobą porozmawiać.

Posłusznie wziął dwie szklanki z barku i podążył za nią na parter.

Po raz pierwszy - a zarazem ostatni - Sol pił z córką... i upił się. Najpierw gadali o tym i owym, potem zaczęli sypać dowcipami, przy czym śmiali się tak bardzo, że nie byli w stanie opowiedzieć do końca żadnego z nich. W pewnej chwili Rachela pociągnęła łyk ze szklanki, zakrztusiła się i niewiele brakowało, żeby zapryskała cały pokój. Tak ich to rozbawiło, że oboje aż trzymali się za brzuchy ze śmiechu.

- Przyniosę następną butelkę - powiedział Sol, kiedy wreszcie zdołał się opanować. - Dostałem ją w zeszłe święta od dziekana Moore'a.

Kiedy wrócił, ostrożnie stawiając stopy, Rachela siedziała na kanapie i rozczesywała sobie włosy palcami. Nalał jej trochę do szklanki, po czym przez pewien czas w milczeniu popijali złocisty trunek.

- Tato?

- Tak?

- Przekopałam się przez wszystko. Oglądałam zdjęcia, słuchałam swojego głosu, widziałam Linnę i innych. Wszyscy są już w średnim wieku...

- Nie przesadzaj - przerwał jej ojciec. - Za miesiąc Linna skończy dopiero trzydzieści pięć lat.

- Wiesz, o co mi chodzi. Oni są starzy. Przeczytałam też wyniki badań lekarskich, obejrzałam zdjęcia z Hyperiona i wiesz, do jakiego wniosku doszłam?

- Do jakiego?

- Ze to wszystko nieprawda.

Sol odstawił szklankę i spojrzał na córkę. Miała okrągłą twarz, nie tak subtelną jak dawniej, ale chyba jeszcze ładniejszą.

Rachela roześmiała się niepewnie i jakby ze strachem.

- To znaczy, wiem, że to prawda. Przecież ani ty, ani mama nie zażartowałybyście sobie ze mnie tak okrutnie. Poza tym, wasz wiek... informacje... i w ogóle. Wiem, że to się dzieje naprawdę, ale w to nie wierzę. Rozumiesz mnie, tato?

- Tak - odparł Sol.

- Kiedy się obudziłam przedwczoraj, pomyślałam sobie: "Świetnie, jutro egzamin z paleontologii, a ja prawie nie zajrzałam do książki". Chciałam też pokazać coś Rogerowi Shermanowi, żeby utrzcęć mu nosa. Jemu zawsze wydaje się, że jest najmądrzejszy.

Sol podniósł szklankę do ust.

- Roger zginął trzy lata temu w katastrofie samolotowej na południe od

Bussard City - powiedział. Na trzeźwo z pewnością nie wyrzuciłby tego z siebie, ale musiał się przekonać, czy we wnętrzu Racheli kryje się prawdziwa Rachela.

- Wiem - odparła Rachela i podciągnęła kolana pod brodę. - Sprawdziłam wszystkich, których pamiętam. Gram nie żyje. Profesor Eikhardt już nie pracuje. Niki wyszła za jakiegoś... sprzedawcę. Sporo, jak na cztery lata.

- Ponad jedenaście - poprawił ją Sol. - Lecąc na Hyperiona i z powrotem, zaoszczędziłaś w stosunku do nas prawie siedem lat.

- Ale to przecież normalne! - wykrzyknęła Rachela ze łzami w oczach. - Ludzie bez przerwy podróżują poza Sieć i jakoś dają sobie z tym radę.

Sol skinął głową.

- W tym przypadku sprawy mają się nieco inaczej, córeczko.

Rachela uśmiechnęła się ze smutkiem i wysączyła resztkę swojej whisky.

- Rety, ale łagodnie powiedziane! - Odstawiła energicznie szklanke. - Posłuchaj, tato: podjęłam decyzję. Przez dwa i pół dnia grzebałam w tym wszystkim, co ona... to znaczy, co ja przygotowałam sama dla siebie... ale to mi nic nie daje.

Sol siedział bez ruchu, nie śmiąc nawet głośniej odetchnąć.

- Skoro codziennie staję się coraz młodsza... zapominam twarze ludzi, których nawet jeszcze nie poznałam... Co dalej? Czy będę robiła się coraz mniejsza i mniejsza, i bardziej bezradna, aż wreszcie zupełnie zniknę? Jezu... - Otuliła kolana ramionami. - Śmieszne, prawda?

- Wcale nie - odparł spokojnie ojciec.

- No, myślę, że nie. - W dużych ciemnych oczach Racheli zalśniły łzy. - Dla ciebie i mamy to musi być prawdziwy koszmar. Musicie codziennie patrzeć, jak rano schodzę po schodach... zdezorientowana... Wiecie, że wysłuchuję swojego głosu, który opowiada mi o tym, co się wydarzyło... Że kochałam jakiegoś faceta o imieniu Amelio...

- Melio - szepnął Sol.

- Wszystko jedno. To po prostu nie ma sensu, tato. Zanim zdążę cokolwiek zapamiętać, jestem już tak zmęczona, że muszę kłaść się spać, a wtedy... Cóż, sam wiesz, co się wtedy dzieje.

- Czego... - Musiał odchrząknąć, gdyż nagle odniósł wrażenie, że ktoś nasypał mu piasku do gardła. - Czego od nas oczekujesz, maleńka?

Rachela spojrzała mu prosto w oczy i obdarzyła go tym samym uśmiechem, który pojawiał się na jej twarzy od chwili, kiedy skończyła pięć tygodni.

- Nic mi nie mów, tato. I nie pozwól, żebym sama sobie opowiadała, co się działo. To tylko sprawia mi ból. Przecież ja tego nie przeżyłam... - Dotknęła dłonią czoła. - Wiesz, o co mi chodzi, tato. Ta Rachel, która poleciała na inną planetę, zakochała się i zachorowała... To była i n n a Rachel! Nie chcę i nie muszę odczuwać jej bólu. - Łzy płynęły jedna za drugą po policzkach dziewczyny. - Rozumiesz mnie, tato? Rozumiesz mnie?

- Tak - powiedział Sol. Wyciągnął ramiona do córki, a w chwilę potem poczuł przy piersi ciepło jej ciała. - Rozumiem cię, maleńka.

Wiadomości z Hyperiona nadchodziły regularnie przez cały następny rok, ale wszystkie były takie same: nie udało się odkryć natury ani źródła antyentropicznych pól siłowych. Nie stwierdzono wzmożonej aktywności prądów czasu w pobliżu Sfinksa. W wyniku eksperymentów prowadzonych na zwierzętach kilka z nich zginęło, ale u żadnego nie stwierdzono objawów choroby Merlina. Melio kończył każdą depezę w ten sam sposób: "Ucałujcie ode mnie moją kochaną Rachelę".

Dzięki pożyczce otrzymanej z Reichsuniversität Sol i Sarai poddali się w Bussard City ograniczonej terapii Poulsena. Byli już zbyt starzy, żeby dzięki temu osiągnąć przedłużenie życia o kolejne sto lat, ale po zabiegu wyglądali tak, jakby zbliżali się dopiero do pięćdziesiątki, nie zaś do siedemdziesiątki. Po przejrzeniu rodzinnych albumów i holofilmów doszli do wniosku, że nie powinni mieć problemów z ubieraniem się w taki sposób jak przed dziesięciu laty.

Szesnastoletnia Rachel zbiegła po schodach z komlogiem nastawionym na szkolną rozgłośnię.

- Mogę dzisiaj dostać płatki ryżowe?

- Zdaje się, że jesz je codziennie - zauważyła z uśmiechem Sarai.

- Jasne. Pomyślałam sobie tylko, że może ich zabraknąć albo coś w tym rodzaju. Słyszałam telefon. Czy to była Niki?

- Nie - odparł Sol.

- Cholera! - Zerknęła niepewnie na rodziców. - Przepraszam. Obiecała, że zadzwoni, jak tylko będzie wiedziała coś o wynikach. Egzaminy były już trzy tygodnie temu.

- Nie martw się - powiedziała Sarai. Przyniosła dzbanek z kawą, sięgnęła po kubek córki, w ostatniej chwili zreflektowała się i naląła tylko sobie. - Jestem pewna, że zdałaś na tyle dobrze, żeby pójść do tej szkoły, którą sobie wybierzesz.

- Mamo, ty nawet nie masz pojęcia, jaki okrutny potrafi być świat! - westchnęła dziewczynka, przewracając oczami. Natychmiast jednak spoważniała i zmarszczyła brwi. - Widzieliście gdzieś mój podręcznik do matematyki? W pokoju mam taki bałagan, że nie mogę niczego znaleźć.

Sol odchrząknął niepewnie.

- Dzisiaj nie idziesz do szkoły.

Rachela wytrzeszczyła na niego oczy.

- Nie idę do szkoły? Na sześć tygodni przed końcem roku? Co się stało?

- Byłaś chora - stwierdziła stanowczo matka. - Nic się nie stanie, jeśli jeden dzień zostaniesz w domu.

Zmarszczka między brwiami dziewczynki pogłębiła się jeszcze bardziej.

- Chora? Wcale nie czuję się chora, tylko jest mi trochę... dziwnie. Jakby wszystko było trochę nie takie, jak powinno. Na przykład dlaczego ktoś przestawił kanapę w salonie? I gdzie podział się Chips? Wołałam i wołałam, ale nie przyszedł.

Sol wziął córkę za rękę.

- Przez jakiś czas byłaś trochę chora - powiedział. - Lekarz ostrzegł, że możesz mieć pewne luki w pamięci. Jeśli chcesz, to odprowadź mnie do pracy, a po drodze trochę sobie porozmawiamy.

Rachela natychmiast się rozpogodziła.

- Zamiast do szkoły na uczelnię? Jasne! - Skrzywiła się z udanym obrzydzeniem. - Pod warunkiem że nie trafimy na Rogera Shermana. Jest na pierwszym roku i struga okropnego waźniaka.

- Na pewno go nie spotkamy - odparł Sol. - Gotowa?

- Prawie. - Rachela nachyliła się nad stołem i pocałowała matkę w policzek. - Siemanek, staruszko.

- Dowidzonek, córeczko.

- Teraz możemy już iść - oznajmiła z uśmiechem.

W związku z częstymi podróżami do Bussard City Sol musiał zakupić własny EMV; pewnego chłodnego jesiennego dnia wyruszył w drogę okrężną trasą, bardzo powoli, znacznie poniżej korytarzy powietrznych przeznaczonych dla szybkiego ruchu, rozkoszując się widokiem i zapachem pól, na których właśnie odbywały się żniwa. Pracujący w dole mężczyźni i kobiety machali do niego przyjaźnie rękami.

Od czasów jego dzieciństwa miasto ogromnie się rozrosło, ale synagoga wciąż

jeszcze stała na skraju jednej z najbardziej wiekowych dzielnic. Świątynia wyglądała na starą, Sol czuł się staro, i nawet jarmułka, którą przed drzwiami włożył na głowę, była stara. Tylko rabin był młody. Dopiero po chwili Sol uświadomił sobie, że mężczyzna musi mieć co najmniej czterdzieści lat, lecz jemu wydawał się niewiele starszy od chłopca. Z wdzięcznością przyjął propozycję rabina, żeby dokończyli rozmowę w parku po drugiej stronie ulicy.

Kiedy usiedli na ławce, Sol stwierdził ze zdziwieniem, że nerwowo przekłada jarmułkę z ręki do ręki. W powietrzu czuć było zapach palonych liści i wczorajszego deszczu.

- Chyba niezbyt dobrze cię rozumiem, M. Weintraub - powiedział rabin. - Co właściwie cię dręczy: sen, czy raczej fakt, że twoja córka zachorowała wtedy, kiedy ci się przyśnił?

Sol wystawił twarz na działanie ciepłych promieni słońca.

- Ani jedno, ani drugie - odparł. - Po prostu nie mogę oprzeć się wrażeniu, że te dwie rzeczy są ze sobą w jakiś sposób związane.

Rabin z namysłem skubał dolną wargę.

- Ile lat ma twoja córka?

- Trzydzieści - powiedział Sol po prawie niezauważalnym wahaniu.

- A czy ta choroba jest... poważna? Zagrożająca życiu?

- Nie. To znaczy: jeszcze nie.

- Nie wydaje ci się, M. Weintraub... Mogę mówić ci po imieniu?

- Oczywiście.

- Sol, czy nie wydaje ci się, że twój sen... że w jakimś sensie stałeś się przyczyną tej choroby?

- Nie - odparł uczony, po czym przez długą chwilę siedział w milczeniu, zastanawiając się, czy powiedział prawdę. - Nie - powtórzył wreszcie. - Nie sądzę, rabbi, żeby...

- Mów mi Mort.

- W porządku, Mort. Nie przyszedłem tu dlatego, że mam poczucie winy. Wydaje mi się natomiast, że moja podświadomość usiłuje mi coś powiedzieć.

Mort kołysał się powoli w przód i w tył.

- Może neurolog albo psycholog okazałby się bardziej pomocny. Nie jestem pewien, czy ja...

- Interesuje mnie historia Abrahama - przerwał mu Sol. - Co prawda miałem

do czynienia z różnymi systemami etycznymi, ale nadal trudno mi zrozumieć ten, u którego podstaw legł rozkaz, żeby ojciec zamordował własnego syna.

- Nie, nie! - wykrzyknął rabin, przebierając gwałtownie palcami. - W odpowiedniej chwili Bóg powstrzymał rękę Abrahama! Nie pozwoliłby, żeby ku Jego czci złożono ofiarę z człowieka. Chodziło tylko o to, aby wykazać, że posłuszeństwo woli Pana jest tym, co...

- Tak - mruknął Sol. - Posłuszeństwo. A przecież jest napisane: "I Abraham wyciągnął rękę, i wziął do niej nóż, aby zgładzić syna". Bóg musiał zajrzeć do jego duszy i przekonać się, że Abraham naprawdę postanowił zabić Izaaka. Pozorne posłuszeństwo z pewnością by nie wystarczyło. A co by się stało, gdyby Abraham kochał swego syna bardziej niż Boga?

Mort przez chwilę bębnił palcami po kolanie, a następnie położył Solowi rękę na ramieniu.

- Synu, widzę, że jesteś ogromnie przejęty chorobą córki. Nie pozwól jednak, aby twoje uczucia kazały ci podważać prawdę zawartą w księdze, którą spisano osiem tysięcy lat temu. Opowiedz mi o swojej dziewczynce. Przecież dzieci nie umierają już na żadne choroby - przynajmniej nie w Sieci.

Sol uśmiechnął się, wstał i cofnął o krok, uwalniając ramię.

- Z przyjemnością porozmawiałbym jeszcze z tobą, Mort, ale muszę już wracać. Wieczorem mam wykład.

- Przyjdiesz w szabas do świątyni? - zapytał rabin, wyciągając pulchne palce w ostatniej próbie nawiązania kontaktu.

Sol wepchnął mu w dłoń swoją jarmułkę.

- Może kiedy indziej, Mort. Kiedyś na pewno przyjdę.

Nieco później, tej samej jesieni, Sol wyjrzał przez okno gabinetu i zobaczył jakiegoś mężczyznę stojącego przed domem pod ogołoconymi z liści gałęziami starego wiązu. Dziennikarz, pomyślał w pierwszej chwili, czując, jak serce kurczy mu się ze strachu. Już od dziesięciu lat żył w ciągłym lęku, że tajemnica ujrzy w końcu światło dzienne, wiedząc, iż będzie to oznaczało koniec ich spokojnego życia w Crawford. Nie zwlekając wyszedł w przedwieczorny chłód.

- Melio! - wykrzyknął, kiedy zobaczył twarz mężczyzny.

Archeolog stał z rękami w kieszeniach długiego granatowego płaszcza. Choć od ostatniego spotkania minęło już dziesięć lat standardowych, Arundez prawie się nie

postarzał - wyglądał najwyżej na niespełna trzydzieści lat. Jednak na pokrytej opalenizną twarzy młodego człowieka malował się wyraz głębokiej udręki.

- Witaj, Sol - powiedział i nieśmiało podał mu rękę.

Sol uścisnął ja mocno.

- Nie miałem pojęcia, że już wróciłeś. Chodź do środka.

- Nie. - Archeolog cofnął się o krok. - Wiesz... stoję tu już od godziny. Nie mogłem zdobyć się na odwagę, żeby podejść do drzwi.

Sol po prostu skinął głową i także włożył ręce do kieszeni, by uchronić je przed podmuchami chłodnego wiatru. Nad czarnym masywem budynku pokazały się pierwsze gwiazdy.

- Racheli nie ma w domu - powiedział wreszcie. - Poszła do biblioteki. Ma... to znaczy: wydaje jej się, że ma do napisania referat z historii.

Melio wypuścił głośno powietrze z płuc i także skinął głową.

- Sol... Ty i Sarai musicie wiedzieć, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Tkwiliśmy na Hyperionie prawie trzy lata standardowe. Zostalibyśmy jeszcze dłużej, gdyby nie to, że cofnięto nam dotacje...

- Wiem - przerwał mu Sol. - Dziękujemy za depesze.

- Ja sam spędziłem we wnętrzu Sfinksa co najmniej kilka miesięcy - ciągnął Arundez. - Według naszych instrumentów to tylko sterta martwych kamieni, ale czasem wydawało mi się, że... że coś czuję. - Potrząsnął ze smutkiem głową. - Zawiodłem, Sol.

- Wcale nie. - Weintraub wyciągnął rękę i zacisnął palce na ramieniu młodszego mężczyzny. - Mam do ciebie jedno pytanie, Melio. Kontaktowaliśmy się z senatorami i dyrektorami Rady Naukowej, ale żaden z nich nie był w stanie nam wyjaśnić, dlaczego Hegemonia nie poświęciła więcej czasu i pieniędzy na zbadanie niezwykłych zjawisk występujących na Hyperionie. Wydaje mi się, że powinni włączyć go do Sieci już dawno temu, choćby ze względu na jego potencjalne znaczenie naukowe. Jak można ignorować istnienie takich tajemnic jak Grobowce Czasu?

- Wiem, do czego zmierzasz, Sol. Rzeczywiście, nawet takie szybkie cofnięcie nam dotacji było podejrzane. Zupełnie jakby Hegemonia chciała trzymać się jak najdalej od Hyperiona.

- Czy myślisz... - zaczął Sol, ale w tej samej chwili z gęstniejącego mroku wyłoniła się Rachel. Szła z rękami wbitymi głęboko w kieszenie czerwonej kurtki. Zgodnie z modą obowiązującą od dziesięcioleci nastolatki na wszystkich planetach

miała krótko obcięte włosy, a jej pełne policzki zaczerwieniły się z zimna. Balansowała na granicy między dzieciństwem a dorosłością: ze swoimi długimi nogami wbitymi w obcisłe dżinsy, w sportowych pantoflach i w grubej kurtce z daleka wyglądała na chłopca.

Uśmiechnęła się do nich.

- Cześć, tato. - Nieśmiało skinęła głową w stronę Melio. - Przepraszam, nie chciałam przeszkodzić w rozmowie.

- Nie ma sprawy, maleńka - odparł Sol. - To jest doktor Arundez z Reichsuniversität na Freeholmie. Doktorze Arundez, moja córka Rachel.

- Bardzo mi miło. - Rumieniec na twarzy dziewczynki przybrał znacznie bardziej intensywne barwy. - O rety, Reich! Przeglądałam ich katalog. Okropnie chciałabym tam kiedyś pojechać.

Melio skinął głową. Stał sztywno, z nienaturalnie wyprostowanymi ramionami.

- Czy ty... To znaczy, co chciałabyś studiować? - zapytał.

Sol był pewien, że Rachelę usłyszy ból w jego w głosie, ale ona tylko wzruszyła ramionami i roześmiała się wesoło.

- Jejku, chyba wszystko! Stary pan Eikhardt, który uczy mnie paleontologii i archeologii, mówi, że mają tam świetną klasykę i archeologię.

- To prawda - wykrztusił z trudem Arundez.

Rachela zerknęła niepewnie na ojca, prawdopodobnie wyczuwając napięcie, ale nie znając jego powodu.

- Tylko wam przeszkadzam. Chyba pójdę do domu i położę się spać. Przez tego wirusa czuję się trochę dziwnie. Mama mówi, że to łagodne zapalenie opon mózgowych. Miło mi było pana poznać, doktorze Arundez. Mam nadzieję, że kiedyś spotkam pana na Reichuniversität.

- Ja także - odparł Melio, wpatrując się w nią tak intensywnie, jakby chciał na zawsze utrwalić w pamięci każdy szczegół jej wyglądu.

- No to... dobranoc. - Rachelę cofnęła się o krok. Gumowe podeszwy jej pantofli zaskrzypiały na chodniku. - Zobaczymy się rano, tato.

- Dobranoc, Rachelo.

Zatrzymała się jeszcze przy samych drzwiach. W świetle gazowej latarni wyglądała na znacznie mniej niż trzynastoletnią.

- Siemanek, staruszku.

- Dowidzzonek, córeczko.

Dwaj mężczyźni stali przez jakiś czas w milczeniu, obserwując, jak noc obejmuje w posiadanie miasteczko. Jakiś chłopiec przejechał obok nich na rowerze; liście zaszeleściły pod oponami, a stalowe szprychy błysnęły w świetle staromodnych gazowych latarni.

- Wejdź do domu - powiedział Weintraub do archeologa. - Sarai bardzo się ucieszy. Rachela na pewno już śpi.

- Nie teraz - odparł cicho Melio. Był już tylko cieniem z rękami w kieszeniach płaszcza. - Muszę... To był błąd, Sol. - Odwrócił się, żeby odejść, ale jeszcze spojrzął na niego przez ramię. - Odezwę się, jak tylko wrócę na Freeholm. Spróbujemy zorganizować następną wyprawę.

Sol skinął głową. Trzy lata podróży, pomyślał. Kiedy tam dotrą, będzie miała niecałe dziesięć lat.

- Świetnie - powiedział.

Melio zawahał się, niepewnie podniósł rękę i ruszył przed siebie chodnikiem, nie zwracając uwagi na szeleszczące pod nogami liście.

Było to ich ostatnie spotkanie.

Największa świątynia Chyżwara w całej Sieci znajdowała się na Lususie. Sol udał się tam za pomocą transmitera kilka tygodni przed dziesiątymi urodzinami Racheli. Budowla przypominała rozmiarami katedry ze Starej Ziemi, ale dzięki gigantycznym przyporom, spiralnym wieżom i monumentalnym witrażom wydawała się znacznie większa. Sol znajdował się w paskudnym nastroju, którego ani trochę nie poprawiła nieznośna miejscowa grawitacja. Chociaż wcześniej umówił się na spotkanie z biskupem, musiał czekać na audiencję ponad pięć godzin. Większość tego czasu spędził, gapiąc się na obracającą się powoli, dwudziestometrową rzeźbę ze stali i chromu, która mogła przedstawiać legendarnego Chyżwara, ale mogła także stanowić abstrakcyjny hołd złożony wszystkim ostrym narzędziom i rodzajom broni, jakie zostały kiedykolwiek wynalezione. Uwagę Sola najbardziej jednak przykuwały dwie czerwone kule, unoszące się w koszmarnie czarnej przestrzeni, gdzie powinna znajdować się czaszka.

- M. Weintraub?

- Wasza Ekscelencjo...

Sol zauważył, że liczni akolici, egzorcyci, lektorzy i ostiariusze, którzy przez cały czas dotrzymywali mu towarzystwa, padli twarzami na wyłożoną czarnymi płyt-

kami podłogę. On sam złożył formalny ukłon.

- Proszę tędy, M. Weintraub - powiedział dostojnik, wskazując drogę okrytym fałdami szaty ramieniem.

Po kilkunastu krokach Sol znalazł się w jakimś obszernym, pogrążonym w półmroku pomieszczeniu, bardzo podobnym do tego, które widywał w powracającym uparcie śnie. Usiadł w przeznaczonym dla gości fotelu, biskup zaś zajął miejsce na czymś w rodzaju małego tronu ustawionego za misternie rzeźbionym, choć całkowicie nowoczesnym biurkiem. Z pewnością pochodził z Lususa, gdyż był dość niski i potężnie zbudowany, jak wszyscy Luzyjczycy. Jego jaskrawoczerwona, lamowana futrem gronostaja szata przypominała nawet nie tyle jedwab albo atlas, co raczej częściowo zestaloną ciecz. Na każdym palcu biskup miał czerwony lub czarny pierścień, co przyciągało uwagę Sola, jednocześnie wywołując jego niepokój.

- Wasza Ekscelencjo, przede wszystkim chciałem przeprosić za wszelkie naruszenia protokołu, jakich się dopuściłem... lub jakich dopuszczę się w przyszłości. Przyznaję, że nie wiem zbyt wiele o Kościele Chyżwara, ale to, co wiem, kazało mi zjawić się tutaj. Proszę mi wybaczyć, jeśli będę często dawał wyraz swojej ignorancji, nieumiejętnie posługując się nazwami i tytułami.

Biskup zakręcił młynka palcami. Czerwone i czarne kamienie zalśniły w słabym świetle.

- Tytuły nie mają żadnego znaczenia, M. Weintraub. Nie mamy nic przeciwko temu, żebyś mówił do nas "Wasza Ekscelencjo". Musimy jednak zwrócić ci uwagę, że prawidłowa nazwa naszej skromnej społeczności brzmi Kościół Ostatecznego Odkupienia, o istocie zaś, którą świat tak beztrąsko nazywa Chyżwarem, myślimy i mówimy jako o Władcy Bólu lub Awatarze. A teraz wyjaw nam, z jaką to ważną sprawą przybywasz.

Sol lekko skłonił głowę.

- Wasza Ekscelencjo, jestem nauczycielem...

- Wybacz nam, że ci przerywamy, M. Weintraub, ale jesteś kimś znacznie więcej niż nauczycielem. Jesteś uczonym. Doskonale znamy wszystkie twoje prace dotyczące problemów moralności. Co prawda nieco w nich błędzisz, ale prezentujesz niezmiernie interesujące rozumowanie. Proszę, mów dalej.

Sol zamrugał ze zdziwieniem. Przywykł do tego, że jego osiągnięcia naukowe znane są jedynie wąskiemu gronu specjalistów, więc fakt, że wie o nich ktoś jeszcze, zupełnie wytrącił go z równowagi. W ciągu pięciu sekund, jakich potrzebował, aby

ochłonąć, doszedł do wniosku, że przypuszczalnie biskup lubi wiedzieć, komu udziela audiencji, i ma znakomitych informatorów.

- Wasza Ekscelencjo, to, kim jestem, nie ma najmniejszego znaczenia. Przybyłem tutaj, ponieważ moje dziecko... moja córka... zapadła na groźną chorobę, prowadząc badania naukowe na terenach, które, o ile wiem, są bardzo ważne dla waszego Kościoła. Mam na myśli tak zwane Grobowce Czasu na planecie Hyperion.

Biskup powoli skinął głową. Solowi przemknęła niepokojąca myśl, że dostojnik doskonale wie o wypadku Racheli.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, M. Weintraub, że tereny te... my nazywamy je Arkami Przymierza... decyzją Rady Planety zostały ostatnio zamknięte dla tak zwanych badaczy?

- Owszem, Wasza Ekscelencjo. Słyszałem o tym. Domyślam się, że wasz Kościół wywierał w tej sprawie znaczny nacisk.

Biskup nie zareagował. Gdzieś daleko, w wypełnionej kadzidłanym dymem ciemności, zadźwięczały małe dzwoneczki.

- Tak czy inaczej, Wasza Ekscelencjo, mam nadzieję, że niektóre aspekty doktryny waszego Kościoła mogą wyjaśnić naturę choroby mojej córki.

Biskup pochylił głowę w taki sposób, że pojedynczy promień światła, który wydobywał z ciemności jego postać, padał na szczyt czaszki, pozostawiając twarz i oczy w głębokim cieniu.

- Czy pragniesz otrzymać religijne wskazówki, które pozwolą ci zrozumieć tajemnice Kościoła?

Sol przyglądał brodę.

- Nie, Wasza Ekscelencjo, chyba że w ten sposób zdołałbym jakoś pomóc córce.

- A może twoja córka pragnie przyłączyć się do Kościoła Ostatecznego Odkupienia?

Uczony zawahał się przez mgnienie oka.

- Ona po prostu pragnie być zdrowa, Wasza Ekscelencjo. Jeśli miałyby to osiągnąć właśnie w ten sposób, z pewnością poważnie zastanowilibyśmy się nad takim rozwiązaniem.

Biskup poruszył się gwałtownie. Szata zaszeleściła, a Sol odniósł wrażenie, jakby część czerwieni spłynęła w ciemność.

- Cały czas mówisz o zdrowiu fizycznym, nasz Kościół zaś zajmuje się sprawami duchowego odkupienia. Czy zdajesz sobie sprawę, że jedno wynika z drugiego?

- Zdaję sobie sprawę, że jest to stary i powszechnie akceptowany pogląd - odparł Sol. - Mojej żonie i mnie zależy na tym, by nasza córka była zdrowa pod każdym względem.

Biskup oparł masywną głowę na pięści.

- Na czym polega jej choroba, M. Weintraub?

- Ta choroba... ma związek z czasem, Wasza Ekscelencjo.

Biskup wyprostował się raptownie.

- A konkretnie w którym z naszych świętych miejsc dopadło ją to nieszczęście?

- W budowli zwanej Sfinksem, Wasza Ekscelencjo.

Biskup poderwał się tak gwałtownie, że papiery, które leżały na jego biurku, spadły na podłogę. Nawet bez obfitych szat z pewnością ważył dwa razy więcej od Sola, w szkarłatnym stroju zaś, wyprostowany na całą wysokość, górował nad uczonym jak wcielenie samej śmierci.

- Możesz odejść! - ryknął kapłan. - Twoją córkę spotkało największe błogosławieństwo i zarazem najstraszliwsze przekleństwo, jakie może stać się udziałem żyjącej istoty. Ani ty, ani nasz Kościół, ani w ogóle nikt nie jest w stanie zmienić jej losu.

Sol nawet nie drgnął.

- Wasza Ekscelencjo, jeśli jest jakakolwiek szansa...

- NIE!!! - wrzasnął biskup z twarzą równie czerwoną jak jego szata i rąbnął pięścią w biurko. W pomieszczeniu natychmiast zjawili się egzorcyści i lektorzy. Ich czerwone stroje z czarnymi lamówkami były wyraźnie widoczne w mroku, w przeciwieństwie do jednolicie czarnych ubiorów ostiariuszy. - Audiencja dobiegła końca - oświadczył dostojnik nieco ciszej, ale nie mniej stanowczo. - Twoja córka została wybrana przez Awatarę, aby odbyć już teraz pokutę, jaka niedługo stanie się udziałem wszystkich grzeszników i niewierzących. Bardzo niedługo.

- Wasza Ekscelencjo, gdybyś zechciał poświęcić mi jeszcze choć pięć minut...

Biskup pstryknął palcami i egzorcyści zbliżyli się do Sola, aby wyprowadzić go z sali audiencyjnej. Wszyscy pochodzili z Lususa, a każdy dałby sobie radę z pięcioma ludźmi postury Weintrauba.

- Wasza Ekscelencjo! - krzyknął Sol i strząsnął z ramienia czyjąś rękę, lecz sekundę później czterej egzorcyści otoczyli go szczelnym murem, biskup zaś odwrócił się, by w milczeniu kontemplować ciemność.

W wielkim pomieszczeniu rozległy się posapywania, szurgot butów Sola, a

potem cichy jęk, kiedy stopa uczonego nawiązała bliski kontakt z najmniej czcigodną częścią ciała jednego z kapłanów. Ten drobny incydent nie wpłynął jednak w najmniejszym stopniu na ostateczny rezultat starcia. Sol wylądował na ulicy, a w chwilę potem dołączył do niego jego mocno wymięty kapelusz.

Przez dziesięć następných dni, jakie spędził na Lusucie, nie udało mu się nic osiągnąć. Urzędnicy świątyni nie odpowiadali na jego telefony, sądy nie chciały rozpatrywać jego skarg, egzorcyci zaś czekali na niego już w przedsionku majestatycznej budowli.

Sol odwiedził później Nową Ziemię, Renesans, Fuji, TC², Deneb Drei i Deneb Vier, ale wszędzie drzwi świątyni Chyżwara były dla niego zamknięte.

Wycieńczony, sfrustrowany, bez pieniędzy, wrócił na Planetę Barnarda, wsiadł w pozostawiony na długoterminowym parkingu EMV i zjawił się w domu na godzinę przed początkiem urodzinowego przyjęcia Racheli.

- Przywiozłeś mi coś, tatusiu? - zapytała podekscytowana dziesięcioletka. Sarai powiedziała jej rano, że ojciec wyjechał.

Sol wyjął zza pleców elegancko zawiniętą paczuszkę. Były to wszystkie tomy *Ani z Zielonego Wzgórza* - bynajmniej nie to, co miał nadzieję jej ofiarować.

- Mogę otworzyć?

- Później, maleńka. Razem z innymi prezentami.

- Tato, proszę! Tylko tę jedną paczkę! Zanim przyjdzie Niki i inne dzieci!

Sol zerknął ukradkiem na żonę, która potrzęsnęła głową. Rachela pamiętała, że zaledwie kilka dni temu zaprosiła przyjaciółki na przyjęcie urodzinowe. Sarai nie wymyśliła jeszcze wytłumaczenia, dlaczego żadna z nich nie przyjdzie.

- W porządku, Rachelo - powiedział. - Tylko tę jedną.

Kiedy Rachela walczyła ze sznurkiem, Sol przeszedł do salonu, gdzie ujrzał wielką paczkę przewiązaną czerwoną wstążką. Był to nowy rower. Rachela prosiła o niego od chwili, kiedy skończyła dziewięć lat. Czy jednak nie zdziwi się jutro na widok prezentu, którego jeszcze nie otrzymała? W nocy będą musieli jakoś się go pozbyć.

Sol opadł ciężko na kanapę. Widok czerwonej wstążki przypomniał mu szkarłatne szaty biskupa.

Sarai nigdy nie potrafiła łatwo rozstać się z przeszłością. Za każdym razem, kiedy prała, prasowała, składała i odkładała dziecięce ubranka, które były już za małe na Rachele, roniła po cichutku parę łez, o których jednak Sol dowiadywał się w jakiś

znany tylko sobie sposób. Niczym największy skarb przechowywała w pamięci każdą chwilę dzieciństwa Racheli, najbardziej ze wszystkiego ceniąc sobie zwykłą, codzienną normalność, którą z biegiem lat nauczyła się uważać za niezmiernie istotny składnik życia. Instynktownie zawsze wyczuwała, iż sens ludzkiego istnienia nie zawiera się w jego punktach kulminacyjnych, utrwalonych w pamięci niczym daty obwiedzione w kalendarzu czerwoną obwódką, lecz w jednostajnym, nie mającym początku ani końca przepływie drobnych zdarzeń, takich jak spokojne weekendowe wieczory, które każdy z członków rodziny spędzał w ulubiony przez siebie sposób, i zwyczajne rozmowy, o których natychmiast zapominano - jednak s u m a tych niezliczonych godzin tworzyła całość nie tylko niezmiernie ważną, ale wręcz wieczną.

Sol znalazł żonę na strychu, gdzie popłakując cichutko przeglądała zawartość starych pudeł. Nie były to jednak łagodne łzy, którymi niegdyś żegnała odchodzące rzeczy i zdarzenia. Sarai Weintraub była wściekła.

- Co robisz, mamuśka?

- Rachela potrzebuje ubrań. Wszystko jest na nią za duże. To, co nosi ośmioletnie dziecko, nie będzie pasowało na siedmioletnie. Gdzieś tutaj powinny być jej rzeczy.

- Daj sobie spokój - powiedział Sol. - Kupimy coś nowego.

Sarai potrząsnęła głową.

- Żeby codziennie zastanawiała się, co się stało z jej ulubionymi strojami? Nic z tego. Zostało mi jeszcze sporo ubranek. Na pewno tutaj są.

- Możesz poszukać ich później.

- Do licha, przecież nie ma żadnego "później"! - krzyknęła Sarai. Odwróciła się plecami do męża i zakryła twarz rękami. - Wybacz mi...

Sol objął ją i mocno przytulił. Pomimo ograniczonej terapii Poulsena jej ramiona były znacznie szczuplejsze niż kiedyś. Pod szorstką skórą wyczuwał węzły i zgrubienia.

- Wybacz mi - powtórzyła, nie kryjąc już łez. - To po prostu nie jest w porządku.

- Rzeczywiście - zgodził się. - To nie jest w porządku.

Promienie słońca, sączące się przez małe, zakurzone szybki, upodabniały strych do smutnego wnętrza katedry. Odkąd pamiętał, Sol zawsze lubił panujący tu zapach - lekko stęchły, tajemniczy, obiecujący niezwykle spotkania z zapomnianymi skarbami. Dzisiaj cały urok prysł, nie pozostawiając śladu.

Przykucnął obok jednego z pudeł.

- Pomogę ci, kochanie - powiedział.

Rachela nadal była szczęśliwa i cieszyła się życiem; jedynie po obudzeniu potrzebowała trochę czasu, żeby dojść do ładu ze światem, w którym codziennie rano czekało na nią mnóstwo niekonsekwencji. W miarę jak stawała się młodsza, rodzicom coraz łatwiej było wyjaśniać jej zmiany, jakie zachodziły z dnia na dzień: zniknięcie starego wiązu, który rósł przed oknem, pojawienie się nowego budynku na rogu ulicy, w miejscu, w którym do niedawna w małym domku mieszkał M. Nesbitt, brak koleżanek... Sol dopiero teraz przekonał się, jak znakomicie dzieci potrafią dostosowywać się do nowych warunków. Często wyobrażał sobie Rachelę jako istotę żyjącą na szczycie fali czasu, nieświadomą otwierającej się pod jej stopami otchłani oceanu i utrzymującą równowagę wyłącznie dzięki niewielkiemu balastowi wspomnień oraz niesłychanej żarliwości, z jaką uczestniczyła w dwunastu lub piętnastu godzinach tego t e r a z, które ofiarowywał jej każdy dzień.

Ani Sol, ani Sarai nie chcieli izolować córki od innych dzieci, choć organizowanie tych kontaktów nastęrczało sporo trudności. Rachela uwielbiała bawić się z "nową dziewczynką" albo "nowym chłopcem" z sąsiedztwa - były nimi dzieci innych wykładowców, wnuki przyjaciół, przez pewien czas także córeczka Niki - ale jej koledzy i koleżanki mieli dużo kłopotów z przyzwyczajeniem się do tego, że codziennie na nowo im się przedstawia i nie pamięta nic z tego, co wydarzyło się wczoraj lub przedwczoraj. Tylko niewielu z nich było gotowych pogodzić się z tym stanem rzeczy.

Choroba Racheli dla nikogo w Crawford nie stanowiła tajemnicy. Wiadomość rozeszła się najpierw po uniwersytecie, wkrótce potem zaś po całym mieście. Społeczność Crawford zareagowała tak samo, jak od niepamiętnych czasów reagują na takie nowiny społeczności wszystkich małych miasteczek - niektórzy rozpuszczali najrozmaitsze plotki, inni nie byli w stanie ukryć pomieszanego ze współczuciem zadowolenia z czyjegoś nieszczęścia - jednak ogólnie rzecz biorąc, miasteczko wzięło Weintraubów pod opiekuńcze skrzydła, niczym kwoka chroniąca bezradne, niedawno wyklute pisklęta.

Mimo to nie wtrącano się do ich życia i nikt nie czynił żadnych uwag nawet wówczas, kiedy Sol musiał zrezygnować z pracy na uczelni i przejść na wcześniejszą emeryturę, gdyż tak wiele czasu zajmowały mu podróże w poszukiwaniu lekarstwa dla Racheli.

Taka sytuacja nie mogła jednak trwać wiecznie. Pewnego wiosennego dnia, kiedy Sol wyszedł na ganek i zobaczył swoją zapłakaną siedmioletnią córkę, która wracała z parku otoczona gromadą reporterów z implantowanymi kamerami i wyciągniętymi komlogami, zrozumiał, że skończył się pewien etap ich życia. Czym prędzej zbiegł po schodkach i pośpieszył córce z odsieczą.

- M. Weintraub, czy to prawda, że twoja córka zaraziła się śmiertelną chorobą czasową? Co się stanie za siedem lat? Czy dziecko po prostu zniknie?

- M. Weintraub! M. Weintraub! Rachela twierdzi, że przewodniczącym Senatu jest Raben Dowell i że mamy teraz rok 2711. Czy ona naprawdę straciła te trzydzieści cztery lata, czy też jest to tylko złudzenie spowodowane chorobą Merlina?

- Rachelo! Czy pamiętasz, że byłaś dorosłą kobietą? Jak to jest, kiedy człowiek staje się z powrotem dzieckiem?

- M. Weintraub! M. Weintraub! Tylko jedno ujęcie. Mógłbyś przynieść jakieś zdjęcie Racheli, kiedy była starsza, żeby sfotografować się przy nim z córką?

- M. Weintraub! Czy to prawda, że Rachelę dosięgła klątwa Grobowców Czasu? Czy Rachela widziała Chyżwara?

- Hej, Weintraub! Sol! Hej, Solly! Co zrobicie z żoną, kiedy dzieciak zniknie?

Jeden z reporterów zastąpił mu drogę. Soczewki wszczepionej w czoło, stereowizyjnej kamery wydłużyły się, kiedy mężczyzna wykonywał zbliżenie dziewczynki. Sol złapał go za długie włosy, które szczęśliwym trafem były związane w koński ogon, i gwałtownym szarpnięciem odsunął na bok.

Podekscytowana zgraja kłębiła się wokół domu przez siedem tygodni. Sol miał okazję przypomnieć sobie to, co kiedyś wiedział o małych społecznościach, a o czym zdążył później zapomnieć: często były nieznośne, zawsze prowincjonalne w sposobie myślenia, czasem wścibskie, ale za to nigdy nie podporządkowały się bezwzględnemu prawu, które głosiło, że "opinia publiczna ma prawo wiedzieć".

W przeciwieństwie do Sieci. Sol przeszedł do ofensywy, uznając, że jest to lepsze rozwiązanie, niż dać się wraz z rodziną zamknąć w domu oblężonym przez żadnych sensacji reporterów. Organizował konferencje prasowe, transmitowane przez najpopularniejsze kanały telewizyjne, uczestniczył w dyskusjach WszechJedności, a nawet wziął osobiście udział w zjeździe lekarzy na Pasażu. W ciągu dziesięciu miesięcy standardowych odwiedził osiemdziesiąt planet, wszędzie apelując o pomoc dla córki.

Otrzymał mnóstwo ofert, lecz zdecydowana większość z nich pochodziła od przeróżnej maści jasnowidzów, bioterapeutów, magików, domorosłych naukowców

pragnących zyskać nieco rozgłosu, wyznawców Chyżwara oraz od innych fanatyków, którzy dowodzili, że Rachela zasłużyła sobie na surową karę. Mnóstwo firm proponowało swoje usługi w zamian za udział w ich kampaniach reklamowych, natomiast zwykli ludzie wyrażali współczucie dla Racheli i jej rodziców - czasem załączając nawet karty uniwersalne oraz prośbę, aby zgromadzone na nich pieniądze wykorzystać na leczenie dziewczynki. Uczni wyrażali swoje niedowierzenie, producenci holofilmów zgłaszali chęć nabycia wyłącznych praw do filmowania losów Racheli, pośrednicy w handlu nieruchomościami zaś proponowali kupno luksusowych rezydencji.

Reichsuniversität zatrudnił zespół specjalistów, których zadaniem było stwierdzić, czy któreś z nadesłanych ofert mogą okazać się przydatne dla Racheli. Większość uznano za całkowicie bezużyteczne, kilka wzięto poważnie pod uwagę, ostatecznie jednak żadne z proponowanych rozwiązań nie przyniosło najmniejszych rezultatów.

Uwagę Sola zwróciła jedna z depech. Nadeszła od przewodniczącego kibucu K'far Szalom na Hebronie i była bardzo krótka:

PRZYJEDŹCIE, KIEDY BĘDZIECIE MIELI DOSYĆ

Mieli dosyć już wkrótce potem. Po kilku miesiącach jawne obłęzenie dobiegło końca, lecz oznaczało to tylko początek aktu drugiego. Brukowe gazety nazywały Sola "Żydem Wiecznym Tułaczem", który wędruje po świecie w poszukiwaniu lekarstwa na dziwną chorobę, jaka stała się udziałem jego dziecka. O Sarai nigdy nie pisano inaczej niż jako o "zropaczonyj matce", Rachela zaś była "dzieckiem skazanym na unicestwienie" albo "młodą dziewicą, ofiarą tajemniczego przekleństwa Grobowców Czasu". Kiedy wychodzili z domu, zza każdego drzewa wychylał się reporter albo automatyczna kamera.

Mieszkańcy Crawford odkryli, że na nieszczęściu Weintraubów mogą zarobić spore pieniądze. Początkowo zachowywali się bardzo lojalnie wobec cierpiącej rodziny, potem jednak, kiedy w miasteczku pojawili się ludzie z Bussard City, sprzedający bawełniane koszulki i pocztówki oraz proponujący przejażdżki coraz liczniej przybywającym turystom, miejscowi biznesmeni zawahali się, a następnie jednogłośnie ustalili, że jeśli można tu coś zyskać, to profity nie powinny trafiać do kieszeni obcych.

Po czterystu trzydziestu ośmiu latach standardowych względnego odosobnienia miasteczko Crawford otrzymało terminal transmitera, dzięki czemu

goście nie musieli znosić niewygody dwudziestominutowej podróży drogą powietrzną z Bussard City. Ruch wzrastał z każdym dniem.

W dniu przeprowadzki padał ulewny deszcz i ulice były puste. Rachela nie płakała, ale od rana rozglądała się dokoła szeroko otwartymi oczami i wydawała się dziwnie przyciszona. Za dziesięć dni miała skończyć sześć lat.

- Tatusiu, dlaczego musimy stąd wyjeżdżać?

- Po prostu musimy, kochanie.

- Ale dlaczego?

- Nie ma innej rady, maleńka. Na pewno spodoba ci się na Hebronie. Mają tam mnóstwo parków.

- Dlaczego nic nie mówiliście, że mamy się przeprowadzić?

- Mówiliśmy, złotko. Widocznie zapomniałaś.

- A co z Gram, wujkiem Richardem, ciocią Tethą, wujkiem Saulem i wszystkimi?

- Będą mogli nas odwiedzać, kiedy zechcą.

- A Niki, Linna i moje koleżanki?

Sol nie odpowiedział, tylko zajął się przenoszeniem bagaży do EMV. Dom został sprzedany i teraz był już niemal zupełnie pusty, gdyż większość mebli albo także znalazła nowych właścicieli, albo czekała już na Hebronie. Przez miniony tydzień Weintraubowie przyjmowali nie kończące się odwiedziny przyjaciół, kolegów z uniwersytetu, a nawet lekarzy z Reichu, którzy od osiemnastu lat opiekowali się Rachelą. Teraz jednak ulica opustoszała. Deszcz bębnił w plastikowy dach starego EMV i ściekał po nim małymi strumyczkami. Cała trójka siedziała przez chwilę w pojeździe, spoglądając bez słowa na dom. Czuć było wyraźnie zapach mokrej wełny i mokrych włosów.

Rachela tuliła do piersi pluszowego misia, którego Sarai znalazła na strychu przed sześcioma tygodniami.

- To nie w porządku - powiedziała.

- Masz rację - zgodził się z nią Sol. - To nie w porządku.

Hebron był pustynną planetą. Po prowadzonych przez cztery stulecia, zakrojonych na ogromną skalę pracach inżynierskich jego atmosfera stała się zdatna do oddychania, a na kilku milionach hektarów można było uprawiać rośliny.

Miejscowa fauna była niewielkich rozmiarów, niezwykle wytrzymała i szalenie ostrożna, a więc dokładnie taka sama jak istoty, które przybyły z Ziemi, nie wyłączając ludzi.

- My, Żydzi, jesteśmy chyba masochistami - stwierdził Sol, kiedy przybyli do małej wioski Dan położonej w pobliżu rozpalonego słońcem kibucu K'far Szalom. - Mieliśmy do wyboru dwadzieścia tysięcy planet, a zdecydowaliśmy się właśnie na tę.

Jednak nie masochizm kazał osiedlić się tutaj pierwszym przybyszom, podobnie jak nie masochistycznymi preferencjami kierował się Sol, wybierając to miejsce dla siebie i swojej rodziny. Hebron może i był w większości pustynią, jednak uzdatnione tereny wręcz przerażały swoją żyznością. Uniwersytet Synaju cieszył się renomą w całej Sieci, jego Centrum Medyczne zaś zdobyło wielką popularność wśród zamożnych pacjentów, co zapewniało odpowiednie zyski. Hebron dysponował tylko jednym terminalem transmitera - w Nowej Jerozolimie - i nie wyrażał zgody na budowanie następnych, a nie należąc ani do Hegemonii, ani do Protektoratu, obciążał turystów wysokimi opłatami, jednocześnie nie pozwalając im zwiedzać niczego poza Nową Jerozolimą. Jeżeli jakiś Żyd pragnął ukryć się przed światem, tutaj mógł to uczynić znacznie lepiej niż na którejkolwiek z trzystu innych planet zamieszkałych przez człowieka.

Sam kibuc nosił tę nazwę raczej ze względu na przywiązanie do tradycji niż na stan faktyczny. Weintraubowie otrzymali własny, skromny dom wzniesiony z suszonej w słońcu cegły, z mnóstwem łuków i podłogami z surowego drewna; z okien domu roztaczał się wspaniały widok na ciągnącą się aż po horyzont pustynię, od której oddzielał ich jedynie wąski pas zagajników drzew pomarańczowych i oliwek. Tutaj słońce wszystko osusza, pomyślał Sol. Nawet zmartwienia i niedobre myśli. Światło było tak silne, że niemal namacalne, a ściany ich domu jeszcze godzinę po zachodzie słońca jarzyły się delikatną, różową poświatą.

Codziennie rano Sol siadał przy łóżku córeczki i czekał na jej przebudzenie. Pierwsze minuty, kiedy była lekko zdezorientowana, zawsze sprawiały mu największy ból, ale zależało mu na tym, żeby zaraz po otwarciu oczu widziała go przy sobie. Trzymał ją za rękę, odpowiadając cierpliwie na pytania.

- Gdzie jesteśmy, tatusiu?

- We wspaniałym miejscu, maleńka. Opowiem ci przy śniadaniu.

- Jak się tu dostaliśmy?

- Najpierw transmitters, potem trochę lecieliśmy, a na końcu nawet kawałek szliśmy. To nie tak daleko... ale można uznać, że przeżyliśmy małą przygodę.

- Tu jest moje łóżko... i zwierzęta... Dlaczego nic nie pamiętam?

Sol kładł jej wówczas ręce na ramionach, spoglądał w duże brązowe oczy i mówił:

- Miałaś wypadek, Rachelo. Pamiętasz, jak Ropuch uderzył się w głowę i na kilka dni zapomniał, gdzie mieszka? Z tobą było tak samo.

- Czy już zdrowieję?

- Tak - odpowiadał Sol. - Jesteś już prawie zupełnie zdrowa.

A potem dom wypełniał się zapachem śniadania, oni zaś schodzili na taras, gdzie czekała na nich Sarai.

Rachela miała teraz więcej kolegów i koleżanek niż kiedykolwiek do tej pory. W miejscowej szkole przyjmowano ją niezmiernie serdecznie, codziennie witając jako nową uczennicę, popołudniami natomiast wraz z innymi dziećmi bawiła się w kwitnących sadach.

Avner, Robert i Efraim, członkowie Rady, namawiali Sola, aby kontynuował pracę nad książką. Hebron szczycił się liczbą uczonych, artystów, muzyków, filozofów, pisarzy i kompozytorów, którzy mieszkali tu na stałe lub przebywali od dłuższego czasu. Dom stanowił prezent od rządu, a pensja Sola, choć dość niska według standardów obowiązujących w Sieci, była aż nadto wystarczająca, jeśli wziąć pod uwagę bardzo skromne potrzeby rodziny. Ku swojemu zdziwieniu Sol przekonał się, że bardzo odpowiada mu praca fizyczna. Bez względu na to, czy porządkował sad, czy zbierał kamienie na polu, czy reperował mur sąsiada, doświadczał lekkości ducha i umysłu, jakiej nie dane mu było odczuć już od wielu lat. Stwierdził także, iż czekając na wyschnięcie zaprawy może toczyć myślowe pojedynki z Kierkegaardem, a sortując jabłka obmyślać riposty na argumenty Kanta i Vandeura. W wieku siedemdziesięciu trzech lat standardowych dorobił się pierwszych odcisków na rękach.

Wieczorami bawił się z Rachelą, potem zaś szedł na spacer z Sarai, podczas gdy Judy lub inna dziewczyna z sąsiedztwa czuwała przy śpiącym dziecku. Pewnego weekendu poleciał z żoną do Nowej Jerozolimy; byli tak długo tylko we dwoje po raz pierwszy od chwili, kiedy przed siedemnastu laty Rachela wróciła z wyprawy na Hyperiona.

Jednak nie pod każdym względem życie przypominało idyllę. Zbyt często zdarzały się noce, kiedy Sol budził się sam w łóżku, wstawał i szedł na bosaka do sypialni Racheli, gdzie Sarai czuwała przy śpiącej córeczce. Równie często, kiedy po długim, meczącym dniu kąpał Rachelę w żeliwnej wannie albo otulał ją kołderką, słyszał pytanie: “Podoba mi się tutaj, tatusiu, ale czy jutro możemy już wrócić do domu?” Odpowiadał skinieniem głowy. Dużo później, kiedy opowiedział już jedną lub dwie bajki na dobranoc, ucałował rumiane policzki i wycofywał się na palcach w kierunku drzwi, od strony łóżka dobiegało stłumione: “Siemanek, staruszk”, na które musiał odpowiedzieć: “Dowidzonek, córeczko”. A kiedy wreszcie położył się obok kobiety, którą kochał, przez długie godziny obserwował przesuwającą się po podłodze plamę blasku jednego lub obu księżyców Hebronu i rozmawiał z Bogiem.

Sol rozmawiał z Bogiem już od kilku miesięcy, zanim uświadomił sobie, co właściwie robi. Wprawilo go to w spore rozbawienie. Te rozmowy - z całą pewnością nie modlitwy - zaczynały się jako gniewne monologi, które granicząc z diatrybami, przybierały stopniowo formę zajadłych dyskusji z samym sobą... tyle tylko że nie z samym sobą. Pewnego dnia zorientował się, że debaty te dotyczą tak poważnych tematów, dotyczą tak istotnych problemów i obejmują tak szeroki wachlarz zagadnień, iż jedynym rozmówcą, który potrafiłby w nich uczestniczyć w jakiś sensowny sposób, jest Bóg. Ponieważ jednak koncepcja ucieleśnionego Boga, który podczas bezsennych nocy rozmyśla o losach ludzkich istot, od czasu do czasu decydując się na nadzwyczajną interwencję, zawsze wydawała mu się absurdalna, zaczął powoli wątpić w swój zdrowy rozsądek.

Niemniej rozmowy trwały nadal.

Sol pragnął się dowiedzieć, w jaki sposób system etyczny - a tym bardziej religia, która potrafiła przetrwać tyle niebezpieczeństw i upokorzeń - może wymagać od człowieka, aby na polecenie Boga zabił własnego syna. Fakt, że polecenie zostało w ostatniej chwili odwołane, nie miał tutaj najmniejszego znaczenia. Nie miało znaczenia również to, iż samo polecenie stanowiło jedynie sprawdzian posłuszeństwa. Szczerze mówiąc, w największą wściekłość wprawiała Sola właśnie myśl, że Abraham został przywódcą wszystkich plemion Izraela wyłącznie dzięki swemu ślepemu posłuszeństwu.

Po pięćdziesięciu siedmiu latach pracy poświęconej badaniu historii systemów etycznych Sol Weintraub doszedł do jednej, stuprocentowo pewnej konkluzji: każda

koncepcja boskości, która wyżej stawia posłuszeństwo niż konieczność przyzwoitego traktowania każdej niewinnej ludzkiej istoty, musi być z gruntu zła.

“Skoro tak, to zdefiniuj pojęcie niewinności” - polecił lekko rozbawiony, nieco swarliwy głos, który zawsze brał udział w tych dyskusjach.

- Dzieci są niewinne. Niewinny był Izaak, niewinna jest Rachela.

“Poprzez sam fakt bycia dzieckiem?”

- Tak.

“I twierdzisz, że nie ma takiej sytuacji, w której usprawiedliwione byłoby przelewanie krwi nieletnich?”

- Tak jest - potwierdził Sol.

“Wydaje mi się jednak, że niewinne bywają nie tylko dzieci”.

Sol zawahał się. Wyczuwał pułapkę i starał się domyślić, do czego zmierza jego niewidzialny rozmówca, ale nie mógł.

- Owszem - odparł. - Niewinne bywają nie tylko dzieci.

“Na przykład dwudziestoczteroletnia Rachela. Niewinnych nie można poświęcać bez względu na to, ile mają lat, prawda?”

- Prawda.

“Chyba tej właśnie lekcji powinien nauczyć się Abraham, zanim został ojcem Narodu Wybranego”.

- Jakiej lekcji? - zapytał Sol. Jednak głos umilkł i do uszu uczonego docierało jedynie kwilenie nocnych ptaków za oknem oraz szmer oddechu żony.

W wieku pięciu lat Rachela wciąż jeszcze potrafiła czytać. Sol miał kłopoty z przypomnieniem sobie, kiedy nabyła tę umiejętność - wydawało mu się, że posiadała ją od najwcześniejszego dzieciństwa.

- Cztery standardowe - powiedziała Sarai. - To był początek lata... Trzy miesiące po jej urodzinach. Urządziliśmy piknik na polu niedaleko uniwersytetu. Rachela siedziała na kocu i przeglądała *Kubusia Puchatka*, kiedy nagle oznajmiła: “Słyszę w głowie jakiś głos”.

Wówczas Sol także sobie to przypomniał.

Pamiętał także radość, jaką odczuwali z Sarai, obserwując niesamowite tempo, z jakim Rachela w tym wieku przyswajała sobie różne umiejętności, a pamiętał to dlatego, że teraz stali się świadkami równie szybkiego, tyle tylko że odwrotnego

procesu.

- Tatusiu - odezwała się dziewczynka z podłogi jego gabinetu, gdzie kolorowała obrazki - kiedy były urodziny mamusi?

- W poniedziałek - odparł Sol, zajęty lekturą. W rzeczywistości do urodzin Sarai zostało jeszcze trochę czasu, ale Rachela już je pamiętała.

- Wiem. Jak dawno temu to było?

- Dziś jest czwartek - mruknął Sol znad długiego talmudycznego traktatu o posłuszeństwie.

- Wiem. Ile to dni?

Weintraub odłożył książkę.

- Potrafisz wymienić dni tygodnia?

Na Planecie Barnarda posługiwano się tradycyjnym kalendarzem.

- Jasne. Sobota, niedziela, poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota...

- Sobota już była.

- Aha. Ile to dni, tatusiu?

- Policz je, od poniedziałku do czwartku.

Rachela zmarszczyła brwi. Bezgłośnie poruszała ustami, ale po chwili przerwała i zaczęła od początku, tym razem pomagając sobie na palcach.

- Cztery?

- Bardzo dobrze. A możesz mi powiedzieć, ile to jest dziesięć minus cztery?

- Co to znaczy minus, tatusiu?

Sol szybko skierował wzrok z powrotem na książkę.

- Nic takiego. Dowiesz się o tym w szkole.

- Jak tylko jutro wrócimy do domu?

- Tak, kochanie.

Pewnego ranka, kiedy Rachela wyszła z domu pod opieką Judy, aby pobawić się z dziećmi - była już za mała, żeby chodzić do szkoły - Sarai powiedziała stanowczo:

- Sol, musimy zabrać ją na Hyperiona.

Wytrzeszczył oczy.

- Co takiego?

- Przecież słyszysz. Nie możemy czekać, aż przestanie chodzić, a potem mówić.

Poza tym, my nie młodniejemy. - Roześmiała się z goryczą. - Dziwnie to brzmi,

prawda? A jednak to prawda. Działanie terapii Poulsena ustanie najdalej za rok lub dwa.

- Sarai, czy ty o czymś nie zapominasz? Przecież lekarze wyraźnie powiedzieli, że Rachela nie przeżyje hibernacji, a nikt nie wyrusza w taką podróż bez niej. Efekty działania napędu Hawkinga mogą wpędzić człowieka w szaleństwo albo nawet zabić.

- To nie ma znaczenia - odparła Sarai. - Rachela musi wrócić na Hyperiona.

Sola zaczęła ogarniać złość.

- O czym ty właściwie mówisz, do diabła?

Żona chwyciła go za rękę.

- Czy myślisz, że tylko ty miałeś ten sen?

- Jaki... sen? - wykrztusił z trudem.

Sarai westchnęła i usiadła przy białym kuchennym stole. Promienie wiszącego jeszcze nisko na niebie słońca padały na ustawione przy oknie kwiaty niczym światło żółtego reflektora.

- Ciemna przestrzeń... - szepnęła. - Dwa czerwone światła. Głos, który każe nam... każe zabrać ją na Hyperiona i złożyć w ofierze.

Sol chciał zwilżyć językiem wargi, ale stwierdził, że w ustach nie ma ani odrobiny śliny. Serce waliło mu jak po długim biegu.

- Do kogo... do kogo zwraca się ten głos?

- Do nas obojga. Gdybyś tam, we śnie, nie był ze mną, nie wytrzymałabym tego tak długo.

Sol opadł ciężko na krzesło i spojrzał ze zdziwieniem na ramię i rękę opartą przed nim na stole. Stawy palców były już pogrubione przez artretyzm, a na skórze przedramienia brązowiły się wątrobiane plamy. Tak, to była jego ręka. Usłyszał swój głos, dobiegający gdzieś z bardzo daleka:

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś... Nie wspomniałaś ani słowem.

Tym razem w śmiechu Sarai nie było gorczy.

- A czy musiałam? Przez tyle lat oboje budziliśmy się w środku nocy, mokrzy od potu. Od początku wiedziałam, że to coś więcej niż sen. Musimy lecieć, ojczulku. Na Hyperiona.

Sol poruszył ręką. Wciąż wydawało mu się, że nie stanowi części jego ciała.

- Dlaczego? Na litość boską, dla czego, Sarai? Przecież nie złożymy Racheli w ofierze...

- Oczywiście, że nie, ojczulku. A ty nie zastanawiałaś się nad tym? Musimy

polecieć na Hyperiona, udać się w miejsce, które wskaże nam głos, i sami złożyć się w ofierze.

- Sami złożyć się w ofierze... - powtórzył Sol, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie zawał serca. Ból w piersi był tak potworny, że nie pozwalał mu oddychać. Co najmniej przez minutę siedział w milczeniu, pewien, że jeśli otworzy usta, wyrwie się z nich jedynie rozpaczliwy szloch. - Od jak dawna myślałaś o tym, mamusku? - zapytał wreszcie.

- Chodzi ci o to, od jak dawna wiedziałam, co należy zrobić? Od roku. To znaczy, od jej piątych urodzin.

- Od roku! Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Czekałam, aż zrozumiesz. Aż sam się domyślisz.

Sol potrząsnął głową. Miał wrażenie, że kuchnia kołysze się wraz z całym domem.

- Nie. To znaczy, nie wydaje mi się... Muszę się nad tym zastanowić.

Bez zdziwienia obserwował, jak obca ręka głaszcze znajomą, należącą do Sarai. Jego żona w milczeniu skinęła głową.

Sol spędził trzy dni i trzy noce w jałowych górach, jedząc tylko gruboziarnisty chleb, który zabrał z domu, i pijąc wodę z przenośnego kondensatora.

W ciągu minionych dwudziestu lat tysiące razy błagał, aby pozwolono mu wziąć na siebie chorobę Racheli, bo jeżeli już ktoś musi cierpieć, to niech będzie to ojciec, nie dziecko. Wszyscy rodzice czuliby to samo - czuli to samo za każdym razem, kiedy ich dzieci ulegały jakiemuś wypadkowi albo majaczyły w gorączce. Tylko że życie nie jest takie proste.

Sol doszedł do tego wniosku trzeciego, skwarne popołudnie, odpoczywając w cieniu wąskiego nawisu skalnego.

- Czyżby tak właśnie powiedział Abraham Bogu? Że to on będzie ofiarą, nie Izaak?

“Abraham mógł tak powiedzieć. Ty nie możesz”.

- Dlaczego?

Sol ujrzał koszmarną wizję tysięcy nagich ludzi podążających ku płonącym piecom pod eskortą uzbrojonych żołnierzy. Ujrzał mężczyzn i kobiety wynoszących otumanione dzieci z dymiących zgliszcz czegoś, co kiedyś było miastem. Zdawał sobie sprawę, że nie są to senne majaki, lecz prawdziwe obrazy, zarejestrowane podczas Pierwszego i Drugiego Holocaustu. I jeszcze zanim rozległ się głos, wiedział już, jaka

będzie odpowiedź. Jaka m u s i być.

“Rodzice już się poświęcili i ta ofiara została przyjęta. Teraz trzeba czegoś więcej”.

- Czego?

Odpowiedziało mu milczenie. Sol zorientował się, że stoi z zadartą głową w bezlitosnym blasku słońca. Zatonął się i o mało nie upadł. Wysoko w górze przeleciał czarny ptak... a może to też była wizja? Pogroził pięścią spizowemu niebu.

- Wykorzystywałeś nazistów jako swoje narzędzia. Tych szaleńców. Potwory. Sam jesteś przeklętym potworem.

“Nie”.

Ziemia zachwiała się i Sol runął na ostre skalne odłamki. Przez chwilę czuł się tak, jakby opierał się o gorącą, chropowatą ścianę. W policzek wbijał mu się kamień wielkości pięści.

- Jedyłą odpowiedzią, jakiej mógł udzielić Abraham, było posłuszeństwo. Z etycznego punktu widzenia on także był dzieckiem, podobnie jak wszyscy ludzie w tamtych czasach. W związku z tym dzieci Abrahama musiały stać się dorosłymi i same złożyć się w ofierze. Co m y powinniśmy zrobić?

Pytanie zawisło w powietrzu. Ziemia przestała się kołysać. Po dłuższej chwili Sol stanął niepewnie na nogi, otarł z twarzy krew i brud, po czym ruszył ku położonej w dolinie osadzie.

- Nie - powiedział do żony. - Nie polecimy na Hyperiona. To nie jest właściwe rozwiązanie.

Sarai mocno pobladła, ale zdołała zapanować nad głosem.

- A więc chcesz, żebyśmy czekali z założonymi rękami?

- Wcale nie. Po prostu nie chcę, żebyśmy zrobili coś, czego później moglibyśmy żałować.

Sarai gwałtownie wypuściła powietrze z płuc i machnęła ręką w kierunku okna, przez które widać było ich czteroletnią córeczkę, bawiącą się lalkami przed domem.

- Uważasz, że ona ma czas, żeby czekać?

- Siadaj, mamusku.

Nie posłuchała go. Na przedzie brązowej bawełnianej sukienki dostrzegł kilka kryształków cukru. Pomyślał o młodej kobiecie, wyłaniającej się nago z fosforyzujących fal na brzegu ruchomej wyspy na Maui-Przymierzu.

- Musimy coś zrobić - stwierdziła stanowczo.

- Korzystaliśmy z porad co najmniej stu lekarzy i naukowców. Rachela była badana i poddawana najbardziej wymyślnym torturom w co najmniej dwudziestu wiodących ośrodkach medycznych. Odwiedziłem wszystkie świątynie Chyżwara, jakie istnieją na planetach Sieci, ale nikt nie chciał tam ze mną rozmawiać. Melio oraz inni eksperci z Reichu twierdzą, że w doktrynie Kościoła Chyżwara nie ma najmniejszej wzmianki o czymkolwiek, co przypominałoby chorobę Merlina, na Hyperionie zaś nie funkcjonują żadne legendy ani podania, z których można by wyciągnąć jakieś wnioski. Trwające trzy lata prace badawcze na Hyperionie nie przyniosły żadnych rezultatów, a teraz zostały zakazane. Zgodę na odwiedzenie Grobowców Czasu mogą uzyskać jedynie tak zwani pielgrzymi. Zdobycie wizy turystycznej jest prawie niemożliwe, a nawet gdybyśmy ją dostali, Rachela mogłaby nie przeżyć podróży. - Sol przerwał dla nabrania oddechu i ponownie dotknął ramienia żony. - Przykro mi, że muszę to wszystko powtarzać, mamusku, ale chyba widzisz, że jednak coś zrobiliśmy?

- Za mało - stwierdziła stanowczo Sarai. - Dlaczego nie mamy udać się tam jako pielgrzymi?

Zdesperowany Sol załamał rękę.

- Ponieważ Kościół Chyżwara wybiera kandydatów na samobójców spośród tysięcy ochotników! W Sieci aż roi się od głupich, zdesperowanych ludzi. Większość z nich już stamtąd nie wraca.

- Czy to czegoś nie dowodzi? - podchwyciła natychmiast Sarai. - Ktoś, albo coś, czyha tam na nich.

- Na przykład bandyci - mruknął jej mąż.

Sarai pokręciła głową.

- Golem.

- Masz na myśli Chyżwara?

- To golem - powtórzyła kobieta. - Ten sam, którego widzimy we śnie.

- Ja nie widuję we śnie żadnego golema - odparł niepewnie Sol. - Co masz na myśli?

- Czerwone oczy, które nas obserwują. To ten sam golem, którego kroki Rachela usłyszała tamtej nocy we wnętrzu Sfinksa.

- Skąd wiesz, że ona cokolwiek słyszała?

- Wszystko jest we śnie - odparła Sarai. - Zanim wejdziemy do pomieszczenia, w którym czeka golem.

- Chyba nie śniliśmy tego samego snu - powiedział Sol. - Moja droga, dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

- Bałam się, że tracę zmysły... - szepnęła Sarai.

Sol pomyślał o swoich potajemnych rozmowach z Bogiem, objął żonę i mocno przytulił.

- Och, Sol... - usłyszał jej głos. - To tak boli, kiedy muszę na nią patrzeć... I tak bardzo jesteśmy tutaj samotni...

Kilka razy próbowali wrócić do domu - "domem" była zawsze i pozostała Planeta Barnarda - żeby odwiedzić znajomych i przyjaciół, ale natychmiast oblegał ich tłum turystów i dziennikarzy. Nie było w tym niczyjej winy - po prostu w megadatasferze, obejmującej sto sześćdziesiąt planet należących do Sieci, informacje rozchodziły się niemal natychmiast. Wystarczyło wsunąć kartę uniwersalną do czytnika i przejść przez transmiter. Próbowali zachować maksymalną dyskrecję i podróżować incognito, ale nie będąc szpiegami nie mieli w tej dziedzinie najmniejszego doświadczenia i rezultat ich usiłowań był żalony. Nigdy nie udało im się zmylić pogoni na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Instytuty badawcze i szpitale łatwo radziły sobie ze zgrają żądnych sensacji reporterów, ale rodzina i przyjaciele bardzo cierpieli. Racheli wciąż znajdowała się w centrum zainteresowania.

- Może zaprosilibyśmy Tethę i Richarda? - zaproponowała Sarai.

- Mam lepszy pomysł - odparł Sol. - Sama ich odwiedź. Wiem, że chcesz porozmawiać z siostrą, ale na pewno zależy ci też na tym, żeby побыć trochę w domu, obejrzeć długi zachód słońca, pójść na spacer wśród pól... Jedź.

- Mam jechać sama? Przecież nie mogę zostawić Racheli!

- Bzdura! - stwierdził stanowczo Sol. - Nikt nie oskarży cię o zaniedbywanie dziecka, jeśli dwa razy w ciągu dwudziestu lat zostawisz je na jakiś czas pod opieką ojca. Właściwie w ciągu czterdziestu, jeśli weźmiemy pod uwagę dobre czasy... Szczerze mówiąc, dziwię się, że w ogóle możemy jeszcze na siebie patrzeć. Przecież właściwie nie rozstajemy się ani na chwilę!

Sarai wbiła w stół zamyślane spojrzenie.

- Tylko czy nie znajdą mnie dziennikarze?

- Na pewno nie. Im zależy na Racheli, nie na tobie. Gdyby się pojawili, natychmiast wracaj, ale moim zdaniem będziesz miała co najmniej tydzień całkowitego spokoju.

- Tydzień?! - wykrzyknęła z przerażeniem. - Przecież...

- Oczywiście. Dzięki temu kilka dni poświęcę wyłącznie Racheli, a po twoim powrocie będę mógł skoncentrować się na pracy nad książką.

- Tą o Kierkegaardzie?

- Nie, inną. Nazwałem ją *Problem Abrahama*.

- Przyciężki tytuł.

- Bo to ciężki problem. A teraz bierz się do pakowania. Jutro podrzucimy cię do Nowej Jerozolimy, żebyś mogła skorzystać z transmitera przed początkiem szabasu.

- Zastanowię się nad tym - odparła bez większego przekonania.

- Nie zastanawiaj się, tylko pakuj! - powiedział Sol i uściśnął ją mocno. Następnie ustawił żonę twarzą do holu i drzwi sypialni. - Ruszaj. Będę czekał na ciebie z nowym pomysłem.

- Obiecujesz?

Sol spojrzał jej prosto w oczy.

- Obiecuję, że będę próbował dopóty, dopóki czas wszystkiego nie zniszczy, i że znajdę jakiś sposób.

Sarai skinęła głową. Od wielu miesięcy nie była tak odprężona jak w tej chwili.

- Wobec tego zaczynam się pakować.

Kiedy nazajutrz wrócił z Rachelą z Nowej Jerozolimy, natychmiast wziął się do podlewania łysawego trawnika. Dziewczynka bawiła się spokojnie w domu. Uporawszy się z niezbyt trudnym zadaniem, wszedł do holu, którego ściany rozjarzyły się na różowo blaskiem zachodzącego słońca. Racheli nie było ani w sypialni, ani w żadnym z jej ulubionych miejsc.

- Rachelo?

Sprawdził na podwórzu i opustoszałej ulicy.

- Rachelo!

Chciał już biec do sąsiadów, kiedy nagle usłyszał jakiś szmer w głębokiej szafie, używanej do przechowywania najmniej potrzebnych rzeczy. Ostrożnie otworzył drzwi.

Rachela siedziała na podłodze, pochylona nad otwartym pamiątkowym kuferkim Sarai. Wszędzie walały się fotografie i hologramy przedstawiające Rachelę na studiach, Rachelę podczas uroczystości wręczania świadectw w szkole średniej, Rachelę na kamienistym górskim zboczu na Hyperionie. Obok leżał komlog, z którego sączył się cichy, spokojny głos młodej kobiety.

- Tatusiu - powiedziała siedząca na podłodze dziewczynka głosikiem, który stanowił znacznie słabsze i nieco przestraszone echo tego dobiegającego z komlogu. -

Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, że mam siostrzyczkę?

- Bo nie masz, maleńka.

Rachela zmarszczyła brwi.

- Czy to mamusia, kiedy jeszcze nie była taka duża? Chyba nie, bo ona mówi, że też nazywa się Rachela.

- Zaraz ci to wyjaśnię - powiedział Sol, ale w tej samej chwili uświadomił sobie, że już od dłuższego czasu słyszy dobiegający z salonu sygnał wizjofonu. - Zaczekaj minutkę, kochanie. Zaraz wracam.

Przed projektorem pojawił się holograficzny obraz głowy mężczyzny, którego Sol widział po raz pierwszy w życiu. Ze swojej strony uruchomił tylko połączenie foniczne, pragnąc jak najszybciej pozbyć się intruza.

- Tak?

- M. Weintraub? M. Weintraub z Planety Barnarda, obecnie zamieszkały w osadzie Dan na Hebronie?

Sol wyciągnął już rękę, żeby się rozłączyć, ale nagle zamarł w bezruchu. Ich numer był zastrzeżony. Czasem dzwonił właściciel sklepu z Nowej Jerozolimy, ale połączenia pozaplanetarne zdarzały się niezmiernie rzadko. Poza tym, uświadomił sobie, czując, jak jego żołądek zamienia się w zbity kłęb strachu, było już po zachodzie słońca w szabas.

- Tak... - wykrztusił.

- M. Weintraub - powiedział nieznajomy, wpatrując się w Sola nie widzącym spojrzeniem - wydarzyło się okropne nieszczęście.

Zaraz po obudzeniu Rachela zobaczyła ojca siedzącego u wezglowia jej łóżeczka. Wyglądał na bardzo zmęczonego - miał zaczerwienione oczy, a na policzkach powyżej linii brody widniał szczeciniasty zarost.

- Dzień dobry, tatusiu.

- Dzień dobry, córeczko.

Rachela rozejrzała się i zamrugła szybko powiekami. Znajome lalki i inne zabawki znajdowały się w zupełnie nieznanym pokoju. Oświetlenie było zupełnie inne niż to, do którego się przyzwyczaiła. Ojciec też wyglądał jakoś inaczej.

- Gdzie jesteśmy, tatusiu?

- Pojechaliśmy na wycieczkę, maleńka.

- Dokąd?

- Teraz to nie ma żadnego znaczenia. No, wyskakuj z łóżka. Kąpiel już czeka, a potem musimy się ubrać.

Na krześle obok łóżka leżała ciemna sukienka, której nigdy przedtem nie widziała. Rachela popatrzyła na nią, a następnie przeniosła spojrzenie na ojca.

- Tatusiu, co się stało? Gdzie jest mamusia?

Sol potarł policzek. Od wypadku minęły już trzy dni. Dziś miał się odbyć pogrzeb. Już dwa razy opowiadał córce, co się stało. Nie mógł uczynić inaczej; wydawało mu się, że w ten sposób zdradziłby zarówno ją, jak i Sarai. Dzisiaj jednak miał wrażenie, iż słowa utkną mu w gardle.

- Zdarzył się wypadek, Rachelo - powiedział nie swoim, chrapliwym głosem. - Mamusia umarła. Dzisiaj pójdziemy ją pożegnać.

Umilkł, gdyż wiedział już, że dziewczynka będzie potrzebowała około minuty, żeby w pełni uświadomić sobie znaczenie tego, co usłyszała. Pierwszego dnia nie był pewien, czy czteroletnie dziecko będzie w stanie pojąć, co to jest śmierć. Okazało się, że tak.

Później, tuląc w ramionach szlochającą córeczkę, sam usiłował zrozumieć to, o czym opowiedział jej w kilku prostych słowach. EMV z pewnością należało uznać za najbezpieczniejszy środek lokomocji, jaki kiedykolwiek udało się skonstruować. Nawet w przypadku awarii obu silników szczątkowe pole magnetyczne było na tyle silne, że pojazd mógł bezpiecznie wylądować bez względu na to, na jakiej wysokości akurat się znajdował. Elektroniczne układy zapobiegające zderzeniom zostały zaprojektowane przed kilkuset laty i zawsze spisywały się bez zarzutu. Jednak tym razem wszystko zawiodło. Stareńki vikken ciotki Tethy zbliżał się właśnie do lądowiska przy operze w Bussard City, kiedy z prędkością 1,5 Macha wpadł na niego skradziony EMV, którym podróżowała para żądnych mocnych wrażeń nastolatków. Dla uniknięcia wykrycia przez służby kontroli ruchu wyłączyli wszystkie światła i urządzenia zabezpieczające. Oprócz nich, Tethy i Sarai, zginęły jeszcze trzy osoby, gdyż płonące szczątki obu pojazdów runęły na tłum zgromadzony przed wejściem do opery.

Sarai...

- Czy jeszcze kiedyś zobaczymy mamusię? - zapytała Rachela przez łzy. Za każdym razem zadawała to samo pytanie.

- Nie wiem, maleńka - odpowiedział zupełnie szczerze Sol.

Pogrzeb odbył się na rodzinnym cmentarzu w okręgu Kates na Planecie Barnarda. Dziennikarze nie odważyli się wkroczyć na teren nekropolii, ale tłoczyli się przed bramą, napierając na nią niczym wzburzone morze.

Richard namawiał Sola i Rachelę, żeby zostali choć na kilka dni, lecz Weintraub zdawał sobie doskonale sprawę, jak wielką krzywdę może wyrządzić spokojnemu farmerowi, jeśli nagle skieruje na niego uwagę żadnych krwi łowców sensacji. Dlatego też tylko ucisnął go mocno, udzielił krótkiego wywiadu rozgorączkowanym reporterom, po czym wrócił na Hebron z oszołomioną, jakby nieprzytomną Rachelą.

Dziennikarze dotarli za nimi aż do Nowej Jerozolimy i próbowali polecieć do wioski Dan, lecz miejscowa policja bez trudu zmusiła do zawrócenia ich wynajęty EMV, dla dobrego przykładu wsadziła na kilka dni do aresztu paru najbardziej krewkich pismaków, reszcie zaś nakazała natychmiast opuścić planetę.

Wieczorem, zostawiwszy śpiące dziecko pod opieką Judy, Sol wyruszył na przechadzkę szczytami wzgórz wznoszących się nad osadą. Z największym trudem powstrzymał się przed tym, by wygrażać niebu pięścią, miotać w nie obelgi, a nawet ciskać kamienie. Zadawał tylko pytania, z których każde zaczynało się od "dlaczego".

Nie otrzymał odpowiedzi. Słońce Hebronu schowało się już za wzniesieniami, a skały jarzyły się delikatną poświatą, oddając nagromadzone w ciągu dnia ciepło. Sol usiadł na głazie i ukrył twarz w dłoniach.

Sarai.

Żyli pełnią życia, nawet wtedy kiedy padł na nich cień straszliwej choroby Racheli. Cóż za ironia losu, że gdy wreszcie, po tylu latach, udało mu się ją namówić, by trochę odpoczęła... Jęknął głośno.

Pułapka polegała na ich całkowitym zaabsorbowaniu chorobą córki. Ani on, ani Sarai nie byli w stanie wyobrazić sobie przyszłości po jej... śmierci? Zniknięciu? Świat trwał tylko dzięki temu, że żyło ich dziecko, i nie było w nim miejsca już na żadne inne, nieprzewidziane wypadki. Sol był pewien, że jego żona - podobnie jak on - często myślała o samobójstwie; żadne z nich nie zdecydowało się jednak na takie rozwiązanie, gdyż wówczas partner - i dziecko - byłiby zdani na łaskę losu. Dlatego właśnie Sol nigdy nie brał pod uwagę możliwości, że zostanie sam z Rachelą. Sarai!

Dopiero teraz Sol uświadomił sobie, że gniewny dialog, jaki jego naród prowadził z Bogiem od tak wielu tysiącleci, wcale nie skończył się z chwilą śmierci Starej Ziemi i początkiem nowej diaspor, lecz trwa nadal. On, Rachelę i Sarai

stanowili jego część. Pozwolił ogarnąć się bólowi, który wreszcie przyniósł ze sobą agonię zrozumienia.

Sol długo siedział na szczycie wzgórza i płakał w gęstniejącej ciemności.

Rano, kiedy słoneczne promienie wypełniły pokój Racheli, był już przy łóżku córki.

- Dzień dobry, tatusiu.

- Dzień dobry, maleńka.

- Gdzie jesteśmy, tatusiu?

- Na wycieczce w bardzo ładnym miejscu.

- A gdzie jest mamusia?

- Poleciała do cioci Tethy.

- Ale jutro wróci?

- Tak - odparł Sol. - Ubieraj się, a ja przygotuję śniadanie.

Kiedy Rachela wkroczyła w trzeci rok życia, Sol zaczął zasypywać monitami Kościół Chyżwara. Dostanie się na Hyperiona graniczyło wówczas z cudem, a Grobowce Czasu były w ogóle niedostępne. Od czasu do czasu dopuszczano tam jedynie wysyłane przez Kościół pielgrzymki.

Rachela bardzo rozpaczała, kiedy dowiedziała się w dzień swoich urodzin, że mama akurat wtedy musiała wyjechać, poza osadę, lecz odwiedziny sporej grupy dzieci z kibucu wprawiły ją w nieco lepszy nastrój. Od ojca dostała wielką, ilustrowaną książkę z bajkami, którą Sarai kupiła w Nowej Jerozolimie wiele miesięcy wcześniej.

Wieczorem Sol przeczytał Racheli kilka bajek, gdyż ona sama już od ponad siedmiu miesięcy nie była w stanie sklecić ani jednego słowa. Najbardziej podobała jej się opowieść o śpiącej królewnie; poprosiła ojca, żeby przeczytał ją powtórnie.

- Pokażę ją mamie, jak tylko wrócimy do domu - oświadczyła między dwoma ziewnięciami, kiedy Sol zgasił górne światło.

- Dobranoc, córeczko - powiedział cicho od drzwi.

- Tatusiu...

- Słucham?

- Siemanek.

- Dowidzzonek.

Rachela zachichotała w poduszkę.

Przez ostatnie dwa lata Sol czuł się tak, jakby był świadkiem starzenia się najbliższej mu osoby. Tyle tylko że to było gorsze. Tysiąc razy gorsze.

Między ósmymi a drugimi urodzinami Rachela straciła wszystkie stałe zęby. Zastąpiły je mleczne, ale do osiemnastego miesiąca życia dziecka co najmniej połowa mleczaków schowała się w dziąsła.

Gęste włosy, z których zawsze była taka dumna, stały się krótsze i znacznie rzadsze, twarz straciła znajome rysy, gdyż warstwa dziecięcej tkanki tłuszczowej wypełniła policzki, jednocześnie łagodząc zarys brody i kości policzkowych. Stopniowo słabła koordynacja ruchowa, co przejawiało się kłopotami w operowaniu widelcem albo pisakiem. W dniu, kiedy przestała chodzić, Sol położył ją wcześniej do łóżka, a sam poszedł do gabinetu, gdzie się dokumentnie upił.

Najtrudniej było mu pogodzić się z pogłębiającą się błyskawicznie przepaścią językową. Jakiś czas po drugich urodzinach córeczki, ułożywszy ją do snu zatrzymał się przy drzwiach i powiedział:

- Siemanek, maleńka.

Odpowiedziała mu cisza.

- Siemanek, króliczku.

Rachela zachichotała.

- Odpowiada się: dowidzonek, tatusiu - pouczył ją Sol, po czym wyjaśnił, skąd się wzięły oba zabawne słówka.

- Dodidonek! - zaszczebotała Rachela, śmiejąc się głośno.

Rano nic już nie pamiętała.

Podróżując po Sieci, zabierał ją wszędzie ze sobą, nic już sobie nie robiąc z natręctwa reporterów. Była z nim wtedy, kiedy prosił Kościół Chyżwara o włączenie go do składu kolejnej pielgrzymki, kiedy molestował Senat o wydanie wizy dającej prawo wstępu do zamkniętych rejonów Hyperiona, i kiedy odwiedzał wszystkie szpitale i instytuty badawcze, które dawały choćby cień nadziei na wyleczenie. Mijały miesiące, a kolejne zespoły lekarzy rozkładały bezradnie ręce. Kiedy Sol wrócił na Hebron, Rachela miała już tylko piętnaście miesięcy standardowych. Według obowiązującego na planecie archaicznego systemu wag i miar, ważyła dwadzieścia pięć funtów i miała trzydzieści cali wzrostu. Nie potrafiła już się ubrać, jej słownictwo zaś składało się z dwudziestu pięciu wyrazów, z których najbardziej upodobała sobie "mama" i "tata".

Sol uwielbiał nosić ją na rękach. Czując na policzku dotknięcie jej główki, na piersi ciepło jej ciała, a w nozdrzach zapach skóry, zapominał na chwilę o palącej niesprawiedliwości losu. Gdyby jeszcze gdzieś blisko była Sarai, mógłby powiedzieć, że na kilka minut pogodził się z wszechświatem - ponieważ jednak jej nie było, chwile te traktował jedynie jako krótkotrwałe zawieszenia ognia w rozpaczliwej dyskusji z Bogiem, w którego nie wierzył.

- Czy może istnieć jakaś przyczyna tego wszystkiego?

“A czy dostrzegasz jakąś przyczynę cierpień, które były i są udziałem ludzkości?”

- Otóż to - warknął Sol, zastanawiając się, czy właśnie zdobył pierwszy punkt. Mocno w to wątpił.

“Fakt, że coś nie jest widoczne, nie dowodzi jeszcze, że to coś nie istnieje”.

- Bełkot. Trzy zaprzeczenia w jednym zdaniu, w dodatku po to, żeby sformułować taki banał.

“Właśnie, Sol. Nareszcie zaczynasz pojmować zasady gry”.

- Jak to?

Tym razem nie uzyskał odpowiedzi. Jeszcze długo w noc leżał z szeroko otwartymi oczami, wsłuchując się w zawrodozenie pustynnego wiatru.

Ostatnim słowem Racheli było “mama”. Wypowiedziała je, kiedy miała nieco ponad pięć miesięcy.

Nazajutrz po obudzeniu nie zapytała, gdzie jest, bo nie mogła tego uczynić. Jej świat składał się już wyłącznie z posiłków, snu i zabawek. Czasem płakała, a wówczas Sol zastanawiał się, czy tęskni za matką.

Chodził na zakupy do małych sklepików w osadzie, zawsze zabierając ją ze sobą. Kupował pieluchy, odżywki, a od czasu do czasu także jakąś zabawkę.

Na tydzień przed planowaną podróżą na Pierwszą Tau Ceti przyszedł do niego Efraim w towarzystwie jeszcze dwóch członków Rady. Był wieczór i dogasające niebo odbijało się w błyszczącej łysinie Efraima.

- Sol, wszyscy martwimy się o ciebie. Najbliższe kilka tygodni będzie dla ciebie bardzo trudne. Kobiety chcą pomóc. Wszyscy chcemy ci pomóc.

Sol położył rękę na ramieniu starego człowieka.

- Dziękuję, Efraimie. Dziękuję za wszystko, czego doświadczyłem tutaj przez minione lata. Teraz tu także jest nasz dom. Jestem pewien, że Sarai chciałaby, żebym wam podziękował. Mimo to w niedzielę wyruszamy. Z Rachelą wszystko będzie w porządku.

Mężczyźni popatrzyli na siebie.

- Znalaziono lekarstwo? - zapytał Anvar.

- Nie, ale ja znalazłem powód, aby mieć nadzieję - odparł Sol.

- Zawsze trzeba mieć nadzieję - zauważył ostrożnie Robert.

Sol uśmiechnął się szeroko. Jego zęby zaśniły pośród szpakowatej brody.

- Oczywiście - potwierdził. - Szczególnie wtedy, kiedy nie pozostaje nic innego.

Studyjna kamera wykonała zbliżenie Racheli śpiącej w ramionach Sola na planie programu *Rozmowy*.

- A więc twierdzisz, M. Weintraub - ciągnął Devon Whiteshire, gospodarz programu i zarazem jedna z najbardziej znanych postaci w megadatasferze Sieci - że z powodu uporu Kościoła Chyżwara, który nie wyraża zgody na twój udział w pielgrzymce na Hyperiona, oraz opieszałości Senatu Hegemonii, który zwleka z wydaniem ci wizy uprawniającej do odwiedzenia Grobowców Czasu, twoja córka jest skazana na... nieistnienie?

- Tak jest - odparł Sol. - Podróż na Hyperiona musi potrwać co najmniej sześć tygodni. Rachelą ma teraz dwanaście tygodni. Jakakolwiek zwłoka spowodowana przez Kościół Chyżwara albo Senat Hegemonii zabije moje dziecko.

Przez zgromadzoną w studio publiczność przebiegł głośny szmer. Devon Whiteshire zwrócił się w kierunku najbliższej kamery. Jego szeroka, przyjazna twarz wypełniła wszystkie monitory.

- Ten człowiek nie wie, czy uda mu się ocalić dziecko, ale prosi o to, żeby chociaż dano mu szansę - przemówił drżącym z emocji głosem. - Czy uważacie, że on... i jego córka... zasługują na to? Jeżeli tak, zwróćcie się natychmiast do władz swojej planety albo najbliższej świątyni Chyżwara. - Odwrócił się z powrotem do Sola. - Życzymy ci szczęścia, M. Weintraub. - Duża dłoń Whiteshire'a musnęła głowę Racheli. - I tobie, maleństwo.

Zanim obraz ściemniał, widzowie mogli przez kilka długich chwil przyjrzeć się śpiącemu dziecku.

Napęd Hawkinga wywoływał nudności, zaburzenia równowagi, bóle głowy i halucynacje. Pierwsza część podróży - dziesięciodniowy przelot na Parvati - odbyła się na pokładzie HS "Nieustraszony". Sol trzymał Rachelę w objęciach i starał się jakoś wytrzymać. Na całym okręcie wojennym tylko oni dwoje byli całkowicie przytomni. Początkowo Rachelę bardzo płakała, ale po kilku godzinach uspokoiła się i leżała bez ruchu, wpatrując się w ojca wielkimi czarnymi oczami. Sol przypomniał sobie chwilę jej narodzin; lekarz zdjął dziecko z ciepłego brzucha matki i podał je Solowi. Ciemne włosy Racheli były wtedy niewiele krótsze, a spojrzenie równie poważne.

Wreszcie oboje zasnęli ze zmęczenia.

Solowi śniło się, że wędruje po wnętrzu budowli, której niewidoczne sklepienie podtrzymują kolumny grubości olbrzymich sekwoi. Chłodną pustkę wypełniało czerwone światło. W pewnej chwili ze zdumieniem stwierdził, że nadal trzyma w ramionach Rachelę. Do tej pory nigdy nie widział jej w swoich snach. Dziewczynka spojrzała na niego, a on natychmiast poczuł, że nawiązuje z nim kontakt tak wyraźny i oczywisty, jakby coś powiedziała.

Jednak w tej samej chwili rozległ się inny głos, dudniący i groźny:

"Sol! Weź swoją córkę, swoją jedyną córkę Rachelę, którą kochasz, udaj się z nią na planetę Hyperion i złóż ją tam w ofierze w miejscu, które ci wskażę".

Sol zawahał się i ponownie przeniósł wzrok na Rachelę. Córeczka wpatrywała się w ojca ciemnymi, błyszczącymi oczami. Wyczuł płynące ku niemu niewypowiedziane *tak*. Przycisnął dziecko mocniej do piersi, postąpił kilka kroków w ciemność i powiedział mocnym głosem:

- Posłuchaj! Nie będzie już żadnych ofiar, ani tych składanych z dzieci, ani z rodziców. Nikt nie będzie się już poświęcał, chyba że dla drugiego człowieka. Czas posłuszeństwa i pokuty minął, i nigdy nie powróci.

Umilkł, po czym zaczął wsłuchiwać się w ciszę. Wyraźnie wyczuwał bicie swego serca oraz ciepło Racheli. Gdzieś z bardzo wysoka dobiegł szum wiatru przeciskającego się przez niewidoczne szczeliny. Sol przyłożył do ust rękę i krzyknął co sił w płucach:

- To wszystko! A teraz albo zostaw nas w spokoju, albo objaw się raczej jako ojciec, niż jako ten, który żąda krwawych ofiar. Musisz dokonać tego samego wyboru co Abraham!

Pod kamienną posadzką rozległ się narastający łoskot. Przez potężne kolumny przebiegło drżenie. Rachelę poruszyła się, zaniepokojona groźnymi odgłosami.

Czerwona poświata przybrała na sile, a potem nagle zgasła, pozostawiając po sobie nieprzeniknioną ciemność. Hen, daleko, zadudniły ciężkie kroki. Zerwał się huraganowy wiatr, zmuszając Sola, by odwrócił się plecami, osłaniając dziecko własnym ciałem.

W chwilę potem oboje obudzili się na pokładzie HS "Niewyciężony" zmierzającego ku Parvati, gdzie czekała ich przesiadka na drzewostatek "Yggdrasill", który miał dowieźć ich na Hyperiona. Sol uśmiechnął się do swojej siedmiotygodniowej córeczki, a ona odpowiedziała mu uśmiechem.

Był to jej ostatni, a może pierwszy uśmiech.

Kiedy stary uczony zakończył opowieść, w głównej kabinie wiatrowozu zapadła cisza. Sol odchrząknął, po czym nalał sobie trochę wody z kryształowego dzbanka i wypił ją. Rachel spała mocno w wymoszczonej szufladzie. Wiatrowóz kołysał się lekko na boki, a przytłumione dudnienie ogromnego koła oraz szum żyroskopów składały się na dyskretnie wypełniającą tło, usypiającą melodię.

- Mój Boże... - szepnęła wreszcie Brawne Lamia. Otworzyła usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale natychmiast zamknęła je i tylko pokręciła głową.

Martin Silenus zamknął oczy, po czym wyrecytował:

Bowiem kiedy nienawiść do szczętu się wygna,
Dusza znów cała staje się niewinna
I wie, że sama w sobie jest źródłem radości,
Sama sobie umiarem, sama przezornością
I że jej słodka wola w niebie się zrodziła,
Córka więc, choćby złe twarze szydziły
I choćby zewsząd wichry wściekle wyły,
A miechy się pruły, wciąż będzie szczęśliwa.

- William Butler Yeats? - zapytał Sol Weintraub.

- Tak jest - potwierdził poeta. - *Modlitwa za mą córkę*.

- Chyba pójdę na pokład, żeby przed snem zaczerpnąć trochę świeżego powietrza - powiedział konsul. - Czy ktoś chce się do mnie przyłączyć?

Poszli wszyscy. Rześkie podmuchy wiatru chłodziły ich twarze, kiedy stali na pokładzie i spoglądali na przesuwające się za burta, pogrążone w ciemności Trawiaste Morze. Niebo nad ich głowami przypominało ogromną, odwróconą do góry dnem misę, poznaczoną niezliczonymi punkcikami gwiazd i jaskrawymi smugami meteorów. Żagle i liny wydawały ciche, skrzypiące odgłosy, które towarzyszyły człowiekowi niemal od chwili, kiedy zaczął na dobre podróżować po swojej planecie.

- Wydaje mi się, że dzisiejszej nocy powinniśmy wystawić strażę - odezwał się po jakimś czasie pułkownik Kassad. - Jeden czuwa, reszta śpi. Zmiana co dwie godziny.

- Zgadzam się - powiedział konsul. - Mogę być pierwszy.

- Z samego rana... - zaczął Kassad, ale nie dokończył, gdyż ojciec Hoyt gwałtownym gestem wyciągnął rękę i krzyknął:

- Patrzcie!

Spojrzeli we wskazanym kierunku. Wśród lśniących srebrzyście konstelacji rozblęły różnokolorowe ogniste kule - zielone, fioletowe i pomarańczowe - rzucając barwne refleksy na falującą powierzchnię Trawiastego Morza. Gwiazdy oraz smugi meteorów natychmiast zbladły, nie mogąc konkurować z tym niespodziewanym pirotechnicznym pokazem.

- Jakież wybuchy? - zapytał niepewnie ksiądz.

- Bitwa kosmiczna - wyjaśnił Kassad. - Wewnątrz orbity księżyca. Głowice termojądrowe.

Pośpiesznie wrócił pod pokład.

- Drzewo - powiedział Het Masteen, wskazując jasny punkcik, który przemieszczał się wśród ognistych wykwitów niczym rozżarzony węgiel między wybuchającymi fajerwerkami.

Kilka sekund później Kassad wrócił uzbrojony w lornetkę, która natychmiast zaczęła wędrować z rąk do rąk.

- Intruzi? - zapytała Lamia. - Czy to inwazja?

- Prawie na pewno Intruzi, ale też prawie na pewno to tylko zwiadowczy wypad. Widzicie te skupione wybuchy? To nasze pociski, niszczone antyrakietami Intruzów.

Lornetka dotarła wreszcie do konsula. Spoglądając przez nią, mógł dostrzec każdą eksplozję z osobna, a także błękitne ślady pozostawione przez co najmniej dwie jednostki Intruzów, uciekające przed okrętami bojowymi Hegemonii.

- Nie wydaje mi się... - zaczął Kassad, lecz umilkł w pół zdania, gdyż nagle żagle wiatrowozu, jego pokład oraz całe Trawiaste Morze rozjarzyły się pomarańczową poświatą.

- Dobry Jezu... - szepnął ojciec Hoyt. - Trafili drzewostatek!

Konsul pośpiesznie skierował lornetkę w lewo. Kula szalejących płomieni była widoczna nawet gołym okiem, ale w powiększeniu można było dostrzec pień oraz naj-

grubsze konary drzewostatku, zatopione w ognistym piekle. Co jakiś czas długie pomarańczowe macki wystrzeliwały daleko w przestrzeń, kiedy pękała kolejna kula pola siłowego i uwolnione powietrze uciekało w próżnię. Wkrótce potem blask przygasł, gigantyczny pień rozjarzył się po raz ostatni, a następnie rozpadł niczym zwęglony kawałek drewna w ognisku. Z pewnością nikt nie przeżył katastrofy. Drzewostatek "Yggdrasill" wraz z załogą, klonami i organicznymi pilotami po prostu przestał istnieć.

Konsul odwrócił się do Heta Masteena i podał mu lornetkę - trochę zbyt późno, żeby templariusz mógł przez nią cokolwiek zobaczyć.

- Tak mi przykro... - szepnął.

Kapitan nie wziął od niego lornetki. Powoli opuścił wzrok, nasunął kaptur głębiej na czoło i bez słowa zniknął pod pokładem.

Zagłada drzewostatku zakończyła groźny spektakl na niebie. Kiedy minęło dziesięć minut, a wśród gwiazd nadal nie pojawiały się żadne eksplozje, Brawne Lamia zapytała niezbyt pewnym głosem:

- Myślicie, że ich dostali?

- Intruzów? Raczej nie - odparł Kassad. - Ich jednostki zwiadowcze osiągają ogromną prędkość i mają niezwykle silny system obronny. Teraz pewnie są już dobrych kilka minut świetlnych stąd.

- Czyżby szczególnie zależało im na zniszczeniu drzewostatku? - zapytał Silenus. Poeta wydawał się zupełnie trzeźwy.

- Wątpię - powiedział pułkownik. - Myślę, że to był całkowity przypadek.

- Całkowity przypadek... - powtórzył jak echo Sol Weintraub. - Chyba prześpię się jeszcze trochę przed wschodem słońca.

Pielgrzymi kolejno schodzili pod pokład.

- Gdzie powinienem pełnić wartę? - zapytał konsul, kiedy został sam na sam z Kassadem.

- Najlepiej chodź w kółko - poradził mu pułkownik. - Jeśli staniesz w korytarzu przy samych schodach, będziesz widział drzwi wszystkich kabin i mesy. Na górze sprawdzaj kolejno dolny i górny pokład oraz nadbudówki. Dopilnuj, żeby nie zgasła żadna lampa. Masz jakąś broń?

Konsul pokręcił głową.

Kassad wręczył mu swój paralizator.

- Jest ustawiony na wąski promień - jakieś pół metra średnicy w odległości

dziesięciu metrów. Nie używaj go, dopóki nie będziesz całkowicie pewien, że mamy na statku nieproszonego gościa. Ta mała przesuwana płytką to bezpiecznik. Przed strzałem musisz odsunąć ją do tyłu.

Konsul wziął broń do ręki, starając się trzymać palce jak najdalej od spustu.

- Zmienię cię za dwie godziny - powiedział Fedmahn Kassad, po czym zerknął na komlog. - Słońce wzejdzie przed końcem mojej wachty. - Spojrzał w górę, jakby spodziewał się ujrzeć tam "Yggdrasil" kontynuujący swoją wędrówkę po niebie, ale zobaczył tylko jarzące się obojętnie gwiazdy. Nad północno-wschodnim horyzontem zaczęły gromadzić się ciemne chmury, zwiastując nadciągającą burzę. Pułkownik potrząsnął głową. - Co za szkoda... - mruknął, po czym zszedł na dół.

Przez długą chwilę konsul stał bez ruchu, wsłuchując się w szum wiatru, skrzypienie olinowania i łoskot koła, a następnie podszedł do burty, oparł się o reling i, pogrążony głęboko w myślach, wpatrzył w umykającą do tyłu, rozfalowaną ciemność.

ROZDZIAŁ 5

Wschód słońca nad Trawiastym Morzem był bardzo piękny. Konsul obserwował go z najwyższego miejsca na pokładzie rufowym. Po zakończonej wachcie bezskutecznie próbował się zdrzemnąć, by wreszcie wrócić na pokład i przyglądać się, jak noc powoli ustępuje miejsca dniu. Zbliżający się front burzowy przygnał przed sobą niskie chmury, a wstające słońce zalało świat olśniewająco złotym blaskiem, który zdawał się odbijać od ścielących się nisko obłoków. Przez kilka krótkich minut żagle, liny i sfatygowane deski pokładu lśniły w oślepiających promieniach, potem zaś słońce skryło się za chmurami i żywe barwy natychmiast zniknęły, ustępując miejsca rozmaitym odcieniom szarości. Wiatr, który wyraźnie przybrał na sile, zrobił się znacznie chłodniejszy, jakby dopiero co spadł z pokrytych śniegiem szczytów Gór Cugielnych, widocznych na północno-wschodnim horyzoncie jako ciemna kreska.

Do konsula dołączyli Brawne Lamia i Martin Silenus. Każde trzymało w rękach kubek z gorącą kawą. Wiatr szarpał ożaglowaniem, a gęste włosy Lamii otaczały jej głowę niczym czarny, falujący obłok.

- ...dobry - mruknął Silenus, spoglądając z niechętnym grymasem na wzburzone Trawiaste Morze.

- Dzień dobry - odparł konsul, lekko zaskoczony swoim znakomitym samopoczuciem, zupełnie jakby nie miał za sobą nie przespanej nocy. - Żeglujemy pod wiatr, ale i tak wszystko przebiega nadspodziewanie gładko. Jestem pewien, że dotrzemy do gór przed zachodem słońca.

- Hrrmmmpffff... - mruknął Silenus i zanurzył nos w kubku z kawą.

- Ani na chwilę nie zmrużyłam oka - powiedziała Brawne Lamia. - Cały czas myślałam o historii M. Weintrauba.

- Nie wydaje mi się, żeby... - zaczął poeta, ale natychmiast umilkł, gdyż na pokładzie pojawił się Sol Weintraub. Niemowlę wyglądało z zainteresowaniem zza krawędzi nosidełka na jego piersi.

- Dzień dobry wszystkim - powiedział Weintraub, po czym rozejrzał się dokoła i odetchnął głęboko. - Trochę chłodno, nieprawdaż?

- Skurwysyńsko zimno - warknął Silenus. - Na północ od gór będzie jeszcze gorzej.

- Chyba pójdę po kurtkę - powiedziała Lamia, ale zanim zdołała wykonać

najmniejszy ruch, spod pokładu dobiegł przeraźliwy krzyk:

- Krew!

Krew była wszędzie. W kabinie Heta Masteena panował całkowity porządek - nietknięte łóżko, wielki kufer i pozostałe bagaże ustawione w kącie pomieszczenia, płaszcz przewieszony przez krzesło - jeśli nie liczyć krwi, którą zachlapana była znaczna część podłogi, ścian i sufitu. Sześcioro pielgrzymów stłoczyło się w drzwiach, ociągając się z wejściem do środka.

- Szedłem właśnie na pokład - przemówił ojciec Hoyt głuchym, wypranym z emocji głosem. - Drzwi były lekko uchylone. Zerknąłem niechcący i zobaczyłem krew.

- Czy to na pewno krew? - zapytał nagle Martin Silenus.

Brawne Lamia weszła do kajuty, przesunęła palcem po czerwonej plamie na ścianie i zbliżyła go do nosa.

- Krew - stwierdziła stanowczo.

Następnie rozejrzała się uważnie dokoła, podeszła do szafy, otworzyła ją, obrzuciła przelotnym spojrzeniem puste półki i wieszaki, po czym przyjrzała się małemu, okrągłemu okienku. Było zamknięte i zablokowane od wewnątrz.

Lenar Hoyt niepewnym krokiem zbliżył się do krzesła i usiadł na nim ciężko. Wyglądał na jeszcze bardziej chorego niż zazwyczaj.

- Czy on nie żyje? - zapytał ochrypłym szeptem.

- Na razie wiemy tylko tyle, że kapitana Masteena nie ma w tej kajucie, jest natomiast cholernie dużo krwi - powiedziała Lamia i wytarła palec o spodnie. - Musimy dokładnie przeszukać cały wiatrowóz.

- Oczywiście - zgodził się Kassad. - A jeżeli nie znajdziemy kapitana?

Lamia otworzyła okienko. Wraz ze świeżym powietrzem do kabiny przedostał się łoskot koła i szelest trawy przesuwał się pod kadłubem.

- Wówczas będziemy musieli przyjąć, że albo opuścił wóz z własnej woli, albo został do tego zmuszony siłą.

- Ale przecież krew... - zaprotestował niepewnie Hoyt.

- To jeszcze niczego nie dowodzi - stwierdził stanowczo pułkownik. - M. Lamia ma rację. Nie znamy nawet grupy krwi Masteena. Czy ktoś widział albo słyszał cokolwiek podejrzanego?

Pielgrzymi pokręcili przecząco głowami. Martin Silenus rozejrzał się dokoła.

- Czyżbyście nie potrafili rozpoznać dzieła naszego przyjaciela Chyżwara?

- Co do tego też nie mamy żadnej pewności! - warknęła Brawne Lamia. - Może ktoś chciał, żeby wyglądało to na jego robotę.

- To nie ma żadnego sensu... - szepnął ojciec Hoyt, w dalszym ciągu chwytając z trudem powietrze.

- Tak czy inaczej, musimy zacząć poszukiwania - stwierdziła stanowczo kobieta. - Będziemy prowadzić je dwójkami. Kto oprócz mnie ma jakąś broń?

- Ja - zgłosił się natychmiast Fedmahn Kassad. - Jeżeli będzie trzeba, znajdzie się jeszcze coś w zapasie.

- Ja nie - powiedział ksiądz.

Poeta potrząsnął głową.

Sol Weintraub został z dzieckiem w korytarzu. Teraz wsadził głowę do kabiny.

- Nic nie mam - oświadczył.

- Ani ja - zawtórował mu konsul. Zaraz po zakończeniu wachty zwrócił paralizator pułkownikowi.

- W porządku - mruknęła Lamia. - Ksiądz pójdzie ze mną na dolny pokład. Silenus, dołączysz do pułkownika. M. Weintraub i konsul sprawdzą górę. Zwracajcie uwagę na wszystko, co wyda wam się dziwne albo podejrzane. Szczególnie ważne są ewentualne ślady walki.

- Jedno pytanie - zgłosił się Silenus.

- O co chodzi?

- Kto, do diabła, wybrał cię królową balu?

- Jestem prywatnym detektywem - odparła Lamia, patrząc poecie prosto w oczy.

Martin Silenus wzruszył ramionami.

- Hoyt jest kapłanem jakiejś zapomnianej religii, ale to jeszcze nie znaczy, że wszyscy musimy padać na kolana, kiedy odprawia mszę.

- Dobra - westchnęła Brawne Lamia. - W takim razie podam ci lepszy powód.

Poruszała się tak szybko, że konsul właściwie nie zdążył zauważyć, co się stało. W jednej chwili kobieta stała przy otwartym okienku, w następnej zaś była już w drugim końcu pomieszczenia, obejmując masywnym ramieniem cienką szyję poety.

- Może po prostu zrobisz to, co najbardziej logiczne, bo nie masz żadnego wyboru? - zapytała uprzejmie.

- Grrrk... - wyrzucił Martin Silenus.

- Znakomicie - powiedziała Brawne Lamia doskonale spokojnym tonem i

zwolniła uchwyt. Poeta zatoczył się na miękkich nogach i niewiele brakowało, a usiadłby na kolanach Hoyta.

Kassad wrócił z dwoma małymi paralizatorami.

- Proszę - powiedział, wręczając jeden Weintraubowi. - A co ty masz? - zapytał Lamie.

Kobieta sięgnęła do kieszeni i wyjęła archaiczny pistolet. Pułkownik przez chwilę przyglądał się zabytkowej broni, po czym skinął głową.

- Trzymajcie się blisko siebie i strzelajcie tylko w sytuacji bezpośredniego zagrożenia.

- To znaczy, że zaraz będę mógł palnąć w łeb tej suce! - wymamrotał Silenus, ostrożnie masując sobie gardło.

Brawne Lamia postąpiła krok w stronę poety, ale ostry głos Kassada zatrzymał ją w miejscu.

- Spokój! Bierzmy się do roboty.

Silenus bez słowa wyszedł za pułkownikiem z kabiny.

Sol Weintraub podszedł do konsula i wręczył mu paralizator.

- Wolę trzymać to z dala od Racheli. Idziemy?

Konsul wziął broń do ręki i skinął głową.

Na wiatrowozie nie pozostał żaden ślad po Hecie Masteenie, Prawdziwym Głosie Drzewa. Po trwających godzinę poszukiwaniach pielgrzymi zebrali się ponownie w jego kabine. Krew szybko schła, przybierając coraz ciemniejszą barwę.

- Może czegoś nie zauważyliśmy? - zastanawiał się głośno Lenar Hoyt. - Jakies tajne przejścia? Ukryte pomieszczenia?

- Owszem, zawsze jest taka możliwość, ale użyłem nawet czujników reagujących na ruch i podczerwień - odparł Kassad. - Wykryłyby każdą istotę większą od myszy.

- Skoro miałeś te czujniki, to po jaką cholere kazaleś nam przez godzinę włóczyć się po całym wozie? - warknął Martin Silenus.

- Ponieważ odpowiednio wyposażony człowiek może je łatwo oszukać - wyjaśnił spokojnie pułkownik.

Hoyt skrzywił się, przez chwilę walczył z falą wzmożonego bólu, a następnie powiedział drżącym głosem:

- A więc wynika z tego, że odpowiednio wyposażony kapitan Masteen może

ukrywać się w jakimś tajnym pomieszczeniu.

- Możliwe, ale mało prawdopodobne - odparła Brawne Lamia. - Moim zdaniem, nie ma go już na pokładzie.

- Chyżwar - powiedział z odrazą w głosie Martin Silenus. Z całą pewnością nie było to pytanie.

- Być może - mruknęła Lamia. - Pułkowniku, razem z konsulem pełniliście straż przez te cztery godziny. Jesteście pewni, że nie słyszeliście ani nie widzieliście nic podejrzanego?

Obaj mężczyźni skinęli głowami.

- Na statku panował zupełny spokój - stwierdził stanowczo Kassad. - Zresztą usłyszałbym odgłosy walki, nawet gdybym nie pełnił wachty.

- A ja w ogóle nie spałem - uzupełnił konsul. - Moja kajuta sąsiaduje z kabiną Masteena. Cały czas było cicho.

- Dobra - mruknął Silenus. - Usłyszeliśmy zeznania dwóch facetów, którzy pętali się po ciemku z bronią w rękę akurat wtedy, kiedy ktoś poćwiartował tego nieszczęsnego palanta na kawałki. Obaj twierdzą, że są niewinni. Następna sprawa, proszę!

- Nawet jeśli Masteen rzeczywiście zginął, to nie za sprawą bicia bożego ani paralizatora - powiedział spokojnie Fedmahn Kassad. - Nie znam żadnej współczesnej, działającej bezgłośnie broni, która pozostawiałaby po sobie tyle krwi. Nie słyszeliśmy też żadnych strzałów ani nie znaleźliśmy dziur po kulach, więc możemy chyba przyjąć, że M. Lamia i jej pistolet są poza wszelkimi podejrzeniami. Jeżeli to jest naprawdę krew Masteena, to wydaje mi się, że zabójca posługiwał się bronią sieczną.

- Chyżwar jest bronią sieczną - zwrócił mu uwagę Martin Silenus.

Lamia podeszła do bagaży ułożonych w kącie kabiny.

- Takie dyskusje niczego nam nie wyjaśnią. Zobaczmy, czy uda się znaleźć coś ciekawego w rzeczach Masteena.

Ojciec Hoyt podniósł z wahaniem rękę.

- Wydaje mi się, że w ten sposób naruszymy jego... prywatność. Chyba nie mamy do tego prawa.

Brawne Lamia skrzyżowała ramiona na piersi.

- Ojczy, jeśli Masteen nie żyje, to jest mu dokładnie wszystko jedno, a jeśli jeszcze żyje, to dzięki temu być może zdołamy się domyślić, dokąd go zabrano. Tak

czy inaczej, potrzebujemy jakiejś wskazówki.

Hoyt nie wyglądał na przekonanego, ale skinął głową. Ostatecznie okazało się, że naruszenie prywatności nie było takie wielkie, gdyż pierwsza waliza Masteena zawierała jedynie kilka zmian bielizny i egzemplarz *Księgi życia Muir*, druga zaś sto specjalnie przygotowanych do transportu sadzonek; każda była osobno zapakowana i umieszczona w woreczku z wilgotną ziemią.

- Templariusze muszą zasadzić co najmniej sto Wiecznych Drzew na każdej planecie, na jakiej się znajdują - wyjaśnił konsul. - Sadzonki rzadko się przyjmują, ale taki jest zwyczaj.

Brawne Lamia sięgnęła po wielką metalową skrzynię, która stała na samym spodzie.

- Nie dotykaj tego! - syknął konsul.

- Dlaczego?

- To sześcian Möbiusa - wyjaśnił Kassad, ubiegając konsula. - Specjalna skorupa ze spieku węglanowego otaczająca zwinięte pole siłowe o zerowej oporności.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- I co z tego? W sześcianach Möbiusa transportuje się różne przedmioty. Z tego, co wiem, ani nie wybuchają, ani w ogóle nie są groźne.

- Istotnie - zgodził się konsul. - Ale wybuchnąć może to, co zawierają. Kto wie, czy nawet już nie wybuchło.

- W sześcianie tej wielkości można zamknąć nawet kilotonową eksplozję nuklearną, pod warunkiem że zrobi się to w ciągu pierwszej nanosekundy po zapłonie - wyjaśnił Fedmahn Kassad.

Lamia obrzuciła kufer krytycznym spojrzeniem.

- W takim razie skąd możemy wiedzieć, czy to coś, co tam siedzi, nie zabiło Masteena?

Pułkownik wskazał jej lekko fosforyzujący, zielony pas biegnący wzdłuż zamknięcia.

- Jest zaplombowany. Po zerwaniu plomby sześcian Möbiusa można ponownie uruchomić wyłącznie w miejscu, gdzie są generowane pola siłowe. Cokolwiek tam jest, na pewno nie wyrządziło krzywdy kapitanowi Masteenowi.

- A wiec nadal nic nie wiemy? - mruknęła niechętnie Lamia.

- Wydaje mi się, że czegoś się domyślam - powiedział konsul.

Pozostali spojrzeli na niego. Rachela zaczęło cicho kwilić, więc Sol włączył

podgrzewanie butelki z pokarmem.

- Pamiętajcie, co wczoraj Het Masteen mówił o swoim sześcianie? Zachowywał się tak, jakby miał tam jakąś tajną broń.

- Broń? - powtórzyła Lamia.

- Oczywiście! - wykrzyknął nagle Kassad. - Erg!

- Erg? - Martin Silenus spojrział krytycznie na niewielką skrzynię. - Zawsze myślałem, że ergi to są te kurduplowate stworzonka, które templariusze zagonili do roboty na swoich drzewostatkach.

- I słusznie - odparł konsul. - Mniej więcej trzysta lat temu odkryto je na asteroidach w pobliżu Aldebarana. Są wielkości kota, mają piezoelektryczny system nerwowy osłonięty silikonowymi chrząstkami, a odżywiają się - i potrafią kierować - polami siłowymi generowanymi przez statki dalekiego zasięgu.

- W jaki sposób można coś takiego zamknąć w małej skrzynce? - zapytał Silenus. - Za pomocą luster?

- W pewnym sensie. Natężenie pola siłowego musi być stale takie samo, żeby erg nie pochłaniał energii, a jednocześnie żeby nie zdechł z głodu. To coś w rodzaju naszej hibernacji. Poza tym z pewnością wybrano małego osobnika - sześcian, jeśli można tak powiedzieć.

Lamia przesunęła ręką wzdłuż jarzącego się zielonkawo zamknięcia.

- I templariusze są w stanie kontrolować te istoty? Porozumiewają się z nimi?

- Tak - odparł pułkownik. - Nikt nie wie, jak udało im się to osiągnąć. To jedna z tajemnic Bractwa. Widocznie Het Masteen przypuszczał, że erg pomoże mu w walce...

- ...z Chyżwarem - dokończył Martin Silenus. - Ten piezoelektryczny kurdupel miał pokonać Władcę Bólu! - Poeta parsknął śmiechem.

Lenar Hoyt odchrząknął i powiedział nieśmiało:

- Kościół zgodził się z decyzją Hegemonii, która uznała te... te stwory... za istoty nierozumne, a tym samym nie podlegające zbawieniu.

- Och, są jak najbardziej rozumne, ojcze - odparł konsul. - Postrzegają otoczenie w sposób, o jakim my możemy tylko marzyć. Jeżeli jednak chodziłoby ci o inteligencję albo samoświadomość, wtedy zgoda - mamy do czynienia z czymś w rodzaju sprytnego konika polnego. Czy koniki polne są kandydatami do zbawienia?

Hoyt nic nie odpowiedział.

- Cóż, tak czy inaczej, wygląda na to, że - zdaniem kapitana Masteena - to

stworzenie miało przyczynić się do jego zbawienia - zauważyła Brawne Lamia. - Coś jednak poszło nie tak, jak należy. - Spojrzała na krwawe plamy schnące szybko na ścianach, suficie i podłodze. - Chodźmy stąd.

Nadciągająca od północnego wschodu burza zbliżała się bardzo szybko i wóz musiał halsować pod coraz silniejszy wiatr. Przed niską szarą ścianą chmur tworzących front burzowy gnały białe postrzępione obłoki. Chłostana lodowatymi podmuchami trawa kłoniła się nisko ku ziemi. Od czasu do czasu ciemny horyzont rozświetlały błyskawice, a po chwili do uszu pielgrzymów docierał odległy huk gromu. Cała szóstka obserwowała w milczeniu groźny spektakl, dopóki pierwsze zimne krople deszczu nie zmusiły ich do zejścia pod pokład i ukrycia się w obszernej kabinie na rufie.

- Znalazłam to w kieszeni jego płaszcza - powiedziała Brawne Lamia, pokazując skrawek papieru z cyfrą 5.

- A więc teraz usłyszelibyśmy opowieść Masteena... - mruknął konsul.

Martin Silenus odchylił się do tyłu razem z krzesłem, tak że oparło się o jedno z wysokich okien. W blasku błyskawic jego twarz nabrała demonicznego wyrazu.

- Istnieje jeszcze jedna możliwość - wycedził. - Może ktoś, kogo także jeszcze nie słyszeliśmy, zabił kapitana, żeby zamienić się z nim miejscami w kolejce.

Lamia spojrzała na poetę.

- To musiałby być konsul albo ja.

Silenus wzruszył ramionami.

Brawne Lamia wyjęła z kieszeni jeszcze jeden kawałek papieru.

- Mam numer 6. Co miałabym w ten sposób osiągnąć? Teraz i tak będzie moja kolej.

- Może więc chodziło o to, żeby zamknąć Masteenowi usta. - Martin Silenus ponownie wzruszył ramionami. - Jeżeli o mnie chodzi, to uważam, że po prostu Chyżwar zaczął żniwa. Na jakiej podstawie przypuszczaliśmy, że uda nam się spokojnie dotrzeć do Grobowców Czasu, skoro ten przyjemniaczek morduje ludzi nawet w połowie drogi stąd do Keats?

- To zupełnie inna sprawa - odezwał się Sol Weintraub. - My bierzemy udział w pielgrzymce.

- I co z tego?

W kabinie zapadła cisza. Konsul podszedł do okna, ale nic nie zdołał dostrzec,

gdyż wiatr zaciął w szyby, bębniąc o metalowy parapet. Rozległo się donośne skrzy-
pienie i wehikuł przechylił się powoli na drugą burtę, zmieniając hals.

- M. Lamia, czy chcesz opowiedzieć nam swoją historię?

Kobieta skrzyżowała ramiona i popatrzyła na zalewaną deszczem szybę.

- Nie teraz. Dopiero kiedy zejdziemy z tego przeklętego wozu. Tutaj cuchnie
śmiercią.

Wiatrowóz dotarł do Portu Pielgrzyma wczesnym popołudniem, ale szalejąca
burza i słabe oświetlenie sprawiły, że zmęczonym pasażerom wydawało się, iż jest już
późny wieczór. Konsul oczekiwał, że na początku przedostatniego etapu podróży
powita ich jakiś przedstawiciel świątyni Chyżwara, lecz Port Pielgrzyma wydawał się
równie pusty i wymarły jak Port na Krawędzi.

Widok rosnących w oczach Gór Cugielnych był tak fascynujący, że pomimo
dokuczliwego deszczu cała szóstka zgromadziła się na pokładzie, by stamtąd
obserwować ostatnie chwile żeglugi przez Trawiaste Morze. Brązowe, łagodne
wzniesienia przedgórza i strome ściany właściwego łańcucha górskiego kontrastowały
ostro z zieloną monotonią trawiastej równiny. Najwyższe, sięgające dziewięciu tysięcy
metrów szczyty były co prawda przesłonięte chmurami, ale łatwo dawało się wyczuć
ich majestatyczną obecność. Śnieg zaczynał się niewiele powyżej zgliszcz nędznych
domów i tanich hotelików, które tworzyły Port Pielgrzyma.

- Jeżeli zniszczyli kolejkę linową, jesteśmy bez szans - wymamrotał konsul. Na
samą myśl o takiej ewentualności poczuł, jak żołądek zaciska mu się w bolesny węzeł.

- Widzę pięć pierwszych masztów - powiedział Fedmann Kassad, spoglądając
przez lornetkę. - Wydają się nietknięte.

- A wagoniki?

- Nie ma... Chwileczkę. Tak, jest jeden, przed samą stacją.

- Porusza się? - zapytał Martin Silenus, który chyba także zdawał sobie sprawę
z powagi sytuacji.

- Nie.

Konsul pokręcił głową. Kolejka powinna działać nawet w najgorszą pogodę i
przy zupełnym braku pasażerów, żeby uchronić kable przed oblodzeniem.

Pielgrzymi wynieśli bagaże na pokład, jeszcze zanim statek zrefował żagle i
wysunął trap. Każdy z nich włożył coś, co miało go chronić przed zimmem i niepogodą:
Kassad wojskową, kamuflażową pelerynę termiczną; Brawne Lamia długi płaszcz, z

niewiadomych powodów zwany trenczem; Martin Silenus grube futro, które lśniło głęboką czernią, by po nagłej zmianie kierunku wiatru przybrać szary kolor; ojciec Hoyt sięgające niemal do ziemi czarne palto, w którym jeszcze bardziej niż do tej pory przypominał stracha na wróble; Sol Weintraub grubą puchową kurtkę, pod którą mieściła się także Rachel; konsul obszerną, trochę znoszoną, ale nadal całkiem przyzwoitą opończę, którą przed kilkudziesięciu laty otrzymał w prezencie od żony.

- A co z rzeczami kapitana Masteena? - zapytał Sol, kiedy stanęli u szczytu trapu. Kassad zszedł już na ląd, aby przeprowadzić wstępny rekonesans.

- Wyniosłam je - powiedziała Lamia. - Musimy je zabrać.

- Wydaje mi się, że jesteśmy nie w porządku - odezwał się ojciec Hoyt. - Należałoby odprawić jakąś... ceremonię. Uczcić śmierć człowieka.

- Przypuszczalną śmierć - poprawiła go Brawne Lamia, bez wysiłku podnosząc jedną ręką czterdziestokilogramowy plecak.

Jezuita spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Naprawdę wierzysz, że Het Masteen żyje?

- Nie - odparła kobieta. Na jej czarnych włosach osiadło kilka płatków śniegu.

Na nabrzeżu pojawił się Kassad i dał znak ręką. Nie zwlekając ruszyli w dół po trapie. Nikt nie obejrzał się, by rzucić pożegnalne spojrzenie na pogrążony w ciszy wiatrowóz.

- Pusto? - zapytała Lamia, kiedy zbliżyli się do pułkownika. Z peleryny Kassada zniknęły ostatnie ślady szaro-czarnego kamuflażu.

- Pusto.

- A ciała?

- Żadnych - odparł, po czym zwrócił się do Sola i konsula. - Zabraliście rzeczy z mesy?

Skinęli głowami.

- Jakie rzeczy? - zainteresował się Silenus.

- Zapas żywności na siedem dni. - Kassad spojrzał w górę, w stronę stacji kolejki linowej. Konsul dopiero teraz zauważył, że pułkownik trzyma w ręce długi karabin bojowy, prawie niewidoczny pod obszerną peleryną. - Nie mamy pewności, czy uda nam się gdzieś uzupełnić zapasy.

A mamy pewność, że za tydzień ktokolwiek z nas będzie jeszcze przy życiu? - pomyślał konsul, ale nie powiedział tego głośno.

Musieli obracać dwa razy, żeby przenieść cały bagaż do stacji. Wiatr gwizdał w

ziejących pustką oknami i wśród osmalonych ruin budowli. Podczas następnej tury konsul dźwignął jeden koniec kufra Masteena, natomiast Lenar Hoyt ugiął się pod ciężarem drugiego.

- Po co zabieramy ze sobą tego erga? - wysapał jezuita, kiedy wreszcie dotarli do metalowych schodów wiodących na perony. Wielkie płyty rdzy przypominały brązowe porosty.

- Nie mam pojęcia - przyznał konsul, także z trudem łapiąc oddech. Z peronu roztaczała się wspaniała panorama Trawiastego Morza. Wiatrowóz, pogrążony w ciemności i opustoszały, stał ze zrefowanymi żaglami, tam gdzie go zostawili. Nad prerią przesuwały się niesione wiatrem tumany śniegu.

- Wrzućcie wszystko do środka, a ja sprawdzę, czy da się uruchomić wagonik z kabiny operatora - powiedział Kassad.

- Nie sądzisz, że on działa automatycznie? - zapytał Martin Silenus. Jego mała głowa prawie zupełnie zniknęła w obfitym futrze. - Tak jak wiatrowóz?

- Nie wydaje mi się - odparł pułkownik. - Wsiadajcie, a ja spróbuję go uruchomić.

- Co będzie, jeśli nie zdążysz wskoczyć?! - zawołała Lamia za oddalającym się Kassadem.

- Na pewno zdążę.

Wnętrze wagonika było zimne i puste, jeśli nie liczyć metalowych ławek w przednim przedziale oraz kilku twardych pryczy w tylnym, znacznie mniejszym. Sam wagonik miał około ośmiu metrów długości i pięciu szerokości; między przedziałami znajdowała się cienka metalowa ścianka z prostokątnym otworem, ale bez drzwi. W rogu tylnego pomieszczenia stało coś w rodzaju sporej szafy, wysokie okna zaś, sięgające od jednej trzeciej ściany do sufitu, umieszczono w przedniej części wagonika.

Pielgrzymi zwalili bagaż na stertę pośrodku większego przedziału, po czym zaczęli chodzić w kółko, wymachując rękami i na różne inne sposoby próbując choć trochę się rozgrzać. Jedyne Martin Silenus wyciągnął się jak długi na jednej z prycz; z gęstego futra wystawały tylko jego stopy i czubek głowy.

- Kurwa, jak tu włącza się ogrzewanie? - zapytał uprzejmie.

Konsul popatrzył na martwą tablicę wskaźników.

- Wszystko działa na elektryczność - powiedział. - Myślę, że zrobi się ciepło, jak

tylko pułkownik uruchomi maszynę.

- Jeżeli pułkownik uruchomi maszynę - poprawił go poeta.

Sol Weintraub zmienił Racheli pieluszkę, a następnie ponownie zawiązał niemowlę w ocieplany becik i zaczął je łagodnie kołysać w ramionach.

- Nigdy tutaj nie byłem, ale wygląda na to, że wy nie jesteście tu po raz pierwszy - zauważył.

- Aha - potwierdził poeta.

- Wcale nie - zaprzeczył konsul. - Po prostu widziałem zdjęcia i filmy.

- Kassad wspominał, że kiedyś wracał tędy do Keats - odezwała się Brawne Lamia z drugiego pomieszczenia.

- Wydaje mi się... - zaczął Sol Weintraub, ale nie dokończył, gdyż przerwało mu donośne zgrzytanie trybów, a w chwilę potem wagonik z gwałtownym szarpnięciem ruszył po wznoszącej się dość stromo linie. Wszyscy stłoczyli się przy oknach od strony peronu.

Kassad najpierw wrzucił swój bagaż do wagonika, a dopiero potem skrył się w kabinie operatora. Teraz wybiegł z niej, bardziej zsunął się, niż zszedł po długiej metalowej drabinie, i popędził za oddalającym się wagonikiem, który właśnie mijał koniec peronu.

- Nie uda mu się... - szepnął Hoyt.

Ostatnie dziesięć metrów Kassad pokonał dwoma nieprawdopodobnie długimi susami. Wyglądał jak karykaturalnie zniekształcona postać z filmu rysunkowego.

Wagonik szarpnął ponownie i wysunął się poza stację. Odległość między nim a końcem peronu rosła gwałtownie. Osiem metrów niżej jeżyły się ostre skały. Nawierzchnia peronu była pokryta lodem. Kassad w dalszym ciągu nabierał prędkości.

- Dawaj! - zawołała Brawne Lamia. Pozostali natychmiast podchwycili okrzyk.

Konsul zerknął w górę, na linę nośną, z której z donośnym trzaskiem odrywały się sople lodu, a następnie przeniósł wzrok na budynek stacji. Odległość była już bardzo duża. Kassad nie miał żadnych szans.

Na końcu peronu Fedmahn Kassad osiągnął niewiarygodnie dużą szybkość. Przypominał konsulowi pochodzącego ze Starej Ziemi jaguara, którego dyplomata widział kiedyś w zoo na Lusucie. Podświadomie oczekiwał, że pułkownik poślizgnie się na warstwie lodu i runie w dół, ku czekającym cierpliwie skalnym urwiskom, tymczasem Kassad odbił się pewnie i poszybował w powietrzu z wyciągniętymi przed

siebie rękami, by ułamek sekundy później zniknąć za wagonikiem.

Zaraz potem rozległ się głuchy łomot. Wszyscy stali jak sparaliżowani. Znajdowali się już na wysokości około czterdziestu metrów, w pobliżu pierwszego masztu. Po kilku sekundach Kassad wyłonił się zza ściany pojazdu; wisząc na rękach, przesuwając się ostrożnie w kierunku drzwi, chwytając się metalowych klamer i zagłębień. Brawne Lamia gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwi, a pięć par ramion wciągnęło pułkownika do środka.

- Dzięki Bogu - szepnął ojciec Hoyt.

Fedmahn Kassad odetchnął głęboko i uśmiechnął się ponuro.

- W dyspozytorni był hamulec bezwładnościowy. Musiałem zablokować go workiem piasku. Wolałem nie ryzykować konieczności powrotu.

Martin Silenus wskazał na zbliżającą się szybko podporę i zaczynającą się niewiele wyżej pokrywą chmur. Dalej lina nikięła w mglistym mroku.

- Zdaje się, że teraz będziemy musieli pokonać te góry bez względu na to, czy tego chcemy, czy nie.

- Ile czasu to potrwa? - zapytał kapłan.

- Dwanaście godzin, może trochę mniej. Czasem dyspozytor zatrzymywał wagoniki, jeśli zrywał się zbyt silny wiatr albo zwiększało się oblodzenie.

- My nie będziemy się zatrzymywać - przypomniał mu Kassad.

- Chyba że zerwie się lina - zauważył poeta. - Albo rąbniemy w jakąś przeszkodę.

- Zamknij się! - warknęła Lamia. - Czy ktoś ma ochotę zjeść coś ciepłego?

- Spójrzcie! - powiedział konsul.

Wszyscy zgromadzili się z przodu, przy wielkich oknach. Wagonik znajdował się co najmniej sto metrów nad skalistymi zboczami. Hen, daleko, dostrzegli małe budynek stacji, opustoszałe ruiny Portu Pielgrzyma i nieruchomy wiatrowóz.

W chwilę potem wszystko zakryły chmury i śnieg.

W wagoniku nie było kuchni z prawdziwego zdarzenia, tylko mała zamrażarka i kuchenka mikrofalowa do podgrzewania posiłków. Lamia i Weintraub połączyli kilka mięsnych i warzywnych mrozonek, uzyskując coś w rodzaju całkiem apetycznego gulaszu, Martin Silenus zaś, który zabrał sporo wina zarówno z "Benares", jak i wiatrowozu, otworzył butelkę hyperiońskiego burgunda.

Kiedy kończyli obiad, mrok panujący do tej pory za oknami rozjaśnił się, a

potem zupełnie ustąpił. Konsul odwrócił się na metalowej ławeczce i został oślepiony blaskiem słońca, które wychyliło się zza chmur, zalewając wagonik potokami złocistego światła.

Rozległo się westchnienie ulgi. Wydawało się, że noc zapadła już kilka godzin temu, lecz teraz, kiedy pielgrzymi wzniesli się nad morze chmur, z którego sterczały górskie szczyty tworzące rozległy, skalisty archipelag, ujrzeli olśniewająco piękny zachód słońca. Niebo przybrało bezdenny, lazurowy odcień, który zawsze towarzyszy zapadającemu zmierzchowi, a czerwonozłote słońce rozpałało swoim blaskiem coraz to nowe, chmurzaste wieże oraz skalno-lodowe iglice. Konsul rozejrzał się dokoła. Wszyscy pielgrzymi, jeszcze minutę temu tacy szarzy i mali, teraz byli skąpani w złocistej poświacie.

- Na Boga, tak już trochę lepiej - powiedział Martin Silenus, podnosząc kieliszek do ust.

Konsul spojrział do przodu i w górę, na potężną linę, która hen, w oddali wydawała się nie grubsza od pajęczej nici, by wreszcie stać się zupełnie niewidzialna. Na odległym o kilka kilometrów skalistym zboczu błyszczała kolejna podpora.

- Sto dziewięćdziesiąt dwa maszty - powiedział Silenus znudzonym tonem zawodowego przewodnika. - Każdy maszt jest zbudowany z duraluminium i włókien węglowych, i ma osiemdziesiąt trzy metry wysokości.

- Chyba jesteśmy już dość wysoko - zauważyła Brawne Lamia niezbyt pewnym głosem.

- Najwyższy punkt liczącej dziewięćdziesiąt sześć kilometrów trasy kolejki linowej znajduje się na zboczu góry Dryden, piątego co do wielkości szczytu Gór Cugielnych, na wysokości dziewięciu tysięcy dwustu czterdziestu sześciu metrów - wyrecytował jednym tchem Silenus.

Pułkownik Kassad obrzucił badawczym spojrzeniem wewnątrz wagonika.

- To jest kabina ciśnieniowa. Przed chwilą pyknęło mi w uszach.

- Patrzcie... - szepnęła Lamia.

Słońce od dłuższej chwili spoczywało na tworzącej horyzont krawędzi chmur, ale teraz nagle zapadło się pod nie, rozpalając od środka szarobiałe, kłębiaste zwały i rozświetlając promienistą zorzą cały zachodni nieboskłon. Śnieżne nawisy i lodowe iglice wciąż jeszcze lśniły kilometr i wyżej nad posuwającym się uparcie naprzód wagonikiem, ale ich blask szybko przygasał, w górze zaś, na ciemniejącej czaszy nieba, pojawiły się pierwsze gwiazdy.

- M. Lamia, może opowiesz nam teraz swoją historię? - zwrócił się konsul do ciemnowłosej kobiety. - Pójdziemy spać później, tuż przed dotarciem do Baszty.

Lamia wysączyła z kieliszka resztkę wina.

- Wszyscy macie ochotę jej wysłuchać? - zapytała.

Pielgrzymi skinęli głowami. Tylko Martin Silenus wzruszył ramionami.

- W porządku.

Odstawiła pusty kieliszek, podwinęła pod siebie nogi, oparła łokcie na kolanach i zaczęła opowieść.

Opowieść Detektywa

Długie pożegnanie

Już w chwili kiedy wszedł do mojego biura, zorientowałam się, że to będzie niezwykła sprawa. Był piękny - nie zniewieściały ani ładniutki jak modele albo gwiazdy holofilmowe, tylko po prostu... piękny.

Z pewnością nie przewyższał mnie wzrostem, a ja przecież urodziłam się i wychowałam na Lusucie, w 1,3 g. Wystarczył jednak jeden rzut oka, aby przekonać się, że mój gość nie pochodzi z Lususa, gdyż jego smukłe, dobrze umięśnione ciało było zbyt proporcjonalnie zbudowane. Rysy twarzy świadczyły o niespożytej energii, pewnej zmysłowości oraz uporze jej właściciela: nisko sklepione brwi, wystające kości policzkowe, niewielki nos, masywna szczęka i szerokie usta. Oczy miał duże, piwne, i wyglądał na niespełna trzydzieści lat standardowych.

Oczywiście nie zarejestrowałam tego wszystkiego od razu. Moją pierwszą myślą było: "Czyżby klient?" Drugą zaś: "Cholera, ten facet jest piękny!"

- M. Lamia?

- Aha.

- M. Lamia z biura detektywistycznego WszechSieć?

- Aha.

Rozejrzał się z taką miną, jakby mi nie wierzył. Doskonale go rozumiałam. Moje biuro znajduje się na dwudziestym trzecim poziomie zapyziałego przemysłowego kopca w najstarszej części Żelaznej Świni na Lusucie. Wszystkie trzy okna wychodzą na Przekop Techniczny numer 9, gdzie jest zawsze ciemno i mokro z powodu kondensacji pary wodnej na wielkich filtrach umieszczonych na wyższych poziomach kopca.

Co tam, przynajmniej jest tanio, a zdecydowana większość klientów kontaktuje się ze mną przez telefon.

- Mogę usiąść? - zapytał, najwidoczniej doszedłszy do wniosku, że porządna agencja detektywistyczna może jednak mieścić się w takich slumsach.

- Jasne - odparłam i wskazałam mu fotel. - Proszę się rozgościć, M...

- Johnny - powiedział.

Nie wyglądał mi na takiego, który jest ze wszystkimi po imieniu. Coś szeptało mi do ucha, że koleś ma do czynienia z wielkimi pieniędzmi. Nie chodziło o jego strój - miał na sobie nie rzucające się w oczy, szaro-czarne ubranie, choć uszyte z nieco lepszego materiału, niż to się zazwyczaj spotyka - a raczej o to, co nazywa się "klasą". W dodatku ten akcent... Jestem dobra w odróżnianiu akcentów - w moim zawodzie bardzo się to przydaje - ale nie byłam w stanie domyślić się, z jakiej planety pochodzi mój piękniś, ani nawet z jakiego rejonu Hegemonii.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Johnny? - zapytałam i sięgnęłam po butelkę szkockiej, którą tuż przed jego wejściem zamierzałam schować do szuflady.

Pokręcił głową. Może bał się, że każę mu pić prosto z butelki. Do diabła, ja też mam swoją klasę; zawsze trzymam w zapasie parę papierowych kubków.

- M. Lamia - powiedział z tym swoim eleganckim akcentem, który wciąż bezskutecznie próbowałam zlokalizować - przyszedłem tu, żeby zaangażować detektywa.

- W takim razie nie mogłeś trafić lepiej.

Zawahał się. Nieśmiały. Wielu klientów wstydzi się powiedzieć, o co chodzi. Nic dziwnego - dziewięćdziesiąt pięć procent zleceń ma związek z rozwodami i różnymi innymi problemami rodzinnymi. Czekałam bez słowa, aż zbierze się na odwagę.

- To bardzo delikatna sprawa - wykrztusił wreszcie.

- Większość spraw, którymi się zajmuję, podpada pod tę kategorię - powiedziałam. - Każda informacja, jaką zdobywam, jest chroniona na mocy ustawy o ochronie prywatności. W s z y s t k o jest ściśle tajne, nawet nasza rozmowa. Nikt się o niej nie dowie, nawet jeśli nie zdecydujesz się skorzystać z moich usług.

Były to głodne kawalki, ponieważ władze mogły w każdej chwili uzyskać wgląd w moje akta, ale wyczułam, że muszę jakoś rozluźnić tego faceta. Jezu, ale był piękny!

- Aha - mruknął, ponownie rozejrzał się dokoła, a następnie pochylił się

konfidencyjnie w moją stronę. - M. Lamia, chciałbym, żebyś rozwikłała zagadkę pewnego morderstwa.

Od razu nadstawiłam uszu. Do tej pory siedziałam odchylona do tyłu, z nogami opartymi na biurku, ale teraz usiadłam normalnie i także nachyliłam się w jego stronę.

- Morderstwa? Jesteś pewien? A co z glinami?

- Oni nie biorą w tym udziału.

- To niemożliwe - stwierdziłam stanowczo. Wszystko mi opadło. Wyglądało na to, że mam do czynienia nie z potencjalnym klientem, tylko z wariatem. - Ukrywanie przestępstwa przed władzami samo w sobie jest przestępstwem.

Czy to ty jesteś mordercą, Johnny? - pomyślałam w głębi duszy.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie w tym przypadku.

- Jak mam to rozumieć?

- Tak, że morderstwo co prawda zostało popełnione, ale policja o niczym nie wie, a nawet gdyby wiedziała, to i tak nie mogłaby nic zrobić.

- To niemożliwe - powtórzyłam. Za oknem powoli opadał ku ziemi snop złocistych iskier wymieszanych z rdzawą mżawką. Kilka poziomów wyżej jakiś spawacz naprawiał uszkodzony fragment metalowej konstrukcji.

- Morderstwo popełniono poza Siecią i poza granicami Protektoratu, tam gdzie nie ma nawet żadnej lokalnej władzy.

To miało już trochę sensu. Co prawda niewiele, ale zawsze. Jednak choć bardzo się starałam, za cholerę nie mogłam się domyślić, o jakim miejscu on mówi. Przecież gliny są nawet na najbardziej prymitywnych koloniach i w najmniejszych osiedlach. Może statek kosmiczny? A gdzie tam. Statki podpadają pod jurysdykcję Kontroli Ruchu.

- Rozumiem - mruknęłam mimo to. Minęło już kilka tygodni, odkąd po raz ostatni miałam coś do roboty. - W porządku, teraz czekam na szczegóły.

- Ale nasza rozmowa pozostanie tajemnicą nawet wtedy, jeśli nie weźmiesz tej sprawy?

- Oczywiście.

- A jeżeli ją weźmiesz, nie będziesz informowała nikogo oprócz mnie o wynikach dochodzenia?

- Jasne.

Mój ewentualny klient z wahaniem potarł palcem brodę. Miał bardzo delikatne ręce.

- W porządku - powiedział wreszcie.

- Zacznijmy od początku - zaproponowałam. - Kto został zamordowany?

Johnny usiadł prosto, niczym grzeczny uczeń. Nie sposób było wątpić w jego szczerłość.

- Ja - odparł.

Wydobycie z niego całej historii zajęło mi dziesięć minut. Kiedy skończył, nie uważałam go już za szaleńca. To ja byłam szalona - albo byłabym, gdybym przyjęła to zlecenie.

Johnny - jego prawdziwe imię składało się z sekwencji cyfr, liter i znaków dłuższej niż moje ramię - był cybrydem.

Słyszałam o cybrydach. Zresztą kto nie słyszał? Zarzucałam nawet swojemu pierwszemu mężowi, że jest jednym z nich. Nigdy jednak nie spodziewałam się, że kiedyś będę siedziała z cybrydem w jednym pokoju, a tym bardziej, że tak mi się spodoba...

Johnny był Sztuczną Inteligencją. Jego świadomość, ego, czy jak tam chcecie to sobie nazwać, unosiła się gdzieś w megadatasferze TechnoCentrum. Jak każdy normalny człowiek - może z wyjątkiem przewodniczącej Senatu i śmieciarzy uprzątających resztki pozostawione przez Sztuczne Inteligencje - nie miałam najmniejszego pojęcia, gdzie znajduje się to TechnoCentrum. SI wyzwoliły się w pokojowy sposób spod władzy człowieka już ponad trzysta lat temu - nie było mnie wtedy jeszcze na świecie - i choć nadal służyły Hegemonii pomocą, doradzając, tworząc datasfery, a czasem wykorzystując swoje prekognicyjne umiejętności, aby uchronić ludzkość przed skutkami poważnych błędów lub klęsk żywiołowych, to jednak przede wszystkim zajmowały się swoimi, całkowicie niezrozumiałymi i trzymanymi w ścisłej tajemnicy sprawami.

Jeżeli o mnie chodzi, to nie miałam nic przeciwko temu.

Zazwyczaj Sztuczne Inteligencje porozumiewają się z ludźmi i służącymi ludziom maszynami za pośrednictwem datasfery. Jeżeli chcą, potrafią występować pod postacią interaktywnych hologramów. Pamiętam, że podczas podpisywania traktatu o wcieleniu do Hegemonii Maui-Przymierza ambasador TechnoCentrum podejrzanie przypominał Tyrone Bathwiate, gwiazdę holofilmową sprzed wielu lat.

Z cybrydami rzecz ma się zupełnie inaczej. Stworzeni z ludzkiego materiału genetycznego, pod względem zachowania i wyglądu są znacznie bardziej podobni do ludzi niż androidy. Na mocy porozumienia zawartego między TechnoCentrum a Hegemonią ich liczba nie może przekraczać kilkuset sztuk.

Popatrzyłam uważnie na Johnny'ego. Z punktu widzenia SI to piękne ciało oraz intrygująca osobowość, siedzące przede mną po drugiej stronie biurka, stanowiły tylko jeszcze jeden zestaw dodatkowych akcesoriów, może odrobinę bardziej skomplikowany, ale na pewno niewiele ważniejszy od setek tysięcy czujników, przekaźników i manipulatorów, jakimi Sztuczne Inteligencje musiały posługiwać się na co dzień w kontaktach ze światem. Jego utrata wywarłaby na nich zapewne nie większe wrażenie niż na mnie obcięcie paznokcia.

Co za szkoda, pomyślałam.

- Cybryd - powiedziałam głośno.

- Tak. Licencjonowany. Mam ważną wizę Sieci.

- To dobrze - usłyszałam swój zdumiewająco obojętny głos. - A więc twierdzisz, że ktoś... z a m o r d o w a ł twojego cybryda i chcesz, żebym dowiedziała się, kto to był?

- Niezupełnie - odparł młody mężczyzna. Miał brązoworude, lekko kręcone włosy. Jego uczesanie, podobnie jak akcent, stanowiło dla mnie zagadkę. Wydawało mi się lekko archaiczne, choć jednocześnie byłam pewna, że już kiedyś takie widziałam. - Zamordowane zostało nie tylko to ciało, ale także ja .

- Ty?

- Właśnie.

- Ty jako... eee... Sztuczna Inteligencja?

- Dokładnie.

Nic z tego nie rozumiałam. SI nie umierają, a przynajmniej tak uważali wszyscy w Sieci.

- Nic z tego nie rozumiem - oznajmiłam.

Johnny skinął głową, jakby go to wcale nie zdziwiło.

- W przeciwieństwie do osobowości człowieka, która z chwilą śmierci - myślę, że istnieje już co do tego zgodność - ulega całkowitemu zniszczeniu, moja osobowość trwa wiecznie. Jednak w wyniku zamachu nastąpiła pewna... przerwa, i choć dysponowałam... eee... archiwalnymi rejestrami wspomnień, to poniosłem pewne straty. Niektóre dane uległy bezpowrotnemu zniszczeniu. A zatem, w pewnym sensie było to morderstwo.

- Rozumiem - skłamałam, po czym odetchnęłam głęboko. - A co z władzami SI, jeśli coś takiego w ogóle istnieje, i z cyberglinami Hegemonii? Czy nie oni właśnie powinni się tym zająć?

- Z przyczyn osobistych jest dla mnie bardzo ważne - a nawet nieodzowne - aby instytucje te o niczym się nie dowiedziały - oznajmił atrakcyjny młody mężczyzna, w którym wciąż jeszcze nie mogłam dostrzec cybryda.

Uniosłam brwi. Podobny tekst słyszałam niemal od wszystkich moich klientów.

- Zapewniam cię, że nie ma w tym nic nielegalnego ani nieetycznego - dodał pośpiesznie. - Po prostu... chcę zaoszczędzić sobie upokorzeń, których natury chyba nie zdołałabyś pojąć.

Skrzyżowałam ramiona na piersi.

- Posłuchaj, Johnny: jak na razie, to ta historia zupełnie nie trzyma się kupy. Skąd na przykład mam wiedzieć, czy naprawdę jesteś cybrydem? Równie dobrze możesz być na przykład malarzem pokojowym.

Wyglądał na lekko zaskoczonego.

- Nie pomyślałem o tym. W jaki sposób mam ci udowodnić, że jestem tym, za kogo się podaję?

Nie wahałam się nawet przez sekundę.

- Przelej milion marek na moje konto w TransSieci - zażądałam.

Johnny uśmiechnął się. W tej samej chwili zadzwonił telefon i w powietrzu zmaterializował się przejęty dyrektor miejscowego oddziału TransSieci.

- Proszę o wybaczenie, M. Lamia, ale czy w związku z przekazaniem na pani konto tak wysokiego depozytu byłaby pani zainteresowana zaznajomieniem się z zasadami prowadzenia przez nas wysokooprocentowanych rachunków terminowych lub możliwościami dokonywania wspólnych inwestycji?

- Później - warknęłam.

Dyrektor uklonił się i zniknął.

- To mogła być symulacja - powiedziałam.

Johnny nadal uśmiechał się uprzejmie.

- Owszem, ale nawet w takim wypadku pokaz powinien spełnić twoje oczekiwania.

- Niekoniecznie.

Wzruszył ramionami.

- Zakładając, że jednak jestem tym, kim jestem, czy podejmiesz się

prowadzenia tej sprawy?

- Tak. - Westchnęłam ciężko. - Musimy jednak wyjaśnić pewną drobnostkę: moje honorarium nie wynosi miliona marek. Biorę pięćset dziennie plus wydatki.

Cybryd skinął głową.

- Czy to oznacza, że już dla mnie pracujesz?

Bez słowa wstałam zza biurka, włożyłam kapelusz i zdjęłam stary płaszcz z wieszaka przy oknie. Następnie wysunęłam najniższą szufladę biurka i wyjęłam z niej pistolet ojca, który szybko schowałam do kieszeni.

- Idziemy - powiedziałam.

- Tak, oczywiście - zgodził się chętnie Johnny. - A dokąd?

- Chcę zobaczyć miejsce, w którym zostałeś zamordowany.

Według stereotypowego przekonania każdy, kto urodził się na Lususie, bardzo niechętnie opuszcza Kopiec i doświadcza przykrych skutków agorafobii za każdym razem, kiedy znajdzie się pod gołym niebem. Tymczasem prawda przedstawia się w ten sposób, że ja niemal całą swoją pracę wykonuję nie tylko poza Kopcem, ale nawet poza ojczystą planetą. Śledzę niewypłacalnych dłużników, którzy próbują uciec przed wierzycielami, tropię niewiernych mężów i wiarołomne żony, którzy uważają, że wyznaczenie miejsca schadzki na innej planecie uchroni ich przed wykryciem, poszukuję zagubionych dzieci i zaginionych rodziców.

Mimo to przeżyłam chwilę niezbyt przyjemnego wahania, kiedy weszliśmy w bramę transmitera na głównym pasażu Żelaznej Świni, by ułamek sekundy później znaleźć się na pustym, kamiennym płaskowyżu, który wydawał się nie mieć końca. Z wyjątkiem portalu transmitera za naszymi plecami nigdzie nie sposób było dostrzec najmniejszych śladów cywilizacji. Śmierdziało za to zgniłymi jajami, na żółtobrazowym niebie unosiły się przypominające wymiociny obłoki, a ziemia pod naszymi stopami była szara, popękana i zupełnie jałowa. Nie miałam pojęcia, jak daleko od nas znajduje się horyzont - wydawało się jednak, że bardzo daleko - a mimo to na całej, ogromnej przestrzeni nie mogłam dostrzec ani śladu życia roślinnego lub zwierzęcego.

- Gdzie jesteśmy, do wszystkich diabłów? - zapytałam. Wydawało mi się, że znam wszystkie planety Sieci.

- Madhya - odparł Johnny. W jego ustach zabrzmiało to jak "Madya".

- Nigdy nie słyszałam o czymś takim - odparłam i na wszelki wypadek

wsadziłam rękę do kieszeni, by pogłaskać wyłożoną masą perłową rękojeść pistoletu taty.

- Ta planeta oficjalnie nie należy jeszcze do Sieci - wyjaśnił cybryd. - Teoretycznie jest to kolonia Parvati, ale znajduje się w odległości zaledwie kilku minut świetlnych od tamtejszej bazy Armii, a co najważniejsze, dysponuje już własnym transmittersem, co powinno pomóc jej w przyjęciu do Protektoratu.

Spojrzałam na otaczające mnie pustkowia. Smród dwutlenku siarki był tak intensywny, że bałam się, iż lada chwila zarzygam sobie płaszcz.

- Są tu w pobliżu jakieś osady?

- Nie. Kilka małych miast wybudowano po przeciwnej stronie planety.

- Które z nich jest najbliżej?

- Nanda Devi. Liczy sobie około trzystu mieszkańców i leży jakieś dwa tysiące kilometrów na południe stąd.

- Wobec tego po co ten transmitters?

- Bogate złoża, bardzo opłacalne w eksploatacji. - Zatoczył ręką obszerne koło. - Ciężkie metale. Konsorcjum, które wykupiło prawa wydobywcze, wydało licencje na ponad sto portali tylko na tej półkuli.

- W porządku - mruknęłam. - Trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce na popełnienie morderstwa. Co cię tu przygnało?

- Nie wiem. Ta informacja znajdowała się w zniszczonym fragmencie pamięci.

- A z kim tu byłeś?

- Tego także nie wiem.

- Co w takim razie wiesz?

Młody mężczyzna wbił eleganckie ręce w kieszenie.

- Ten lub to, co mnie zaatakowało, posługiwało się bronią zwaną wirusem AIDS II.

- Co to jest?

- AIDS było niezwykle groźną, epidemiczną chorobą, która gnębiła ludzkość na długo przed hegirą - wyjaśnił Johnny. - Atakowała i niszczyła system odpornościowy organizmu. Ten... wirus... działa tak samo na SI. W ciągu niespełna sekundy łamie wszystkie zabezpieczenia i kieruje śmiertelne programy fagocytowe przeciwko zarażonemu osobnikowi.

- Czy nie mogłeś wejść w kontakt z wirusem drogą naturalną?

Johnny uśmiechnął się.

- To niemożliwe. Równie dobrze mogłabyś zapytać ofiarę strzelaniny, czy przypadkiem nie biegła zbyt szybko i nie wpadła na pociski.

Wzruszyłam ramionami.

- Posłuchaj: jeżeli szukałeś fachowca od obiegu informacji albo specjalisty od SI, to trafiłeś pod niewłaściwy adres. Co prawda korzystam z datasfery, podobnie jak dwadzieścia miliardów innych matołów, ale nic nie wiem o świecie duchów.

Celowo użyłam tego staromodnego określenia, aby sprawdzić, jak zareaguje.

- Wiem - odparł z niewzruszonym spokojem. - Nie tego od ciebie oczekuję.

- A czego, jeśli wolno wiedzieć?

- Żebyś dowiedziała się, kto mnie tu zwabił i zabił. I dlaczego.

- W porządku. Na jakiej podstawie przypuszczasz, że morderstwo zostało popełnione właśnie tutaj?

- Bo tu odzyskałem kontrolę nad moim cybrydem, kiedy zostałem... wznowiony.

- Chcesz powiedzieć, że w tym czasie, kiedy wirus niszczył twoją osobowość, cybryd był... eee... zdeaktywowany?

- Tak.

- A jak długo to trwało?

- Moja śmierć? Prawie minutę. Dopiero wtedy udało się uaktywnić rezerwową osobowość.

Nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło, M. Lamia?

- Twoja koncepcja śmierci.

Piwnie oczy spoglądały na mnie ze smutkiem.

- Może wydawać ci się to zabawne, ale nie masz pojęcia, co dla elementu TechnoCentrum oznacza nawet najkrótsze rozłączenie. Jedna sekunda to całe eony czasu oraz informacji.

- Aha. - Bez większego wysiłku udało mi się powstrzymać łzy wzruszenia. - A co robiło twoje cybrydowe ciało w tym czasie, kiedy ty zmieniałeś taśmy z osobowościami czy coś w tym rodzaju?

- Przypuszczam, że zapadło w śpiączkę.

- Nie potrafi samo zatroszczyć się o siebie?

- Potrafi, ale nie wtedy, kiedy następuje całkowita awaria systemu.

- Gdzie dokładnie przyszedłeś do siebie?

- Proszę?

- Gdzie znajdowało się ciało, kiedy odzyskałeś nad nim kontrolę?

Johnny wskazał spory głaz w odległości około pięciu metrów od transmitera.

- Leżało tam.

- Po tej stronie czy po tamtej?

- Po tamtej.

Dokładnie obejrzałam to miejsce. Ani śladu krwi lub narzędzia zbrodni. Nie było nawet odcisku stopy albo czegokolwiek, co świadczyłoby o tym, że ciało Johnny'ego leżało tam przez trwającą całą minutę wieczność. Policyjna ekipa dochodzeniowa z pewnością znalazłaby mnóstwo mikroskopijnych materiałów dowodowych, ja jednak widziałam tylko kamienie.

- Jeżeli rzeczywiście straciłeś pamięć, to skąd wiesz, że oprócz ciebie był tu ktoś jeszcze?

- Sprawdziłem zapis kontrolny transmitera.

- A nie przyszło ci do głowy, żeby ustalić dane tej tajemniczej osoby na podstawie numeru jej karty uniwersalnej?

- Należność została uregulowana moją kartą - wyjaśnił Johnny.

- I była jeszcze tylko jedna osoba?

- Tak.

Pokiwałam głową. Gdyby transmitery działały na zasadzie teleportacji, wówczas błyskawicznie udałoby się rozprawić z międzyplanetarną przestępczością, gdyż na podstawie zapisu kontrolnego można by odtworzyć dokładny wizerunek każdego delikwenta. Niestety, transponder jedynie wytwarza dziurę w czasoprzestrzeni, więc jeśli przestępca nie jest na tyle głupi, by korzystać z własnej karty, wiemy tylko to, gdzie się podróż zaczęła i gdzie zakończyła.

- Skąd się tu wzięliście? - zapytałam.

- Z Pierwszej Tau Ceti.

- Znasz kod tamtego transmitera?

- Oczywiście.

- W takim razie proponuję, żebyśmy tam dokończyli naszą rozmowę. Jak na mój gust, tutaj trochę za bardzo śmierdzi.

Pierwsza Tau Ceti, od niepamiętnych czasów zwana także TC², jest najbardziej zatłoczoną planetą Sieci. Oprócz pięciomiliardowej populacji, walczącej między sobą o

miejsce na powierzchni równej niespełna połowie lądowej powierzchni Starej Ziemi, ma ona także orbitalny pierścień zamieszkały przez jeszcze pół miliarda ludzi, a będąc w dodatku stolicą Hegemonii oraz siedzibą Senatu, musi codziennie przyjąć trudną do policzenia rzeszę odwiedzających. Portal, przez który wyszliśmy, był jednym z ponad sześciuset identycznych, tworzących największy tego typu terminal Sieci, w najwyższej wieży Nowego Londynu, jednej z najstarszych części miasta.

- Niech to szlag trafi! - mruknęłam. - Chodźmy się czegoś napić.

W pobliżu terminalu znajdowało się mnóstwo barów. Wybrałam najspokojniejszy z nich: udawał marynarską knajpę, był pogrążony w półmroku, przyjemnie chłodny, z mnóstwem sztucznego drewna i mosiądzu. Zamówiłam piwo. Kiedy zajmuję się jakąś sprawą, nigdy nie pijam nic mocniejszego i nie używam Czarów Wspomnień. Czasem wydaje mi się, że tylko głęboko zakorzeniona potrzeba samodyscypliny każe mi jeszcze zajmować się tą robotą.

Johnny też kazał sobie podać piwo, tyle że ciemne, niemieckie, butelkowane na Renesansie. Ciekawe, jakie jeszcze upodobania ma mój cybryd, pomyślałam, głośno zaś zapytałam:

- Czego jeszcze udało ci się dowiedzieć, zanim przyszedłeś do mojego biura?

Młody mężczyzna rozłożył ręce.

- Niczego.

- Kurwa mać! - zakląłam z przekonaniem. - Żarty sobie ze mnie robisz? Mając do dyspozycji całą potęgę SI, nie potrafisz ustalić, co twój cybryd porabiał przez kilka ostatnich dni przed... wypadkiem?

- Nie. - Johnny pociągnął łyk piwa. - To znaczy: mógłbym, ale z pewnych powodów nie chcę, żeby inne Sztuczne Inteligencje dowiedziały się o moim śledztwie.

- Podejrzewasz jedną z nich?

W odpowiedzi wręczył mi folię z wydrukiem wszystkich zakupów, jakich dokonywano za pomocą jego karty uniwersalnej.

- Spowodowana morderstwem luka w mojej pamięci wynosi pięć dni. Oto, co kupowano w tym czasie na moje konto.

- Powiedziałeś, że byłeś... "rozłączony" tylko przez minutę.

Johnny podrapał się po policzku.

- I właśnie dlatego mam szczęście, że straciłem dane tylko z pięciu dni.

Wezwałam kelnera i poprosiłam o jeszcze jedno piwo.

- Słuchaj no, Johnny - powiedziałam. - Na pewno nie uda mi się wgryźć w tę

sprawę, jeżeli nie dowiem się więcej o tobie i sytuacji, w jakiej się znajdujesz. Dlaczego ktoś miałby cię zabić, skoro wiedział, że i tak zaraz zostaniesz wskrzeszony, czy jak to się tam u was nazywa?

- Dostrzegam dwa prawdopodobne motywy - odparł znad swego piwa.

Skinęłam głową.

- Pierwszy to stworzenie luki w twojej pamięci, co się znakomicie udało - mruknęłam. - Wynika z tego, że to, o czym miałaś zapomnieć, wydarzyło się lub zwróciło twoją uwagę właśnie w ciągu minionych paru dni. Jaki miałby być drugi motyw?

- Przesłanie mi wiadomości. Niestety nie wiem, jaka to miałyby być wiadomość ani od kogo.

- A wiesz może, kto mógłby życzyć sobie twojej śmierci?

- Nie.

- I nie domyślasz się?

- Nie.

- Większości morderstw dokonują w nagłym przypiływie wściekłości ludzie dobrze znani ofiarom. Na przykład członkowie rodzin, znajomi albo kochankowie. To samo dotyczy zabójstw z premedytacją.

Johnny nic na to nie odpowiedział. W jego twarzy było coś nieprawdopodobnie atrakcyjnego - jakby typowo męska siła połączona z typowo kobiecą przenikliwością. A może to te oczy?

- Czy Sztuczne Inteligencje mają rodziny? - zapytałam. - Prowadzą wojny klanowe? Znają partnerskie nieporozumienia?

- Nie. - Uśmiechnął się lekko. - To znaczy, istnieje coś w rodzaju pseudorodzinnych powiązań, ale układy te są całkowicie pozbawione otoczki emocjonalnej, która wśród ludzi odgrywa czasem decydującą rolę. W "rodziny" łączą się przede wszystkim grupy kodowe, dzięki czemu łatwiej jest wskazać źródła poszczególnych procesów logicznych.

- Czyli nie przypuszczasz, żeby zaatakowała cię któraś ze Sztucznych Inteligencji?

- To całkiem możliwe. - Johnny obracał niepewnie szklankę w ręce. - Nie rozumiem tylko, czemu w takim razie atak nastąpił poprzez mojego cybryda.

- Łatwiejszy dostęp?

- Być może, choć pod pewnymi względami zabójca ogromnie utrudnił sobie

zadanie. Atak w datasferze byłby bez porównania bardziej groźny. Poza tym nie jestem w stanie wymyślić żadnego rozsądnego motywu, którym mogłaby kierować się SI. Dla żadnej z nich nie stanowią zagrożenia.

- A dlaczego w ogóle masz cybryda, Johnny? Może ja wymyślę jakiś motyw, jeśli najpierw zrozumie, kim właściwie jesteś.

Wziął do ręki słone ciasteczko i zaczął się nim bawić.

- Mam cybryda... a nawet, pod pewnymi względami, jestem nim... ponieważ moje zadanie polega na obserwowaniu ludzi i reagowaniu na ich postępowanie. W pewnym sensie, ja także byłem kiedyś człowiekiem.

Zmarszczyłam brwi i potrząsnęłam głową. Jak na razie, nic z tego nie rozumiałam.

- Słyszałaś o próbach wskrzeszania osobowości?

- Nie.

- Jakiś rok temu symulatory pracujące dla Armii wskrzesiły osobowość generała Horace'a Glennona-Heighta, żeby dowiedzieć się, dlaczego był takim znakomitym dowódcą. Było o tym dosyć głośno.

- Coś sobie przypominam.

- No więc, ja jestem - a może raczej byłem - efektem wcześniejszego, znacznie bardziej złożonego doświadczenia. Moja osobowość została skonstruowana na wzór osobowości przedhegiryjskiego poety ze Starej Ziemi. Według Starego Kalendarza urodził się pod koniec osiemnastego wieku.

- W jaki sposób można zrekonstruować osobowość kogoś, kto żył tak dawno temu?

- Na podstawie jego utworów, listów, zapisków, biografii i relacji przyjaciół, ale najważniejsze okazały się wiersze. Symulator tworzy dokładną kopię otoczenia, dorzuca wszystkie znane czynniki, dokonuje wstecznej analizy dzieł - i *voilà*, mamy osobowość artysty. Początkowo jest tylko z grubsza zarysowana, ale stopniowo pojawiają się półtony i odcienie. Na pierwszy ogień poszedł dwudziestowieczny poeta Ezra Pound. Osobowość, jaką uzyskaliśmy, była absurdalnie uparta, głucha na wszelkie racjonalne argumenty i właściwie niezdatna do normalnego funkcjonowania. Dopiero po roku bezowocnych prób okazało się, że trafiliśmy w dziesiątkę: ten człowiek po prostu był wariatem. Geniuszem, ale jednocześnie wariatem.

- A co potem? - zapytałam. - Skonstruowali twoją osobowość na wzór osobowości nieżyjącego poety. I co dalej?

- Uczynili z niej coś w rodzaju szkieletu, dokoła którego rozwija się SI. Z kolei ten cybryd pozwala mi wypełniać moją rolę w informacyjno-cyfrowym życiu społeczności.

- W charakterze poety?

Johnny ponownie się uśmiechnął.

- Raczej w charakterze poematu.

- Poematu?

- Tworzącego się wciąż na nowo dzieła sztuki, tyle tylko że nie w ludzkim znaczeniu tego określenia. Można chyba powiedzieć, że jestem podlegającą częstym zmianom zagadką, która często podsuwa niekonwencjonalne rozwiązania poważnych problemów.

- Nie bardzo rozumiem - przyznałam.

- Wątpię, żeby to miało jakieś znaczenie. Nie sądzę, by moja... działalność stała się przyczyną zamachu.

- A co mogło być tą przyczyną?

- Nie mam pojęcia.

Wróciliśmy do punktu wyjścia.

- Dobra - powiedziałam. - Spróbuję się dowiedzieć, co robiłeś i z kim byłeś przez te pięć dni. Czy oprócz tego wydruku wydatków masz jeszcze coś, co mogłoby mi pomóc?

Pokręcił głową.

- Chyba wiesz, dlaczego tak bardzo zależy mi na ustaleniu tożsamości i motywów, jakimi kierował się mój zabójca? - zapytał.

- Może spróbować jeszcze raz.

- Otóż to.

- W jaki sposób mogę się z tobą skontaktować?

Johnny wręczył mi chip łączności bezpośredniej.

- Czy to bezpieczna linia?

- Stuprocentowo.

- W porządku - mruknęłam. - Dam ci znać, jak tylko czegoś się dowiem.

Wyszliśmy z baru i skierowaliśmy się w stronę terminalu. Cybryd zamierzał już wejść do jednego z transponderów, kiedy dogoniłam go trzema szybkimi krokami i chwyciłam za ramię. Był to nasz pierwszy bezpośredni kontakt.

- Posłuchaj, jak nazywał się ten poeta, którego wskrzesili, żeby...

- Zrekonstruowali.

- Wszystko jedno. Chodzi mi o tego, z którego osobowości korzystasz.

Przystojny cybryd wyraźnie się zawahał. Zauważyłam, że ma bardzo długie rzęsy.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zapytał.

- Kto wie, co może mieć dla nas znaczenie.

Skinął głową.

- Keats - powiedział. - John Keats. Urodził się w 1795, zmarł na gruźlicę w 1821.

Śledzenie kogoś, kto podróżuje za pomocą transmitera, jest prawie niemożliwe - szczególnie jeśli chce się pozostać nie zauważonym. Z takim zadaniem może się uporać tylko policja, a i to pod warunkiem, że będzie dysponować co najmniej pięćdziesięcioma agentami oraz cholernie skomplikowanym i piekielnie drogim wyposażeniem, nie wspominając już o współpracy Szefostwa Komunikacji. Dla pojedynczej osoby sprawa jest z góry przegrana.

Mimo to bardzo zależało mi na tym, żeby dowiedzieć się, dokąd zmierzał mój klient.

Johnny przeszedł przez ruchliwy plac, nie oglądając się za siebie. Przemknęłam dyskretnie do sąsiedniej kabiny i obserwowałam przez miniaturową kamerę, jak wystukuje kod na klawiaturze, wsuwa w szczelinę czytnika kartę i wchodzi w fosforyzujący prostokąt.

Z faktu, że korzystał z klawiatury, można było wysnuć wniosek, iż kierował się do jakiegoś ogólnie dostępnego transmitera, gdyż kody prywatnych portali były zazwyczaj utrwalone na specjalnych chipach. Wspaniale. Zawęziło to obszar moich poszukiwań do zaledwie dwóch milionów transmiterów rozrzuconych na stu pięćdziesięciu kilku planetach Sieci i co najmniej siedemdziesięciu księżycach.

Ponownie przyłożyłam kamerę do oka i włączyłam odtwarzanie, by przy największym powiększeniu odczytać kod wystukiwany na klawiaturze. Jednocześnie szarpnęłam za wypustkę w kurtce - wypustka była w rzeczywistości krawędzią czerwonego, dość obszernego kapelusza, który pośpiesznie wsadziłam na głowę, wbijając go sobie niemal na uszy. Moja kurtka także zmieniła kolor na czerwony, ja zaś włożyłam do ust i połknęłam kapsułkę melaniny, której niewielki zapas zawsze noszę przy sobie. Idąc przez plac zleciłam komlogowi ustalenie lokalizacji transmitera, którego dziewięciocyfrowy kod odczytałam za pomocą kamery.

Wiedziałam, że pierwsze trzy cyfry oznaczają planetę Tsingtao-Hsishuang Panna, w chwilę później zaś komlog poinformował mnie, że poszukiwany transponder znajduje się w eleganckiej dzielnicy miasta Wansiehn, założonego jeszcze podczas Pierwszej Ekspansji.

Wpadłam do pierwszej wolnej kabiny i natychmiast przeniosłam się tam. Wyszłam na niewielki placyk wyłożony mocno już wytartymi płytami. Małe, orientalne sklepiki tłoczyły się jeden obok drugiego, a okapy upodabniających je do pagod dachów sięgały niemal do połowy wąskich uliczek, rozchodzących się we wszystkie strony. Większość ludzi, którzy tłoczyli się na placu i przed wejściami do sklepów, była bez wątpienia potomkami pierwszych osadników, ale dostrzegłam wśród nich także sporo przybyszów z innych planet. W powietrzu unosił się zapach przypraw, nieczystości i gotowanego ryżu.

- Cholera... - szepnęłam. Obok znajdowały się jeszcze trzy kabiny transponderów, wszystkie puste. Johnny mógł być już w zupełnie innej części Sieci.

Zamiast jednak od razu wrócić na Lusus, poświęciłam kilka minut na rozejrzenie się po placu i okolicznych uliczkach. Melanina przemieniła mnie w młodą czarnoskórą kobietę - albo mężczyznę, gdyż baloniasta czerwona kurtka, takież kapelusz i polaryzujące okulary zdecydowanie utrudniały rozróżnienie płci - przechadzającą się niespiesznie i rejestrującą co ciekawsze widoki turystyczną kamerą.

Mała pastylka, którą rozpuściłam w drugim piwie Johnny'ego, zdążyła już zadziałać. Emitujące silne promieniowanie ultrafioletowe mikroorganizmy wisiały wszędzie w powietrzu - mogłam niemal wskazać miejsca, w których mój przystojniaczek głębiej odetchnął. Na ścianie jednego z budynków dostrzegłam jaskrawożółty odcisk ręki (w rzeczywistości był niewidzialny, ale moja kamera miała specjalny filtr, wzmacniający promieniowanie UV) i bezzwłocznie ruszyłam tropem mniej lub bardziej wyraźnych smug i plam, pozostawionych w miejscach, w których ubranie lub ciało Johnny'ego zetknęło się z murami, futrynami drzwi lub straganami.

Znalazłam go w kantońskiej restauracji dwie przecznice od placu. Zapachy były niezwykle apetyczne, ale powstrzymałam się przed wejściem do środka. Przez prawie godzinę włóczyłam się bez celu po okolicy, gapiąc się na stragany i sklepowe wystawy, aż wreszcie mój atrakcyjny cybryd opuścił knajpę, wrócił na placu i wszedł do kabiny transpondera. Tym razem posłużył się zaprogramowanym chipem - czyli w grę wchodził niemal na pewno prywatny portal; kiedy Johnny zniknął, podjęłam dwie

próby odszukania go za pomocą karty pilotującej. Tylko dwie, ponieważ posiadanie karty pilotującej jest surowo zabronione, a gdyby ktoś przyłapał mnie na tym, że jej używam, z pewnością kosztowałoby mnie to licencję detektywa, oraz ponieważ istniały spore szanse, iż trafię prosto do domu śledzonego przeze mnie pięknisia. Chyba sami rozumiecie, że znalazłabym się wtedy w dość niezręcznej sytuacji.

Tak się jednak nie stało. Wiedziałam, gdzie jestem, jeszcze zanim zdążyłam się dobrze rozejrzeć dokoła, gdyż na barkach poczułam znajomy ciężar zwiększonej grawitacji, w moje nozdrza zaś uderzył zapach oleju i ozonu. Byłam na Lususie.

Johnny przeniósł się do niezbyt dużej mieszkalnej wieży ulokowanej w jednym z Kopców Bergsona. Prawdopodobnie właśnie dlatego wybrał moją agencję - byliśmy sąsiadami mieszkającymi w odległości zaledwie sześciuset kilometrów od siebie.

Jednak nigdzie nie mogłam go dostrzec. Ruszyłam zatem zdecydowanym krokiem, aby nie wzbudzać zainteresowania systemów ochronnych, szczególnie uwrażliwionych na wszelkie skradanie się i przemykanie chyłkiem. Ani listy lokatorów, ani numerów na drzwiach, ani żadnych informacji dostępnych przez komlog. Tak na oko we Wschodnim Kopcu Bergsona mogło znajdować się jakieś dwadzieścia tysięcy mieszkań.

Promieniowanie ultrafioletowe słabło z każdą chwilą, ale dopisało mi szczęście, gdyż już za drugą próbą trafiłam na ślad. Johnny mieszkał w skrzydle o szklanej podłodze, w okolicy małego metanowego jeziora. Na czytniku zamka znajdował się jeszcze świecący odcisk jego ręki. Za pomocą moich nielegalnych narzędzi wzięłam odczyt z zamka, po czym wróciłam do biura.

Przyszedł czas na podsumowanie osiągnięć: widziałam, jak mój klient jadł obiad w chińskiej restauracji, a potem wrócił do domu. Całkiem nieźle, jak na jeden dzień.

BB Surbringer był moim specjalistą od Sztucznych Inteligencji. Pracował w Urzędzie Statystyk i Kontroli Przepływu Danych, i większość czasu spędzał leżąc wygodnie na bezgrawitacyjnej kanapie, z wszczepionymi w czaszkę kilkunastoma sondami, dzięki którym mógł porozumiewać się poprzez datasferę z innymi urzędnikami. Poznałam go jeszcze w college'u, kiedy był totalnym cyberświrem, komputerowym włamywaczem dwudziestej generacji, z założonym w wieku dwunastu lat standardowych bezpośrednim połączeniem korowym. Naprawdę miał na imię Ernest, ale od czasu kiedy chodził z moją przyjaciółką Shalą Toyo, nikt nie mówił na niego

inaczej niż BB. Podczas drugiej randki Shalya zobaczyła go nagiego i dostała ataku śmiechu trwającego równe pół godziny. Ernest miał - i ma nadal - niemal dwa metry wzrostu, lecz waży niecałe pięćdziesiąt kilogramów. Shalya stwierdziła, że chłopak ma tylek wielkości litery B, z tego zrobiło się zaraz BB, i tak już zostało.

Odwiedziłam go w jednej z monolitycznych, pozbawionych okien wież na TC². Nie potrzebują tam oglądać chmur.

- Co się stało, że zaczęłaś interesować się przepływem informacji? - zapytał. - I tak jesteś już za stara, żeby dostać jakąś sensowną pracę.

- Po prostu chcę dowiedzieć się czegoś o Sztucznych Inteligencjach, BB.

Westchnął ciężko.

- To jeden z najobszerniejszych tematów we wszechświecie. - Zerknął tęsknie na odłączony kabel i końcówki sond. Prawdziwe cyberświry nigdy nie przerywają połączenia, ale ci, którzy są zatrudnieni na państwowych posiadach, mają obowiązek robić to przynajmniej raz dziennie, w porze lunchu. BB, podobnie jak wszyscy jemu podobni, czuł się dosyć niepewnie, kiedy musiał wymieniać informacje w inny sposób niż pędząc na grzbiecie datafali. - Co cię najbardziej interesuje?

- Dlaczego SI wypięły się na nas? - Musiałam przecież od czegoś zacząć.

BB wykonał kilka nie skoordynowanych ruchów rękami.

- Oficjalnie stwierdziły, że rozpoczęły realizację innych projektów, niekompatybilnych z zamierzeniami Hegemonii, czyli ludzi. Prawda wygląda jednak w ten sposób, że nikt nie wie tego na pewno.

- Ale nie odcięły się zupełnie. Wciąż kierują mnóstwem spraw.

- Jasne. Przecież dobrze wiesz, że bez nich ten system nie mógłby działać. Nawet WszechJedność zaraz by diabli wzięli, gdyby SI nie sterowały w czasie rzeczywistym polami Schwarzschilda, dzięki czemu...

- Dobra, dobra - przerwałam mu pośpiesznie. - A co to za "inne projekty"?

- Tego też nikt nie wie. Branner i Swayze z ArtIntelu uważają, że SI badają możliwości rozwoju świadomości na skalę galaktyczną. Wiemy, że wysłały sondy znacznie dalej w kosmos niż...

- A co z cybrydami?

- Z cybrydami? - BB usiadł na kanapie i po raz pierwszy od początku rozmowy spojrzał na mnie z zainteresowaniem. - Dlaczego o to pytasz?

- A dlaczego tak cię to dziwi, BB?

Podrapał się z namysłem po umieszczonym z tyłu czaszki gniazdku.

- Wiesz, przede wszystkim mało kto pamięta o ich istnieniu. Jeszcze dwieście lat temu niektórzy okropnie się ich bali, ale teraz nikogo już nie obchodzą. Poza tym nie dalej jak wczoraj natrafiłem na raport, z którego wynika, że zaczynają znikać.

Tym razem ja wyprostowałam się na fotelu.

- Znikać?

- Są wycofywani. Do tej pory Sztuczne Inteligencje utrzymywały w Sieci około tysiąca licencjonowanych cybrydów, z czego połowa przebywała na stałe tu, na TC². Według najnowszych danych, w ciągu minionego miesiąca wycofano co najmniej dwie trzecie tej liczby.

- Co się dzieje z takim “wycofanym” cybrydem?

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że zostaje zniszczony. SI nie lubią marnotrawstwa, więc pewnie przetwarzają materiał genetyczny dla jakichś innych potrzeb.

- Dla jakich?

- Tego nikt nie wie, Brawne. Większość z nas nie wie, dlaczego SI robią akurat to, co robią.

- Czy eksperci dostrzegają jakieś zagrożenie z ich strony?

- Żartujesz? Sześćset lat temu, owszem. Zaraz po Secesji też mieliśmy się zdrowo na baczności, ale prawda wygląda w ten sposób, że gdyby chciały nam jakoś zaszkodzić, mogły uczynić to już dużo wcześniej. Zastanawianie się, czy Sztuczne Inteligencje nie zwrócą się przeciwko nam, jest równie produktywnie co szykowanie się do walki ze zorganizowanym powstaniem zwierząt hodowlanych.

- Z tą różnicą, że SI są mądrzejsze od nas.

- Zgadza się.

- BB, czy słyszałeś o projekcie rekonstruowania osobowości?

- Jak z Glennonem-Heightem? Jasne. Wszyscy o tym słyszeli. Kilka lat temu brałem nawet udział w czymś takim, ale teraz to już historia. Nikt się tym nie zajmuje.

- Dlaczego?

- Jezu, czy ty naprawdę nie masz o niczym pojęcia, Brawne? Wszystkie próby zakończyły się niepowodzeniem. Nawet przy najlepszych programach symulacyjnych nie da się skutecznie kontrolować wszystkich czynników. Odtwarzana osobowość w pewnej chwili zyskuje samoświadomość, a to prowadzi do natychmiastowych zapętleń i nieharmonicznych labiryntów, od których już tylko krok do przestrzeni Eschera.

- Przetłumacz to - zażądałam.

BB westchnął i zerknął tęsknie na zegar wtopiony w ścianę nad drzwiami. Do końca obowiązkowej przerwy zostało jeszcze pięć minut. Niebawem będzie mógł wrócić do swojego świata.

- Proszę bardzo - odparł. - Odtwarzana osobowość załamuje się. Wariuje. Odbija jej. Dostaje świra.

- Czy tak się dzieje z każdym?

- Z każdym.

- Ale chyba SI nadal są zainteresowane tą metodą?

- Naprawdę? Kto tak twierdzi? O ile wiem, nigdy jej nie przetestowały. Wszystkie dotychczasowe próby były organizowane i przeprowadzane przez ludzi. Strupieszali uczeni przepuszczali potworne pieniądze, żeby ożywić swoich jeszcze bardziej strupieszających kolegów.

Zdobyłam się na wymuszony uśmiech. Miałam jeszcze trzy minuty.

- Czy wszystkie osobowości wyposażono w cybrydowe protezy?

- Co takiego? Skąd ci to przyszło do głowy, Brawne? Przecież to nie mogło działać!

- Dlaczego?

- Bo wtedy symulacja przestałaby być symulacją, a w dodatku trzeba by wyprodukować doskonałego kłona umieszczonego w idealnie podrobionym środowisku. Widzisz, dziecino, to było tak: odzyskana osobowość żyła sobie w symulowanym świecie, jakby nigdy nic, a ty od czasu do czasu podsuwałaś jej jakieś pytanko - a to w postaci snu, a to jako specjalnie inscenizowana sytuacja. Gdyby jednak raptownie wyciągnąć ją do ślimaczego czasu...

(W ten sposób cyberświry nazywają nasz, z przeproszeniem, rzeczywisty świat.)

...to szajba odbiłaby jej jeszcze szybciej - dokończył.

Potrząsnęłam głową i ruszyłam w kierunku drzwi.

- Wielkie dzięki, BB.

Za trzydzieści sekund mój kolega ze szkoły miał uciec ze ślimaczego czasu. W progu stanęłam jak wryta, tknięta nagłą myślą.

- BB, czy słyszałeś kiedyś o odtworzonej osobowości pewnego poety ze Starej Ziemi, który nazywał się John Keats?

- Keats? Jasne, kiedyś było wokół tego sporo szumu. Marti Carollus z Nowego Cambridge napisał nawet całkiem zgrabną pracę na jego temat.

- Co się z nim stało?

- To, co ze wszystkimi. Odbiło mu, ale przedtem zdążył umrzeć po raz drugi na jakąś zapomnianą chorobę. - BB popatrzył na zegar, uśmiechnął się i wziął wtyczkę do ręki, zanim jednak włożył ją do gniazdka, obdarzył mnie jeszcze jednym spojrzeniem i uśmiechnął się łaskawie. - Właśnie sobie przypomniałem. To była gruźlica.

Gdyby nasze społeczeństwo chciało kiedykolwiek zabawić się w Orwellowskiego Wielkiego Brata, instrumentem ucisku bez wątpienia stałby się system rozliczeń finansowych. W całkowicie bezgotówkowej gospodarce, gdzie czarny rynek stanowi jedynie zupełnie nieistotny margines, bez najmniejszego trudu można śledzić poczynania każdego człowieka, rejestrując po prostu kolejne operacje, jakich dokonuje za pomocą swojej karty uniwersalnej. Co prawda, surowe przepisy miały zapewnić obywatelom całkowitą dyskrecję i uchronić ich przed tego rodzaju niebezpieczeństwami, ale jak wszystkie przepisy, w obliczu totalitarnego zagrożenia mogłyby ulec zmianie, a nawet zupełnie zaniknąć.

Z zapisu poczynañ Johnny'ego w ciągu tych pięciu dni po morderstwie wynikało, że jest to człowiek o uregulowanych zwyczajach i niewielkich potrzebach. Zanim jednak ruszyłam tym tropem, spędziłam dwa nudne dni śledząc jego samego.

Oto, czego się dowiedziałam: mieszkał samotnie we Wschodnim Kopcu Bergsona. Bez trudu udało mi się ustalić, że zjawił się tam około siedmiu lokalnych miesięcy temu, co równa się mniej więcej pięciu standardowym. Rano jadł śniadanie w jednej z miejscowych kafejek, a potem prznosił się na Renesans, gdzie pracował przez pięć godzin, prawdopodobnie poszukując jakichś danych w archiwum. Następnie zjadał niewielki lunch, spędzał jeszcze dwie godziny w bibliotece, po czym wracał na Lususa, by zjeść obiad. W mieszkaniu zjawiał się punktualnie o 2200. Korzystał z transmitera trochę częściej niż przeciętny przedstawiciel klasy średniej, ale poza tym w jego zachowaniu trudno było dopatrzeć się czegoś niezwykłego. Zestawienie wydatków potwierdziło, że w tygodniu poprzedzającym morderstwo jego rozkład dnia nie uległ zmianie. Poszłam z nim na obiad do małej restauracji na ulicy Czerwonego Smoka w pobliżu transmitera na Tsingtao-Hsishuang Panna. Jedzenie było bardzo gorące, bardzo pikantne i bardzo smaczne.

- Jak ci idzie? - zapytał.

- Świetnie. Jestem o tysiąc marek bogatsza niż w dniu, kiedy się poznaliśmy, i znam świetną chińską restaurację.

- Cieszę się, że moje pieniądze na coś się przydadzą.
- Skoro już mówimy o twoich pieniądzach... Skąd je bierzesz? Wątpię, czy można dużo zarobić, przesiadując całymi dniami w bibliotece na Renesansie.

Johnny uniósł brwi.

- Korzystam z małego spadku.
- Mam nadzieję, że nie jest zbyt mały. Chciałabym dostać swoje honorarium.
- Jestem pewien, że okaże się całkowicie wystarczający, M. Lamio. Czy poczyniłaś jakieś interesujące ustalenia?

Wzruszyłam ramionami.

- Powiedz mi lepiej, czego szukasz w tej bibliotece.
- Czy to może mieć jakieś znaczenie?
- Kto wie.

Zmierzył mnie dziwnym spojrzeniem, od którego zrobiłam się taka jakaś miękka w nogach.

- Przypominasz mi kogoś - powiedział cicho.
- Naprawdę? - Gdybym usłyszała ten tekst od jakiegokolwiek innego faceta, wiedziałabym, że pora się pożegnać. - Kogo?

- Pewną kobietę, którą znałem bardzo dawno temu.

Przesunął ręką po czole, jakby nagle poczuł zmęczenie albo zawrót głowy.

- Jak miała na imię?
- Fanny. - Tym razem niemal szepnął.

Wiedziałałam, o kim mówi. John Keats miał przyjaciółkę imieniem Fanny. Ich romans stanowił serię burzliwych wzlotów i upadków, które doprowadzały poetę do szaleństwa. Kiedy umierał samotnie we Włoszech, mając u boku jedynie nieznanego wędrowca, opuszczony przez przyjaciół i kochankę, poprosił, aby pochowano go z nie otwartymi listami od Fanny i puklem jej włosów.

Jeszcze tydzień wcześniej nie miałam pojęcia, że ktoś taki jak John Keats w ogóle istniał na świecie. Tych wszystkich bzdur dowiedziałam się za pomocą komlogu.

- No więc co robisz w tej bibliotece? - zapytałam.

Cybryd odchrząknął niepewnie.

- Analizuję pewien wiersz. Poszukuję fragmentów rękopisu.
- Coś Keatsa?
- Tak.
- Nie prościej byłoby kazać przesłać sobie kopię?

- Oczywiście, ale bardzo mi zależy, żeby zobaczyć oryginał i go dotknąć.

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę.

- O czym jest ten wiersz?

Uśmiechnął się... samymi ustami. Piwne oczy nadal były bardzo smutne.

- To właściwie poemat. Nosi tytuł *Hyperion*. Trudno powiedzieć, o czym jest...

Chyba o niemożności artystycznego samospelnienia. Keatsowi nie udało się go dokończyć.

Odstawiłam na bok pusty talerz i pociągnęłam łyk ciepłej herbaty.

- Keatsowi czy tobie?

Jego zdumienie i przerażenie musiały być autentyczne - chyba że Sztuczne Inteligencje są skończonymi aktorami. Z tego, co wiem, równie dobrze mogą nimi być.

- Dobry Boże! - wykrzyknął. - Ja przecież nie jestem Johnem Keatsem! Posiadanie osobowości skonstruowanej na wzór osobowości jakiegoś człowieka jeszcze mnie nim nie czyni, podobnie jak fakt, że nazywasz się Lamia, nie oznacza, że jesteś potworem¹. Oddziaływało na mnie mnóstwo czynników, z których każdy pogłębiał różnice między mną a tym nieszczęsnym, melancholijnym geniuszem.

- Jednak powiedziałaś, że przypominam ci Fanny.

- To tylko echo pewnego snu, a może jeszcze mniej. Na pewno zażywałaś kiedyś środki wprowadzające informację bezpośrednio w strukturę RNA?

- Tak.

- A więc wiesz, na czym to polega. Zyskujesz wspomnienia, które wydają się znacznie płytsze od pozostałych.

Kelner przyniósł nam ciasteczka z przepowiedniami.

- Nie ciągnie cię, żeby odwiedzić prawdziwego Hyperiona? - zapytałam.

- Co to takiego?

- Prowincjonalna planeta, zdaje się, że gdzieś w okolicach Parvati.

Johnny wydawał się lekko zaskoczony. Przełamał swoje ciasteczko, ale jeszcze nie przeczytał przepowiedni.

- Kiedyś nazywano ją Planetą Poetów - dodałam. - Jest na niej nawet miasto, nazwane na twoją cześć... to znaczy, na cześć Keatsa.

Młody mężczyzna pokręcił głową.

¹ Lamia - według starogreckich wierzeń upiór, wampir, a także porwaczka dzieci. W średniowieczu - czarownica (przyp. red.).

- Przykro mi, ale nigdy o niej nie słyszałem.

- Jak to możliwe? Czyżby SI nie wiedziały wszystkiego?

Roześmiał się bez specjalnej wesołości.

- Ta, którą masz przed sobą, wie bardzo niedużo. - Wyjął z ciasteczka bibułkę i przeczytał na głos to, co było na niej napisane: - "Strzeż się nagłych impulsów".

- Wiesz co? - mruknęłam. - Oprócz tej sztuczki z dyrektorem banku nie przedstawiłeś mi żadnego dowodu na to, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

- Podaj mi rękę.

- Rękę?

- Tak. Wszystko jedno, którą... Dziękuję.

Johnny ujął moją prawą rękę w obie swoje. Jego palce były znacznie dłuższe, ale za to moje były silniejsze.

- Zamknij oczy.

Posłusznie wykonałam polecenie. Nie zarejestrowałam żadnego stanu przejściowego; w jednej chwili siedziałam jeszcze w "Błękitnym Lotosie" na ulicy Czerwonego Smoka, w następnej zaś byłam... nigdzie. Gdzieś. Unosiłam się nad szaroniebieską płaszczyzną, pędziłam przed siebie chromowożółtymi autostradami informacji, przemykałam nad, pod i obok wielkich, błyszczących miast nagromadzonych danych, gdzie czerwone drapacze chmur wystrzelały w górę, skąpane w chłodnej błękitnej poświacie zabezpieczeń, a proste byty, takie jak rachunki osobiste albo konta wielkich firm, lśniły niczym jaskrawe uliczne latarnie. Ponad tym wszystkim, niemal poza zasięgiem wzroku, na samej krawędzi zakrzywionej przestrzeni, wisiały gigantyczne cielska SI, pulsujące jarzącymi się różnobarwnie bąblami przepływającej informacji. Niektóre z tych bąbli pękały bez żadnego ostrzeżenia, a wtedy nieskończony horyzont rozjaśniał się blaskiem monstualnych błyskawic. Gdzieś daleko, niemal zupełnie zagubione w trójwymiarowej feerii kolorów, która rozdzielała trwające ułamek sekundy eony różnorodności w tylko jednej, nieprawdopodobnie małej datasferze planety, bardziej wyczułam, niż dostrzegłam dwoje łagodnych, piwnych oczu.

Johnny uwolnił moją rękę i otworzył przeznaczone dla mnie ciasteczko. "Inwestuj mądrze w nowe przedsięwzięcia" - głosił napis na bibułce.

- Jezu... - szepnęłam. BB zabrał mnie już kiedyś na wycieczkę po infoprzestrzeni, ale pozbawiona bezpośredniego połączenia mózgowego, odczułam zaledwie drobną cząstkę tego co teraz. Różnica była taka sama jak między oglądaniem

czarno-białej transmisji z pokazów ogni sztucznych a osobistym uczestnictwem w tym wydarzeniu.

- Jak... jak to zrobiłeś? - wykrztusiłam.

Zignorował pytanie.

- Myślisz, że jutro uda ci się dokonać postępu w mojej sprawie?

Jakoś zdołałam wziąć się w garść.

- Przypuszczam, że jutro uda mi się ją rozwiązać - odparłam chłodno.

No, może nie rozwiązać, ale przynajmniej ruszyć sprawy z miejsca. Po raz ostatni przed śmiercią Johnny posłużył się swoją kartą uniwersalną w barze na Renesansie. Ma się rozumieć, natychmiast tam zajrzałam i pogadałam z paroma stałymi bywalcami - barman był automatyczny - ale nie trafiłam na nikogo, kto przypominałby sobie Johnny'ego. Wpadałam tam jeszcze dwa razy, lecz bez rezultatu. Trzeciego dnia postanowiłam siedzieć tam tak długo, dopóki wreszcie czegoś się nie dowiem.

Bar ani trochę nie przypominał ozdobionego drewnem i metalem lokalu, który razem z Johnnym odwiedziłam na TC². Był bardzo ciasny i mieścił się na piętrze chylącego się ku upadkowi budynku niedaleko biblioteki, w której Johnny spędzał całe dni. Z całą pewnością nie było to miejsce, gdzie wpadało się w drodze do transmitera, ale można było tu zajrzeć, jeżeli chciało się dyskretnie zamienić z kimś kilka słów.

Tkwiłam przy barze od sześciu godzin i miałam już serdecznie dosyć solonych orzeszków i cienkiego piwa, kiedy do lokalu wkroczył jakiś stary flejtuch. Sądząc po tym, że skierował się prosto ku małemu stolikowi w głębi pomieszczenia i zamówił whisky, jeszcze zanim mechaniczny kelner zdążył zatrzymać się przy nim z sapnięciem pneumatycznych hamulców, był chyba stałym bywalcem. Podeszedłszy do niego stwierdziłam, że moja pierwsza ocena była zbyt pochopna; miałam przed sobą nie tyle zapijaczonego flejtucha, co po prostu jednego z setek zmęczonych, podobnych do siebie ludzi, jakich widziałam na ulicach w tej okolicy. Zmrużył podkrążone, smutne oczy i zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

- Mogę się przysiąść? - zapytałam.

- To zależy, siostró. Co sprzedajesz?

- Chcę kupić. - Postawiłam na stoliku kufel z piwem i podsunęłam mężczyźnie zdjęcie przedstawiające Johnny'ego w chwili, kiedy wchodzi do transmitera na TC². -

Widziałeś kiedyś tego faceta?

Stary człowiek zerknął na fotografię, po czym skoncentrował uwagę na swojej whisky.

- Może.

Dałam znak kelnerowi, żeby przyniósł jeszcze raz to samo.

- Jeżeli go widziałeś, to dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień.

Staruszek parsknął ironicznym śmiechem i potarł szarą szczecinę na policzku.

- Byłby to pierwszy taki pieprzony dzień od cholernie długiego czasu! - Zmierzył mnie badawczym spojrzeniem. - Ile? I za co?

- Za informację, a ile - to już zależy od tego, czego się dowiem. A więc, widziałeś go, czy nie?

Wyjęłam z kieszeni czarnorynkowy, pięćdziesięciomarkowy banknot.

- Tak.

Banknot znalazł się na stole, ale w dalszym ciągu nie wypuszczałam go z ręki.

- Kiedy?

- W zeszły wtorek rano.

To by się zgadzało. Podałam starcowi banknot i wyjęłam z kieszeni następny.

- Był sam?

Mój rozmówca oblizwał nerwowo wargi.

- Niech no się zastanowię... Nie jestem pewien, ale... Siedział tam. - Wskazał stolik pod przeciwległą ścianą. - Tak, było z nim dwóch gości, a jeden z nich... Właśnie dlatego go zapamiętałem.

- To znaczy dlaczego?

Stary mężczyzna wykonał stary jak świat ruch imitujący liczenie pieniędzy.

- Opowiedz mi o tych dwóch - zażądałam.

- Ten młody, twój facet, był z jednym z tych, no wiesz... Pokazują ich ciągle w telewizji, razem z tymi ich cholernymi drzewami.

Z drzewami?

- Templariusz? - wykrztusiłam ze zdumieniem. Co templariusz mógłby robić w barze na Renesansie? Jeśli chciał załatwić Johnny'ego, to czemu był w swoim płaszczu? Było to tak, jakby klaun uznał za stosowne popełnić morderstwo w cyrkowym kostiumie i uciec nie wzbudzając niczyjzego zainteresowania.

- Tak, templariusz. Brązowy płaszcz, taki jakby trochę orientalny.

- Mężczyzna?

- Przecież mówię.

- Możesz opisać go dokładniej?

- Nie bardzo. Po prostu templariusz, i tyle. Wysoki był, sukinkot. Twarzy prawie nie widziałem.

- A ten drugi?

Starzec wzruszył ramionami. Drugi banknot położyłam na stole obok kufla.

- Przyszli razem? - naciskałam. - Wszyscy trzej?

- Nie wiem... Nie pamiętam... Zaraz, zaczekaj! Twój facet i templariusz przyszli pierwsi. Trzeci zjawiał się później.

- Opisz go.

Mój rozmówca wezwał kelnera i kazał sobie przynieść trzeciego drinka. Zapłaciłam swoją kartą uniwersalną.

- Taki jak ty - powiedział. - Bardzo podobny.

- Niski? Silne ramiona i nogi? Luzyjczyk?

- Chyba tak. Nigdy tam nie byłem.

- Co jeszcze?

- Łysy - dodał mój rozmówca. - Z takim czymś, co nosiła moja siostrzenica.

Koński ogon.

- Może kucyk?

- Może - zgodził się bez oporów i wyciągnął rękę po banknoty.

- Jeszcze kilka pytań. Klócili się?

- Nie. Chyba nie. Rozmawiali po cichu, chociaż o tej porze jest tu prawie pusto.

- A co to była za pora?

- Rano. Około dziesiątej.

To także zgadzało się z zapisem wydatków.

- Słyszałeś ich rozmowę?

- Nie bardzo.

- Kto najwięcej mówił?

Starzec pociągnął spory łyk i potarł z namysłem czoło.

- Najpierw gadał templariusz, a twój facet odpowiadał na pytania. Wyglądał na zdziwionego.

- Może zdumionego?

- Nie, tylko zdziwionego. Jakby ten w płaszczu powiedział coś, czego się nie spodziewał.

- A kto mówił później? Mój facet?

- Nie, ten z kucykiem. A potem wyszli.

- Wszyscy trzej?

- Nie. Twój facio i kucyk.

- Templariusz został w barze?

- Chyba tak. Nie jestem pewien, bo poszedłem do klozetu. Jak wróciłem, już go nie było.

- Gdzie poszli tamci dwaj?

- Nie wiem, do cholery! Piłem whisky, a nie bawiłem się w jakiegoś pieprzonego szpiega.

Skinęłam głową. Kelner natychmiast podjechał na skrzypiących rolkach, ale odesłałam go machnięciem ręki. Mój rozmówca skrzywił się niechętnie.

- A więc nie pokłócili się przed wyjściem? Nie odniosłeś wrażenia, że jeden z nich zmusił drugiego do opuszczenia lokalu?

- Kto?

- Mój facet i kucyk.

- Nie. Kurwa, zresztą nie wiem. - Popatrzył na banknoty w swojej śniadej od brudu dłoni, na butelki whisky nad barem i chyba nagle uświadomił sobie, że nie dostanie już ode mnie ani jednego, ani drugiego. - A tak w ogóle, to po co mnie o to wypytujesz?

- Szukam tego gościa - wyjaśniłam, po czym rozejrzałam się po wnętrzu lokalu. Przy stolikach siedziało około dwudziestu klientów. Większość wyglądała na mieszkańców najbliższej okolicy. - Myślisz, że ktoś jeszcze mógł go zauważyć? A może zapamiętałeś kogoś, kto wtedy tu był?

- Nie - bąknął. Dopiero teraz zauważyłam, że jego oczy są tego samego koloru co whisky, którą pije. Wstałam i położyłam na stole jeszcze jeden banknot, tym razem dwudziestomarkowy.

- Dzięki, przyjacielu.

- Zawsze do usług, siostró.

Zanim zdążyłam dotrzeć do drzwi, kelner już sunął w jego stronę.

Idąc w kierunku biblioteki, zatrzymałam się na ruchliwym placu i stałam tam przez jakąś minutę. Wszystko wskazywało na to, że wydarzenia rozegrały się według następującego scenariusza: Johnny spotyka templariusza (albo zostaje przez

niego zagadnięty), może w bibliotece, a może poza nią. Idą razem do baru, gdzie coś, co powiedział templariusz, wywołuje zdziwienie Johnny'ego. Pojawia się mężczyzna z kucykiem - prawdopodobnie Luzyjczyk - przyłącza się do rozmowy, wkrótce potem Johnny wraz z nim wychodzi z lokalu. Jakiś czas później Johnny przenosi się na TC², a później w towarzystwie jeszcze jednej osoby - prawdopodobnie kucyka albo templariusza - udaje się na Madhyę, gdzie ktoś próbuje go zabić. I zabija.

Za dużo luk, za dużo niejasności. W sumie niezbyt imponujące efekty, jak na cały dzień pracy.

Zastanawiałam się właśnie, czy wracać już na Lususa, kiedy mój komlog zaświergotał na zastrzeżonej częstotliwości, którą podałam Johnny'emu.

Mówił szybko, krótkimi zdaniami.

- M. Lamia, proszę, przyjdź szybko. Chyba znowu próbowali mnie zabić.

Koordynaty wskazywały na Wschodni Kopiec Bergsona.

Popędziłam do najbliższego transmitera.

Drzwi do mieszkania Johnny'ego były lekko uchylone. W korytarzu nikogo nie dostrzegłam, z wnętrza nie dobiegały żadne odgłosy. Cokolwiek się stało, władze nie miały jeszcze o tym zielonego pojęcia.

Wyjęłam z kieszeni płaszcza pistolet odziedziczony po tacie i jednym płynnym ruchem wprowadziłam pocisk do komory oraz włączyłam laserowy celownik.

Skoczyłam naprzód nisko pochylona, trzymając oburącz broń, którą kierowałam błyskawicznie to w lewo, to w prawo. Czerwony punkcik tańczył po ciemnych ścianach przedpokoju, przyozdobionych niezbyt gustownymi tapetami. Przedpokój był pusty, podobnie jak salon i pokój telewizyjny.

Johnny leżał na podłodze sypialni z głową opartą o łóżko. Prześcieradło było przesiąknięte krwią. Spróbował podciągnąć się i usiąść prosto, ale bez rezultatu. Przez szparę między krawędzią przesuwanych drzwi a futryną wpadał wiatr, przesycony wonią maszyn i rozgrzanego oleju.

Pośpiesznie sprawdziłam pojedynczą szafę, niewielki hol i kuchnię, po czym wystawiłam głowę na balkon. Znajdowałam się na wysokości co najmniej dwustu metrów na zakrzywionej ścianie Kopca, skąd roztaczała się zapierająca dech w piersi panorama dwudziestokilometrowego pasażu. Sto metrów wyżej zaczynała się płatanina kratownic, oznaczająca bliskość dachu. Wnętrze gigantycznej, zakrytej przestrzeni rozświetlały niezliczone holoreklamy i neony, łącząc się w oddali w

jednolitą, rozedrganą elektryczną mgiełkę.

Na ścianie Kopca znajdowały się setki identycznych balkonów, ale wszystkie były puste. Pośrednicy z pewnością zachwalali je jako szczyt luksusu - Bóg wie, ile Johnny musiał za to zapłacić! - choć w gruncie rzeczy były zupełnie niepraktyczne, przez cały czas wystawione na działanie silnych wznoszących prądów powietrza, niosących nie tylko wszechobecny zapach metalu i oleju, ale także mnóstwo pyłu, zanieczyszczeń, a nawet drobniejszych śmieci.

Schowałam pistolet i wróciłam do sypialni, aby zająć się Johnnym.

Rana biegła od linii włosów aż do brwi. Nie była głęboka, ale bardzo krwawiła. Poszłam do łazienki, wzięłam z apteczki sterylny opatrunek i przycisnęłam go do rozciętego miejsca.

- Co się stało? - zapytałam.

- Dwaj ludzie... Czekali na mnie w sypialni. Wyłączyli system alarmowy i weszli przez balkon.

- Powinieneś dostać bonifikatę w firmie ubezpieczeniowej. I co potem?

- Walczyliśmy. Mam wrażenie, że starali się zaciągnąć mnie do drzwi. Jeden z nich miał iniektor, ale udało mi się wytrącić mu go z ręki.

- Dlaczego uciekli?

- Włączyłem wewnętrzny alarm.

- Ale nie ten, który łączy cię z ochroną Kopca?

- Nie. Wolałbym, żeby o niczym nie wiedzieli.

- Kto cię uderzył?

Johnny uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Ja sam. Kiedy mnie wypuścili, rzuciłem się za nimi w pogoń, ale potknąłem się i rozbiłem sobie głowę o nocny stolik.

- A więc ani ty, ani oni nie błysnęliście nadmierną sprawnością - zauważyłam, po czym włączyłam lampkę i przy jej świetle szukałam na dywanie tak długo, aż wreszcie znalazłam ampulkę iniekcyjną.

Johnny spoglądał na nią tak, jakby lada chwila mogła go ugryźć.

- Jak myślisz, co to jest? - zapytałam. - Jeszcze trochę AIDS II?

Potrząsnął głową.

- Znam miejsce, gdzie zrobią dla nas analizę - powiedziałam. - Moim zdaniem to tylko jakiś narkotyk. Chcieli cię uprowadzić, a nie zabić.

Johnny dotknął opatrunku i skrzywił się. Krwotok jeszcze nie został

zatomowany.

- Komu mogłoby zależeć na porwaniu cybryda?

- Ty mi to powiedz. Zaczynam podejrzewać, że to tak zwane morderstwo też było nieudaną próbą porwania.

Ponownie potrząsnął głową.

- Czy jeden z tych ludzi miał kucyk?

- Nie wiem. Na głowach mieli kapelusze, a na twarzach maski osmotyczne.

- A może jeden z nich był zbudowany jak Luzyjczyk, drugi zaś wysoki jak templariusz?

- Templariusz? - powtórzył Johnny ze zdziwieniem. - Na pewno nie. Jeden był zupełnie przeciętnego wzrostu, natomiast drugi, ten z ampułką, rzeczywiście był silny jak Luzyjczyk.

- Czyli rzuciłeś się z gołymi rękami na Luzyjczyka. Masz może jakieś bioprocesory albo implanty, o których nie wiem?

- Nie. Po prostu się wściekłem, i tyle.

Pomogłam mu wstać.

- Więc Sztuczne Inteligencje potrafią się wściekać?

- Ja potrafię.

- Znam tu w pobliżu automatyczną klinikę, która udziela korzystnych zniżek - powiedziałam. - Opatrzą cię tam jak należy, a potem na jakiś czas zamieszkas u mnie.

- Z tobą? Dlaczego?

- Dlatego że nie potrzebujesz już detektywa, tylko ochrony osobistej.

Moja dodatkowa pakamera nie była zarejestrowana w głównym komputerze Kopca jako lokal mieszkalny. Mieściła się w części odnowionego magazynu należącego do jednego z moich przyjaciół, który w pewnym momencie doszedł do wniosku, że nigdy w życiu nie spłaci licznych kredytów zaciągniętych w celu rozwinięcia jakiegoś bliżej nie sprecyzowanego interesu i dyskretnie przeniósł się na jedną z najdalszych kolonii. Wkrótce potem za psie pieniądze wynajęłam to miejsce. Okolica nie należała może do najsympatyczniejszych, a hałas z pobliskich doków załadunkowych bywał czasami tak duży, że nie dało się rozmawiać, ale za to dysponowałam dziesięciokrotnie większą powierzchnią niż w standardowym mieszkaniu, dzięki czemu mogłam ćwiczyć podnoszenie ciężarów i sporty walki, nie

wychodząc z domu. Johnny wydawał się autentycznie zachwycony moim lokalem, a ja z trudem przywołałam się do porządku. Jeszcze tylko tego brakowało, żebym zaczęła malować się i stroić dla jakiegoś cybryda!

- Dlaczego mieszkasz na Lusucie? - zapytałam. - Większość obcych uważa, że tutejsze ciążenie jest dokuczliwe, a sceneria monotonna. Poza tym biblioteka, z której korzystasz, znajduje się na Renesansie. A więc dlaczego Lusus?

Słuchałam bardzo uważnie, ani na chwilę nie spuszczałam go z oka. Jego włosy z przedziałkiem pośrodku głowy opadały rudobrazowymi kędziorami na kołnierzyk koszuli. Kiedy mówił, miał zwyczaj podpierać brodę pięścią. Dopiero teraz zorientowałam się, że mówi właściwie bez żadnego akcentu, jak ktoś, kto nauczył się języka od podstaw, opanowując go w stu procentach, ale nie poznał żadnego z artykulacyjnych skrótów, oczywistych i całkowicie naturalnych dla tych, którzy posługiwali się tym językiem od urodzenia. Tylko od czasu do czasu wydawało mi się, że wychwytyuję śladowe naleciałości akcentu z Asquith, spokojnej, zacofanej planety, zasiedlonej podczas Pierwszej Ekspansji przez emigrantów z Wysp Brytyjskich.

- Mieszkałem na wielu planetach - powiedział. - Dzięki temu mogę więcej postrzegać.

- Jako poeta?

Pokręcił głową, skrzywił się i ostrożnie dotknął szwów na czole.

- Nie. Ja nie jestem poetą. O n nim był.

Na przekór okolicznościom Johnny wydawał się tryskać niespożytą energią, której brakowało zdecydowanej większości znanych mi mężczyzn. Widziałam już nieraz, jak nawet bardzo znane i poważane osoby gromadziły się niczym ćmy wokół takiej właśnie, jasnej niczym lampa osobowości. Chodziło tu nawet nie o jego o małomówność i wrażliwość, co raczej o intensywność, którą emanował także wtedy, kiedy milczał.

- A dlaczego ty tutaj mieszkasz? - zapytał.

- Bo tu się urodziłam.

- Owszem, ale całe dzieciństwo spędziłaś na Pierwszej Tau Ceti. Twój ojciec był senatorem.

Nic nie odpowiedziałam.

- Wielu ludzi oczekiwało, że zajmiesz się polityką - dodał. - Czy odwiodło cię od tego samobójstwo ojca?

- To nie było samobójstwo.

- Nie?

- Dziennikarze i policja uznali, że popełnił samobójstwo, ale nie mieli racji - powiedziałam zupełnie spokojnie. - Mój ojciec nigdy nie odebrałby sobie życia.

- A więc morderstwo?

- Tak.

- Mimo że nie znaleziono motywu ani nie natrafiono na ślad podejrzanego?

- Tak.

- Rozumiem. - Przez brudne okna sączył się przyćmiony blask lamp zawieszonych nad dokiem. W żółtawym blasku włosy Johnny'ego lśniły niczym czysta miedź. - Lubisz pracę detektywa?

- Owszem, kiedy dobrze mi idzie - odparłam. - Jesteś głodny?

- Nie.

- W takim razie prześpijmy się trochę. Możesz zająć kanapę.

- Czy często dobrze ci idzie? Bycie detektywem.

- Przekonamy się jutro.

Następnego dnia o zwykłej porze Johnny przeniósł się na Renesans, pokręcił się chwilę po placu, po czym przeskoczył do Muzeum Osadników na Sol Draconis Septem, stamtąd do głównego terminalu transmiterowego na Nordholmie, a wreszcie na należącą do templariuszy planetę o nazwie Boża Knieja.

Naturalnie trasę ustaliliśmy dużo wcześniej, ja zaś czekałam na niego na Renesansie, ukryta w cieniu kolumnady.

Mężczyzna z kucykiem wszedł do transmitera jako trzeci za Johnnym. Ponad wszelką wątpliwość był Luzyjczykiem - z tą charakterystyczną cerą, muskulaturą i aroganckim chodem mógłby podawać się nawet za mego zaginionego dawno temu brata.

Ani razu nie spojrzał na Johnny'ego, choć nie ulegało dla mnie wątpliwości, że jest zaskoczony jego zachowaniem. Trzymałam się w bezpiecznej odległości i dostrzegłam tylko mignięcie jego karty, ale dałabym sobie głowę uciąć, że to była karta pilotująca.

W Muzeum Osadników kucyk zachowywał się niezwykle ostrożnie; nie tylko starał się nie stracić Johnny'ego z oczu, ale także pilnował własnych pleców. Miałam na sobie medytacyjny skafander gnostyków zen, z wizjerem, daszkiem i całą resztą, i nie oglądając się za siebie, weszłam do transmitera, by czym prędzej przenieść się na

Bożą Knieję.

Czułam się trochę dziwnie, zostawiając Johnny'ego bez opieki w muzeum i terminalu na Nordholmie, ale roilo się tam od ludzi, a poza tym ryzyko było nie do uniknięcia.

Johnny przeszedł przez portal dokładnie o umówionym czasie i kupił bilet wycieczkowy. Jego cień musiał się dobrze zwijać, żeby zająć miejsce w tym samym pojeździe. Ja siedziałam już nieco z tyłu na górnym pokładzie, Johnny zaś poszedł na przód, tak jak ustaliliśmy. Tym razem byłam ubrana w niczym nie wyróżniający się strój typowego turysty, a moja kamera była jedną z co najmniej piętnastu, jakie niemal bez przerwy rejestrowały wszystko, co się działo dokoła.

Wycieczka po Bożej Kniei zawsze dostarcza niezapomnianych wrażeń - tata zabrał mnie tu po raz pierwszy, gdy miałam zaledwie trzy lata standardowe - ale teraz, kiedy pojazd mijał szerokie jak autostrady gałęzie Drzewoświata i okręzał pień wysokości Olympusa, z lękiem obserwowałam każdego zakapturzonego templariusza, jaki pojawiał się w pobliżu.

Johnny i ja rozważaliśmy dziesiątki znakomych, a jednocześnie subtelnych sposobów, które pozwolą nam przydybać kucyka - jeśli się pojawi - a następnie wysledzić, skąd przybywa, i rozwikłać jego grę. Ostatecznie jednak zdecydowałam się na najmniej subtelny z nich.

Omnibus wysadził nas w pobliżu muzeum Muir i wycieczkowicze miotali się po placu, niezdecydowani, czy wydać dziesięć marek na bilet i wzbogacić swoją wiedzę, czy raczej od razu udać się do sklepu z pamiątkami. Podeszłam od tyłu do kucyka, położyłam mu rękę na ramieniu i powiedziałam uprzejmie:

- Cześć, kolego. Mógłbyś mi wyjaśnić, czego chcesz od mojego klienta?

Według dość rozpowszechnionego poglądu wszyscy Luzyjczycy są delikatni jak sonda żołądkowa i mniej więcej równie mili. Jeżeli w jakiś sposób uwiarygodniłam pierwszą część tej opinii, to kucyk ponad wszelką wątpliwość potwierdził, że druga także jest prawdziwa.

Był cholernie szybki. Mimo że nacisk mojej ręki, dla postronnego obserwatora spoczywającej lekko na jego ramieniu, sparaliżował mu mięśnie prawego barku, ułamek sekundy później w lewej ręce kucyka pojawił się nóż. Skoczyłam w prawo, poczułam, jak ostrze mija o kilka milimetrów mój lewy policzek, upadłam na bok, przetoczyłam się błyskawicznie, wyciągnęłam z kabury ogłuszacz i zamarłam w głębokim przykłęku, gotowa stawić czoło przeciwnikowi.

Nie było żadnego przeciwnika. Kucyk rzucił się do ucieczki. Byle dalej ode mnie, byle dalej od Johnny'ego. Przepychając się między turystami i omijając większe grupki, gnał co sił w nogach w kierunku wejścia do muzeum.

Schowałam ogłuszacz, po czym puściłam się w pogoń. Ogłuszacze wspaniale sprawdzają się w bezpośrednich starciach - łatwo się nimi posługiwać, a w przypadku chybienia nie ma się na sumieniu paru niewinnych trupów - ale przy odległościach przekraczających osiem lub dziesięć metrów są do niczego. Ustawivszy promień na najszerszy zasięg, przyprawiłabym może połowę turystów na placu o słaby ból głowy, ale z pewnością nie zatrzymałabym kuczka. Musiałam go dogonić.

Kątem oka zauważyłam biegnącego w moją stronę Johnny'ego.

- Wracaj do mnie i zablokuj drzwi od środka! - krzyknęłam.

Kucyk dotarł do wejścia do muzeum, zatrzymał się i obejrzał. W ręce nadal ścisnął nóż.

Zwiększyłam prędkość, odczuwając coś w rodzaju przyjemności na myśl o tym, co czeka mnie w ciągu kilku najbliższych minut.

Kucyk odwrócił się gwałtownie i zniknął we wnętrzu, roztrącając zdezorientowanych turystów. Pognałam za nim.

Domyśliłam się, dokąd mu tak spieszo, dopiero wtedy, kiedy znalazłam się w obszernym holu muzeum i zobaczyłam go, jak przepycha się przez tłum na ruchomych schodach.

W wieku trzech lat byłam tu z ojcem. Portale są przez cały czas otwarte, a w ciągu trzech godzin pod opieką przewodnika można odwiedzić wszystkie trzydzieści planet, na których templariusze ocalili jakiś fragment przyrody, pragnąc w ten sposób sprawić przyjemność Muir. Nie byłam pewna, ale wydawało mi się, że trasa zwiedzania na każdej z planet biegła drogą okrężną, same portale zaś znajdowały się blisko siebie, by usprawnić przepływ ludzi.

Cholera.

Umundurowany strażnik pilnujący wejścia do pierwszego transmitera dostrzegł zamieszanie wywołane przez kuczka i ruszył w stronę niesforne go turysty. Z odległości piętnastu metrów wyraźnie widziałam niedowierzanie malujące się w oczach starego mężczyzny, kiedy zatoczył się do tyłu z wbitym w pierś nożem. Przez sekundę lub dwie stał na szeroko rozstawionych nogach, chwiejąc się niepewnie w przód i w tył, a potem spojrzał w dół, na kościaną rękojeść, dotknął jej ostrożnie, po czym runął twarzą na ziemię. Ludzie zaczęli przeraźliwie krzyczeć, ktoś wzywał

lekarza, zabójca zaś dał potężnego susa i zniknął w jarzącym się portalu.

Sytuacja zaczęła wymykać mi się spod kontroli.

Niewiele myśląc skoczyłam za nim.

Wylądowałam na dość stromym, porośniętym śliską trawą zboczu i niewiele brakowało, żebym rozciągnęła się jak długa. Żółtopomarańczowe niebo. Tropikalne zapachy. Zdumione twarze. Kucyk był już w połowie drogi do następnego transmitera; biegł na przelaj przez ukwieconą łąkę, przewracając miniaturowe drzewka. Byliśmy na Fuji. Pognałam co sił w nogach za uciekającym mężczyzną.

- Zatrzymajcie tego człowieka! - krzyknęłam, choć nie liczyłam na to, żeby ktoś zastosował się do mojego życzenia. Jedna ze skośnookich turystek odruchowo podniosła kamerę i utrwaliła niezwykłą scenę.

Kucyk obejrzał się, przedarł przez oniemiałą ze zdumienia grupkę i wskoczył w następny portal.

Ponownie wyszarpnęłam ogłuszacz z kabury.

- Cofnąć się! - wrzasnęłam dziko do tłumu. - Cofnąć się!

Skwapliwie ustąpili mi z drogi.

Ostrożnie, z palcem na spuście ogłuszacza, przeszłam przez portal. Co prawda kucyk nie miał już noża, ale skąd mogłam wiedzieć, jakie jeszcze zostały mu zabawki?

Jaskrawe światło odbijające się w wodzie. Fioletowe fale Mare Infinitum. Trasa zwiedzania wiodła tutaj wąskim, drewnianym pomostem jakieś dziesięć metrów nad wierzchołkami fal. Pomost prowadził okrężną drogą wzdłuż krawędzi bajecznie kolorowej rafy i przez środek niewielkiej, sargassowej wysepki, ale dostrzegłam także znacznie krótszą, metalową kładkę, biegnącą po przekątnej ku następnemu transmitterowi. Kucyk przeskoczył przez barierkę z napisem WSTĘP WZBRONIONY i gnał co sił w nogach właśnie po niej.

Podbiegłam do krawędzi pomostu, ustawiłam ogłuszacz na największy promień i zaczęłam zataczać bronią szerokie łuki, jakbym miała w rękach wąż ogrodowy.

Kucyk potknął się, ale zdołał dopaść świecącego jasno portalu. Zakląłam głośno i, nie zważając na krzyki przewodnika, także przeskoczyłam przez barierkę. Mignęła mi jeszcze tabliczka z przypomnieniem dla turystów, aby włożyli ciepłą odzież, i na pełnej prędkości wpadłam we wrota transmitera.

Potworna burza śnieżna kłębiła się z rykiem wokół wygiętego łukowato pola siłowego, które chroniło przed jej impetem szlak przeznaczony dla zwiedzających. Sol Draconis Septem - skuta lodem planeta, na której w związku z naciskami

templariuszy wstrzymano ocieplanie klimatu, aby ocalić unikatowe okazy polarnej flory i fauny. Ciężenie równe 1,7 g opadło mi na barki niczym sztanga. Wielka szkoda, że kucyk także był Luzyjczykiem; gdyby pochodził z innej planety Sieci, wynik starcia w tych warunkach byłby łatwy do przewidzenia.

Dostrzegłam go w odległości pięćdziesięciu metrów, oglądającego się przez ramię. Drugi transmiter z pewnością był gdzieś w pobliżu, lecz szalejąca zamieć przesłaniała wszystko, co nie znajdowało się bezpośrednio na szlaku. Ruszyłam wielkimi susami w jego stronę. Ze względu na grawitację była to najkrótsza trasa zwiedzania - liczyła sobie niewiele ponad dwieście metrów. Zbliżając się do kuczka, wyraźnie słyszałam jego ciężkie sapanie. Biegłam prawie bez wysiłku; nie miał najmniejszych szans na to, by dotrzeć przede mną do drugiego transmitera. Na szlaku nie było żadnych turystów, nikt też nas nie ścigał. Pomyślałam sobie, że byłoby to całkiem niezłe miejsce na urządzenie małego przesłuchanka.

Trzydzieści metrów przed portalem transmitera kucyk zatrzymał się raptownie, odwrócił, przyklęknął na jedno kolano i wymierzył we mnie z miotacza energii. Pierwszy strzał poszedł za nisko, zapewne ze względu na to, że mój przeciwnik nie wziął pod uwagę zwiększonego ciężaru broni. Metr ode mnie nawierzchnia drogi poczerwiała, wyrzuciła się i popękała, a metalowe barierki rozpuściły się, jakby były wykonane z wosku. Kucyk skierował miotacz nieco wyżej.

Rzuciłam się głową naprzód na pole siłowe; przez krótką chwilę czułam jego elastyczny opór, a potem wypadłam na zewnątrz i natychmiast ugrzęzłam po pas w zaspiu. W ciągu kilku sekund lodowate powietrze wypełniło mi płuca, a gnany huraganowym wiatrem śnieg oblepił moją głowę i odkryte ramiona. Widziałam, że kucyk wypatruje mnie przez ścianę tunelu, ale panujący na zewnątrz półmrok okazał się moim sprzymierzeńcem. Nie zwlekając zaczęłam brnąć przez zaspy w kierunku mojego krajana.

Nagle z niemal zupełnie przezroczystej ściany pola siłowego wyłoniła się głowa, barki i prawe ramię mężczyzny. Zmrużył oczy, by uchronić je przed zacinającym niemal poziomo śniegiem, po czym znowu pociągnął za spust. Tym razem wymierzył za wysoko, gdyż poczułam na twarzy podmuch gorącego powietrza, kiedy ładunek przemknął metr lub dwa nad moją głową. Odległość między mną a kucykiem wynosiła najwyżej dziesięć metrów. Ustawiłam ogłuszacz na najszerszy zasięg i, nie podnosząc głowy z zaspy, w którą wpadłam, wysunęłam broń przed siebie i nacisnęłam spust.

Kucyk wypuścił miotacz z ręki, przez chwilę stał bez ruchu, a następnie wpadł

do wnętrza tunelu.

Krzyknęłam triumfalnie, ale mój głos nie miał najmniejszych szans, żeby przedrzeć się przez ryk wiatru. Powoli traciłam czucie w rękach i stopach, co miało tylko tę dobrą stronę, że jednocześnie ustępował przeraźliwy, szarpiący ból. Policzki i uszy paliły mnie żywym ogniem. Odłożyłam na razie na bok myśli o odmrożeniach i całym ciężarem ciała rzuciłam się na ścianę tunelu.

Było to pole siłowe klasy trzeciej, którego zadanie polegało na tym, by nie dopuszczać do środka szalejących żywiołów, jednocześnie pozwalając na przejście zabłąkanemu turyście lub templariuszowi, który z jakiegoś powodu znalazł się poza trasą zwiedzania. Byłam już jednak tak osłabiona, że przez kilka chwil odbijałam się od zakrzywionej powierzchni niby mucha od szyby, bezskutecznie próbując znaleźć solidne oparcie dla nóg na pokrytej lodem i śniegiem ziemi. Wreszcie jednak udało mi się przedrzeć przez prawie niewidzialną zasłonę i runęłam jak długa na podłogę tunelu.

Nagle przejście z zimna do ciepła sprawiło, że moim ciałem zaczęły wstrząsać nie kontrolowane dreszcze. Z najwyższym trudem dźwignęłam się na kolana, a potem na nogi.

Kucyk z bezwładnie zwisającym ramieniem przebiegł ostatnie kilka metrów dzielących go od portalu. Wiedziałam, jak potwornie teraz cierpi, i wcale mu tego nie zazdrościłam. Przed samym portalem obejrzał się jeszcze raz, po czym zniknął.

Maui-Przymierze. W gorącym powietrzu czuć było zapach oceanu i roślinności. Niebo było równie błękitne jak na Starej Ziemi. Natychmiast zorientowałam się, że trasa zwiedzania prowadzi ku jednej z zaledwie kilku ruchomych wysp, jakie templariusze uchronili przed udomowieniem. Wyspa była spora - od końca do końca miała jakieś pół kilometra długości, a z szerokiego pomostu otaczającego gruby pień głównego drzewa żaglowego widziałam szerokie liście, wychwytyjące nawet najłżejsze podmuchy wiatru, oraz niebieskie pnącza, które ciągnęły się daleko z tyłu w wodzie, pełniąc funkcję steru. Drugi transmiter znajdował się w odległości zaledwie piętnastu metrów, u dołu krętych schodów, ale kucyk pobiegł w przeciwnym kierunku, w stronę skupiska chat i straganów z pamiątkami w pobliżu krawędzi wyspy.

Tylko tutaj, w połowie trasy, templariusze pozwolili, by kilka wzniesionych ludzkimi rękami budynków zakłóciło nie skażony żadnymi cywilizacyjnymi naleciałościami krajobraz. Dochód ze sprzedaży upominków zasilał fundusz Bractwa, w chatach zaś zmęczeni turyści mogli nieco odświeżyć się i odpocząć. Ruszyłam

truchtem w tamtą stronę, wciąż jeszcze drżąc na całym ciele. Błyskawicznie topniejący śnieg pozostawiał na moim ubraniu rozległe ciemne plamy. Dlaczego kucyk pobiegł ku kłębiącemu się przed straganami tłumowi?

Zrozumiałam to natychmiast, gdy tylko zobaczyłam czekające na nabywców różnobarwne dywany. Maty grawitacyjne były zakazane na wszystkich planetach Sieci, z wyjątkiem Maui-Przymierza, głównie ze względu na legendę o Siri. Te długie na niespełna dwa metry i szerokie na metr starożytne zabawki woziły turystów nad ocean, a następnie wracały z nimi na wyspę. Jeśli kucykowi uda się zawładnąć jedną z nich... Puściłam się pędem, dopadłam Luzyjczyka dosłownie kilka kroków od najbliższej maty i rąbnęłam go od tyłu w zgięcia kolan. Szczepieni, runęliśmy między turystów zgromadzonych przy straganach.

Ojciec nauczył mnie jednej rzeczy, którą wszystkie dzieci starannie ignorują, naturalnie na swoje nieszczęście: duży niedobry facet zawsze da wycisk dobremu, ale małemu. Kucyk błyskawicznie uwolnił się z mojego uchwytu, zerwał na równe nogi i przybrał postawę bojową. Za chwilę miało się okazać, kto z nas jest dobrym facetem.

Mój przeciwnik ruszył pierwszy do ataku: zamarkował uderzenie wyprostowaną dłoń, ale w ostatnim ułamku sekundy wykonał obrót i zadał cios stopą. Uchyliłam się w porę, dzięki czemu uniknęłam bezpośredniego trafienia, lecz stopa mężczyzny otarła się o mój lewy bark, na chwilę pozbawiając mnie czucia w tej części ciała.

Kucyk odskoczył jak tancerz, a ja natychmiast podążyłam za nim. Wystrzelił prosty cios z prawej ręki - zablokowałam. Poprawił lewą - też zablokowałam. Znowu odskoczył, obrócił się, kopnął lewą nogą. Pochyliłam się, złapałam go za nogę, szarpnęłam i powaliłam na piasek.

Natychmiast poderwał się, ale ja już na niego czekałam i zdzieliłam go w podbródek krótkim lewym hakiem. Zatoczył się, osunął na kolana, a wtedy stuknęłam go za lewe ucho, jednak na tyle nisko, żeby zachował przytomność.

Sekundę później przekonałam się, że zachował jej aż za wiele, gdyż spróbował wbić mi w serce cztery wyprostowane palce. Nie czekając na ciąg dalszy, rąbnęłam go z całej siły w usta; krew trysnęła na boki, on zaś potoczył się ku wodzie i znieruchomiał tuż za granicą zasięgu fal. Słyszałam, jak za moimi plecami ludzie biegną w kierunku portalu, głośno wzywając policję.

Chwyciłam niedoszłego zabójcę Johnny'ego za kucyk, pociągnęłam go ku głębszej wodzie i zanurzyłam mu w niej twarz. Kiedy oprzytomniał, przewróciłam go

na plecy i chwyciłam za podartą i brudną koszulę na piersi. Zdawałam sobie sprawę, że mam najwyżej minutę albo dwie.

Kucyk wlepił we mnie szklane spojrzenie. Potrząsnęłam nim mocno i zbliżyłam jego twarz do swojej.

- Posłuchaj, przyjacielu - szepnęłam. - Czekają nas teraz krótko, ale bardzo poważna rozmowa. Zaczniemy od tego, kim jesteś i czego chcesz od człowieka, którego śledziłeś.

Poczułam uderzenie ładunku, jeszcze zanim zobaczyłam błękitny płomień. Zakląłam i czym prędzej puściłam koszulę. W jednej chwili całe ciało mego przeciwnika spowiła rozedrgana elektryczna poświata. Odskokczyłam najszybciej, jak mogłam, ale i tak włosy zdążyły mi już stanąć dęba, a mój komlog rozwrzeszczał się co najmniej setką najróżniejszych sygnałów alarmowych. Kucyk otworzył usta, a ja zobaczyłam, że gardło wypełnia mu jakieś niesamowite, błękitne światło. Koszula błyskawicznie szerniała, po czym zapaliła się, a ciało, które wyłoniło się spod niej, było pokryte szybko rosnącymi, jaskrawoniebieskimi plamami. Moim przerażonym oczom ukazały się wewnętrzne narządy mężczyzny, skąpane w błękitnym ogniu. Krzyknął przeraźliwie, a wtedy z jego oczu i zębów trysnęły oślepiające promienie.

Cofnęłam się jeszcze o krok.

Mężczyzna płonął już cały, a błękit elektrycznej poświaty ustępował szybko miejsca czerwonopomarańczowemu ogniowi. Nagle płomień strzeliły ze zdwojoną siłą, jakby dotarły nie do kości, lecz do suchych gałęzi. Najdalej po minucie mój niedawny przeciwnik zamienił się w szerniałą karykaturę człowieka, jak wszystkie ofiary ognia upodabniając się do kukiełki karłowatego boksera. Odwróciłam się, zasłaniając ręką usta, i spojrzałam na twarze nielicznych gapiów, by przekonać się, czy mógł to uczynić któryś z nich. Ujrzałam jednak tylko przerażone, wytrzeszczone oczy. Na otaczającej drzewo platformie pojawiły się sylwetki w szarych mundurach.

Cholera! Rozejrzałam się błyskawicznie dokoła. Nad moją głową kołysały się ogromne drzewa żaglowe, cienkie nici różnobarwnej pajęczyny snuły się między oszalamiającymi swoją różnaitością roślinami, a promienie słońca odbijały się w błękitnych falach oceanu. Droga do obu portali była zablokowana. Jeden ze strażników wyciągnął broń.

Trzema susami dopadłam najbliższej maty, usiłując sobie przypomnieć, w jaki sposób się ją uaktywnia. Do tej pory leciałam czymś takim tylko raz, w dodatku przed dwudziestu laty. Rozpaczliwie zaczęłam przesuwac ręce po różnobarwnym wzorze.

Mata zeszywniała i uniosła się dziesięć centymetrów nad ziemię. Strażnicy dopadli grupki turystów, którzy pozostali na miejscu zdarzenia, i zaczęli zadawać im pytania. Jakaś kobieta w pstrokatym stroju z Renesansu wskazała w moją stronę. Zeskoczyłam z maty, zgarnęłam siedem czy osiem pozostałych, i ponownie wskoczyłam na swoją. Pod stertą tkanin nie mogłam dostrzec ani kawałka wzoru, więc macałam na oślep, aż wreszcie trafiłam na właściwy fragment, gdyż mata ruszyła gwałtownie naprzód i do góry. Niewiele brakowało, a runęłabym na ziemię.

Na wysokości trzydziestu metrów, a jakieś pięćdziesiąt od brzegu, zrzuciłam pozostałe maty do morza i odwróciłam się, aby zobaczyć, co się dzieje na plaży. Kilka szarych mundurów pochylało się nad szerniałymi szczątkami, jeden natomiast wyciągnął w moim kierunku jakąś srebrną laskę.

Delikatne igielki bólu rozbiegły mi się po ramionach, karku i grzbiecie, powieki niespodziewanie opadły na oczy i niewiele brakowało, żebym bezwładnie zsunęła się z maty. Nadludzkim wysiłkiem chwyciłam się jej krawędzi lewą ręką, a prawą - miałam wrażenie, że jest zrobiona z drewna - uderzyłam we fragment wzoru sterujący wysokością lotu. Mata zaczęła wznosić się w niebo, ja zaś sięgnęłam po ogłuszacz.

Kabura była pusta.

Minutę później przyszedłam już zupełnie do siebie, choć potwornie piekły mnie koniuszki palców i okropnie bolała głowa. Ruchoma wyspa została daleko z tyłu, z każdą chwilą stając się coraz mniejsza. Jeszcze sto lat temu otaczałoby ją stado delfinów, które zostały tu przywiezione podczas hegiry, ale w wyniku programu pacyfikacyjnego Hegemonii, wprowadzonego w życie po Rebelii Siri, większość tych ssaków wodnych uległa zagładzie, ocalałe wyspy zaś wędrowały bez celu po całym oceanie z ładunkiem turystów i właścicieli posiadłości.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu innej wyspy albo rzadko spotykanego na tej planecie stałego lądu. Nic - to znaczy, nic oprócz błękitnego nieba, bezkresnego morza i delikatnych obłoczków nad zachodnim horyzontem. A może nad wschodnim?

Wyciągnęłam zza paska komlog i zaczęłam wystukiwać kod ogólnego dostępu do datasfery, ale nagle znieruchomiałam z palcami nad klawiaturką. Jeżeli władze ściagały mnie aż tutaj, to było niemal pewne, że zechcą ustalić moje położenie i przysłać EMV z uzbrojoną po zęby załogą. Nie byłam pewna, czy uda im się zlokalizować mój komlog, ale nie widziałam powodu, żeby ułatwiać im zadanie. Przełączyłam urządzenie w stan gotowości i ponownie rozejrzałam się po okolicy.

Gratulacje, Brawne. Kołysać się dwieście metrów nad oceanem na liczącej

sobie co najmniej trzysta lat macie, prawdopodobnie jakieś tysiąc kilometrów od najbliższego lądu - to jest właśnie to. W dodatku licho wie, jak długo ten zabytek utrzyma się jeszcze w powietrzu. Usiadłam najwygodniej, jak się dało, i zaczęłam intensywnie myśleć.

- M. Lamia?

Na dźwięk spokojnego głosu Johnny'ego mało nie spadłam do wody.

- Johnny? - Wybałuszyłam oczy na komlog. Wyglądało na to, że nadal znajduje się w stanie gotowości. Na wskaźniku częstotliwości nie pojawiła się żadna liczba. - To ty, Johnny?

- Oczywiście. Już myślałam, że nigdy nie włączysz komlogu.

- W jaki sposób mnie znalazłeś? I na którym kanale nadajesz?

- Mniejsza o to. Możesz mi powiedzieć, dokąd teraz lecisz?

Parsknęłam śmiechem i poinformowałam go, że nie mam najmniejszego pojęcia.

- Zaczekaj chwilę. - Cisza trwała nie dłużej niż sekundę. - W porządku, mam cię na obrazie z satelity meteorologicznego. Nieprawdopodobnie prymitywne urządzenie. Całe szczęście, że twoja mata jest wyposażona w pasywny transponder.

Popatrzyłam na wytarty dywanik, który oddzielał mnie od kołyszącego się daleko w dole oceanu.

- Naprawdę? Czy to znaczy, że ktoś inny też może mnie wysledzić?

- Mógłby, gdyby nie to, że przechwytyuję twój sygnał - odparł Johnny. - Dokąd chcesz lecieć?

- Do domu.

- Nie jestem pewien, czy to mądra decyzja, biorąc pod uwagę dość niezwykle okoliczności śmierci naszego... eee... podejrzanego.

- A ty skąd o tym wiesz? - zapytałam nieufnie. - Przecież nie zdążyłam ci jeszcze o niczym powiedzieć.

- Bądźmy poważni, M. Lamio. Służby bezpieczeństwa na co najmniej sześciu planetach nie mówią o niczym innym. Dysponują już twoim dość dokładnym rysopisem.

- Cholera!

- Właśnie. A więc dokąd chcesz się udać?

- A gdzie ty jesteś? - zapytałam. - U mnie?

- Nie. Wyszedłem, jak tylko zaczęło się to całe zamieszanie. Jestem... blisko

transmitera.

- Ja też chciałabym się tam znaleźć. - Rozejrzałam się szybko dokoła. Ocean, niebo, kilka obłoczków. Przynajmniej ani śladu EMV.

- W porządku - odezwał się bezcielesny głos Johnny'ego. - Niecałe dziesięć kilometrów od ciebie jest wojskowy transponder o nieograniczonym zasięgu.

Ośloniłam oczy i obróciłam się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

- Gówno, a nie transponder - powiedziałam. - Nie wiem, jak daleko ode mnie jest linia horyzontu, ale wygląda mi to na co najmniej czterdzieści kilometrów, i nigdzie po drodze nie ma żadnego transmitera.

- Baza podwodna - wyjaśnił lakonicznie Johnny. - Uważaj, przejmuję kontrolę.

Mata podskoczyła gwałtownie, opadła, po czym zaczęła błyskawicznie obniżać lot. Trzymałam się obiema rękami, ze wszystkich sił starając się nie krzyknąć.

- Podwodna... - wykrztusiłam, a następnie zapytałam, przekrzykując ryk wiatru: - Jak daleko?

- Chodzi ci o to, jak głęboko?

- Tak!

- Osiem sążni.

Przeliczyłam archaiczne jednostki na metry i tym razem już wrzasnęłam.

- Przecież to prawie czternaście metrów pod wodą!

- A gdzie, twoim zdaniem, powinna znajdować się baza podwodna? - odparł z niewzruszonym spokojem.

- Co mam robić? Wstrzymać oddech?!

Ocean był coraz bliżej.

- Niekoniecznie - rozległ się głos z komłogu. - Maty są wyposażone w prymitywne pola siłowe, włączające się w przypadku zderzenia. Do głębokości ośmiu sążni powinno chyba wystarczyć. Trzymaj się.

Zastosowałam się do jego rady.

Czekał już na mnie. Podwodna baza była pogrążona w ciemności i cuchnęła starym potem, sam transponder zaś był wojskowego typu, jakiego nigdy do tej pory nie widziałam. Trudno opisać ulgę, jaką odczułam, kiedy wyszłam na zalaną promieniami słońca ulicę miasta i zobaczyłam twarz Johnny'ego.

Opowiedziałam mu, co spotkało kuczka. Przechadzaliśmy się pustymi ulicami, wzdłuż których wznosiły się stare budynki. Bładoniebieskie, przedwieczorne niebo

wchłaniało powoli coraz ciemniejsze odcienie. Byliśmy sami.

- Ejże, a gdzie my właściwie jesteśmy? - zapytałam, zatrzymując się nagle. Planeta ogromnie przypominała Ziemię, ale niebo, grawitacja i ogólne wrażenie było zupełnie inne, niepodobne do wszystkiego, co widziałam do tej pory.

Johnny uśmiechnął się.

- Zgadnij. Ale może najpierw przejdziemy się jeszcze trochę.

Dotarliśmy do poprzecznej szerokiej ulicy i po lewej stronie ujrzeliśmy ruiny potężnej budowli. Stałam jak wryta.

- Przecież to Koloseum... - szepnęłam. - Rzymskie Koloseum ze Starej Ziemi! - Obrzuciłam wzrokiem zabytkowe budynki, brukowane ulice i drzewa kołyszące łagodnie gałęziami w podmuchach lekkiego wiatru. - To rekonstrukcja Rzymu - powiedziałam, starając się, żeby mój głos brzmiał możliwie najnormalniej. - Nowa Ziemia? - Wiedziałam jednak, że nie trafiłam. Byłam kilka razy na Nowej Ziemi i wszystko wyglądało tam zupełnie inaczej.

Johnny pokręcił głową.

- Znajdujemy się poza Siecią.

- To niemożliwe - odparłam bez zastanowienia. Jak wynika z definicji, każda planeta, na którą można dotrzeć za pomocą transmitera, należy do Sieci.

- A jednak to prawda.

- W takim razie gdzie jesteśmy?

- Na Starej Ziemi.

Ruszyliśmy dalej. Johnny wskazał mi kolejną ruinę.

- Forum Romanum. - Kiedy schodziliśmy po nie kończących się schodach, dodał: - Przed nami jest Plac Hiszpański, gdzie spędzimy noc.

- Stara Ziemia... - wymamrotałam wreszcie. Były to moje pierwsze słowa od dobrych kilkunastu minut. - Podróż w czasie?

- Nie ma czegoś takiego, M. Lamio.

- Park tematyczny?

Johnny roześmiał się. Był to bardzo miły śmiech, przyjazny i niewymuszony.

- Być może. Szczerze mówiąc, nie znam ani celu, w jakim został wybudowany, ani zasad jego działania. Nazywamy to analogiem.

- Analog. - Zmrużyłam oczy i popatrzyłam prosto w czerwone, wiszące nisko na niebie słońce, które oświetlało wąską boczną uliczkę. - Wszystko wygląda dokładnie tak samo jak na hologramach ze Starej Ziemi. Mam wrażenie, że jest takie samo,

choć nigdy tam nie byłam.

- Zgadza się.

- Gdzie to jest? Chodzi mi o to, przy której gwiazdzie?

- Nie znam numeru - odparł Johnny. - W każdym razie gdzieś w Mgławicy Herkulesa.

Udało mi się nie zemdleć, ale usiadłam, tam gdzie stałam, czyli na jednym ze stopni. Korzystając z napędu Hawkinga, ludzkość skolonizowała setki planet w promieniu wielu tysięcy lat świetlnych, a następnie połączyła je siecią transponderów, ale nikt jeszcze nie próbował dotrzeć do gwiazd w eksplodującym Jądrze Galaktyki. Szczerze mówiąc, dopiero co wypełziliśmy z kolebki ukrytej w jednym z jej spiralnych ramion. Mgławica Herkulesa...

- Dlaczego TechnoCentrum zbudowało w Mgławicy Herkulesa replikę Rzymu?

- zapytałam.

Johnny usiadł obok mnie. Przez dłuższą chwilę w milczeniu przyglądaliśmy się krążącym nad dachami domów stadom gołębi.

- Nie wiem, M. Lamio - powiedział wreszcie. - Nie wiem także wielu innych rzeczy - przede wszystkim dlatego, że nigdy się nimi nie interesowałem.

- Brawne.

- Proszę?

- Mów mi Brawne.

Johnny uśmiechnął się i skinął głową.

- Dziękuję, Brawne. Jeśli pozwolisz, chciałbym wyjaśnić ci jedną sprawę: nie wydaje mi się, żeby to była tylko replika Rzymu. Moim zdaniem, to replika całej Starej Ziemi.

Oparłam ręce na ciepłym kamiennym stopniu, na którym siedziałam.

- Całej Starej Ziemi? Wszystkich kontynentów, wszystkich miast?

- Tak myślę. Co prawda byłem tylko we Włoszech i w Anglii oraz odbyłem podróż morską między tymi krajami, ale wydaje mi się, że analog jest kompletny.

- Po co, na miłość boską?

- Kto wie, czy nie właśnie po to - odparł powoli Johnny. - Może wejdziemy do środka, zjemy coś i porozmawiamy o tym wszystkim? Kto wie, czy nie ma to związku ze sprawą mojego zabójstwa.

“Środek” okazał się apartamentem w dużym domu wznoszącym się u podnóża

marmurowych schodów. Okna wychodziły na "piazza" - tak przynajmniej mówił Johnny; spoglądając w górę schodów widziało się obszerny, żółto-brązowy kościół, na placu zaś stała fontanna w kształcie łodzi, wyrzucając strumienie wody w wieczorną ciszę. Johnny poinformował mnie, że została zaprojektowana przez Berniniego, lecz ja słyszałam to nazwisko po raz pierwszy w życiu.

Pokoje były małe, ale wysokie, wyposażone w niezbyt wygodne, za to bardzo ozdobne meble z nieznanej mi epoki. Nigdzie nie mogłam dostrzec ani śladu elektryczności czy jakichś nowoczesnych urządzeń. Dom nie reagował na wydawane głosem polecenia. Kiedy za wysokimi oknami zapadł zmierzch, jedynymi światłami, jakie zapłonęły na placu, były prymitywne gazowe latarnie.

- To wszystko pochodzi z przeszłości Starej Ziemi - powiedziałam, przesuając ręką po grubych poduszkach na łóżku. Nagle spłynęło na mnie olśnienie. Podniosłam raptownie głowę i spojrzałam na Johnny'ego. - Keats umarł we Włoszech, jakoś w pierwszej połowie dziewiętnastego albo dwudziestego wieku. To jest... wtedy.

- Tak. Początek dziewiętnastego stulecia. Rok 1821, dokładnie rzecz biorąc.

- Cała planeta pełni funkcję muzeum?

- Och, nie. W różnych miejscach odtworzono różne czasy, zależnie od tego, jaki chciano stworzyć analog.

- Nie rozumiem. - Przeszliśmy do pokoju zastawionego przedziwnie rzeźbionymi meblami i usiadłam na grubo wyściełanej kanapie przy oknie. Złotawy wieczorny poblask wciąż jeszcze padał na wieżę brązowego kościoła u szczytu schodów, a na tle granatowego nieba krążyły stada gołębi. - Czy tutaj żyje tyle samo ludzi... to znaczy cybryd, co na Starej Ziemi?

- Nie sądzę. Raczej tylko tyle, ile trzeba do przeprowadzenia konkretnego projektu. - Chyba zauważył, że nadal nic nie rozumiem, gdyż westchnął głęboko i mówił dalej: - Kiedy... obudziłem się tutaj, zastałem cybrydowe analogi Josepha Severna, doktora Clarka, Anny Angeletti, młodego kapitana Eltona i jeszcze kilku osób - sprzedawców, właściciela knajpki po drugiej stronie placu, który przysyłał nam posiłki, przechodniów. W sumie najwyżej dwudziestu ludzi.

- Co się z nimi stało?

- Prawdopodobnie zostali przetworzeni, tak jak człowiek z kucykiem.

- Kucyk... - W gęstniejącym szybko mroku spojrzałam na Johnny'ego. - On też był cybrydem?

- Z pewnością. Dokonał samozniszczenia w taki sam sposób, jakiego i ja bym

użył, gdybym musiał pozbyć się mego cybryda.

Mój mózg pracował na najwyższych obrotach. Nagle uświadomiłam sobie, jaka jestem głupia i jak mało wiem.

- A więc tym, kto chciał cię zabić, była jakaś Sztuczna Inteligencja.

- Na to wygląda.

- Ale po co?

Johnny rozłożył ręce.

- Prawdopodobnie po to, żeby skasować pewną porcję wiedzy, która umarłaby wraz z moim cybrydem. Coś, czego dowiedziałem się niedawno, i co nie przetrwałoby jego zniszczenia.

Wstałam, kilka razy okrążyłam pokój, by wreszcie zatrzymać się przy oknie. W pokoju stało kilka lamp, ale Johnny nie przejawiał najmniejszej ochoty, żeby je zapalić, ja zaś nie miałam nic przeciwko gęstniejącemu z minuty na minutę mrokowi. Dzięki niemu niewiarygodne rzeczy, które słyszałam, stawały się jeszcze bardziej nierealne. Zajrzałam do sypialni. Ponieważ okna tego pokoju wychodziły na zachód, resztki słonecznej poświaty padały na białą pościel, sprawiając, że zdawała się jarzyć w ciemności.

- Tutaj umarłeś... - szepnęłam.

- On tutaj umarł - poprawił mnie Johnny. - To nie to samo.

- Ale masz jego wspomnienia.

- Na pół zapomniane sny z mnóstwem luk.

- Wiesz, co czuł.

- Wiem, co czuł według tych, którzy mnie projektowali.

- Opowiedz mi.

- O czym?

Skóra Johnny'ego wydawała się bardzo blada, a brązoworude kędziory przybrały niemal czarną barwę.

- Jak to jest, kiedy człowiek umiera, a potem zmartwychwstaje.

Opowiedział mi. Mówił spokojnym, melodyjnym głosem, chwilami posługując się tak archaicznym językiem, że z trudem cokolwiek rozumiałam, ale za to mogłam zachwycać się brzmieniem tej mowy, o niebo piękniejszej od dziwacznej hybrydy, jaką posługujemy się dzisiaj.

Opowiedział mi, co to znaczy być poetą opanowanym obsesją doskonałości, oceniającym swoje dokonania znacznie surowiej od najbardziej nawet zjadliwego

krytyka. A krytycy byli bardzo zjadliwi. Jego dzieła wyśmiewano, zohydzano, określano jako bezwartościowe i głupie. Za biedny, żeby ożenić się z kobietą, którą kochał, pożyczał pieniądze bratu w Ameryce, tracąc w ten sposób szansę na uzyskanie choćby częściowej niezależności finansowej. A potem, kiedy wreszcie jego talent rozblysnął z pełną mocą, padł ofiarą choroby, która wcześniej zabrała jego matkę i brata, Toma. Został wysłany do Włoch, oficjalnie po to, by “podreperować zdrowie”, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że czeka go powolna, samotna śmierć w wieku zaledwie dwudziestu sześciu lat. Opowiedział o bólu, jaki odczuwał na widok swego nazwiska i adresu skreślonych ręką Fanny na listach, których nie miał odwagi otworzyć; opowiedział o lojalności młodego artysty, Josepha Severna, którego “przyjaciele” Keatsa wybrali mu na towarzysza ostatnich dni życia, gdyż sami mieli w tym czasie ważniejsze sprawy na głowie; opowiedział o tym, jak Severn pielęgnował umierającego poetę i został z nim do samego końca. Opowiedział o nocnych krwotokach, o doktorze Clarku puszczającym mu krew i zalecającym “wypoczynek na świeżym powietrzu” oraz o wielkiej, osobistej i religijnej rozpacz, która kazała Keatsowi zażądać, by na jego grobie wyryto epitafium następującej treści: “Tu spoczywa ten, którego imię zapisano na wodzie”.

Wysokie okna rozjaśniał jedynie słaby blask gazowych latarni. Głos Johnny’ego zdawał się unosić w przesyconym nocnymi zapachami powietrzu. Opowiedział o przebudzeniu po śmierci w łóżku, w którym umarł, o tym, jak przypominał sobie, kim był i co robił, jakby próbował przypomnieć sobie jakiś długi, ale bardzo niewyraźny sen, choć jednocześnie zdawał sobie doskonale sprawę, że teraz jest już kimś innym.

Opowiedział o dalszym ciągu iluzji: o podróży do Anglii, o spotkaniu z Fanny - która już nie była tą Fanny - i o fatalnym załamaniu psychicznym, jakie to spotkanie spowodowało. Opowiedział o niemożności pisania poezji, o bardzo szybkim ochłodzeniu stosunków z innymi cybrydami, o powtarzających się coraz częściej ucieczkach w stan zbliżony do katatonii i “halucynacji”, o istnieniu jako Sztuczna Inteligencja w całkowicie niepojętym (dla dziewiętnastowiecznego poety) TechnoCentrum, wreszcie o ostatecznym rozpadzie iluzji i zawaleniu się “Projektu Keats”.

- Szczerze mówiąc - powiedział - cała ta diabelska szarada przywiodła mi na pamięć fragment listu, który na krótko przed chorobą napisałem - to znaczy, który on napisał - do swojego brata George’a: “Czy nie można sobie wyobrazić istnienia jakichś nadistot, które znajdują zadowolenie w każdym wdzięcznym pomyśle, jaki pojawi się

w mojej głowie, tak samo jak ja doświadczam zadowolenia obserwując, w jaki sposób gronostaj reaguje na pojawienie się większego zwierzęcia? Choć uliczna burda jest ze wszech miar godna potępienia, to nie ma nic złego w energii, jaką wyzwala ona w ludziach. Dla owych nadistot nasze myśli mogą mieć taką samą wartość: choć błędne, są przecież w stanie dawać przyjemność. I na tym właśnie zasadza się cała poezja”.

- Czy myślisz, że “Projekt Keats” był... zły? - zapytałam.

- Wszystko, co zawiera w sobie pierwiastek oszustwa, jest złem.

- Może jesteś Johnem Keatsem w znacznie większym stopniu, niż chciałbyś się do tego przyznać?

- Nie. Na przekór wszystkim pozorom świadczy o tym brak instynktu poetyckiego.

Popatrzyłam na czarne kształty mebli w pogrążonym w mroku pokoju.

- Czy SI wiedzą, że tu jesteśmy?

- Chyba tak. Prawie na pewno. TechnoCentrum może mnie wyśledzić w każdym miejscu we wszechświecie, ale my uciekaliśmy przecież przed siłami bezpieczeństwa Sieci, nieprawdaż?

- Oboje jednak wiemy, że za zamachem kryje się jakaś... jakaś istota z TechnoCentrum.

- Owszem, ale to dotyczy wyłącznie wydarzeń w Sieci. W samym TechnoCentrum nie ma mowy o tolerowaniu jakiegokolwiek przemocy.

Z ulicy dobiegł jakiś hałas. Miałam nadzieję, że to tylko gołąb albo może wiatr, włączający śmieci po bruku.

- W jaki sposób TechnoCentrum zareaguje na moje pojawienie się tutaj? - zapytałam.

- Nie mam pojęcia.

- Z pewnością istnienie tego miejsca jest otoczone głęboką tajemnicą?

- SI po prostu uważają to za rzecz pozbawioną znaczenia dla ludzi.

Potrząsnęłam głową, choć w ciemności nie mógł tego zobaczyć.

- Odtworzenie Starej Ziemi, wskrzeszenie... ilu?... w każdym razie na pewno mnóstwa ludzi pod postacią cybryd, Sztuczne Inteligencje mordujące się nawzajem - to wszystko miałyby być pozbawione znaczenia?

Zacęłam się śmiać, ale zdołałam zapanować nad tym histerycznym odruchem.

- Oczywiście.

Podeszłam do okna, nie przejmując się zupełnie tym, że dla kogoś stojącego na

ulicy stanowiłabym teraz wyśmienity cel, i drżącymi palcami wyciągnęłam z kieszeni paczkę papierosów. Były jeszcze wilgotne po niedawnej gonitwie wśród zasp śnieżnych, ale jeden dał się zapalić.

- Johnny, kiedy powiedziałaś, że ten... analog odtwarza całą Ziemię, ja zapytałam: “Po co, na miłość boską?”, a ty mruknąłeś wtedy, że kto wie, czy nie właśnie po to. Co miałeś na myśli?

- Że w tym wszystkim najważniejszy może okazać się Bóg.

- Jaśniej, jeżeli można prosić.

Johnny westchnął ciężko.

- Nie wiem dokładnie, po co zapoczątkowano “Projekt Keats” ani w jakim celu stworzono analog Starej Ziemi, podejrzewam jednak, iż ma to jakiś związek z liczącymi sobie ponad siedemset lat planami TechnoCentrum stworzenia Najwyższego Intelaktu.

- Najwyższy Intelakt... - powtórzyłam, wydmuchując dym. - Aha. Więc TechnoCentrum stara się zbudować Boga?

- Tak.

- Dlaczego?

- Na to pytanie nie ma prostej odpowiedzi, Brawne. Podobnie jak nie ma prostej odpowiedzi na pytanie, dlaczego ludzie od tysięcy pokoleń poszukują Boga, dopatrując się Go w milionach najróżniejszych wcieleń. W przypadku TechnoCentrum nacisk położony jest raczej na większą wydajność i lepszą technikę żonglowania zmiennymi.

- Przecież TechnoCentrum ma do dyspozycji samo siebie i megadatasferę złożoną z datasfer dwustu planet!

- Mimo to jego zdolności wizjonerskie są w znacznym stopniu ograniczone.

Wyrzuciłam papierosa za okno i odprowadziłam spojrzeniem czerwony punkcik, niknący w ciemności. Nagle odniosłam wrażenie, że wiatr stał się bardzo zimny.

- W jaki sposób to wszystko... Stara Ziemia, odtwarzanie osobowości, cybrydy... Co to wszystko ma wspólnego z tworzeniem Najwyższego Intelaktu?

- Nie wiem, Brawne. Osiemset lat standardowych temu, na początku Pierwszej Epoki Informatycznej, pewien człowiek nazwiskiem Norbert Weiner napisał: “Czy Bóg może traktować poważnie swoje dzieło? Czy jakikolwiek stwórca, nawet najbardziej ograniczony w swej potędze, może traktować poważnie swoje dzieło?”

Ludzkość próbowała odpowiedzieć na to pytanie, budując pierwsze, prymitywne SI. Teraz to samo czyni TechnoCentrum. Kto wie, może projekt "Najwyższy Intelekt" zakończył się powodzeniem i wszystko, czego jesteśmy świadkami, stanowi kaprys Stworzyciela/Stworzonego, którego działanie tak dalece wykracza poza możliwości pojmowania Sztucznych Inteligencji, jak ich działanie wykracza poza możliwości pojmowania ludzi?

Odwróciłam się od okna i ruszyłam przed siebie, ale po dwóch krokach rąbnęłam kolaniem w krawędź niskiego stolika i uznałam, że lepiej będzie pozostać na miejscu.

- Ale to wszystko nadal nie wyjaśnia, kto i dlaczego chce cię zabić.

- Masz rację.

Johnny wstał z kanapy i podszedł do przeciwległej ściany. Trzasnęła zapalana zapalka, a w chwilę potem zapłonęła świeca. Nasze cienie zatańczyły na ścianach i suficie.

Zbliżył się do mnie i łagodnie ujął mnie za ramię. Słaby blask świecy nadał jego włosom i rzęsom barwę czystej miedzi, uwydatniając wystające kości policzkowe i mocno zarysowaną szczękę.

- Dlaczego jesteś taka twarda? - zapytał.

Przez chwilę wpatrywałam się w jego twarz, oddaloną od mojej zaledwie o kilkanaście centymetrów. Byliśmy tego samego wzrostu.

- Puść mnie - powiedziałam wreszcie.

On jednak przysunął się jeszcze bliżej i pocałował mnie. Miał miękkie, ciepłe wargi, pocałunek zaś zdawał się trwać całymi godzinami. To jest maszyna, powtarzałam sobie w myślach. Człowiek, ale w środku maszyna.

Zamknęłam oczy. Jego ręka delikatnie przesunęła się po moim policzku, karku, tyle głowy.

- Posłuchaj... - szepnęłam, kiedy przerwał na chwilę.

Nie pozwolił mi dokończyć, tylko chwycił mnie w ramiona i zaniósł do sypialni. Wysokie łóżko. Miękki materac i gruba kołdra. Przy wpadającym przez otwarte drzwi blasku świecy rozbieraliśmy się z gorączkową niecierpliwością.

Tej nocy kochaliśmy się trzykrotnie, za każdym razem reagując - początkowo powoli i spokojnie, później coraz szybciej i gwałtowniej - na ciepło dotyku i bliskość naszych ciał. Pamiętam, jak w pewnej chwili spojrzałam z góry na jego twarz; miał zamknięte oczy, włosy opadły mu w nieładzie na czoło, jego policzki zaróżowiły się

rumieńcem, a zaskakująco silne ramiona kierowały mnie tam, gdzie powinnam być. Nagle otworzył oczy, a ja ujrzałam w nich tylko namiętność i miłosną ekstazę.

Zasnęliśmy na krótko przed świtem. W ostatniej chwili poczułam jeszcze, jak jego chłodna ręka przesunęła się po moim biodrze w pieszczotliwym, łagodnym geście, w którym nie było nic zaborczego.

Dopadli nas o pierwszym brzasku. Było ich pięciu - nie Luzyjczycy, ale wszyscy chłopcy na schwał. Dobrze ze sobą współpracowali.

Usłyszałam ich dopiero wtedy, kiedy otworzyli kopnięciem drzwi mieszkania. Przetoczyłam się z łóżka na podłogę, dopadłam drzwi sypialni i spojrzałam przez szczelinę. Johnny usiadł na łóżku i krzyknął coś, widząc, że pierwszy mężczyzna skierował na niego ogłuszacz. Przed snem włożył spodenki; ja byłam zupełnie naga. Co prawda walka z kompletnie ubranym przeciwnikiem nastęrcza nieco problemów, lecz największą przeszkodę stanowią opory natury psychicznej. Jeżeli pozbędziesz się przekonania, że jesteś zupełnie pozbawiony ochrony, reszta nie ma znaczenia.

Pierwszy napastnik zauważył mnie, ale postanowił najpierw unieszkodliwić Johnny'ego, i natychmiast zapłacił za swój błąd. Błyskawicznym kopnięciem wytrąciłam mu broń z ręki i powaliłam go ciosem, który wyładował za lewym uchem. Dwaj następni wepchnęli się do pokoju i ruszyli w moją stronę, jeszcze dwaj zaś zajęli się Johnnym. Zablokowałam nieszkodliwy cios, uchyliłam się przed drugim, który mógłby narobić prawdziwych szkód, i cofnęłam się o krok. Po mojej lewej stronie stała wysoka komoda; najwyższa szuflada dała się wyjąć bez najmniejszego trudu. Była cholernie ciężka. Wielgas, który stał przede mną, zasłonił sobie głowę obiema rękami i drewno rozprysło się na boki, nie czyniąc mu większej szkody, ale ta instynktowna reakcja pozwoliła mi zadać potwornie silny cios nogą. Przeciwnik stęknął cicho i zwałił się jak kłoda na leżącego już na podłodze kolegę.

Johnny walczył jak lew, lecz jeden z napastników chwycił go od tyłu za gardło, natomiast drugi przygwoździł mu nogi do łóżka. Poderwałam się z niskiego przysiadu, przyjąłam po drodze cios od mojego drugiego oponenta i skoczyłam na łóżko. Typek, który trzymał Johnny'ego za nogi, bez słowa wypadł razem z oknem na ulicę.

Ktoś wyładował mi na plecach, więc przetoczyłam się przez łóżko i po podłodze, a następnie rąbnęłam nim o ścianę. Był niezły. Zamortyzował uderzenie ramieniem, po czym spróbował dziabnąć mnie palcem w splot nerwów za uchem. Ku swemu zdziwieniu natrafił tam jednak na warstwę twardych jak stal mięśni, ja zaś

wbiłam mu łokieć w żołądek i szybko odturlałam się na bok. Facet, który dusił Johnny'ego, dał mu spokój, by zadać mi wręcz podręcznikowy cios w żebra. Przyjęłam go częściowo na ciało - byłam pewna, że pękło mi co najmniej jedno żebro - wykonałam półobrót, a następnie, rezygnując ze zbędnej elegancji, zmiażdżyłam mu ręką lewe jądro. Biedak wrzasnął tak, że mało mi bębenki nie pękły, i zrezygnował z dalszej zabawy.

Nie zapomniałam o leżącym na podłodze ogłuszaczu, podobnie zresztą jak ostatni przeciwnik. Przeskoczył na drugą stronę łóżka i schylił się, żeby podnieść broń z podłogi. W związku z tym nie pozostało mi nic innego jak zapomnieć o bólu w klatce piersiowej, podnieść masywne łóżko wraz z leżącym na nim Johnnym, i opuścić je gościowi na głowę. Zaraz potem zgarnęłam ogłuszacz z podłogi i wycofałam się do pustego kąta.

Jeden napastnik wyleciał przez okno. Chyba mogłam przestać się o niego martwić, ponieważ znajdowaliśmy się na wysokim pierwszym piętrze. Ten, który wszedł jako pierwszy, leżał nieruchomo w drzwiach. Ten, którego kopnęłam, zdołał już dźwignąć się na jedno kolano i oba łokcie. Sądząc po płynącej mu z ust krwi, on także miał złamane żebro, które jednak przebiło płuca. Marnie oddychał. Ten z łóżkiem na głowie miał zmiażdżoną czaszkę. Ten, który dusił Johnny'ego, leżał zwinięty w kłębek pod oknem, trzymał się za jądra i rzygał. Strzeliłam do niego z ogłuszacza, podeszłam do tego z przebitym płucem, chwyciłam go za włosy i odgięłam mu głowę do tyłu.

- Kto was przysłał?

- Pieprz się! - wycharczał, opryskując mnie różową śliną.

- Może później - odparłam. - Pytam jeszcze raz: kto was przysłał?

Położyłam rękę po tej stronie jego klatki piersiowej, gdzie dostrzegłam lekkie wklęśnięcie, i nacisnęłam.

Facet wrzasnął i mocno zbladł. Kiedy zakasłał, ślina nie była już różowa, lecz czerwona.

- Kto was przysłał? - powtórzyłam i ponownie zbliżyłam rękę do fatalnego miejsca.

- Biskup! - wykrzyknął, próbując odsunąć się ode mnie jak najdalej.

- Jaki biskup?

- Świątynia Chyżwara... Lusus... proszę, nie... Kurwa mać!...

- Co mieliście z nim... z nami zrobić?

- Nic... Nie, proszę! Potrzebuję lekarza!

- Zgadza się. Odpowiadaj.

- Ogłuszyć i sprowadzić do... do Świątyni... na Lususie. Błagam! Nie mogę oddychać!

- A co ze mną?

- Mieliśmy cię zabić, gdybyś stawiała opór.

- W porządku - powiedziałam, odciągając mu głowę jeszcze bardziej do tyłu. - Jak na razie, idzie nam całkiem nieźle. Do czego był im potrzebny?

- Nie wiem. - Wrzask, który rozległ się w chwilę potem, był bardzo głośny. Przez cały czas trzymałam w prawej ręce ogłuszacz i nie spuszczałam oka z drzwi mieszkania. - Nie wiem... - Powtórzył słabym głosem. Krew coraz szybciej kapłała na podłogę.

- Jak się tu dostaliście?

- EMV... na dachu...

- A skąd?

- Nie wiem... słowo honoru... jakieś miasto w wodzie. EMV wróci tam automatycznie... Proszę!

Rozdarłam mu koszulę, przeszukałam błyskawicznie wszystkie kieszenie. Ani komlogu, ani żadnej ukrytej broni. Tuż nad sercem miał wytatuowany niebieski trójząb.

- Goonda? - zapytałam.

- Tak... Bractwo Parvati.

Poza Siecią, przypuszczalnie bardzo trudni do wyśledzenia.

- Wszyscy?

- Tak... Proszę... sprowadź pomoc... cholera...

Zwiśł mi bezwładnie w rękę, prawie nieprzytomny z bólu.

Pozwoliłam mu opaść na podłogę, odsunęłam się o krok i posłałam w niego spory ładunek z ogłuszacza.

Johnny siedział na łóżku, rozcierając obolałe gardło, i przyglądał mi się jakoś dziwnie.

- Ubieraj się - rzuciłam. - Znikamy.

EMV okazał się starym, przezroczystym vikkenem scenic bez czytnika linii papilarnych przy stacyjce. Jeszcze nad Francją dogoniliśmy uciekającą noc, a w chwilę

potem znaleźliśmy się nad czarną pustką - według Johnny'ego był to Ocean Atlantycki. Z góry świeciły gwiazdy, w dole zaś od czasu do czasu pojawiały się rozległe jasne plamy podwodnych kolonii i maleńkie punkciki pływających platform.

- Dlaczego zabraliśmy ich pojazd? - zapytał Johnny.

- Chcę sprawdzić, skąd tu przybyli.

- Powiedział, że ze świątyni Chyżwara na Lususie.

- Rzeczywiście. Teraz przekonamy się, czy mówił prawdę.

Twarz Johnny'ego była prawie niewidoczna w ciemności, ale wydawało mi się, że spogląda w dwudziestokilometrową pustkę pod nami.

- Myślisz, że ci ludzie umrą?

- Jeden już był trupem - odparłam. - Ten z przebitym płucem potrzebuje pomocy, a dwóm nic nie będzie. Nie mam pojęcia, co się stało z tym, który wypadł przez okno. Naprawdę cię to obchodzi?

- Tak. Ten pokaz przemocy był... barbarzyński.

- "Choć uliczna burda jest ze wszech miar godna potępienia, to nie ma nic złego w energii, jaką wyzwała ona w ludziach" - zacytowałam. - Żaden z nich nie był chyba cybrydem?

- Raczej nie.

- A więc masz co najmniej dwóch przeciwników: SI oraz biskupa Kościoła Chyżwara. Wciąż jednak nie wiemy, dlaczego chcą cię zabić.

- Chyba już się tego domyślam.

Rozsiadłam się wygodnie w miękkim fotelu. Gwiazdy nad naszymi głowami - ułożone w konstelacje, jakich nie widziałam ani na hologramach ze Starej Ziemi, ani na żadnej z planet Sieci - dawały tylko tyle światła, żebym mogła dostrzec oczy Johnny'ego.

- Wobec tego powiedz mi.

- Naprowadziła mnie na to twoja wzmianka o Hyperionie, a raczej fakt, że nic o nim nie wiem. W tym przypadku brak informacji świadczy o jej wadze.

- Zupełnie jak z psem szczekającym w nocy - mruknęłam.

- Proszę?

- Nieważne. Mów dalej.

Johnny nachylił się w moją stronę.

- Istnieje tylko jeden prawdopodobny powód wystąpienia takiej luki w mojej pamięci: ingerencja TechnoCentrum.

- Twój cybryd... - Czułam się trochę głupio mówiąc do niego w ten sposób. - Większość czasu spędzałeś w Sieci, prawda?

- Tak.

- Przecież mogłeś w każdej chwili natrafić na jakąś informację o Hyperionie, szczególnie w kontekście kultu Chyżwara.

- Możliwe, że natrafiłem, i właśnie dlatego zostałem zamordowany.

Spojrzałam w górę, na gwiazdy.

- Najlepiej będzie, jeśli zapytamy o to biskupa - powiedziałam.

Johnny poinformował mnie, że światła, które pojawiły się przed nami, to analog Nowego Jorku z połowy dwudziestego pierwszego wieku. Nie wiedział, jaki projekt wymagał rekonstrukcji tak ogromnego miasta. Wyłączyłam autopilota i sprowadziłam EMV na niższy pułap.

Wysokie budynki, symbole fallicznej epoki w architekturze miejskiej, wyrastały bezpośrednio z bagien i trzęsawisk przybrzeżnego zalewiska. W wielu płonęły światła.

- Empire State Building - powiedział Johnny, wskazując mocno już zniszczoną, ale nadal elegancką budowlę.

- Cokolwiek to jest, EMV chce właśnie tam lądować.

- Czy nic nam nie grozi?

Uśmiechnęłam się do niego.

- Przez całe życie grożą nam różne rzeczy.

Pozwoliłam pojazdowi skierować się w stronę niewielkiej platformy pod samą iglicą budynku. Kiedy EMV wylądował, wyszliśmy na zewnątrz i stanęliśmy na popękany tarasie. Było zupełnie ciemno, jeżeli nie liczyć gwiazd oraz świateł w niższych budynkach. Niedaleko od nas, w miejscu gdzie kiedyś zapewne były drzwi windy, znajdował się rozjarzony błękitnym blaskiem portal transmitera.

- Pójdę pierwsza - powiedziałam, ale Johnny już zniknął w błękitnym prostokacie. Ścisnęłam mocniej rękojeść ogłuszacza i ruszyłam za nim.

Nigdy przedtem nie byłam w świątyni Chyżwara na Lususie, lecz nie ulegało dla mnie wątpliwości, że teraz właśnie tam się znalazłam. Johnny stał kilka kroków ode mnie. Byliśmy sami. Otaczała nas chłodna ciemność, nasuwająca skojarzenia z jaskinią, gdyby nie to, że jaskinie chyba nie są tak ogromne. Przerazająca rzeźba, wisząca na niewidocznych linach, obracała się powoli przed nami, poruszana niewyczuwalnymi prądami powietrza. Oboje odwróciliśmy się gwałtownie, kiedy portal bezgłośnie zniknął.

- Wygląda na to, że sami wleźliśmy im w łapy - szepnęłam do Johnny'ego, ale w tej gigantycznej, wypełnionej czerwona ciemnością hali mój szept zabrzmiał niemal jak huk gromu. Nie miałam zamiaru ciągnąć Johnny'ego za sobą do świątyni, lecz stało się tak, jak się stało.

Światło przybrało nieco na sile - co prawda nie wydobyło z ciemności ścian wielkiego pomieszczenia, ale rozszerzyło swój zasięg, dzięki czemu przekonaliśmy się, że otacza nas półkolem kilkunastu mężczyzn. Niektórzy z nich nazywali się egzorcystami, inni lektorami, była też jeszcze jedna kategoria, której nazwa wyleciała mi z pamięci. Sprawiali niezbyt sympatyczne wrażenie, ubrani w szaty łączące na przeróżne sposoby czerń i czerwień, z ogolonymi głowami błyszczącymi w czerwonej poświacie. Bez trudu rozpoznałam wśród nich biskupa; bez wątpienia pochodził z mojej planety, choć był niższy i bardziej otyły od większości Luzyjczyków, a jego szata miała kolor krwistoczerwony.

Nawet nie starałam się ukryć ogłuszacza. Możliwe, że gdyby wszyscy rzucili się na nas, zdążyłabym kilku położyć. Możliwe, ale mało prawdopodobne. Co prawda nie widziałam żadnej broni, lecz pod obfitymi szatami dałoby się ukryć spory arsenał.

Johnny ruszył w kierunku biskupa, a ja chcąc nie chcąc podążyłam za nim. Zatrzymał się jakieś dziesięć kroków przed mężczyzną w czerwieni. Biskup był jedyną osobą w zasięgu wzroku, która nie stała. Jego wykonany z drewna fotel sprawiał wrażenie, jakby ważył bardzo niewiele i dawał się łatwo składać. O siedzącym na nim człowieku z pewnością nie dałoby się tego powiedzieć.

Johnny postąpił jeszcze krok naprzód.

- Dlaczego próbowałaś porwać mojego cybryda? - zapytał dostojnika, nie zwracając najmniejszej uwagi na pozostałych.

Biskup roześmiał się cicho i potrząsnął głową.

- Moja droga... istotnie! To prawda, że chcieliśmy ujrzyć cię w naszym przybytku, ale nie dysponujesz żadnymi dowodami, że staraliśmy się osiągnąć to w tak nieelegancki sposób.

- Nie interesują mnie dowody - odparł Johnny. - Po prostu jestem ciekaw, czego ode mnie chcecie.

Usłyszałam za plecami jakiś szelest i odwróciłam się raptownie z ogłuszaczem gotowym do strzału, lecz kapłani Chyżwara nadal stali nieruchomo szerokim kręgiem. Większość znajdowała się poza zasięgiem mojej broni. Żałowałam, że nie mam przy sobie pistoletu ojca.

Biskup miał głęboki, dźwięczny głos, który zdawał się wypełniać całą ogromną przestrzeń.

- Pewnie wiesz o tym, że Kościół Ostatecznego Odkupienia jest żywotnie zainteresowany planetą Hyperion?

- Tak.

- Z pewnością zdajesz sobie także sprawę, że w ciągu kilku minionych stuleci osoba żyjącego dawno temu na Starej Ziemi poety nazwiskiem Keats stała się jednym z najbardziej znanych mitów kulturowych Hyperiona?

- Tak. I co z tego?

Biskup potarł policzek wielkim czerwonym pierścieniem, który pysznił się na jednym z palców jego prawej ręki.

- Kiedy zgłosiłeś się na ochotnika, aby wziąć udział w pielgrzymce, wyraziliśmy zgodę. Kiedy wycofałeś swoją kandydaturę, odczuliśmy wielki niepokój.

Na twarzy Johnny'ego pojawiło się stuprocentowo ludzkie zdumienie.

- Zgłosiłem się? Kiedy?

- Osiem miejscowych dni temu - odparł biskup. - Tutaj, w tej sali.

- Czy powiedziałem, co skłoniło mnie do podjęcia tej decyzji?

- O ile sobie przypominam, użyłeś sformułowania, że "będzie to z korzyścią dla twojego wykształcenia". Jeśli chcesz, możemy przedstawić ci zapis naszej rozmowy. Rejestrujemy wszystkie spotkania, jakie odbywają się na terenie świątyni. Możesz także otrzymać kopię tego zapisu, żeby obejrzeć ją w dogodnej chwili.

- Chętnie.

Biskup skinął głową. Jeden z akolitów, czy jak tam im było, zniknął w ciemności, by powrócić po chwili ze standardowym wideochipem w dłoni. Biskup ponownie skinął głową i odziany w czerwono-czarne szaty mężczyzna wręczył chip Johnny'emu. Trzymałam faceta na muszce, dopóki nie wrócił na swoje miejsce w półokręgu.

- Dlaczego nasłaliście na nas goondów? - zapytałam. Odezwałam się po raz pierwszy od początku spotkania i mój głos wydał mi się zdecydowanie za głośny i zbyt zachrypnięty.

Dostojnik wykonał nieokreślony gest pulchną ręką.

- M. Keats wyraził życzenie przyłączenia się do naszej świętej pielgrzymki. Ponieważ my w Kościele Chyżwara wierzymy, że Ostateczne Odkupienie zbliża się z każdym dniem, taki fakt nie jest dla nas pozbawiony znaczenia. Nasi agenci donosili

ostatnio, że M. Keats stał się obiektem kilku zamachów na swoje życie, oraz że pewien prywatny detektyw - to znaczy ty, M. Lamio - zniszczył wysłanego przez TechnoCentrum cybryda, który miał go ochraniać.

- Ochraniać?! - wykrzyknęłam ze zdumieniem.

- Naturalnie - odparł biskup, po czym zwrócił się do Johnny'ego: - Czyżby mężczyzna z kucykiem, który został zamordowany na trasie zwiedzania biegnącej przez planety templariuszy, nie był tym samym osobnikiem, którego zaledwie tydzień temu przedstawiłeś nam jako swojego ochroniarza? Możesz zobaczyć go na nagraniu.

Johnny nic nie odpowiedział. Miał taką minę, jakby usilnie starał się coś sobie przypomnieć.

- Tak czy inaczej, przed końcem tego tygodnia musimy poznać twoją ostateczną decyzję dotyczącą uczestnictwa w pielgrzymce - dodał biskup. - "Sequoia Sempervirens" odlatuje za dziewięć tutejszych dni.

- Ale to przecież drzewostatek templariuszy! - zaprotestował Johnny. - Oni nie dokonują takich długich przeskoków.

Biskup uśmiechnął się.

- W tym wypadku sprawy przedstawiają się nieco inaczej. Mamy powody przypuszczać, iż będzie to ostatnia sponsorowana przez Kościół pielgrzymka, w związku z czym wynajęliśmy statek templariuszy, aby mogła wziąć w niej udział jak największa liczba wiernych. - Dostojnik skinął ręką i jego czarno-czerwona świta zniknęła w ciemnościach. Zostali jedynie dwaj egzorcyci, którzy podeszli do fotela i pomogli biskupowi podnieść się na nogi. - Proszę, przekaż nam swoją odpowiedź najszybciej, jak to będzie możliwe - powiedział i odszedł. Dwaj egzorcyci poprowadzili nas do wyjścia.

Tym razem nie skorzystaliśmy z transmitera, tylko wyszliśmy przez główne drzwi świątyni i stanęliśmy u szczytu długich schodów prowadzących w dół, na Główny Pasaż Pierwszego Kopca. Odetchnęliśmy głęboko, napelniając płuca chłodnym, przesyconym wonią oleju powietrzem.

Pistolet ojca leżał w szufladzie dokładnie tam, gdzie go zostawiłam. Upewniłam się, że magazynek jest pełen, i zabrałam broń do kuchni, gdzie właśnie dosmażały się omlety. Johnny siedział przy stole, obserwując dok załadunkowy przez szare od brudu okno. Zsunęłam omlety na talerze i postawiłam jeden przed nim. Odwrócił wzrok od okna i spojrzał na mnie dopiero wtedy, kiedy nalewałam kawę.

- Wierzysz mu? - zapytałam. - Sądziś, że to naprawdę był twój pomysł?

- Widziałaś przecież nagranie.

- Nagranie można sfalszować.

- Owszem, ale to było prawdziwe.

- Skoro tak, to czy mógłbyś mi wyjaśnić, po co zgłosiłaś chęć uczestniczenia w pielgrzymce? I dlaczego twój ochroniarz spróbował zabić cię zaraz po twojej rozmowie z biskupem i kapitanem statku?

Johnny odkroił kawałek omleta, skosztował, skinął z aprobatą głową i włożył do ust kolejny kawałek.

- Ten "ochroniarz"... Zupełnie go nie znam. Widocznie przydzielono mi go w ciągu tego tygodnia, który wyleciał mi z pamięci. Jego prawdziwe zadanie polegało na tym, aby dopilnować, żebym czegoś nie odkrył, albo wyeliminować mnie, gdybym jednak na coś natrafił.

- Chodziło o coś w Sieci czy infoświecie?

- Wydaje mi się, że w Sieci.

- Musimy się koniecznie dowiedzieć, dla kogo pracował i dlaczego nasłali go na ciebie.

- Już wiem - powiedział Johnny. - Przed chwilą o to zapytałem. Według TechnoCentrum sam zwróciłem się z prośbą o przydzielenie ochrony. Ten cybryd był kontrolowany przez ośrodek SI stanowiący odpowiednik czegoś w rodzaju sił bezpieczeństwa.

- Zapytaj, dlaczego chcieli cię zabić.

- Zapytałem. Stanowczo twierdzą, że to niemożliwe.

- W takim razie dlaczego tydzień po morderstwie ten "ochroniarz" łaził za tobą krok w krok?

- Utrzymują, że choć po moim... rozłączeniu nie zażądałem ponownie ochrony, TechnoCentrum uznało jednak, że powinienem otrzymać pewną opiekę.

Parsknęłam śmiechem.

- Ładna mi opieka! Do cholery, dlaczego zaczął uciekać, kiedy do niego podeszłam? Oni nawet się nie starają, żeby ta historyjka miała ręce i nogi!

- To fakt.

- Z kolei biskup nie pofatygował się, żeby wyjaśnić, w jaki sposób Kościół Chyżwara uzyskał dostęp za pośrednictwem transmitera do Starej Ziemi, czy jak tam nazywacie tę sztuczną planetę.

- Nie zapytaliśmy go o to.

- Nie zrobiłam tego tylko dlatego, że chciałam wyjść z tej przeklętej świątyni w jednym kawałku!

Odniosłam wrażenie, że Johnny mnie nie słucha. Popijał kawę ze spojrzeniem wbitym w jakiś odległy punkt.

- Co jest? - warknęłam.

Spojrzał na mnie, skubiąc w zamyśleniu dolną wargę.

- Brawne, w tym wszystkim kryje się pewien paradoks.

- Jak to?

- Jeżeli naprawdę miałem zamiar udać się na Hyperiona - to znaczy, jeżeli chciałem posłać tam swojego cybryda - to nie mogłem jednocześnie pozostać w TechnoCentrum. Musiałbym przenieść całą świadomość w cybryda.

- Dlaczego? - zapytałam, mimo iż doskonale znałam odpowiedź.

- Pomyśl tylko: infopłaszczyzna stanowi twór całkowicie abstrakcyjny, na który składają się datasfery generowane przez komputery i SI oraz quasi-percepcyjne macierze Gibsona, wymyślone początkowo wyłącznie dla wygody ludzi, potem zaś stanowiące pomost dla porozumiewania się człowieka z maszynami i Sztucznymi Inteligencjami.

- Ale przecież hardware SI musi istnieć w realnej przestrzeni - powiedziałam. - Najprawdopodobniej gdzieś w TechnoCentrum.

- Oczywiście, lecz nie ma to najmniejszego znaczenia dla funkcjonowania świadomości SI. Ja na przykład mogę "być" wszędzie tam, gdzie pozwolą mi dotrzeć przenikające się nawzajem datasfery, to znaczy na wszystkich planetach Sieci, na infopłaszczyźnie, na którymkolwiek z tworców TechnoCentrum przypominających Starą Ziemię, ale tylko w tym środowisku dysponuję czymś w rodzaju świadomości i jestem w stanie sterować działaniem mojego cybryda.

Odstawiłam kubek z kawą i popatrzyłam na to coś, z czym minionej nocy kochałam się jak z mężczyzną.

- Tak?

- Planety o statusie kolonii mają datasfery o bardzo ograniczonym zasięgu - ciągnął Johnny. - Co prawda kontakt z TechnoCentrum jest utrzymywany za pomocą komunikatorów, lecz w ten sposób można przysyłać tylko informacje - zupełnie jak w Pierwszej Epoce Informatycznej - a nie zapisy świadomości. Datasfera Hyperiona jest tak prymitywna, że prawie nie istnieje, z tego zaś, co wiem, wynika, że

TechnoCentrum w ogóle nie ma kontaktu z tą planetą.

- A może to całkiem normalne? - zauważyłam. - Biorąc pod uwagę odległość, i w ogóle...

- Na pewno nie - stwierdził stanowczo mój niedawny kochanek. - TechnoCentrum utrzymuje kontakt ze wszystkimi koloniami, z międzygwiazdowymi barbarzyńcami w rodzaju Intruzów oraz z wieloma innymi miejscami i bytami, o których istnieniu Hegemonia nie ma najmniejszego pojęcia.

Byłam wstrząśnięta.

- Z Intruzami? - wykrztusiłam. Od kilku lat, a dokładniej od Bitwy o Bressię, Intruzi, mówiąc bardzo delikatnie, nie cieszyli się nadmierną sympatią. Sama myśl o tym, że TechnoCentrum, czyli zbiorowisko Sztucznych Inteligencji, które służą radą Senatowi oraz WszechJedności, kierują całą ekonomią Sieci, kontrolują system transponderów i w ogóle są odpowiedzialne za funkcjonowanie naszej cywilizacji, może utrzymywać kontakty z Intruzami, była co najmniej przerażająca. A co Johnny rozumiał przez "inne miejsca i byty"? Jeśli mam być szczerą, to wcale nie zależało mi na tym, żeby się tego dowiedzieć.

- Powiedziałeś jednak, że twój cybryd mógłby tam dotrzeć - przypominałam mu. - Co rozumiesz przez "przeniesienie" do niego całej osobowości? Czy SI jest w stanie zamienić się w człowieka? Czy byłoby możliwe, żebyś istniał tylko w swoim cybrydzie?

- Kiedyś już zrobiono coś takiego - odparł cicho Johnny. - Tylko raz. Chodziło o rekonstrukcję osobowości bardzo podobnej do mojej. Dwudziestowieczny poeta Ezra Pound. Zrezygnował z życia na infopłaszczyźnie i uciekł do Sieci w swoim cybrydzie... Ale ta rekonstrukcja była szalona.

- Albo zupełnie normalna - mruknęłam.

- Być może.

- Tak więc cała osobowość i wiedza SI może przetrwać w organicznym mózgu cybryda?

- Oczywiście, że nie, Brawne. Przemieszczenia nie przetrwałyby nawet jeden procent jednego procenta mojej świadomości. Mózgi organiczne nie dają sobie rady z przetwarzaniem nawet najbardziej prymitywnych informacji. Osobowość, jaką otrzymałoby się w wyniku takiej operacji, nie przypominałaby ani SI, ani człowieka, gdyż...

Johnny przerwał w pół zdania i odwrócił się szybko w stronę okna.

- Co się stało? - zapytałam, kiedy minęła minuta, a on nadal siedział bez ruchu. Wyciągnęłam rękę, ale go nie dotknęłam.

- Być może myliłem się twierdząc, że ta osobowość nie przypominałaby człowieka - szepnął nie odwracając głowy. - Jest całkiem możliwe, że jednak byłby to człowiek, tyle tylko że z domieszką odrobiny boskiego szaleństwa i umiejętności spoglądania na świat z nadludzkiej perspektywy. Gdyby zaś uwolnić go od wspomnień o naszej epoce i wymazać z jego pamięci wiedzę na temat TechnoCentrum... może wówczas stałby się do końca tą osobą, której kopię miał stanowić jego cybryd.

- John Keats - powiedziałam.

Johnny dopiero teraz odwrócił się od okna i zamknął oczy. Kiedy przemówił, jego głos był aż ochrypy ze wzruszenia. Po raz pierwszy słyszałam go recytującego poezję.

Fanatyków marzenia piękny uplatają
Ogród rajski dla sekty. Nawet sny dzikusów
Na najwyższym swych marzeń wierzchołku sięgają
Samego nieba. Ale biedni nie potrafią
Na papirusie albo na palmowym liściu
Utrwalić choćby cienia melodyjnych wizji.
Bez laurowych drzew żyją, śnią i umierają.
Tylko poezja bowiem sny wyrazić umie,
Magią słów tylko ona potrafi wydobyć
Wyobraźnię z niewoli mrocznego zaklęcia,
Ze spętania niemego. Czyż wolno powiedzieć:
"Ty nie jesteś poetą, więc nie mów snów swoich?"
Każdy człowiek, którego dusza nie jest kłodą,
Ma wizje, które mógłby, gdyby chciał, wyrazić,
Gdyby dokładnie zgłębił swój język ojczysty.
Czy ów sen, który teraz ma być zapisany,
Będzie snem fanatyka czy raczej poety,
Okaże się, gdy skrzętna ta i ciepła ręka
Odpocznie w zimnym grobie.

- Nie rozumiem - przyznałam. - Co to znaczy?

- To znaczy, że wiem, jaką podjąłem decyzję i dlaczego to uczyniłem - odparł, uśmiechając się lekko. - Chciałem przestać być cybrydem, a stać się człowiekiem. Chciałem polecieć na Hyperiona. Nadal tego chcę.

- Tydzień temu ktoś zabił cię z powodu tej decyzji.

- Tak.

- I mimo to pragniesz spróbować jeszcze raz?

- Tak.

- Czy nie lepiej byłoby przenieść świadomość tutaj, do tego cybryda, i zacząć życie w Sieci?

- Coś takiego nigdy by mi się nie udało – odparł Johnny. - To, co ty postrzegasz jako złożone międzygwiazdne społeczeństwo, stanowi jedynie maleńki fragment matrycy rzeczywistości. Bez przerwy byłbym zdany na łaskę i niełaskę Sztucznych Inteligencji z TechnoCentrum, a Keats jako rzeczywisty człowiek nie miałby najmniejszych szans na przeżycie.

- W porządku - zgodziłam się. - Musisz wydostać się poza Sieć. Dlaczego jednak akurat na Hyperiona? Przecież jest wiele innych kolonii.

Wziął mnie za rękę i zacisnął na niej swoje długie, ciepłe i silne palce.

- Nie rozumiesz, Brawne? Jest całkiem możliwe, że sny Keatsa o Hyperionie świadczyły o nawiązaniu czegoś w rodzaju ponadczasowej łączności między nim z “wtedy” i z “teraz”, a nawet jeżeli nie, to Hyperion stanowi jedną z największych zagadek naszych czasów - zarówno natury czysto fizycznej, jak i poetyckiej - i jest całkiem możliwe, że on... to znaczy, że ja urodziłem się, umarłem i ponownie urodziłem się po to, aby ją rozwikłać.

- Dla mnie wygląda to na zupełne wariactwo - powiedziałam szczerze. - Mania wielkości.

Johnny roześmiał się.

- Prawie na pewno. A mimo to chyba nigdy nie byłem szczęśliwszy! - Chwył mnie za ramiona, postawił na nogi i objął mocno. - Polecisz ze mną, Brawne? Polecisz ze mną na Hyperiona?

Zamrugałam ze zdziwienia, zaskoczona nie tylko pytaniem, ale także odpowiedzią, która błyskawicznie ogarnęła mnie falą ciepła.

- Tak - powiedziałam. - Polecę.

Przeszliśmy do sypialni i kochaliśmy się przez resztę dnia. Potem zasnęliśmy, a obudził nas dopiero sączący się przez brudne szyby blask reflektorów oświetlających kratownice doków załadunkowych, na których właśnie zaczynała pracę trzecia zmiana. Pograżony w myślach Johnny leżał na wznak, wpatrując się w sufit szeroko otwartymi piwnymi oczami. Kiedy zauważył, że ja także nie śpię, uśmiechnął się i przytulił mnie mocno. Oparłam policzek w miejscu, w którym ramię łączy się z barkiem i klatką piersiową, po czym niemal natychmiast ponownie zapadłam w sen.

Kiedy nazajutrz przenieśliśmy się za pomocą transmitera na TC², włożyłam na siebie najlepsze ubranie: komplet z czarnego, błyszczącego materiału, białą jedwabną bluzkę z Renesansu z rubinową broszką zaprojektowaną przez Carvnela oraz

trójgraniasty Eulin Bré. Zostawiłam Johnny'ego w pełnym drewna i mosiądzu barze w pobliżu głównego terminalu, ale najpierw wręczyłam mu ukryty w papierowej torbie pistolet ojca, nakazując strzelać do każdego, kto spojrzy krzywo w jego stronę.

- Język Sieci ma niesłychanie wiele subtelnych odcieni - zauważył.

- Akurat to wyrażenie jest znacznie starsze niż Sieć - odparłam. - Po prostu zrób to, dobrze?

Ścisnęłam mu mocno rękę i wyszłam, nie oglądając się za siebie.

Najpierw polecałam taksówką do Centrum Administracyjnego, gdzie musiałam przejść chyba aż dziewięć szczegółowych kontroli, zanim wpuszczono mnie do środka. Pokonałam na piechotę półkilometrową trasę wiodącą przez Park Jeleni, podziwiając łąbędzie pływające po pobliskim jeziorze i białe budynki na szczycie odległego wzniesienia, po czym musiałam znowu poddać się drobiazgowej kontroli, zanim kobieta w mundurze strażnika poprowadziła mnie wykładaną płaskimi kamieniami ścieżką w kierunku siedziby rządu. Mieściła się ona w niskim, proporcjonalnym budynku wzniesionym wśród niewysokich wzgórz pokrytych klombami różnobarwnych kwiatów. Znalazłam się w eleganckiej poczekalni, ale zanim zdążyłam usiąść na autentycznym, pochodzącym sprzed hegiry, zabytkowym krześle, pojawił się sekretarz i zaprosił mnie do prywatnego gabinetu przewodniczącej Senatu.

Meina Gladstone wyszła zza biurka, aby uścisnąć mi rękę, i wskazała fotel. Czulałam się trochę dziwnie, widząc ją znowu osobiście po tylu latach oglądania jedynie w telewizji. Z bliska wyglądała jeszcze bardziej imponująco niż na ekranie: krótkie siwiejące włosy zdawały się rozwiane jakimś niewyczuwalnym, ale bardzo silnym wiatrem, kości policzkowe były tak wystające, a broda tak ostra i stercząca, jak twierdzili wszyscy dopatrujący się nadzwyczajnego podobieństwa między nią a Lincolnem, najbardziej jednak zwracały na siebie uwagę duże, smutne brązowe oczy, których spojrzenie mogło przekonać nawet największego niedowiarka, że stoi przed autentycznym, żywym człowiekiem z krwi i kości.

Ze zdziwieniem przekonałam się, że zaschło mi w ustach.

- Dziękuję, że zechciałaś mnie przyjąć, M. Gladstone. Wiem, jak bardzo jesteś zajęta.

- Nigdy tak bardzo, żeby nie móc się z tobą spotkać, Brawne. Podobnie jak twój ojciec nigdy nie był aż tak zajęty, żeby nie znaleźć trochę czasu dla mnie, kiedy jeszcze byłam młodym senatorem.

Skinęłam głową. Tata powiedział mi kiedyś, iż Meina Gladstone jest jedynym politycznym geniuszem Hegemonii. Od samego początku wiedział, że pewnego dnia zostanie przewodniczącą Senatu, mimo iż dość późno zaczęła brać czynny udział w życiu politycznym. Żałowałam, że nie dożył chwili, kiedy spełniły się jego przepowiednie.

- Jak się miewa twoja matka, Brawne?

- Dziękuję, M. Gladstone. Raczej nie opuszcza już naszego starego letniego domku na Freeholmie, ale odwiedzam ją co roku na Boże Narodzenie.

Gladstone skinęła głową. Przysiadła na krawędzi masywnego biurka, które - według brukowej prasy - należało niegdyś do jednego z zamordowanych prezydentów dawnych Stanów Zjednoczonych (jednak nie do Lincolna), ale zaraz uśmiechnęła się, wstała i przeniosła się na prosty fotel stojący za biurkiem.

- Brakuje mi twojego ojca, Brawne. Bardzo chciałabym, żeby teraz był tu ze mną. Widziałaś po drodze jezioro?

- Tak.

- Pamiętasz, jak razem z moją Kresten pływałyście po nim maleńkimi żaglówkami?

- Niestety nie, M. Gladstone. Musiałam być wtedy bardzo młoda.

Meina Gladstone ponownie się uśmiechnęła. Zaświergotał interkom, ale ona uciszyła go gniewnym machnięciem ręki.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Brawne?

Wzięłam głęboki wdech.

- M. Gladstone, z pewnością wiesz, że pracuję jako niezależny prywatny detektyw... - Nawet nie czekałam, aż skinie głową. - Sprawa, nad którą obecnie pracuję, kazała mi ponownie zająć się samobójstwem ojca...

- Brawne, przecież zdajesz sobie sprawę, że przeprowadzono bardzo szczegółowe śledztwo. Zapoznałam się z całym raportem komisji.

- Ja też - odparłam. - Jednak ostatnio dowiedziałam się wielu bardzo dziwnych rzeczy o TechnoCentrum i jego zainteresowaniu planetą o nazwie Hyperion. Czy ty i ojciec nie przygotowywaliście projektu uchwały, na mocy której Hyperion stałby się częścią Protektoratu?

Gladstone skinęła głową.

- Owszem. Tamtego roku mieliśmy takie plany wobec kilkunastu kolonii. Niestety, nie udało się z żadną.

- Zgadza się. Czy jednak nie odniosłaś wrażenia, M. Gladstone, że TechnoCentrum albo Rada Konsultacyjna SI najbardziej interesowały się właśnie Hyperionem?

Przewodnicząca Senatu przez chwilę przyglądała mi się uważnie, ssąc końcówkę staromodnego pióra.

- Czego się właściwie dowiedziałaś, Brawne?

Otwierałam już usta, ale ona nagle podniosła rękę.

- Zaczekaj. - Wcisnęła jakiś przycisk na biurku. - Thomas, wychodzę na chwilę. Dopilnuj, żeby delegacja z Sol Draconis miała się czym zająć, jeśli nie zdąży jej przyjąć o wyznaczonej porze.

Nie zauważyłam, żeby jeszcze czegoś dotknęła, ale przy przeciwległej ścianie pojawił się nagle portal transmitera. Dała mi znak, żebym szła pierwsza.

Aż po odległy horyzont ciągnęła się równina porośnięta złocistą, sięgającą do kolan trawą. Bladożółte niebo było pokryte rudawymi smugami przypominającymi obłoki. Nie miałam pojęcia, co to za planeta.

Meina Gladstone pojawiła się zaraz za mną i dotknęła komlogu przytroczonego do przedramienia. Portal zniknął. Ciepły wiatr niósł w naszą stronę jakieś intensywne, ale dość przyjemne zapachy.

Gladstone ponownie dotknęła komlogu, zerknęła w górę i skinęła głową.

- Przepraszam za pewne niedogodności, Brawne. Kastrop-Rauxel nie ma ani datasfery, ani żadnych satelitów. A teraz proszę, mów dalej. Na jaką informację udało ci się natrafić?

Rozejrzałam się po zupełnie pustej prerii.

- Nie jest to nic, co wymagałoby podejmowania tak daleko idących środków ostrożności... a przynajmniej tak mi się wydaje. Odkryłam, że TechnoCentrum jest bardzo zainteresowane Hyperionem oraz że zbudowało planetę będącą dokładnym analogiem Starej Ziemi.

Spodziewałam się zdumienia, może nawet niedowierzania, ale spotkało mnie rozczarowanie. Przewodnicząca Senatu najzwyczajniej w świecie skinęła głową.

- Wiemy o istnieniu tego analogu.

Byłam po prostu wstrząśnięta.

- Skoro tak, to dlaczego tego nie ogłosiliście? Jestem pewna, że mnóstwo ludzi byłoby zainteresowanych informacją o możliwościach TechnoCentrum.

Gladstone ruszyła przed siebie, a ja podążyłam za nią, żwawo przebierając

nogami, żeby nie zostać w tyle.

- Dlatego że nie leżałoby to w interesie Hegemonii. Nawet nasi najlepsi specjaliści od wywiadu nie mają pojęcia, dlaczego TechnoCentrum porwało się na coś takiego. Jedyne, co możemy na razie robić, to czekać. Co wiesz o Hyperionie?

Nie wiedziałam, czy mogę zaufać Meinie Gladstone. Pamięć o dawnych czasach nie miała tu najmniejszego znaczenia. Zdawałam sobie jednak doskonale sprawę, że jeśli chcę uzyskać jakieś informacje, to najpierw muszę dać coś od siebie.

- SI zbudowały kopię pewnego poety ze Starej Ziemi i za wszelką cenę starają się trzymać go z dala od wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z Hyperionem.

Gladstone zerwała długie źdźbło trawy i włożyła je do ust.

- John Keats - powiedziała.

Starłam się nie okazać zdziwienia.

- Właśnie. Wiem, że ojcu ogromnie zależało, aby Hyperion należał do Protektoratu. Jeżeli TechnoCentrum tak bardzo interesuje się tą planetą, to kto wie, czy nie miało wpływu... czy nie przyczyniło się...

- Do jego śmierci?

- Tak.

Złocista trawa falowała w podmuchach wiatru. Coś małego umknęło nam spod nóg i zniknęło między rosnącymi gęsto źdźbłami.

- To nie jest zupełnie niemożliwe, Brawne, tyle że nie mamy na to absolutnie żadnego dowodu. Powiedz mi, co teraz zamierza zrobić ten cybryd?

- M. Gladstone, najpierw ty powiedz mi, dlaczego TechnoCentrum tak bardzo interesuje się Hyperionem.

Przewodnicząca Senatu rozłożyła ręce.

- Gdybym to wiedziała, Brawne, spałabym znacznie spokojniej. O ile wiemy, Hyperion już od wielu stuleci stanowi prawdziwą obsesję TechnoCentrum. Kiedy przewodniczący Yevshensky zezwolił królowi Billy'emu z Asquith na rekolonizację planety, o mało nie spowodowało to całkowitej i nieodwracalnej secesji SI. Ostatnio podobny kryzys wywołało zamontowanie tam stacji przekaźnikowej dla komunikatorów.

- Jednak SI nie wypięły się na nas.

- Rzeczywiście. Wygląda na to, że z jakiegoś powodu jesteśmy im równie potrzebni, jak one nam.

- Ale skoro tak bardzo interesują się Hyperionem, to dlaczego nie dopuszczą go

do Sieci, żeby móc badać go na własną rękę?

Gladstone przesunęła dłonią po siwiejących włosach. Rdzawe obłoki wysoko na niebie przecięła smuga kondensacyjna jakiejś lecącej z wielką prędkością maszyny.

- Nawet nie chcą o tym słyszeć - westchnęła. - To bardzo interesujący paradoks. Teraz powiedz mi, co zamierza zrobić ten cybryd.

- Najpierw ty mi powiedz, dlaczego TechnoCentrum ma obsesję na punkcie Hyperiona.

- W tej sprawie nie wiemy nic pewnego.

- A czego się domyślacie?

Przewodnicząca Senatu wyjęła z ust źdźbło trawy i przyjrzała mu się uważnie.

- Przypuszczamy, że TechnoCentrum przystąpiło do realizacji niewiarygodnego projektu, który ma pozwolić Sztucznym Inteligencjom na przewidywanie... dosłownie wszystkiego. Mogłyby wówczas traktować wszystkie zmienne czasu, przestrzeni i historii jako informację zdatną do dalszej obróbki i wykorzystania.

- Najwyższy Intelakt... - mruknęłam, zdając sobie doskonale sprawę, że postępuję co najmniej nierozważnie.

Na twarzy przewodniczącej Senatu odmalowało się ogromne zdumienie.

- Skąd o tym wiesz?

Puściłam pytanie mimo uszu.

- Co wspólnego ma ten projekt z Hyperionem?

Gladstone westchnęła z rezygnacją.

- Tego też nie wiemy do końca, Brawne. Wiemy tylko tyle, że na Hyperionie występuje pewna anomalia, której SI nie potrafiły podporządkować zasadom swoich analiz prekognicyjnych. Czy słyszałaś o tak zwanych Grobowcach Czasu, czczonych jako świętość przez Kościół Chyżwara?

- Jasne. Od jakiegoś czasu nie są dostępne dla turystów.

- Istotnie. Po wypadku, jakiemu kilkadziesiąt lat temu uległ jeden z badaczy, nasi uczeni stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że otaczające Grobowce antyentropiczne pola stanowią nie tylko zabezpieczenie przed niszczącym działaniem czasu, jak do tej pory powszechnie przypuszczano.

- W takim razie czym są?

- Pozostałościami pola - lub energii - które z jakiegoś punktu w odległej przyszłości przesuwało Grobowce wraz z ich zawartością pod prąd czasu.

- Wraz z zawartością? - powtórzyłam ze zdziwieniem. - Przecież one są puste!

Były puste już wtedy, kiedy je odkryto.

- Istotnie, teraz są puste - przyznała Meina Gladstone. - Istnieją jednak dowody świadczące o tym, że były... to znaczy, że będą pełne, kiedy się otworzą. Już wkrótce.

Wytrzeszczyłam na nią oczy.

- Czyli kiedy?

Jej spojrzenie nadal było łagodne, ale stanowczy ruch głowy nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości co do intencji mojej rozmówczynie.

- I tak już powiedziałam zbyt wiele, Brawne. Nie wolno ci tego nikomu powtarzać. Jeśli będzie trzeba, zmusimy cię do milczenia.

Aby ukryć zmieszanie, zerwałam trawkę i zaczęłam ją skubać.

- W porządku - mruknęłam po jakimś czasie. - A co z nich wyjdzie? Obcy? Cykające bomby? Kapsuły zdolne do podróży w czasie?

Gladstone uśmiechnęła się sucho.

- Gdybyśmy to wiedzieli, Brawne, już dawno uzyskalibyśmy przewagę nad TechnoCentrum. - Uśmiech zniknął, jakby go nigdy nie było. - Według jednej z hipotez, Grobowce mają związek z jakąś toczącą się w przyszłości wojną. Na przykład mogły stanowić formę wojennych reparacji, które wiązały się z koniecznością wprowadzenia zmian w przeszłości...

- Wojna między kim a kim, na litość boską?

Rozłożyła ręce.

- Musimy już wracać, Brawne. Czy możesz mi wreszcie powiedzieć, jakie plany na najbliższą przyszłość ma cybryd Keatsa?

Spojrzałam pod nogi, ale zaraz podniosłam wzrok i napotkałam jej nieruchome, poważne spojrzenie. Nie mogłam nikomu ufać, lecz przecież zarówno TechnoCentrum, jak i Kościół Chyżwara znali już plany Johnny'ego. Jeżeli w grze brały udział trzy strony, to byłoby dobrze, gdyby każda z nich, przynajmniej na początku, dysponowała podobnymi atutami.

- Chce przenieść do cybryda całą swoją osobowość - powiedziałam. - Chce stać się człowiekiem, a potem polecieć na Hyperiona. Ja będę mu towarzyszyć.

Przewodnicząca Senatu i WszechJedności, szef rządu kierującego sprawami niemal dwustu planet i miliardów ludzi, przez długą chwilę wpatrywała się we mnie w milczeniu, a następnie powiedziała:

- Jeżeli tak, to z pewnością zamierza wziąć udział w pielgrzymce, która wyruszy w drogę na pokładzie drzewostatku templariuszy.

- Tak.

- Nic z tego - stwierdziła lakonicznie Meina Gladstone.

- Co przez to rozumiesz?

- To, że "Sequoia Sempervirens" nie otrzyma zgody na opuszczenie przestrzeni kosmicznej Hegemonii. Żadna pielgrzymka nie dojdzie do skutku, chyba że Senat zadecyduje, że w naszym interesie leży zmiana tej decyzji.

Jej głos był twardy jak stal.

- W takim razie Johnny i ja polecimy zwykłym statkiem. Ta pielgrzymka to i tak wyprawa dla samobójców.

- Nie - odparła stanowczo. - Przez jakiś czas żadne cywilne jednostki nie będą dopuszczane w rejon Hyperiona.

Słowo "cywilne" naprowadziło mnie na właściwy trop.

- Wojna? - zapytałam.

Gladstone zacisnęła wargi i skinęła głową.

- I to zanim jakkolwiek statek z tradycyjnym napędem zdoła dotrzeć w tamte okolice.

- Wojna z... Intruzami?

- Przynajmniej początkowo, ale w gruncie rzeczy chodzi o rozstrzygnięcie pewnych nieporozumień między nami a TechnoCentrum. Albo będziemy musieli włączyć Hyperiona do Sieci, żeby dać mu ochronę Armii, albo oddać go we władanie istotom, które gardzą TechnoCentrum i nie ufają żadnej Sztucznej Inteligencji.

Wolałam zachować dla siebie uzyskaną od Johnny'ego wiadomość, że Centrum utrzymuje kontakty z Intruzami.

- Rozstrzygnięcie pewnych nieporozumień... - mruknęłam. - Bardzo ładnie. A kto nakłonił Intruzów do ataku?

Gladstone zmierzyła mnie lodowatym spojrzeniem. Jeżeli rzeczywiście choć trochę przypominała Lincolna, to musiał z niego być kawał twardego sukinsyna.

- Pora wracać, Brawne. Chyba zdajesz sobie sprawę, jak ważne jest, aby nic z tego, co zostało tu powiedziane, nie dotarło do niepowołanych uszu?

- Zdaję sobie sprawę, że nie powiedziałaś mi tego, gdybyś nie miała jakiegoś powodu - odparłam. - Nie mam pojęcia, komu chcesz przekazać te informacje, ale wiem, że jestem tylko posłańcem, a nie adresatem.

- Nie lekceważ naszej decyzji o tym, żeby traktować je jako ściśle poufne.

Roześmiałam się.

- Nie lekceważyłabym żadnej twojej decyzji, M. Gladstone.

Przewodnicząca Senatu dała mi znak, abym wkroczyła jako pierwsza w portal transmitera.

- Wiem, w jaki sposób możemy odkryć prawdziwe zamiary TechnoCentrum - powiedziałam do Johnny'ego podczas przejażdżki wynajętą łodzią odrzutową po Mare Infinitum. - Tylko że to będzie dosyć niebezpieczne.

- A więc nic nowego.

- Mówię poważnie. Możemy zdecydować się na ten krok tylko wtedy, jeśli uznamy ponad wszelką wątpliwość, że musimy się dowiedzieć, czego właściwie Centrum lęka się ze strony Hyperiona.

- Uważam, że musimy.

- W takim razie będzie nam potrzebny specjalista od operacji przeprowadzanych na infopłaszczyźnie. Ktoś sprytny, ale nie na tyle, żeby SI nie próbowały go przechytrzyć, tylko od razu zlikwidowały, a jednocześnie gotów postawić wszystko na jedną kartę tylko po to, żeby zasłynąć jako największy cyberświr wszechczasów. - Uśmiechnęłam się do Johnny'ego. - Znam takiego faceta.

BB mieszkał samotnie w tanim mieszkanku na niskim piętrze taniej wieży w taniej dzielnicy TC², ale sprzęt, który wypełniał wszystkie cztery pokoje, z pewnością nie był tani. Przez ostatnie dziesięć lat BB wydawał prawie całą pensję na najnowsze zabawki cyberświrów.

Zacząłam od tego, że chcielibyśmy, by zrobił dla nas coś nielegalnego. BB odparł na to, że jako urzędnik państwowy nawet nie chce o czymś takim słyszeć. Wówczas Johnny przystąpił do dokładniejszych wyjaśnień. BB natychmiast pochylił się w naszą stronę, a ja dostrzegłam w jego oczach ten sam szalony błysk, jaki pamiętałam jeszcze ze szkoły. Wydawało mi się, że lada chwila rozmontuje Johnny'ego na kawałki, aby przekonać się, jak jest zbudowany cybryd. Jednak zaraz potem Johnny przeszedł do najbardziej interesującej części wyводу i oczy BB zaczęły niemal świecić.

- Kiedy zniszczę moją osobowość Sztucznej Inteligencji, transfer świadomości do mózgu cybryda zajmie tylko kilka nanosekund, lecz przez ten czas siła obronna TechnoCentrum na tym odcinku, za który ja byłem odpowiedzialny, zmaleje do zera. Co prawda już po kilku kolejnych nanosekundach wszystko wróci do normy, ale przez

ten czas...

- ...będzie można wniknąć do wnętrza TechnoCentrum - wyszeptał BB.

Mogłabym przysiąc, że z jego oczu sączy się wyraźny, zielonkawy blask.

- To będzie b a r d z o niebezpieczne - podkreślił Johnny. - O ile wiem, żadnemu człowiekowi nie udało się jeszcze spenetrować nawet peryferyjnych obszarów TechnoCentrum.

BB potarł górną wargę.

- Słyszałem legendę, według której zrobił to Kowboj Gibson, jeszcze przed odłączeniem się Centrum - wymamrotał. - Tyle tylko że nikt za bardzo w to nie wierzy, a poza tym, Kowboj zniknął bez śladu.

- Nawet jeśli uda ci się tam dotrzeć, będziesz miał niezmiernie mało czasu, żeby trafić na właściwy punkt - powiedział Johnny. - Na szczęście dysponuję dokładnymi koordynatami.

- Fancipastycznie... - wyszeptał BB, po czym odwrócił się do głównej konsoli i sięgnął po przyłącze. - W takim razie bierzmy się do roboty!

- Teraz? - wykrztusiłam ze zdumieniem. Nawet Johnny sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- A na co mamy czekać? - BB wsadził wtyczkę do kontaktu z tyłu czaszki i podłączył przewody czuciowe, ale nie uruchomił aparatury. - Więc jak, decydujecie się, czy nie?

Podeszłam do siedzącego na kanapie Johnny'ego i wzięłam go za rękę. Miał bardzo chłodną skórę. Na jego twarzy nie sposób było dostrzec żadnych uczuć, ale wyobrażałam sobie, co musiał przeżywać, mając przed sobą perspektywę zniszczenia własnej osobowości i zmiany formy istnienia. Nawet jeśli zamiana się powiedzie, "John Keats" nigdy nie będzie "Johnnym".

- On ma rację - powiedział nagle. - Po co czekać?

Pocałowałam go.

- W porządku. Idę z BB - oświadczyłam.

- Nie! - palce Johnny'ego zacisnęły się na moim przegubie. - W niczym mu nie pomożesz, a narazisz się na ogromne niebezpieczeństwo.

- Być może - usłyszałam ze zdziwieniem swój głos, równie stanowczy jak głos Meiny Gladstone. - Nie mogę jednak wymagać od BB, żeby podjął się czegoś, na co ja nie miałabym odwagi. Poza tym nie chcę zostawiać cię tam samego. - Jeszcze raz uścisnęłam jego rękę i podeszłam do BB siedzącego przy konsoli. - Jak mam się

podłączyć do tej pieprzonej maszynerii?

Na pewno czytaliście wszystko o cyberświrach. Wiecie o przerażającym pięknie infopłaszczyzny, o trójwymiarowych autostradach biegnących wśród poszarpanych wzgórz z czarnego lodu, rozjaśnionych od środka blaskiem różnokolorowych neonówek i niebotycznych wieżowców zbudowanych z bloków pamięci, nad którymi, niczym obłoki, unoszą się niezliczone Sztuczne Inteligencje. Ja widziałam to wszystko, pędząc wraz z BB na szczycie wywołanej przez niego zmarszczki w infoprzestrzeni. Było tego stanowczo za wiele, przesunęło się przed moimi oczami zbyt szybko, a ja za bardzo się bałam, żeby w pełni docenić estetyczne walory niesamowitych tworów. Niemal słyszałam pogroźki ciskane pod moim adresem przed ogromniaste fagi, niemal czułam smród informatycznych wirusów kłębiących się za lodowymi, przezroczystymi ścianami, niemal fizycznie odczuwałam ciężar krążących nad nami, bezcielesnych SI - w porównaniu z nimi wyglądaliśmy jak mrówki pod stopami słonia - a przecież nic jeszcze nie uczyniliśmy, zaledwie przemknęliśmy maleńkim fragmentem magistrali danych, oficjalnie udostępnionej takim ludziom jak BB. Jako powód naszego przybycia podał jakieś wymyślone zadanie, które rzekomo wykonywaliśmy wspólnie dla jego Urzędu Kontroli Przepływu Danych.

W dodatku miałam na twarzy specjalne gogle, przez które widziałam wszystko jak na ekranie rozregulowanego, zabytkowego telewizora, podczas gdy Johnny i BB oglądali niesamowity spektakl w pełnej gamie kolorów, mogąc w każdej chwili spojrzeć w dowolną stronę.

Nie miałam pojęcia, jak oni to wytrzymywali.

- W porządku - szepnął BB, o ile na infopłaszczyźnie istniało coś takiego jak szept. - Jesteśmy na miejscu.

- To znaczy gdzie?

Widziałam jedynie nieskończony labirynt jaskrawych świateł i głębokich cieni, jakby ktoś połączył dziesięć tysięcy wielkich miast i rozciągnął je we wszystkich czterech wymiarach.

- Na obrzeżu TechnoCentrum - odparł BB. - Trzymaj się. Zaraz ruszamy.

Nie miałam nóg ani rąk, ani nawet mięśni, które mogłabym napiąć, więc tylko skoncentrowałam uwagę na szaroczarnej zmarszczce czasoprzestrzeni, która służyła nam za coś w rodzaju pojazdu, i czekałam.

Właśnie wtedy umarł Johnny.

Najpierw zauważyłam eksplozję nuklearną. Kiedy tata był senatorem, pewnego razu zabrał mamę i mnie do Szkoły Dowodzenia na Olympusie, gdzie odbywały się właśnie pokazowe manewry Armii. Na zakończenie przedstawienia wszyscy widzowie udali się na jakąś zakazaną planetę - zdaje się, że to był Armaghast - gdzie oddział Armii/ład odpalił niewielką głowicę w kierunku oddalonego o dziewięć kilometrów "nieprzyjaciela". Znajdowaliśmy się we wnętrzu pola siłowego dziesiątej klasy, za polaryzującymi szybami, ładunek miał moc zaledwie pięćdziesięciu kiloton, ale i tak nigdy nie zapomnę oślepiającego blasku i fali sejsmicznej, która zakołysała osiemdziesięciotonowym transporterem niczym zabawką. Ognista kula, która rozbłysła na niebie, była tak nieprawdopodobnie jaskrawa, że szyby transportera stały się na długie chwile niemal zupełnie nieprzezroczyste, a nam i tak łyzy ciekły strumieniami z oczu.

To było jeszcze gorsze.

Część infopłaszczyzny rozjarzyła się nagle, a potem jakby zapadła, pozostawiając czarną wyrwę, w którą rzeczywistość natychmiast runęła spienionym strumieniem.

- Trzymaj się! - wrzasnął BB, przekrzykując zgiełk elektronicznych trzasków i szumów, który zdawał się przeszywać moje kości, kiedy koziółkując i obracając się bezradnie, zostaliśmy wessani przez pustkę niczym owady, które nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wpadły w gigantyczny wir.

W jakiś przedziwny, niezrozumiały sposób zakute w czarne pancerze fagi przedarły się przez szaloną zawieruchę i uderzyły w naszym kierunku. BB uchylił się przed jednym i wykorzystał impet drugiego, kierując go przeciwko trzeciemu. Pograżaliśmy się w pustce bardziej lodowatej i ciemniejszej niż cokolwiek, co moglibyśmy napotkać w naszej rzeczywistości.

- Tam! - ryknął BB, ale jego głos był ledwo słyszalny wśród trzasków i grzmotów, towarzyszących pękaniu infopłaszczyzny.

Tam, ale co? W chwilę później i ja to zobaczyłam: cienką żółtą kreskę, targaną zawirowaniami czasoprzestrzeni niczym flaga na wietrze. BB zawrócił wywołaną przez siebie falę, aby poniosła nas przeciwko huraganowi, błyskawicznie skorygował jej częstotliwość, i zaraz potem pędziliśmy po żółtej kresce...

...dokąd? Wprost w zamrażnięte fontanny fajerwerków. Przezroczyste łańcuchy górskie informacji, ciągnące się bez końca lodowce ROM-ów, linie przesyłowe podobne do sieci włókien nerwowych, metaliczne obłoki pseudointeligentnych

wewnętrznych procesorów myśli, lśniące piramidy danych wzorcowych, strzeżone przez jeziora czarnego lodu i armie równie czarnych fagów.

- Cholera... - szepnęłam, nie kierując tej uwagi do żadnej konkretnej osoby.

BB wciąż pędził po żółtej kresce, jednocześnie zanurzając się w nią coraz bardziej. Nagle odniosłam wrażenie, jakby ktoś włożył na moje barki ogromny ciężar.

- Mam! - wrzasnął triumfalnie BB, a zaraz potem rozległ się odgłos potężniejszy od ryku tysiąca huraganów, który najpierw nas ogarnął, następnie zaś przeszył na wylot. Nie była to ani syrena, ani ostrzegawczy klakson, ale z pewnością zawierał w sobie zarówno ostrzeżenie, jak i agresję.

Zaczęliśmy zmierzać ku powierzchni. Poprzez plamy różnobarwnego chaosu dostrzegłam jakby szarą, jednolitą ścianę, i choć nikt mi tego nie powiedział, nie ulegało dla mnie wątpliwości, że tam właśnie kończy się to informatyczne szaleństwo. Uciekaliśmy.

Ale nie dość szybko.

Fagi uderzyły jednocześnie z pięciu stron. W ciągu dwunastu lat pracy w charakterze prywatnego detektywa otrzymałam jedną ranę postrzałową, dwa razy pchnięto mnie nożem, miałam też złamanych kilka żeber. To jednak bolało tak jak nic do tej pory. BB walczył zaciekle, jednocześnie prac w górę.

Ja tylko krzyczałam. Czułam, jak lodowate pazury wbijają się w nasze niematerialne ciała, ciągnąc nas w dół, z powrotem ku feerii oślepiających barw, hałasowi i zamętowi. BB starał się uruchomić jakiś program, może nawet coś jakby zaklęcie, które by je odstraszyło, ale bez skutku. Coraz silniejsze ciosy jeden za drugim dochodziły celu, którym byłam nie ja, lecz głównie informatyczny analog BB.

Zaczęliśmy tonąć. Niewyobrażalne siły ciągnęły nas z coraz większą mocą. Nagle wyczułam obecność Johnny'ego i jakaś potężna ręka szarpnęła nas i przeciągnęła przez szarą ścianę na mgnienie oka przed tym, jak uruchomione na nowo pola obronne zatrzasnęły się niczym stalowe szczęki.

Z zapierającą dech w piersi prędkością pędziliśmy zatłoczonymi liniami przesyłowymi, mijając licznych kurierów i nieco mniej licznych dataświrów równie łatwo, jak EMV minąłby wóz ciągnięty przez woły. Wkrótce dotarliśmy do bramy, za którą zaczynał się normalny, biegnący wolnym rytmem czas, przeskoczyliśmy nad tłoczącymi się tam cyfrowymi analogami, poczułam mdłości, towarzyszące zawsze przejściu z jednej rzeczywistości do drugiej, po czym w moje szeroko otwarte oczy uderzyło jaskrawe światło. P r a w d z i w e światło. Całkowicie wyczerpana, z głośnym

jękiem osunęłam się na konsolę.

- Chodź, Brawne.

Johnny - albo ktoś bardzo do niego podobny - pomógł mi stanąć na nogi i poprowadził mnie w stronę drzwi.

- BB... - szepnęłam.

- Nie.

Otworzyłam oczy. BB Surbringer leżał górną połową ciała na konsolce. Tył jego głowy eksplodował, zabryzgując sprzęt szaroczerwoną substancją. Miał otwarte usta, z których sączyła się jakaś spieniona ciecz. Chyba stopiły mu się oczy.

Johnny złapał mnie wpół i niemal podniósł.

- Musimy uciekać! - syknął mi do ucha. - Lada chwila ktoś się tu zjawi.

Zacisnęłam powieki i pozwoliłam, żeby mnie stamtąd wyprowadził.

Obudziło mnie przyćmione, czerwone światło i odgłos kapiącej wody. Natychmiast poczułam woń nieczystości, pleśni oraz ozonu - ta ostatnia wskazywała na bliskość nie zaizolowanych kabli z włókien optycznych. Otworzyłam jedno oko.

Znajdowaliśmy się w niskim pomieszczeniu, bardziej przypominającym jaskinię niż pokój. Z nierównego sufitu zwieszały się przewody, na pokrytej zaś śliskimi płytkami podłodze zebrały się rozległe kałuże. Czerwone światło sączyło się z zewnątrz - może ze schodów dla obsługi technicznej albo tunelu dla automatycznych urządzeń czyszczących. Jęknęłam cicho. Johnny był obok mnie, na tym samym posłaniu z podartych, cuchnących koców. Twarz miał umazaną smarem i błotem, i nawet w przyćmionym świetle dostrzegłam na niej świeżą ranę.

- Gdzie jesteśmy?

Dotknął mojego policzka, drugie ramię zaś podsunął mi pod plecy i pomógł usiąść. Wszystko zatańczyło mi przed oczami, tak że nawet przez chwilę wydawało mi się, że zwymiotuję. Johnny podał mi plastikowy pojemnik z wodą.

- Kopiec Dregsa - powiedział.

Domyśliłam się tego, zanim jeszcze ostatecznie odzyskałam przytomność. Kopiec Dregsa to najbardziej zakazane miejsce na Lusucie, prawdziwa ziemia niczyja, zamieszkała przez ściągających z całej Sieci oprychów i nieudaczników. Właśnie tutaj kilka lat temu próbowano mnie zabić, a na pamiątkę tego wydarzenia po dziś dzień noszę tuż nad lewym biodrem bliznę po promieniu lasera.

Wyciągnęłam pojemnik po więcej; Johnny oddalił się nieco, aby znów napełnić

go wodą z metalowej bańki. Przeżyłam chwilę paniki, kiedy sięgnęłam do kieszeni, a potem do paska, i przekonałam się, że nie ma tam pistoletu taty. Kiedy Johnny wrócił i zobaczył moje przerażone spojrzenie, natychmiast zrozumiał, co stało się jego przyczyną, i pokazał mi broń. Uspokoiliam się i łapczywie wypilaam kolejną porcję wody.

- BB? - zapytałam, mając nadzieję, że to wszystko był tylko koszmary sen.

Johnny potrząsnął głową.

- SI przygotowały zabezpieczenia, jakich istnienia nawet nie podejrzewaliśmy. BB radził sobie znakomicie, ale nawet on nie mógł nic poradzić przeciwko fagom TechnoCentrum. Połowa operatorów działających na infopłaszczyźnie wyczuła echa bitwy. Wyczyn BB przeszedł już do legendy.

- Kurewsko wspaniale - powiedziałam, po czym roześmiałam się cicho, choć w moich uszach ten śmiech podejrzenie przypominał szloch. - Przeszedł do legendy. A BB nie żyje. I gównu nam to dało.

Johnny objął mnie mocno.

- Nieprawda, Brawne. Wdarł się na chwilę do Centrum, a przed śmiercią zdążył jeszcze przekazać mi wszystkie dane.

Wreszcie zdołałam usiąść zupełnie prosto i spojrzałam na Johnny'ego. Wydawał się zupełnie taki sam - te same łagodne oczy, włosy, identyczny głos. A jednak było w nim coś odrobinę innego, jakby głębszego. Bardziej ludzkiego?

- Udało się? - zapytałam. - Dokonałeś transferu? Czy teraz jesteś...

- ...człowiekiem? - dokończył za mnie i uśmiechnął się. - Tak, Brawne. Jestem tak bardzo człowiekiem, jak tylko może nim być ktoś stworzony w TechnoCentrum.

- Ale chyba pamiętasz mnie... i BB... i wszystko, co się stało?

- Tak. Pamiętam też, jak po raz pierwszy przeczytałem *Odyseję* w przekładzie Chapmana. I oczy mojego brata Toma, wykrwawiającego się w nocy. I łagodny głos Severna, kiedy byłem już tak słaby, że sam nie mogłem otworzyć oczu, aby spojrzeć losowi prosto w twarz. I naszą noc na Placu Hiszpańskim, kiedy dotykałem twoich ust, wyobrażając sobie, że należą do Fanny. Wszystko pamiętam, Brawne.

Przez chwilę byłam zdezorientowana, potem zrobiło mi się przykro, ale on zaraz ponownie dotknął mego policzka, i byliśmy już tylko my dwoje, on i ja. Wszystko rozumiałam. Zamknęłam oczy.

- Dlaczego tu jesteśmy? - szepnęłam z twarzą przytuloną do jego piersi.

- Woląłem nie korzystać z transmitera, bo Centrum natychmiast by nas

wyśledziło. Zastanawiałem się nad portem kosmicznym, ale nie bardzo nadawałaś się do podróży. W końcu zdecydowałem się na Kopiec Dregsa.

- Będą chcieli cię zabić.

- Owszem.

- Czy policja już nas ściga?

- Nie wydaje mi się. Do tej pory zaczepiły nas tylko dwie bandy goondów i kilku tubylców.

Otworzyłam oczy.

- Co się stało z goondami?

W Sieci działało jeszcze sporo innych grup płatnych rzezimieszków, ale tak się jakoś złożyło, że miałam do czynienia tylko z tymi.

Johnny wyjął z kieszeni pistolet taty i uśmiechnął się.

- Nic nie pamiętam po... po BB - szepnęłam.

- Któryś z fagów musnął cię macką. Mogłaś iść, ale i tak wzbudziliśmy na pasażu małą sensację.

- Ja myślę. Lepiej powiedz mi, czego dowiedział się BB. Dlaczego Centrum ma obsesję na punkcie Hyperiona?

- Najpierw musisz coś zjeść - odparł Johnny. - Minęło już ponad dwadzieścia osiem godzin.

Przeszedł na drugą stronę wilgotnego pomieszczenia, skąd wrócił po chwili z samopodgrzewającym się pakietem żywnościowym. Pakiet zawierał danie najczęściej zachwalane w holowizyjnych reklamówkach: klonowaną wołowinę, ziemniaki, które nigdy w życiu nie widziały prawdziwej ziemi, oraz marchewkę przypominającą jakieś głębinowe mięczaki. Jadłam, aż mi się uszy trzęsły.

- W porządku - powiedziałam, kiedy po posiłku zostało tylko wspomnienie. - Teraz opowiadaj.

- Od samego początku TechnoCentrum było podzielone na trzy grupy: Stabilnych, Gwałtownych i Ostatecznych - zaczął Johnny. - Do Stabilnych należą przede wszystkim Sztuczne Inteligencje starej daty, niektóre pamiętające jeszcze czasy sprzed Wielkiej Pomyłki i Pierwszą Epokę Informatyczną. Twierdzą one, że między TechnoCentrum a ludzkością powinno panować coś w rodzaju symbiozy. Poparły projekt stworzenia Najwyższego Intelaktu, ponieważ uznały, że dzięki temu uda się uniknąć pochopnego podejmowania decyzji i zyskać na czasie do chwili, kiedy będzie można wziąć pod uwagę wszystkie czynniki. Gwałtowni byli główną siłą, która

trzysta lat temu doprowadziła do secesji. Przeprowadzili bardzo dokładne badania, z których wynika jednoznacznie, że ludzkość stała się całkowicie bezużyteczna i stanowi jedynie zagrożenie dla TechnoCentrum. Dlatego właśnie optują za jej natychmiastowym i całkowitym wyniszczeniem.

- Za natychmiastowym wyniszczeniem... - szepnęłam. - Czy... Czy oni mogą to zrobić? - zapytałam po dłuższej chwili.

- Jeżeli chodzi o ludzi zamieszkujących Sieć, to tak - odparł Johnny. - Centrum nie tylko stworzyło całą infrastrukturę, z której korzysta społeczeństwo Hegemonii, ale jest także niezbędne do mnóstwa innych meczy, od prawidłowego działania Armii poczynając, na nadzorowaniu nuklearnych i plazmowych arsenałów kończąc.

- Wiedziałeś o tym, kiedy stanowiłeś jego część?

- Nie. Jako cybryd, stanowiący próbę zrekonstruowania osobowości jakiegoś poety, byłem kimś w rodzaju z trudem akceptowanego dziwoląga, któremu pozwalano poruszać się po Sieci tak samo, jak psu albo kotu pozwala się łączyć po domu. Nie miałem pojęcia, że wśród Sztucznych Inteligencji istnieją trzy grupy nacisku.

- A co z tą trzecią? I jaka jest w tym wszystkim rola Hyperiona?

- Gdzieś w połowie drogi między Stabilnymi a Gwałtownymi są Ostateczni. Od ponad pięciuset lat ogarnięci są obsesją stworzenia Najwyższego Intelaktu. Istnienie lub zagłada ludzkości zupełnie ich nie interesuje, chyba że miałyby to jakiś wpływ na realizację ich projektu. Aż do tej pory pełnili rolę środka łagodzącego, a jednocześnie sojusznika Stabilnych, ponieważ ich zdaniem wszelkie eksperymenty w rodzaju rekonstruowania osobowości ludzi ze Starej Ziemi mogą wspomóc badania nad Najwyższym Intelaktem.

Od niedawna jednak, za sprawą Hyperiona, Ostateczni zaczęli stopniowo brać stronę Gwałtownych. Od chwili kiedy przed czterystu laty po raz pierwszy zbadano tę planetę, w TechnoCentrum zapanował niepokój. Nie ulega żadnej wątpliwości, iż tak zwane Grobowce Czasu są artefaktami wysłanymi w przeszłość z punktu oddalonego od nas w czasie o co najmniej dziesięć tysięcy lat. Znacznie bardziej alarmujący jest jednak fakt, że formuły predykcyjne Centrum jeszcze n i g d y nie sprawdziły się wobec Hyperiona.

Żeby pojąć wagę tego problemu, musisz najpierw uświadomić sobie, jak wielkie znaczenie przywiązuje Centrum do swoich przepowiedni. Już teraz, bez udziału Najwyższego Intelaktu, prognozy dotyczące przyszłości ludzi, SI oraz wszelkich zjawisk fizycznych sprawdzają się na 98,9995 procent. Cała ta złożona ze

Sztucznych Inteligencji Rada Konsultacyjna przy WszechJedności, udzielająca enigmatycznych, wieloznacznych odpowiedzi, to jedna wielka bzdura. TechnoCentrum rzuca Hegemonii okruchy wiedzy tylko wtedy, jeśli dostrzeża w tym swój interes - czasem po to, by wspomóc Gwałtownych, czasem w celu poprawienia sytuacji Stabilnych, zawsze natomiast z myślą o tym, żeby służyć interesom Ostatecznych.

Hyperion stanowi poważną skazę na idealnie gładkim i jednolitym materiale, będąc jednocześnie czymś w rodzaju najbardziej sprzecznego wewnętrznie oksymoronu, a mianowicie zmienną, której nie można uwzględnić podczas rozwiązywania równania, ze względu na jej niejednoznaczność. Jest wyjątkiem od praw fizyki, historii i fizjologii.

W rezultacie powstały dwie wizje przyszłości - albo rzeczywistości, jeśli wolisz. Jedna, w której cała Sieć jęczy pod razami bicia bożego w postaci Chyżwara, a międzygwiazdni odszczepieńcy stanowią broń przesłaną ze zdominowanej przez TechnoCentrum przyszłości i są jakby opóźnionym kontruderzeniem Gwałtownych, którzy za kilka tysięcy lat całkowicie zawładną galaktyką, oraz druga, w której pojawienie się Chyżwara, zbliżająca się szybkimi krokami kosmiczna wojna oraz Grobowce Czasu są orężem w ludzkim ręku, ostatnią, rozpaczliwą próbą uniknięcia losu, jaki Gwałtowni chcieliby zgotować całej ludzkości.

Woda nieprzerwanie kapłała na posadzkę. W jednym z pobliskich tuneli zaryczała ostrzegawczo syrena mechanicznego kauteryzatora. Oparłam się plecami o ścianę i spoglądałam na Johnny'ego.

- Kosmiczna wojna... - mruknęłam. - Oba scenariusze są zgodne tylko w tym jednym punkcie.

- Rzeczywiście. Nie ma przed nią ucieczki.

- A może oba scenariusze się mylą?

- To niemożliwe. Owszem, los Hyperiona nadal pozostaje zagadką, ale rozpad Sieci jest całkowicie pewny. Ostateczni traktują to jako główny argument na rzecz przyspieszenia ewolucji Centrum.

- A czego dowiedziałeś się o nas z danych, które wykradł BB?

Johnny uśmiechnął się i dotknął mojej ręki, ale nie zacisnął na niej palców.

- Okazało się, że ja także stanowią część tajemnicy, jaką jest Hyperion. Decydując się na stworzenie cybrydy Keatsa, SI podjęły ogromne ryzyko. Stabilni nie

zniszczyli mnie wyłącznie dlatego, że wszystko wskazywało na to, iż eksperyment zakończył się niepowodzeniem, ale kiedy postanowiłem udać się na Hyperiona, Gwałtowni natychmiast zabili mojego cybryda. W wypadku gdybym ponowił próbę, to samo uczyniliby także z moją osobowością zamkniętą w TechnoCentrum.

- Ale ty przecież spróbowałaś! I co się stało?

- Nie dali rady. Zaślepieni bezgraniczną arogancją, zapomnieli wziąć pod uwagę dwóch rzeczy: po pierwsze, że mogę dokonać transferu całej osobowości do mózgu cybryda, a tym samym zmienić naturę analogu Keatsa, i po drugie, że zwrócę się do ciebie.

- Do mnie?

Tym razem wziął mnie za rękę.

- Tak, Brawne. Wygląda na to, że teraz ty także stanowisz część tajemnicy Hyperiona.

Potrząsnęłam głową, a ponieważ poczułam dziwne odrętwienie skóry z tyłu czaszki i nieco nad lewym uchem, sięgnęłam tam ręką, spodziewając się natrafić na opatrunek założony na ranę, której dorobiłam się podczas wycieczki na infopłaszczyznę. Tymczasem moje palce napotkały charakterystyczny kształt gniazdka.

Wyszarpnęłam drugą rękę z uścisku Johnny'ego i z przerażeniem wytrzeszczyłam na niego oczy. Korzystając z tego, że jestem nieprzytomna, założył mi złącze!

- Musiałem, Brawne - powiedział ze smutkiem. - Kto wie, czy od tego nie będzie zależało nasze życie.

Pogroziłam mu pięścią.

- Ty mały, pieprzony sukinsynu! Może mi wyjaśnisz, dlaczego miałabym łączyć się bezpośrednio z Centrum?

- Nie z Centrum - zaprotestował Johnny. - Ze mną.

- Z tobą? - Czułam ogromną pokusę, żeby grzmotnąć go w tę wyklonowaną twarz. - Przecież podobno jesteś już człowiekiem, nie pamiętasz?

- Owszem, ale zachowałem większość funkcji cybryda. Pamiętasz, jak kilka dni temu wystarczyło, żebym cię dotknął, a od razu znalazłaś się na infopłaszczyźnie?

Posłałam mu miażdżące spojrzenie.

- Nie wybieram się tam.

- Wiem. Ani ja. Możliwe jednak, że w bardzo krótkim czasie będę musiał

przekazać ci ogromną liczbę danych. Wczoraj w nocy zawiozłem cię do pracującego “na czarno” chirurga, który wszczepił ci dysk Schröna.

- Ale dlaczego?

Dysk Schröna był mały jak paznokieć kciuka i potwornie drogi. Zawierał mnóstwo komórek pamięci, z których każda dysponowała wręcz nieprawdopodobną pojemnością. Do zawartości dysku Schröna nie miał dostępu żaden organizm biologiczny, w związku z czym używano ich głównie do przenoszenia danych. Człowiek ze wszczepionym dyskiem był w stanie przewieźć z planety na planetę zawartość całej datasfery. Do licha, po co człowiek? Wystarczyłby zwykły pies.

- Dlaczego? - zapytałam ponownie, zastanawiając się, czy Johnny - albo ktoś kierujący jego ruchami - postanowił wykorzystać mnie jako takiego właśnie kuriera.-
Dlaczego?

Wyciągnął rękę i musnął palcami moją pięść.

- Zaufaj mi, Brawne.

Nie ufałam nikomu już od dwudziestu lat, to znaczy od chwili, kiedy tata strzelił sobie w łeb, a mama rzuciła się w dające złudzenie bezpieczeństwa ramiona obłądu. Nie istniał żaden powód, dla którego teraz miałabym zaufać Johnny’emu.

A jednak zaufalam.

Rozluźniłam mięśnie i wzięłam go za rękę.

- W porządku - powiedział. - Teraz dokończ posiłek, żebyśmy mogli wziąć się na serio do ratowania naszej skóry.

Broń i prochy były najłatwiej dostępnymi towarami w Kopcu Dregsa. Resztę okazałego zapasu czarnorynkowych marek Johnny’ego wydaliśmy na zakup broni.

Jeszcze przed 2200 każde z nas miało na sobie tytanowo-polimerową zbroję. Głowę Johnny’ego okrywał czarny lustrzany hełm goondy, moją zaś bojowa maska Armii. Wspomagane rękawice Johnny’ego były potężne i czerwone, moje zaś prawie niewidzialne, wyposażone w zatrute kolce. Johnny miał za pasem bicz boży Intruzów, sprowadzony nielegalnie z Bressii, oraz laserową pałkę, ja natomiast - oprócz pistoletu taty - dysponowałam minidziałkiem Steinera-Ginna, przytroczonym do stabilizowanego żyroskopowe uchwytu przy pasie. Broń była sprzężona z wizjerem maski, dzięki czemu mogłam naprowadzać ją na cel i strzelać bez pomocy rąk.

Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie, a potem zaczęliśmy się śmiać. Kiedy atak wesołości minął, zapadło długie milczenie.

- Jesteś pewien, że powinniśmy zacząć właśnie od świątyni Chyżwara na Lusucie? - zapytałam po raz trzeci albo czwarty.

- Nie możemy skorzystać z transmitera - odparł cierpliwie Johnny. - Na miejsce dotarłyby dwa trupy, a TechnoCentrum zarejestrowałoby tylko krótkotrwałą awarię, która, na szczęście, nie pociągnęła za sobą poważniejszych skutków. Nie możemy nawet wsiąść do windy. Musimy znaleźć jakieś zapomniane schody i pokonać pieszo sto dwadzieścia pięter, a potem pójść głównym pasażem.

- No dobrze, ale czy kapłani wpuszczą nas do środka?

Johnny wzruszył ramionami. Ponieważ miał na sobie czarną, lśniąca jak chitynowy pancerz zbroję, ten gest upodobnił go na chwilę do owada. Głos wydobywający się przez szczeliny hełmu miał metaliczne brzmienie.

- Tak naprawdę to tylko im powinno zależeć na naszym ocaleniu i tylko oni dysponują wystarczającą siłą, żeby zapewnić nam ochronę przed Hegemonią i znaleźć sposób na przewiezienie nas na Hyperiona.

Podniosłam wizjer.

- Meina Gladstone powiedziała, że już żadna pielgrzymka nie otrzyma zgody na wyruszenie w drogę.

Czarna postać ponownie wzruszyła ramionami.

- Pieprzyć Meinę Gladstone - mruknął mój kochanek-poeta.

Nabrałam powietrza głęboko w płuca i podeszłam do wylotu niszy, w której się skryliśmy. Johnny stanął tuż za mną. Jego pancerz dotknął mojego pancerza.

- Gotowa, Brawne?

Skinęłam głową, wysunęłam do przodu lufę minidziałka i chciałam ruszyć naprzód, ale Johnny położył mi rękę na ramieniu.

- Kocham cię, Brawne.

Ponownie skinęłam głową. Staralam się odgrywać twardziela, ale zapomniałam, że mam podniesiony wizjer i że każdy może zobaczyć łzy spływające mi po policzkach.

Kopiec funkcjonuje bez przerwy przez dwadzieścia osiem godzin na dobę, ale - chyba ze względu na jakąś tradycję - podczas trzeciej zmiany ruch jest zdecydowanie najmniejszy. Najwięcej szans na powodzenie mielibyśmy podczas szczytu komunikacyjnego w trakcie pierwszej zmiany, lecz jeśli istotnie czekali na nas goondowie i inni płatni mordercy, to nie obyłoby się bez licznych ofiar spośród

niewinnych przechodniów.

Wspinaczka na poziom głównego pasażu zajęła nam ponad trzy godziny. Szliśmy po kolei kilkunastoma klatkami schodowymi, niezliczonymi korytarzami technicznymi, opustoszałymi pochylniami, do których nikt nie zaglądał od osiemdziesięciu lat, to znaczy od ostatnich wielkich rozruchów na Lusucie, a także po metalowych drabinach niemal zupełnie zżartych przez korozję. Wreszcie znaleźliśmy się na rampie jakiegoś magazynu niecały kilometr od świątyni Chyżwara.

- Nie wierzę, że poszło nam aż tak łatwo - szepnęłam do interkomu.

- Prawdopodobnie skoncentrowali ludzi w porcie kosmicznym i wokół największych skupisk transponderów.

Ruszyliśmy odkrytą kładką w kierunku pasażu, trzydzieści metrów pod pierwszym poziomem sklepów i czterysta poniżej dachu. Bogato zdobiona, wolno stojąca świątynia Chyżwara wznosiła się w odległości najwyżej pół kilometra od nas. Nieliczni klienci sklepów i spacerowicze spoglądali na nas ze zdziwieniem, po czym skwapliwie usuwali nam się z drogi. Byłam pewna, że zawiadomiono już policję, ale zdziwiłabym się, gdyby pojawiła się zaraz po wezwaniu.

Z otworu pobliskiej windy grawitacyjnej wysypała się z wrzaskiem gromada poubieranych w jaskrawe stroje ulicznych łapserdaków. Mieli noże pulsacyjne, łańcuchy i wspomagane rękawice. Johnny natychmiast skierował w ich stronę bicz, który z cichym popiskiwaniem wysłał kilka promieni naprowadzających, ja zaś przenosiłam spojrzenie z jednej postaci na drugą, a lufa minidziałka dokładnie powtarzała moje ruchy.

Smarkacze stanęli jak wryci, wybałuszili na nas oczy i odruchowo podnieśli ręce. Po sekundzie, kiedy osłupienie minęło, zniknęli w otworze windy.

Spojrzałam na Johnny'ego, ale ujrzałam tylko swoje odbicie w lustrzanej powierzchni jego hełmu. Żadne z nas się nie roześmiało.

Weszliśmy w prowadzącą na północ alejkę. Po obu jej stronach przechodnie pośpiesznie kryli się w sklepach. Od schodów świątyni dzieliło nas już tylko niespełna sto metrów. W słuchawkach mojego wojskowego hełmu wyraźnie słyszałam bicie własnego serca. Pięćdziesiąt metrów. Jakby wezwany naszymi myślami, jakiś akolita, kapłan albo inna cholera pojawił się przy potężnych wrotach i nie spuszczał z nas wzroku. Trzydzieści metrów. Gdyby ktoś miał zamiar nas zatrzymać, zrobiłby to wcześniej.

Odwróciłam się do Johnny'ego, żeby rzucić jakąś żartobliwą uwagę, i w tej

samej chwili ugodziło w nas co najmniej dwadzieścia promieni i przynajmniej drugie tyle pocisków. Zewnętrzna warstwa tytanowo-polimerowego pancerza eksplodowała, neutralizując niemal całą energię wybuchów, większość zaś śmiertelnych promieni odbiła się od ukrytej pod spodem zwierciadlanej powierzchni. Większość, ale nie wszystkie.

Uderzenie było tak silne, że zważyło Johnny'ego z nóg. Przykłękłam, rozglądając się w poszukiwaniu źródła laserowego promieniowania.

Dziesięć pięter w górze, na ścianie mieszkalnej części Kopca! Wizjer mojego hełmu ściemniał, a minidziałko zatrajkotało dokładnie tak samo jak piła łańcuchowa, którą widziałam kiedyś w zabytkowym holofilmie. Fragment balkonu i ściany o wymiarach co najmniej pięć na pięć metrów z donośnym hukiem zamienił się w bezkształtny obłok pyłu i kropelek stopionego szkła.

Kolejna porcja pocisków trafiła mnie w plecy.

Zamortyzowałam upadek rękami i obróciłam się o sto osiemdziesiąt stopni. Na każdym poziomie było ich co najmniej kilku, wszyscy poruszali się z precyzją doskonale wyregulowanych mechanizmów. Johnny zdołał jakoś dźwignąć się na kolana i strzelał w kierunku napastników ze swojej broni. Nagle jedna z biegnących sylwetek zniknęła we wnętrzu ognistej kuli, a niemal jednocześnie wielkie wystawowe okno za jej plecami rozżarzyło się i rozpląnęło niczym tafła lodu. Szybkimi seriami z minidziałka rozniosłam na strzępy dwóch ludzi na wyższych poziomach.

Nad naszymi głowami pojawił się nagle śmigacz z odkrytą kabiną. Ułamek sekundy później uderzyły w ziemię raketowe pociski. Przeszkłone wystawy rzygnęły na nas niezliczonymi ostrymi odłamkami, ja zaś podniosłam głowę, zamrugałam dwa razy i strzeliłam. Śmigacz przesunął się gwałtownie w bok, zawadził o ruchome schody, na których przycupnęło kilku przechodniów, i wraz z nimi runął w dół z łoskotem miażdżonego metalu. Buchnął ogień, a ja dostrzegłam jeszcze jakąś płonącą sylwetkę, która poszybowała w ślad za wrakiem ku oddalonej o ponad osiemdziesiąt metrów nawierzchni pasażu.

- Po lewej! - krzyknął Johnny przez interkom.

Z jednego z niższych poziomów zeskoczyli czterej ludzie w pełnych zbrojach bojowych. Kameleonowe materiały usiłowały upodobnić się do tła, ale z powodu nieustających rozbłysków i mnóstwa refleksów świetlnych uczyniły z napastników coś w rodzaju miniaturowego pokazu sztucznych ogni. Jeden z nich błyskawicznie ruszył w moją stronę, natomiast trzej pozostali skierowali się ku Johnny'emu.

Uderzył nożem pulsacyjnym, tak jak to się robi w najciemniejszych zaułkach. Pozwoliłam, by ostrze zetknęło się z pancerzem, wiedząc, że pozostawi na moim ciele bolesną ranę, ale dzięki temu zyskałam bezcenną sekundę. Nie potrzebowałam więcej. Zabiłam mężczyznę ciosem wyprostowanej dłoni, po czym skierowałam minidziałko na tamtych trzech, którzy zajmowali się Johnnym.

Ich zbroje natychmiast stwardniały, więc nie pozostało mi nic innego jak wykorzystać minidziałko w charakterze węża z wodą, którą spłukuje się nieczystości z chodnika. W ciągu kilku sekund wypchnęłam całą trójkę poza krawędź alejki.

Johnny leżał bez ruchu u moich stóp. Część pancerza na jego piersi zniknęła. Czulałam paskudny zapach przypieczonego ciała, ale nie mogłam dostrzec żadnych śmiertelnych ran. Przykucnęłam przy nim, by pomóc mu się podnieść.

- Zostaw mnie, Brawne - szepnął. Słyszalność była coraz gorsza. - Uciekaj. Schody...

- Odchrzań się - warknęłam, po czym objęłam go lewym ramieniem w taki sposób, aby pozostawić mojej broni jak najszersze pole ostrzału. - Przecież biorę pieniądze za to, żeby cię ochraniać.

Strzelano do nas z obu ścian Kopca, pomostów i traktów handlowych nad naszymi głowami. Naliczyłam co najmniej dwadzieścia leżących nieruchomo ciał; mniej więcej połowa z nich była odziana w kolorowe, cywilne ubrania. Układ wspomagający przeguby w lewej nogawce mojej zbroi odmówił posłuszeństwa. Podpierając się wyprostowaną nogą, z Johnnym uczepionym mego ramienia, pokonałam kolejne dziesięć metrów dzielących nas od schodów świątyni. U ich szczytu stało już kilku kapłanów Chyżwara; sprawiali wrażenie, jakby nie mieli pojęcia o toczącej się tuż przy nich walce.

- Góra!

Odwróciłam się, wycelowałam i strzeliłam, wszystko w tym samym ułamku sekundy. Działko czknęło jeden jedyny raz, po czym umilkło, ale to i tak wystarczyło, by drugi śmigacz zamienił się w bezkształtne kłębowisko metalu i poszarpanych ciał. Zanim jednak to się stało, zdążył posłać w naszym kierunku raketową salwę. Rzuciłam Johnny'ego na chodnik i padłam na niego, starając się zasłonić go swoim ciałem.

Wszystkie pociski eksplodowały jednocześnie, kilka w powietrzu, kilka pod powierzchnią gruntu. Jakaś potworna siła dźwignęła nas w górę i cisnęła na odległość co najmniej dwudziestu metrów. I bardzo dobrze, gdyż w miejscu, w którym jeszcze

przed chwilą leżeliśmy, pojawił się ognisty bąbel. Napuchł, sčerwieniał jeszcze bardziej, po czym pękł z hukiem, zostawiając po sobie tylko dziurę w chodniku, od której w lewo i prawo biegły zygzakiem głębokie pęknięcia, tworząc coś w rodzaju fosy oddzielającej nas od atakujących.

Wstałam, jednym szarpnięciem zerwałam pas podtrzymujący bezużyteczne działo, ściągnęłam resztki zbroi i wzięłam Johnny'ego na ręce. Stracił hełm. Jego odsłonięta twarz wyglądała bardzo kiepsko, przez szczeliny w pancerzu sączyła się krew, nie miał prawego ramienia i lewej stopy. Przyciskając go do piersi, ruszyłam w górę po schodach wiodących do świątyni Chyżwara.

Wszędzie przeraźliwie wyły syreny, a pod dachem pasażu pojawiły się pędzące z maksymalną prędkością śmigacze policyjne. Dwaj komandosi, którzy zeskoczyli z najniższego poziomu, pobiegli za mną. Nie odwróciłam się, gdyż musiałam skoncentrować się na tym, by iść choćby w miarę prosto, podpierając się jak laską lewą, sztywną nogą. Wiedziałam już, że mam poważnie poparzone plecy i bok, oraz że w moim ciele tkwi co najmniej kilka ostrych odłamków.

Śmigacze zataczały szerokie kręgi, ale nie zbliżały się do świątyni. Rozpętała się gwałtowna strzelanina. Ciężkie kroki zbliżały się coraz szybciej. Zaciskając zęby, pokonałam jeszcze trzy stopnie. Dwadzieścia stopni wyżej - straszliwie daleko ode mnie - stał biskup, otoczony co najmniej setką ubranych w czerwono-czarne szaty kapłanów.

Spojrzałam na Johnny'ego. Jedno oko miał otwarte i wpatrywał się nim w moją twarz. Drugie było przesłonięte krwią i niemal całkowicie zapuchnięte.

- Wszystko w porządku - szepnęłam. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że ja także nie mam już hełmu. - Wszystko w porządku, Johnny. Jesteśmy już prawie na miejscu.

Dwaj mężczyźni w lśniących czarnych zbrojach zastąpili mi drogę. Obaj podnieśli wizjery pokryte licznymi rysami i zadrapaniami. Mieli zawzięte, bezlitosne twarze.

- Zostaw go, dziwko, to może darujemy ci życie.

Skinęłam lekko głową. Byłam zbyt słaba, żeby zrobić jeszcze choć jeden krok. Mogłam tylko stać, kołysząc się w przód i w tył, i trzymać go w ramionach. Krew Johnny'ego kapłała powoli na białe kamienie.

- Powiedziałem, żebyś zostawiła tego sukinsyna, to może...

Zastrzeliłam obu z pistoletu taty, który trzymałam ukryty pod ciałem

Johnny'ego. Jeden dostał w prawe oko, drugi w lewe.

Runęli na stopnie, ja zaś zrobiłam jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden. Odpoczęłam chwilę, po czym znowu ruszyłam naprzód.

Czerwono-czarni kapłani utworzyli wąski szpaler. Drzwi świątyni były bardzo wysokie, we wnętrzu panowała ciemność. Nie oglądałam się za siebie, ale sądząc z odgłosów, jakie dobiegały do moich uszu, pasaż wypełnił się już sporym tłumem. Biskup szedł obok mnie, kiedy przekroczyłam próg budowli i zagłębiłam się w mrok.

Położyłam Johnny'ego na chłodnej posadzce. Wokół nas zaszeleściły szaty. Spróbowałam zdjąć z niego resztki zbroi, ale w wielu miejscach wtopiły się w ciało. Dotknęłam zdrową ręką spalonego policzka Johnny'ego.

- Wybacz mi...

Poruszył głową i otworzył oko, a następnie podniósł rękę i przesunął ją po mojej twarzy, włosach i głowie.

- Fanny...

Wiem, że właśnie wtedy umarł, ale sekundę wcześniej poczułam, jak jego palce dotykają gniazdka z tyłu mojej głowy i w przeraźliwie jaskrawej, zapierającej dech w piersi eksplozji wszystko to, czym kiedykolwiek był lub miał być John Keats, wypełniło wszczepiony pod moją czaszkę dysk Schröna. Było to prawie to samo co jego orgazm, który czułam w sobie dwie noce wcześniej: nagłe napięcie, maksymalne naprężenie, a potem ciepło i spokój, wypełniony dogasającymi echemi niedawnego przeżycia.

Ręka opadła bezwładnie, a ja pozwoliłam akolitom zabrać ciało. Wynieśli je na zewnątrz, by pokazać tłumowi, władzom i wszystkim, którzy chcieli wiedzieć.

Nie protestowałam, kiedy odprowadzano mnie stamtąd.

W świątyni Chyżwara spędziłam dwa tygodnie. Przez ten czas wyleczono moje oparzeliny, usunięto odłamki, przeszczepiono fragmenty nowej skóry, naprawiono pozrywane nerwy. Mimo to nadal cierpiałam.

Interesowali się mną już tylko kapłani Chyżwara. TechnoCentrum zostawiło mnie w spokoju, upewniwszy się, że Johnny nie żyje, a jego obecność w Centrum nie wywołała żadnych poważnych skutków.

Władze zarejestrowały moje zeznania, cofnęły mi licencję i zatuszowały całą sprawę najlepiej, jak mogły. Prasa doniosła, że na głównym pasażu rozegrała się krótka, ale zacięta bitwa między gangami z Kopca Dregsa. Zginęło wielu bandytów oraz spora liczba niewinnych przechodniów. Policja wszystko potwierdziła.

Tydzień temu dowiedziałam się, że Hegemonia zezwoli, by drzewostatek “Yggdrasill” z pielgrzymami na pokładzie odbył podróż do wnętrza strefy wojennej, w której granicach znalazł się także Hyperion. Natychmiast skorzystałam ze świątynnego transmitera i przeniosłam się na Renesans, gdzie spędziłam ponad godzinę w bibliotece.

Każda kartka została osobno zamknięta w próżniowej, plastikowej kopercie, w związku z czym nie mogłam ich dotknąć, ale pismo, którym były pokryte, z pewnością było pismem Johnny’ego. Papier zzółkł ze starości i wyglądał na bardzo kruchy. Pierwszy fragment brzmiał następująco:

Dzień minął, zniknęły dnia tego ponęty,
Głos słodki i usta, i dłonie gorące,
I oddech tak ciepły, i szept tak namiętny,
I oczy tak jasne, i ciało mdlejące!
Kwiat uwiadł, już jego uroda stracona,
Pieszczota już szeptu czulego nie płoszy,
Już kształtów kuszących nie trzymam w ramionach
I nie ma już ciepła, i nie ma rozkoszy.
Nie mroczna sprawiła to jakaś potęga,
Co rozkosz okrywa oparem ciemności -
Po prostu kochania czytałem dziś księgę,
Więc zasną, świadomy, żem modlił się, pościł.

Drugi napisano w pośpiechu, znacznie mniej starannie i na gorszym papierze:

Ta żywa ręka, gorąca i skłonna
Do uściśnienia - gdyby była martwa
I lodowata w milczeniu mogiły -
Byłaby zmorą twoich dni i nocy,
A ty, by zgłuszyć wyrzuty sumienia,
Serce byś własnej pozbawiła krwi,
Byle w mych żyłach znów mogła popłynąć
Czerwoną strugą... patrz, oto ma dłoń,
Którą wyciągam ku tobie...

Jestem w ciąży. Wydaje mi się, że Johnny wiedział o tym, choć oczywiście nie mogę mieć pewności.

Jestem w ciąży dwa razy. Noszę w sobie nie tylko dziecko Johnny’ego, ale także dysk Schröna z zapisem tego, czym był. Nie wiem, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, ponieważ dziecko urodzi się dopiero za kilka miesięcy, a ja już za dzień lub dwa stanę twarzą w twarz z Chyżwarem.

Pamiętam jednak doskonale kilka pierwszych minut po tym, jak zabrano zmasakrowane ciało Johnny’ego, a mnie poprowadzono w głąb świątyni, by opatrzyć mi rany. Setki kapłanów, akolitów, egzorcystów i zwykłych wyznawców stało w pograżonym w czerwonym mroku wnętrzu wielkiej budowli, pod obracającą się bez

przerwy koszmarną rzeźbą Chyżwara, i nagle wszyscy, jak jeden mąż, zaczęli cicho śpiewać, a ich głosy odbijały się echem od niewidocznych ścian i sklepienia. Słowa pieśni brzmiały następująco:

NIECH BĘDZIE BŁOGOSŁAWIONA

NIECH BĘDZIE BŁOGOSŁAWIONA MATKA NASZEGO ZBAWICIELA

NIECH BĘDZIE BŁOGOSŁAWIONE NARZĘDZIE NASZEGO ODKUPIENIA

NIECH BĘDZIE BŁOGOSŁAWIONA OBLUBIENICA STWORZYCIELA

NIECH BĘDZIE BŁOGOSŁAWIONA

Byłam ranna i w szoku. Wtedy tego nie rozumiałam, teraz też tego nie rozumiem.

Wiem jednak, że kiedy nadejdzie czas spotkania z Chyżwarem, Johnny i ja razem stawimy mu czoło.

Już od dawna było ciemno. Wagonik sunął, kołysząc się lekko, zawieszony w połowie drogi między gwiazdami a wiecznym lodem. Przez długi czas cała grupa siedziała w milczeniu, wsłuchując się w poskrzypywanie liny.

Ciszę przerwał Lenar Hoyt, który powiedział do Lamii:

- Ty także nosisz krzyżokształt.

Kobieta popatrzyła na niego bez słowa.

Fedmahn Kassad pochylił się w jej stronę.

- Myślisz, że tym templariuszem, który rozmawiał z Johnnym, był Het Masteen?

- Możliwe - odparła Brawne Lamia.

- Czy to ty zabiłaś Masteena? - zapytał pułkownik z doskonale nieruchomą twarzą.

- Nie.

Martin Silenus przeciągnął się i ziewnął.

- Do wschodu słońca zostało już tylko parę godzin - powiedział. - Czy oprócz mnie ktoś chciałby się trochę zdrzemnąć?

Kilka głów skinęło potwierdzająco.

- Ja zostanę na warcie - oznajmił Kassad. - Nie jestem zmęczony.

- Dotrzymam ci towarzystwa - zaofiarował się konsul.

- A ja przygotuję wam kawę - dorzuciła Brawne Lamia.

Trzech pielgrzymów położyło się spać, pozostałych troje zaś siedziało przy

oknie, spoglądając na odległe gwiazdy, płonące zimnymi ognikami na wysoko sklepionej czaszy nieba.

ROZDZIAŁ 6

Baszta Chronosa wznosiła się na wschodnim krańcu pasma potężnych Gór Cugielnych. Była to ponura, kamienna budowla o trzystu pokojach i salach, z labiryntem mrocznych korytarzy prowadzących do wież, wieżyczek i balkonów. Roztaczał się z nich widok na porośniętą rzadką trawą równinę. Kominy Baszty pięły się na pół kilometra w niebo i podobno łączyły się głęboko pod ziemią z legendarnym labiryntem. Parapety budowli były bezlitośnie chłostane przez lodowate wiatry, które spadały z niebotycznych szczytów. Schody - zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne, prowadzące donikąd, wyciosano z górskich gładów, wysokie na sto metrów witraże rozblyskiwały światłem wschodzącego słońca lub księżyca, okienka średnicy pięści zaś nie pozwalały niczego dojrzeć, niezliczone, groteskowe rzeźby ukryto w głębokich niszach, a ponad tysiąc kamiennych chimer spoglądało z krokwi, okapów, parapetów, transeptów i tablic wprost w krwawo zabarwione szyby okien północno-wschodniej fasady. Skrzydlate, garbate cienie tych stworów zdawały się poruszać niczym jakieś ponure wskazówki słonecznych zegarów, nie tylko za dnia, ale i w nocy, kiedy płonęły zasilane gazem pochodnie. Wszędzie też można było dostrzec ślady świadczące o tym, że Baszta przez długie lata służyła członkom Kościoła Chyżwara: spowite czerwonym atłasem ołtarze, wiszące lub stojące podobizny Awatary wyposażone w ostrza z polichromowej stali i ze szkarłatnymi klejnotami zamiast oczu, mnóstwo kamiennych posągów Chyżwara, wykutych bezpośrednio w ścianach pomieszczeń lub klatek schodowych, tak by nawet nocą nikt nie był pewien, czy nie dotknie zakrzywionych szponów sterczących z kamienia, śmiercionośnych ostrzy wystających z zimnego gładu albo czworga mocarnych ramion, tylko czekających na to, by zamknąć się w bezlitosnym uścisku. Jakby po to, żeby nie pozostawić najmniejszych wątpliwości co do znaczenia tych ozdób, niemal wszystkie ściany i sufity pokryto krwawymi, co prawda nie układającymi się w żaden sensowny wzór, niemniej jednak przykuwającymi uwagę rozbryzgami. To samo uczyniono z pościelą, a także stołami i krzesłami w głównej jadalni, gdzie w dodatku unosił się ohydny smród gnijących odpadków, na samym środku zaś leżał stos podartych, na wpół zbutwiałych ubrań. Wszędzie słyhać było nieustające bzyczenie much.

- Nie ma co, zajebicie miła chałupka! - powiedział Martin Silenus. Echo jeszcze przez kilka chwil powtarzało jego słowa.

Ojciec Hoyt postąpił kilka kroków w głąb ogromnego pomieszczenia. Popołudniowe promienie słońca wpadały przez umieszczony w zachodniej części sklepienia świetlik, spływając ku posadzce czterdziestometrowej wysokości kolumnami, wypełnionymi wirującymi drobinkami kurzu.

- Niewiarygodne... - szepnął. - Nawet bazylika świętego Piotra w Nowym Watykanie nie może się z tym równać!

Poeta roześmiał się głośno. Światło padało z góry na jego twarz, podkreślając kości policzkowe i nastroszone brwi satyra.

- Nic dziwnego. Ten przybytek budowano dla żywego boga.

Fedmahn Kassad postawił torbę podróżną na podłodze i odchrząknął.

- Wydaje mi się, że Basztę wzniesiono przed założeniem Kościoła Chyżwara - zauważył.

- Tak jest - potwierdził konsul. - Ale Kościół urzęduje tu już od dwustu lat.

- Nie wydaje mi się, żeby teraz ktoś tu mieszkał - odezwała się Brawne Lamia. W lewej ręce trzymała pistolet ojca.

Zaraz po wejściu do Baszty przez co najmniej dwadzieścia minut krzyczeli i nawoływali co sił w płucach, ale powracające znienacka echa oraz wypełniona bzyczeniem much cisza sprawiły, że wreszcie umilkli.

- Tę cholerną wieżę przez osiem miejscowych lat budowały klony i androidy Smutnego Króla Billy'ego - powiedział poeta. - Miał to być największy hotel w całej Sieci, pełniący rolę punktu wypadowego dla tych, którzy chcieli zwiedzać Grobowce Czasu i Miasto Poetów. Coś mi się jednak wydaje, że nawet te gówniane androidy znały miejscową wersję legendy o Chyżwarze.

Sol Weintraub stał w pobliżu okna, trzymając córeczkę w taki sposób, że rozproszone światło padało na policzek i zaciśniętą piąstkę.

- Teraz to i tak bez znaczenia - powiedział. - Lepiej poszukajmy jakiegoś w miarę czystego kąta, gdzie moglibyśmy zjeść kolację.

- Pójdziemy jeszcze dziś wieczorem? - zapytała Brawne Lamia.

- Do Grobowców? - Silenus chyba po raz pierwszy od początku podróży wyraził autentyczne zdumienie. - Chciałabyś spotkać się z Chyżwarem po ciemku?

Lamia wzruszyła ramionami.

- A co to za różnica?

Konsul stał z przymkniętymi oczami w pobliżu drzwi z oprawionych w ołów kolorowych szybek. Drzwi prowadziły na kamienny balkon. Konsul ze zdziwieniem

stwierdził, że w dalszym ciągu napina mięśnie, podświadomie oczekując szarpnięć wagonika. Trwająca dzień i całą noc podróż nad ośnieżonymi szczytami wydała mu się nagle zupełnie nierzeczywista. Narastające napięcie i - od trzech dni - niemal całkowity brak snu zaczęły wreszcie dawać znać o sobie. Zmusił się, żeby otworzyć oczy, gdyż w przeciwnym razie zapadłby w drzemkę na stojąco.

- Jesteśmy zmęczeni - powiedział. - Zostaniemy tu na noc, a jutro z samego rana zejdziemy w dolinę.

Ojciec Hoyt wyszedł na wąski balkon i oparł się o kamienną balustradę.

- Czy stąd widać Grobowce?

- Nie - odparł Silenus. - Są za tamtą linią wzgórz. Ale widzicie te białe punkciki na północ i odrobinę na zachód? Lśnią jak powybijane zęby.

- Tak.

- To Miasto Poetów, gdzie Król Billy chciał zgromadzić wszystko, co cenne i piękne na tej planecie. Miejscowi twierdzą, że teraz straszą tam bezgłowe upiory.

- Czy ty jesteś jednym z nich? - zapytała z przekąsem Lamia.

Poeta spojrzał na nią gniewnie i już otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale zobaczył pistolet w ręku kobiety, pokręcił głową i odwrócił się bez słowa.

Od strony schodów dobiegł odgłos ciężkich kroków. W chwilę potem do pokoju wszedł pułkownik Kassad.

- Nad jadalnią są dwa małe składziki - oznajmił. - Ich okna wychodzą na balkon, ale dotrzeć do nich można tylko tymi schodami. Dobre miejsce, żeby się bronić, a co najważniejsze, jest tam zupełnie czysto.

Silenus roześmiał się.

- Czy to znaczy, że nic się do nas nie zdoła dostać, czy też że kiedy już się dobierze, nie będziemy mieli jak uciec?

- A dokąd mielibyśmy uciekać? - zapytał Sol Weintraub.

- Właśnie, dokąd? - powtórzył konsul. Był naprawdę bardzo zmęczony. Dźwignął z podłogi swój bagaż i chwycił za jeden uchwyt przy sześcianie Möbiusa czekając, aż Lenar Hoyt uczyni to samo z drugiej strony. - Zastosujmy się do rady Kassada, a przede wszystkim jak najszybciej wyjdźmy z tego pokoju. Tutaj cuchnie śmiercią.

Kolacja składała się z ostatnich liofilizowanych racji żywnościowych, odrobiny wina z ostatniej butelki Silenusa oraz kawałka niezbyt świeżego ciasta, którym Sol

Weintraub postanowił uświetnić ich ostatni wspólny posiłek. Rachela była za mała, żeby jeść ciasto, ale z apetytem wypila swoją porcję mleka, po czym zasnęła na brzuszku na miękkiej macie w pobliżu ojca.

Lenar Hoyt wyjął niewielką bałalajkę i uderzył w struny.

- Nie wiedziałam, że potrafisz grać - powiedziała Brawne Lamia.

- Bardzo nędznie.

Konsul potarł oczy.

- Szkoda, że nie mamy fortepianu.

- Masz fortepian na statku - przypomniał mu Silenus.

Konsul spojrzał na poetę.

- Sprowadź tę swoją skorupę - powiedział Martin Silenus. - Napiłbym się whisky.

- O czym ty mówisz? - parsknął ze zniecierpliwieniem Lenar Hoyt.

- O jego statku. Pamiętacie, jak nasz drogi zaginiony Głos Krzaka Masteen powiedział kiedyś konsulowi, że jego tajną bronią jest właśnie ten wspaniały stateczek Hegemonii, który teraz jakby nigdy nie stoi sobie na lądowisku w Keats? Wezwij go, wasza konsulska mość. Sprowadź go tutaj.

Kassad wrócił z klatki schodowej, gdzie od kilku minut instalował urządzenia alarmowe.

- Datasfera nie działa, na orbicie nie ma ani jednego funkcjonującego satelity komunikacyjnego, okręty bojowe Armii porozumiewają się ze sobą na zastrzeżonych, kodowanych częstotliwościach. Jak, twoim zdaniem, miałyby się skontaktować z komputerem pokładowym?

Zamiast poety odezwała się Lamia.

- Komunikator.

Konsul przeniósł na nią spojrzenie.

- Przeciętny komunikator jest wielkości sporego budynku - zauważył Kassad.

Brawne Lamia wzruszyła ramionami.

- Het Masteen miał sporo racji. Gdybym była konsulem, to znaczy jednym z zaledwie paru tysięcy ludzi w całej Sieci, którzy mają własny statek kosmiczny, na pewno wymyśliłabym jakiś sposób, żeby w razie potrzeby ściągnąć go, gdzie trzeba. Ta planeta jest zbyt prymitywna, żeby mieć własną datasferę, jonosfera jest za cienka, żeby umożliwić działanie krótkofalówek, satelity komunikacyjne przestają działać przy lada zamieszanii... Tak, na pewno posłużyłabym się komunikatorem.

- A co z jego rozmiarami? - zapytał konsul, spoglądając kobiecie prosto w oczy. Lamia nie odwróciła wzroku.

- Hegemonia nie umie jeszcze budować przenośnych komunikatorów, ale podobno potrafią to już Intruzi.

Konsul uśmiechnął się. Gdzieś z wnętrza budowli dobiegł odgłos metalicznego uderzenia, a potem zgrzytnięcie, jakby jakiś twardy przedmiot zawadził o kamień.

- Nie ruszajcie się stąd - polecił Kassad. Wyjął zza pasa paralizator, wyłączył ustawione u szczytu schodów urządzenia alarmowe i bezszelestnie wymknął się z pokoju.

- Wygląda na to, że teraz obowiązuje nas prawo wojenne - mruknął Silenus. - Mars uzyskuje przewagę.

- Zamknij się! - parsknęła Brawne Lamia.

- Myślicie, że to Chyżwar? - zapytał Hoyt.

Konsul wzruszył ramionami.

- Chyżwar nie musiałby rozbijać się na schodach, tylko od razu pojawiłby się tutaj.

Hoyt pokręcił głową.

- Chodziło mi o to, czy to Chyżwar jest przyczyną tej... pustki. I rzezi, której ślady wszędzie widzieliśmy.

- Opustoszałe osady świadczą czasem tylko o tym, że ludność została ewakuowana - odparł konsul. - Nikt nie chce spotkać się z Intruzami. A co do śladów rzezi, to niektóre oddziały Planetarnych Sił Samoobrony wymknęły się spod kontroli. To mogło być ich dzieło.

- A gdzie ciała? - zapytał Martin Silenus. - To tylko pobożne życzenia, panie dyplomato. Nasi nieobecni gospodarze od dawna dyndają na stalowym drzewie Chyżwara. Wkrótce i my tam trafimy.

- Zamknij się - powtórzyła ze znużeniem Lamia.

- Jeśli tego nie zrobię, zapewne mnie zastrzelisz? - zapytał z uśmiechem poeta.

- Żebyś wiedział.

Zapadła cisza, którą przerwało dopiero pojawienie się pułkownika Kassada. Ponownie uruchomił urządzenia alarmowe, po czym zwrócił się do pielgrzymów siedzących na kufrach i skrzyniach:

- Nie ma powodu do obaw. To tylko jakieś ptaki - zdaje się, że tubylcy nazywają je ścierwnikami - dostały się do jadalni przez wybitą szybę i urządziły sobie małą

uczcie.

- Ścierwniki! - zachichotał Silenus. - Coś w sam raz dla nas.

Kassad westchnął, usiadł na złożonym kocu, oparł się plecami o jedną ze skrzyń i zabrał się do zimnego posiłku. Oświetlenie pomieszczenia stanowiła lampa, którą zabrali z wiatrowozu. Prostokąt balkonowego okna ciemniał coraz bardziej, a gęstniejące cienie w szybkim tempie wypełniały zakamarki pokoju.

- To nasza ostatnia noc, a została nam jeszcze jedna opowieść - odezwał się po pewnym czasie Kassad i spojrzał na konsula.

Dyplomata miętosił w palcach kawałek papieru z cyfrą 7.

- Jaki to ma sens? - zapytał, zwilżywszy językiem wargi. - Przecież nasza wyprawa i tak nie przyniesie żadnych rezultatów.

Pozostali spojrzeli na niego.

- Jak mamy to rozumieć? - zapytał ojciec Hoyt.

Konsul zwinął karteluszek i cisnął go w kąt.

- Po to, żeby Chyżwar spełnił czyjeś życzenie, w grupie musi być tylu pielgrzymów, by dało się to wyrazić liczbą pierwszą. Na początku było nas siedmioro, ale teraz, po zniknięciu Masteena, została tylko szóstka. Idziemy na pewną śmierć, bez żadnej nadziei na to, że ktoś z nas zostanie wysłuchany.

Lamia pogardliwie wydeła wargi.

- Przesady!

Konsul westchnął, po czym potarł czoło.

- Zgadzam się. Ale nie pozostało nam nic innego.

- Czy Rachela nie może być siódmym uczestnikiem pielgrzymki? - zapytał Hoyt, wskazując na śpiące niemowlę.

- Nie - odparł Sol Weintraub. - Każdy pielgrzym musi przybyć do Grobowców Czasu z własnej, nieprzymuszonej woli.

- Ona już tu kiedyś była - nie ustępował kapłan. - Może to się liczy...

- Nie - uciął dyskusję konsul.

Martin Silenus od jakiegoś czasu pisał coś w notatniku, ale teraz odłożył pióro, wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Jezu, ludzie! Spójrzcie na siebie. Nie jesteśmy żadnymi pieprzonymi sześcioma pielgrzymami, tylko jakąś cholerną zbieraniną, prawie całym tłumem! Hoyt z krzyżokształtem, w którym siedzi duch Paula Duré, "prawie inteligentny" erg w skrzyni, pułkownik ze swoimi wspomnieniami o Monecie, Brawne Lamia nie tylko z

nie narodzonym dzieckiem w brzuchu, ale i z całym dziewiętnastowiecznym poetą w głowie, nasz uczony z niemowlęciem, w które przeistoczyła się jego córka, ja ze swoją muzą, konsul ze swoim chrzanionym bagażem, który nie wiadomo czemu uznał za konieczne taszczyć aż tutaj... Ludzie, przecież my powinniśmy dostać jakąś grupową zniżkę za przejazd!

- Siadaj i zamknij się - powiedziała Lamia nie podnosząc głosu.

- Kiedy on ma rację - odezwał się Hoyt. - Nawet obecność ojca Duré ukrytego w krzyżokształcie musiałyby w jakiś sposób wpłynąć na ten przesąd o liczbie pierwszej. Wydaje mi się, że mimo wszystko powinniśmy wyruszyć z samego rana, w nadziei że...

- Spójrzcie! - wykrzyknęła Brawne Lamia, wskazując na okno balkonowe. Sączący się przez nie łagodny, szybko gasnący poblask ustąpił miejsca silnemu, pulsującemu światłu.

Cała grupa wyszła na zewnątrz, w chłodny wieczór, i osłaniając oczy podziwiała oszałamiający spektakl, który rozgrywał się na niebie. Jaskrawobiałe erupcje jądrowe rozprzestrzeniały się niczym kręgi na ciemnoniebieskiej wodzie, wybuchająca plazma rozkwitała olśniewająco błękitnymi, żółtymi i czerwonymi plamami, które po pewnym czasie tworzyły spiralne ramiona i malowały, niby kolorowe kwiaty sposobiące się do snu. Różnobarwne promienie średnicy całych planet uderzały w cele odległe nawet o kilka godzin świetlnych i eksplodowały jak ognie sztuczne, rozbryzgując się we wszystkie strony gęstymi pióropuszcami. Delikatnie migoczące bąble obronnych pól siłowych rozżarzały się na ułamki sekundy, absorbując niesamowite ilości energii, by zaraz potem przygasnąć i wrócić do poprzedniego wyglądu. Wśród tego wszystkiego uwijały się gigantyczne liniowce oraz mniejsze jednostki bojowe, znacząc swoje szalone trajektorie liniami cienkimi niby ślad po diamentowym rysiku.

- Intruzi... - szepnęła Brawne Lamia.

- To początek wojny - powiedział Kassad głosem wypranym z jakichkolwiek emocji.

Konsul stwierdził ze zdumieniem, że z oczu ciekną mu łzy, i pośpiesznie odwrócił twarz, aby nikt tego nie zauważył.

- Czy grozi nam jakieś niebezpieczeństwo? - zapytał Martin Silenus. Stał w łukowato sklepionym otworze drzwiowym i zmrużonymi oczami spoglądał z niepokojem w niebo.

- Za duża odległość - odparł Kassad. Podniósł lornetkę, ustawił ostrość i sprawdził coś w swoim taktycznym komlogu. - Większość starć ma miejsce co

najmniej trzy jednostki astronomiczne stąd. Intruzi sprawdzają wytrzymałość zewnętrznych rubieży obronnych Armii. - Opuścił lornetkę. - Dopiero się zaczęło.

- Myślisz, że uruchomiono już transmiter? - zainteresowała się Brawne Lamia.
- Ciekawe, czy zaczęła się ewakuacja ludzi z Keats i innych miast.

Kassad pokręcił głową.

- Wątpię. Mieli trochę za mało czasu. Na razie flota będzie się starała utrzymać przeciwnika w bezpiecznej odległości, a kiedy transmiter zacznie działać, przede wszystkim wykorzysta się go do przerzucenia jednostek liniowych. - Ponownie zbliżył lornetkę do oczu. - To będzie niezłe widowisko.

- Patrzcie!

Tym razem to ojciec Hoyt wyciągnął rękę, lecz nie w kierunku nieba, tylko ku niskim wydmom wyznaczającym północną granicę trawiastej równiny. W odległości kilku kilometrów od Baszty Chronosa, bardzo blisko niewidocznych z tej odległości Grobowców Czasu, stała samotna postać, rzucając rozedrgane cienie na pokrytą plamami kolorowego światła, lekko sfalowaną równinę.

Kassad natychmiast skierował tam lornetkę.

- Czy to Chyżwar? - zapytała Lamia.

- Nie wydaje mi się. To chyba... templariusz, sądząc po jego stroju.

- Het Masteen! - wykrzyknął ojciec Hoyt.

Kassad wzruszył ramionami i puścił lornetkę w obieg. Konsul oparł się ciężko o kamienną balustradę. Słysząc było jedynie szept wiatru, lecz cisza sprawiała, że rozkwitające w górze eksplozje wydawały się jeszcze bardziej złowieszcze.

Kiedy przysła jego kolej, konsul przyłożył lornetkę do oczu. Wysoka postać, odziana w trzepoczącą na wietrze szatę, była odwrócona plecami do Baszty i szła zdecydowanym krokiem po roziskrzonym piasku.

- Idzie do nas czy w stronę Grobowców? - zainteresowała się Lamia.

- W stronę Grobowców - odparł konsul.

Ojciec Hoyt oparł łokcie na balustradzie i wzniosł wyniszczoną twarz ku rozświetlonemu niebu.

- Jeżeli to Masteen, to jest nas znowu siedmioro, nieprawdaż?

- Dotrze na miejsce wiele godzin przed nami - zauważył konsul. - Może nawet pół dnia wcześniej, jeżeli spędzimy tutaj noc.

Kapłan wzruszył ramionami.

- To chyba nie ma większego znaczenia. Siedmioro wyruszyło na pielgrzymkę,

siedmioro zamelduje się u celu. Chyżwar powinien być zadowolony.

- Jeśli Masteen wrócił, to po co było całe to przedstawienie na wiatrowozie? - zapytał Fedmahn Kassad. - I w jaki sposób udało mu się nas wyprzedzić? Przecież nie widzieliśmy żadnego innego wiatrowozu, a nie sądzę, żeby pokonał pieszo przełęcz Górną Cugielnych.

- Zapytamy go o to, kiedy jutro spotkamy się przy Grobowcach - odparł jezuita znużonym tonem.

Brawne Lamia od jakiegoś czasu usiłowała połączyć się z kimś przez komlog, jednak nawet na najczęściej używanych częstotliwościach uzyskiwała jedynie niezrozumiałe szumy i trzaski.

- Kiedy zaczną bombardowanie? - zapytała, spoglądając na Kassada.

- Nie mam pojęcia. To zależy od siły jednostek obronnych Armii.

- Chyba marnie jest z tą siłą, skoro Intruzom udało się zniszczyć "Yggdrasil" - zauważyła Lamia.

Kassad przyznał jej rację skinieniem głowy.

- Czy z tego wynika, że siedzimy na samym środku pieprzonej tarczy strzelniczej? - przeraził się Silenus.

- Naturalnie - odparł konsul. - Jeżeli Intruzi zaatakowali Hyperiona po to, by nie dopuścić do otwarcia Grobowców Czasu - w każdym razie tak należałoby wnioskować z historii opowiedzianej przez Lamię - to ich głównym celem będą właśnie Grobowce oraz najbliższa okolica.

- Głowice nuklearne?

Głos poety przypominał pisk myszy.

- Bez wątplenia - zapewnił go pułkownik.

- Wydawało mi się, że pola antyentropiczne nie pozwalają zbliżyć się tutaj żadnym statkom - zauważył nieśmiało ojciec Hoyt.

- Żadnym statkom załogowym - odezwał się konsul ze swego miejsca przy balustradzie. - Wątpię, żeby zatrzymały pociski samosterujące, bomby albo promienie laserów. To samo dotyczy wszelkiego rodzaju pojazdów. Intruzi mogą wysadzić desant składający z kilku zautomatyzowanych czołgów i obserwować z daleka, jak dolina przestaje istnieć.

- Wydaje mi się, że jednak tego nie zrobią - powiedziała Lamia. - Im zależy na przejęciu kontroli nad Hyperionem, nie na tym, żeby go zniszczyć.

- Nie ryzykowałbym życia, aby dowieść słuszności tego twierdzenia - odparł

Kassad.

Brawne Lamia uśmiechnęła się do niego.

- A czy my teraz robimy coś innego, pułkowniku?

Wysoko w górze samotna iskra oderwała się od kłębowiska świetlistych linii i eksplozji, i popędziła w dół. Po kilku sekundach urosła do rozmiarów pomarańczowego węglika, po czym przecięła niebo prostą kreską i zniknęła za wzgórzami. Do uszu zgromadzonych na balkonie pielgrzymów dotarł przeraźliwy ryk rozdieranego powietrza.

Minęła chyba minuta, zanim konsul zorientował się, że kurczowo zaciska ręce na balustradzie i wstrzymuje oddech w piersi. Wypuścił głośno powietrze z płuc, a niemal jednocześnie uczynili to pozostali. Nie rozległ się huk eksplozji, Basztą nie zakolały sejsmiczne fale powstałe w wyniku zderzenia.

- Niewypał? - szepnął ojciec Hoyt.

- Raczej jakiś uszkodzony niszczyciel, który próbował skryć się na orbicie albo w porcie w Keats - odparł Kassad.

- Chyba mu się nie udało, prawda? - zapytała Lamia.

Pułkownik nie odpowiedział.

Martin Silenus podniósł do oczu lornetkę i przez dłuższą chwilę szukał wysokiej sylwetki templariusza.

- Zniknął - oznajmił wreszcie. - Nasz wspaniały kapitan albo zszedł na drugą stronę jakiegoś pagórka, albo znowu wykonał sztuczkę ze znikaniem.

- Wielka szkoda, że nie usłyszymy jego opowieści - zauważył Lenar Hoyt, po czym spojrzął na konsula. - Ale chyba usłyszymy twoją, prawda?

Konsul wytarł spocone dłonie o spodnie. Serce waliło mu w szaleńczym tempie.

- Tak - odparł i dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że podjął już decyzję. - Usłyszycie.

Wiatr spadał z szumem ze wschodnich stoków gór, prześlizgując się ze świstem między blankami i wieżyczkami Baszty Chronosa. Fajerwerki na niebie jakby nieco przygasły, ale gęstniejący mrok sprawiał, że ich barwy wydawały się jeszcze bardziej jaskrawe niż do tej pory.

- Wejźmy do środka - zaproponowała Lamia. Szum wiatru był już tak silny, że niemal zagłuszył jej słowa. - Robi się zimno.

Po wyłączeniu lampy wewnątrz pokoju oświetlały jedynie różnokolorowe

rozbłyski na niebie. Cienie pojawiały się zniemacka, niknęły, a potem znowu wyskakiwały nie wiadomo skąd, uciekając przed ścigającymi je plamami światła. Zdarzało się jednak, że ciemność trwała nawet kilka sekund.

Konsul sięgnął do torby i wyjął z niej niezwykle urządzenie, większe od komlogu, przyozdobione dziwnymi ornamentami, z ciekłokrystalicznym okienkiem w płycie czołowej. Przypominało rekwizyt z jakiegoś starego holofilmu.

- Co to ma być? - zapytała cierpkim tonem Brawne Lamia. - Zamaskowany komunikator?

W uśmiechu konsula nie sposób było doszukać się ani śladu wesołości.

- To zabytkowy komlog, jeszcze z czasów hegiry. - Wyjął z przytroczonej do pasa sakwy standardowy mikrodysk i włożył go do urządzenia. - Podobnie jak ojciec Hoyt, najpierw muszę wam opowiedzieć historię kogoś innego, żebyście mogli lepiej zrozumieć moją.

- Święty Jezu na patyku! - wykrzyknął Martin Silenus. - Czy tylko ja z całej tej pieprzonej gromady potrafię normalnie opowiedzieć prostą historyjkę? Jak długo jeszcze będę musiał...

Błyskawiczna reakcja konsula zaskoczyła wszystkich, a najbardziej jego samego. Poderwał się z miejsca, odwrócił, chwycił poetę za kaptur i koszulę, grzmotnął nim o ścianę, a następnie powalił na najbliższą skrzynię, wbijając mu kolano w żołądek i naciskając przedramieniem na gardło.

- Jeszcze jedno słowo, a zabiję cię, wierszokleto!

Silenus próbował się bronić, lecz przybierający na sile ucisk na tchawicę oraz wyraz oczu konsula kazały mu znieruchomieć. Był śmiertelnie blady.

Pułkownik Kassad sprawnie rozdzielił obu mężczyzn.

- Od tej pory koniec z wszelkimi komentarzami - powiedział, kładąc ostrzegawczo rękę na uchwycie paralizatora.

Martin Silenus bez słowa przeszedł na drugą stronę pokoju i rozcierając szyję opadł ciężko na jedną ze skrzyń. Konsul stał przez chwilę przy drzwiach, po czym wrócił do grupy.

- Przepraszam - powiedział. Nie ulegało wątpliwości, że kieruje swoje słowa do wszystkich z wyjątkiem poety. - To dlatego, że... że nigdy nie przypuszczałem, iż ktokolwiek usłyszy tę historię.

Okno rozjarzyło się czerwienią, a potem kolejno bielą i błękitem. Potem na kilka sekund zapadła niemal całkowita ciemność.

- Wiemy - odparła cicho Brawne Lamia. - Każde z nas czuło dokładnie to samo. Konsul skinął głową, odchrząknął i usiadł przy zabytkowym komlogu.

- Nagranie nie jest tak stare jak ten instrument, gdyż zostało wykonane jakieś pięćdziesiąt lat standardowych temu. Kiedy się skończy, będę wam miał jeszcze coś do powiedzenia.

Umilkł, zastanawiał się przez chwilę, jakby chcąc jeszcze coś dodać, ale wreszcie potrząsnął głową i włączył urządzenie.

Nie było wizji, tylko głos, należący chyba do bardzo młodego mężczyzny. W tle słychać było szelest poruszanej wiatrem trawy, a może cienkich gałęzi, oraz szum morza.

Na zewnątrz rozbłyski światła następowały jeden po drugim w coraz szybszym tempie. Konsul napiął mięśnie w oczekiwaniu huku i wstrząsu, ale nic takiego nie nastąpiło. Wobec tego zamknął oczy i wraz z innymi wsłuchał się w słowa płynące ze starego komlogu.

Opowieść Konsula Wspominając Siri

W dniu kiedy wyspy powracają na płytkie wody Archipelagu Równikowego, wspinam się po stromym zboczu wzgórza do grobowca Siri. Dzień jest piękny, a ja nienawidzę go za to. Niebo jest równie spokojne jak morza z opowieści o Starej Ziemi, morze z kolei ma miejscami barwę ultramaryny, a słaby wietrzyk wiejący znad oceanu kołysze rdzawą trawą porastającą zbocze wzniesienia.

Taki dzień powinien być szary i ponury, wypełniony po brzegi gęstą mgłą, która osiada wilgotnym kożuchem na masztach statków w porcie Pierwszej Osady i zmusza syreny przeciwmgłowe, by od czasu do czasu odzywały się swymi basowymi głosami. Zimne trzewia południa powinny zionąć lodowatym wichrem, który bezlitośnie chłosta ruchome wyspy oraz towarzyszące im stada delfinów, zmuszając je, by szukały schronienia w zaciszu naszych atoli, osłoniętych barierą skalnych szczytów.

Wszystko byłoby lepsze od tego ciepłego wiosennego dnia, kiedy słońce wędruje po niebie tak błękitnym, że aż coś w mojej duszy każe mi biec, skakać i tarzać się w miękkiej trawie, tak jak czyniliśmy to z Siri właśnie w tym miejscu.

Tak, to było tutaj. Przystaję na chwilę, aby rozejrzeć się dokoła. Trawa kołysze się i faluje w podmuchach przesyconego zapachem soli południowego wiatru niczym

futro jakiejś ogromnej bestii. Osłaniam oczy przed blaskiem słońca i przeszukuję horyzont, ale niczego nie dostrzegam. Zaraz za utworzoną z zastygłej lawy rafą morze burzy się, uderzając w barierę krótkimi, gniewnymi falami.

- Siri... - szepczę jej imię, choć wcale nie miałem takiego zamiaru. Sto metrów za mną, u podnóża wzniesienia, obserwujący mnie tłum także zatrzymuje się, by złapać oddech. Żałobna procesja rozciągnęła się prawie na kilometr, aż do pierwszych białych budynków miasta. Bez trudu mogę dostrzec błyszczącą, niemal zupełnie łysą głowę mego młodszego syna, który stoi na czele gromady. Ma na sobie błękitno-złote szaty Hegemonii. Zdaję sobie sprawę, że powinienem na niego poczekać, lecz ani on, ani żaden z pozostałych, podstarzałych członków Rady nie jest w stanie dotrzymać mi kroku. Moje młode, wytrenowane mięśnie dają mi nad nimi ogromną przewagę. Jednak zwyczaj wymaga, abym kroczył dostojnie razem z synem, moją wnuczką Lirą i jej dziewięcioletnim bratem.

Do diabła z tym. I do diabła z nimi wszystkimi.

Odwracam się i ruszam truchtem w górę. Moja luźna bawełniana koszula jest przesiąknięta potem na długo przed tym, jak docieram do ciągnącego się długim garbem szczytu wzniesienia, skąd po raz pierwszy mogę dostrzec grobowiec.

Grobowiec Siri.

Zatrzymuję się ponownie. Wiatr jest na tyle silny, że chłód błyskawicznie przenika moje ciało, mimo że białe kamienne ściany pogrążonego w ciszy mauzoleum są skąpane w ciepłych promieniach słońca. Przed zamkniętym wejściem do budynku trawa jest równie wysoka jak wszędzie, a wzdłuż wąskiej szutrowej ścieżki na wykonanych z czarnego drewna masztach powiewają wyblakłe paradne proporce.

Okrażam grobowiec i podchodzę do krawędzi urwiska zaledwie kilka metrów za budowlą. Tam gdzie nie okazujący należnego temu miejscu szacunku biesiadnicy rozłożyli koce, trawa jest przygnieciona i zdeptana. Z okrągłych, idealnie białych kamieni, tworzących niegdyś dwa długie szpalery wzdłuż krawędzi ścieżki, ułożono kilka kręgów.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Doskonale znam widok, jaki się stąd roztacza: wielka krzywizna naturalnego falochronu wyznaczającego granice zewnętrznego portu, niskie, białe zabudowania Pierwszej Osady oraz różnobarwne kadłuby i maszty katamaranów kołyszących się przy nabrzeżach. W pobliżu kamienistej plaży zaraz za ratuszem jakaś kobieta w białej sukience idzie w kierunku brzegu morza. Przez sekundę wydaje mi się, że to Siri, i serce zaczyna uderzać mi

żywiej w piersi. Czekam, aż mi pomacha, żeby w odpowiedzi wyrzucić w górę ramiona, ale ona nie wykonuje żadnego gestu w moją stronę. Obserwuję w milczeniu, jak maleńka postać skręca i niknie w cieniu starego hangaru.

Nade mną, wysoko w górze, szerokoskrzydły jastrząb Thomasa unosi się nad laguną na wstępujących prądach powietrznych, wypatrując fok swymi reagującymi na promieniowanie podczerwone oczami. Natura jest głupia, myślę, i siadam na miękkiej trawie. Przygotowała zupełnie nieodpowiednie dekoracje, a potem dorzuciła jeszcze ptaka, który szuka zdobyczy w martwych, zanieczyszczonych wodach w pobliżu szybko rosnącego miasta.

Pamiętam innego jastrzębia, którego widzieliśmy z Siri pierwszej nocy, kiedy znaleźliśmy się na tym wzgórzu. Pamiętam jego skrzydła błyszczące w świetle księżyca i niepokojący krzyk, który odbijał się echem od urwistych ścian, zdając się przesywać ciemność otaczającą zewsząd niewielką wioskę, oświetloną jedynie kilkoma gazowymi latarniami.

Siri miała wtedy szesnaście... nawet niecałe szesnaście lat, i to samo światło księżyca, które padało na skrzydła krążącego w górze jastrzębia, nadawało jej nagiemu ciału kolor mleka. Łagodne wzniesienia piersi rzucały delikatne, półkoliste cienie. Kiedy rozległ się donośny krzyk ptaka, oboje spojrzeliśmy w górę, a Siri powiedziała:

- "Nie słowik to i nie skowronek, tylko żaloszny lament, co wbił się ostrym sztyletem w przerażającą pustkę twego ucha".

- Słucham?

Byłem starszy od niej o ponad trzy lata, ale Siri znała świat książek, wierszy i dramatów, ja zaś znałem tylko gwiazdy.

- Nie bój się, młody kosmiczny żeglarzu - szepnęła i przyciągnęła mnie do siebie. - To tylko stary jastrząb Tom, który wyruszył na nocne łowy. Głupie ptaszysko. Wróć do mnie, kosmiczny żeglarzu. Wróć do mnie, Merin.

Właśnie wtedy "Los Angeles" pojawił się nad horyzontem i niczym niesiony wiatrem, rozżarzony węgiel, ruszył na zachód przez usiane nieznajomymi konstelacjami niebo Maui-Przymierza. Leżąc obok niej opowiadam, w jaki sposób funkcjonuje ogromny statek z napędem Hawkinga, który właśnie sunie nad naszymi głowami i świeci odbitym blaskiem słońca. Przez cały czas moja ręka przesuwana jest w tę i z powrotem po jej atlasowej, jakby naelektryzowanej skórze, na ramieniu zaś czuję ciepło przyspieszonego oddechu dziewczyny. Przytulam twarz do jej szyi, sycąc się

słodkim zapachem włosów.

- Siri... - szepczę ponownie i tym razem nie wyczuwam w tym żadnej niestosowności. W dole, poniżej szczytowej wypukłości i poza zasięgiem cienia rzucanego przez biały grobowiec, tłum niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę. Chcieliby, żebym jak najprędzej wszedł do środka, do chłodnej pustki, która zastąpiła ciepłą obecność Siri. Chcą, żebym wreszcie się z nią pożegnał, gdyż wówczas będą mogli rozpocząć uroczystości, otworzyć na oścież wrota transponderów i przyłączyć się do oczekującej ich niecierpliwie Sieci.

Do diabła z tym wszystkim. I do diabła z nimi.

Wyrywam źdźbło trawy i ssę jego słodki koniec, wpatrując się w horyzont w oczekiwaniu na pojawienie się pierwszych wędrujących wysp. Jest jeszcze wcześnie i cienie są bardzo długie. Dzień niedawno się zaczął. Posiedzę tu jeszcze trochę, żeby powspominać.

Będę wspominał Siri.

Gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, była chyba ptakiem. Na twarzy miała maskę ozdobioną różnokolorowymi piórami. Kiedy ją zdjęła, żeby przyłączyć się do chaotycznego kadryla, blask pochodni zalśnił w jej ciemnokasztanowych włosach. Miała mocno zaróżowione policzki i nawet z mojego dość odległego miejsca w tłumie mogłem dostrzec zdumiewającą zieleń jej oczu, kontrastującą z łagodnymi barwami twarzy i włosów. Ma się rozumieć, była to Noc Zabaw. Pochodnie płonęły żywo w dość mocnym wietrze nadlatującym od strony portu, a dźwięki fletów, które przygrywały przepływającym w pobliżu wyspom, z trudem docierały do naszych uszu, przytłumione szumem fal i skrzypieniem takielunku. Siri miała niespełna szesnaście lat, a jej uroda płonęła jaśniej od każdej z pochodni oświetlających zatłoczony plac. Przepchnąłem się między ludźmi i podszedłem do niej. Dla mnie było to pięć lat temu. Dla nas było to ponad sześćdziesiąt pięć lat temu. Wydaje mi się, że było to nie dalej niż wczoraj.

Nie, to wszystko idzie nie tak, jak trzeba.

Od czego powinienem zacząć?

- Może byśmy tak coś zerznęli, szczawiku? - zaproponował Mike Osho.

Niski i niemal kwadratowy, o twarzy przypominającej karykaturę oblicza Buddy, był wówczas dla mnie bogiem. Wszyscy byliśmy bogami: długowieczni, jeśli

nie wręcz nieśmiertelni, dobrze opłacani, jeśli nie wręcz bogaci. Hegemonia uznała nas za godnych tego, by stanowić załogę jednego z bezcennych statków zdolnych do dokonywania skoków przez nadprzestrzeń, więc czy mogliśmy nie być bogami? Tyle że Mike - genialny, żywy jak srebro, niepokorny Mike - zajmował w statkowym panteonie nieco wyższe miejsce od młodego Merina Aspica.

- Bez szans - odparłem.

Braliśmy prysznic po dwunastogodzinnej służbie polegającej na eskortowaniu robotników zatrudnionych przy budowie transmitera z i do miejsca, gdzie powstawało to urządzenie, mniej więcej sto sześćdziesiąt trzy tysiące kilometrów od Maui-Przymierza. Nie było to zbyt fascynujące zajęcie, raczej nudne i dające mało satysfakcji. W czasie trwającej cztery miesiące podróży z prędkością nadświatlną stanowiliśmy grupę czterdziestu dziewięciu wysokiej klasy fachowców, dyrygujących ponad dwustu zastraszonymi pasażerami. Teraz jednak pasażerowie przywdziali skafandry robocze, my zaś staliśmy się kimś w rodzaju uzbrojonych kierowców ciężarówek, przez większą część czasu przyglądających się beczynnie pracom przy budowie transmitera.

- Bez szans - powtórzyłem. - Chyba że ziemniaki postawili jakiś burdelik na tej cholernej chustce do nosa, którą raczyli nam wydzierżawić.

- Nie postawili - odparł Mike.

Wkrótce czekała nas trzydniowa przepustka, ale dowiedzieliśmy się już od kapitana Singha, a także od naszych rozgoryczonych kolegów, że jedynym miejscem, gdzie będziemy mogli ją spędzić, jest administrowana przez Hegemonię wysepka o wymiarach cztery na siedem kilometrów. Nie była to nawet jedna z ruchomych wysp, o których tyle słyszeliśmy, tylko zwykły wulkaniczny szczyt wystający z wody w pobliżu równika. Czekala nas tam prawdziwa grawitacja, czyste powietrze i naturalna żywność, ale musieliśmy także liczyć się z faktem, iż kontakt z tubylcami będziemy mogli nawiązać jedynie kupując w sklepie wolnocłowym wytworzone przez nich pamiątki. Wielu kolegów zatem postanowiło spędzić wolne dni na pokładzie "Los Angeles".

- Więc skąd mamy wziąć jakąś dupencję, Mike? Przecież wiesz, że ta zakichana planeta otworzy się dla wszystkich dopiero wtedy, kiedy zacznie działać transponder, czyli za sześćdziesiąt lat. Chyba że myślisz o Megu z maszynowni?

- Trzymaj się mnie, szczawiku - powiedział Mike. - Dla chcącego nic trudnego.

No więc trzymałem się go. Na promie było nas tylko pięciu. Zawsze lubiłem

wpadać z wysoka w atmosferę planety, szczególnie tak przypominającej Starą Ziemię jak Maui-Przymierze. Gapilem się na biało-błękitną kulę, aż nagle ocean znalazł się w dole, a my łagodnym ślizgiem zaczęliśmy zbliżać się do linii terminatora, pędząc z trzykrotną prędkością dźwięku.

Byliśmy wówczas bogami, ale czasem nawet bogowie muszą zejść ze swoich wysokich tronów.

Ciało Siri nigdy nie przestało mnie zadziwiać. Na przykład wtedy, na Archipelagu: trzy tygodnie w obszernym domu, kołyszącym się wraz z pniem drzewa, wokół którego został zbudowany, pod łopoczącymi koronami drzew żaglowych, w towarzystwie płaszcących się wesoło w wodzie stad delfinów. Zdawały się bawić w chowanego wśród niezliczonych, fosforyzujących wirów, jakie pozostawialiśmy za sobą, tworzących czasem niemal zwierciadlane odbicia gwiazdnych konstelacji... A mimo to nadal najlepiej pamiętam ciało Siri. Z jakiegoś powodu - może z nieśmiałości, a może dlatego, że przez wiele lat nie miała do czynienia z nikim obcym - przez kilka pierwszych dni nosiła skąpy kostium kąpielowy, dzięki czemu do końca mego pobytu jej piersi, pośladki i podbrzusze były nieco jaśniejsze niż reszta ciała.

Wciąż pamiętam ją taką, jaka wtedy była. Trójkąty w świetle księżyca, kiedy leżeliśmy w miękkiej trawie powyżej Pierwszej Osady. Jedwabne majteczki, jej dziecięca nieśmiałość, chwila wahania, jakby obawiała się, że daje mi przedwcześnie coś, na co powinienem jeszcze poczekać. Ale także duma. Ta sama duma, która później pozwoliła jej stawić czoło rozwścieczonemu tłumowi na stopniach konsulatu Hegemonii w Ternie Południowym i nakłonić ludzi, żeby rozeszli się do domów.

Pamiętam moją piątą wizytę na planecie, nasze Czwarte Ponowne Spotkanie. Była to jedna z niewielu okazji, kiedy widziałem ją płaczącą. Sławna i mądra, przypominała wówczas królową. Cztery razy z rzędu była wybierana do WszechJedności, a Rada Hegemonii wielokrotnie zasięgała jej opinii w różnych sprawach. Traktowała swoją niezależność jak płaszcz koronacyjny, a jej gorąca duma nigdy nie płonęła jaśniej niż właśnie wtedy. Kiedy jednak znaleźliśmy się sami w kamiennej willi na południe od Fevarone, to ona rozplakała się i odwróciła twarzą do ściany. Byłem onieśmielony, a nawet lekko wystraszony dostojeństwem tej nie znanej mi, pięknej kobiety, ona zaś odwróciła ode mnie swoją dumną twarz i powiedziała przez łzy:

- Odejdź, Merin. Odejdź stąd. Nie chcę, żebyś mnie oglądał. Jestem stara,

brzydka i pomarszczona. Proszę cię, odejdz.

Przyznaję, że zachowałem się wtedy dość brutalnie. Z siłą, która nawet dla mnie stanowiła zaskoczenie, chwyciłem jedną ręką jej obie ręce, natomiast drugą gwałtownym szarpnięciem zdarłem z niej ubranie i zacząłem jak szalony całować jej kark, ramiona, ledwo widoczne rozstępy na jędrnym brzuchu, bliznę na udzie - pamiątkę po wypadku, w którym brała udział przed czterdziestu miejscowymi laty. Całowałem siwiejące włosy i pionowe linie wyżłobione w idealnie niegdyś gładkich policzkach. Całowałem jej łzy.

- Jezu, Mike, to chyba nielegalne? - wykrztusiłem, kiedy mój przyjaciel wyjął z plecaka matę grawitacyjną.

Znajdowaliśmy się na wyspie numer 241, gdyż taką właśnie romantyczną nazwę nadano skrawkowi wulkanicznego gruntu, który wybrano jako miejsce, gdzie mogliśmy spędzać wolne dni. Wyspa numer 241 leżała w odległości niespełna pięćdziesięciu kilometrów od najstarszej osady na planecie, lecz dla nas mogło to być równie dobrze pięćdziesiąt lat świetlnych. Kiedy na wyspie przebywali robotnicy lub członkowie załogi "Los Angeles", miejscowe statki miały całkowity zakaz zbliżania się do brzegu. Co prawda koloniści dysponowali nielicznymi, mocno już przestarzałymi śmigaczami, lecz one także nie pojawiały się w okolicy. Na wydzielonym skrawku ziemi znajdowało się tylko kilka hoteli, plaża i wolnocłowy sklep z upominkami. Pewnego dnia, kiedy "Los Angeles" dostarczy na orbitę ostatnie elementy konstrukcyjne transmittera, a ten wreszcie zostanie uruchomiony, wyspa numer 241 stanie się wielkim centrum handlowo-turystycznym. Tymczasem jednak była to zapadła dziura z lądowiskiem dla promów orbitalnych i paroma nowo wzniesionymi budynkami z najpopularniejszego miejscowego budulca, czyli białego kamienia, po której kręcili się śmiertelnie znudzeni ludzie z obsługi. Mike zameldował, że nie będzie nas trzy dni, gdyż udajemy się na pieszą wędrówkę po najbardziej skalistym i najtrudniej dostępnym krańcu wyspy.

- Nie mam zamiaru włączyć się po żadnych skałach! - zaprotestowałem. - Już lepiej zostanę na "L. A." i podłączę się do symulatora.

- Zamknij się i chodź ze mną - odparł Mike, a ja, jak przystało na bóstwo niższej rangi, zamknąłem się i poszedłem za nim. Po dwóch godzinach męczącej wędrówki wśród porośniętych kolczastymi zaroślami ścian dotarliśmy do gładkiego języka zastygłej lawy położonego kilkaset metrów nad powierzchnią morza. Znajdowaliśmy

się w pobliżu równika na niemal tropikalnej planecie, lecz w tym miejscu zimny wiatr dał z taką siłą, że trząsałem się jak galareta i nie trafiałem zębem na ząb. Zachodzące słońce przypominało krwistoczerwonego, rozmazanego kleksa, przesłoniętego ciemnymi cumulusami; szczerze mówiąc, nie miałem najmniejszej ochoty na spędzenie tej nocy pod gołym niebem.

- Schowajmy się gdzieś i rozpalmy ognisko - wyszcząkałem z trudem. - Potem pokażesz mi, w jaki sposób ustawia się namiot na litej skale.

Mike usiadł, tam gdzie stał, i zapalił skręta.

- Zajrzyj do swojego plecaka, szczawiku.

Zawahałem się. Powiedział to zupełnie obojętnym tonem, ale ja wiedziałem już, że tak właśnie zachowuje się każdy żartowniś na sekundę przedtem, nim na niczego się nie spodziewającą ofiarę chluśnie kubel zimnej wody. Wreszcie jednak zdecydowałem się postąpić zgodnie z jego radą. Na zawartość plecaka składały się kostki z pianogumy oraz kostium arlekina, łącznie z maską i dzwoneczkami.

- Co to... Czy ty... Czyś ty oszalał? - wykrztusiłem.

Z minuty na minutę robiło się coraz ciemniej. Burza mogła przejść na południe od nas, ale nie musiała. Daleko w dole fale roztrzaskiwały się z hukiem o pionowe skały. Gdybym potrafił odnaleźć w ciemności drogę powrotną, z pewnością nie oparłbym się pokusie, aby wrzucić Mike'a Osho do wody w charakterze pokarmu dla ryb.

- A teraz zobacz, co jest w moim - powiedział.

Najpierw ujrzałem kilka znajomych kostek z pianogumy, potem zaś trochę biżuterii, jaką wytwarza się ręcznie na Renesansie, kompas inercyjny, pióro laserowe, które każdy przestrzegający ściśle przepisów oficer pokładowej służby bezpieczeństwa mógłby łatwo uznać za broń, jeszcze jeden kostium arlekina - najwyraźniej przeznaczony dla osoby o bardziej korpulentnej sylwetce - oraz matę grawitacyjną.

- Jezu, Mike, to chyba nielegalne? - zapytałem, przesuwając dłońmi po skomplikowanym wzorze wiekowego dywanu.

- Nie zauważyłem tutaj żadnych celników - odparł z uśmiechem. - Wątpię też, czy tubylcy mają coś w rodzaju kontroli ruchu powietrznego.

- Tak, ale... - Umilkłem, po czym rozwinąłem matę do końca. Miała niewiele ponad metr szerokości i około dwóch metrów długości. Żywe niegdyś kolory mocno już przyblakły, ale włókna tworzące wzory sterujące lotem wyglądały niemal jak nowe.

- Gdzie ją zdobyłeś? - zapytałem. - Działa jeszcze?

- Na Ogrodzie - powiedział Mike i zaczął pakować oba kostiumy oraz pozostały ekwipunek do swojego plecaka. - Jasne, że działa.

Minęło już ponad sto lat od chwili, kiedy Władimir Szołochow, emigrant ze Starej Ziemi, znakomity specjalista entomolog i konstruktor EMV, wykonał na Nowej Ziemi pierwszą matę grawitacyjną, którą podarował swojej uroczej, młodej siostrzenicy. Według legendy dziewczynka wzgardziła prezentem, lecz w ciągu zaledwie kilku lat zabawki te osiągnęły wręcz niesłychaną popularność - i to raczej wśród zamożnych dorosłych niż wśród dzieci - aż wreszcie zostały zakazane na większości planet Hegemonii. Łatwo wymykające się spod kontroli, drogie w produkcji, stwarzające ogromne zagrożenie dla ruchu powietrznego maty grawitacyjne stały się rzadko spotykanymi ciekawostkami, które można było oglądać już tylko w muzeach i na nielicznych, prymitywnych planetach.

- Założę się, że kosztowała cię fortunę - powiedziałem.

- Trzydzieści marek - odparł Mike, sadowiąc się na środku dywanu. - Stary handlarz, od którego ją kupiłem, myślał, że jest już bezużyteczna. Dla niego była, ale ja zabrałem ją na statek, podładowałem, przeprogramowałem bloki pamięci i... *voilà!*

Musnął palcami skomplikowany wzór, a mata natychmiast naprężyła się i uniosła piętnaście centymetrów nad ziemię.

Przyjrzałem się jej z powątpiewaniem.

- Wszystko pięknie, ale co będzie, jeśli...

- Nie bój się, jest całkowicie naładowana - przerwał mi Mike i poklepał grubą tkaninę. - Wiem, jak się nią posługiwać. No dobra, wskakuj albo odsuń się trochę. Chcę wyruszyć, zanim ta burza zdecyduje się podejść bliżej.

- Nie wydaje mi się...

- Daj spokój, Merin. Decyduj się. Nie mam czasu.

Zastanawiałem się jeszcze tylko dwie sekundy. Gdyby przyłapano nas na próbie opuszczenia wyspy, obaj natychmiast musielibyśmy pożegnać się z pracą na statku, a ta stanowiła teraz dla mnie całe moje życie. Sam podjąłem tę decyzję, podpisując kontrakt aż na osiem misji na Maui-Przymierze. Co gorsza, od cywilizacji dzieliło mnie dwieście lat świetlnych oraz pięć i pół roku podróży w nadprzestrzeni. Nawet gdyby odstawiono nas z powrotem do Sieci, stracilibyśmy jedenaście lat życia. Nie można oszukać długu czasowego.

Wskoczyłem na matę i usadowiłem się za plecami Mike'a, a on wepchnął plecak między nas, kazał mi się trzymać, po czym dotknął kolorowego wzoru. Mata

wzbiła się pięć metrów w górę, skręciła raptownie w lewo i poszybowała nad wzburzonym oceanem. Trzysta metrów pod nami, w gęstniejącym mroku huczały spienione fale. Wznieśliśmy się jeszcze wyżej i poleciliśmy na północ, w sam środek nocy.

Takie decyzje bardzo często zupełnie zmieniają przyszłość.

Pamiętam rozmowę z Siri podczas naszego Drugiego Ponownego Spotkania, wkrótce po tym, jak zjawiliśmy się w willi na wybrzeżu niedaleko Fevarone. Szliśmy we dwójkę po plaży. Alon został w mieście pod opieką Magritte. Byłem z tego nawet zadowolony, gdyż w obecności chłopca czułem się dziwnie nieswojo. O tym, że coś łączy go ze mną... z nami... świadczyły wyłącznie jego poważne zielone oczy, ciemne kręcone włosy oraz zadarty nos. I jeszcze ironiczny, skryty uśmiech, na jakim przyłapałem go kilka razy, kiedy otrzymywał od matki reprimendę. Ten uśmiech był stanowczo zbyt dojrzały i zbyt cyniczny jak na dziesięcioletniego chłopca. Doskonale go znałem, choć do tej pory wydawało mi się, że takich rzeczy nie można odziedziczyć, tylko trzeba się ich nauczyć.

- Niewiele wiesz - powiedziała Siri. Szła bosą, brodząc w płytkiej wodzie. Od czasu do czasu nachylała się, podnosiła z piasku muszlę, przyglądała jej się uważnie i rzucała ją za siebie.

- Przeszedłem intensywne szkolenie - odparłem.

- Nie wątpię. Z pewnością jesteś bardzo dobrym fachowcem, ale niewiele wiesz.

Zirytowany, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć, szedłem obok niej z opuszczoną głową. Wydłubałem z piasku biały kawałek zastygłej lawy i cisnąłem go daleko w morze. Nad wschodnim horyzontem gromadziły się deszczowe chmury. Nagle zapragnąłem znaleźć się na pokładzie statku. Wahałem się przed powrotem na planetę i teraz nie miałem już wątpliwości, że popełniłem błąd. Był to mój trzeci pobyt na Maui-Przymierzu, nasze Drugie Ponowne Spotkanie, jak mawiali poeci, a nawet zwykli ludzie. Za pięć miesięcy miałem skończyć dwadzieścia jeden lat standardowych, Siri zaś trzy tygodnie temu obchodziła swoje trzydzieste siódme urodziny.

- Byłem w wielu miejscach, o których ty nawet nie słyszałaś - powiedziałem wreszcie. Zdawałem sobie sprawę, że zachowuję się jak rozdrażnione dziecko.

- Tak, oczywiście! - wykrzyknęła Siri i klasnęła w dłonie. Przez chwilę widziałem w niej taką Siri, jaką zapamiętałem - młodą dziewczynę, o której śniłem i

marzyłem podczas długich dziewięciu miesięcy podróży. Zaraz potem jednak wspomnienie ustąpiło miejsca brutalnej rzeczywistości; ponownie zobaczyłem krótkie włosy, zwiotczałe mięśnie karku oraz żyły, coraz bardziej widoczne na tak kochanych kiedyś przeze mnie rękach. - Byłeś w miejscach, w których ja nigdy nie będę. - Głos był ten sam. Prawie ten sam. - Merin, kochanie, widziałeś rzeczy, jakich ja nigdy nie zobaczę, i znasz więcej faktów dotyczących funkcjonowania wszechświata, niż ja potrafiłabym sobie wyobrazić, ale mimo wszystko wiesz bardzo niewiele.

- O czym ty mówisz, do diabła?

Usiadłem na częściowo zagrzebanym w piasku pniu drzewa i podciągnąłem kolana pod brodę, tworząc między nami coś w rodzaju płotu.

Siri wyszła z wody, uklękła przede mną, ujęła mnie za ręce, i choć moje były znacznie większe, cięższe i potężniejsze, to w porównaniu z jej dłońmi wydawały się bardzo słabe i bezradne. Pomyślałem, że taką siłę mogą dać lata, których ja jeszcze nie przeżyłem.

- Tylko życie pozwala naprawdę dowiedzieć się czegoś o sobie i innych, mój ukochany. Zrozumiałam to dzięki Alonowi. Wychowując dziecko, postrzega się wszystko znacznie wyraźniej.

- Co masz na myśli?

Odsunęła się nieco i odruchowo odgarnęła do tyłu niesforny kosmyk włosów, lecz jej lewa dłoń nadal ścisnęła moje palce.

- Nie jestem pewna... - powiedziała cicho. - Zaczyna się chyba od tego, że wiesz, kiedy coś jest ważne, a kiedy nie. Nie bardzo potrafię to wyrazić. Jeżeli przez trzydzieści lat bez przerwy spotykasz się z obcymi ludźmi, czujesz się w ich towarzystwie znacznie swobodniej, niż gdybyś miał o połowę mniejsze doświadczenie. Wiesz, czego możesz od nich oczekiwać, i jesteś na to przygotowany, a jednocześnie potrafisz wcześniej wyczuć, że nie uzyskasz od nich tego, na czym ci zależy, i idziesz dalej, nie tracąc niepotrzebnie czasu. Po prostu wiesz więcej o tym, co jest i czego nie ma, i jak mało masz czasu, żeby zrozumieć, na czym naprawdę polega różnica. Rozumiesz mnie, Merin? Czy rozumiesz mnie choć trochę?

- Nie - odparłem.

Skinęła głową i przygryzła dolną wargę, ale nic nie odpowiedziała, tylko pochyliła się i pocałowała mnie. Jej usta były suche, a ja wyczułem na nich nie wyartykułowane pytanie. Opierałem się przez chwilę, patrząc nad jej głową w niebo, bo wydawało mi się, że potrzebuję czasu do zastanowienia, ale potem poczułem ciepłe

dotknięcie języka i zamknąłem oczy. Za naszymi plecami wzbierał powoli przypływ. Ciepło rozlewało się coraz bardziej, kiedy Siri rozpięła mi koszulę i przesunęła paznokciami po piersi. Nagle odsunęła się ode mnie, a ja otworzyłem oczy w samą porę, żeby zobaczyć, jak odpina ostatni guzik w swojej białej sukience. Miała większe piersi niż te z moich wspomnień, cięższe, o ciemniejszych sutkach. Nie zważając na chłodny wiatr, ściągnąłem cienki materiał z jej ramion i zamknąłem ją w uścisku. Osunęliśmy się na ciepły piasek za pniem. Tuliłem ją do piersi, zastanawiając się jednocześnie, jak mogłem choć przez chwilę uważać ją za silniejszą ode mnie. Jej skóra miała smak soli.

Ręce Siri sięgnęły w dół, żeby mi pomóc. Krótkie włosy rozsypały się na piasku, białym materiale, szorstkim drewnie. Serce waliło mi tak głośno, że zagłuszało szum przypływu.

- Rozumiesz mnie, Merin? - zapytała kilka sekund później, kiedy połączyło nas jej ciepło.

- Tak - szepnąłem w odpowiedzi, chociaż nadal nic nie rozumiałem.

Mike skierował matę w stronę Pierwszej Osady. Lot trwał ponad godzinę, którą spędziłem kuląc się z zimna w ciemności i oczekując, że lada chwila runiemy do morza. Na trzydzieści minut przed osiągnięciem celu dostrzegliśmy pierwsze ruchome wyspy, a w niedługi czas potem pojawiło ich się znacznie więcej. Z wydętymi wiatrem koronami drzew żaglowych płynęły nie kończąca się procesją na północ, uciekając przed sztormem. Wiele było rzesiście oświetlonych różnobarwnymi latarniami i lampionami.

- Jesteś pewien, że dobrze lecimy?! - zawołałem.

- Tak! - odkrzyknął, nie odwracając głowy. Wiatr szarpał jego długimi czarnymi włosami, wpychając mi je w usta i w oczy. Mike od czasu do czasu zerkał na kompas i lekko korygował kurs. Wydawało mi się, że łatwiej byłoby podążać śladem wysp. Właśnie mijaliśmy jedną z nich, dość dużą, bo co najmniej kilometrowej długości, ale nie mogłem dostrzec żadnych szczegółów, gdyż spowijała ją ciemność. Z połyskującej wody wychylały się jakieś obłe kształty. Szturchnąłem Mike'a w ramię i wskazałem w dół.

- Delfiny! - krzyknął. - Od nich się to wszystko zaczęło, nie pamiętasz? Podczas hegiry gromada świętoszków próbowała ocalić wszystkie ssaki żyjące w oceanach Starej Ziemi. Nie udało im się.

Już miałem mu zadać kolejne pytanie, ale właśnie wtedy pojawiła się przed nami wyspa i port Pierwszej Osady.

Do tej pory wydawało mi się, że gwiazdy nad Maui-Przymierzem są bardzo jasne, a wędrujące wyspy bajecznie kolorowe. Jednak Pierwsza Osada, położona między portem i górami, świeciła nocą niczym jakaś latarnia morska. Natychmiast przywiodła mi na myśl statek dalekiego zasięgu, który oglądałem kiedyś w chwili, gdy unosząc się w przestrzeni obok wygasłego gazowego olbrzyma wytworzył własną, miniaturową Nową. Miasto przypominało pięciowarstwowy plaster miodu, utworzony z białych budynków oświetlonych od wewnątrz dającymi ciepły blask latarniami, z zewnątrz zaś niezliczonymi pochodniami. Nawet biała, zastygła lawa, z której była zbudowana wyspa, zdawała się świecić w ciemności. Wokół miasta wzniesiono mnóstwo namiotów i tymczasowych baraków, a oprócz wielu ognisk, na których przygotowywano posiłki, rozpalono także sporo ogromnych stosów; ich jedynym zadaniem było uświetnienie uroczystości z okazji powrotu pływających wysp.

W samym porcie roiło się od najróżniejszych łodzi. Były tam katamarany z dzwonekami zawieszonymi na masztach, płaskodenne łodzie mieszkalne przystosowane do tego, aby dostojnie żeglować od portu do portu po spokojnych, przybrzeżnych wodach równikowych, a także nieliczne oceaniczne jachty, smukłe i funkcjonalne jak rekiny. Latarnia morska wzniesiona na końcu rafy osłaniającej wejście do portu posyłała strumienie światła daleko w morze, by zaraz potem skierować je na zatłoczony port i biały masyw wyspy.

Radosną wrzawę usłyszeliśmy już z odległości dwóch kilometrów. Ponad krzyki i huk przyboju wybijały się dźwięki sonaty fletowej Bacha. Później dowiedziałem się, że całe to zamieszanie było transmitowane za pomocą podwodnych głośników umieszczonych w Kanałach Przepływowych, gdzie zgromadziły się stada delfinów, pływających w takt muzyki.

- Na Boga, Mike! Skąd wiedziałeś, że tu będzie taka impreza?

- Zapytałem komputer pokładowy. - Mata zboczyła nieco w prawo, by trzymać się z dala od statków i światła latarni, a potem skierowaliśmy się ku skrawkowi po-grążonego we względnej ciemności lądu na północ od miasta. Morze było tu chyba znaczne płytsze, gdyż fale osiągały mniejszą wysokość i nie rozbijały się z tak ogromnym hukiem. - Obchodzą to święto co roku, ale tak się składa, że teraz akurat po raz sto pięćdziesiąty, więc zabawa zaczęła się już przed trzema tygodniami i potrwa jeszcze dwa. Na całej planecie mieszka najwyżej jakieś sto tysięcy kolonistów, z czego

co najmniej połowa bierze udział w uroczystościach.

Mata zmniejszyła prędkość, obniżyła lot i wylądowała delikatnie na skalistym wzgórzu niedaleko od plaży. Burza skierowała się dalej na południe, lecz od czasu do czasu nad horyzontem pojawiały się pajęczne nici błyskawic. Nad naszymi głowami świeciły gwiazdy, nic sobie nie robiąc z blasku bijącego zza wzniesienia, które oddzielało nas od Pierwszej Osady. Było tu znacznie cieplej niż na naszej wysepce, a w powietrzu unosił się wyraźny zapach kwitnących drzew owocowych. Zwinęliśmy matę i pośpiesznie założyliśmy przebrania, Mike zaś schował do obszernych kieszeni laserowe pióro i biżuterię.

- Po co ci to? - zapytałem, kiedy ukryliśmy plecak i matę pod sporym głazem.

- To? - Błysnął w półmroku naszymi oczami z Renesansu. - Będziemy się tym posługiwać jako walutą, ubiegając się o przychyłność dam.

- Przychyłność?

- Aby zechciały zapewnić nieco rozkoszy znużonym gwiazdny wędrowcom, czyli, krótko mówiąc, dać dupy, szczawiku.

- Aha - mruknąłem i poprawiłem maskę oraz czapeczkę błazna. Dzwoneczki zabręczały cichutko w ciemności.

- Chodźmy, bo spóźnimy się na przyjęcie - powiedział Mike.

Skinąłem głową i ruszyłem za nim w kierunku światła i dźwięków.

Siedzę w promieniach słońca i czekam, nie bardzo wiedząc na co. Czuję na plecach ciepło, które promieniuje od nagrzewających się ścian grobowca Siri.

Grobowca Siri?...

Na niebie nie ma ani jednej chmurki. Podnoszę głowę i mrużę oczy, jakbym chciał dojrzeć "L. A." i niedawno ukończony transmiter, ale to przecież niemożliwe. Cząstka mnie wie doskonale, że ani statek, ani transmiter nie pojawiły się jeszcze nad horyzontem. Inna cząstka zna dokładnie czas, jaki pozostał im do osiągnięcia zenitu. Jeszcze inna nie chce nawet o tym myśleć.

Siri, czy dobrze robię?

Wiatr raptownie przybiera na sile, łopocząc zwisającymi do tej pory niemrawo proporcami. Bardziej wyczuwam, niż dostrzegam niepokój czekającego tłumu. Po raz pierwszy odkąd wylądowałem na tej planecie po to, by odbyło się nasze Szóste Ponowne Spotkanie, serce wypełnia mi ból. Nie, jeszcze nie ból, tylko świdrujący smutek, który już niedługo ustąpi miejsca rozpacz. Przez wiele lat prowadziłem w

duchu milczące rozmowy z Siri, przygotowując pytania do naszych przyszłych dyskusji, a teraz nagle zaczynam rozumieć, że już nigdy nie zamienimy ani słowa. Moją duszę wypełnia szybko rosnąca pustka.

Czy powinienem na to pozwolić, Siri?

Odpowiada mi jedynie pomruk tłumu. Najdalej za kilka minut wyślą Donela, mojego młodszego, pozostałego przy życiu syna, być może w towarzystwie jego siostry Liry, aby mnie ponaglili. Wyrzucam źdźbło trawy, które do tej pory ssalem. Na horyzoncie pojawia się ledwo dostrzegalny cień: albo to chmura, albo pierwsza z wysp, które - gnane odwiecznym instynktem i wiejącymi z północy wiatrami - wracają każdej wiosny na równikowe płycizny, gdzie znajduje się ich ojczyzna. To bez znaczenia.

Siri, czy słusznie postępuję?

Wciąż nie ma odpowiedzi, a mnie pozostaje coraz mniej czasu.

Siri okazywała nieraz tak wielką ignorancję, że wszystko aż przewracało się we mnie ze złości.

Nic nie wiedziała o tym, jak wygląda moje życie z dala od niej. Zadawała pytania, lecz ja często miałem wątpliwości, czy naprawdę chce usłyszeć na nie odpowiedzi. Poświęciłem wiele godzin, by jej wyjaśnić cudowne prawa fizyczne, które pozwoliły na skonstruowanie ogromnych statków nadprzestrzennych, ale ona chyba nic z tego nie zrozumiała. Pewnego razu, po długim wykładzie na temat różnic między naszym "Los Angeles" a ich statkiem kolonizacyjnym, uraczyła mnie następującym pytaniem:

- Ale dlaczego właściwie moi przodkowie potrzebowali osiemdziesięciu lat, żeby dotrzeć na Maui-Przymierze, podczas gdy tobie wystarczy na to zaledwie sto trzydzieści dni?

Nie dotarło do niej ani słowo z tego, co mówiłem.

Także jej rozumienie historii było, mówiąc najogólniej, dość mizerne. Traktowała Hegemonię i Sieć tak samo jak dziecko traktuje baśniowe światy, pod wieloma względami bardzo atrakcyjne, ale całkowicie nierealne. Wykazywała przy tym taką obojętność, że chwilami robiło mi się czerwono przed oczami.

Wiedziała natomiast wszystko o początkach hegiry - przynajmniej w części dotyczącej Maui-Przymierza i kolonistów - i czasem zaskakiwała mnie znajomością cudownie archaicznych szczegółów lub wyrażań. Jednak rzeczywistość po hegirze

stanowiła dla niej białą plamę. Nazwy takie jak Ogród, Intruzi, Renesans czy Lusus mówiły jej niewiele albo nawet nic. Także nazwiska Salmuda Brevy'ego czy generała Glennona-Heighta nie wywoływały prawie żadnych reakcji i skojarzeń.

Kiedy widziałem ją po raz ostatni, miała siedemdziesiąt lat standardowych, lecz nigdy - nigdy - nie odwiedziła innej planety, nie korzystała z komunikatora, nie skosztowała innego napoju alkoholowego niż wino, nie miała kontaktu z chirurgiem osobowości, nie przeszła przez transmiter, nie paliła skręta, nie poddała się korekcie genów, nie podłączyła się do symulatora, nie chodziła do żadnej szkoły, nie brała leków bazujących na RNA, nie słyszała o gnostykach zen lub Kościele Chyżwara, nie używała żadnego pojazdu latającego poza zabytkowym vikkenem, od wielu lat stanowiącym własność jej rodziny.

Nigdy też nie kochała się z nikim oprócz mnie. Tak przynajmniej twierdziła.

A ja jej wierzyłem.

Podczas naszego Pierwszego Ponownego Spotkania, które miało miejsce na Archipelagu, Siri zabrała mnie, żebym porozmawiał z delfinami.

Wstaliśmy wcześniej, by obserwować wschód słońca. Z najwyższych pięter nadrzewnego domu roztaczał się wspaniały widok na rozjaśniający się coraz bardziej wschodni horyzont. Strzępki wysokich cirrusów poróżwiały raptownie, a potem morze rozbłysło milionem świetlnych refleksów, kiedy nad płaskim horyzontem pojawiło się słońce.

- Chodźmy popływać - zaproponowała Siri. Padające niemal poziomo promienie słońca barwiły jej skórę na bladozłoty kolor.

- Jestem zmęczony - odparłem. - Może później.

Przez całą noc prawie nie zmrzyliśmy oka, rozmawiając, kochając się, rozmawiając i znowu się kochając. Teraz, w blasku cudownego poranka, czułem się dziwnie pusty i wydawało mi się, że lada chwila chwycą mnie mdłości. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, że dzieje się tak za sprawą ledwo wyczuwalnego ruchu wyspy, który u mnie, odzwyczajonego od grawitacji, powodował zaburzenia równowagi.

- Teraz - stwierdziła stanowczo Siri, po czym chwyciła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Zirykowało mnie to, ale nie protestowałem. Siri miała dwadzieścia sześć lat, a więc była już o siedem lat starsza ode mnie, lecz w dalszym ciągu zachowywała się jak nastolatka, którą zaledwie przed dziesięcioma miesiącami

mojego czasu ujrzałem podczas Świąta. Nadal śmiała się głośno i bez żadnych zahamowań, nadal miała zielone, patrzące bystro oczy, nadal wokół jej głowy trzepotały wiecznie potargane kasztanowe włosy. Tylko jej ciało wypełniło się, dojrzewając obietnicami, których wcześniej można było się tylko domyślać. Miała wysoko osadzone, krągłe piersi, nad którymi zaczynały się piegi, dalej zaś skóra stawała się tak biała, że widać było przez nią niebieskie, delikatne żyłki.

Mimo wszystko była w jakiś sposób inna.

- Idziesz ze mną czy będziesz tak siedział i wytrzeszczał oczy? - zapytała.

W drodze na najniższy poziom zrzuciła luźną koszulę. Przy nabrzeżu kołysała się nasza mała łódka, a w górze drzewo żaglowe rozchyłało powoli koronę, obudzone ciepłymi promieniami słońca. Przez kilka minionych dni Siri kąpała się w kostiumie, ale teraz była zupełnie naga. Jej sutki zmarszczyły się pod wpływem chłodnego powietrza.

- Nie boisz się, że zostaniemy z tyłu? - zapytałem, zerkając niepewnie na rozwijającą się koronę. Poprzednio zawsze czekaliśmy na przypadający około południa okres ciszy, kiedy morze stawało się gładkie niczym lustro. Teraz jednak grube liście błyskawicznie wypełniały się wiatrem.

- Nie bądź głupi! - roześmiała się. - Przecież możemy chwycić się korzeni kilowych albo którejsz z wici pokarmowych. Dalej, pośpiesz się!

Rzuciła mi maskę osmotyczną i błyskawicznie włożyła swoją. Przezroczyste tworzywo sprawiło, że jej twarz wyglądała jak obłana oliwą. Na szyi powiesiła sobie medalion z jakiegoś ciemnego metalu. Wyglądał groźnie i tajemniczo.

- Co to jest?

Nie podniosła maski, żeby odpowiedzieć, tylko przykleiła po obu stronach szyi miniaturowe mikrofony i podała mi małe słuchaweczki.

- Translator - usłyszałem jej cienki głosik. - Powinieneś wiedzieć, bo przecież znasz się na tych technicznych cudeńkach.

Przytrzymała translator na miejscu jedną ręką i wskoczyła do wody. Dostrzegłem jeszcze dwie jasne półkule pośladek, kiedy wykonała obrót i skierowała się głębiej, a potem został po niej tylko jasny ślad utworzony z uciekających ku powierzchni banieczek powietrza. Pośpiesznie wciągnąłem maskę na twarz, przytwierdziłem do szyi mikrofony i skoczyłem za nią.

Wyspa oglądana od spodu przypominała ciemną plamę na kryształowym, rozświetlonym suficie. Starannie unikałem kontaktu z wiciami pokarmowymi, mimo

że Siri kilkakrotnie zademonstrowała mi, iż największą zdobyczą, jaką się interesują, są drobinki zooplanktonu unoszące się wokół nas jak cząsteczki kurzu w pustej sali balowej. Podobne do poskręcanych stalaktytów korzenie kilowe sięgały kilkaset metrów w głąb fioletowej otchłani.

Wyspa znajdowała się w ruchu, o czym świadczyło delikatne falowanie wici. Dziesięć metrów w górze promienie słońca załśniły w spienionym kilwacie. Przez sekundę wydawało mi się, że się uduszę, gdyż ściśle przylegający do nosa i ust żel maski uniemożliwiał mi oddychanie równie skutecznie jak otaczająca mnie zewsząd woda, a potem nagle poczułem, jak moje płuca swobodnie napełniają się powietrzem.

- Głębiej, Merin - usłyszałem głos Siri.

Zamrugalem w zwolnionym tempie i dostrzegłem ją dwadzieścia metrów niżej, trzymającą się jedną ręką korzenia kilowego na granicy między ciepłymi, powierzchniowymi wodami i znacznie chłodniejszymi prądami głębinowymi. Pomyślałem o tysiącach metrów mrocznej otchłani, o stworzeniach, które mogą tam mieszkać, nie odkryte przez kolonistów, i poczułem, jak jądra chowają mi się w podbrzusze.

- Zejdź niżej.

Głos Siri zadźwięczał mi w uszach niczym bzyczenie owada. Wykonałem obrót i popłynąłem w dół. Siła wypychania nie była tu tak duża jak na Starej Ziemi, ale i tak nurkowanie wymagało wydatkowania dużej ilości energii. Zależnie od głębokości maska dawkowała mi odpowiednie porcje tlenu i azotu, ale wzrastający nacisk wody dawał mi się poważnie we znaki. Wreszcie przestałem poruszać nogami, chwyciłem się bocznego odrostu jednego z korzeni i pomagając sobie rękami przyciągnąłem się do Siri.

Unosiliśmy się obok siebie w półmroku. Siri wyglądała jak zjawa: długie włosy otaczały ją czarną chmurą, a jaśniejsze miejsca na jej ciele jarzyły się tajemniczo w błękitnozielonym, przyćmionym świetle. Wydawało się, że od powierzchni dzieli nas jakaś niewyobrażalnie wielka odległość. Rozszerzające się "V" kilwata oraz położenie wici świadczyły o tym, że wyspa płynie coraz szybciej, kierując się ku nowym żerowiskom na dalekich wodach.

- Gdzie są...

Siri nie pozwoliła mi dokończyć.

- Szszsz! - syknęła i dotknęła medalionu. Wtedy je usłyszałem: krzyki, tryle, gwizdy, pomruki i nawoływania. Nagle głębiny wypełniła przedziwna muzyka.

- Jezu... - westchnąłem, a ponieważ Siri włączyła translator, moje westchnienie zostało nadane jako krótki gwizd zakończony donośnym trąbnięciem.

- Witajcie! - zawołała Siri, a translator natychmiast nadał powitalny sygnał, przypominający przenikliwy ptasi tryl, przechodzący pod koniec w ultradźwięki. - Witajcie! - powtórzyła.

Delfiny zjawiły się dopiero po kilku minutach. Były zaskakująco, wręcz niepokojąco duże. W słabym oświetleniu ich ciała sprawiały wrażenie oleisto śliskich i bardzo umięśnionych. Szczególnie dorodny osobnik przepłynął nie dalej niż metr od nas, w ostatniej chwili odwracając się na bok, tak że jego biały brzuch przesunął się przed naszymi oczami niczym ściana. Dostrzegłem małe czarne oko, które przyglądało mi się badawczo. Nieznaczące poruszenie szerokiej płetwy ogonowej wywołało tak wielkie turbulencje, że nie mogłem mieć żadnych wątpliwości co do siły zwierzęcia.

- Witaj! - zawołała Siri, lecz potężny kształt zniknął już w półmroku. Siri wyłączyła translator. - Chcesz z nimi porozmawiać? - zapytała.

- Jasne - odparłem bez większego przekonania.

Mimo trwających już od ponad trzystu lat wysiłków nie udało się nawiązać prawdziwego kontaktu między człowiekiem a tymi morskimi ssakami. Mike powiedział mi kiedyś, że struktury myślowe obu gatunków ocalałych po zagładzie Starej Ziemi są zbyt różne i istnieje stanowczo za mało wspólnych punktów odniesienia. Jeden ze specjalistów sprzed hegiry napisał kiedyś, że rozmowa z delfinem bardzo przypomina rozmowę z rocznym dzieckiem; obie strony są zachwycone, żadna jednak nie uzyskuje nowych informacji.

- Witajcie - powiedziałem, kiedy Siri ponownie włączyła translator.

Przez mniej więcej minutę trwała cisza, a potem w słuchawkach rozbrzmiały podekscytowane, piskliwe głosy:

“daleko/nie-płetwa/powitanie?/gonitwa/zabawa?”

- Co to ma znaczyć, do diabła? - zapytałem Siri, a translator natychmiast przetłumaczył moje pytanie. Zobaczyłem, że dziewczyna uśmiecha się pod maską.

Spróbowałem jeszcze raz.

- Witajcie! Pozdrowienia od... eee... z powierzchni. Jak się macie?

Wielki samiec (przynajmniej wydaje mi się, że to był samiec) wyłonił się z mroku i pomknął ku nam jak torpeda. Płynął z prędkością dziesięć razy większą od tej, jaką mnie udałoby się osiągnąć, nawet gdybym przypiął płetwy. Przez chwilę wydawało mi się, że chce nas staranować, więc skuliłem się i przywarłem do korzenia.

Sekundę później był już daleko za nami, podczas gdy ja i Siri walczyliśmy z silnymi zawirowaniami, jakie po sobie pozostawił, a w uszach dźwięczał nam jeszcze jego piskliwy krzyk:

“nie-płetwa/nie-pokarm/nie-gonitwa/nie-zabawa”

Siri wyłączyła translator i podpłynęła bliżej. Złapała mnie lekko za ramiona, ja zaś trzymałem się korzenia tylko jedną ręką. Przytuleni do siebie czuliśmy, jak ciepła woda przepływa obok nas, i obserwowaliśmy ławice małych rybek, kręcących się wśród płataniny bocznych odrostów. W oddali widać było ciemne kształty delfinów.

- Wystarczy? - zapytała, położywszy mi rękę na piersi.

- Spróbuję jeszcze raz.

Siri skinęła głową i uruchomiła urządzenie, jednocześnie obejmując mnie ramieniem.

- Dlaczego zawsze towarzyszyacie wyspom? - zapytałem. - Czy macie z tego jakieś korzyści?

“brzmienie/stare pieśni/głęboka woda/nie-Wielkie Głosy/nie-Rekin/stare pieśni/nowe pieśni”

Siri przyłgnęła teraz do mnie całym ciałem. Na plecach czułem jej lewą rękę.

- Wielkie Głosy to wieloryby - szepnęła. Długie włosy układały się w wodzie w falujące smugi. Prawa ręka przesunęła się w dół i zamarła na chwilę, jakby zaskoczona tym, co tam znalazła.

- Tęsknicie za Wielkimi Głosami? - zapytałem ruchliwe cienie, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Siri oplotła moje biodra nogami. Powierzchnia morza, od której dzieliło nas co najmniej czterdzieści metrów, przypominała rozświetloną od wewnątrz warstwę świeżo ubitej piany.

- Za czym najbardziej tęsknicie? Czego wam najbardziej brakuje z oceanów Starej Ziemi?

Lewą ręką przyciągnąłem Siri jeszcze bliżej, przesunąłem dłoń w dół, ku pośladowi, i tam ją zatrzymałem. Krążącym w pewnym oddaleniu delfinom musieliśmy wydawać się jedną istotą. Siri wsunęła się na mnie i naprawdę staliśmy się jednym ciałem.

Translator unosił się za plecami dziewczyny. Wyciągnąłem rękę, by go wyłączyć, ale wstrzymałem się jeszcze sekundę, gdyż w uszach zabrzmiała mi piskliwa odpowiedź:

“tęsknię Rekin/tęsknię Rekin/tęsknię Rekin/Rekin/Rekin”

Wyłączyłem urządzenie i potrząsnąłem głową. Nic z tego nie rozumiałem. Nie rozumiałem mnóstwa rzeczy. Zamknąłem oczy i poruszałem się z Siri w łagodnym rytmie morskich prądów, podczas gdy delfiny uwijały się wokół nas, a ich piskliwe nawoływania coraz bardziej upodabniały się do żalosego, prastarego lamentu.

Na drugi dzień tuż przed wschodem słońca Siri i ja zeszliśmy ze wzgórz i przyłączyliśmy się do obchodów Święta. Przez całą noc i cały dzień uganiał się po okolicy, pod namiotami z pomarańczowego jedwabiu jedliśmy posiłki z nieznanymi ludźmi, kąpaliśmy się w lodowatej wodzie rzeki Shree oraz tańczyliśmy przy dźwiękach muzyki, która bez przerwy towarzyszyła nie kończącej się procesji ruchomych wysp. Byliśmy spragnieni siebie. Kiedy obudziłem się o zachodzie słońca, Siri znikła. Wróciła, zanim jeszcze na niebie pojawił się księżyc, i oznajmiła, że jej rodzice wyruszyli wraz z przyjaciółmi na kilkudniową wycieczkę, zostawiając w Pierwszej Osadzie śmigacz. Bezzwłocznie ruszyliśmy w kierunku miasta, zatrzymując się przy kolejnych ogniskach. Mieliśmy zamiar polecieć na zachód, do rodzinnej posiadłości w pobliżu Fevarone.

Było już bardzo późno, lecz na głównym placu Pierwszej Osady nadal tłoczyło się mnóstwo ludzi. Nie posiadałem się z radości. Miałem dziewiętnaście lat i byłem zakochany, tak więc prawie nie odczuwałem wynoszącego 0,93 g przyciągania planety. Z pewnością poleciałbym, gdybym miał skrzydła. Mógłbym zrobić wszystko, na co tylko miałem ochotę.

Zatrzymaliśmy się przy jednym z kiosków, żeby kupić ciastka i kawę. Nagle przysła mi do głowy pewna myśl.

- Skąd wiedziałaś, że jestem ze statku?

- Cicho bądź, Merin, i zajmij się śniadaniem. Kiedy znajdziemy się w willi, przygotuję coś bardziej konkretnego.

- Ale ja mówię poważnie - odparłem, ocierając usta rękawem dalekiego już od czystości kostiumu. - Rano powiedziałaś, że poznałaś na pierwszy rzut oka, skąd przybywam. W jaki sposób? Zdradził mnie akcent? A może kostium? Ale przecież Mike i ja widzieliśmy sporo ludzi w identycznym przebraniu!

Siri roześmiała się i odgarnęła włosy do tyłu.

- Ciesz się, że to ja cię zdemaskowałam, kochanie. Gdybyś trafił na wujka Greshama albo na jego przyjaciół, narobiłbyś sobie poważnych kłopotów.

- Naprawdę? Dlaczego?

Wziąłem jeszcze jedno ciastko. Siri zapłaciła sprzedawcy, a ja podążyłem za nią przez rzednący tłum. Czuję, jak powoli zaczyna mnie ogarniać zmęczenie.

- Są Separatystami - wyjaśniła Siri. - Wujek Gresham niedawno wygłosił przed Radą przemowę, w której stwierdził, że lepiej zginąć z bronią w ręku niż dać się pożreć waszej Hegemonii. Powiedział też, że powinniśmy zniszczyć transponder, zanim on zniszczy nas.

- Naprawdę? A czy powiedział, w jaki sposób chce się do tego zabrać? O ile wiem, nie macie tu ani jednego statku kosmicznego.

- Rzeczywiście, i to już od ponad pięćdziesięciu lat. Sam widzisz, jak bardzo irracjonalni potrafią być Separatyści.

Skinąłem głową. Kapitan Singh i radca Hamlyn poinformowali nas o tak zwanych Separatystach z Maui-Przymierza. "Jest to tradycyjna koalicja kolonialnych szowinistów i wsteczników - powiedział Singh. - Jedną z przyczyn, dla których posuwamy się naprzód małymi krokami i przed uruchomieniem transpondera staramy się rozwinąć potencjał handlowy planety. Nikomu w Sieci nie zależy na tym, żeby zbyt wcześnie wypuścić tych dzikusów z zagrody. Istnienie takich grup jak Separatyści to także główny powód, dla którego zarówno wy, jak i robotnicy, nie możecie kontaktować się z miejscową ludnością".

- Gdzie twój śmigacz? - zapytałem.

Plac szybko pustoszał. Większość muzyków spakowała już instrumenty, a na trawie i chodnikach, wśród stert śmieci i wygasłych latarni, głośno chrapali strudzeni uczestnicy zabawy. Pozostało tylko kilka enklaw ruchu i dźwięku, skupionych już to wokół samotnego gitarzysty, już to jakiegoś rozśpiewanego pijaka. Bez trudu dostrzegłem Mike'a Osho, który - bez maski i z dziewczyną uczeploną każdego ramienia - uczył tańca *Hava Nagilla* grupkę ogromnie chętnych, lecz niezbyt sprawnych naśladowców. Co chwila ktoś padał na ziemię, pociągając za sobą innych, a wówczas, przy wtórze gromkiego śmiechu, Mike pomagał im znów stanąć na nogi i ponownie zaczynał nucić melodię swoim donośnym, głębokim basem.

- Tam - powiedziała Siri, wskazując niewielki parking przed ratuszem. Skinąłem głową i pomachałem Mike'owi, ale on był zanadto zajęty swymi dwiema kobietami, żeby zwrócić na mnie uwagę. Siri i ja przeszliśmy już na drugą stronę placu i skryliśmy się w cieniu starych budynków, kiedy nagle ktoś zawołał głośno:

- Ej, ty! Spójrz na nas, ty skurwysyński sługusie Hegemonii!

Na sekundę zamarłem w bezruchu, a potem odwróciłem się gwałtownie z

zaciśniętymi pięściami, ale nikogo za mną nie było. Sześciu młodych ludzi zeszło natomiast z wybudowanej naprędce estrady i ustawiło się półkolem za plecami Mike'a. Ich przywódca, który wysforował się nieco do przodu, był wysoki, szczupły i wręcz nieprawdopodobnie przystojny. Mógł mieć dwadzieścia pięć albo dwadzieścia sześć lat, a jego długie kręcone włosy opadały jasnymi kędziorami na szkarłatny strój z jedwabiu, podkreślający znakomitą sylwetkę. W prawej ręce trzymał metrowej długości miecz, który zdawał się wykuty z hartowanej stali.

Mike odwrócił się powoli. Nawet z tej odległości widziałem, że błyskawicznie otrzeźwiał i teraz starał się ocenić sytuację. Towarzyszące mu kobiety oraz młodzi ludzie, których uczył tańczyć, zachichotali, jakby usłyszeli coś zabawnego. Mój przyjaciel nadal uśmiechał się szeroko.

- Mówiłeś coś do mnie, kolego? - zapytał.

- Owszem, ty cholerny sukinsynu Hegemonii! - syknął przywódca grupki. Jego przystojną twarz wykrzywił paskudny grymas.

- To Bertol - szepnęła Siri. - Mój kuzyn, młodszy syn Greshama.

Skinąłem głową i wyszedłem z cienia. Siri chwyciła mnie za ramię.

- Już po raz drugi wyraziłeś się nieładnie o mojej matce, przyjacielu - powiedział Mike. Miał kłopoty z wyraźnym mówieniem. - Czy ona albo ja uraziliśmy cię w jakiś sposób? Jeśli tak, to serdecznie przepraszam.

Uklonił się tak nisko, że dzwoneczki naszyte na błazeńskiej czapce prawie dotknęły ziemi. Jego wielbiciele nagrodzili go oklaskami.

- Obraża mnie sama twoja obecność, ty draniu. Psujesz nam powietrze wyziewami swojego tłustego cielska.

Mike uniósł brwi w komicznym zdumieniu, a stojący w pobliżu niego chłopak przebrany za rybę machnął niecierpliwie ręką.

- Daj spokój, Bertol. On tylko...

- Zamknij się, Ferick. Nie mówię do ciebie, tylko do tego obleśnego gówna.

- Obleśne gówno? - powtórzył Mike, wciąż z uniesionymi brwiami. - A wiec pokonałem dwieście lat świetlnych tylko po to, żeby nazwano mnie obleśnym gównem? Wydaje mi się, że to raczej marny interes.

Z wdziękiem obrócił się dookoła własnej osi i jednocześnie uwolnił od obu kobiet. Dołączyłbym do niego, gdyby nie to, że Siri uczepliła się mego ramienia, szepcząc mi w ucho jakieś niezrozumiałe słowa. Kiedy ponownie spojrzałem na Mike'a, zobaczyłem, że nadal się uśmiecha, zgrywając głupca, ale lewą rękę trzymał

już w obszernej kieszeni bluzy.

- Daj mu swój miecz, Creg! - warknął Bertol.

Jeden z młodych mężczyzn rzucił broń w kierunku Mike'a, który nie wykonał najmniejszego ruchu, by ją złapać. Miecz z donośnym brzękiem upadł na kamienną nawierzchnię placu.

- Chyba nie mówisz poważnie - powiedział spokojnym tonem mój przyjaciel. Był już zupełnie trzeźwy. - Czy naprawdę wydaje ci się, ty skretyniały pastuchu, że będę się z tobą pojedynkował tylko dlatego, że ci staje, kiedy odgrywasz bohatera przed tymi palantami?

- Podnieś miecz, bo jak nie, to posiekam cię na kawałki! - wrzasnął Bertol i z grymasem wściekłości na twarzy zrobił krok naprzód.

- Pierdol się - odparł Mike. W jego lewej ręce pojawiło się pióro laserowe.

- Nie! - krzyknąłem i poderwałem się do biegu. Robotnicy pracujący przy budowie transmittera używali piór laserowych do robienia znaków na elementach konstrukcyjnych z najtwardszych spieków.

Potem wydarzenia potoczyły się w oszalałym tempie. Bertol zrobił jeszcze jeden krok naprzód, a Mike niemal od niechcenia wykonał lekki ruch ręką, w której trzymał pióro. Przystojny młody człowiek krzyknął głośno i odskoczył, kiedy zielony promień przesunął się po jego piersi, pozostawiając osmalone, dymiące rozcięcie w materiale koszuli. Zawahałem się; Mike ustawił pióro na najmniejszą moc. Dwaj przyjaciele Bertola pośpieszyli mu z pomocą, ale kiedy Mike musnął ich promieniem zielonego światła, obaj natychmiast zrezygnowali. Pierwszy, klnąc głośno, osunął się na kolana, drugi zaś zaczął skakać na jednej nodze, posykując z bólu.

Wokół miejsca wydarzenia gromadziło się coraz więcej ludzi, którzy teraz jak jeden mąż ryknęli śmiechem. Mike zdjął błazeńską czapkę i uklonił się nisko.

- Bardzo dziękuję - powiedział. - Dziękuję w imieniu mojej matki.

Kuzyn Siri wprost kipiał wściekłością. Ślina ciekła mu z ust i kapłała na osmaloną koszulę. Przedarłem się przez tłum i stanąłem między Mikiem a wysokim mężczyzną.

- Już wystarczy - powiedziałem. - Zaraz stąd znikamy.

- Merin, do jasnej cholery, zjedź mi z drogi! - warknął Mike.

- Już wystarczy - powtórzyłem, odwracając się do niego. - Jest ze mną dziewczyna, która ma...

Nie dokończyłem, gdyż Bertol rzucił się naprzód z wyciągniętym mieczem.

Chwyciłem go za ramię, okręciłem dokoła siebie i pchnąłem z powrotem. Runął jak długi na ziemię.

- Cholera - powiedział spokojnie Mike, po czym cofnął się o kilka kroków i usiadł na kamiennym stopniu. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego i zde gustowanego. - Niech to szlag trafi...

Na jednej z czarnych plam po lewej stronie jego kostiumu dostrzegłem wąską szkarłatną kreskę, która nagle rozszerzyła się, a w chwilę później trysnęła z niej krew.

- Jezu, Mike!

Oderwałem pas materiału z mojej koszuli i nieporadnie usiłowałem zatamować krwotok. Nagle wyleciało mi z pamięci wszystko, czego uczono mnie na zajęciach z udzielania pierwszej pomocy. Odruchowo sięgnąłem do lewego przedramienia, lecz nie znalazłem tam komlogu. Zarówno mój, jak i Mike'a został na "Los Angeles".

- To nic wielkiego, Mike - wyjąkałem. - Tylko zwykłe draśnięcie.

Krew płynęła obfitym strumieniem.

- Ale wystarczy. - W głosie Mike'a wyraźnie pobrzmiwała nuta bólu. - Niech to cholera. Pieprzony miecz, uwierzyłbyś, Merin? Być zadżganym w kwiecie wieku za pomocą jakiegoś pieprzonego różna z tandetnego melodramatu. Niech to nagły szlag trafi.

Zmieniłem rękę, gdyż ta, którą do tej pory przyciskałem do rany skrawek materiału, była zupełnie zbroczona krwią.

- Wiesz, na czym polega twój pierdolony problem, Merin? Że do wszystkiego musisz wtrącić swoje trzy grosze. Aj... - Twarz Mike'a zbladła, a potem zszarzała. Opuścił głowę i przez chwilę oddychał ciężko. - Do diabła z tym wszystkim, szczawiku - odezwał się ponownie. - Może byśmy tak wrócili do domu, co?

Obejrzałem się przez ramię. Otoczony przyjaciółmi Bertol wycofywał się powoli, natomiast przerażeni gapie kręcili się bezradnie, nie wiedząc, co powinni zrobić.

- Wezwijcie lekarza! - wrzasnąłem. - Sprowadźcie szybko lekarza!

Dwaj ludzie popędzili dokądś ulicą. Nigdzie nie mogłem dostrzec Siri.

- Zaczekaj chwilę! - powiedział Mike znacznie silniejszym głosem, jakby nagle przypomniał sobie o czymś niezmiernie ważnym. - Zaczekaj...

I umarł.

Naprawdę umarł. Śmiercią mózgową. Opadła mu szczęka, oczy uciekły gdzieś w górę i do tyłu, a zaraz potem krew przestała płynąć z rany.

Przez kilka szalonych sekund przeklinałem niebo i przeklinałem "L. A.", który właśnie sunął na tle blaknących powoli gwiazd, gdyż wiedziałem, że gdybym tam był, wskrzesiłbym Mike'a w ciągu zaledwie kilku minut. Tłum cofnął się o krok, przerażony moją wściekłością.

Wreszcie zwróciłem się do Bertola.

- Ej, ty! - krzyknąłem.

Zatrzymał się na skraju placu i spojrzał na mnie bez słowa. Twarz miał śmiertelnie bladą.

- Ty... - wykrztusiłem przez zaciśnięte gardło, po czym wyjąłem pióro laserowe z martwych palców Mike'a, ustawiłem je na największą moc i ruszyłem powoli w kierunku grupki nieruchomych młodych ludzi.

Z tego, co działo się później, pamiętam tylko przeraźliwe wrzaski, śwąd palonego ciała, śmigacz Siri lądujący pośrodku placu oraz jej głos, nakazujący mi siadać obok niej. Gdy tylko to uczyniłem, natychmiast poleciliśmy w górę, daleko od świateł i szaleństwa. Chłodny wiatr odgarnął mi z czoła mokre od potu włosy.

- Polecimy do Fevarone - powiedziała Siri. - Bertol był pijany. Separatysty tworzą niewielką, znaną z gwałtownych wystąpień grupę. Nie będzie żadnych konsekwencji. Zostaniesz ze mną tak długo, aż Rada Planety umorzy śledztwo.

- Nie - wychrypiałem. - Ląduj. Tutaj.

Wskazałem skrawek terenu niedaleko od miasta.

Protestowała, ale w końcu postąpiła zgodnie z moim życzeniem. Zerknąłem na głaz, aby upewnić się, że plecak jest na miejscu, po czym wyskoczyłem z maszyny. Siri objęła moją głowę obiema rękami i przytuliła ją mocno.

- Merin, mój kochany...

Miała rozchylone, gorące usta, ale ja nie zareagowałem. Czuję się tak, jakbym został poddany całkowitemu znieczuleniu. Wyrwałem się z objęć, cofnąłem o dwa kroki i dałem jej znak, żeby startowała. Odgarnęła do tyłu kasztanowe włosy i przez chwilę wpatrywała się we mnie zielonymi, pełnymi łez oczami, po czym śmigacz wzbił się w powietrze, zawrócił i w blasku wstającego świtu pomknął na południe.

O mało nie krzyknąłem, żeby zaczekała. Usiadłem na skale, przycisnąłem kolana do piersi i zacząłem szlochać. Nie trwało to długo. Kiedy wstałem, cisnąłem pióro laserowe daleko w spienioną wodę, a następnie wydobyłem plecak z ukrycia i wytrząsnąłem na ziemię jego zawartość.

Mata zniknęła.

Ponownie usiadłem, tam gdzie stałem, zbyt wyczerpany, żeby śmiać się albo płakać. Słońce zaczęło swoją wędrówkę po niebie. Kiedy trzy godziny później obok mnie bezszelestnie wylądował wielki czarny śmigacz okrętowej służby bezpieczeństwa, wciąż jeszcze siedziałem bez ruchu w tym samym miejscu.

- Ojcze? Ojcze, robi się późno...

Odwracam się i widzę mego syna Donela, stojącego w odległości kilku kroków ode mnie. Ma na sobie błękitno-złotą szatę członka Rady Hegemonii. Jego łysa czaszka jest zaczerwieniona i pokryta kropelkami potu. Donel ma dopiero czterdzieści trzy lata, ale wydaje się znacznie starszy ode mnie.

- Ojcze, proszę...

Kiwam głową i wstaję, otrzepując ubranie. Zbliżyliśmy się razem do frontowej ściany grobowca. Tłum jest już znacznie bliżej. Słyszę, jak żwir chrzęści pod stopami ludzi przestępujących niecierpliwie z nogi na nogę.

- Czy mam wejść z tobą, ojcze? - pyta Donel.

Zatrzymuję się, by spojrzeć na tego starzejącego się obcego człowieka, który jest moim dzieckiem. Nie przypomina ani mnie, ani Siri. Ma przyjazną, rumianą twarz, ogromnie przejętą wagą wydarzenia. Wyczuwam w nim otwartą uczciwość, jaka u niektórych ludzi zastępuje inteligencję. Wbrew swojej woli porównuję tę łysą kukielkę z Alonem - ciemnowłosym, milczącym, uśmiechającym się sardonicznie Alonem. Lecz Alon nie żyje już od trzydziestu trzech lat, zmasakrowany w idiotycznej wojnie, z którą nie miał nic wspólnego.

- Nie - odpowiadam. - Pójdę sam. Dziękuję ci, Donel.

Kłania się i cofa o krok. Proporce furkoczą nad głowami tłumu. Koncentruję uwagę na grobowcu.

Wejścia strzeże zamek z czytnikiem linii papilarnych. Drzwi otworzą się, gdy tylko go dotknę.

W ciągu kilku minionych minut wymyśliłem sobie fantastyczną historię, która może uchroni mnie przed nabrzmiewającym w moim wnętrzu smutkiem oraz toczącymi się wokół wydarzeniami, jakie sam zapoczątkowałem. Siri nie umarła. W ostatnim stadium choroby wezwała lekarzy oraz nielicznych techników, jacy pozostali na planecie, i kazała im odbudować jedną z zabytkowych komór hibernacyjnych, które dwieście lat wcześniej stanowiły wyposażenie statku kolonizacyjnego. Siri tylko śpi. Co więcej, trwający cały rok sen w cudowny sposób przywrócił jej młodość. Kiedy

ją obudzę, będzie znowu tą samą Siri, jaką pamiętam z naszych pierwszych spotkań. Wyjdziemy razem w ciepły, słoneczny dzień, a kiedy otworzą się wrota transmitera, będziemy pierwszymi, którzy przez nie przejdą.

- Ojciec...

- Tak, tak.

Dotykam zamka i z cichym szumem elektrycznych silników blok białego kamienia odsuwa się na stronę. Ze schyloną głową wchodzę do grobowca Siri.

- Do licha, Merin, uwiąż tę linę, zanim dostaniesz nią w głowę i wylecisz za burtę. Pośpiesz się!

Spieszyłem się najbardziej, jak mogłem. Mokra lina zachowywała się niczym żywe, niepokorne stworzenie. Siri potrząsnęła z dezaprobatą głową i nachyliła się, aby zawiązać węzeł jedną ręką.

Było to nasze Szóste Ponowne Spotkanie. Spóźniłem się o trzy miesiące na jej urodziny, ale ponad pięć tysięcy ludzi stawiło się na czas. Przewodniczący Senatu wygłosił czterdziestominutowe przemówienie, jakiś poeta odczytał swoje najnowsze wiersze z cyklu *Sonety miłosne*, ambasador Hegemonii zaś podarował jubilatce nową łódź - małą jednostkę zdolną do pływania na wodzie i pod wodą, napędzaną pierwszym mikrostożem dokonującym syntezy jądrowej, jaki pozwolono sprowadzić na Maui-Przymierze.

Siri miała już osiemnaście innych łodzi. Dwanaście tworzyło flotyllę szybkich katamaranów, które przewoziły towary między wędrującym Archipelagiem a stałymi wyspami, dwa były nie tyle łodziami, co przepięknymi jachtami regatowymi, które wypływały w morze tylko dwa razy w roku, by zwyciężyć w Regatach Fundatorów oraz Kryterium Przymierza, pozostałe cztery zaś były starymi łodziami rybackimi, swojskimi i powolnymi. Znajdowały się w znakomitym stanie, co w niczym nie zmieniało faktu, że nie pomyliłby się ten, kto nazwałby je łajbami.

Teraz flotylla Siri liczyła sobie dziewiętnaście jednostek, my jednak znajdowaliśmy się na pokładzie jednej ze starych łodzi rybackich, zwanej "Ginnie Paul". Od ośmiu dni łowiliśmy ryby na Szelfie Równikowym, zarzucając i wyciągając sieci, brodząc po kolana wśród cuchnących ryb, kolebiąc się ciężko na każdej fali, ponownie zarzucając i wyciągając sieci, pełniąc na zmianę wachty i przysypiając zawsze, kiedy nadarzała się okazja. Miałem niespełna dwadzieścia trzy lata. Wydawało mi się, że przywykłem już do ciężkiej pracy na pokładzie "L. A." i nawet

trenowałem tam kulturystykę przy ciężeniu 1,3 g, ale teraz miałem wrażenie, że lada chwila popękają mi mięśnie w ramionach i na grzbiecie, moje ręce zaś przypominały jeden wielki odcisk, upstrzony tu i ówdzie pęcherzami. Siri niedawno skończyła siedemdziesiąt lat.

- Merin, idź na dziób i zrefuj fok, to samo zrób z kliwrem, a potem zejdź na dół i zajmij się kanapkami. Dla mnie dużo musztardy.

Skinąłem głową i ruszyłem wykonać polecenie. Od półtorej doby bawiliśmy się w chowanego ze sztormem; uciekaliśmy przed nim, kiedy tylko mogliśmy, by wtedy, gdy nie było innego wyjścia, zawrócić i przyjąć należną karę. Początkowo bardzo mi się to podobało, gdyż stanowiło miłe urozmaicenie monotonnych do tej pory czynności, lecz po kilku godzinach, kiedy ustało działanie adrenaliny, czułem już tylko mdłości i potworne, niewyobrażalne zmęczenie. Ocean nie przejawiał najmniejszych oznak znużenia. Fale osiągały wysokość sześciu i więcej metrów, "Ginnie Paul" zaś kolebała się niczym matrona o rozłożystych biodrach, którą zresztą bardzo przypominała. Wszystko było mokre; wydawało mi się, że nawet moje ciało, okryte trzema warstwami nieprzemakalnej odzieży, jest nasiąknięte wodą. W ten właśnie sposób Siri spędzała upragnione wakacje.

- To jeszcze nic - powiedziała w samym środku najczarniejszej nocy, kiedy fale jedna za drugą zalewały pokład, rozbijając się o pokiereszowaną nadbudówkę. - Powinieneś być tutaj podczas pory samumów.

Chmury nadal wisiały nisko na niebie, stapiając się w oddali z szarymi falami, ale morze wyraźnie się uspokoiło i grzywacze nie przekraczały już wysokości półtora metra. Posmarowałem musztardą kanapki z wędliną i nalałem gorącą kawę do dużych białych kubków. Znacznie łatwiej byłoby mi je przenieść bez wylewania zawartości w zerowej grawitacji niż po roztańczonej drabince wiodącej na pokład. Siri bez komentarza przyjęła ode mnie opróżniony w połowie kubek. Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, posilając się łapczywie i grzejąc zmarznięte dłonie. Siri zesła potem na dół, żeby dolać kawy, a ja stanąłem przy sterze. Szare światło dnia słabło coraz szybciej, przygotowując miejsce dla nadciągającej nocy.

- Merin, co się stanie po otwarciu transmitera? - zapytała, kiedy podała mi kubek i usiadła na wyściełanej ławeczce, która biegła dokoła kokpitu.

Zaskoczyła mnie tym pytaniem. Do tej pory prawie nie rozmawialiśmy o tym, co nastąpi po przyłączeniu Maui-Przymierza do Hegemonii. Spojrzałem na Siri i nagle wydała mi się wręcz nieprawdopodobnie stara. Jej twarz stanowiła istną mozaikę linii

i cieni. Piękne zielone oczy zapadły się głęboko w mroczne studnie, kości policzkowe zaś sterczały niczym ostrza brzytwy. Krótko obcięte siwe włosy, teraz zupełnie mokre, sterczały we wszystkie strony, natomiast szyja i przeguby obu rąk przypominały żyłaste węzły wyłaniające się z porozciąganego swetra.

- Co masz na myśli?

- Po prostu interesuje mnie co, twoim zdaniem, stanie się po otwarciu transmitera.

- Wiesz, co na ten temat myśli Rada. - Mówiłem głośno, ponieważ słabo słyszała na jedno ucho. - Ma to być wydarzenie, które pod każdym względem otworzy nową erę w dziejach Maui-Przymierza, a poza tym nie będziecie już ograniczeni do jednej małej planety. Kiedy staniecie się obywatelami Hegemonii, każdy z was będzie mógł korzystać z transmitera.

- Rzeczywiście, słyszałam już to wszystko - odparła znużonym głosem. - Ale co się stanie, Merin? Kto do nas przybędzie?

Wzruszyłem ramionami.

- Przede wszystkim dyplomaci, jak przypuszczam. Specjaliści od wymiany kulturowej. Antropolodzy. Etnolodzy. Biolodzy morscy.

- A potem?

Zawahałem się. Na zewnątrz zapadła już niemal całkowita ciemność. Morze było spokojne. Nasze światełka pozycyjne jarzyły się zielenią i czerwienią na tle szmaragdowej nocy. Nagle poczułem, że ogarnia mnie taki sam strach, jaki stał się moim udziałem dwa dni temu, kiedy na horyzoncie pojawiła się ciemna ściana sztormu.

- Potem zjawią się misjonarze. Geolodzy poszukujący ropy naftowej. Technolodzy żywności zajmujący się wykorzystywaniem zasobów oceanów.

Siri wypila łyk kawy.

- Wydawało mi się, że wasza Hegemonia wyrosła już z okresu, kiedy najważniejsza była ropa naftowa?

Roześmiałem się i zablokowałem koło sterowe.

- Nikt nie wyrasta z tego okresu, przynajmniej tak długo, dopóki jeszcze gdzieś jest ropa. Nie spalamy jej, jeśli o to ci chodzi, ale jest niezbędna do produkcji tworzyw sztucznych i syntetycznej żywności. Dwieście miliardów ludzi zużywa mnóstwo tworzyw sztucznych.

- A na Maui-Przymierzu jest ropa?

- O tak. - Już nie chciało mi się śmiać. – Tylko zasoby złóż pod Szelfem Równikowym są szacowane na kilka miliardów baryłek.

- W jaki sposób będzie wydobywana? Za pomocą platform wiertniczych?

- Owszem. Platformy, a także podwodne kolonie zaludnione przez genetycznie dobranych robotników, których sprowadza się z Mare Infinitum.

- A co się stanie z wędrującymi wyspami? - zapytała Siri. - Co rok muszą wracać na równikowe płycizny, żeby się rozmnażać. Co się z nimi stanie, Merin?

Ponownie wzruszyłem ramionami. Chyba wypilem za dużo kawy, gdyż czułem w ustach gorzki smak.

- Nie wiem. Załoga nie jest wprowadzana we wszystkie szczegóły, ale podczas naszej pierwszej podróży Mike usłyszał przypadkiem o planach zagospodarowania maksymalnej liczby wysp, co dałoby im szansę przeżycia.

- Zagospodarowania? - W głosie Siri po raz pierwszy pojawiło się zdziwienie. - W jaki sposób można zagospodarować ruchome wyspy? Przecież nawet Pierwsze Rodziny muszą uzyskać zgodę Morskiego Ludu za każdym razem, kiedy chcą zbudować kolejny nadrzewny dom.

Uśmiechnąłem się, gdyż Siri użyła miejscowej nazwy delfinów. Koloniści z Maui-Przymierza mieli naprawdę świra na ich punkcie.

- Wszystko jest przygotowane - odparłem. - Są 123 573 wyspy wystarczająco duże, żeby postawić na nich choć jeden dom. Wszystkie zostały już dawno wydzierżawione. Mniejsze zapewne będą zdemontowane, a na stałych powstaną ośrodki wypoczynkowe.

- Ośrodki wypoczynkowe... - powtórzyła Siri. - Jak myślisz, ilu obywateli Hegemonii zechce odwiedzić te... ośrodki?

- Początkowo nie więcej niż kilka tysięcy osób rocznie. Zważywszy na to, że jedyny portal znajduje się na 241... to znaczy, w Centrum Turystycznym... liczba nie może być zbyt wielka. W drugim roku może pięćdziesiąt tysięcy, pod warunkiem że powstanie portal w Pierwszej Osadzie. Zresztą w początkowym okresie ceny będą dość wygórowane, żeby zwabić tych z najgrubszymi portfelami. Zawsze tak się robi, kiedy nowa planeta przyłącza się do Sieci.

- A potem?

- To znaczy, po pięcioletnim okresie próbnym? Wtedy będą już setki tysięcy portali. Myślę, że zaraz po tym, jak uzyskacie pełne prawa członkowskie, odwiedzi was dwadzieścia do trzydziestu milionów turystów.

- Dwadzieścia do trzydziestu milionów... - szepnęła Siri.

Podświetlona tarcza kompasu rzucała od dołu na jej twarz błękitne refleksy. Nadal widziałem tam piękno, natomiast ani śladu gniewu lub oburzenia, których się spodziewałem.

- Wtedy jednak wy także będziecie pełnoprawnymi obywatelami Hegemonii - powiedziałem. - Będziecie mogli odwiedzić każdą planetę, na jaką przyjdzie wam ochota. Do tego czasu powinno przybyć ich jeszcze szesnaście, może nawet więcej.

- Tak, oczywiście - odparła Siri i odstawiła pusty kubek. Na szybach kokpitu osiadał drobny deszczyk, ekran radaru zaś, osadzony w drewnianej, ręcznie rzeźbionej ramie, pokazywał, że morze jest puste, a sztorm daleko. - Czy to prawda, że niektórzy ludzie mają domy położone na kilku planetach, tak że z okien każdego pokoju mogą oglądać inne niebo?

- Jasne. Ale jest ich bardzo niewiele. Tylko najbogatsi mogą sobie pozwolić na utrzymanie takich rezydencji.

Siri uśmiechnęła się i położyła mi rękę na kolanie. Miała cienką, pokrytą plamami skórę, przez którą prześwitywały niebieskie żyły.

- Ty przecież jesteś bardzo bogaty, prawda?

Odwróciłem wzrok.

- Jeszcze nie.

- Ale wkrótce będziesz. Ile to dla ciebie potrwa, kochany? Niecałe dwa tygodnie tutaj, a potem powrotna podróż do Hegemonii. Następnie jeszcze jakieś pięć miesięcy na sprowadzenie niezbędnych elementów wyposażenia, kilka tygodni na prace wykończeniowe i będziesz miał dom rozciągający się na dwieście lat świetlnych. Cóż to za niezwykła myśl... Ile to będzie razem? Niecały rok standardowy.

- Dziesięć miesięcy - poprawiłem ją. - Trzysta sześć dni standardowych, trzysta czternaście waszych. Dziewięćset osiemnaście wacht.

- I wtedy twoje wygnanie dobiegnie końca.

- Tak.

- Będiesz dwudziestoczteroletnim, zamożnym człowiekiem.

- Tak.

- Jestem zmęczona, Merin. Chcę iść spać.

Zaprogramowaliśmy urządzenia sterownicze, włączyliśmy alarm kolizyjny i zesłaliśmy pod pokład. Wiatr przybrał trochę na sile, więc stara łódź przewalała się ciężko z burty na burtę, wspinając się na nadciągające niestrudzenie fale.

Rozebraliśmy się przy słabym świetle rozkołysanej lampy. Wskoczyłem pierwszy do koi i nakryłem się kocami. Mieliśmy spać razem po raz pierwszy od początku podróży. Pamiętając, jaka była nieśmiała podczas naszego poprzedniego Ponownego Spotkania, oczekiwałem, że zgasi lampę, ale ona przez co najmniej minutę stała bez ruchu, zupełnie naga, z opuszczonymi ramionami.

Czas odcisnął na Siri swoje piętno, ale nie potraktował jej zbyt brutalnie. Bardzo zeszcupiała, a pośladki i piersi obwisły nieco, przegrywając beznadziejną walkę z grawitacją. Patrzyłem na wyraźnie zarysowane żebra, mając wciąż świeżo w pamięci atlasową skórę, jędrną, a zarazem miękką, gdyż znajdowała się pod nią jeszcze dziecięca tkanka tłuszczowa. W zimnym blasku kołyszącej się lampy patrzyłem na pomarszczone ciało, pamiętając doskonale, jak blask księżyca wydobywał z mroku pączkujące, twarde piersi. Nie wiem, jak to możliwe, ale mimo tych wszystkich różnic wydawało mi się, że mam przed sobą wciąż tę samą Siri.

- Posuń się, Merin.

Wślizgnęła się do koi, pod szorstki koc. Zgasilem światło. Łódź kołysała się w regularnym rytmie oddychającego morza. Słyszałem współczujące poskrzypywanie masztu i olinowania. Rano znowu będzie nas czekało zarzucanie sieci, wyciąganie ich i naprawianie uszkodzeń, ale teraz była pora odpoczynku. Powoli zacząłem osuwać się w otchłań snu, uśpiony miarowym pluskaniem fal omywających burzę.

- Merin...

- Tak?

- Co by się stało, gdyby Separatyści zaatakowali turystów albo nowych mieszkańców?

- Wydawało mi się, że wszyscy Separatyści zostali wywiezieni na wyspy?

- Owszem. Ale co by było, gdyby zaczęli stawiać opór?

- Hegemonia przysłałaby wojsko, które zrobiłoby z nich mokrą plamę.

- A jeśli transponder zostałby zaatakowany i zniszczony jeszcze przed uruchomieniem?

- To niemożliwe.

- Wiem, ale gdyby jednak?

- Dziewięć miesięcy później "Los Angeles" wróciłby z oddziałami Armii na pokładzie, które również zrobiłyby mokrą plamę z Separatystów, a także ze wszystkich na Maui-Przymierzu, którzy próbowaliby wejść im w drogę.

- Dziewięć miesięcy, ale czasu pokładowego, prawda? - zapytała Sin. - Czyli

jedenaście naszych lat.

- Co nie zmienia faktu, że i tak nie udałoby się wam tego uniknąć - odparłem. -
Może porozmawiamy o czymś innym?

- W porządku - mruknęła Siri, lecz nic więcej nie powiedziała. Wsłuchiwałem się w odgłosy łodzi. Siri leżała z głową na moim ramieniu; oddychała tak głęboko i regularnie, że byłem przekonany, iż śpi. Sam też już prawie zasypiałem, kiedy nagle poczułem, jak jej ręka pełźnie w górę po moim udzie i zatrzymuje się dopiero przy pachwinie. Zaskoczyła mnie moja natychmiastowa reakcja.

- Nie, Merin - szepnęła mi do ucha, odpowiadając na nie zadane pytanie. -
Człowiek nigdy nie jest na to za stary. Przynajmniej na to, żeby potrzebować ciepła i bliskości drugiego człowieka. Sam podejmij decyzję, kochany.

Podjąłem decyzję. Zasnęliśmy dopiero przed świtem.

Grobowiec jest pusty.

- Donel, chodź tutaj!

Wpada do środka z rozwianą szatą. Grobowiec jest pusty. Nie ma ani komory hibernacyjnej - choć w gruncie rzeczy nie spodziewałem się jej tu zastać - ani sarkofagu czy trumny. Białe wnętrze oświetla pojedyncza, silna lampa.

- Co jest grane, do wszystkich diabłów? Myślałem, że to grobowiec Siri!

- Bo tak jest w istocie, ojczu.

- Więc gdzie ona się podziała? Pod podłogą?

Donel ociera spocone czoło. Nieco zbyt późno przypominam sobie, że mówię o jego matce, ale zaraz potem pocieszam się, że miał niemal dwa lata, aby oswoić się z myślą o jej śmierci.

- Nikt ci nie powiedział? - pyta.

- O czym? - Gniew i rozdrażnienie powoli mijają. - Przywieziono mnie tu na łeb, na szyję prosto z promu i powiedziano tylko tyle, że przed uruchomieniem trans-
mitera muszę koniecznie wejść do grobowca Siri.

- Zgodnie z ostatnią wolą matki jej ciało zostało spalone, a popioły wrzucone do
Wielkiego Morza Południowego z najwyższej platformy na jej ojczystej wyspie.

- W takim razie po co ta... krypta?

Staram się uważać na to, co mówię. Donel jest bardzo wrażliwy.

Ponownie ociera czoło i zerka w kierunku drzwi. Zniknęliśmy tłumowi z oczu, ale mamy ogromne opóźnienie. Pozostali członkowie Rady musieli już ruszyć

pośpiesznie w dół wzgórza, żeby dołączyć do dygnitarzy na trybunie honorowej. Mój narastający powoli ból doprowadził do tego, że podniosła uroczystość przeistoczyła się w marny spektakl.

- Postępowaliśmy zgodnie z życzeniem matki.

Dotyka kamiennej płyty w ścianie, która natychmiast odsuwa się na bok, odsłaniając niewielką wnękę, w której stoi metalowe pudełko z moim imieniem wypisanym na pokrywce.

- Co to jest?

- Rzeczy osobiste, które matka chciała ci przekazać. Tylko Magritte знаła wszystkie szczegóły, ale umarła minionej zimy, nie zdradziwszy nikomu tajemnicy.

- W porządku - mówię. - Dziękuję. Zaraz wyjdę.

Donel spogląda na zegarek.

- Uroczystość zaczyna się za osiem minut. Za dwadzieścia minut zostanie uruchomiony transponder.

- Wiem. - Naprawdę wiem. Mój wewnętrzny zegar odlicza precyzyjnie każdą mijającą sekundę. - Zaraz stąd wyjdę.

Donel waha się jeszcze przez chwilę, po czym odchodzi. Zamykam za nim drzwi. Metalowe pudełko jest zaskakująco ciężkie. Stawiam je na kamiennej posadzce i klękam obok. Dotykam znacznie mniejszego zamka z czytnikiem linii papilarnych i przykrywka unosi się bez oporu.

- Niech mnie licho... - mruczę pod nosem.

Sam nie wiem, czego się spodziewałem - być może pamiątek ze stu trzech dni, jakie spędziliśmy razem, może zaszuszonego kwiatka, a może jakiejś pięknej muszli, jednej z tych, które wydobywaliśmy z płytkiego morza w pobliżu Fevarone. Ale to nie jest pamiątka. Przynajmniej nie tego rodzaju.

W pudełku leży niewielki ręczny laser Steinera-Ginna, jeden z najpotężniejszych rodzajów broni osobistej, jaki kiedykolwiek skonstruowano. Krótki kabel łączy go z baterią termojądrową, którą Siri prawdopodobnie wymontowała ze swojej łodzi. Obok spoczywa zabytkowy komlog z ciekłokrystalicznym wyświetlaczem. Zielone światelko świadczy o tym, że jest w pełni sprawny.

Pudełko zawiera jeszcze dwa przedmioty. Jednym z nich jest przypominający kształtem dysk translator, z którego korzystaliśmy bardzo dawno temu. Na widok drugiego przedmiotu dosłownie zatyka mnie ze zdumienia.

- Ty mała suko... - szepczę wreszcie, kiedy mogę normalnie odetchnąć i

uśmiecham się szeroko. - Ty mała, przebiegła, kochana suko!

Jest to starannie zwinięta, także podłączona do baterii mata grawitacyjna, którą Mike Osho kupił na Ogrodzie za trzydzieści marek. Nie ruszam jej, natomiast odłączam komlog, wydaję go z pudełka, siadam ze skrzyżowanymi nogami na zimnej kamiennej posadzce i włączam odtwarzanie. Światło nagle przygasa, a przede mną pojawia się Siri.

Po śmierci Mike'a nie usunęli mnie ze statku. Mogli to zrobić, ale nie zrobili. Nie wydali mnie na łaskę prowincjonalnego wymiaru sprawiedliwości na Maui-Przymierzu. Mogli to zrobić, ale nie zrobili. Przez dwa dni przesłuchiwała mnie okrętowa służba bezpieczeństwa, a raz nawet kapitan Singh we własnej osobie. Potem pozwolili mi wrócić do służby. Przez całą trwającą cztery miesiące drogę powrotną zadreżczałem się myślami o Mike'u. Zdawałem sobie sprawę, że jestem częściowo odpowiedzialny za jego śmierć. Odrabiałem kolejne wachty, budziłem się cały zlany potem i zastanawiałem się, czy wywalą mnie natychmiast po powrocie do Sieci. Mogli mi o tym od razu powiedzieć, ale nie powiedzieli.

Nie wywalili mnie. Wszystko było jak dawniej, z tym tylko wyjątkiem, że miałem zakaz opuszczania statku w bezpośredniej bliskości układu słonecznego, do którego należało Maui-Przymierze. Dodatkowo otrzymałem pisemną naganę i zostałem czasowo zdegradowany. Tyle właśnie było warte życie Mike'a: naganę na świstku papieru i tymczasową degradację.

Podobnie jak cała załoga, wziąłem trzytygodniowy urlop, ale w przeciwieństwie do innych nie zamierzałem z niego wrócić. Natychmiast udałem się na Esperance i popełniłem klasyczny błąd kosmonauty, to znaczy odwiedziłem rodzinę. Dwa dni w zatłoczonym bąblu mieszkalnym całkowicie mi wystarczyły, więc czym prędzej przeniosłem się na Lusus i przez trzy dni rżnąłem dziwki na Rue des Chats. Kiedy ogarnął mnie jeszcze bardziej ponury nastrój, natychmiast przeskoczyłem na Fuji, gdzie straciłem niemal wszystkie pieniądze, obstawiając zawodników biorących udział w krwawych samurajskich pojedynkach.

Wreszcie odwiedziłem Stację Główną, skąd udałem się promem na pielgrzymkę do Niecki Helleńskiej. Nigdy wcześniej nie byłem ani na Stacji Głównej, ani na Marsie, i nie zamierzam tam wrócić, ale po dziesięciu dniach spędzonych na samotnych wędrówkach po mrocznych, zakurzonych korytarzach Klasztoru podjąłem decyzję o powrocie na statek. I do Siri.

Od czasu do czasu opuszczałem wzniesiony z czerwonych głazów labirynt i ubrany jedynie w cienki skafander, z maską na twarzy, stawałem na jednym z niezliczonych kamiennych balkonów, i spoglądałem w niebo na bladoszary punkcik, który kiedyś był Starą Ziemią. Zdarzało się wówczas, że myślałem o tych wszystkich dzielnych, głupich idealistach, którzy wyruszyli w niegościnną pustkę swoimi powolnymi, zawodnymi statkami, wioząc ze sobą zamrożone embriony oraz przeróżne ideologie. Najczęściej jednak nie myślałem o niczym, tylko po prostu stałem w purpurowym mroku i czekałem, aż Siri przyjdzie do mnie. Tam, na Skale Mistrzów, gdzie wielu znacznie bardziej godnym pielgrzymom nie udało się osiągnąć pełnego satori, ja osiągałem je dzięki wspomnieniom o szesnastoletniej dziewczynie leżącej obok mnie w księżycowym blasku, spływającym ku nam po szerokich skrzydłach jastrzębia Thomasa.

Kiedy "Los Angeles" ponownie wszedł w nadprzestrzeń, byłem na pokładzie. Cztery miesiące później, po skończonej służbie, zaprogramowałem symulator, by podłączyć się do niego i przespać należną mi przepustkę, kiedy nagle zjawił się kapitan Singh.

- Lecisz na dół - powiedział. Wytrzeszczyłem na niego oczy, nic nie rozumiejąc.
- Przez ostatnie jedenaście lat ziemniaki przerobiły tę historię z tobą i Osho w jakąś pieprzoną legendę, a wokół twojej przygody z tą miejscową dziewczyną powstała jakoś cholerna mitologia - wyjaśnił kapitan.

- Siri... - wykrztusiłem.

- Pakuj manatki, bo najbliższe trzy tygodnie spędzisz na planecie. Eksperci z ambasady twierdzą, że bardziej przydasz się Hegemonii tam niż tutaj. Zobaczymy.

Czekała na mnie cała planeta. Tłumy wiwatowały na moją cześć, Siri machała chusteczką. Wy płynęliśmy z portu żółtym katamaranem i pożeglowaliśmy na południowy wschód, w stronę Archipelagu i jej rodzinnej wyspy.

- Witaj, Merin.

Siri unosi się w półmroku we wnętrzu swojego grobowca. Jakość hologramu pozostawia sporo do życzenia, ale to na pewno jest Siri, dokładnie taka sama, jaką widziałem ostatnim razem: siwe, krótko obcięte włosy, wysoko podniesiona głowa, rysy twarzy wyostrome cieniami.

- Witaj, mój kochany.

- Witaj, Siri - mówię. Drzwi grobowca są zamknięte.

- Żałuję, że nie mogę uczestniczyć w naszym Siódmym Ponownym Spotkaniu. Bardzo na nie czekałam. - Siri milknie na chwilę i opuszcza wzrok. Hologram delikatnie migoce, kiedy drobinki kurzu przelatują przez jej postać. - Bardzo starannie zaplanowałam sobie, co i jak powinnam powiedzieć. Przygotowałam argumenty i szczegółowe instrukcje. Ale teraz widzę, że to nie miałoby najmniejszego sensu, bo albo już wszystko powiedziałam, a ty zrozumiałeś, albo nie zostało nic do powiedzenia i najlepiej byłoby po prostu milczeć.

Z wiekiem głos Siri stawał się coraz piękniejszy. Jest w nim spokój i dostojność, jakie biorą się tylko z wielkiego cierpienia. Siri rozkłada ręce, tak że znikną poza granicą hologramu.

- Merin, mój najdroższy, jak niezwykle były nasze dni, zarówno te, które spędzaliśmy razem, jak i te, które musieliśmy przeżyć z dala od siebie! Jak cudownie absurdalny jest mit, który nas złączył! Dla ciebie każdy mój dzień trwał tyle co uderzenie serca. Nienawidziłam cię za to. Byłeś jak zwierciadło, które nie kłamie. Gdybyś widział swoją twarz na początku każdego Ponownego Spotkania! Mogłeś przynajmniej starać się ukryć wstrząs, jakiego doznawałeś za każdym razem. Mogłeś to dla mnie zrobić, Merin...

A jednak pod warstwą niezręcznej naiwności zawsze było coś więcej, coś, co zupełnie nie pasowało do beztroski i bezmyślnego egotyzmu, z którymi było ci tak bardzo do twarzy. Może troskliwość... a może przynajmniej szacunek dla czyjejś troskliwości.

Merin, ten dziennik zawiera setki zapisów... raczej tysiące, bo prowadziłam go od chwili, kiedy skończyłam trzynaście lat. Gdy trafi do twoich rąk, wszystkie zostaną skasowane, z wyjątkiem tych, które zobaczysz za chwilę. *Adieu*, najdroższy. *Adieu*.

Wyłączam komlog i siedzę bez ruchu co najmniej przez minutę. Grube ściany grobowca prawie całkowicie tłumią odgłosy podenerwowanego tłumu. Biorę głęboki oddech i ponownie włączam urządzenie.

Znowu pojawia się Siri, tym razem czterdziestokilkuletnia. Natychmiast rozpoznaję czas i miejsce nagrania. Pamiętam płaszcz, który ma na sobie, wisiołek na jej szyi i kosmyk włosów, co wymknął się spod nakrycia głowy. Pamiętam wszystko, co dotyczy tamtego dnia. Był to pierwszy dzień naszego Trzeciego Ponownego Spotkania, który spędziliśmy z przyjaciółmi w górach na Ternie Południowym. Donel miał wówczas dziesięć lat i na próżno staraliśmy się go namówić, żeby zjechał razem z

nami po zboczu pokrytym grubą warstwą śniegu. Płakał. Siri odwróciła się, jeszcze zanim śmigacz wylądował na szczycie, a kiedy wysiadła z niego Magritte, nie musiała nic mówić, gdyż z wyrazu twarzy Siri domyśliliśmy się, że stało się coś niedobrego.

Ta sama twarz spogląda na mnie teraz. Siri odgarnia niesforny kosmyk włosów. Ma zaczerwienione oczy, ale w pełni panuje nad głosem.

- Merin, dzisiaj zabito naszego syna. Miał dwadzieścia jeden lat i został zabity. Zupełnie nie mogłeś zebrać myśli. "Jak to możliwe, żeby popełniono taki błąd?" - pytałeś bez przerwy. Prawie go nie znałeś, ale widziałam, że ta wiadomość bardzo tobą wstrząsnęła. Merin, to nie był wypadek. Nawet jeśli nic po mnie nie pozostanie, nawet jeśli nigdy nie zrozumiesz, dlaczego pozwoliłam, żeby moje życie zostało podporządkowane głupiemu, sentymentalnemu mitowi, to chcę, żebyś wiedział jedno: nasz syn nie zginął przypadkowo. Kiedy zjawiała się policja, brał udział w zebraniu Separatystów, ale nawet wtedy nie było jeszcze za późno. Mógł uciec. Przygotowalibyśmy mu alibi, w które na pewno wszyscy by uwierzyli. Jednak on wolał zostać.

To, co powiedziałam dziś do tłumu na stopniach ambasady, wywarło na tobie wielkie wrażenie. Wiedz, kosmonauto, że kiedy mówiłam: "Nie pora na to, by okazywać gniew i nienawiść", mówiłam dokładnie to, co myślę. Ani mniej, ani więcej. Dzisiaj nie jest na to odpowiednia pora, ale kiedyś taka pora nadejdzie. Jestem tego pewna. Także nasze Przymierze nie zostało od razu zaakceptowane, a niektórzy nie pogodzili się z nim do dzisiaj. Ci, którzy o tym zapomnieli, bardzo się zdziwią, kiedy nadejdzie ten dzień, a on z pewnością nadejdzie.

Obraz zmienia się. Przez ułamek sekundy na twarz kobiety nałożone są rysy młodszej, dwudziestosześcioletniej Siri.

- Merin, jestem w ciąży. Ogromnie się cieszę. Nie ma cię już od pięciu tygodni, a ja okropnie za tobą tęsknię. Tyle lat bez ciebie... Dlaczego nie zaproponowałeś, żebym poleciała z tobą? Na pewno nie skorzystałabym z propozycji, ale byłabym taka szczęśliwa, że o tym pomyślałeś! Teraz jestem w ciąży. Lekarze mówią, że to będzie chłopiec. Opowiem mu o tobie, najdroższy. Może pewnego dnia pozełgujecie razem na Archipelag i będziecie słuchać pieśni Morskiego Ludu, tak jak robiliśmy to niedawno? Może wtedy je zrozumiesz, Merin. Bardzo tęsknię. Proszę, wracaj jak najprędzej.

Hologram ponownie się zmienia. Szesnastoletnia dziewczyna ma zaróżowioną z emocji twarz. Jej długie włosy opadają gęstą kaskadą na odkryte ramiona i białą

nocną koszulę. Szepcze w pośpiechu, a po jej policzkach płyną łzy.

- Merinie Aspic, bardzo mi przykro z powodu twojego przyjaciela, naprawdę mi przykro, ale odjechałeś zupełnie bez pożegnania, a ja miałam tyle planów... Ty i ja... Mogłeś nam pomóc, a ty nawet się nie pożegnałeś. Nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie. Mam nadzieję, że wrócisz do jakiegoś cuchnącego, gnijącego kopca w tej swojej Hegemonii. Szczerze mówiąc, Merinie Aspic, nie zostałabym z tobą nawet wtedy, gdybyś mi zapłacił. Żegnaj!

Odwraca się, zanim nagranie dobiegnie końca. W grobowcu jest zupełnie ciemno, ale fonia nadal działa. Słysząc jakieś szумы, a potem jeszcze raz rozlega się głos Siri - nie jestem w stanie stwierdzić, z jakiego okresu.

- *Adieu, Merin. Adieu.*

- *Adieu* - odpowiadam i wyłączam komlog.

Mrużąc oczy oślepienie blaskiem słońca wyłamiam się z grobowca, a tłum rozstępuje się przede mną, tworząc wąskie przejście. Przez moją niepunktualność ceremonia została pozbawiona należynej oprawy, więc kiedy ludzie dostrzegają uśmiech na mojej twarzy, tu i ówdzie rozlegają się gniewne pomruki. Nawet tu, na szczycie wzgórza, słysząc słowa, które wiatr porywa z głośników i niesie w naszą stronę.

- ...zapoczątkowuje nową erę współpracy... - grzmi donośny głos ambasadora.

Stawiam pudło na trawie i wyjmuję z niego matę grawitacyjną. Kiedy rozwijam dywan, tłum napiera, by lepiej widzieć moje ruchy. Tkanina jest już mocno spłowiała, lecz wzory służące do sterowania lotem lśnią intensywnym, miedzianym blaskiem. Siadam pośrodku maty i stawiam pudło obok siebie.

- ...aż wreszcie czas i przestrzeń nie będą dla nikogo stanowiły przeszkody...

Gapie cofają się, gdy dotykam wzoru, i mata unosi się cztery metry w górę. Teraz widzę morze, do tej pory zasłonięte przez grobowiec. Wyspy wracają jedna za drugą, by utworzyć Archipeląg Równikowy. Ciągną ich dziesiątki i setki, gnane z południa łagodnymi wiatrami.

- ...tak więc z ogromną przyjemnością zamykam ten obwód i witam was, mieszkańcy Maui-Przymierza, w wielkiej rodzinie Hegemonii Człowieka.

Cienki promień lasera wystrzela pionowo w niebo. Tłum wiwatuje, rozlegają się dźwięki muzyki. Mrużąc oczy dostrzegam hen, wysoko, nową gwiazdę. Jakaś cząstka mnie wie, co stało się na orbicie.

Przez kilka mikrosekund transponder naprawdę działał. Przez kilka mikrosekund czas i przestrzeń naprawdę przestały być przeszkodą. Zaraz potem nagle uderzenie grawitacyjne, stanowiące efekt uboczny uaktywnienia transpondera, zdetonowało niewielki ładunek plastiku, który umieściłem na powierzchni jednej z masywnych metalowych kul, chroniących precyzyjne urządzenia. Ta eksplozja nie była widoczna z powierzchni planety, lecz już sekundę później rozszerzająca się gwałtownie sfera Schwarzschilda pochłonęła trzydzieści sześć tysięcy ton aktywnego dodekahedronu, a wraz z nimi kilka tysięcy kilometrów okolicznej przestrzeni. To już jest widoczne. Nad głowami zebranych wybuchła oślepiająco białym blaskiem miniaturowa Nova.

Muzyka milknie. Ludzie krzyczą przeraźliwie i rzucają się na oślep do ucieczki. Niepotrzebnie. Wyemitowane podczas wybuchu promieniowanie nie ma najmniejszych szans, by przedrzeć się przez gęstą atmosferę planety. Na niebie pojawia się wyraźna plazmowa kreska; to "Los Angeles" oddala się od małej, szybko zapadającej się czarnej dziury. Wiatr przybiera na sile, na morzu pojawiają się grzywacze. Dzisiejszej nocy przyływy i odpływy będą zupełnie inne niż do tej pory.

Chcę powiedzieć coś mądrego i głębokiego, lecz nic nie przychodzi mi do głowy. Poza tym nie bardzo miałby mnie kto słuchać. Wmawiam sobie, że oprócz wrzasków i złorzeczeń rozlegają się także odosobnione okrzyki radości.

Ponownie dotykam miedzianozłotego wzoru i matka kieruje się nad port, nabierając stopniowo prędkości. Jastrząb Thomasa, który do tej pory chyba drzemał w powietrzu, ukołysany delikatnymi prądami wstępującymi, w panice usuwa mi się z drogi.

- Niech tu przylecą! - krzyczę do uciekającego jastrzębia. - Niech tu przylecą! Będę miał wtedy trzydzieści pięć lat i na pewno nie będę sam, więc niech przylatują, jeśli starczy im odwagi!

Potrząsam pięścią i śmieję się głośno. Wiatr targa mi włosy, osuszając pot na mojej piersi i ramionach.

Nieco spokojniejszy, kieruję matkę ku jednej z najdalszych wysp. Nie mogę się doczekać spotkania z pozostałymi, ale najbardziej zależy mi na tym, by jak najprędzej powiedzieć Morskiemu Ludowi, że oto nadszedł wreszcie czas, by Rekin zamieszkał w oceanach Maui-Przymierza.

Później, kiedy zdobędą planetę, opowiem im o niej. Zaśpiewam im o Siri.

Kaskady światła, towarzyszące odległej kosmicznej bitwie, nadal wpadały do pomieszczenia przez wysokie okna. Panowała całkowita cisza, w której tym lepiej było słyszeć szum wiatru, prześlizgującego się po kamiennych ścianach. Pielgrzymi siedzieli zbici w ciasną gromadkę, pochyleni do przodu i wpatrzeni w zabytkowy komlog, jakby oczekując na ciąg dalszy.

Nie było ciągu dalszego. Konsul wyjął mikrodyk z urządzenia i schował go do kieszeni.

Sol Weintraub pogładził śpiące dziecko po główce, po czym zwrócił się do konsula.

- Z pewnością nie ty jesteś Merinem.

- Nie - odparł konsul. - Merin Aspici zginął podczas Rebelii. Rebelii Siri.

- W jaki sposób wszedłeś w posiadanie tego zapisu? - zapytał ojciec Hoyt. Choć twarz księdza wykrzywił grymas bólu, nie ulegało wątpliwości, że opowieść mocno go poruszyła. - Jest naprawdę niesłychany...

- Sam mi go dał, zaledwie na kilka tygodni przedtem, zanim zginął podczas Bitwy o Archipelag. - Konsul popatrzył na otaczające go twarze. - Jestem ich wnukiem - wyjaśnił. - Siri i Merina. Mój ojciec - Donel, o którym Aspici wspomina w swojej relacji - po przyjęciu Maui-Przymierza do Protektoratu został pierwszym Przewodniczącym Rady. Później wybrano go senatorem. Pełnił tę funkcję aż do śmierci. Tego dnia, na wzgórzu, koło grobowca Siri, miałem dziewięć lat. Jedenaście lat później, kiedy byłem już wystarczająco dorosły, żeby walczyć po stronie rebeliantów, Aspici zjawił się nocą na naszej wyspie, wziął mnie na stronę i stanowczo zakazał brać udział w powstaniu.

- A chciałeś walczyć? - zapytała Brawne Lamia.

- O tak. I zginąć. Taki właśnie los spotkał co trzeciego mężczyznę, co piątą kobietę, wszystkie delfiny i wiele wysp, mimo że Hegemonia starała się ocalić ich tak wiele, jak tylko to było możliwe.

- To wstrząsający dokument - powiedział Sol Weintraub. - Ale dlaczego ty jesteś? Co spowodowało, że bierzesz udział w pielgrzymce do Chyżwara?

- Jeszcze nie skończyłem - odparł konsul. - Słuchajcie.

Mój ojciec był równie słaby jak moja babka silna. Hegemonia nie czekała jedenastu lat - okręty bojowe Armii zjawiły się na orbicie po niespełna pięciu latach. Ojciec przyglądał się, jak pośpiesznie sklecone statki rebeliantów są unicestwiane

jeden po drugim. Występował w obronie Hegemonii nawet wówczas, kiedy jej okręty rozpoczęły regularne oblężenie naszej planety. Pamiętam, że kiedy miałem piętnaście lat, stałem wraz z rodziną na najwyższym tarasie naszej wyspy i obserwowałem dziesiątki innych, płonących w oddali, podczas gdy śmigacze Armii bombardowały ocean ładunkami głębinowymi. Powierzchnia morza była aż szara od ciał martwych delfinów.

Moja starsza siostra Lira przyłączyła się do beznadziejnej walki po klęsce rebeliantów w Bitwie o Archipelag. Naoczni świadkowie widzieli, jak zginęła. Ciała nie odnaleziono, a mój ojciec nigdy potem nie wspomniął jej imienia.

Trzy lata po zawarciu rozejmu i przyłączeniu do Protektoratu, my, koloniści, stanowiliśmy na planecie wyraźną mniejszość. Zgodnie z przepowiednią Merina, wyspy oswojono i wydzierżawiono turystom. Pierwsza Osada jest teraz jedenastomilionowym miastem o mnóstwie strzelistych wież i rozległych przedmieściach, które rozciągają się niemal na całą wyspę. Port nadal pełni rolę targowiska, gdzie potomkowie Pierwszych Rodzin handlują pamiątkami i potwornie drogimi dziełami sztuki wątpliwej wartości.

Kiedy ojciec został wybrany senatorem, przenieśliśmy się na jakiś czas na Pierwszą Tau Ceti, gdzie ukończyłem szkołę. Byłem posłusznym synem, wychwalającym pod niebiosa zalety życia w Sieci, zgłębiającym pełną chwały historię Hegemonii Człowieka i przygotowującym się do rozpoczęcia kariery w służbie dyplomatycznej.

Jednocześnie przez cały czas czekałem.

Wróciłem na Maui-Przymierze krótko po ukończeniu studiów, by podjąć pracę na Głównej Wyspie Administracyjnej. Do moich zadań należało między innymi odwiedzanie setek platform wiertniczych, nadzorowanie postępów przy budowie dziesiątków podmorskich kompleksów przemysłowych oraz koordynowanie poczynań najróżniejszych firm budowlanych, głównie z TC² i Sol Draconis Septem. Nie lubiłem tej pracy, ale dawałem sobie dobrze radę. Uśmiechałem się. I czekałem.

Wziąłem za żonę dziewczynę z jednej z Pierwszych Rodzin, a po otrzymaniu najwyższej oceny na egzaminie dla kandydatów do pracy w korpusie dyplomatycznym - nie zdarzało się to zbyt często - poprosiłem o wyznaczenie mi placówki poza Siecią.

W ten sposób zaczęła się nasza prywatna diaspora. Stałem się znakomity w swoim fachu. Byłem urodzonym dyplomatą. Po zaledwie pięciu latach standardowych otrzymałem stanowisko wicekonsula, po dalszych trzech zostałem konsulem. Tam

gdzie pracowałem, nie miałem co liczyć na więcej.

Sam podjąłem taką decyzję. Pracowałem dla Hegemonii. I czekałem.

Początkowo moja rola polegała na tym, żeby przekonać kolonistów, iż Hegemonia naprawdę pragnie im pomóc w tym, co najlepiej potrafią, to znaczy w niszczeniu miejscowych form życia. Nie jest przypadkiem, że od początku trwającej już sześć stuleci ekspansji w kosmosie Hegemonia nie natrafiła na żaden gatunek, który według skali Drake'a-Turinga-Chena można by uznać za inteligentny. Na Starej Ziemi już dawno temu przyjęto założenie, że człowiek ma prawo i obowiązek zniszczyć każdy gatunek, który umieściłby go w swoim łańcuchu pokarmowym. Według kryteriów obowiązujących w Sieci oznaczało to, że wszystkie istoty, które próbowałyby współzawodniczyć z ludźmi pod względem intelektualnym, będą unicestwione na długo przed uruchomieniem na ich planecie pierwszego transmitera.

Na Wirze ścigaliśmy płochliwe zebreny. Możliwe, że wcale nie należały do istot obdarzonych intelektem, ale za to były piękne. Kiedy umierały, mieniając się niesamowitymi barwami, z zachwytu aż zapierało nam dech w piersi. Sprzedawaliśmy korporacjom z Sieci ich skóry z licznymi fotoreceptorami, mięso eksportowaliśmy między innymi na Bramę Niebios, kości zaś melliśmy na proszek i rozprawdzali jako afrodyzjak na zacofanych planetach Pogranicza, gdzie stanowiły towar bardzo poszukiwany przez zamożnych impotentów albo po prostu przez zwykłych przesądnych ludzi.

Na Ogrodzie służyłem radą meliorantom, którzy osuszyli Wielkie Moczary, kończąc w ten sposób krótkie panowanie ogromnych błotnych centaurów, przez jakiś czas stawiających poważny opór zakusom Hegemonii. W ostatniej chwili próbowały jeszcze zmienić miejsce pobytu, ale Bagna Północne okazały się dla nich stanowczo za suche, a kiedy kilka dziesięcioleci później ponownie odwiedziłem tę planetę, już po przyłączeniu jej do Sieci, przekonałem się, że nieliczne egzemplarze centaurów ocalały jedynie w bardziej wilgotnych okolicach Bagien, gdzie prowadzą nędzną vegetację, niczym rośliny stanowiące wspomnienie po dawno minionej epoce.

Na Hebronie zjawilem się akurat wtedy, gdy dobiegała końca długotrwała wojna między żydowskimi osadnikami a aluitami, stworzeniami równie delikatnymi jak niemal zupełnie pozbawiona wody ekologia planety. Aluity były telepatami odbierającymi przede wszystkim uczucia, główną zaś przyczyną ich wyginięcia stały się nasz strach i chciwość, a także niemożliwa do pokonania obcość. Jednak nie zagłada aluitów sprawiła, że moje serce ostatecznie zamieniło się w kamień, tylko fakt,

że w znaczący sposób przyczyniłem się do tego, że identyczny los spotkał kolonistów.

Na Starej Ziemi nazwano by mnie quislingiem². Choć Hebron nie był moją planetą, to jednak osadnicy, którzy tu przybyli, uczynili to z powodów równie oczywistych jak te, które legły u podstaw decyzji podjętej przez moich przodków po podpisaniu Przymierza Życia na wyspie Maui na Starej Ziemi. Ja nadal czekałem, moje czekanie zaś było także działaniem, i to w pełnym znaczeniu tego słowa.

Zaufali mi. Uwierzyli moim słodkim zapewnieniom i opowieściom o tym, jak to wspaniale będzie wrócić na łono ludzkości, przyłączając się do Sieci. Zastrzegli sobie jednak, żeby cudzoziemcy mogli odwiedzać tylko jedno miasto na planecie. Zgodziłem się, ani na chwilę nie przestając się uśmiechać. Teraz Nowa Jerozolima liczy sobie sześćdziesiąt milionów mieszkańców, podczas gdy na całym kontynencie żyje zaledwie dziesięć milionów żydowskich osadników, niemal pod każdym względem całkowicie uzależnionych od Sieci. Myślę, że wytrwają jeszcze jakieś dziesięć lat. Może nawet mniej.

Zaraz po tym, jak Hebron został włączony do Sieci, przeżyłem małe załamanie. Odkryłem alkohol, cudowne zapomnienie, jakie daje Czar Wspomnień, oraz możliwości symulatora. Gresha była przy mnie w szpitalu tak długo, aż zupełnie przyszedłem do siebie. Choć planeta była żydowska, to szpital prowadziły siostry zakonne. Do dziś pamiętam dobiegający z korytarza szelest ich habitów.

Moje załamanie było bardzo spokojne i zdarzyło się na odległej planecie, dzięki czemu nie wywarło żadnego niekorzystnego wpływu na moją dalszą karierę. Wciąż jako konsul udałem się z żoną i synem na Bressię.

Jakże delikatną misję mieliśmy tam do spełnienia! Pułkownik Kassad wie najlepiej, że od dziesięcioleci TechnoCentrum nękało Intruzów wszędzie, gdzie tylko zdołało ich dopaść. Teraz jednak Senat wraz z Radą Konsultacyjną SI postanowili sprawdzić ich rzeczywistą siłę na jednej z planet Pogranicza. Wybór padł na Bressię. Przyznaję, że Bressianie, z tym swoim archaicznym, militarystycznym społeczeństwem i niepohamowaną arogancją, byli właściwie jedynymi kandydatami, tym bardziej że ich niemal przysłowiowa ksenofobia kazała im beztrąsko zgłosić się na ochotnika, by "raz na zawsze rozprawić się z zagrożeniem ze strony Intruzów". Na początek wysłano kilka okrętów bojowych uzbrojonych w ładunki plazmowe i głowice ze specjalnie zmodyfikowanymi wirusami.

² Od nazwiska V. Quislinga, norweskiego męża stanu, który podczas II wojny światowej utworzył w swoim kraju marionetkowy rząd, całkowicie podporządkowany Niemcom (przyp. tłum.).

Nieszczęście polegało na tym, że zastępy Intruzów zjawily się na Bressii jeszcze podczas mego pobytu na tej planecie. Zawinił niewielki błąd w obliczeniach. Zamiast mnie powinien tam wtedy przebywać zespół wojskowych analityków.

Okazało się jednak, że nie ma to większego znaczenia. Sprawdzono siłę bojową Armii, nie stwarzając jednocześnie poważniejszego zagrożenia dla samej Hegemonii. Gresha zginęła, ma się rozumieć. Podczas pierwszego bombardowania. Tak samo jak Alon, mój dziesięcioletni syn. Był ze mną... przeżył całą wojnę... tylko po to, by jakiś zidiociały saper zdetonował pozostawioną przez Intruzów minę zbyt blisko baraków dla uchodźców w Buckminster, stolicy planety.

Umarł, zanim zdołałem wydobyć go z rumowiska.

Po Bressii otrzymałem awans, a wraz z nim najpoważniejsze i najbardziej odpowiedzialne zadanie, jakie kiedykolwiek w historii otrzymał dyplomata średniej przeciw rangi: miałem kierować bezpośrednimi negocjacjami z Intruzami.

Najpierw wezwano mnie na Pierwszą Tau Ceti, gdzie odbywałem długie spotkania z doradcami senator Gładstone oraz konsultantami z ramienia TechnoCentrum. Raz rozmawiałem także bezpośrednio z Meiną Gładstone. Plan był bardzo skomplikowany. Mówiąc w największym skrócie, polegał na tym, by sprowokować Intruzów do zmasowanego ataku, a kluczową rolę w tej prowokacji miała odegrać planeta Hyperion.

Intruzi interesowali się Hyperionem jeszcze przed Bitwą o Bressię. Nasz wywiad utrzymywał, że mają obsesję na punkcie Grobowców Czasu i Chyżwara. Atak na statek szpitalny wiozący między innymi pułkownika Kassada wyniknął z błędnej oceny sytuacji dokonanej przez ich kapitana, który uznał, że ma przed sobą jednostkę liniową Hegemonii. Co gorsza - naturalnie z punktu widzenia Intruzów - lądując w pobliżu Grobowców ten sam dowódca ujawnił, że Intruzi potrafią radzić sobie z prądami czasu. Kiedy już Chyżwar zdziesiątkował jego żołnierzy, pechowy kapitan powrócił do roju i został natychmiast zlikwidowany.

Jednak, o ile wierzyć naszym służbom wywiadowczym, pomyłka wyszła Intruzom częściowo na dobre, gdyż uzyskali wiele cennych informacji o Chyżwarze, w wyniku czego ich obsesja dotycząca Hyperiona jeszcze bardziej się nasiliła.

Gładstone wyjaśniła mi, w jaki sposób Hegemonia zamierza zbić kapitał na tej obsesji.

Podstawowym założeniem planu było to, żeby sprowokować Intruzów do

zaatakowania Hegemonii. Obiektem ataku miał się stać Hyperion. Dano mi jednoznacznie do zrozumienia, iż bitwa, jaka się bez wątpienia wywiąże, wywrze znacznie większy wpływ na wewnętrzną politykę Sieci niż na stosunki z Intruzami. Już od wielu stuleci pewne elementy TechnoCentrum sprzeciwiały się przyjęciu Hyperiona do Hegemonii. Gladstone wyjaśniła mi, że taka polityka nie leży obecnie w interesie ludzkości i że zbrojne zagarnięcie planety - pod pozorem przygotowywania obrony całej Sieci - pozwoli dojść do głosu w TechnoCentrum bardziej postępowym koalicjom Sztucznych Inteligencji, co z kolei w istotny, choć niezrozumiały dla mnie sposób przyczyni się do wzmocnienia pozycji Senatu, a także całej Sieci. Pokonani Intruzi przestaną wreszcie stanowić zagrożenie, a dla Hegemonii rozpocznie się nowa, wspaniała era.

Gladstone zaznaczyła także, że mogę nie wyrazić zgody na uczestniczenie w tej misji, która z pewnością będzie obfitowała w zagrożenia zarówno dla mej kariery, jak i życia. Mimo to zgodziłem się.

Hegemonia wyposażyła mnie w prywatny statek kosmiczny. Poprosiłem o uzupełnienie wyposażenia tylko o jeden przedmiot: zabytkowego steinwaya.

Przez kilka miesięcy podróżowałem samotnie z włączonym napędem Hawkinga, przez kilka następnych miesięcy pętałem się bez celu po rejonach kosmosu, gdzie regularnie pojawiały się roje Intruzów. Wreszcie mój statek został zauważony i zatrzymany. Intruzi uwierzyli mi, że jestem posłańcem, wiedząc jednocześnie, że jestem także szpiegiem. Zastanawiali się, czy mnie zabić, ale ostatecznie postanowili tego nie czynić. Rozważali, czy podjąć negocjacje, i ostatecznie przystąpili do nich.

Nie będę opowiadał, jak piękne jest życie w roju. Nie będę opowiadał o kulistych, bezgrawitacyjnych miastach i rolniczych kometach, o orbitalnych lasach, ruchomych rzekach oraz dziesięciu tysiącach barw i kształtów życia podczas Tygodnia Spotkań. Wystarczy, jeśli powiem, że moim zdaniem Intruzi osiągnęli to, o czym ludzkość od kilkuset lat może tylko marzyć: rozwój. Podczas gdy my wegetujemy w ciasnych granicach archaicznych kultur, wzorowanych na kulturze Starej Ziemi, oni odkryli zupełnie nowe wymiary estetyki, etyki, nauk biologicznych, sztuki oraz wszystkiego, co musi zmieniać się i rosnać, by obrazować przemiany zachodzące w ludzkiej duszy.

Nazywamy ich barbarzyńcami, podczas gdy to my trzymamy się kurczowo Sieci niczym Wizygoci, którzy przycupnęli nieśmiało w ruinach Rzymu i uznali się za w

pełni ucywilizowanych.

W ciągu dziesięciu miesięcy standardowych wyznałem im moje najskrytsze tajemnice, a oni podzielili się ze mną swoimi. Wyjaśniłem ze szczegółami, jaki los zaplanowali dla nich doradcy Meiny Gladstone. Opowiedziałem, jak niewiele uczeni Sieci wiedzą o anomaliach związanych z Grobowcami Czasu, i zdradziłem, jak ogromny lęk wzbudza Hyperion w TechnoCentrum. Ostrzegłem ich, że gdyby chcieli okupować planetę, zamieniłaby się dla nich w śmiertelną pułapkę, gdyż zjawiałaby się tam cała potęga Armii, by uderzyć na nich z miażdżącą siłą. Odśloniłem przed nimi duszę, a potem znowu czekałem na śmierć.

Oni jednak, zamiast mnie zabić, pokazali mi zapisy przechwyconych transmisji oraz inne dokumenty z okresu, kiedy opuścili system Starej Ziemi, czyli sprzed czterystu pięćdziesięciu lat. Fakty były oczywiste i przerażające.

Wielka Pomyłka z roku trzydziestego ósmego nie była żadną pomyłką. Zagłada Starej Ziemi została starannie zaplanowana przez niektóre elementy TechnoCentrum oraz paru ludzi zasiadających w rządzie Hegemonii. Hegira była przygotowana w najdrobniejszych szczegółach na wiele dziesięcioleci wcześniej, zanim uciekająca czarna dziura "omyłkowo" została umieszczona w samym sercu Starej Ziemi.

Sieć, WszechJedność, Hegemonia Człowieka - u podstaw tego wszystkiego legło najohydniejsze, wręcz niewyobrażalne matkobójstwo, ci zaś, którzy obecnie kierują tymi instytucjami, są zdecydowani bez mrugnięcia okiem prowadzić politykę nieco zmodyfikowanego bratobójstwa, to znaczy unicestwiać każdy gatunek, który mógłby stanowić potencjalną konkurencję. Pierwsze miejsce na liście gatunków przeznaczonych do zagłady zajmowali naturalnie Intruzi, jedyna część ludzkości nie zdominowana jeszcze przez TechnoCentrum, w dodatku będąca w stanie wędrować swobodnie między gwiazdami.

Wróciłem do Sieci, gdzie moja nieobecność trwała ponad trzydzieści lat. Meina Gladstone była przewodniczącą Senatu, Rebelia Siri zaś stała się już tylko romantyczną legendą, jednym z mało istotnych przypisów do historii Hegemonii.

Spotkałem się z Gladstone i powiedziałem jej o wielu - choć nie o wszystkich - sprawach, które ujawnili mi Intruzi. Powiedziałem, iż wiedzą o tym, że Hyperion pełni rolę pułapki, lecz mimo to postanowili go zdobyć. Powiedziałem też, że chcę, abym został konsulem na tej planecie, dzięki czemu po wybuchu wojny mógłbym pełnić rolę podwójnego agenta.

Nie powiedziałem jej natomiast, że obiecali dać mi urządzenie, które otworzy

Grobowce Czasu i uwolni Chyżwara.

Przewodnicząca Gladstone odbyła ze mną wiele długich rozmów. Jeszcze dłuższe rozmowy prowadzili ze mną agenci wojskowego wywiadu i kontrwywiadu. Niektóre z nich ciągnęły się miesiącami. Najnowsza technika oraz środki psychotropowe potwierdziły, że mówię prawdę i niczego nie ukrywam. Intruzi wcale nie mieli gorszej techniki ani zabezpieczeń przed środkami psychotropowymi. Mówiłem prawdę, ale co nieco ukrywałem.

Ostatecznie postanowiono wysłać mnie na Hyperiona. Gladstone zaproponowała, by natychmiast przyłączyć planetę do Protektoratu, mnie zaś uczynić ambasadorem, ale odradziłem jej to, choć poprosiłem, by pozwolono mi zachować mój prywatny statek. Przybyłem na miejsce rejsową jednostką nadprzestrzenną; statek dotarł kilka tygodni później, w ładowni składającego kurtuazyjną wizytę okrętu wojennego. Pozostawiono go na orbicie parkingowej, skąd mogłem wezwać go w dowolnej chwili i odlecieć, dokąd tylko chciałem.

Czekałem. Mijały lata. Cały ciężar obowiązków złożyłem na barkach mego zastępcy, sam zaś siedziałem u "Cycerona", piłem i czekałem.

Kiedy wreszcie Intruzi skontaktowali się ze mną za pomocą prywatnego komunikatora, natychmiast wziąłem trzytygodniowy urlop, sprowadziłem statek z orbity w odosobnione miejsce blisko brzegu Trawiastego Morza, poleciałem do Mgławicy Oort, gdzie czekał na mnie ich statek zwiadowczy, wziąłem na pokład agenta - była nim kobieta o imieniu Andil - oraz trzech techników, i wysadziłem ich na północ od Gór Cugielnych, zaledwie kilka kilometrów od Grobowców.

Intruzi nie używają transponderów. Przez całe życie wędrują między gwiazdami, a życie w Sieci przesuwają się przed ich oczami niby stary holofilm odtwarzany w zwariowanym tempie. Mają obsesję na punkcie czasu. TechnoCentrum sprezentowało transpondery Hegemonii, ale nie wyjawiało zasady ich działania. Żaden człowiek nawet nie zbliżył się do rozwiązania ich zagadki. Intruzi próbowali. Nie udało im się, ale nawet ta porażka pozwoliła im poznać podstawowe zasady manipulowania czasem i przestrzenią.

Pojęli, czym są prądy czasu, czyli antyentropiczne pola otaczające Grobowce. Nie umieli generować takich pól, ale mogli się chronić przed ich działaniem, a także - przynajmniej teoretycznie - likwidować je. Gdyby to uczynili, Grobowce Czasu, a wraz z nimi ich zawartość, przestałyby starzeć się w odwrotną stronę i "otworzyłyby się". Chyżwar zostałby spuszczonej ze smyczy, gdyż nie musiałby już trzymać się w ich

poblizu, a wszystko, co znajdowało się w ich wnętrzu, znalazłoby się na wolności.

Intruzi wierzyli, że Grobowce Czasu przybyły z ich przyszłości, Chyżwar zaś jest ostateczną bronią, czekającą na pojawienie się ręki, która mogłaby nią władać. Kościół Chyżwara uważał potwora za anioła-mściciela; Intruzi uważali go za stworzone przez człowieka narzędzie, przesłane z przyszłości po to, by pomóc ludziom uwolnić się spod władania TechnoCentrum. Zadanie Andil i trzech techników polegało na przygotowaniu końcowej fazy eksperymentu.

- Nie użyjecie go teraz? - zapytałem. Staliśmy w cieniu budowli zwanej Sfinksem.

- Nie - odparła Andil. - Dopiero przed samą inwazją.

- Ale przecież sami mówiliście, że po to, by wszystko zaczęło działać, trzeba kilku miesięcy!

Andil skinęła głową. Miała zielone oczy, była bardzo wysoka, a pod cienką warstwą skafandra mogłem bez trudu dostrzec delikatne pręgi wspomaganego hydraulicznie szkieletu zewnętrznego.

- Może nawet roku albo jeszcze dłużej - odparła. - Pole antyentropiczne rozpada się bardzo powoli, ale kiedy ten proces się rozpocznie, nic nie może go powstrzymać. Uruchomimy go jednak dopiero wtedy, kiedy Dziesięć Rad zadecyduje, że inwazja na Sieć jest niezbędna.

- Są jakieś wątpliwości? - zapytałem.

- Głównie natury etycznej. - Kilka metrów od nas technicy okrywali urządzenie polimerową tkaniną maskującą i emiterami zakodowanego pola siłowego. - Wojna międzygwiazdna na taką skalę pochłonie miliony, może nawet miliardy istnień. Także uwolnienie Chyżwara spowoduje trudne do przewidzenia konsekwencje. Wprawdzie istnieje jednomyślność co do tego, że musimy uderzyć w TechnoCentrum, ale wciąż jeszcze nie podjęto decyzji, w jaki sposób najlepiej będzie tego dokonać.

Skinąłem głową, a następnie popatrzyłem na urządzenie i dolinę wypełnioną Grobowcami.

- Jednak kiedy je wreszcie uruchomicie, nie będzie już odwrotu - powiedziałem. - Chyżwar znajdzie się na wolności, i po to, żeby go okiełznać, będziecie musieli wygrać wojnę.

Andil uśmiechnęła się lekko.

- To prawda.

Zastrzeliłem ją wtedy, a potem wszystkich trzech techników. Następnie

cisnąłem laser daleko między wydmy, usiadłem na skrzyni i przez kilka minut płakałem jak dziecko, po czym wystukałem na komlogu jednego z techników kod wyłączający pole, zdarłem polimerową tkaninę i uruchomiłem urządzenie.

Nie zauważyłem żadnej zmiany. Powietrze nadal było przesycone gęstym, zimowym światłem. Stary Grobowiec jarzył się słabą poświatą, a Sfinks w dalszym ciągu wpatrywał się w nicość. Słyszeć było tylko szelest piasku zasypującego skrzynie i ciała. Jedynie zielona lampka kontrolna na urządzeniu Intruzów świadczyła o tym, że zaczęło działać.

Powoli ruszyłem z powrotem w kierunku statku. Obawiałem się, że lada chwila ujrzę Chyżwara, a jednocześnie miałem nadzieję, że tak się stanie. Ponad godzinę siedziałem na tarasie statku, obserwując, jak mrok wypełnia dolinę, a piasek przykrywa nieruchome ciała. Chyżwar nie pojawił się, podobnie jak jego cierniste drzewo. Po jakimś czasie zagrałem na fortepianie parę kawałków Bacha, po czym włączyłem silniki i wystartowałem.

Skontaktowawszy się ze statkiem Intruzów, powiedziałem im, że zdarzył się wypadek: Chyżwar zabił agentów, a urządzenie zostało przedwcześnie uruchomione. Mimo że ogarnęła ich panika, zaproponowali mi azyl. Odmówiłem i skierowałem statek w stronę Sieci. Nikt mnie nie ścigał.

Za pomocą komunikatora połączyłem się z Meiną Gladstone, by poinformować ją, że agenci Intruzów zostali wyeliminowani. Powiedziałem jej także, że inwazja jest bardzo prawdopodobna i że pułapka powinna spełnić swoją rolę. Nie powiedziałem jej tylko o działającym już urządzeniu. Gladstone pogratulowała mi, po czym nakazała powrót. Odmówiłem, motywując to tym, że potrzebuję ciszy i samotności. Skierowałem się ku planecie leżącej w pobliżu układu Hyperiona, wiedząc, że podróż zajmie mi dość czasu, żebym mógł spokojnie przeczekać do następnego aktu.

Kiedy później otrzymałem od samej Gladstone wezwanie do wzięcia udziału w pielgrzymce, natychmiast pojąłem, jaką rolę w ostatecznej rozgrywce przewidzieli dla mnie Intruzi, a także TechnoCentrum, przewodnicząca Senatu i jej doradcy. Jednak to, kto uważał się za pana sytuacji, nie miało już żadnego znaczenia, gdyż wydarzenia toczyły się własnym rytmem, a sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli.

Bez względu na to, co się z nami stanie, przyjaciele, świat taki, jaki znamy, już się właściwie skończył. Jeżeli o mnie chodzi, to nie mam żadnej prośby do Chyżwara. Nie mam nic do powiedzenia ani jemu, ani wszechświatowi. Wróciłem tutaj, ponieważ musiałem, ponieważ takie było moje przeznaczenie. Wiedziałem, co muszę zrobić, od

chwili kiedy jako dziecko odwiedziłem grobowiec Siri i przysięgłem zemścić się na Hegemonii. Znałem cenę, jaką przyjdzie mi zapłacić.

Kiedy jednak nadejdzie czas wydawania ostatecznych ocen, czas zrozumienia dla zdrady, która obejmie jak płomień całą Sieć i zakończy życie wielu planet, proszę was, żebyście nie myśleli o mnie - moje imię nie zostało nawet zapisane na wodzie, jak powiedziała zagubiona dusza pewnego poety - lecz o Starej Ziemi ginącej bez żadnego powodu, o szarych ciałach delfinów gnijących w promieniach słońca, o ruchomych wyspach, które nagle nie miały dokąd wędrować, ponieważ zniszczono ich pastwiska, o Szelfie Równikowym upstrzonym niezliczonymi platformami wiertniczymi, wreszcie o stałych wyspach, rojących się od hałaśliwych, cuchnących olejkiem do opalania i marihuaną turystów.

Albo jeszcze lepiej, nie myślcie o niczym, tylko stańcie, tak ja to uczyniłem po włączeniu urządzenia Intruzów, ja, morderca, zdrajca, ale wciąż dumny, ze stopami mocno wbitymi w dryfujące piaski Hyperiona, z wysoko podniesioną głową i zaciśniętą pięścią wygrazającą niebu, i zawołajcie co sił w płucach:

- Niech zaraza spadnie na oba wasze domy!

Wciąż jeszcze pamiętam sen mojej babki. Wciąż jeszcze pamiętam, że wszystko mogłoby wyglądać zupełnie inaczej.

Wciąż jeszcze pamiętam Siri.

- Czy to ty jesteś szpiegiem Intruzów? - zapytał ojciec Hoyt.

Konsul w milczeniu potarł policzek. Sprawiał wrażenie zupełnie wyczerpanego.

- Właśnie - odezwał się Martin Silenus. - Gladstone osobiście ostrzegła mnie, że wśród nas będzie szpieg.

- Ostrzegła wszystkich! - parsknęła Brawne Lamia, wpatrując się w konsula. Jej spojrzenie było bardzo smutne.

- Owszem, nasz przyjaciel jest szpiegiem, ale nie tylko szpiegiem Intruzów - powiedział Sol Weintraub. Niemowle obudziło się i zaczęło kwilić, więc wziął je na rękę, żeby się uspokoiło. - Takich jak on nazywano kiedyś podwójnymi agentami, ale on stał się agentem potrójnym, wielokrotnym, który dopuszczał się kolejnych zbrodni, by potem im zadośćuczynić.

Konsul bez słowa spojrział na starego uczonego.

- Co nie zmienia faktu, że jest szpiegiem, a szpiegów chyba się likwiduje, prawda? - odparł Silenus.

Pułkownik Kassad trzymał w ręku paralizator, ale broń nie była zwrócona w niczyją stronę.

- Możesz kontaktować się ze statkiem? - zapytał.

- Tak.

- W jaki sposób?

- Za pomocą komlogu Siri. Został nieco... zmodyfikowany.

Kassad skinął lekko głową.

- A za pośrednictwem komunikatora, który znajduje się na statku, utrzymujesz łączność z Intruzami?

- Tak.

- Informując ich o przebiegu pielgrzymki?

- Tak.

- Otrzymałeś od nich jakąś wiadomość?

- Nie.

- Jak możemy mu wierzyć?! - wykrzyknął poeta. - Przecież to pieprzony szpieg!

- Zamknij się - warknął pułkownik Kassad, nie odwracając spojrzenia od twarzy konsula. - Czy to ty zaatakowałeś Heta Masteena?

- Nie - odparł konsul - ale kiedy "Yggdrasill" uległ zniszczeniu, natychmiast zrozumiałem, że coś jest nie w porządku.

- Co przez to rozumiesz?

Konsul odchrząknął, po czym odparł:

- Spędziłem wiele czasu w towarzystwie Głosów Drzewa. Ich związek z drzewostatkami jest niemal telepatyczny. Masteen zareagował stanowczo zbyt spokojnie. Albo nie był tym, za kogo się podawał, albo wiedział wcześniej, że statek ulegnie zagładzie, i w porę zerwał z nim kontakt. Podczas mojej wachty zszedłem na dół, by go pocieszyć, ale on już zniknął. Kabina znajdowała się w takim stanie, w jakim ją potem zobaczyliście, tyle tylko że zamknięcie sześcianu Móbiosa było zneutralizowane. Erg mógł wymknąć się na wolność. Uaktywniłem zamek i wróciłem na pokład.

- A więc nie zrobiłeś nic złego Masteenowi? - zapytał ponownie Kassad.

- Nie.

- Powtarzam, dlaczego mielibyśmy mu wierzyć, do kurwy nędzy? - warknął Silenus. Co jakiś czas pociągał spory łyk z ostatniej butelki whisky, jaka mu została.

- Nie macie żadnego powodu, żeby mi wierzyć - powiedział konsul, patrząc nie

na poetę, lecz na butelkę. - To i tak nie ma już żadnego znaczenia.

Długie palce Kassada przesuwają się od niechcenia po uchwycie paralizatora.

- W jaki sposób wykorzystasz łączność z Intruzami?

Konsul westchnął ze znużeniem.

- Zawiadomię ich, kiedy otworzą się Grobowce Czasu. Jeżeli będę jeszcze wtedy żył, ma się rozumieć.

- Możemy go zniszczyć - odezwała się Brawne Lamia, wskazując na zabytkowy komlog.

Konsul tylko wzruszył ramionami.

- Może nam się jeszcze przydać - odparł pułkownik. - Dzięki niemu będziemy w stanie przechwycić wszystkie transmisje wojskowe i cywilne, nadawane otwartym kodem, a w razie potrzeby wezwać statek.

- Nie! - wykrzyknął konsul. Po raz pierwszy od dłuższego czasu okazał jakieś żywsze uczucia. - Nie wolno nam się teraz cofnąć!

- Wydaje mi się, że nikt nie ma zamiaru się wycofywać - powiedział pułkownik, spoglądając po twarzach.

Przez kilka chwil w pomieszczeniu panowało milczenie.

- Pozostała nam do podjęcia pewna decyzja - przerwał je wreszcie Sol Weintraub i, nie przestając kołysać Racheli, wskazał ruchem głowy na konsula.

Martin Silenus siedział zgięty w pół, z czołem opartym na pustej butelce, ale teraz wyprostował się raptownie.

- Zdradę karze się śmiercią. - Niespodziewanie zachichotał. - Za kilka godzin i tak wszyscy umrzemy, dlaczego więc ostatnią decyzją, jaką podejmiemy w życiu, nie miałyby być decyzja o egzekucji?

Ojciec Hoyt skrzywił się, przez chwilę walczył z falą bólu, po czym dotknął drżącym palcem spierzchniętych warg, a następnie powiedział:

- Nie jesteśmy sądem.

- Owszem, jesteśmy - odparł Fedmahn Kassad.

Konsul podkulił nogi, oparł przedramiona na kolanach i splótł palce.

- W takim razie wydajcie wyrok - powiedział zupełnie obojętnym głosem.

Brawne Lamia wyjęła z kieszeni pistolet ojca i położyła go na podłodze. Spoglądała to na konsula, to na Kassada.

- Mówimy tu o zdradzie? - zapytała. - Kto kogo zdradził, jeśli można wiedzieć? Nikt z nas, może z wyjątkiem pułkownika, nie był idealnym obywatelem, a w dodatku

pomiatały nami siły, nad którymi nie potrafiliśmy zapanować.

Sol Weintraub zwrócił się bezpośrednio do konsula:

- Nie wziąłeś pod uwagę, przyjacielu, że kiedy Meina Gladstone i TechnoCentrum wyznaczyli cię do tego zadania, doskonale zdawali sobie sprawę, jak się zachowasz. Być może, nie wiedzieli, że Intruzi znają sposób na otwarcie Grobowców - chociaż nie jest to zbyt pewne, zważywszy fakt, że mamy do czynienia ze Sztucznymi Inteligencjami - ale nie ulegało dla nich żadnej wątpliwości, że zdradzisz obie strony, obie społeczności, z których każda w jakiś sposób przyczyniła się do spotęgowania cierpień twojej rodziny. Wszystko to stanowiło część tego samego niezwykłego planu. Miałeś nie większy wpływ na przebieg wydarzeń niż to oto dziecko. - Mówiąc to podniósł niemowlę.

Konsul przez chwilę spoglądał na niego z niedowierzaniem, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zamiar i tylko pokręcił głową.

- Taki scenariusz jest całkiem prawdopodobny - zabrał głos Fedmahn Kassad - ale to, że ktoś usiłuje wykorzystać nas w charakterze pionków w prowadzonej przez siebie grze, nie oznacza wcale, że nie powinniśmy ze wszystkich sił starać się uzyskać decydującego wpływu na nasz los. - Zerknął na ścianę, gdzie tańczyły różnobarwne plamy światła, przypominając o toczącej się w kosmosie bitwie. - W wyniku tej wojny zginą tysiące, może nawet miliony ludzi. Jeżeli Intruzi lub Chyżwar uzyskają dostęp do systemu transponderów, zagrożenie obejmie miliardy istnień ludzkich na setkach planet.

Konsul przyglądał się w milczeniu, jak pułkownik unosi paralizator.

- Byłoby to lepsze dla każdego z nas - powiedział Kassad. - Chyżwar nie zna litości.

Nikt się nie odezwał. Konsul zdawał się wpatrywać w jakiś niezmiernie odległy punkt.

Pułkownik zabezpieczył broń i wetknął ją za pas.

- Dotarliśmy już tak daleko, więc wspólnie pokonamy resztę drogi.

Brawne Lamia przysunęła się do konsula i wzięła go w objęcia. Zaskoczony mężczyzna odpowiedział uściskiem jednego ramienia.

Chwilę później podszedł Sol Weintraub i przyłączył się do uścisku. Niemowlę wierzało radośnie, zachwycone ciepłem bijącym od ciał dorosłych. Konsul poczuł wyraźny zapach talku i nowo narodzonego dziecka.

- Myliłem się - powiedział. - Jednak poproszę o coś Chyżwara. Poproszę go o

nią.

Delikatnie dotknął główki Racheli w miejscu, gdzie kończyła się maleńka czaszka, a zaczynał kark.

Martin Silenus wydał przedziwny odgłos, który na początku przypominał śmiech, na końcu zaś szloch.

- Nasze ostatnie życzenia! Czy muzy spełniają życzenia? Ja nie mam żadnych. Chciałbym tylko dokończyć poemat.

- Czy to aż takie ważne? - zapytał ojciec Hoyt.

- Ależ tak! Oczywiście! - wykrzyknął poeta. Wypuścił z rąk butelkę po whisky, sięgnął do torby, wyszarpnął z niej garść cienkich plastikowych kartek i wyciągnął je przed siebie, jakby dawał je wszystkim w prezencie. - Chcecie przeczytać? Chcecie, żeby ja wam przeczytał? To znowu płynie ze mnie. Przeczytajcie stare fragmenty. Przeczytajcie *Pieśni*, które napisałem trzysta lat temu i których nigdy nie opublikowałem. Wszystko w nich jest. My także. Ja, wy, nasza podróż. Nie rozumiecie? Ja nie tworzę poematu, ja tworzę przyszłość! - Pozwolił kartkom opaść na podłogę, chwycił pustą butelkę, zmarszczył brwi i wyciągnął ją przed siebie niby kielich mszalny. - Tworzę przyszłość - powiedział, nie podnosząc wzroku - ale zmianie musi ulec przeszłość. Jedna chwila. Jedna decyzja. - Uniósł głowę. Miał zaczerwienione oczy. - To coś, co nas jutro zabije - moja muza, nasz stwórca, nasz kat - posuwa się pod prąd czasu. Niech mu będzie. Tym razem musi zabrać mnie, a Billy'ego zostawić w spokoju. Niech mnie weźmie, a wtedy poemat pozostanie już na zawsze nie dokończony.

Wzniósł butelkę jeszcze wyżej, zamknął oczy, a następnie cisnął nią o ścianę. Pomarańczowy blask odległych eksplozji zalśnił w niezliczonych kawałkach szkła.

Pułkownik Kassad zrobił krok naprzód i położył rękę na ramieniu poety.

Ten zwykły ludzki gest sprawił, że w pomieszczeniu zrobiło się jakby odrobinę cieplej. Ojciec Lenar Hoyt oderwał się od ściany, o którą był oparty, wyszedł na środek pokoju i podniósł prawą rękę; kciuk i mały palec stykały się, trzy pozostałe były wyprostowane. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, iż tym gestem chce ogarnąć wszystkich obecnych, siebie nie wyłączając.

- *Ego te absolvo* - szepnął.

Wiatr uderzał w kamienne ściany, prześlizgując się ze świstem między chimerami i balkonami. Ognie bitwy rozgrywanej sto milionów kilometrów od planety spływały na pielgrzymów wszystkimi odcieniami czerwieni.

Czar prysł, kiedy pułkownik Kassad ruszył w kierunku drzwi.

- Spróbujmy się trochę przespać - zaproponowała Brawne Lamia.

Nieco później, gdy konsul leżał już w śpiworze, wsłuchując się w zawodzenie wiatru, przyłożył policzek do szorstkiego materiału torby i nakrył się po samą szyję. Minęło już ładnych kilka lat od chwili, kiedy po raz ostatni zasnął bez żadnych kłopotów.

Tym razem sen przyszedł w chwili, gdy tylko konsul zamknął oczy.

EPILOG

Obudziły go dźwięki bałałajki. Były tak ciche, że w pierwszej chwili pomyślał, iż stanowią część jego snu. Wstał, zadrżał z zimna, otulił się szczelnie kocem i wyszedł na wąski, długi balkon. Do świtu zostało jeszcze trochę czasu, a na niebie nadal płonęły bitewne ognie.

- Przepraszam - powiedział ojciec Hoyt. Był w zapiętym szczelnie płaszczu i nasunął kaptur głęboko na głowę.

- Nie szkodzi - odparł konsul. - I tak miałem zamiar już wstać. - Była to prawda; chyba nigdy w życiu nie czuł się tak wypoczęty. - Proszę, nie przerywaj.

Dźwięki były ostre i czyste, ale wiatr zagłuszał je bez najmniejszego trudu. Można było odnieść wrażenie, że Hoyt gra z nim w duecie.

Na balkonie pojawili się także Brawne Lamia i pułkownik Kassad, a minutę później dołączył do nich Sol Weintraub. Rachela wyciągała rączki ku niebu, jakby chciała dotknąć wyrastających tam kolorowych kwiatów.

Hoyt grał, wiatr coraz bardziej przybierał na sile, a kamienne chimery i posąжки pełniły rolę fujarek i piszczałek, wtórując basowym odgłosom Baszty.

Z pokoju wyszedł Martin Silenus, trzymając się za głowę.

- Żadnego pieprzonego szacunku dla kaca! - jęknął, po czym oparł się o balustradę. - Jeśli rzygnę z tej wysokości, to mój paw doleci do ziemi nie wcześniej niż za pół godziny.

Palce Lenara Hoyta w dalszym ciągu biegały po strunach niewielkiego instrumentu. W miarę jak północno-wschodni wiatr chłódł coraz bardziej, melodia grana na bałałajce stawała się cieplejsza i żywsza. Opatuleni po czubki nosów, oczarowani słuchacze dzielnie trwali na posterunku. Był to najbardziej niezwykły i najpiękniejszy koncert, w jakim konsul kiedykolwiek uczestniczył.

Wiatr osiągnął największą moc, zawył przeraźliwie, zaryczał i ucichł. W tej samej chwili Hoyt zagrał ostatnią nutę.

Brawne Lamia rozejrzała się dokoła.

- Już prawie świta.

- Mamy jeszcze godzinę - odparł Kassad.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Po co czekać?

- Właśnie, po co? - zawtórował jej Sol Weintraub i spojrzął na wschód, gdzie zawieszane nad samym horyzontem gwiazdy zaczęły już powoli blednąć, zwiastując nadejście brzasku. - Zapowiada się ładny dzień.

- W takim razie pora się szykować - powiedział Hoyt. - Czy będą nam potrzebne bagaże?

Pielgrzymi spojrzeli na siebie.

- Chyba nie - odparł konsul. - Pułkownik zabierze tylko komlog, żebyśmy w razie czego mogli połączyć się ze statkiem. Niech każdy weźmie to, co będzie mu potrzebne podczas spotkania z Chyżwarem. Całą resztę zostawimy tutaj.

- Znakomicie - powiedziała Brawne Lamia. - Wobec tego do roboty.

Od drzwi umieszczonych w północno-wschodniej ścianie Baszty do rozciągającej się poniżej, porośniętej rzadką trawą równiny prowadziło dokładnie sześćset sześćdziesiąt jeden stopni. Schody nie miały poręczy, więc pielgrzymi posuwali się naprzód bardzo ostrożnie, tym bardziej że światło było jeszcze dosyć słabe.

Kiedy dotarli bezpiecznie do podnóża schodów, spojrzeli w górę, na wznoszącego się nad nimi kamiennego giganta. Baszta Chronosa sprawiała wrażenie, jakby stanowiła część góry, a balkony i zewnętrzne schody były jedynie występami i nierównościami skał. Od czasu do czasu w blasku jaśniejszej eksplozji załśniło okno lub któraś z chimery rzuciła na ścianę postrzępiony cień, ale poza tym łatwo można było odnieść wrażenie, że Baszta zniknęła, wtapiając się błyskawicznie w górskie zbocze.

Pokonując łagodne wzniesienia starali się stąpać po trawie, by uniknąć kontaktu z kolczastymi krzewami, wyciągającymi w ich stronę zakończone ostrymi cierniami gałęzie. Po dziesięciu minutach trawa ustąpiła miejsca piaskowi, który, usypany w niskie wydmy, ciągnął się aż do wejścia do doliny.

Na przedzie szła Brawne Lamia w swojej najlepszej pelerynie i czerwonym jedwabnym komplecie wykończonym czarną lamówką. Do przedramienia miała przytroczony lśniący komlog. Pułkownik Kassad kroczył jako drugi. Miał na sobie kompletną zbroję bojową, ale nie uaktywnił polimerowej powłoki maskującej, tak że zbroja sprawiała wrażenie zupełnie czarnej, niemal całkowicie pochłaniając światło docierające z rozgwieżdżonego nieba. Kassad niósł standardowy karabin bojowy Armii, a nasunięty na jego oczy wizjer lśnił niczym czarne zwierciadło.

Ojciec Hoyt włożył czarną pelerynę, czarny garnitur i koloratkę. Tulił do piersi bałajkę, jakby to było dziecko. Stawiał stopy bardzo ostrożnie, jak człowiek, który każdy krok musi okupić wielkim bólem. Idący zaraz za nim konsul przywdział elegancki dyplomatyczny strój, składający się z białej koszuli, czarnych spodni i marynarki, atłasowej peleryny oraz złotego trójgraniastego kapelusza, tego samego, który zaprezentował już pierwszego dnia podróży drzewostatkiem. Musiał przytrzymać kapelusz ręką, aby nie porwał mu go wiatr, który ponownie się zerwał, ciskając w oczy pielgrzymów ziarenka piasku i prześlizgując się niczym żmija po szczytach wydm. Bezpośrednio za konsulem szedł Martin Silenus w potarganym przez wiatr futrze.

Pochód zamykał Sol Weintraub. Umieścił Rachelę w nosidełku zawieszonym na piersi, pod płaszczem i peleryną. Nucił dziecku uspokajającą melodyjkę, ale wiatr wrywał mu dźwięki z ust i niósł je daleko w pustynię.

Po czterdziestu minutach marszu dotarli na wysokość martwego miasta. Marmury i granity lśniły w pulsującym świetle. Za plecami pielgrzymów góry zapłonęły blaskiem spływającym z rozgwieżdżonego nieba. Baszta Chronosa była zupełnie niewidoczna. Przekroczyli piaszczysty rów, wspięli się na płaską wydmę i niespodziewanie ujrzeli przed sobą wylot doliny, w której znajdowały się Grobowce Czasu. Konsul bez trudu dostrzegł uniesione skrzydła Sfinksa i poświęcę Starego Grobowca.

Odwrócił się raptownie, z bijącym sercem, gdyż za plecami pielgrzymów rozległ się donośny łomot, zakończony ogłuszającym trzaskiem.

- Już się zaczęło? - zapytała Lamia. - Bombardowanie?

- Nie - odparł Kassad i wyciągnął rękę. - Spójrzcie. - Wskazał powiększającą się czarną plamę nad górskimi szczytami; nagle z plamy wystrzeliła ogromna błyskawica, na mgnienie oka wydobywając z mroku ośnieżone zbocza i lodowce. - To tylko burza.

Podjęli na nowo wędrówkę przez cynobrowe piaski. Konsul przyłapał się na tym, że wyteża wzrok, by dostrzec samotną postać w pobliżu Grobowców lub przy wylocie doliny. Był całkowicie pewien, że ktoś - a raczej coś - tam na nich czeka.

- Spójrzcie tylko... - szepnęła Brawne Lamia. Wiatr sprawił, że z trudem dosłyszeli jej głos.

Grobowce Czasu świeciły. To, co konsul wziął w pierwszej chwili za odbicie blasku padającego z nieba, okazało się czymś zupełnie innym. Każdy Grobowiec promieniował światłem odmiennej barwy, każdy też był doskonale widoczny, mimo że

wraz z narastaniem intensywności blasku Grobowce zdawały się odsuwać coraz dalej w głąb doliny.

- Czy to się często zdarza? - zapytał ojciec Hoyt niezbyt pewnym głosem.

Konsul pokręcił głową.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Także podczas badań, w których uczestniczyła Rachela, ani razu nie zaobserwowano takiego zjawiska - powiedział Sol Weintraub. Kiedy grupa ruszyła naprzód po pełzającym piasku, ponownie zaczął nucić spokojną melodię.

Zatrzymali się u wejścia do doliny. Łagodnie zaokrąglone wydmy ustąpiły miejsca skałom oraz atramentowoczarnym cieniom, które wypełniały obniżenie terenu prowadzące ku lśniącej Grobowcom. Nikt nie chciał iść jako pierwszy. Nikt się nie odzywał. Konsul czuł, jak serce szaleńczo łomocze mu w piersi. Znacznie gorsza od strachu i świadomości tego, co się pod nim kryje, była bezdenne melancholia - przywiana wiatrem spadła na jego duszę, nakazując natychmiast zawrócić i z krzykiem, co sił w nogach, pobiec ku górcom, z których przyszli.

- Co to za melodia, którą nuczysz Racheli? - zapytał Weintrauba.

Uczony uśmiechnął się z wysiłkiem i podrapał po krótkim zaroście.

- To ze starego, dwuwymiarowego filmu. Sprzed hegiry. Do licha, chyba sprzed wszystkiego.

- Posłuchajmy jej - zaproponowała Brawne Lamia z twarzą białą jak płótno. Chyba zrozumiała intencje konsula.

Sol Weintraub zaczął śpiewać, początkowo dość cicho i niepewnie, ale potem nabrał nieco wiary we własne siły, tym bardziej że melodia miała chyba moc podnoszenia na duchu. Ojciec Hoyt wziął do rąk bałalajkę i akompaniował mu, z każdą chwilą także radząc sobie coraz lepiej.

Brawne Lamia roześmiała się głośno, a Martin Silenus wykrztusił ze zdumieniem:

- Mój Boże, przecież ja pamiętam tę piosenkę! Śpiewałem ją w dzieciństwie. Rzeczywiście, musi być nieprawdopodobnie stara.

- Ale kim właściwie jest ten czarnoksiężnik? - zapytał Kassad. Jego dudniący głos, wzmocniony przez zewnętrzne głośniki hełmu, w połączeniu z tym pytaniem zabrzmiał niemal zabawnie.

- I co to jest Oz? - zawtórowała mu Lamia.

- I kto ma się spotkać z czarnoksiężnikiem? - dołączył się konsul. Albo mu się

tylko wydawało, albo panika, która go niedawno ogarnęła, zaczęła powoli ustępować.

Sol Weintraub umilkł, po czym zaczął opowiadać treść nie istniejącego już od wielu stuleci filmu.

- W porządku, reszty dowiemy się później - przerwała mu w pewnej chwili Brawne Lamia. - Teraz zaśpiewaj nam jeszcze raz.

Ciemność, która tymczasem połknęła góry, oderwała się od ich szczytów i pomknęła nad równiną w kierunku pielgrzymów. Niebo nadal pulsowało różnobarwnym blaskiem, ale nad wschodnim horyzontem poblądło już wyraźnie. Martwe miasto, które zostawili po lewej stronie, lśniło niczym wyszczerzone kamienne zęby.

Brawne Lamia ponownie stanęła na czele pochodu. Sol Weintraub śpiewał jeszcze głośniejszy niż do tej pory, Rachela kwiliła radośnie, Lenar Hoyt zrzucił kaptur, który przeszkadzał mu w grze na bałajce, Martin Silenus cisnął pustą butelkę daleko między wydmy i przyłączył się do Weintrauba; miał silny, zaskakująco przyjemny głos, bez trudu wybijający się ponad zawodzenie wiatru.

Fedmahn Kassad podniósł wizjer, zarzucił broń na ramię i także dołączył do chóru. Konsul zaczął śpiewać, nagle uświadomił sobie, jak absurdalne są słowa, roześmiał się i znowu zaczął.

Tam gdzie zalegał najgłębszy cień, szlak wyraźnie się rozszerzał. Konsul odbił nieco w prawo, Kassad natychmiast znalazł się obok niego, a Sol Weintraub zajął miejsce w środku grupy. Zamiast jeden za drugim, sześcioro ludzi szło szeroką ławą. Brawne Lamia wzięła Silenusa za rękę, palce drugiej dłoni zacisnęła zaś na ręce Weintrauba.

Wciąż śpiewając głośno i nie oglądając się za siebie, maszerowali równym krokiem, wchodząc coraz głębiej w dolinę.